PIEKARA

JACEK

Świat inkwizytorów

Płomień i krzyż

TOM III

fabryka słów
WYDAWNICTWO

foto © Fabryka Słów

JACEK PIEKARA

Jeden z najpopularniejszych pisarzy fantastycznych. Prowokujący. Zaskakujący. Potrafi rozbawić, zbulwersować, dotknąć do żywego.

Debiutował w sierpniu 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana" na łamach miesięcznika „Fantastyka". Jego pierwszą powieścią był „Labirynt" wydany w 1986 r.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i powieści, z których największą sławę przyniósł mu Cykl Inkwizytorski – opis świata, w którym Jezus nie umarł na krzyżu, ale zstąpił z niego i pokarał swych wrogów ogniem i żelazem.

W 1990 r. otrzymał Nagrodę Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction dla autora roku, w 1989 r. nominowany do Nagrody im. J.A. Zajdla.

Jako redaktor naczelny czasopisma „Fantasy" otrzymał w 2005 r. nagrodę Złoty Meteor.

Fanatyk historii, wytrawny kucharz i miłośnik adrenaliny.

Spis treści

Karta tytułowa

Klasztor

Nowogród

Kamienne Góry

Peczora

Klasztor. Powrót

Przypisy

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK

PIEKARA

Świat inkwizytorów

Płomień i krzyż

TOM III

Ilustracje
Leszek Woźniak

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Cykl Świat inkwizytorów

1. Płomień i krzyż – tom 1
2. Płomień i krzyż – tom 2
3. Płomień i krzyż – tom 3

Cykl Ja, inkwizytor

1. Ja, inkwizytor. Wieże do nieba
2. Ja, inkwizytor. Dotyk zła
3. Ja, inkwizytor. Bicz Boży
4. Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie
5. Ja, inkwizytor. Sługa Boży
6. Ja, inkwizytor. Młot na czarownice
7. Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów
8. Ja, inkwizytor. Łowcy dusz

Klasztor

Arnold Löwefell oglądał pusty, martwy świat. Cóż, może nie dosłownie i nie do końca martwy i pusty, gdyż był to świat pełen roślin i zwierząt, pełen słońca, nieba i chmur, pełen radośnie szemrzącej wody i łagodnie wiejącego wiatru. Jednak nie było na nim ani śladu człowieka. Ani jednego tchnienia ludzkiej myśli. Ani jednego wytworu ludzkich rąk.

Ten świat był dziewiczy, niewinny i nieskalany. Jeżeli dochodziło w nim do przemocy, agresji i wojny, do pożerania, zabijania i ranienia, to owe działania wynikały wyłącznie z odwiecznych praw natury. Z instynktu napędzającego drapieżników, każącego im atakować, i instynktu napędzającego ofiary, każącego im bronić się wszystkimi dostępnymi metodami. Był to świat bezgrzeszny, świat cudownej doskonałości i doskonałej cudowności.

Löwefell przyglądał mu się z fascynacją, miłością i rozrzewnieniem. Był to świat idealny w swojej wolności od ludzi, wolności od ich pragnień, żądz i pasji. Od ich grzesznej, plugawej obecności, profanującej nie tylko wszystko, czego się dotknęli, ale również wszystko, o czym pomyśleli. Löwefell

chłonął ten świat całym sobą, szczęśliwy, że dane jest mu obcować z tworem tak doskonałym, i szczęśliwy, że dopuszczono go do tej obserwacji i do tego milczącego, nieruchomego uczestnictwa, że nie lękano się, iż zbruka otaczającą go czystość…

– Mistrzu Löwefell… mistrzu Löwefell… – usłyszał czyjś ponaglający, a jednocześnie zdziwiony głos i otworzył oczy.

Zobaczył stojącego dwa kroki dalej mnicha. Na twarzy mężczyzny odbijało się wyraźne zakłopotanie.

– Mistrzu Löwefell, raczcie wybaczyć wtargnięcie, ale nikt nie odpowiadał na pukanie…

Inkwizytor Arnold Löwefell, jeden z najbieglejszych w sztuce członków Wewnętrznego Kręgu Świętego Officjum, nie był człowiekiem, którego można by zaskoczyć w czasie snu. Tym bardziej nie był człowiekiem, którego nie obudziłoby stukanie do drzwi. Dlatego doskonale rozumiał zdziwienie i zakłopotanie mnicha. Sam był zdziwiony i zakłopotany tym, co się wydarzyło.

– Czy mogę w czymś pomóc, mistrzu Löwefell? – zapytał mnich. – Czy na pewno wszystko dobrze? – dodał po wyraźnej chwili wahania.

– Tak. Dobrze – odparł spokojnie inkwizytor. Usiadł i opuścił stopy na chłodną posadzkę. – Miałem sen – rzekł. – Wydaje mi się, że śniłem o tym, jak wyglądał świat tuż przed stworzeniem człowieka.

Mnich odpowiedział uśmiechem.

– Chciałbym zobaczyć ten sen – powiedział.

Löwefell był oczywiście pewien, że jego gość doniesie o rozmowie, zwłaszcza dzieląc się z przełożonymi zdumieniem, iż udało mu się zaskoczyć inkwizytora we śnie i zbliżyć się na tak niewielką odległość, nie wywołując żadnej reakcji. Löwefell uważał, że ten donos będzie jak najbardziej słuszny, gdyż Inkwizytorium musiało wiedzieć o wszelkich odstępstwach od normy, o wszelkich wynaturzeniach, aberracjach czy chociażby wyjątkach od reguły. A fakt, iż Löwefell, śpiący zazwyczaj

niezwykle czujnie, dał się zaskoczyć, był niewątpliwym, niepokojącym wyjątkiem od reguły.

– Czym mogę ci służyć? – zapytał mnicha.

– Mistrzu Arnoldzie, polecono mi przekazać, że pani Katrina zaprasza was do siebie na śniadanie, jeżeli zechcecie wyświadczyć jej tę grzeczność.

– Oczywiście – odparł Löwefell, nie okazując zdziwienia, że Katrina sama nie przyszła do jego pokoju.

Nigdy nie był w komnacie Katriny, bo chociaż wiele razy widywali się w ważnych sprawach, to nigdy takie spotkanie nie odbyło się w jej kwaterze. O czym świadczyło dzisiejsze zaproszenie? Cóż, jak wszystko w klasztorze Amszilas, mogło nie świadczyć o niczym albo świadczyć o czymś niezwykle istotnym. Mogło mieć wielkie i dalekosiężne konsekwencje albo nie mieć kompletnie żadnych.

– Zaczekam za drzwiami, żeby wam nie przeszkadzać – powiedział mnich.

Löwefell skinął głową. Obecność innych ludzi w czasie ubierania się czy mycia zupełnie mu nie przeszkadzała, niezależnie od tego, jakiej byliby płci. Tak jak zazwyczaj człowiekowi nie wadzi, gdy jest obserwowany przez zwierzęta, tak Löwefell nie zaprzątał sobie głowy obecnością innych przedstawicieli własnego gatunku, jeśli tylko siedzieli cicho i nie przeszkadzali. Zresztą nawet gdyby wokół niego hałasowały werble i trąby, to Löwefell i tak potrafiłby z łatwością odizolować się od wszelkich niedogodności. Chociaż na pewno wolał ciszę. Być może to pragnienie zewnętrznego spokoju, pomimo że w każdej chwili mogę zapewnić sobie ów spokój wewnątrz własnego umysłu, jest jednym ze śladów mojego utraconego człowieczeństwa, pomyślał.

Matyldy, która dzieliła z Löwefellem trzypokojową kwaterę, nie było ani w salonie, ani w sypialni, ale tego inkwizytor się dzisiejszego ranka spodziewał. Jeszcze poprzedniego dnia bowiem dziewczyna oznajmiła, że wybiera się na układanie,

czesanie i trefienie włosów, w której to sztuce ponoć niezwykle biegła była pewna służąca w klasztorze. Löwefell znał tę kobietę i wiedział, że znakomicie radzi sobie ona z leczeniem przeróżnych przypadłości zdrowotnych, nie sądził jednak, iż potrafi również układać fryzury. Ale Matylda korzystała już z jej usług wtedy, kiedy nie była jeszcze samodzielną ludzką istotą, lecz unieruchomioną kalectwem częścią Trójniaka.

Löwefell myślał od czasu do czasu o niedawnej operacji i o tym, że nie dopuszczano go do żadnych wiadomości o dwóch braciach Matyldy. Poza tym, iż poinformowano, że fizycznie czują się dobrze i nie potrzebują żadnego badania ani tym bardziej leczenia. Natomiast sama Matylda nie życzyła sobie spotkań z braćmi, z którymi spędziła wiele przymusowych lat, uwięziona nie tylko w jednym pokoju, lecz również w jednym łóżku. Teraz, od czasu przeprowadzonej przez Löwefella operacji, była wręcz pijana wolnością i radością płynącą z tej wolności. I cały czas Löwefell nie do końca potrafił ocenić, jakie zmiany zaszły w magicznych umiejętnościach dziewczyny po przeprowadzeniu zabiegu. Był jednak coraz bardziej przekonany, że dawna obecność braci tylko ograniczała zdolności Matyldy, że nie byli oni uzupełnieniem, lecz raczej balastem dla jej potężnego i niezwykłego umysłu. Sam nie był jeszcze pewien, jakie przed tym umysłem rozpościerają się możliwości, lecz miał wrażenie, iż wielu osobom w Wewnętrznym Kręgu mogą się one nie spodobać. Zastanawiał się też, czy tak naprawdę sama Matylda pojmuje, jaką dysponuje mocą. A przede wszystkim należało zadać pytanie, czy potrafi tę moc kontrolować i czy rozumie, w jaki sposób chciałaby ją ukierunkować. Oraz czy bardzo będzie się chciała przekonać, jak daleko sięgają granice owej mocy. Löwefell podejrzewał, że badanie owych granic może się okazać bardzo ryzykowne, ale rozumiał też, że ciekawość Matyldy zapewne kiedyś, prędzej czy później, zwycięży nad ostrożnością. I miał nadzieję, iż będzie wtedy w pobliżu, by zaradzić nieprzyjemnym konsekwencjom tejże ciekawości.

Komnata, czy raczej komnaty Katriny nie przypominały niczego,

co zwykły człowiek mógłby wyobrażać sobie pod pojęciem „klasztorna cela”. Te pokoje można by przenieść do książęcego pałacu i z pewnością właściciele nie poczuliby się rozczarowani. Katrina przyjęła Löwefella w salonie, witając go zarówno uśmiechem, jak i uściskiem. Löwefell nigdy nie dążył do kontaktu fizycznego z innymi ludźmi, ale dotyk Katriny wzbudzał w nim dobre emocje, tak jakby stanowił namiastkę, cień dawno utraconego człowieczeństwa. Oczywiście zdawał sobie sprawę, iż najprawdopodobniej Inkwizytorium manipuluje nim i z jakiegoś powodu chce go przywiązać do Katriny, jednak nie miał nic przeciwko temu. Zawsze uważał ją za wyjątkową osobę, a od czasu wspólnych podróży do nie-świata, od czasu kiedy widział, z jaką swobodą Katrina przemierza to wrogie i zdumiewające uniwersum, jego szacunek jeszcze wzrósł. I oczywiście wiedział, że nigdy nie zapomni ani łatwości, z jaką Katrina pokonała potężnego demona, znajdującego się przecież w swoim własnym domu, ani zimnej bezwzględności, z jaką później przesłuchiwała i torturowała potwora.

– Słyszałam, że miałeś piękne sny, Arnoldzie – powiedziała z łagodnym i życzliwym uśmiechem.

– Wieści szybko się rozchodzą – zauważył.

– Dobrze, że okłamałeś tego biednego, poczciwego mnicha…

– Okłamałem?

– Śniłeś o świecie pozbawionym ludzi, prawda?

– Tak było – przyznał.

– Ale przecież nie o dniu przed stworzeniem człowieka, prawda, Arnoldzie?

Kiedy spoglądała na niego jasnymi, szczerymi oczami, przypomniał sobie, jak rozpłynął się w jej wzroku, gdy przechodzili do nie-świata. I jak powstrzymała go przed tym, by nie zniknął na zawsze.

– Ty, mogę przysiąc… – mówiła dalej Katrina – śniłeś o dniu, w którym Bóg wymaże ludzkość z powierzchni ziemi. Śniłeś

o świecie wolnym od grzechu, gdyż raz na zawsze oczyszczonym z plugawej obecności człowieczej cywilizacji.

Löwefell skinął głową.

– Tak było – powtórzył.

Katrina popatrzyła na podsufitowy fresk ozdabiający komnatę, a Löwefell powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem.

– Niebo i chmury, i ptaki – powiedział.

– Widok kojący duszę – odparła.

– Też marzysz o wolności?

– Też?

– Matylda wspominała mi o swoich marzeniach o swobodzie. Częściowo się już spełniły, kiedy została uwolniona od braci, z którymi musiała dzielić umysł i ciało.

– Nadal jest jednak zamknięta, prawda? Czy czuje się uwięziona?

– Sądzę, że tak.

– Czy chciałaby od nas uciec? Zapomnieć o nas?

Löwefell od wielu dni również się nad tym zastanawiał. Czy Matylda, kobieta oddzielona od dwóch braci w rezultacie przeprowadzonej przez Löwefella skomplikowanej operacji (kto wie czy nie najbardziej skomplikowanej, jaką kiedykolwiek przeprowadził człowiek, pomyślał Löwefell), chciałaby przesunąć jeszcze dalej granice swojej wolności? Czy po wyzwoleniu od bycia częścią organizmu nazywanego Trójniakiem miała ochotę wyzwolić się od organizmu nazywanego Świętym Officjum? A może wcale o tym nie marzyła? Może miała tu do stoczenia swoją własną, sekretną walkę? Jaki był jednak cel tej walki? Jacy przeciwnicy i sojusznicy? Jakie spodziewane ofiary oraz planowane efekty? Ha, na tak postawione pytania Löwefell szukał dopiero odpowiedzi.

– Być może – odparł.

Katrina poprosiła go, by usiadł w fotelu, i sama zajęła miejsce naprzeciwko niego. Położyła dłonie na poręczach uformowanych na kształt lwich pysków. Lwy spoglądały połyskującymi oczami chryzoberylów. Löwefellowi zdawało się, że patrzą wprost na niego. Zresztą kto wie, może naprawdę tak było? Inkwizytor widział już na tyle dużo, iż zdawał sobie sprawę, że granica pomiędzy przedmiotem a żywą istotą często nie jest oczywista. A dla wprawnego maga wręcz płynna.

– Lubisz przepych, Katrino?

– Lubię kolory – odparła. – I lubię piękno.

Wstała, podeszła do ściany i spojrzała na swoje odbicie w kryształowym zwierciadle, które pokazywało całą jej sylwetkę, i wydawało się, że jeszcze wyraźniejszą i bardziej nasyconą barwami, niż kiedy Löwefell spoglądał bezpośrednio na Katrinę.

– Lubisz siebie i swoje piękno?

Spojrzała na niego z nagłym smutkiem.

– Nie jestem piękna, Arnoldzie – stwierdziła. – A przynajmniej nie według tych kryteriów, jakimi kieruję się w ocenie.

Löwefell zmarszczył brwi. Oczywiście nie wzbudzała w nim erotycznej żądzy, zresztą takich emocji nie wywołałaby żadna osoba na świecie, niezależnie od płci. Katrinę uważał jednak za wyjątkowo ładną kobietę. Delikatna twarz, nieskazitelna sylwetka, piękne włosy, głębokie spojrzenie błyszczących oczu, cera tak gładka, jakby polerowana i szlifowana. Löwefell nie wiedział, czego więcej można pragnąć. Cóż, gdyby miał do czynienia ze zwykłą kobietą, mógłby przypuszczać, że jej słowa są wyrazem tęsknoty za innym typem urody. Że jasnowłosa, szarooka, szczupła i niewysoka dziewczyna marzy o tym, by stać się rozrośniętą, kruczowłosą pięknością o oliwkowej cerze i pałających czernią oczach. Ale miał do czynienia z Katriną, więc wiedział, że musi chodzić o coś zupełnie innego.

– Ale dość o mnie. – Katrina uniosła dłoń. – Zaprosiłam cię, żebyśmy porozmawiali o tobie, Arnoldzie, czego zapewne się spodziewałeś, prawda?

Inkwizytor skinął głową.

– Oczywiście – odparł.

– Czy zjemy coś najpierw?

– Jak sobie życzysz.

– Mam słabe jabłkowe wino, świeży chleb, trochę szynki, ser, przepiórcze jaja. – Wzruszyła ramionami z uśmiechem. – Przygotowałam się, jak widzisz…

– Skoro tak, nie śmiałbym odmówić.

Zadzwoniła cynowym dzwoneczkiem i do pokoju weszli słudzy, wnosząc tace z jedzeniem i napojami. Rozstawili wszystko na stole, po czym uprzedzeni zapewne, że ich rola ma się ograniczyć tylko do wniesienia śniadania, opuścili pomieszczenie. Jedzenie pachniało nadspodziewanie apetycznie i Löwefell ku swojemu zdziwieniu poczuł, że nawet ma ochotę na niewielką przekąskę.

– Częstuj się, Arnoldzie, proszę – powiedziała.

Kiedy nakładał sobie szynkę i ser, ona nalała i jemu, i sobie wino do kieliszków. Wokoło rozszedł się aromatyczny zapach młodych, świeżych jabłek.

– Arnoldzie, kiedy wskrzesiłam cię w Koblencji, powiedziałam ci coś. Pamiętasz moje słowa, prawda?

– Oczywiście – rzekł Löwefell, który przecież niczego nigdy nie zapominał.

A przynajmniej nie zapominał niczego od czasów, kiedy był Arnoldem Löwefellem, bo przeszłość jego poprzedniego wcielenia, przeszłość perskiego maga ognia Narsesa, nadal stanowiła dla niego głównie tajemnicę. A może lepiej ujmując: mozaikę tajemnic naszpikowaną zagadkami i przetykaną sekretami.

– Czy możesz je w takim razie powtórzyć?

Löwefell milczał i spoglądał na nią nieruchomym wzrokiem.

– W tej komnacie nikt nie jest w stanie nas usłyszeć bez mojej wiedzy i zgody – rzekła.

– Kto nas teraz słucha w takim razie? Komu na to pozwoliłaś?

– Nikomu. Doskonale wiesz, że sama zdecyduję, czy naszą rozmowę przekazać dalej, czy zachować dla siebie. Takie postępowanie nie jest ci obce, prawda? – Uśmiechnęła się nagle.

Ciekawe, czy domyślasz się, jakie rzeczy staram się zachować tylko dla siebie, pomyślał Löwefell. I ciekawe również, czy twoja wiedza, jeśli rzeczywiście ją masz, stanie się dla mnie błogosławieństwem, czy przekleństwem?

– „Wiem, że kłamałeś, Arnoldzie" – zacytował Löwefell słowa, które wtedy w Koblencji wyszeptała mu na ucho. – „I wiem, że Marius ci uwierzył. Ale bardzo chciałabym się dowiedzieć, co tak naprawdę zobaczyłeś w Studni Dusz. A jeszcze bardziej chciałabym wiedzieć, czemu zamierzałeś to przed nami zataić…"

Pokiwała głową.

– Co do słówka – zgodziła się z nim. – Długo i spokojnie czekałam na odpowiedź na pytania. Ale ty nie spieszyłeś się, żeby zaspokoić moją ciekawość, prawda?

– Miałem powody – rzekł krótko Löwefell.

– Och, zawsze mamy jakieś powody – machnęła ręką – żeby zrobić to lub nie zrobić tamtego… – Wzruszyła ramionami. – Natomiast teraz powodem, abyś mi wyjawił, co zobaczyłeś w Studni Dusz, jest moje zdecydowane żądanie.

– A więc to jest przesłuchanie, nie rozmowa… – zauważył inkwizytor pogodnym tonem.

– Co zobaczyłeś w studni, Arnoldzie? – zignorowała jego uwagę. – Kto wykradł esencję życia ze ścierwa perskiej wiedźmy? Kogo takiego widziałeś, że nie chcesz o tym mówić? Kto jest naszym wrogiem?

Löwefell milczał przez chwilę.

– Odpowiedź na pytania, które zadajesz, nie jest ani prosta, ani

jednoznaczna i dlatego nie jestem w stanie ci jej udzielić – odparł wreszcie chłodnym tonem.

Milczała dłuższy czas, wpatrując się nie w swego rozmówcę, ale gdzieś w przestrzeń ponad jego głową. Czy porozumiewa się z kimś? – zadał sobie pytanie Löwefell. Czy odbiera polecenia lub słucha sugestii? Czy też milczy jedynie w tym celu, żebym się właśnie zastanawiał nad tym, co ona robi?

– Nie sądzę, żebyś miał wybór – stwierdziła wreszcie.

– Wszyscy zawsze mamy jakiś wybór – odparł sentencjonalnie Löwefell. – Lepszy lub gorszy, ale jednak wybór…

– Arnoldzie, musisz mi powiedzieć, co ujrzałeś w Studni Dusz – mocno zaakcentowała słowo „musisz”.

– A jeśli nie? Będziesz mnie torturowała, tak jak owego niebieskiego demona, który podawał się za perskiego maga? – zapytał ironicznie. Mimo tej ironii był przekonany, że gdyby Katrinie wydano takie polecenie, oczywiście by go torturowała. Zresztą tak samo jak i on poddałby ją mękom, gdyby tylko miał pewność, iż przysłuży się to zwycięstwu Sprawy. – Jeśli tak, to upewnij się, że rozumiem język, w którym będziesz mi zadawać pytania – dodał, przypominając sobie, jak Katrina rozmawiała z demonem w tej zdumiewająco brzmiącej mowie, składającej się z dźwięków, których Löwefell nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie miał pojęcia, w jakimż to rejonie świata można było ich używać. A także w jaki sposób ludzki język mógł się przystosować do ich wymawiania.

Katrina pokręciła głową z politowaniem.

– Jesteś moim przyjacielem, stronnikiem i towarzyszem – stwierdziła mocnym tonem. – Zależy mi na tobie. Bardzo mi na tobie zależy, na twojej pomocy, mądrości, na twoim zapale i oczywiście na twojej powracającej pamięci – podkreśliła. – Nie zamierzam cię zmuszać ani tym bardziej torturować. – Uśmiechnęła się. – Pomijając już, że nie jestem władna, żeby wydać taką decyzję, nawet gdyby podobny pomysł przyszedł mi do głowy. Chcę cię zrozumieć oraz przekonać, Arnoldzie.

– Chciałbym tam wrócić – stwierdził Löwefell.

Pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Van Bohenwald eksperymentował kiedyś ze Studniami Dusz – powiedziała. – Twierdzi, że szansa przetrwania drugiego zejścia tą samą studnią jest minimalna. Niemal iluzoryczna…

Löwefell zauważył słowo „eksperymentował” i od razu zadał sobie pytanie, ile ludzkich istnień pochłonęły te doświadczenia, by można było dojść do podobnych wniosków. I czyje to były życia? Zwykłych ludzi? Czarowników i wiedźm? Inkwizytorów?

– Jaka miałaby być tego przyczyna?

Katrina rozłożyła ręce.

– Nie jesteśmy do końca pewni. Prawdopodobnie chodzi o to, iż studnia stara się zniszczyć istotę, którą uważa za martwą.

– Mówisz o Studni Dusz, jakby była świadomym bytem…

– Może źle to ujęłam. – Zmarszczyła brwi. – Wyobraź sobie, że poparzyłeś ciało na słońcu. Jeśli wystawisz je znowu na działanie promieni, skóra zacznie od razu boleć, a oparzenia błyskawicznie się zaognią. Marius twierdzi, że pierwsze zejście do studni powoduje uwrażliwienie na wszelkie niebezpieczeństwa.

Löwefell co prawda nie przypominał sobie, by kiedykolwiek poparzyło go słońce, ale oczywiście rozumiał, co jego towarzyszka ma na myśli.

– Czy owo uwrażliwienie dotyczy wszystkich Studni Dusz, czy tylko konkretnej, którą wcześniej się odwiedziło?

– Wszystkich w pewnym stopniu, natomiast tej jednej w stopniu wyjątkowym – odparła. – To zjawisko ulega powolnemu zanikaniu pod wpływem czasu. No ale do tego momentu musi upłynąć znacznie więcej niż kilka miesięcy, a nawet kilka lat… Przykro mi.

– Cóż, świat byłby zbyt prosty, gdybyśmy mogli realizować wszystkie nasze znakomite pomysły – westchnął Löwefell.

Pomimo że starał się utrzymać lekki ton, był bardzo rozczarowany informacjami przekazanymi przez Katrinę. Szczerze liczył, iż uda mu się potwierdzić podejrzenia i rozwiać wszelkie wątpliwości. A niestety, okazywało się, iż nie pozwolą mu już wrócić do tej tajemniczej i niezwykłej chwili. Chyba że mnie nie obowiązują reguły, o których mówił van Bohenwald, pomyślał. Jestem wyjątkiem w tak wielu aspektach życia, więc czyż nie mogłoby się okazać, że będę również wyjątkiem w tej sprawie?

– Czy chciałbyś wysłać kogoś innego do Studni Dusz? – zapytała.

Löwefell rozmyślał również nad tą możliwością. Zakładał raczej, iż to on sam uda się w niebezpieczną podróż, by upewnić się, co wydarzyło się owego upalnego dnia na koblenckiej ulicy. Ale skoro nie mógł się wybrać, to kogo mógł skłonić do podobnej eskapady? Lub jeśli nie skłonić, to zmusić, mając przy tym nadzieję, że ów człowiek nie zawiedzie i że będzie miał moc ujrzeć.

– Nie wiem – odparł. – Musiałby zostać wybrany któryś z inkwizytorów obdarzonych znaczącą mocą.

– Cóż. – Katrina rozłożyła ramiona z uśmiechem. – Nie mogłeś się znaleźć w lepszym miejscu, Arnoldzie, żeby wybrać człowieka do podobnego zadania. W klasztorze aż się roi od obdarzonych mocą inkwizytorów, gotowych w każdej chwili poświęcić życie dla Sprawy.

Löwefell odpowiedział jej uśmiechem.

– Tylko nikt nie pozwoli na ich udział w podobnym przedsięwzięciu, nie znając wcześniej właściwych powodów, dla których mają narażać życie – dodała już chłodnym tonem. – Dlatego też wracam do mojego wcześniejszego pytania: co tak niezwykłego lub groźnego zobaczyłeś w Studni Dusz, że nie zdecydowałeś się zawiadomić o tym Inkwizytorium?

Löwefell nigdy nie podejmował pochopnych decyzji, nie działał pod wpływem bezrozumnych impulsów, więc i tym razem jego odpowiedź była przemyślana. Miał pewność, że dojdzie do podobnej rozmowy. Zastanawiając się kiedyś nad możliwymi ścieżkami wydarzeń, określił wszelkie ewentualności. Również tę, iż udzieli takiej, a nie innej odpowiedzi.

– Zobaczyłem ciebie, Katrino – stwierdził. – Wtedy w Koblencji przy trupie Roksany zobaczyłem właśnie ciebie. Widziałem cię lepiej, niż widzę nawet teraz. Jaśniałaś tak, że nie mogło być mowy o pomyłce.

Katrina wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami. Löwefell wiedział, że jej umiejętności stwarzania pozorów pozwoliłyby niezwykle wiarygodnie udać zdumienie czy oburzenie (jak zresztą każde inne uczucie), ale chciał wierzyć, iż obserwowane przez niego zaskoczenie jest prawdziwe.

– Widziałeś mnie – powtórzyła z niedowierzaniem, kładąc nacisk i akcent na ostatnie słowo.

– Widziałem ciebie – potwierdził Löwefell. – Byłem z tobą w nie-świecie, więc nie mógłbym aż tak pomylić się co do osoby.

– Raczej nie – zgodziła się po namyśle Katrina. Spojrzała na inkwizytora z poważnym wyrazem twarzy. – Musisz jak najszybciej napisać raport, Arnoldzie, i dostarczyć go Mariusowi. To jedyne wyjście, jakie na razie widzę… – Pokręciła głową. – Niedobrze – szepnęła. – Niedobrze.

Löwefell, nawet gdyby chciał, nie mógłby się z nią nie zgodzić. Z której by strony spoglądać na tę zagadkową sprawę i jakkolwiek próbować ją rozwikłać i uzasadnić, nie było dobrych rozwiązań ani wyjaśnień. Były tylko rozwiązania złe i bardzo złe. A wszystkie wiązały się z komplikacjami, co do których Löwefell, niestety, był niemal pewien, że utrudnią życie również, a może przede wszystkim jemu samemu.

Katrina podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Arnoldzie, doskonale wiem, że moje zapewnienia, przysięgi, przyrzeczenia czy obietnice masz za nic. I bardzo słusznie, bo

każde z nas złamie każdą przysięgę i złoży każde fałszywe przyrzeczenie, jeśli tylko uznamy, że podobne postępowanie posłuży naszej wspólnej wielkiej Sprawie.

Löwefell skinął głową na znak, że całkowicie zgadza się z tymi słowami.

– Dlatego wiem – kontynuowała Katrina – że nie masz żadnych powodów, żeby mi zaufać, ale mimo to powiem wyraźnie: nie mnie widziałeś w Koblencji przy trupie wiedźmy. Nie ja wykradłam jej zwłoki i jej esencję życia. Nie mam z tym nic wspólnego, Arnoldzie. – Przyłożyła dłoń do piersi.

Wyglądała szczerze i mówiła przekonująco. Ale członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium szkolono również w sztuce zręcznego i pięknego kłamania, tak by ten fałsz przybierał pozór prawdy. Löwefell miał wielkie zdolności magiczne w różnych dziedzinach, potrafił między innymi dobrze wyczuwać nieszczerość w formułowanych przez ludzi zdaniach. Ale Katrina znajdowała się daleko, daleko poza jego zdolnościami oceniania i kontrolowania. Była tak potężną istotą, że Löwefell nie do końca nawet rozumiał charakter siły, którą ona dysponuje, a co dopiero mówić o jakiejkolwiek formie jej kontrolowania.

– Nie mam powodów, żeby ci nie ufać – stwierdził.

Wszystko rzeczywiście było bardzo podejrzane, a nawet lepiej mówiąc, choć używając języka pozbawionego właściwej inkwizytorom precyzji: dziwaczne. Löwefell naprawdę ujrzał Katrinę w czasie swej podróży do Studni Dusz, naprawdę zobaczył ją w przeszłości zbliżającą się do martwej perskiej wiedźmy. Ale wnioski płynące z tej wizji były tak nielogiczne, że Löwefell zamierzał wpierw przeprowadzić własne śledztwo, zanim podzieli się z kimkolwiek obserwacjami. Bo jeśli Katrina naprawdę wykradła trupa i esencję życia Roksany, jeśli właśnie ona stała za próbami przywrócenia do życia perskiej wiedźmy, to dlaczego nalegała, by Löwefell ujawnił, co widział? Dlaczego go zdemaskowała i zarzuciła mu ukrywanie tajemnicy? No i rzecz najważniejsza: przecież Katrina mogła zabić inkwizytora już przy Studni Dusz, a nawet nie tyle zabić (gdyż to uczynił wcześniej

Marius van Bohenwald), ile nieumiejętnie wskrzesić. Przy tak delikatnej operacji, obarczonej tak wielkim ryzykiem, trudno by było mieć do niej pretensje, iż nie podołała zadaniu. Równie dobrze wszystko mogło być maskaradą Katriny, która celowo sprowokowała oskarżenia Löwefella, by w ich efekcie wyjść z całej sprawy oczyszczoną i jeszcze bardziej godną zaufania. No i jedna rzecz wcale nie była jasna. Nawet jeśli Katrina stała za intrygą przeprowadzoną poza wiedzą i kontrolą Świętego Officjum, może te działania miały w rzeczywistości służyć Sprawie w sposób jak najbardziej właściwy?

W Wewnętrznym Kręgu Inkwizytorium jak zwykle więcej było pytań niż odpowiedzi, jak zwykle również nie wiadomo było, co ma pomagać, a co szkodzić Sprawie. Löwefell, niestety, coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że sama Sprawa, jej znaczenie oraz idea, nie jest tak samo rozumiana przez wszystkich członków Wewnętrznego Kręgu. A który z nich miał rację? Który wybrał tę jedyną właściwą ścieżkę? Czy była w ogóle jakaś „jedyna właściwa ścieżka”? Czy może istniało wiele różnych dróg prowadzących mniej więcej w tę samą stronę? Inkwizytor nawet się nie łudził, że szybko znajdzie odpowiedź na swoje pytania. Coraz częściej jednak nurtowała go myśl, iż odpowiedzi na te pytania nie zna nikt w Wewnętrznym Kręgu. Ale może owa myśl podająca w wątpliwość drogę wybraną przez Inkwizytorium stanowiła jedynie wyraz grzesznej słabości i nie miała nic wspólnego z rzeczywistością?

– Czasami dobrze byłoby żyć w świecie jednoznacznych wyborów – powiedziała smutno Katrina. – W świecie jasnych prawd i mrocznych kłamstw. W świecie, w którym na każdym kroku i przy podejmowaniu każdej decyzji wiadomo, co jest prawe i godne, a co podłe i hańbiące.

Taaak… Löwefell również czasami tęsknił za podobnie naiwnie skonstruowanym i wyobrażonym światem. Czyż nie była to po prostu tęsknota za głupotą? Pragnienie bezmyślenia, istnienia nieskalanej wiary w słuszność idei oraz uczynków. Tęsknota za brakiem podejrzeń. Za przyjaźnią, miłością i szczerością…

– Coś za coś – dodała Katrina, a potem wzruszyła żywo ramionami. – No dobrze, Arnoldzie, nie ma co kwilić jak kanie na deszcz. – Uśmiechnęła się. – Zjedzmy wreszcie to śniadanie, a potem napisz, proszę, raport z koblenckich wydarzeń. Z pewnością będziemy jeszcze o nim rozmawiać. I to niedługo oraz na pewno w gronie większym niż dzisiaj.

Löwefell zaczął pisać raport, zaraz jak wrócił do swojej komnaty. Matyldy nadal nie było, gdyż jak poinformowali go mnisi, cały czas poddawała się zabiegom upiększającym. Jej nieobecność była zresztą inkwizytorowi na rękę, bo dzięki temu mógł od razu zająć się własnymi sprawami. Ponadto cieszyła go dbałość dziewczyny o wygląd zewnętrzny, gdyż świadczyło to, że Matyldzie zależy na życiu. Byłoby znacznie gorzej, gdyby pogrążyła się w beznadziejnej abnegacji. Oczywiście nadmierna i przerysowana troska o sprawy cielesne byłaby również niepokojąca, ale jak na razie nic nie świadczyło o tym, by Matylda przejawiała chorobliwe zainteresowanie własną urodą. A tak jak wśród mężczyzn podobne anomalie zazwyczaj się nie zdarzały i ci chlubili się raczej siwymi włosami, zmarszczkami czy bliznami, uważając, że nadają im godności oraz powagi, tak wiele kobiet zdawało się gonić za ułudą wiecznej młodości. Löwefell znał przypadki arystokratek poszukujących cudownego panaceum. I jeśli ograniczało się to do przemywania skóry perłami rozpuszczanymi w occie, do kąpieli w kozim lub oślim mleku, do wmasowywania w twarz świeżego męskiego nasienia lub do wklepywania w skórę kremów, balsamów czy olejków przygotowanych z rzadkich i egzotycznych ingrediencji, to wszystko można było uznać za poczynania nieburzące naturalnego porządku. Kłopoty zaczynały się wtedy, kiedy kobieta w pogoni za wieczną młodością i nieskazitelną urodą zaczynała kąpać się w dziecięcej lub dziewiczej krwi albo usiłowała radzić się wiedźm czy, jeszcze gorzej, pozyskać pomoc demonów. Wtedy zazwyczaj amatorka wiecznej młodości i piękności kończyła w lochach, a kiedy z nich wychodziła po trwających wiele dni przesłuchaniach i torturach, to zapewne

wolała spłonąć na stosie, niż przejrzeć się w lustrze. Co zresztą się działo…

Tak czy inaczej, Löwefell przekazał raport jeszcze tego samego dnia, a już po godzinie został wezwany do van Bohenwalda. Ten pośpiech nie zdziwił go, ale upewnił w przekonaniu, że wszyscy traktują niezwykłą sprawę bardzo poważnie. Co mogło w konsekwencji pomóc w szybkim rozwiązaniu tajemnicy i zapewne przyczynić się również do rychłego potępienia Löwefella za to, że wcześniej nie zdradził, iż był świadkiem tak zdumiewającego wydarzenia.

Löwefell bez zwłoki udał się za przysłanym mnichem, któremu zresztą nakazano, by natychmiast przyprowadził inkwizytora. Po dłuższej podróży korytarzami oraz schodami prowadzącymi zarówno w górę, jak i w dół, oraz dookoła krużgankami wokół wewnętrznego podworca znaleźli się wreszcie w części klasztoru, w której Löwefell nigdy jeszcze nie był. Ale zważywszy na ogrom budowli, nie było to nic dziwnego, w każdym razie inkwizytor dokładnie zapamiętał układ korytarzy, pokoi, schodów oraz przejść, by wiernie zapisać go w umyśle i móc odtworzyć w każdej dowolnej chwili.

Mnich zastukał w drzwi, potem, nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Uprzejmym gestem wskazał wejście Löwefellowi, a sam się wycofał. Inkwizytor wszedł do środka. Pokój był niewielki, z ogromnym oknem, zajmującym niemal całą przeciwległą ścianę i zbudowanym z szyb ciętych w wielkie romby. Główne miejsce w tej komnacie zajmował stół, przy którym stało kilka krzeseł. Na blacie postawiono dwie kryształowe karafki z przezroczystym płynem w środku (zapewne z wodą) oraz pięć wysokich kryształowych kielichów. Marius i Katrina stali przy oknie, odwróceni twarzami w stronę drzwi.

Löwefell widywał van Bohenwalda dosyć często (może nawet częściej, niżby sobie życzył), ale mimo tych spotkań niemal zawsze zdumiewała go postura tego inkwizytora. Szerokie, rozłożyste plecy, dłonie tak napuchnięte, jakby Mariusa pokąsały

pszczoły, i twarz wyglądająca niczym misa zastygłego tłuszczu, w której wszystko było nienaturalnie wielkie i sprawiało wrażenie rozmiękłego i drgającego niczym mięsna galareta. Van Bohenwald wyglądał groteskowo, dla wielu zapewne mógłby się przedstawiać żałośnie czy śmiesznie, ale ta postura i ta fizys skrywały jego prawdziwe oblicze: jednego z najważniejszych członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium i zapewne również jednego z najniebezpieczniejszych ludzi w chrześcijańskim świecie.

– Drogi Arnoldzie, mój kochany perski rycerzu! – Marius teatralnym gestem rozłożył ramiona, jakby chciał zamknąć Löwefella w serdecznym uścisku. – Jak to miło, że zataiłeś przed nami spostrzeżenia i obserwacje, na których tak nam zależało. A wszystko po to, by ratować dobre imię ukochanej…

Löwefell całkowicie zignorował złośliwość oraz insynuacje grubasa.

– Na wieki wieków – powiedział jedynie.

Van Bohenwald roześmiał się.

– Niech będzie pochwalony – zgodził się. Potem obrócił spojrzenie na Katrinę. – I co, moja miła? Dobrze mieć takiego rycerzyka jak Arnold?

– Zastanawia mnie jedno – odezwała się Katrina. – Skoro Arnold zawsze ignoruje twoje złośliwości, a mnie nie są one w stanie dotknąć, po co ciągle je powtarzasz w tej lub innej formie?

Marius wzniósł palec wskazujący.

– Bo kropla drąży skałę? – zapytał z udawaną powagą.

Katrina wzruszyła ramionami.

– Siadajcie. – Van Bohenwald wskazał im ruchem podbródka krzesła otaczające stół.

– Na kogoś jeszcze czekamy – raczej stwierdził, niż zapytał Löwefell.

– Tak – odparł Marius, nie zagłębiając się w szczegóły.

Löwefell zajął miejsce na środku dłuższego boku stołu, a Katrina usiadła po jego prawej ręce.

– Moje kochane gołąbeczki – teatralnie rozczulił się van Bohenwald. – Nawet usiedli tak, by spijać sobie oddechy z dzióbeczków i muskać się nawzajem skrzydełkami.

Katrina roześmiała się naturalnie i szczerze, a Löwefell jak zwykle nie dał poznać po sobie, że słowa Mariusa w ogóle go dotyczą.

Nie musieli czekać długo na następnych gości. Z dwóch osób, które weszły do komnaty, jedną Löwefell dobrze znał. Był to krótko ostrzyżony siwy inkwizytor o twarzy spalonej słońcem i zrytej zmarszczkami. Nazywał się Barnaba Biber i w Inkwizytorium, w którym przecież roiło się od światłych ludzi, uznawany był za kompendium wiedzy historycznej i znawcę obyczajów ludów żyjących poza granicami Cesarstwa. Drugim z przybyszów była kobieta o skórze koloru hebanu, króciuteńkich włosach, przyciętych tuż przy samej głowie, i oczach przypominających nocne niebo. Jej Löwefell nigdy wcześniej nie widział. Była oszałamiająco piękna. Löwefell wiedział również, że wydałaby się nieodparcie pociągająca każdemu, mężczyźnie czy kobiecie. Każdemu, kto miałby szczęście znaleźć się w jej pobliżu. I chociaż na inkwizytorze jej uroda nie była w stanie wywrzeć wrażenia erotycznego, to podziwiał ją jako doskonałe dzieło sztuki.

© Fabryka Słów

– Pozwól, że przedstawię ci, Arnoldzie, wspaniałą, cudowną i olśniewającą Nontle, która przybyła do nas z Mauretanii, z samego serca czarnej i rozpalonej Afryki.

Löwefell oczywiście wiedział, gdzie leży Mauretania, wiedział również, że Cesarstwo posiada na jej terenie faktorie handlowe, i doskonale też wiedział (podobnie jak van Bohenwald), iż Mauretania z całą pewnością nie jest ani sercem, ani środkiem Afryki. Chociaż przeciętnemu obywatelowi Cesarstwa wydałaby się zapewne zarówno piekłem, jak i końcem świata.

– To dla mnie zaszczyt. – Inkwizytor grzecznie skinął głową.

Nie wyczuwał w tej kobiecie siły magicznej podobnej do tej, którą świetnie rozpoznawał u Katriny czy nawet Katarzyny, ale też nie chciał mocniej naciskać, gdyż w Inkwizytorium podobne zachowania uważano zazwyczaj za niegrzeczny objaw nadmiernej ciekawości.

– Wiele o tobie słyszałam, Arnoldzie – odpowiedziała. – I cieszę się, że Bóg pozwolił, byśmy skrzyżowali nasze drogi.

Mówiła delikatną, śpiewną łaciną, która brzmiała w jej ustach miękko i zniewalająco. Ale też sam jej głos był niczym najsłodsza muzyka, niczym melodia nucona przez anielskich serafinów. Na Löwefellu ten głos zrobił wielkie wrażenie, więc wyobrażał sobie, co musiał czuć człowiek, którego nie szkolono w opieraniu się urokom. A więc w tym tkwi twoja magia, pomyślał, wiedząc jednocześnie, że z całą pewnością kobieta dysponuje również innymi walorami oprócz olśniewającej urody i zniewalającego głosu, skoro zaproszono ją na tak hermetyczną naradę.

– Arnold skamieniał – roześmiał się Marius i uniósł palec. – Nie jesteś zazdrosna, Katrino?

Usłyszeli głuchy, daleki pomruk burzy, a Löwefell zerknął w stronę okna. Za szybami widać było sino-ołowiane niebo, nabrzmiałe od chmur o ciężkich, czarnych podbrzuszach.

– Przyzwyczaiłaś się już do naszego mrocznego Cesarstwa? – zapytał Löwefell na wpół żartobliwie i na wpół metaforycznie.

– Od wielu lat podróżuję pomiędzy Europą i Afryką – odpowiedziała Nontle. – I sama już nie wiem, do którego kraju należę bardziej. Więc jestem już przyzwyczajona do burz, deszczy i smutnego nieba. Chociaż nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Nie ma żadnego znaczenia, skąd pochodzimy, gdzie żyjemy i gdzie się wychowaliśmy. – Van Bohenwald wzruszył potężnymi ramionami. – Znaczenie ma jedynie, czy nasze serca rozgrzewa płomień prawdziwej wiary. Czyż nie tak właśnie jest, mój perski przyjacielu? – Zwrócił ciężkie spojrzenie w stronę Löwefella.

– Wiara w Chrystusa nie zna granic – wtrącił z namaszczeniem Biber.

– Przejdźmy do rzeczy – odezwała się chłodnym tonem Katrina.

– Ano przejdźmy – zgodził się z nią Marius. – Wszyscy tutaj zapoznaliśmy się dokładnie z twoim raportem z Koblencji, Arnoldzie. I wszyscy zgodnie wyrażamy nasze zaniepokojenie oraz rozczarowanie faktem, iż bezpośrednio po powrocie z twojej podróży do Studni Dusz zataiłeś przed Świętym Officjum najważniejszą obserwację płynącą z tej wizyty. Inkwizytorium postanowiło jednak odstąpić od ukarania cię. – Wzruszył ramionami. – Z powodów, które ja sam uważam za bezsensowne… – prychnął. – Gdyby to ode mnie zależało, to…

– Ale ponieważ to od ciebie nie zależy, więc wracajmy do sprawy, dla której żeśmy się tutaj zebrali – przerwała mu Katrina.

Van Bohenwald nie raczył nawet odwrócić głowy w jej stronę.

– …gdyby to ode mnie zależało, poniósłbyś bolesne konsekwencje braku rozwagi…

– Mariusie – przerwał mu Löwefell.

– Tak?

– Naprawdę przejdź do rzeczy, z łaski swojej, gdyż tak jak powiedziała Katrina, nikogo tu chyba nie obchodzi, co masz do

powiedzenia na temat bolesnych konsekwencji. Zwłaszcza że mój los i tak nie od ciebie zależy…

Van Bohenwald chciał mu przerwać i już nabierał tchu, kiedy Löwefell władczym gestem uniósł dłoń, nakazując, by mu nie przeszkadzano.

– Podjąłem decyzję, którą uważałem za słuszną, i nadal sądzę, że była ona słuszna – rzekł stanowczo. – Jeżeli ty uważasz inaczej, mogę nad tym ubolewać, ba, jestem nawet gotów wysłuchać twojej opinii… I oczywiście jestem gotów uczestniczyć w rozwiązaniu problemu. A dodam, że jedynym na razie twoim wkładem w rozwiązanie tegoż problemu było zabicie mnie.

Katrina roześmiała się na głos, a van Bohenwald po chwili jej zawtórował. Zaklaskał nawet dwoma palcami wskazującymi.

– Dobrze powiedziane, Arnoldzie, dobrze powiedziane… A więc, moi kochani… – Rozejrzał się wokół. – Przystąpmy do rzeczy bez zbędnych złośliwości, bez ironii i szyderstw, zwłaszcza że jest to tak uprzejmie wyartykułowane życzenie naszego perskiego kolegi. Barnabo? – Obrócił twarz w stronę siwego inkwizytora.

– Nie istnieje możliwość zakłamania obrazu w Studni Dusz – stwierdził Biber bardzo stanowczo. – Żadna możliwość. Nie tylko opisana, lecz nawet hipotetyczna. Studnia Dusz nie mogła ukazać mistrzowi Löwefellowi fałszywego wizerunku. Jeśli widział Katrinę, to wtedy w Koblencji przy trupie wiedźmy musiała naprawdę pojawić się właśnie ona.

– Tyle że to nie byłam ja – odparła Katrina obojętnym tonem. – I z tego wynika nasz problem. Ja wierzę Arnoldowi – mocno zaakcentowała słowo „ja”. – Ale oczywiście wierzę również sobie. Pytanie brzmi: w jaki sposób mamy połączyć i pogodzić obie te wiary?

– Gdybyś to była ty, Katrino, mielibyśmy naprawdę kłopot, lecz zdecydowanie mniej tajemniczy – westchnął van Bohenwald. – Choć niewątpliwie dużo bardziej smutny, gdyż świadczący, że nas zdradziłaś. A przecież nas nie zdradziłaś, prawda? – Obrócił

wzrok ku kobiecie.

Katrina odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem.

– Sądzę, że ten, kto sprokurował ową intrygę, bardzo by się cieszył, słysząc, że zadajesz podobne pytania.

– Też nie sądzę, żebyś nauczona niegdyś smutnym doświadczeniem, znowu zawiodła zaufanie Inkwizytorium – mruknął Marius jakby do siebie, ale tak, że oczywiście wszyscy słyszeli jego słowa. Katrina jednak nie dała po sobie poznać, że w jakikolwiek sposób ją obeszły lub dotknęły. – Szkoda, że mistrz Biber twierdzi, a chyba wszyscy ufamy jego wiedzy, iż obraz pojawiający się w Studni Dusz nie może zostać zafałszowany – dodał van Bohenwald.

– Wiedza ewoluuje – wtrącił Löwefell. – To, co kiedyś było niemożliwe, dziś już jest możliwe. Któż sto lat temu pomyślałby, że ludzie strzelać będą do siebie na wielką odległość żelaznymi pociskami wyrzucanymi z żelaznej rury za pomocą siły wybuchu czarnego prochu?

– Pełna zgoda – rzekł Biber. – Mówiłem o dotychczasowej wiedzy dostępnej w Świętym Officjum. Ale chętnie przyznam rację Arnoldowi, że w każdej dziedzinie zarówno magii, jak i nauki nasza wiedza nieustannie się powiększa. Być może w nieprzyjemny sposób trafiliśmy na wykluczane do tej pory zjawisko, które nie zostało na razie ani zbadane, ani opisane.

– Coś takiego. – Van Bohenwald zatarł ręce. – A więc mówicie, że ktoś pojawił się przy trupie Roksany i zabrał truchło wraz z przesycającą je energią życiową. W dodatku ten ktoś bardzo dowcipnie postanowił przybrać postać naszej miłej Katriny, i to przybrać tę postać w sposób tak skończenie i doskonale precyzyjny, że potrafił omamić nawet odbicie w Studni Dusz… – przerwał na moment i potoczył wzrokiem wokoło. – Czy dobrze podsumowałem wasze wnioski? – spytał ironicznym tonem.

– Tak właśnie mogło być – rzekł Löwefell.

– Mogło być tak, mogło być również zupełnie inaczej – zauważył van Bohenwald.

– Co masz dokładnie na myśli?

– Mam na myśli, że dostrzegam wiele możliwości, które wy odrzucacie z uwagi na ich kłopotliwość lub co najmniej życzylibyście sobie ich nie zauważać. Pierwsza możliwość. – Van Bohenwald odchylił kciuk. – Arnold kłamie, gdyż nic nie widział w Studni Dusz, a powody, dla których pragnie omamić Inkwizytorium, są jeszcze do wyjaśnienia…

Löwefell nie dał żadnym gestem czy wyrazem twarzy poznać, że słowa Mariusa tak naprawdę są oskarżeniem o zdradę.

– Druga możliwość. – Grubas uniósł palec wskazujący. – Arnold kłamie, gdyż widział w studni kogoś zupełnie innego, lecz zdecydował się zrzucić na Katrinę odpowiedzialność za kradzież trupa wiedźmy. Lub przynajmniej zaniepokoić nas podejrzeniem tejże odpowiedzialności. Pytanie: kogo widział naprawdę i dlaczego, niezgodnie z ową dostrzeżoną przez siebie prawdą, wskazuje na Katrinę?

Katrina uśmiechnęła się.

– Trzecia możliwość. – Marius wyciągnął środkowy palec. – Arnold mówi prawdę i rzeczywiście widział Katrinę. Co oznacza, że nasza przyjaciółka przedsięwzięła zdumiewające kroki bez naszej wiedzy i zgody. Czy oznaczają one zdradę, to sprawa do wyjaśnienia…

Katrina znowu uniosła lekko kąciki ust i przyglądała się Mariusowi z grzecznym i życzliwym uśmiechem.

– Czwarta możliwość. – Van Bohenwald odchylił palec serdeczny. – W Koblencji przy trupie wiedźmy pojawiła się naprawdę Katrina, jednak ktoś nieznany nam i w nieznanym nam celu wymazał z jej umysłu pamięć o tym wydarzeniu.

Katrina pokręciła głową, tym razem jej uśmiech był pełen politowania.

– Wiem, wiem, Katrino, że uważasz się za kogoś lepszego od nas wszystkich – powiedział z wyraźnym niesmakiem w głosie van Bohenwald, którego spostrzegawczości nie umknął ten

lekceważący grymas. – Ale zaręczam ci, że nie jesteś ani nieomylna, ani niezwyciężona…

– Sugerujesz, że ktoś mógłby wykorzystać mnie jako kukiełkę, którą można dowolnie kierować, a potem odłożyć na bok? Chętnie o tym z tobą podyskutuję, pod warunkiem, że powiesz mi, któż taki mógłby dysponować podobną mocą…

Löwefell nie wiedział, jaka jest rzeczywista, prawdziwa i ostateczna moc Katriny, ale wystarczyło mu tego, co widział, by dojść do wniosku, że ktoś umiejący Katrinę bez trudu sobie podporządkować czy pokonać stanowiłby zagrożenie dla całego Inkwizytorium.

– Została nam jeszcze piąta możliwość. – Marius wyciągnął mały palec. – A o tej możliwości opowie nam nasza droga Nontle. – Odwrócił się w stronę mauretańskiej piękności. – Bądź tak łaskawa, księżniczko.

Löwefell zrozumiał, że słowo „księżniczka” nie jest w tym wypadku przenośnią, wyrazem uznania lub sympatii. Taki rzeczywiście tytuł nosiła czarnoskóra kobieta. Co on jednak oznaczał naprawdę? Czy jej ojciec był wodzem wioski i miał największe stado kur w okolicy, czy też władał setką osad i tysięczną armią wyćwiczonych żołnierzy? Mogło być zarówno tak, jak i tak. A z punktu widzenia Świętego Officjum nie było to szczególnie istotne.

– Dziękuję, Mariusie. – Słowa Nontle zabrzmiały z tak cudowną melodyjnością, iż dla Löwefella tym przykrzejsza stała się pamięć o głosie van Bohenwalda. – Jak zapewne wszyscy lub prawie wszyscy wiecie – przy tych słowach spojrzała na Löwefella z promiennym uśmiechem – w życiu, które poświęciłam naszej wspólnej i wielkiej Sprawie, zajmowałam się studiowaniem opowieści o wszelakich nadnaturalnych istotach. Czasami je znajdowałam i opisywałam lub chwytałam, czasami stwierdzałam, że są zaledwie wymysłem ludzkiej imaginacji, a czasami dochodziłam do wniosku, że podania o nich są prawdziwe, lecz istoty te już wyginęły z takich czy innych powodów. Przed niektórymi problemami oczywiście stawałam

bezradna i nie potrafiłam jednoznacznie stwierdzić, czy opisywany potwór jest wymysłem, wymarł, czy też po prostu ja nie potrafię go odnaleźć… Przez wszystkie lata mojej służby dla Świętego Officjum przewędrowałam większą część Afryki, zwiedziłam Bizancjum, a nawet trafiłam do Persji. – Nontle spojrzała raz jeszcze na Löwefella. – Gdzie przez pewien czas byłam gościem w pałacu wielkiego arcymaga Narsesa.

– Coś takiego! – odezwał się Löwefell. To jednak nie słowa o gościnie Nontle u Narsesa wywarły na nim takie wrażenie, lecz fakt, iż zdał sobie sprawę, kim jest mauretańska księżniczka. – Ty jesteś Hildegarda Reizend, autorka „Traktatu o anomaliach”!

Nontle się roześmiała.

– Słusznie odgadłeś. To moje chrześcijańskie imię, którego zresztą serdecznie nie znoszę. Ale w taki właśnie sposób kazano mi podpisać tę księgę. – Spojrzała w stronę Mariusa, by stało się jasne i wiadome, czyj to był pomysł.

– Czytałem ją kilka razy – rzekł Löwefell głosem, w którym ku własnemu zdziwieniu sam rozpoznał coś na kształt entuzjazmu. – Jest mądra, interesująca i błyskotliwa. Jakżeż fantastycznych dokonywałaś doświadczeń! Jakżeż fascynujące odbyłaś podróże!

– Dziękuję, Arnoldzie! – W głosie Nontle zabrzmiała życzliwość, z jaką każdy niemal twórca przyjmuje słowa szczerej pochwały. – Czy wiesz, że Narses również był pod ogromnym wrażeniem moich dzieł? Dał mi nawet glejty i świtę zbrojnych, żebym mogła bezpiecznie podróżować po Persji.

Löwefell poczuł ukłucie rozczarowania, może nawet żalu na wieść o tym, że Narsesowi również podobały się księgi tej wielkiej uczonej. Inkwizytor nie lubił, kiedy odnajdywano jakiekolwiek związki łączące go z perskim magiem. Bo przecież pomimo że życie tego właśnie maga było jego własną przeszłością, to wolał mówić o nim w trzeciej osobie, jakby był to umarły i daleki człowiek. Zresztą naprawdę właśnie tak było. Narses i jego życie jawili się zaledwie jako mroczne cienie przeszłości. Cienie, do których należało sięgać i które należało badać, ale z którymi Löwefell nie miał najmniejszego zamiaru się utożsamiać. Słowa

Nontle rozbudziły w nim jednak również ciekawość. Oto siedziała przed nim kobieta, która kilkanaście lat wcześniej tak samo siedziała przed Narsesem. Która rozmawiała z nim, widziała jego pałac, poznała uczniów i sługi… Może była w jego pracowni? Może widziała księgi lub doświadczenia? Czy poznała Roksanę? A czy widziała komnatę pełną kryształowych lampionów, w których zamiast płomieni zamknięto ifryty, potężne duchy ognia, by dla kaprysu Narsesa oświetlały pałac? Czy Nontle to wszystko oglądała własnymi oczami? Czy poznała tajemnice perskiego maga? Czy mogłaby ujawnić sekrety przybliżające Löwefella do odnalezienia nawet nie prawdy, ale tej końcówki niteczki, która pomoże mu wyjść z labiryntu niepamięci?

– Chciałbym porozmawiać z tobą o Persji – powiedział na głos.

– Nie – odparł Marius, zanim Nontle zdążyła otworzyć usta. – Z powodów, które wcześniej ci wyjawiłem, chcemy, żebyś sam układał mozaikę historii własnego życia. Nie życzę sobie, Arnoldzie, by wspomnienia czy wizje innych ludzi zakłócały twoje widzenie przeszłości.

– Rozumiem – rzekł Löwefell i w głębi serca nie mógł się powstrzymać od uczucia rozczarowania, choć na zewnątrz nie dał niczego po sobie poznać.

Zresztą być może spodziewał się zbyt wiele po wizycie afrykańskiej księżniczki u Narsesa. Perski mag był arystokratą cieszącym się wpływami politycznymi, a więc co zrozumiałe, na jego dworze gościli liczni przybysze. Jego siedziba nie była mroczną samotnią, w której opętany czarnoksiężnik oddawał się szalonym eksperymentom. To było miejsce pełne ludzi: służących, uczniów, ale i gości ze wszystkich zakątków Persji i z wielu stron świata. Löwefellowi przypomniała się w tym momencie Roksana… O tak, Roksana uwielbiała pełnić rolę pani domu i pierwszej po Bogu. Występowała z iście królewskim przepychem i dostojeństwem, które dodatkowo opromieniały jej niezwykłą urodę. Czy Nontle poznała Roksanę? Czy zapałały do siebie tą odwieczną nienawiścią, jaką jedna uczona i piękna kobieta jest gotowa natychmiast obdarować drugą uczoną

i piękną kobietę, która wtargnęła na jej terytorium?

– W pełni podzielam jednak twój zachwyt dla dzieł Hildegardy Reizend. – Van Bohenwald skrzywił grube wargi w czymś na kształt uśmiechu. – I przepowiadam, że wiele minie czasu, zanim ktokolwiek wzbije się na tak niebotyczny poziom wiedzy jak nasza księżniczka.

– Czuję się zakłopotana i onieśmielona waszymi pochwałami. – Nontle rozłożyła ręce.

– Niesłusznie – gwałtownie zaprotestował Barnaba Biber. – Z całego serca przyłączam się do owych pochwał. Pochwał, w których nie ma ani ziarenka nieszczerego komplementowania, a jedynie wielkie uznanie dla twoich nieocenionych zasług. Podobnie jak Arnold wiele razy czytałem „Traktat o anomaliach". I wcześniejsze prace również – dodał.

Gdyby chodziło o kogoś innego, można by uznać, że oto trzech mężczyzn prześciga się w schlebianiu oszałamiająco urodziwej kobiecie. Ale to byli funkcjonariusze Wewnętrznego Kręgu Świętego Officjum. To byli ludzie, których mauretańska księżniczka nie potrafiłaby oczarować ani urodą, ani magicznym głosem. Chwalili ją, gdyż byli pełni podziwu dla jej zdolności, pracowitości oraz zasług. Ale gdyby było trzeba, gdyby tak kazała Sprawa, każdy z nich bez wahania by ją skrzywdził lub zabił. Nawet gdyby wysilając cały swój kunszt magiczny, słodkimi słowami błagała o darowanie życia. Zresztą Nontle doskonale o tym wiedziała, bo w końcu i ona od dawna należała do grona najznakomitszych członków Wewnętrznego Kręgu. A właśnie, od dawna. Cóż znaczyło w jej przypadku: od dawna? Löwefell nie spojrzał nawet na Mauretankę, lecz odtworzył z pamięci obraz jej nieskazitelnie gładkiej twarzy. Wyglądała na niewiele ponad dwadzieścia lat, lecz zważywszy na jej doświadczenia, zważywszy też, że poznała Narsesa, kiedy była już powszechnie znaną uczoną i badaczką, to musiała mieć tych lat co najmniej dwa razy więcej. Co najmniej. I to licząc bardzo, bardzo ostrożnie. Katrina, Nontle, Katarzyna, Roksana, nawet Matylda – wszystkie te kobiety, zajmujące się w ten czy inny sposób sztuką magiczną,

dbały, by ich powierzchowność nie wskazywała na właściwy wiek. Czy tak objawiała się zaledwie próżność, jaka pozostała z czasów, kiedy mogły być uważane za zwyczajnych ludzi, czy też był to rodzaj zasłony dymnej, mający omamić i konfundować ewentualnego przeciwnika?

– A z jakiegoż powodu będziemy dyskutować o mitycznych potworach? – spytała Katrina. – Ja też bardzo szanuję twoją pracę – zwróciła się w stronę Nontle. – Jednak jestem ciekawa, w jaki sposób może się ona wiązać z naszymi obecnymi problemami.

– Wiem, że to nie ty, Katrino, byłaś w Koblencji – wyjaśniła Nontle. – Wiem, że to nie ty wykradłaś zwłoki perskiej wiedźmy, żeby odzyskać z nich jej esencję.

– Jakie to miłe, że wśród ludzi mówiących, że mi wierzą, jest ktoś twierdzący, że nie musi pokładać ufności w samej wierze, ponieważ posiada również wiedzę – odparła Katrina z żartobliwym zadowoleniem, mocno akcentując ostatnie słowo.

Löwefell wiedział, że pomimo lekkiego tonu poprzednio była przejęta, a teraz po słowach Nontle poczuła ulgę. Czemu tak się stało? Skoro była niewinna, czego się obawiała? Że zostanie oskarżona niesłusznie? Ale któż ośmieliłby się sądzić i ukarać tak potężną członkinię Wewnętrznego Kręgu bez niezbitych dowodów na jej zdradę? Löwefell przypomniał sobie z podziwem i satysfakcją niezwykłą podróż, jaką odbył z Katriną do nie-świata. Podróż, w czasie której nie tylko zobaczył rzeczy trudne do uwierzenia, ale również takie, o jakich nawet by nie pomyślał, że są możliwe do wykonania. Katrina była potężna i… dobra, dokończył Löwefell w myślach. Jeżeli w ogóle słowa „dobro” i „zło” znaczą cokolwiek, bo może lepiej zamienić je słowami „wierność” i „fałsz”. Katrina była lojalna i Löwefell dałby sobie odciąć dłoń, że nie zdradziła Sprawy. Cóż… albo potrafiła w sposób doskonały kłamać i wtedy Löwefell w wyniku podobnego zakładu zostałby bez dłoni.

– Z Persji podróżowałam do Indii, byłam gościem Radźputów, a potem ludu Gurkhów, zamieszkującego najwyższe góry świata. Widziałam pole bitwy nad Hydaspesem, gdzie przed wiekami

Aleksander walczył z maharadżą Porusem…

Nontle wpatrzyła się gdzieś przed siebie i Löwefell był pewien, że nie widzi teraz klasztornych ścian, ale wiecznie ośnieżone szczyty Dachu Świata lub toczącą mętne wody rzekę, która widziała pogrom indyjskich wojsk zadany rękami macedońskich żołnierzy.

– Podróżowałam, oczywiście, żeby wzbogacić i uzupełnić swoją wiedzę – kontynuowała Mauretanka. – Ale też w jeszcze jednym, mniej oczywistym i sekretnym celu. Celu, który wyjawiłam tylko kilku osobom na świecie. – Zerknęła w stronę van Bohenwalda i z całą pewnością nie było to zerknięcie przypadkowe.

– Uwielbiam tajemnice – zatarł ręce Biber. – Zwłaszcza takie, które znajdują wyjaśnienie i rozwiązanie…

– Jeśli chodzi o tajemnicę, której tropem szłam, to w pewnym stopniu została ona rzeczywiście wyjaśniona – uśmiechnęła się Nontle. – A więc mam nadzieję, że pod koniec opowieści zostaniesz usatysfakcjonowany.

Biber pokiwał głową z zadowoleniem.

– Czy pamiętacie nazwisko Herenniusza Furiusa? – spytała Nontle.

– Marek Kwintyliusz pisał o nim w pamiętnikach – odparł natychmiast Biber.

Marek Kwintyliusz, najbliższy sługa, a może nawet przyjaciel i powiernik Chrystusa, był postacią bliską sercu każdego inkwizytora. To on położył podwaliny pod Święte Officjum, to on stworzył Inkwizytorium, mające działać jak ostrze Chrystusowego miecza. To on oznajmił, że wrogowie wiary nie schowają się przed jej obrońcami ani pod ziemią, ani w powietrzu, ani pod wodą. Stąd właśnie kret, ptak i ryba stały się symbolami Świętego Officjum.

– Herenniusz Furius był jednocześnie cesarskim szpiegiem, informatorem Sanhedrynu i utrzymywał tajne kontakty z zelotami – mówiła dalej Nontle. – Nie dałabym głowy, czy

w pewnym momencie sam pamiętał, komu właściwie służy i wobec kogo jest tak naprawdę lojalny.

– Przypadłość, która zbyt często zdarza się i w dzisiejszych czasach – zauważył van Bohenwald.

– Herenniusz zniknął zaraz po Zstąpieniu Chrystusa – ciągnęła Nontle. – W nieocenzurowanej wersji pamiętników Marek Kwintyliusz wspomina niejasno o rzezi, której skutków był świadkiem, i o tym, że zawiódł go bliski mu człowiek. Pisze również, iż wysłał za nim zbrojnych w pościg. Marek Kwintyliusz opisywał sprawę ostrożnie i niedosłownie, lecz wiemy, że z całą pewnością chodziło mu o Herenniusza. Potem jednak postać Herenniusza znika z pamiętników naszego patrona i nie ma już o nim ani jednej wzmianki.

– Jak to nieocenzurowana wersja? – zainteresował się Biber. – Nie sądziłem, że egzemplarz będący w bibliotece klasztoru jest cenzurowany!

– Jedynie w niewielkim stopniu – wyjaśnił van Bohenwald.

– Dlaczego rozmawiamy o Rzymianinie sprzed półtora tysiąca lat? – zapytała Katrina.

Löwefell również był ciekaw odpowiedzi na to pytanie.

– Herenniusz uciekał przed zemstą i sprawiedliwością, a także gnany własnym przerażeniem i niezrozumieniem sytuacji, w jakiej się znalazł – stwierdziła księżniczka, nie odpowiadając na pytanie. – Z niejasnych źródeł wywnioskowałam, że przedarł się do Dacji, potem nad Ocean Hyrkański, był na Kaukazie, skąd powędrował przez bezkresne stepy aż do Chin, nazywanych wtedy Serica i całkowicie Rzymianom nieznanych. Był chyba pierwszym Rzymianinem, który widział Cesarstwo Han. No a potem Herenniusz wędrował przez Indie, gdzie odnalazłam ślady jego bytności.

– Podróż prawdziwie niezwykła nawet w dzisiejszych czasach, a co dopiero przed wiekami – zauważył zdumiony Biber.

– Peregrynacje, o których mówię, zajęły Herenniuszowi

w sumie ponad sto lat – wyjaśniła Nontle pogodnym tonem.

– Dziarski staruszek, czyż nie? – prychnął Marius i zatarł ręce. – Problem w tym, moi drodzy towarzysze oraz przyjaciele, iż mamy graniczące z przekonaniem podejrzenie, że Herenniusz Furius żyje i dobrze się miewa do dnia dzisiejszego.

Przez chwilę panowało milczenie.

– I ma półtora tysiąca lat – rzekł wreszcie Löwefell.

– I ma półtora tysiąca lat – potwierdził van Bohenwald bez mrugnięcia okiem. – Co nawiasem mówiąc, jest diablo długim okresem, żeby wszystkiego mieć dosyć…

– Lub żeby zwariować – dodała Nontle.

– Gdzie ów Herenniusz odnalazł swój eliksir młodości? – spytała Katrina.

– Ciekawe, prawda? – Ramiona Mariusa zatrzęsły się ze śmiechu. – Czyżby znalazł sobie własnego Anioła? Mleczną krówkę, jak nazywa to Katarzyna…

– Nie widzę w tym nic zabawnego – rzekła lodowatym tonem Katrina. – A Katarzyna doigra się kłopotów przez swoją bezczelność…

Z tego, co zauważył Löwefell, Katarzyny, matki inkwizytora Mordimera Madderdina, nie lubił w klasztorze nikt. A przynajmniej nikt, z kim Löwefell na ten temat rozmawiał. No cóż, musiała być jednak najwyraźniej potrzebna Świętemu Officjum, skoro ofiarowano jej opiekę, wysoką pozycję i wpływy. Jak widać, jednak nie na tyle duże, by uczestniczyła w obecnej naradzie. A może po prostu jej przywileje były innego rodzaju? Löwefell nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni, jak sądził, zadawał sobie pytanie, jakie znaczenie dla Inkwizytorium ma życie Katarzyny, potężnej i pozbawionej skrupułów wiedźmy, którą przeciągnięto na stronę wyznawców Chrystusa. Oczywiście istotny był fakt, że w ciele i umyśle jej syna zaklęto Szachor Sefer, ale czego w takim razie spodziewano się po niej samej? W jakim celu miała zostać użyta? Bo przecież wszyscy mamy swoją rolę do

odegrania, pomyślał Löwefell. Ja, Marius, Katrina, Matylda, Nontle i wielu, wielu innych. Wszyscy jesteśmy jedynie trybikami wielkiej maszyny dzieła Chrystusowego. Tylko że czasem nie wiemy, kiedy, przez kogo i w jakim celu zostaniemy wprawieni w ruch. Oraz co stanie się z naszymi ciałami i duszami, kiedy wykonamy wyznaczone nam zadanie…

– Oczywiście o pomocy Aniołów w przypadku długowieczności Herenniusza nie ma mowy. Żartowałem, przedstawiając taką hipotezę – przyznał Marius, tak jakby i tak wszyscy o tym nie wiedzieli.

– Coś się wydarzyło – rzekła Nontle. – W czasie Zstąpienia Jezusa miały miejsce niezwykłe i tajemnicze wypadki, które rzymskiego obywatela, szpiega i awanturnika zamieniły w nieśmiertelną lub przynajmniej niesłychanie długowieczną istotę. Bardzo niebezpieczną istotę – dodała.

– O jakiego rodzaju istocie mówisz? – zmarszczył brwi Biber.

– Niechętnie używam tego słowa – odparła Nontle. – Gdyż w ludowych bajaniach obrosło zbyt dużą i prawie całkowicie nieprawdziwą legendą, ale mówię o… wampirze. O starej, potężnej istocie, nieśmiertelnej i żywiącej się ludzkimi siłami witalnymi.

– Wampir – powtórzył Biber, nie dając poznać po tonie głosu, czy informacja go zdziwiła i czy zgadza się lub też nie z podobnym postawieniem sprawy.

– Oficjalnie wampiry nie istnieją – stwierdził Marius. – Wie o tym doskonale każdy inkwizytor, którego przygotowujemy do walki z demonami i innymi ponadnaturalnymi tworami. Ale Święte Officjum zauważyło kilkakrotnie aktywność pewnego rodzaju istot, które możemy nazwać wampirami z uwagi na sycenie się krwią i siłami życiowymi. Oczywiście większość tez, które odnajdujemy w ludowych podaniach i opowieściach, jest zupełnie fałszywa…

– Nie boją się światła dnia, nie brzydzą ani nie lękają czosnku… – weszła mu w słowo Nontle. – A przede wszystkim nie są martwi,

nie potrzebują ziemi z grobu, żeby spać. Zresztą tak naprawdę w ogóle nie śpią…

– Co gorsza, nie obawiają się znaku krzyża i mogą odwiedzać święte miejsca – dodał Marius. – Ale w baśniach obdarzono ich również zdolnościami, których w rzeczywistości wcale nie mają. Nie potrafią zmieniać kształtów, niezależnie, czy miałaby to być postać wilka, czy nietoperza. I co najważniejsze: wprawdzie mogą ludzi zabijać lub otumaniać i podporządkowywać swojej woli, nie są natomiast w stanie przemienić ich w podobne do siebie kreatury.

– Czyli skoro wampiryzm nie jest zaraźliwy – rzekł z namysłem Biber – może to oznaczać, że populacja tych istot znajduje się na wyginięciu.

– Tak właśnie jest. Wszystkie wampiry powstały jednego i tego samego dnia: w czasie Zstąpienia naszego Pana. Nigdy wcześniej i nigdy później.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Ilu ich było? – zapytał wreszcie Löwefell. – Ilu ocalało?

– Wiemy o pięciu – odparła Nontle. – Pierwszy i ten, który nas interesuje, to Herenniusz Furius. Był Rzymianinem i ekwitą. Dwie następne osoby to Żydzi. Niewiele znaczący kupiec i dziewczyna z bogatej rodziny uczonego saduceusza. Zarówno kupiec, jak i dziewczyna zginęli kilka lat temu. Oboje byli kompletnie szaleni, chociaż każde z nich w inny sposób.

– Dlaczego ich zabito? – zdumiał się Biber. – Dlaczego nie przewieziono ich do klasztoru na badania?

– Nie wiedzieliśmy o nich. Wampir zabił dziewczynę, a zaraz potem zginął z ręki jej opiekuna. Wiecie, kto był tym opiekunem?

Van Bohenwald roześmiał się i Löwefell był pewien, że kto jak kto, ale grubas na pewno wie, jak brzmi odpowiedź.

– Powinniśmy wiedzieć? – zapytał Biber.

– Tą osobą był inkwizytor Mordimer Madderdin, syn tak hołubionej w Amszilas Pięknej Katarzyny. – Nontle w szczególny

sposób zaakcentowała słowo „Pięknej” i Löwefell bez trudu zrozumiał, że Mauretanka również nie lubi matki Madderdina. – I nosiciel naszej tajemniczej świętej lub, jak chcą inni, przeklętej Księgi.

– Mordimer Madderdin zniszczył wampira? Istotę mającą półtora tysiąca lat i wyspecjalizowaną w zabijaniu? – Löwefell pokręcił głową. – Podoba mi się ten chłopak…

– To już nie chłopak – prychnął Marius. – Choć widząc urodę i młodość jego matki, trudno przyjąć, że teraz ten inkwizytor wygląda na więcej lat niż ona sama.

– Cóż, w każdym razie zniszczył wampira… czy też kogoś, kogo nazywacie wampirem. Oszołomił go srebrem, następnie stalową szablą ściął mu głowę i rzucił ją w płomienie – wyjaśniła Nontle. – Miał dużo szczęścia. Naprawdę dużo. Poza tym ów potwór, noszący w Cesarstwie miano barona Haustoffera, uchodzący w okolicy za możnego arystokratę, miał pomieszane zmysły. To z całą pewnością osłabiło jego czujność i umożliwiło inkwizytorowi wykonanie zadania.

– A z jakich powodów wampir zabił wcześniej wampirzycę?

– Bo był szalony – wzruszyła ramionami Nontle. – Bo twierdził, że chce pozostać jeden jedyny w swoim gatunku…

Biber tylko machnął ręką.

– Kim była dziewczyna?

– Przemiana pozbawiła ją zmysłów. Całymi wiekami błąkała się po Europie niczym dzikie zwierzę. Silny, wytrzymały drapieżnik. Całkowicie nieinteresujący z punktu widzenia Inkwizytorium.

– Oni naprawdę znaleźli się na Golgocie w czasie Ukrzyżowania i Zstąpienia? – zapytał Löwefell, który już wypowiadając te słowa, odczuł wręcz bolesny i dojmujący żal, iż sam nie mógł być świadkiem najważniejszego wydarzenia w historii świata.

Nontle zawahała się przez moment.

– Sama wielokrotnie zadawałam sobie to pytanie. Zastanawiałam się, czy ich pamięć jest rzeczywista, czy nie została przypadkiem wykreowana za pomocą magii, czy nie zostali zmanipulowani. Ale w jakim celu ktoś miałby wpływać na wspomnienia dziewczyny, która przez całe swoje życie wegetowała, ukrywając się na pustkowiach i w głębokich lasach? Ów Haustoffer również nie odgrywał żadnej ważnej roli. Nie interesował się magią, nie narażał się władzom Kościoła, pod koniec życia zaczął w dość nieroztropny sposób zabijać własnych poddanych, ale w waszym Cesarstwie to przecież nie nowina… – dokończyła, nie siląc się nawet na złośliwość w głosie.

– Skąd znasz tak dokładne szczegóły? – zagadnęła Katrina.

– Ten odważny, choć głupi inkwizytor został dokładnie przesłuchany. Doskonale zdawał sobie sprawę, z kim się mierzy, a jednak nie zgłosił się po pomoc do Officjum…

– I tak by mu nie uwierzono – wzruszył ramionami Löwefell.

– Niemniej ponieśliśmy z jego winy niepowetowaną stratę – stwierdziła Nontle głosem, który wcale już nie był miły i melodyjny.

Löwefellowi nie spodobał się jej ton.

– Zwykły inkwizytor wpadł na trop legendarnych istot, których nie mogła przez wiele lat odnaleźć wyszkolona funkcjonariuszka Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium… Nie do końca jestem pewien, czy zasługuje to na naganę… – rzekł.

Mauretanka spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

– Drogi Arnoldzie, jeśli chcesz zarzucić mi, że zawiodłam, to chętnie się z tobą zgodzę – powiedziała znowu nadzwyczaj ujmującym tonem. – I wierz mi, że nikt tego nie żałuje bardziej niż ja sama.

– Wybacz – poprosił Löwefell. – Nie chciałem, żeby moje słowa zabrzmiały nieuprzejmie.

– Kim byli dwaj następni ludzie, którzy zaznali przemiany na Golgocie? – spytała Katrina.

– Moje informacje mówią o zwykłym żołnierzu imieniem Glaukos, Greku w rzymskiej służbie, oraz o poganiaczu mułów zwanym Abdon. Obu uznano za obłąkanych i obu zapewne zabito, kiedy w morderczym szale wywołanym przemianą próbowali skrzywdzić towarzyszy. Przekazy nie są w tej kwestii jasne. Bo przecież tego dnia w Jerozolimie działo się wiele rzeczy bardziej wstrząsających niż obłęd dwóch prostaków. – Nontle uśmiechnęła się lekko.

– A więc było ich tylko pięcioro? Pięcioro ludzi, którzy w czasie Zstąpienia Jezusa Chrystusa zamienili się w potwory. Czy na pewno tylko pięcioro? I co spowodowało tak niezwykłą transformację?

© Fabryka Słów

– Arnoldzie, niestety, nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Doszłam do pięciorga ludzi, ale może był ktoś jeszcze, o kim nie pozostawiono żadnych przekazów. Jednak szczerze wątpię, by taki ktoś przetrwał, a jeśli nawet, to raczej w stanie nie lepszym niż ta biedna dziewczyna z saducejskiego rodu… A przyczyny? – Westchnęła z nieskrywanym żalem. – Mamy zaledwie przypuszczenia i hipotezy.

– Wielkie trzęsienie nie-świata – podpowiedziała Katrina.

Nontle skinęła głową.

– Decyzja Jezusa, żeby ukarać prześladowców i objąć władzę nad światem, decyzja Boga, który objawia swą boskość w pełnej mocy, który pokazuje, że stanięcie po jego stronie nie jest już kwestią samej wiary i zaufania, lecz wiedzy, wywołała w nie-świecie coś w rodzaju… gigantycznej katastrofy. Istnieją podejrzenia, że ta właśnie katastrofa zdeformowała umysły niektórych, przypadkowych czy też wybranych wedle nieznanych nam prawideł ludzi na Golgocie. Oczywiście poza wieloma innymi konsekwencjami natury zarówno mistycznej, jak i fizycznej, które spowodowała, ale które jednak w tej chwili nas nie interesują.

– Niektórzy sądzą, że pękła wtedy cała osnowa świata, że…

Van Bohenwald uniósł dłoń we władczym geście.

– Barnabo, znam te teorie i po pierwsze, ich nie podzielam, a po drugie, zupełnie nie należą one do sprawy, którą dzisiaj rozpatrujemy. Pozwól więc, że nie wejdziemy na grząski grunt filozoficznych rozważań, ale skupimy się raczej na praktycznym zastosowaniu naszej wiedzy…

– Jak sobie życzysz, Mariusie – odparł Biber.

– Spytam raz jeszcze, chociaż chyba, niestety, znam już odpowiedź – wtrąciła Katrina. – Dlaczego rozmawiamy o dawnym Rzymianinie?

– W trakcie badań, śledztw i obserwacji zdarzyło mi się zejść również do Studni Dusz, tak jak Arnoldowi. – Nontle spojrzała na

Löwefella. – Nie jest to doświadczenie, które powtarzałoby się z wielką chęcią i bez konsekwencji. Ale nie to jest ważne. – Strzepnęła palcami. – Otóż istotne, a wręcz kluczowe w naszym wypadku jest to, że w Studni Dusz, do której zeszłam, zobaczyłam Herenniusza Furiusa. Spodziewałam się tego, gdyż świadectwa naocznych świadków przygotowały mnie na to.

– Jak wyglądał? – zainteresował się natychmiast Biber.

Nontle uniosła palec.

– Ano właśnie. Jak wyglądał? Oto właściwie postawione pytanie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, czekając, aż Mauretanka będzie kontynuować opowieść, ale ona również milczała.

– No i? – nie wytrzymał wreszcie Biber. – Nie trzymaj nas w niepewności, księżniczko! Jak wyglądał ktoś, kto przeżył tysiąc pięćset lat, żywiąc się ludźmi?

– Zobaczyłam siebie – odparła Nontle.

– Siebie – powtórzył Biber z niezrozumieniem.

– Właśnie tak – potwierdziła Mauretanka. – Zobaczyłam w studni swoją własną postać i nie miałam najmniejszej nawet wątpliwości, iż to ja sama jestem osobą, którą obserwuję.

Biber pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A więc ów Rzymianin potrafi zostawić obraz dowolnej postaci w Studni Dusz – mruknął. – Zdumiewająca umiejętność. Dawno temu stanowczo i jednoznacznie wykluczono, by ingerencja podobnego typu była możliwa…

Löwefell nie odezwał się ani słowem, ale Nontle obróciła się w jego kierunku.

– Uważasz inaczej, Arnoldzie, prawda? Dlaczego?

– Sądzę, że potwór nie zostawia mylnego śladu świadomie – odparł Löwefell. – To zaledwie i aż jego cecha osobnicza. Ta zdolność Herenniusza Furiusa, czy jakkolwiek byśmy teraz nazwali tę istotę, powoduje, że Studnia Dusz nie ukazuje jego

obrazu. Ale musi go czymś zastąpić, więc wydobywa z naszej pamięci obraz postaci, która wydaje nam się najmniej podejrzana i której ukazanie się budzi nasz sprzeciw…

– Znakomicie, Arnoldzie – pochwaliła go Nontle. – W twoim przypadku podstęp zadziałał, przynajmniej na pewien czas. W moim przypadku tak się nie stało z dwóch powodów. Po pierwsze, studnia pokazała mnie samą, a więc wzbudziła tym moje nie zaledwie podejrzenia, lecz pozbawioną jakichkolwiek wątpliwości świadomość fałszerstwa. Po drugie, z innych źródeł doskonale wiedziałam, że Herenniusz Furius był w tamtym miejscu, tymczasem w Studni Dusz go nie zobaczyłam. Wystarczyło więc dodać dwa do dwóch, żeby przejrzeć mistyfikację.

– Mistyfikację tak, ale nie jej mechanizm – zauważył Biber.

– Niestety – zgodziła się z nim Nontle. – Miejmy jednak nadzieję, że po przesłuchaniu wampira będziemy mądrzejsi niż dzisiaj.

– Słowo „przesłuchanie” brzmi intrygująco – powiedziała Katrina. – A gdzie znajdziemy tegoż antycznego Rzymianina?

– Herenniusz Furius wedle ostatnich naszych informacji przebywa za wschodnimi granicami księstwa, które u nas nazywane jest Holmgardem, a na Rusi Nowogrodem. Oznacza to, że od Narwy, od wschodniego wybrzeża Bałtyku zostaje do przebycia grubo ponad tysiąc mil – powiedziała Nontle.

– Cóż… podróż jak podróż – mruknęła Katrina.

Biber zaśmiał się i pokręcił głową.

– Z całym szacunkiem, Katrino, ale to nie będzie podróż jak podróż, jak raczyłaś to nazwać. Ruś to dzikie pola, Ruś to nietknięte przez człowieka puszcze, Ruś to brak dróg i gościńców. Ale Ruś to przede wszystkim kraj bezprawia, zamieszkany przez chciwych i bezkarnych możnych oraz przez biedny, dziki i groźny lud. Ruś to kraj zdegenerowanych kultów, gdzie wiara w starych bogów i oddawanie czci demonom mieszają się w przedziwny sposób z uwielbieniem dla Chrystusa. Wreszcie

Ruś to kraj jesiennych i wiosennych deszczy zamieniających ziemię w bagniska i zimowych mrozów tak dojmujących, że ludzie przy swoich własnych chałupach potrafią zamarznąć niczym lodowe obeliski.

– No, no, naprawdę brzmi zachęcająco – powiedziała Katrina.

– Dawno temu spisaliśmy już Ruś na straty – rzekł van Bohenwald. – I nie zamierzamy zmieniać naszego nastawienia. Nie chcemy tam nikogo nawracać, nikogo przekonywać ani z nikim walczyć. Chcemy dotrzeć do Furiusa, przesłuchać go, zabić i wrócić. Nic mniej i nic więcej.

Löwefell zauważył, że van Bohenwald nie napomknął nawet o możliwości porwania Herenniusza do Cesarstwa. Ale oczywiście nie było w tym nic dziwnego. Bo jak przewieźć potężnego wroga przez obcy kraj pełen podejrzliwych tubylców, obserwujących nieprzyjaźnie każdy ruch przybyszów?

– Po Rusi nie można poruszać się tak swobodnie jak po naszym Cesarstwie – wyjaśnił Biber. – Obcy mogą podróżować jedynie zaopatrzeni w glejty od wielkich książąt. Na nasze szczęście cała podróż ograniczy się do jednego wielkiego księstwa Holmgardu, o którym wspomniano.

– Zostaniecie zaopatrzeni w glejty i listy polecające do wielkiego księcia Włodzimierza – rzekł van Bohenwald.

Kiedy on zdołał się przygotować? Od czasu, kiedy wysłałem mu raport, do momentu, kiedy przysłał po mnie mnicha z zaproszeniem na naradę, minęła zaledwie godzina, pomyślał Löwefell.

– Jako kto mamy tam występować? – zapytał na głos. – Poselstwo Świętego Officjum? Cesarscy dyplomaci?

– Inkwizytorzy nie byliby na Rusi mile widziani. Na pewno próbowano by nas zabić, czy to z wolą książąt, czy bez niej. Kapłani mają w niektórych dzielnicach nawet więcej do powiedzenia niż szlachta, chociaż akurat w Holmgardzie wielki książę trzyma wszystko żelazną ręką i nie pozwala, by ktokolwiek podważał jego władzę – znowu wyjaśnił Biber. –

Niemniej i tak wspominanie o Inkwizytorium byłoby bardzo nieroztropne.

– Przedstawicie się jako cesarscy wysłannicy – dodał Marius. – Cesarz będzie tak uprzejmy, że własnoręcznie napisze list do wielkiego księcia Włodzimierza z prośbą, żeby potraktowano was łaskawie.

Löwefell uśmiechnął się w myślach. Cesarz podpisze dokumenty nie dlatego, że jest tak uprzejmy, lecz dlatego, że tak mu zostanie nakazane. Oczywiście polecenie przyobleczone zostanie w stosownie grzeczne formuły. Wewnętrzny Krąg musiał zawsze działać pewnie oraz szybko, a czasami pomoc cesarza lub jego kancelarii rzeczywiście bardzo ułatwiała życie.

– Wielki książę Włodzimierz ze wszystkich książąt Rusi włada największymi ziemiami – rzekł Biber. – Chyba również najbogatszymi i najbardziej cywilizowanymi. Przynajmniej w pewnej mierze – zastrzegł od razu. – Gdyż musicie wiedzieć, że księstwo Holmgardu sięga, przynajmniej nominalnie, od Bałtyku aż po ponadtysiącmilowe Kamienne Góry, które potocznie nazywamy po prostu Kamieniami. Odległość pomiędzy wschodnią a zachodnią granicą księstwa jest większa niż odległość dzieląca nas od Bizancjum, a tereny są dzikie i słabo zaludnione. I tak jak sama stolica państwa jest wielka i bogata, tak im dalej na wschód, tym biedniej, a władza samego księcia tym słabsza. Księstwem Peczorskim, do którego musicie dotrzeć, włada przyjazny Włodzimierzowi książę Dymitr, zresztą jego bliski kuzyn. – Biber machnął ręką. – Co prawda oni tam, na Rusi, wszyscy są ze sobą spokrewnieni i spowinowaceni, tak że trudno im samym wyznać się w koligacjach i trudno im czasami dojść, czy właśnie nie zabijają krewnego. Zresztą tym akurat się nie przejmują…

– Jakby w innych częściach świata było inaczej – westchnęła Nontle.

– Tak czy owak – ciągnął Biber – Włodzimierza i Dymitra łączy nie tylko pokrewieństwo, nie tylko stosunek wasalny i nie tylko wspólne interesy, lecz również, wydaje się, prawdziwa przyjaźń.

Dlatego w Księstwie Peczorskim ludzie cieszący się łaskami Włodzimierza będą nie tylko bezpieczni, ale również łaskawie podejmowani.

– Podejrzewam, że droga przez Nowogród będzie co prawda długa i uciążliwa, ale zapewne nie będzie niebezpieczna – rzekł van Bohenwald.

– Władza książąt nie sięga za Kamienne Góry – mówił dalej Biber. – Chociaż Dymitr często podejmował wyprawy handlowe, a także wojskowe, wysyłając w tamte tereny kupców i żołnierzy. Po wschodniej stronie pasma rozciąga się kraina zwana Jugrą, zamieszkana przez ludy Jugrów, które od tej ziemi przybrały swą nazwę, albo ziemia przybrała od nich… – Wzruszył ramionami.

– Jak by nie było, to właśnie tam, w samym sercu dziczy, znalazł sobie wygodne i bezpieczne miejsce do życia Herenniusz Furius – dokończyła Nontle.

– Jest ich królem? Wodzem? Wielkim kapłanem? Bóstwem? – dopytał Löwefell.

– Nic nie wiem na ten temat – odparła Mauretanka. – Nie wiem nawet, czy ma armię lub choćby zbrojny oddział, czy mieszka w fortecy, czy w zwykłym domu… Niewiele tego.

– Czy owi ruscy książęta o nim wiedzą?

Nontle skinęła głową.

– Oczywiście. Za Kamienie przechodzi wielu awanturników, łowców przygód czy majątku. Herenniusz jest uważany za jednego z takich ludzi, tyle że silniejszego i sprytniejszego od innych, którzy na Jugrę stale przybywali i przybywają. W Holmgardzie są zadowoleni, że ułatwia im handel z Jugrami.

– A czym ci barbarzyńcy handlują?

– Przede wszystkim futrami – wtrącił Biber. – W lasach i nad rzekami roi się od dzikiej zwierzyny, łatwo ją łowić i do nikogo nie należy. Nie ma tam panów grodzących ziemię, nie ma leśniczych i łowczych, nie ma królewskich czy książęcych przywilejów, zakazów i nakazów. Kto ma dość odwagi

i zdolności, ten z roku na rok może zostać bogaczem. – Skrzywił lekko usta. – Jeśli, rzecz jasna, przeżyje…

– To dziki kraj. Niemal przez nas niezbadany – rzekł w zadumie van Bohenwald. – Zawsze uważaliśmy, że środki, które należałoby przeznaczyć na eksplorację tych terenów, zostałyby zmarnowane…

– Oczywiście mamy informacje od kupców i agentów, raporty pochodzące od dyplomatów, prowadzimy korespondencję z miejscowymi książętami, ba, wysyłaliśmy również kilka razy inkwizytorów incognito, żeby zdali nam naoczne relacje.

– Barnaba zajmuje się naszymi kontaktami z państwami leżącymi poza Cesarstwem. – Marius wyraźnie skierował to wyjaśnienie do Löwefella. – Między innymi właśnie Rusią. Można powiedzieć, że w Świętym Officjum jest wybitnym specjalistą od wszystkich ziem leżących na wschód od polskiego królestwa.

Biber uśmiechnął się i skinął głową w podziękowaniu.

– Rosja dzieli się na siedem wielkich księstw, a każde z nich składa się z mniejszych księstw lub dzielnic zarządzanych przez możnych – wyjaśnił. – Czasem są oni całkowicie suwerenni, czasem podlegają bardziej lub mniej innym książętom. Zarówno sojusze, jak i system wasalny zmieniają się w zależności od wyniku toczonych wojen, negocjacji i układów oraz zawiązywanych i rozwiązywanych koligacji rodzinnych.

– To stado wściekłych psów – gniewnie wzruszył ramionami van Bohenwald. – Żrących się w śmietnisku pośrodku hordy wściekłych szczurów. Najdziksza i najbiedniejsza prowincja naszego Cesarstwa tam uchodziłaby za ostoję cywilizacji, dobrobytu i spokoju.

– Tak właśnie jest – zgodził się Biber poważnym tonem. – Ludność tam jest biedna i pozbawiona praw, ziemie targane nieustającymi wojnami, książęta grabią wszystkich wokół, a niektórzy z nich muszą płacić trybut plemionom przybywającym ze stepów, takim jak Mongołowie i inni ich krewniacy. Którzy i tak, niezależnie od otrzymywanych haraczy,

najeżdżają te ziemie, łupią je, a ludność uprowadzają w jasyr.

– Złe miejsce do życia – podsumował van Bohenwald.

– Wyznanie chrześcijańskie jest tam kultywowane – kontynuował Biber. – Ale w dziwnych, heretyckich odszczepieniach, w kultach łączących wiarę w Chrystusa z oddawaniem czci pogańskim bóstwom. Ani nie uznają władzy papieża…

– Co nas zresztą szczególnie nie martwi – prychnął van Bohenwald rozbawiony.

– …ani nie chcą mieć nic wspólnego z cesarskimi księżmi i biskupami, ani oczywiście ze Świętym Officjum.

– Kiedy Kościół wysyłał misjonarzy, to albo ich zabijali, albo przekabacali na swoją stronę – wtrącił jeszcze Marius.

– Na Rusi władcy z reguły pozwalają żyć i działać różnego rodzaju szamanom, kapłanom, magikom i czarnoksiężnikom – powiedział Biber. – Część z nich służy jako osobista ochrona książąt, jako jasnowidze, przepowiadacze przyszłości, wróżbici.

– Wielu z nich jest naprawdę obdarzonych dużymi magicznymi zdolnościami – dodał van Bohenwald. – Oczywiście nie są to zdolności odpowiednio wyszkolone, co nie znaczy jednak, że ich posiadacze nie mogą być groźni, zwłaszcza dla kogoś, kto nie potrafi przeciwstawić się ich mocy. Ci, którzy służą książętom, najbardziej biegli w sztuce, nazywani są wołchami. Władcy otaczają ich opieką i przydzielają swoim wasalom jedynie w drodze szczególnego przywileju.

– To prawda, że na Rusi można spotkać naprawdę osobliwych i niezwykłych ludzi obdarzonych mocą – rzekł Biber. – Sami zobaczycie, jak dziwne są to postacie. Na dworach szlachty i książąt, w kościołach, świątyniach i chramach. Większość na głos wielbi Jezusa, ale zaręczam wam, że w Cesarstwie spłonęliby szybciej niż sucha słoma w ognisku, tak bardzo są przeżarci pogańskimi obyczajami.

– Nie mamy zamiaru ich nawracać – wzruszyła ramionami

Nontle. – I jeśli chodzi ci o to, żebyśmy ich nie zrazili do siebie, to zaręczam, że mogę ich całować w brudne kołtuny, jeśli tylko będzie to korzystne dla naszej misji.

Biber uśmiechnął się.

– Tego jestem pewien, księżniczko. Jednak rzecz tkwi w czym innym. Ich kapłani, wiedźmy i przepowiadacze często są szaleni, jeszcze częściej pijani lub otumanieni wywarami i grzybami, ale tak jak powiedział Marius, nie znaczy to, że nie są uzdolnieni oraz obdarzeni mocą.

– Tak, to komplikuje sprawy. – Nontle spoważniała. – Ale spotykałam się już z podobnymi problemami w Persji i w Indiach. Starałam się nie ujawniać tam swoich umiejętności, jeśli tylko nie było to absolutnie konieczne.

– Właśnie tak – zgodził się van Bohenwald. – Wystrzegajcie się jakiejkolwiek ingerencji. Nie używajcie magii, nie stosujcie Głosu, gdyż zostaniecie rozpoznani. Starajcie się skorzystać z dobrodziejstwa maskarady. Będziecie prezentowani jako cesarska misja, więc każdy na Rusi będzie przypuszczał, że szpiegujecie, bo to jest przecież oczywiste, ale nie powinni sądzić, iż jesteście czymś więcej niż co najwyżej szpiegami.

– Spore wymagania: oddać całą broń, jaką się posiada – spojrzała na niego Nontle.

– Ale konieczne. Nie chcemy kłopotów, księżniczko. Chcemy, abyście wjechali i wyjechali, nie tracąc żadnego z inkwizytorów i poświęcając najmniej ludzi z eskorty, jak tylko będzie to możliwe…

No proszę bardzo, Marius przejmuje się życiem zwykłych żołnierzy, którzy będą nam towarzyszyć. Coś takiego, pomyślał Löwefell.

– Na Rusi nie ma, a przynajmniej ja o kimś takim nie słyszałem, nikogo mogącego zagrozić mocą inkwizytorowi szkolonemu w Wewnętrznym Kręgu, ale wiedzcie – Biber spojrzał na nich – że wielu z tych obłąkanych kapłanów działa niczym kompasy na morzu. I tak pewnie jak kompasy wskazują północ, tak

bezbłędnie ci szaleńcy wskażą nas, jeśli będziemy korzystać z mocy danej nam z łaski Chrystusa.

– Zdumiewające, że podejmując się takiego wyzwania, musimy jednocześnie zrezygnować z korzystania z przyrodzonych i ćwiczonych zdolności. – Nontle po raz kolejny pokazała, jak bardzo jest niezadowolona.

– Sama twoja uroda i czarowny głos działają na wszystkich niczym magia – odparł uprzejmie Biber.

– Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że nie będziemy mogli nawet zerkać przez bariery, żeby ocenić ludzi? Że nie będziemy mogli używać Głosu? Że nie będziemy mogli badać, czy mówią prawdę?

– Nie, nie i jeszcze raz nie – rzekł stanowczo Biber, a widząc, jak Nontle się żachnęła, rzekł pojednawczym tonem: – Księżniczko, jesteś wyedukowana jak niewielu z nas. Twoje zdolności wynikają nie tylko ze znanej ci magii, lecz w dużej mierze z dogłębnej wiedzy i wielkiego doświadczenia w obcowaniu z ludźmi…

Nontle uniosła dłoń.

– Dobrze, już dobrze… – powiedziała.

Ale ponieważ rozumiała, że słowa inkwizytora nie wynikają z chęci nakłonienia jej za wszelką cenę do zgody, że nie są czczymi komplementami, lecz płyną ze szczerego przekonania, rozchmurzyła się nieco. Löwefell zdawał sobie sprawę, że niezwykle trudne dla osoby korzystającej ze zdolności magicznych z taką łatwością i bezwiednością jak z oddychania jest nagle z nich zrezygnować. On sam w kontaktach z ludźmi posługiwał się tylko czasami magią, ale rozumiał, iż w przypadku Nontle było to zarówno częstsze, jak i głębsze. No cóż, będzie musiała więc przyzwyczaić się do nowego sposobu życia. Na szczęście owe ograniczenia nie miały potrwać długo… Przynajmniej Löwefell taką miał nadzieję, że podróż nie zabierze im więcej niż pół roku. Poza tym nie wszędzie będą przecież musieli aż tak bardzo uważać na to, co robią oraz co mówią.

Trasa ich wyprawy w większości będzie biegła przez pustkowia, gdzie nikogo nie będzie interesowało, czy korzystają z magii, czy nie.

Van Bohenwald wstał i spojrzał przez okno, za którym z sinego nieba siąpił drobny deszcz.

– Ponoć na Rusi są miejsca, gdzie niemal cały rok pada deszcz. Czy to prawda? – Odwrócił się do Bibera.

– Aż tak źle sprawy się nie mają – odparł Biber. – Ale w Księstwie Peczorskim jest pełno lasów, można powiedzieć, że są tam właściwie niemal same lasy. A w tych lasach pełno jest średnich, małych i całkiem maleńkich jezior. Oraz bagien ciągnących się dziesiątkami mil. Bagien, których nie zna nikt poza nielicznymi, zdziczałymi mieszkańcami. Tam zaś, tak przynajmniej mówią i piszą znawcy Rusi, dzieją się często przerażające rzeczy. – Westchnął. – Bo nikt na świecie nie jest w stanie dotrzeć do ich wnętrza i sprawdzić, kto lub co się tam zalęgło. Całe wieki miało, żeby rosnąć w siłę… – dodał głucho.

Van Bohenwald odchrząknął.

– Nie podzielam pesymistycznej wizji Barnaby – stwierdził. – Nie widzę na ruskich bagniskach kryjówki jakiegoś przerażającego zła, które wyciąga swoje mroczne macki na cały świat. – Uśmiechnął się ironicznie. – Sądzę raczej, że to siedliska prymitywnych dzikusów, którzy żyją dziś tak samo, jak żyli tysiąc lat temu i jak żyć będą za tysiąc lat, jakby nasza cywilizacja nawet ich nie tknęła.

– Najlepiej byłoby się o tym przekonać na własne oczy – zauważył Biber.

– Na pewno wyprawa na Ruś w celu zbadania setek kilometrów bagnisk jest koncepcją, która wywołałaby prawdziwy entuzjazm w Inkwizytorium – stwierdził Marius.

Biber skrzywił usta i wzruszył lekko ramionami.

– Ja bym się wybrał – rzekł.

– I na tobie lista ochotników by się zapewne skończyła –

podsumował van Bohenwald. – Ale dość o tym. Jasne jest i wszyscy oczywiście rozumiecie, że wyprawa na Ruś jest konieczna, a decyzja o niej została podjęta bez chwili wahania…

W ciągu godziny, znowu pomyślał Löwefell. Godna podziwu szybkość reakcji na wydarzenia.

– Oczywiście to wam przypadnie zaszczyt odbycia tej podróży – ciągnął van Bohenwald. – Tobie, Barnabo, jako znawcy tych krain i stosunków w nich panujących, oraz tobie, Nontle, bo ufamy, że dasz radę poznać i pokonać wampira, a poza tym twoje wielkie doświadczenie podróżnicze będzie dla wszystkich nieocenioną pomocą.

– Niech tak się stanie – rzekł Biber.

– Nie spodziewałam się niczego innego – odparła wyraźnie zadowolona Mauretanka.

– A ja? – zapytał Löwefell.

– A ty co? – Marius zmrużył oczy i spojrzał na Löwefella tak, jakby się zastanawiał, kim jest i co w ogóle robi na tym spotkaniu najbardziej zaufanych osób Wewnętrznego Kręgu.

– Jakie przydzielisz mi zadanie?

– Ty masz Matyldę, Arnoldzie – odpowiedział van Bohenwald. – I ona nadal jest twoim najważniejszym zadaniem. Nie widzę sensu ani potrzeby, żeby mieszać cię w sprawę tej wyprawy.

– Dobrze – odparł Löwefell, wzruszając lekko ramionami. – Skoro tak uważasz…

Marius przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

– Dobrze? – powtórzył w końcu. – Zaledwie tyle masz mi do powiedzenia?

– Cóż więcej mogę powiedzieć?

– Dość tego, Mariusie – rzekła ostro Katrina. – To oczywiste, że będziesz im towarzyszył, Arnoldzie – zwróciła się do inkwizytora. – Twoje nadzwyczajne zdolności mogą być więcej niż przydatne w tak dzikim miejscu.

Nontle skinęła głową.

– Poza tym to o twoją… Narsesa – poprawiła się zaraz – uczennicę przecież chodziło Herenniuszowi. To oczywiste, że nie wyobrażam sobie podróży bez twojego udziału.

Löwefell spodziewał się podobnego obrotu sprawy. Przecież nie zapraszano by go na spotkanie, gdyby nie żywiono wobec niego planów ściśle związanych z nowym przedsięwzięciem. Poddał się tak łatwo, gdyż chciał zobaczyć reakcję Mariusa. A poza tym tak naprawdę nie miałby nic przeciwko temu, by nie wyruszać na Ruś. Kiedyś – owszem, z ogromną radością zanurzyłby się w wyjaśnianiu tak wielkiej tajemnicy. Teraz jednak wielką tajemnicę miał za progiem swojej kwatery. Matyldę i jej niezwykłe zdolności oraz jeszcze bardziej niezwykłe sekrety i zamiary. Z drugiej jednak strony wiedział, że chodzi przecież o Roksanę, że wiedźma okazała się dla kogoś tak niesłychanie cenna, iż ten ktoś przebył tysiące mil, by wydostać z Cesarstwa jej zwłoki.

– Skoro Herenniusz Furius mieszka, lekko licząc, dwa tysiące mil od Koblencji, to jak długo musiał podróżować, żeby przebyć Ruś i Polskę, a potem niemal połowę Cesarstwa? – zapytał na głos.

– Jeśli był sam, to kilka tygodni – odparła Nontle. – Istoty jego gatunku nie potrzebują snu ani nie odczuwają zmęczenia. Póki był na Rusi i w Polsce, nie musiał się niczego obawiać, ale kiedy wszedł na teren Cesarstwa, musiał wiedzieć, że każdy inkwizytor Wewnętrznego Kręgu wyczułby, iż tak naprawdę nie jest człowiekiem, i wszczęto by alarm. U nas musiał więc być nadzwyczaj ostrożny.

– Czy nie jest jednak możliwe, by podobnie jak my umiał korzystać z dobrodziejstw maskarady? – zainteresował się Löwefell. – Czy można sobie wyobrazić, że jednak przemierzał Cesarstwo jawnie i nie obawiając się niczego?

– Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak i nie – wtrącił van Bohenwald. – Tak, gdyż zakładamy, że omamienie przez niego otoczenia jest jak najbardziej możliwe. Nie, gdyż twierdzimy, że sieć naszych oczu w Cesarstwie jest na tyle gęsta, iż nie dałby

rady się przez nią przecisnąć, nie podejmując wyjątkowych środków ostrożności.

– Pozwól jeszcze – znowu wtrącił Löwefell – że podzielę się z wami jedną wątpliwością. Z tego, co mówisz, wynika, iż wampir opuścił swój dom, kiedy Roksana jeszcze żyła i cieszyła się zdrowiem, chociaż jej fizyczna postać już została zdeformowana przez magię. To znaczy, że dowiedział się od kogoś o wiedźmie. Od kogo? I dlaczego zabrał jej ciało? Jeśli szukał Szachor Sefer, to dlaczego nie porwał syna Katarzyny? Nie szukał, nie dopadł Mordimera Madderdina i nie starał się… – urwał. – No właśnie, i nie starał się zrobić czego właściwie?

– To bardzo dobre pytania, Arnoldzie – stwierdził Marius. – I mam nadzieję, że zostaną zadane Herenniuszowi.

– Mnie, jak widzę, nie bierzesz pod uwagę, Mariusie – powiedziała Katrina. – I nie ukrywam, że bardzo się z tego faktu cieszę.

– Twój udział znacznie podniósłby stopień bezpieczeństwa tej trudnej i odpowiedzialnej misji. – Marius wlepił w nią karcące spojrzenie. – Wiem jednak, że i tak mi odmówisz, jakichkolwiek argumentów bym użył.

– To prawda – zgodziła się bez trudu. – Misji na Rusi nie uważam za ani w połowie tak istotną jak sprawy, które zajmują mnie tutaj. Nie mam ani czasu, ani ochoty, by poświęcić wiele miesięcy na wyprawę nad same granice Azji.

– Twoje prawo tak sądzić. – Marius skinął głową. – Ale powiem wam wszystkim jedno. – Potoczył wzrokiem. – Zorganizowalibyśmy wyprawę z powodu samego tylko podejrzenia Nontle, iż mamy do czynienia z na pół ludzką czy demoniczną istotą, która na własne oczy obserwowała Mękę i Zstąpienie naszego Pana. I zorganizowalibyśmy tę wyprawę, gdybyśmy wiedzieli, że na Rusi ukrywa się ktoś, kto wykradł zwłoki perskiej wiedźmy i omamił odbicie w Studni Dusz. A kiedy te dwa krytyczne powody dotyczą jednej postaci, to Inkwizytorium nie ma żadnego innego wyjścia, jak wysłać misję.

– Ależ ja się całkowicie z tobą zgadzam! – klasnęła Katrina. – Tyle że moim zdaniem wystarczy, że wezmą w tej wyprawie udział silni i doświadczeni inkwizytorzy, a ja, niestety, biedzę się nad problemem na tyle hermetycznym, iż ciężko mi znaleźć kogokolwiek, kto mógłby mi pomóc, nie mówiąc już o kimkolwiek, kto mógłby mnie zastąpić.

Löwefella zaciekawiło, jakiż to hermetyczny problem ma na myśli ich towarzyszka, ale oczywiście nie zapytał, bo i tak nikt by mu najprawdopodobniej nie odpowiedział.

– Zadecydowałem, że oprócz silnych i doświadczonych inkwizytorów do waszej wyprawy dołączy ten, który do tej pory jako jedyny miał już osobistą styczność z istotami dla braku lepszego słowa nazywanymi przez nas wampirami…

Nontle roześmiała się.

– Chcesz wysłać z nami zwykłego inkwizytora?

– Nie zgadzam się – rzekła ostro Katrina.

– A cóż ty masz do zgadzania się lub nie? – zmarszczył brwi van Bohenwald. – Skoro i tak nadmieniłaś, że sprawa ciebie nie obchodzi i nie dotyczy.

– Obchodzi mnie jednak los Księgi. Nie życzę sobie, by Szachor Sefer znalazła się na drugim końcu świata.

– Ależ chłopak będzie pod opieką Nontle, Barnaby, Arnolda i grupy zbrojnych. – Marius otworzył szeroko oczy z udawanym zdumieniem. – Czyżbyś nie dowierzała ich sile?

– Nie zgadzam się – powtórzyła Katrina. – Jego kontakty z owymi istotami to przypadek, a zwycięstwo nad jedną z nich to przypadek jeszcze większy. Ten człowiek na nic się nie przyda tak doświadczonym inkwizytorom, a jego obecność zwiększy zagrożenie. Nie rozumiesz, Mariusie? – Obróciła nieprzychylny wzrok na tłuściocha. – Nontle, Arnold i Barnaba będą musieli zajmować się tym chłopakiem, żeby przypadkiem nie narazić jego życia. Nie mogą w tak niebezpieczną podróż udać się z tak obciążającym balastem!

Może Katrina ma rację, pomyślał Löwefell. W końcu nikt nie wie, co się stanie, kiedy Mordimer Madderdin umrze, czy to śmiercią gwałtowną, czy naturalną. Nikt nie wie, co się wtedy stanie z zaklętym w nim magicznym dziełem Szachor Sefer. Czy Księga ujawni się w rzeczywistym uniwersum? Czy zniknie? Czy ulegnie zniszczeniu? A jeśli tak, to co będą oznaczać te zdarzenia dla świata? Co wiemy o Szachor Sefer poza tym, że niektórzy jej gorąco pożądają, niektórzy się jej panicznie boją, a niektórzy marzą, by zniknęła bez śladu? A pomyśleć, że trzymałem ją we własnych dłoniach… Nie jako Arnold Löwefell, prawowierny inkwizytor Wewnętrznego Kręgu, ale jako okrutny perski mag Narses. Podobno studiowałem ją i poczyniłem szereg komentarzy. Czy byłem bliski rozwiązania jej zagadki? Dlaczego nie pamiętam tak cennej wiedzy? Dlaczego nie przypominam sobie niczego z tych studiów? Dlaczego nie pozostał we mnie nawet ślad magii ognia i krwi, dzięki której Roksana zaklęła Szachor Sefer? Gdybym był Narsesem, westchnął w myślach Löwefell, być może potrafiłbym ocalić Księgę, wydobyć ją nienaruszoną z ciała tego podrzędnego inkwizytora, który dziwnym zrządzeniem losu stał się jedną z kluczowych postaci chrześcijaństwa.

– A co wy o tym sądzicie, przyszli uczestnicy wyprawy? – Marius powiódł wzrokiem po towarzyszach.

– Jego obecność jest niepotrzebna, a może okazać się szkodliwa – stwierdziła Nontle.

– Też tak uważam – zgodził się z nią Biber.

Mordimer uratował mi życie, pomyślał Löwefell, wtedy, w czasie strasznego buntu Hakenkreuza, ocalił mnie z rąk bandytów. W tamtym momencie moja moc była zaledwie iskierką w porównaniu z płonącym dzisiaj ogniem. Czy teraz dałbym radę kilku zbójom? Zapewne bez szczególnego trudu, nawet gdyby pochwycili mnie w pułapkę. Ale my, inkwizytorzy, nie jesteśmy istotami nadnaturalnymi. Jeśli nas zranić, krwawimy, a jeśli zranić nas bardzo mocno, umieramy. Nie obronimy się przed salwą strzał z łuku, przed konną szarżą ani

przed wielkim pożarem. Jeżeli zostaniemy wrzuceni do lodowatej wody, zamarzniemy, a jeśli podpali się dom, w którym mieszkamy, spłoniemy. Nasza sztuka nie polega na tym, że odepchniemy galopującą Śmierć. Nasza sztuka polega na tym, by nie dopuścić, aby Śmierć w ogóle wskoczyła na siodło. Owszem, zwykle potrafimy walczyć lepiej niż większość szermierzy czy zapaśników na ziemi, mamy nadzwyczajną siłę, potrafimy poruszać się niezwykle szybko i co tak ważne w czasie wojny, umiemy powściągać emocje. Znamy zaklęcia otumaniające i czary czyniące wielką krzywdę. Potrafimy jednym ruchem zatrzymać serce człowieka. Ale nie pokonamy uzbrojonego oddziału żołnierzy, jeśli będą oni dobrze wyszkoleni i zdeterminowani, by nas zabić.

– Zamyśliłeś się, Arnoldzie – rzucił Marius, przypatrując mu się uważnie. – O czym tak dumasz, mój przyjacielu?

Cóż się stało, że nie dodał: „mój perski przyjacielu”? – pomyślał Löwefell.

– O kruchości ludzkiego życia – wyjaśnił. – O tym, z jak nietrwałego materiału zostaliśmy uczynieni, niezależnie od tego, czy dano nam łaskę bycia inkwizytorami.

– A jakie jest twoje zdanie co do obecności owego inkwizytora, syna Katarzyny?

Dlaczego zaznaczył, że Madderdin jest synem Katarzyny? – przeszło przez głowę Löwefellowi. Po co to przypomnienie, tak wyraźne i tak jednocześnie znaczące?

– Nie mam na ten temat jednoznacznego zdania – odparł. – I chętnie dostosuję się do podjętych decyzji.

– W takim razie postanowione. – Van Bohenwald klasnął upierścienionymi dłońmi. – Mordimer Madderdin jedzie w wami.

Nontle tylko pokręciła głową z ironicznym uśmieszkiem, a Biber wzruszył ramionami. Jak jednak widać, nie zamierzali dłużej dyskutować z van Bohenwaldem i z jakiegoś powodu uznali jego decyzję. Ale ich negatywna opinia na pewno zostanie zapamiętana i jeśli dobro misji z powodu obecności tego

szeregowego inkwizytora zostanie narażone na szwank, to grubas będzie musiał zmierzyć się z konsekwencjami niezadowolenia. Tylko… czyjego niezadowolenia? Löwefell nie raz, nie dwa i nie trzy zadawał sobie pytanie: kto rządzi Wewnętrznym Kręgiem Inkwizytorium? Kto reguluje i wyznacza zadania tej wielkiej, skomplikowanej maszynerii, której tryby sięgają w każdy zakątek Cesarstwa? Inkwizytor tyle lat pracował już dla Świętego Officjum, lecz temat hierarchii służbowej był dla niego nie tylko nieoczywisty, lecz wręcz głęboko tajemniczy. Wydawało się, że Marius van Bohenwald jest władny wydawać polecenia, a jego wiedza o działaniach i zamierzeniach Inkwizytorium sięga dużo dalej niż kogokolwiek innego, kogo znał Löwefell. Ale jednak w wielu przypadkach okazywało się, że Marius nie może samodzielnie podejmować szczególnie ważnych czy kłopotliwych decyzji. Czy stał więc ktoś nad nim? Czy tym kimś na pewno był inny człowiek? A może Wewnętrznym Kręgiem rządziła grupa ludzi o niejasno oznaczonych kompetencjach, z których każdy miał ogromny zakres samodzielności, lecz w razie potrzeby łączyli siły? Czy van Bohenwald, Biber, Katrina i Nontle należeli do tych najbardziej wtajemniczonych? A kto jeszcze poza nimi? Löwefell nie raz i nie dwa spotykał w klasztorze naprawdę potężnych inkwizytorów, nie łączyły go z nimi żadne wspólne sprawy, lecz ich moc rozpoznawał bez omyłki. Niewykluczone, że niektórzy z nich również należeli do tego zaufanego kręgu. Oczywiście w klasztorze mieszkali również mnisi, oni jednak głównie zajmowali się kwestiami zarządzania tą wielką budowlą, będącą sercem Inkwizytorium i skarbnicą wiedzy. Mnisi czynnie uczestniczyli również w chwytaniu i badaniu demonów oraz w kolekcjonowaniu bezcennej wiedzy dotyczącej magicznych światów. Ale Löwefell nigdy nie widział i nie słyszał, by interesowali się codziennym działaniem tak złożonego i rozrośniętego organizmu, jakim było Inkwizytorium.

Kto wydał pozwolenie, by Nontle ruszyła do Persji i by tam spotkała się z Narsesem – wrogiem chrześcijan? Przecież jako więzień mogłaby się stać bezcennym źródłem wiedzy dla Persów

lub cennym towarem przetargowym. Ktoś musiał więc zezwolić jej na tak niezwykłą i niebezpieczną podróż. Kto to był?

– Oczywiście otrzymacie wojskową eskortę – stwierdził Marius. – Zostanie wam przydzielony kilkunastoosobowy oddział, a wybierzemy doświadczonych żołnierzy.

– Koniecznie – rzekł stanowczo Biber. – Nie będą, daj Boże, potrzebni, żeby walczyć, lecz żeby samą obecnością wzbudzać strach przed wydaniem nam bitwy.

A więc nasze rozumowanie podąża tymi samymi ścieżkami, pomyślał Löwefell, chociaż ja rozważałem o inkwizytorach, a Barnaba o żołnierzach. Ale w niebezpiecznym otoczeniu nie chodzi o to, by wykrwawiać się w bitwach i jednoczyć przeciw sobie wrogów, lecz by zręcznym postępowaniem przeobrażać przeciwników w stronników. A przynajmniej sprawiać, by przestali nas dostrzegać i nami się zajmować.

– Jeśli wolno, jeszcze jedno pytanie – rzekł na głos. – Jestem przekonany, że pomyśleliście o podobnym rozwiązaniu, ale pozwólcie, że się upewnię. Czy w trakcie poszukiwań śladów Herenniusza zbadano również nie-świat?

– Nie mam i nigdy nie miałam żadnego przedmiotu należącego do Furiusa – odparła Nontle. – Ale oczywiście, tak czy inaczej, przedsięwzięłam pewne kroki. – Machnęła ręką. – Nic to nie dało.

Löwefell w milczeniu obrócił spojrzenie na Katrinę. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Skoro Nontle nie dostała się tam, gdzie pragnęła się dostać, to zapewne i ja bym nic nie pomogła – odpowiedziała na niezadane, lecz oczywiste pytanie.

– Czy jednak nie lepiej byłoby przed zorganizowaniem wyprawy upewnić się, że do Herenniusza Furiusa nie można dotrzeć poprzez nie-świat? – nie poddawał się Löwefell.

Van Bohenwald uśmiechnął się bardzo szeroko.

– Niezwykle cenię twoje zaufanie do Katriny i twoją pewność, że jej ingerencja mogłaby odmienić wszystko, co złe, i sprowadzić

wszystko, co dobre. Niestety, a może na szczęście… – przy tych słowach Marius spojrzał na Katrinę – nasza towarzyszka nie jest wszechmocna i jak powiadają: z pustego i Salomon nie naleje.

– Problem tkwi w tym, Arnoldzie – wtrąciła Nontle – że jeśli Herenniusz dostrzegłby, iż ktoś próbuje go śledzić, to mógłby łatwo uciec w zupełnie inny rejon świata. Za Kamieniami możemy go szukać. Jest to uciążliwe i skomplikowane, ale nie niemożliwe. W Mongolii, w Chinach byłoby nam dużo trudniej.

– Jeśli w ogóle zgodzilibyśmy się wysłać tam wyprawę – rzekł van Bohenwald. – Bo na przykład ja stanowczo sprzeciwiałbym się podjęciu podobnej decyzji.

– Wspomniałeś, Mariusie, że mamy przesłuchać i następnie zabić owego wiecznie żywego Rzymianina? Czy nie zostawiamy sobie żadnej alternatywy?

Nontle i Marius wymienili szybkie spojrzenia.

– Bardzo, bardzo… – podkreśliła Mauretanka – zależałoby nam na przewiezieniu wampira do klasztoru. Ale mogą pojawić się tak znaczne trudności z wypełnieniem podobnej misji, że najprawdopodobniej przebadamy go na miejscu i zabijemy.

– Chyba że widząc was, zapała chęcią powrotu na łono chrześcijaństwa – zakpił Marius. – Wtedy możecie go grzecznie poprosić, żeby wrócił wraz z wami, umilając wam uciążliwą podróż barwnymi opowieściami ze swojego długiego życia…

Biber uśmiechnął się.

– Kto wie co kryje się zarówno w sercach ludzi, jak i w sercach bestii oraz jakimi sposobami można te serca otworzyć – zauważył.

– Jeśli chodzi o Furiusa, to obawiam się, że najskuteczniejszym narzędziem do otworzenia mu serca będzie nóż – stwierdziła Nontle.

– Pamiętajcie o jednym: każde z was jest niewypowiedzianie cenne dla Inkwizytorium – rzekł z nieoczekiwaną powagą w głosie van Bohenwald. – Każde z was czekają w przyszłości

wielkie zadania i wielkie wyzwania. Wasza śmierć byłaby ogromną stratą dla powodzenia naszej wspólnej Sprawy. Dlatego pamiętajcie w każdej chwili swojej misji, że to na waszym życiu zależy nam najbardziej. Jeżeli uznacie, iż przewiezienie Herenniusza jest zbyt niebezpieczne, wtedy zabijecie go, upewniwszy się oczywiście, że zabiliście go raz a dobrze. Raz na zawsze. I że nie będzie w tej lub innej formie sprawiał więcej kłopotów.

– Tak się stanie – powiedział Biber.

Löwefell nie słyszał chyba nigdy z ust van Bohenwalda słów tak podkreślających znaczenie innych inkwizytorów dla zwycięstwa chrześcijaństwa. Oczywiście rozumiał, czy raczej lepiej powiedzieć: domyślał się, że troska Mariusa dotyczy głównie Nontle. Ale wiedział również, że z nim samym w Inkwizytorium także wiązane są wielkie plany. Które to plany wzięłyby w łeb w wypadku śmierci Löwefella. A odpowiedzialnym za tę śmierć na pewno by zapamiętano, iż to właśnie oni przyczynili się do niepowodzenia trwającej od wielu lat operacji polegającej na wskrzeszeniu pamięci maga Narsesa.

– Kiedy wrócimy z Rusi i kiedy wszystko zostanie wyjaśnione, może wreszcie wyruszę na wyprawę, o której marzę, od kiedy tylko usłyszałam, że jest ona możliwa – powiedziała Nontle, a jej oczy zabłysły.

– Cóż to za wyprawa? – natychmiast zapytał Biber.

– Podróż do Terra Occidentis – odparł van Bohenwald zamiast Nontle, po czym pokiwał głową. – Kto wie, kto wie, przecież kiedyś będziemy musieli tam kogoś wysłać, a któż mógłby być lepszy od ciebie, księżniczko? Na razie nie jesteśmy nawet pewni, jak wielki jest ten nowy kontynent…

Löwefell oczywiście wiedział, że płynąc przez kilka tygodni przez ocean z zachodnich wybrzeży Brytanii czy Hiszpanii, można dotrzeć do nowego lądu. Na razie niewiele jednak o tym lądzie wiedziano, a Löwefell uważał, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się krainą porośniętą parną dżunglą i zamieszkaną przez dzikich ludzi o skórze koloru miedzi.

Oczywiście Nontle jako badaczka i podróżniczka mogła być zafascynowana tym, że znajdzie mnóstwo nowych stworzeń (w tym tak ulubionych przez siebie anomalii), lecz Löwefell wolał, by Inkwizytorium zajmowało się raczej wydarzeniami dziejącymi się w Cesarstwie lub tuż za jego granicami, a nie hen, hen za morzami lub oceanami.

Löwefell wrócił do swoich komnat, w których czekała już na niego Matylda. Była ubrana w białą, prostą sukienkę, lecz włosy miała ułożone iście po królewsku. Löwefell nie znał się może na kobiecych modach, ale ta misterna fryzura zrobiła na nim wrażenie, więc pokiwał z aprobatą głową. Po pierwsze dlatego, że kunszt artystki wzbudził jego prawdziwe uznanie, po drugie gdyż wiedział, że ten podziw sprawi przyjemność Matyldzie. Kobieta oderwała się od lektury i odłożyła książkę.

– Nie miałam nawet pojęcia, że z moimi włosami da się zrobić coś takiego. – Zakręciła dłońmi przy głowie i uśmiechnęła się. – Być może długo ta fryzura nie wytrzyma, ale zachowam ją w pamięci.

– Zawsze możemy poprosić brata Tyberiusza, aby naszkicował twój portret – zaproponował Löwefell. – A wtedy będziesz miała świadectwo trwalsze od pamięci.

Mnich Tyberiusz był niezwykle uzdolnionym pracownikiem skryptorium, spod którego palców wychodziły rysunki tak dokładnie odwzorowujące rzeczywistość, iż zarówno ludzie, jak i zwierzęta zdawały się wręcz wyskakiwać z kart papieru, jakby nie były postaciami z obrazu, ale prawdziwymi stworzeniami, czasowo tylko zamkniętymi w klatce. Löwefell miał kilka razy okazję podziwiać ten niezwykły talent i za każdym razem był pod jego wielkim wrażeniem. Zwłaszcza że mnichowi wydawało się to przychodzić bez najmniejszego trudu. Inkwizytor widział kiedyś nawet, jak Tyberiusz wodził palcem po piasku i nagle, a stało się to niemal niedostrzegalnie, z tego niedbałego kreślenia powstał feniks z płomienistymi, rozłożonymi skrzydłami i rozwartym dziobem. Ptak sprawiał wrażenie, jakby krzycząc,

miał zaraz unieść się w powietrze. Więc jeżeli mnich potrafił wyczarować takie cuda, zaledwie mażąc palcem w piasku, to dzieła, które udawało mu się stworzyć za pomocą farb lub kolorowych inkaustów, wręcz przekraczały granice pomiędzy sztuką a magią.

– Świetny pomysł – rozpromieniła się Matylda, która również znała kunszt mnicha. – Zawsze było mi go żal – zauważyła po chwili.

– Czemuż to?

– Nie zauważyłeś? Jest otoczony aurą pożądania, bezbrzeżnego smutku i nienasyconego pragnienia. – Westchnęła. – Będzie się z tym zmagał do końca życia.

Löwefell wzruszył ramionami.

– Ludzie… – powiedział zaledwie, podsumowując tym słowem, co myśli o słabościach człowieczego gatunku. Powiedział to bez pogardy i bez lekceważenia, a raczej z litością dla słabości, z jakimi muszą się borykać ludzie i jakim tak często oraz tak nieszczęśliwie dla własnego losu ulegają.

– A co działo się dzisiaj z tobą, Arnoldzie? – Przyjrzała mu się ciekawie. – Czy stało się coś złego? – zadała mu w tej samej chwili pytanie, które rozległo się tylko w jego głowie.

Ponieważ mieszkali ze sobą już kilkanaście tygodni, dzięki mocy i magii Matyldy nauczyli się nie tylko znakomicie porozumiewać, ale też potrafili prowadzić na głos konwersację na jeden temat, jednocześnie omawiając w myślach zupełnie inne kwestie. Löwefellowi przez pewien czas sprawiał kłopot ten dziwny, równoległy sposób porozumiewania się, lecz kiedy już zrozumiał, jak należy przy tym manipulować umysłem oraz słowami, to czuł się coraz swobodniej.

Jednak na głos rozmawiali nie tylko o drobiazgach codziennego życia. Prowadzili konwersacje o sztuce, o filozofii, o życiu, o zdolnościach Matyldy. Potrafili się nawet pokłócić. Wszystko po to, by niebudząca podejrzeń błahość ich rozmów właśnie nie wzbudziła żadnych podejrzeń. Löwefell bowiem, jako

doświadczony inkwizytor, wiedział doskonale, że nie ma nic bardziej podejrzanego niż człowiek, którego zachowanie nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Dlatego teraz Löwefell opowiedział jej głośno o misji, nie ukrywając żadnych szczegółów.

– Mamy udać się na Ruś. – Zupełnie szczerze westchnął, bo w zasadzie dopiero teraz tak naprawdę zdał sobie sprawę, jak bardzo ta podróż będzie z wielu względów kłopotliwa. Co nie znaczy, że nie zapowiada się interesująco. I co nie znaczy, że wycofałby się z udziału w niej, nawet gdyby pozwolono to uczynić.

– Na Ruś? – Była naprawdę zdumiona. – A czegóż to Inkwizytorium szuka na Rusi?

– Nawet dalej niż na Rusi. Mamy przejść przez Kamienne Góry, żeby dotrzeć na barbarzyńską i pogańską ziemię zwaną Jugrą.

– Coś takiego! W życiu nie słyszałam, żeby inkwizytorzy zapuszczali się tak daleko. – Pokręciła głową. – Sprawa musi być naprawdę poważna. Czego tam szukacie?

Löwefell wiedział, że to pytanie padnie, i już wcześniej wiedział również, że na nie odpowie. Po pierwsze, był ciekaw opinii Matyldy, a po drugie, ta kobieta, w czasach kiedy stanowiła jeszcze część Trójniaka, wręcz nurzała się w tajemnicach i sekretach Inkwizytorium. Zapewne nawet poważniejszych niż sprawa ukrywającego się w Azji potwora. Tak więc powiedział jej wszystko, czego sam się dowiedział w czasie narady u Mariusa. Matylda słuchała go bardzo uważnie, nie przerywając, nie komentując i nie zadając pytań. Kiedy skończył, skinęła tylko głową.

– Teraz już wiem, co i dla kogo śledziłam – powiedziała.

– Co i dla kogo śledziłaś? – powtórzył inkwizytor.

– Długowieczność jest anomalią, Arnoldzie – wyjaśniła. – Może jest błogosławieństwem, może przekleństwem, gdyż zapewne zależy to od człowieka obdarzonego takim… – szukała słowa,

a potem wzruszyła ramionami – losem. Ale z całą pewnością jest anomalią. I ja pomogłam ją odszukać. Z ogromnym trudem i po wielu próbach, które wydawały się całymi miesiącami bezowocne.

– Anomalia – powtórzył Löwefell.

– Bardzo silna w przypadku tego potwora… człowieka… Czym on właściwie jest?

Inkwizytor pokręcił głową.

– Myślę, że tego dowiemy się dopiero na miejscu.

– Chcą cię zabrać ode mnie – odezwała się tym razem już nie na głos, lecz tylko w jego umyśle. A były w tym zdaniu i złość, i smutek. – Chcą, żebym została sama!

– Matyldo, obawiam się, że sprawa jest dużo poważniejsza niż nasze wzajemne stosunki. Chociaż rzeczywiście nie wydaje mi się, żeby Inkwizytorium w ogóle wzięło pod uwagę, iż mam zobowiązania wobec ciebie. Zapewne zostaniesz na czas mojej nieobecności przekazana pod opiekę kogoś innego.

– Ty jesteś moim lekarzem, Arnoldzie! – rzekła z gniewem. – Ty i nikt inny. Ty mnie odmieniłeś i ty odmieniłeś moje życie. Ty jesteś moim przyjacielem. I to ty powinieneś mnie chronić, nikt inny!

– Obawiam się, że Inkwizytorium ma inne zdanie na ten temat.

– Robią to celowo – powiedziała po chwili, tym razem całkiem zrezygnowana. – Zabiją mnie, kiedy cię nie będzie. Jeśli wyjedziesz, nigdy się już nie zobaczymy…

– Skąd ten pomysł, Matyldo?

– Czuję to – odparła. – Jakby otaczała mnie sieć. Jakby mnie oplątywali tak jak pająki: lepką nicią, która krępuje mi ruchy, unieruchamia, odbiera zdolność myślenia, wzbudza panikę…

Löwefell naprawdę się zaniepokoił. Nie dlatego, by uważał te przypuszczenia za prawdziwe, ale właśnie dlatego, że uważał je za głęboko nieprawdopodobne. A to oznaczało, iż operacja, którą

przeprowadził na Trójniaku, mogła uszkodzić Matyldzie umysł. I teraz ten umysł tworzył pozbawione uzasadnienia lęki, wywoływał koszmary, budził podejrzenia w stosunku do wszystkich otaczających go ludzi. Löwefell poznał przypadki osób, które sądziły, iż cały świat spiskuje przeciwko nim, iż wszyscy się porozumiewają, by im zaszkodzić lub nawet by ich zabić. Życie takiego chorego człowieka było koszmarem, ale dla innych zmieniało się w jeszcze większy koszmar, kiedy taka osoba uznawała, że jedynym sposobem skutecznej obrony jest atak. I wtedy próbowała pozbyć się wszystkich, których miała za wrogów. Jeśli takim opętanym szaleńcem był zwykły obywatel Cesarstwa, mogło się to skończyć co najwyżej kilkoma morderstwami. Jeśli manii doświadczał możny arystokrata lub, nie daj Boże, władca, wtedy potrafił zgotować swoim poddanym naprawdę piekielny los. Ale jeśli taka choroba uderzyłaby w potężną i fantastycznie uzdolnioną maginię, czarownicę czy inkwizytorię… no cóż, wtedy jej szaleństwo mogłoby spowodować potężne szkody, jeśli nie powstrzymano by jej na czas. Gorzej, iż Löwefell zdawał sobie sprawę, że tacy ludzie często bywali niezwykle sprytni, skryci i potrafili doskonale się maskować, tak by wszyscy brali ich za całkowicie zdrowych na umyśle.

– Wiedziałam, że tak właśnie pomyślisz – odezwała się smutno.

– Cóż innego mogę pomyśleć? – odparł. – Ale nie sądź, że całkowicie wykluczam twoje obawy…

– Tylko dlatego, że ty przecież nigdy i niczego całkowicie nie odrzucasz oraz nie wykluczasz – powiedziała.

– Widziałem wiele dróg, które zdawały się prowadzić donikąd, lecz kto był na tyle ciekawy, żeby je sprawdzić, jednak dokądś trafiał… – odrzekł.

– Wiesz, co jest najgorsze, Arnoldzie? Najgorsze jest, że oni mnie zabiją, a ty nic z tym nie zrobisz – stwierdziła z goryczą. – Powiedzą ci, że uczynili to, gdyż tego właśnie wymagało dobro naszej świętej wiary oraz interes Świętego Officjum. A ty tylko się z nimi zgodzisz…

Tak właśnie by było, pomyślał Löwefell z przygnębieniem. Tylko nie wiem, czy to jest najgorsze. Moja wiara jest nie najgorszym, ale najlepszym, co mnie spotkało.

– Wiara w ideę jest zapewne najlepszym, co cię spotkało – zgodziła się z nim. – Lecz nie powinieneś bezmyślnie ufać ludziom twierdzącym, że działają w imię tej idei.

– Jeśli nie mam wierzyć, że klasztor Amszilas jest wykonawcą idei, której służę, jeżeli nie mam wierzyć, że Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium wie, co należy robić, to komu mam w takim razie zaufać?

– No właśnie, komu… – Usłyszał rezygnację w jej głosie.

– Uwierzyłbym Chrystusowi, gdyby udało się go obudzić – dodał.

I przypomniał sobie tę nieruchomą, zasuszoną postać siedzącą na tronie w sekretnej komnacie klasztoru. Tę postać od wieków karmioną krwią Aniołów, krwią, która utrzymywała Go w stanie letargu, w stanie ni to życia, ni to śmierci. W stanie, który dawał nadzieję, iż kiedyś Jezus powróci do żywych, ale który jednocześnie prowokował pytanie: dlaczego miałby uczynić to właśnie teraz, skoro nie powrócił przez tyle wieków, ciągle pogrążony w tym przygnębiającym, łamiącym serce, bezdźwięcznym i bezmyślnym bezruchu.

– Nigdy Go nie obudzą – stwierdziła Matylda z dziwną pasją. – Nigdy, Arnoldzie, Go nie obudzą, jestem tego pewna! Będzie zawsze siedział na swoim tronie, tak samo żywy i tak samo przydatny światu jak mumie dawnych faraonów pochowane w egipskich piramidach.

– Dlaczego tak uważasz?

Zamknęła swój umysł przed nim tak, jakby nagle zatrzasnęła drzwi. Löwefell nie lubił, kiedy to robiła, zwłaszcza że sam nie potrafił, pomimo starań, odpowiedzieć w podobny sposób. Matylda zawsze spoglądała w jego myśli, jakby znajdowały się za szybą, natomiast Löwefell mógł patrzeć w jej umysł w taki sposób, tylko kiedy mu na to zezwalała. W innym wypadku

zatrzaskiwała okiennice tak ściśle, że nawet nie mógł marzyć, by przez nie zajrzeć. Zresztą nigdy nie próbował, gdyż szanował jej wolę i nie zamierzał zmuszać jej siłą do ustępstw.

– Mam swoje powody – odpowiedziała.

– To zbyt miałki argument, jeśli nazwać go w ogóle argumentem – odparł.

– Albo powiedzą ci, że zostałam gdzieś wysłana z ważną misją. Albo że uciekłam. – Wzruszyła ramionami. – Tak właśnie się stanie. Zobaczysz.

– Nic złego ci się nie przydarzy – stwierdził stanowczo Löwefell.

Jednak owa stanowczość była nieco udawana, gdyż słowa Matyldy zasiały w nim ziarenko wątpliwości. Oczywiście sama Matylda natychmiast to wyczuła i wcale nie poprawiło jej to humoru.

– Marius mnie nienawidzi! – krzyknęła w jego myślach tak mocno, że aż na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. – Upokorzyłam go. Zmusiłam go do ustępstw. Nigdy mi tego nie daruje!

– Marius jest zimnym i cynicznym graczem – odparł Löwefell. – Nie dałby się ponieść żadnym uczuciom, ani takim, które określilibyśmy jako dobre i szlachetne, ani też takim, które rozumiemy jako złe i podłe. Dla niego liczą się zysk i strata, a nie osobiste odczucia.

– Naprawdę uważasz, że człowieka da się wyżąć z uczuć i emocji, zupełnie jakbyś wyżymał szmatę po myciu brudnej podłogi? Naprawdę tak sądzisz? – Czuł jej oburzenie i zdumienie.

– Naprawdę tak sądzę – odparł spokojnie. – I myślę, że właśnie ja jestem najlepszym przykładem, iż ta teza jest prawdziwa.

– Wcale nie – odrzekła po chwili.

– Nie?

– Arnoldzie, wiem, co myślisz o sobie – powiedziała

z prawdziwym smutkiem. – Wiem, iż sądzisz, że jesteś potworem, którego życie jest zaledwie i o tyle cenne, o ile służy on sprawie Inkwizytorium…

– …sprawie chrześcijaństwa – poprawił ją Löwefell.

– Nie jesteś potworem, Arnoldzie – ciągnęła, nie zwracając uwagi na ten wtręt. – Może nim kiedyś byłeś. – Westchnęła. – Ale z całą pewnością nie jesteś nim teraz…

Podeszła do niego, objęła go i przytuliła. Poczuł bicie jej serca i ciepły oddech na swojej szyi. I usłyszał mocny, stanowczy głos wewnątrz głowy.

– Na Rusi spotkasz prawdziwe potwory – oznajmiła. – Być może tam, gdzie najmniej się ich będziesz spodziewał. I pilnie uważaj, żeby cię nie pożarły. – Uśmiechnęła się. – I pamiętaj, że ja płakałabym po tobie. Bo ze mnie nie wyciśnięto jeszcze wszystkich uczuć…

Pomimo że Święte Officjum podejmowało decyzje z nadzwyczajną szybkością i skutecznością, to jednak było jasne, że wyprawa nie wyruszy ani następnego dnia, ani nawet w następnym tygodniu. Należało przecież uzyskać listy polecające oraz glejty z dworu cesarskiego, przygotować wyposażenie oraz wybrać doświadczonych żołnierzy do wojskowej ochrony. Należało też odczekać, by wpierw popłynęły do Nowogrodu pisma z dworu cesarskiego, zapowiadające, iż u wielkiego księcia Włodzimierza pojawi się cesarska misja. Rusini nie lubili niespodzianek i zaskoczeń, zawsze węsząc w nich knuty przeciwko nim spisek. W sumie nie było w tym nic dziwnego, skoro żyli w kraju, w którym intrygi siedmiu wielkich książąt przeplatały się z knowaniami sąsiadów spoza samej Rusi, a każdy każdego chętnie utopiłby w łyżce wody, byle tylko poszerzyć, choćby odrobinę, zakres własnej władzy.

Zrozumiałe więc, że Löwefell miał wiele czasu, by przygotować się do podróży i by zapoznać się ze zgromadzoną w klasztorze wiedzą dotyczącą Rusi. Biblioteka w Amszilas dysponowała

największym księgozbiorem znanym chrześcijańskiemu światu. A kto wie czy nie była największą i najlepiej wyposażoną biblioteką całego świata. Löwefell wiedział, iż Persowie mają wspaniałe zbiory manuskryptów, ksiąg, rękopisów i pergaminów, lecz tylko część z nich była w posiadaniu szacha, pozostałe tkwiły rozproszone po dworach wielkich magów oraz arystokratów. Wiele mówiono też o wielkich, bogato wyposażonych bibliotekach chińskich cesarzy, ale w tym wypadku informacje były właściwie nie informacjami, ale zaledwie przypuszczeniami. Tymczasem w chrześcijaństwie to bibliotekę w Amszilas traktowano na wyjątkowych zasadach. Jeśli nawet cesarskim bibliotekarzom czy kolekcjonerom z Engelstadt udało się zdobyć rzadkie księgi, to były one natychmiast zabierane do klasztoru. Lub jeśli zabrać ich się nie dało, przynajmniej bezzwłocznie wykonywano kopię. Owszem, wielka była również cesarska biblioteka w Bizancjum, ale w skład jej zbiorów nie wchodziły pozycje tak unikatowe i tak hermetyczne jak te, które można było znaleźć w Amszilas. Nie mówiąc już o tym, że nie było w niej tylu dzieł traktujących o najbardziej mrocznych i zakazanych magicznych obrzędach oraz dotyczących demonologii.

Tym razem jednak Löwefellowi nie był potrzebny dostęp do zakazanej lub limitowanej wiedzy, gdyż chciał jedynie zapoznać się z tekstami dotyczącymi historii, obyczajów i polityki na Rusi. Czytał je zresztą z przyjemnością, bo zawsze lubił dowiadywać się czegoś nowego o otaczającym go świecie. Zwłaszcza w sytuacji, jeśli został skazany, by w tym właśnie świecie spędzić najbliższych kilka miesięcy.

Wolał oddawać się lekturze w ogrodzie, a nie w posępnych i cichych wnętrzach biblioteki, gdzie woń skórzanych opraw mieszała się z zapachem płonących knotów w lampach, a okna były położone wysoko, zawsze zamknięte i wąskie niczym otwory strzelnicze. Löwefell w ogrodzie znajdował sobie miejsce wśród drzew, zazwyczaj odosobnione, i tam rozkładał się z książką. Być może ożywcza woń trawy i kwiatów, świergot ptaków i lot kolorowych motyli nie pasowały do ponurych lektur o ciężkim życiu, na końcu którego czekała ciężka śmierć (czyli o zwykłej

doli mieszkańców Rusi), lecz Löwefellowi nie wadził ten dysonans.

Nikt mu nie przeszkadzał w czytaniu, nikt go też nie kłopotał innymi obowiązkami. Oczywiście cały czas poświęcał też uwagę Matyldzie, rozmawiał z nią nie tylko o nadchodzącej podróży, lecz o sprawach zupełnie niezwiązanych z wyprawą. Nie wracali ani do podejrzeń i oskarżeń Matyldy, ani do rozmów toczonych w myślach, a sama Matylda zamknęła przed inkwizytorem swój umysł. Być może była cały czas urażona, że Löwefell tak łatwo poddał się woli Inkwizytorium i zdecydował się opuścić zarówno klasztor, jak i ją samą. A może tylko grała? A może przyczyną była postępująca choroba? Löwefell miał nadzieję, że po powrocie z Rusi zastanie Matyldę nie tylko żywą, lecz i w dobrym zdrowiu. Chociaż liczył się z myślą, że może ona zostać odesłana gdzie indziej lub pod opiekę kogoś innego. I wiedział, że jeśli zajdzie taka właśnie ewentualność, to nie zawaha się żądać wyjaśnień. Bo Matylda była w jakiś sposób jego dziełem, a z całą pewnością czuł się za nią odpowiedzialny. Poza tym tajemnice, które skrywała, wydawały się mieć wyjątkowe znaczenie.

Minął tydzień od dnia, w którym na naradzie postanowiono o wyprawie na Ruś, a Löwefell jak zwykle siedział w ogrodzie pogrążony w lekturze. Ani nie usłyszał, ani nie wyczuł Katriny, dopóki ta nie stanęła tuż przed nim.

– Dzień dobry, Arnoldzie – powiedziała z uśmiechem.

Wstał i odłożył książkę na bok.

– Cieszę się, że cię widzę – odparł i już wymawiając te słowa, zrozumiał, że nie są one jedynie zdawkową uprzejmością, lecz że naprawdę jest zadowolony.

– Widzę, że pilnie przygotowujesz się do podróży. – Zerknęła na opasły tom leżący na ławce.

– Mam wrażenie, że Ruś jest jednym wielkim pytaniem, na które nie ma dobrej odpowiedzi – odrzekł. – Informacje, które znajduję, są oczywiście cenne i często bardzo precyzyjne,

niemniej… białych plam na tej mapie jest o wiele za dużo.

Skinęła głową.

– Tak jak mówił Marius: Ruś do tej pory obchodziła nas jedynie w niewielkim stopniu. Mam nadzieję, że wy, idąc aż za Kamienie, zdobędziecie dużo większą wiedzę.

– I wrócimy w na tyle dobrej kondycji, żeby tą wiedzą się podzielić – zauważył na pół żartobliwym tonem.

Katrina zbliżyła się o krok i stanęła tuż przed Löwefellem, a ponieważ była o głowę od niego niższa, skierowała wzrok do góry, by móc spojrzeć w jego oczy.

– Uważaj na siebie, Arnoldzie – nakazała poważnie. – Nie chciałabym cię stracić.

– Wierz mi, że ja również nie chciałbym stracić ani ciebie, ani siebie samego – odparł Löwefell lekkim tonem.

Uśmiechnęła się i musnęła dłonią jego policzek. Miała zaskakująco chłodne palce, jak na tak upalny dzień, a ich dotyk sprawiał kojące wrażenie. Odsunęła się i usiadła na otoczonej różami ławce. Przez chwilę zdawało się, jakby zniknęła w kokonie z soczyście zielonych liści i pędów. Oparła się wygodnie.

– To niebezpieczna podróż, przyjacielu.

– I niewygodna – dodał Löwefell.

– O tak, to na pewno – zgodziła się z nim.

– Sądzisz, że ów stwór, ta istota, jakkolwiek by ją nazywać, może nam zagrozić?

– Kto wie. – Zmarszczyła brwi. – Być może… Chociaż niekoniecznie w taki sposób, w jaki sobie to wyobrażacie…

Inkwizytora zaskoczyły te słowa.

– A jakiego sposobu według ciebie sobie nie wyobrażamy?

– On ma półtora tysiąca lat i nie znamy jego zdolności, a wiemy jedynie, iż przewędrował pół świata. Czego się nauczył poza tym,

co dostał w Jerozolimie w darze lub przekleństwie?

– Przekonamy się.

– Tak, to prawda. Przekonacie się. – Skinęła głową.

– Żałuję, że nie będzie cię z nami – powiedział i była to szczera prawda. Potem zawahał się przez chwilę, ale jednak zdecydował się zadać to pytanie: – Czy potrafiłby zagrozić tobie, gdybyś nam towarzyszyła?

Uśmiechnęła się lekko.

– Raczej nie – odparła.

Löwefell wiedział, że nawet gdyby miał moc zapominania wydarzeń ze swego obecnego życia, to w jego pamięci nie zatarłoby się wspomnienie niezwykłej podróży do nie-świata, jaką odbył wraz z Katriną. Tej fascynującej eskapady, w czasie której zobaczył rzeczy, o jakich nawet nie sądził, że są możliwe. Ta łatwość, z jaką Katrina pokonywała przeszkody i bariery nie-świata, ta zimna bezwzględność, z jaką torturowała potężnego demona, to oddanie ich wspólnej Sprawie – wszystko wywarło na Löwefellu wielkie i niezatarte wrażenie. Nie tylko nie chciał o tym zapominać, ale pragnął pielęgnować w pamięci te wyjątkowe wspomnienia.

– Mam własne sprawy – dodała. – Chociaż nie sądź, że lekceważę wasze. Tak już rzeczy się układają…

– Oczywiście – zgodził się z nią, gdyż najlepiej przecież wiedział, że własna wola człowieka jest zaledwie prochem na drodze, po której toczą się wielkie głazy boskich zamierzeń. I nie zamierzał się przeciwko tej świadomości buntować.

– Siądź koło mnie – nakazała.

Posłusznie usiadł tak blisko, że dotknęli się ramionami. Katrina poruszyła ustami i wtedy Löwefell poczuł nagły i niezwykle silny przypływ magii. To było niczym uderzenie wielkiej fali na pustym i spokojnym, zdawałoby się, morzu. Zrozumiał, że Katrina coś zrobiła, ale nie był w stanie dojść, cóż to takiego było. Dopiero po chwili pojął, że oddzieliła ich barierą od

rzeczywistego świata, zamknęła w kokonie, umieściła w azylu, gdzie istnieli tylko i wyłącznie oni. Musiał przyjrzeć się uważnie, by dostrzec, że liście i pędy różanych krzewów przypominały w tej chwili metalowe pręty i blaszki, rezonujące i drgające w rytm nieznanej melodii. Przed czym ich broniła? Przed niepowołanymi uszami i oczami. A raczej przed uszami i oczami właśnie powołanymi do tego, by śledzić, pilnować i zdawać raporty.

– Strzeż się, Arnoldzie – powiedziała, obracając na niego spojrzenie.

Jej włosy zdawały się teraz nie złote jak zazwyczaj, ale zielonkawe, tak jakby kobieta zamieniała się w jeden z różanych pędów, które ją otaczały. Twarz Katriny, zwykle delikatna i łagodna, teraz nabrała dziwnie nieludzkiego piękna, co czyniło ją zarówno nieodparcie pociągającą, jak i przerażającą.

– Czego mam się strzec?

– Ta podróż ma wiele znaczeń – rzekła. – A obecność inkwizytora nie jest bynajmniej przypadkowa.

– Mordimer.

– O tak. Bękart wiedźmy…

Oczy Katriny spoglądały gdzieś w nieznaną Löwefellowi dal. W przeszłość? W przyszłość? A może gdzieś obok rzeczywistości, w której tkwili? Te oczy były już teraz pozbawione źrenic, ciemnozielone i błyszczące niczym wypolerowane malachitowe klejnoty.

– Pilnuj go, Arnoldzie.

– Będą chcieli go zabić?

– Być może będą chcieli zabić was wszystkich – stwierdziła i przez chwilę milczała. – Ale obecność bękarta jest próbą – dodała. – Każde z was pragnie zdobyć Szachor Sefer. A tam przez kilka miesięcy będziecie mieli Księgę na wyciągnięcie ręki.

– Każde z nas? – zdziwił się Löwefell. – Barnaba Biber również?

Inkwizytor nie mógł sobie wyobrazić spokojnego Bibera ogarniętego jakimś niezwykłym i niedającym się okiełznać pożądaniem.

– O tak, on też… – odparła Katrina. – Szachor Sefer ukryta w tym inkwizytorze jest jak gojąca się rana, która tak swędzi, że masz ochotę ją rozdrapać. Nie daj się skusić, Arnoldzie.

– Nie kusi mnie Szachor Sefer – odrzekł Löwefell najzupełniej szczerze. – Gdyż i tak nie miałbym pojęcia, jak z niej korzystać. Dużo bardziej pragnę odzyskać Roksanę. – Przed oczami inkwizytora znowu mignęła postać perskiej wiedźmy z czasów, kiedy była jeszcze młoda, piękna i królowała w pałacu Narsesa. – A inkwizytora będę strzegł, jeśli tylko sobie tego życzysz… – dodał.

Löwefell nie wiedział, dlaczego Katrina przedsięwzięła tak nadzwyczajne środki ostrożności. Dlaczego otoczyła ich oboje barierami chroniącymi przed wzrokiem i słuchem ludzi, którzy pragnęliby ich zobaczyć i podsłuchać? Przecież nie mówiła niczego nagannego, bo nawet słowa „będą chcieli zabić was wszystkich” można było interpretować na rozmaite i w dodatku kompletnie różniące się między sobą sposoby. Owszem, Löwefellowi przeszło przez myśl, że chodzi o intrygi w środku Wewnętrznego Kręgu i że niepowodzenie ich ruskiej misji może być komuś na rękę, lecz przecież niekoniecznie taka wykładnia ostrzeżenia musiała być prawdziwa. O co więc chodziło?

– Nauczę cię czegoś, Arnoldzie – rzekła, a jej całkowicie nieludzka już, choć nadal niezwykle piękna twarz niemal przylgnęła policzkiem do policzka inkwizytora.

Löwefell ani nie lękał się tego oblicza, ani ono go nie odstręczało. Cenił Katrinę jako towarzyszkę wspólnej Sprawy, jako istotę, która zdawała się najbliższa mu duchem ze wszystkich osób, jakie spotkał po tym, kiedy z perskiego maga Narsesa stał się praworządnym inkwizytorem Arnoldem Löwefellem.

– Słuchaj mnie uważnie i zapamiętaj każde słowo – przykazała.

A potem dotknęła ustami jego ucha i wszeptała mu w nie długą, skomplikowaną litanię w języku, którego Löwefell nie rozumiał. Ale język ten doskonale poznawał. Była to ta sama mowa, w której Katrina przesłuchiwała demona pochwyconego w nie-świecie.

Kiedy skończyła szeptać mu na ucho, odsunęła się nieco.

– Wiem, że zapamiętałeś – rzekła. – Wiem, że pamiętasz wszystko, co tylko zostało lub zostaje powiedziane w twojej obecności. Wiem również, że potrafisz odtworzyć moje pytania i odpowiedzi demona, którego przesłuchałam w czasie naszej wyprawy do nie-świata. Czyż nie tak, Arnoldzie? Potrafisz to uczynić, prawda?

– Potrafię – odparł Löwefell, gdyż nie zamierzał jej okłamywać.

– Kiedyś być może zrozumiesz mowę, w której rozmawialiśmy. Może nawet kiedyś, kto wie, sama cię jej nauczę…

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu i przez króciutką chwilę znowu przypominała prawdziwą Katrinę. Tę piękną, delikatną dziewczynę o radosnym uśmiechu. Zresztą któż mógł wiedzieć, która Katrina była prawdziwa? Jeśli w ogóle istniało coś takiego jak prawdziwa prawda…

– Wypowiesz zdanie, którego cię nauczyłam, jednak uczynisz to raczej później niż wcześniej.

Löwefell skinął głową.

– Wiem, że to jest zaklęcie, i czułem jego przejmującą moc. Ale czy możesz mi wyjawić, w jaki sposób działa?

– Odsłania prawdziwe oblicze rzeczy i rozwiewa iluzje tak chętnie tworzone przez wiele istot pragnących omamić człowieka. Działa bez względu na to, jak silna byłaby to ułuda – odparła Katrina. – Ale ostrzegam cię bardzo poważnie, Arnoldzie. – Ujęła jego dłonie. Jej palce były jak wykute z lodu. – Nigdy, przenigdy nie użyj tej magii na terenie klasztoru. Ba, nigdy, przenigdy nie użyj jej w Cesarstwie. Tam, gdzie trafisz, tysiące mil od nas, możesz zaryzykować.

– W Holmgardzie?

Pokręciła głową.

– Nie, w Holmgardzie też jeszcze nie. Zresztą nie byłoby takiej potrzeby – odparła. – Wypowiedz je, kiedy przekroczycie Kamienie. Tak, za Kamieniami – powtórzyła. – Wypowiedz je, kiedy zobaczysz fortecę Herenniusza Furiusa na horyzoncie. Tam już powinno być bezpiecznie. Możesz powtarzać zaklęcie, kiedy będziesz tego potrzebował, ale jego moc nie wytrzyma dłużej niż godzinę. Choć może to być godzina bardzo… znacząca – dodała.

Löwefell skinął głową, lecz musiał przypomnieć jeszcze o jednej sprawie.

– Van Bohenwald ostrzegł nas, żebyśmy nie używali na Rusi naszych zdolności, a więc jak…

– To zaklęcie jest poza możliwością postrzegania przez kapłanów i wiedźmy – przerwała mu. – Nie będą w stanie niczego dostrzec ani poczuć, ani nawet doznać najlżejszego przeczucia, iż coś rozerwało magiczne osnowy. Mojego zaklęcia możesz używać wśród nich całkowicie bezpiecznie.

– A Nontle? A Biber? Czy nie wyda im się dziwne, że użyłem magii, pomimo iż ostrzegano nas, żebyśmy tego nie czynili?

Twarz Katriny znowu zmieniła się pod wpływem uśmiechu. Ale tym razem nie był to poprzedni, łagodny uśmiech.

– Oni też niczego nie dostrzegą ani nie poczują – stwierdziła. – Poza tym jestem pewna, że za Kamieniami będziecie nie tylko mogli korzystać ze swoich zdolności, ale wręcz będziecie musieli to uczynić. Wątpliwe, by ktokolwiek doniósł o takim wydarzeniu ruskim książętom.

Potem odetchnęła głęboko.

– Wracajmy – rzekła.

Löwefellowi zakręciło się w głowie, na chwilę przed oczy spadła mu czarna zasłona, czy raczej może lepiej powiedzieć: omotała mu twarz skłębiona i poszarpana czarna chmura pełna brudnokarmazynowych rozbłysków. Uchwycił silniej poręcz

ławki i kiedy wzrok wrócił, dojrzał najzwyklejszą słoneczną tarczę oświetlającą klasztorny ogród. Katrina też już wyglądała zwyczajnie, a rysy jej twarzy odzyskały delikatność i całkowicie ludzkie piękno, które teraz wydawało się może pospolite, ale przez tę właśnie pospolitość tym bardziej urokliwe.

Katrina wstała, a Löwefell podniósł się w ślad za nią, cały czas ogłuszony doświadczeniem, którego przed chwilą zaznał. Czuł się tak, jakby długo, bardzo długo wstrzymywał oddech i teraz jego organizm walczył z tym, że niedawno brakowało mu powietrza. Katrina objęła go i ucałowała w oba policzki, nie ze zdawkową uprzejmością, ale z prawdziwie ciepłą życzliwością.

– Do zobaczenia, Arnoldzie. Będę na ciebie czekać.

– Do zobaczenia, Katrino – odparł. – Będę za tobą tęsknić.

Spoglądał na nią, kiedy odchodziła żwirowaną alejką ciągnącą się wzdłuż szpaleru krzewów. Wysmukła, odziana w biel, opromieniona zachodzącym słońcem i z rozpuszczonymi włosami, które otulały ją niczym mgła skrząca się złotoróżowym pyłem. Jeżeli Arnold Löwefell czuł kiedykolwiek jakąkolwiek bliskość z drugą ludzką istotą, to pojawiła się ona właśnie wtedy. I to uczucie trwało, pomimo że zdał sobie sprawę, iż słońce chyli się ku zachodowi. A przecież kiedy siadali na ławce wśród róż, minęło niedawno południe. Cóż więc wydarzyło się w ciągu kilku godzin, których upływu Löwefell w ogóle nie pamiętał?

Katrina, daleka już i niemal przysłonięta pniami drzew, za które skręcała, obróciła się na chwilę i skinęła mu jeszcze dłonią. Löwefell był pewien, że doskonale wiedziała, iż on doskonale wie, że wydarzyło się coś, nad czym nie miał żadnej kontroli. Odpowiedział jej skinieniem i uśmiechnął się do własnych myśli. Uśmiechnął, gdyż sam był zdziwiony, że myśl o tym, iż jest manipulowany przez Katrinę, nie robiła na nim szczególnego wrażenia. A na pewno nie budziła ani obawy, ani sprzeciwu. Löwefell już dawno zdecydował, że pozwoli wydarzeniom toczyć się według scenariusza, który napisała dla nich Katrina. Nie zamierzał nikomu ufać bezwarunkowo, jednak wiedział, że świat, nawet świat Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, jest po

prostu tak skonstruowany, iż niektórym osobom trzeba nie ufać trochę mniej niż innym…

Hez-hezron był jak każde wielkie miasto w czasie suchego lata. Brudny, śmierdzący i zły. Przypominał wściekłe, chore zwierzę, zwinięte w kłębek i warczące na każdego, kto się do niego zbliży. Mieszkańcy dostawali już szału od upałów. Zwady i awantury kończące się okaleczeniem lub zabójstwami zdarzały się coraz częściej, dyby pod kościołami i na rynku co dzień wypełniały się nowymi skazanymi, a lochy w zamku burgrabiego były przepełnione. Löwefell w ogóle nie lubił wielkich miast, ale wielkie miasto w czasie skwarnego lata było już prawdziwym utrapieniem. Oczywiście gdyby wymagała tego Sprawa, potrafiłby tu mieszkać i nie skarżyłby się na własny los. Jednak nie zamierzał ukrywać zadowolenia, że tegoż losu udało mu się uniknąć. Ludzie na ulicach Hezu byli albo wściekli, albo zniechęceni i zmęczeni, ci, którzy mogli, szukali odpoczynku w cieniu lub uważali, że znajdą go we wnętrzach budynków. Löwefell z rozbawieniem zauważył, że kościoły cieszyły się większą liczbą odwiedzających niż zwykle. Którzy to odwiedzający bynajmniej nie oddawali się pobożnym rozmyślaniom, ale po prostu korzystali z chwili, kiedy mogli przysiąść w chłodnym i mrocznym kamiennym wnętrzu. Inni znowu szukali pocieszenia w zajazdach, szynkach i karczmach, licząc, iż przy szklance piwa lub wina zdołają zapomnieć o panującej na ulicach spiekocie, a po kilku lub kilkunastu takich szklankach będzie im już wszystko jedno, nie tylko czy jest ciepło, czy zimno, ale nawet w jakim właściwie znajdują się mieście.

Löwefell wiedział, że poszukiwany przez niego inkwizytor siedzi teraz w jednej z miejskich winiarni, więc skierował kroki właśnie w to miejsce. Winiarnia była przybytkiem raczej podłym, choć niewątpliwie w Hezie zdarzały się jeszcze nędzniejsze miejsca wyszynku. Można więc powiedzieć, że człowiek odwiedzający ową karczmę upadł co prawda dość nisko (lub starał się oszczędzać pieniądze), jednak resztki godności nie pozwalały mu na odwiedziny w najbardziej obskurnych

spelunkach.

Löwefell przyglądał się temu człowiekowi dłuższą chwilę, zanim zdecydował się do niego podejść. Mężczyzna miał twarz o zbyt ostrych rysach, by nazwać go przystojnym, ale krótki, ciemny zarost, sięgające ramion włosy i przenikliwe spojrzenie czarnych oczu czyniły jego oblicze całkiem interesującym. Siedział samotnie przy stole, tak ulokowany w kącie, że ściany zasłaniały jego plecy i boki. Miał pochyloną głowę i bawił się srebrną trójkoronówką, przerzucając ją między palcami. Przed nim stał do połowy opróżniony kubek. Löwefell zbliżył się, następnie usiadł naprzeciwko. Mężczyzna nie podniósł nawet spojrzenia, jedynie skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Witajcie, mistrzu Arnoldzie. Czemu skradacie się, jakbyście byli kotem polującym na mysz?

Löwefell zaśmiał się bez przymusu.

– Witajcie, mistrzu Mordimerze Madderdin – rzekł żartobliwie uroczystym tonem. – Miło cię widzieć po tylu latach – dodał już ze zwyczajną serdecznością, która co dziwne, przyszła mu całkiem bez trudu.

Inkwizytor nazwany Mordimerem uniósł głowę.

– Napijesz się wina? Mają tu co prawda paskudnego sikacza, ale za to taniego…

Löwefell obrócił się do obsługującej gości dziewczyny, która właśnie podchodziła, wpatrzona w Löwefella niczym w obrazek.

– Czym wam mogę usłużyć? – spytała, zatapiając w nim spojrzenie przejrzyście niebieskich oczu.

– Dwie butelki złotej alhamry – rozkazał Löwefell.

– Złota alhamra, oczywiście. Jak sobie życzycie, panie. Już niosę.

– Złota alhamra? – prychnął Madderdin. – Ze złotych trunków jedyne, co tu można dostać, to chyba żółte szczyny karczmarza.

– Znajdzie się i alhamra – uśmiechnął się Löwefell.

– Skoro tak mówisz. – Mordimer wzruszył ramionami. – Rzeczywiście nawet ta mała do ciebie zaraz przyfrunęła. – Poszukał wzrokiem obsługującej dziewczyny. – A jej przecież nigdy nie spieszno…

– Jak ci się wiedzie, Mordimerze?

– Mówiąc „mogłoby być lepiej”, obraziłbym los, bo wiem, że równie dobrze mogłoby być gorzej…

– Niemniej, jak słyszałem, nie skorzystałeś z propozycji służby w Ostrawie.

– Widzę, że dużo o mnie wiesz. – Madderdin spojrzał uważnie.

– To dobrze czy źle?

– Ty mi powiedz.

– Mam dla ciebie propozycję wyjazdu, Mordimerze. Wyjazdu bardzo interesującego, w dodatku w doborowym towarzystwie i z prawdziwie ważną misją.

– Można zginąć?

Löwefell uśmiechnął się i pstryknął palcami.

– Może nie ot tak łatwo, ale można…

– W takim razie brzmi interesująco. – Madderdin dopił resztę wina z kubka i odstawił puste naczynie na blat stołu. – Na gniew Pana – mruknął zdumiony – ta mała chyba naprawdę niesie alhamrę!

Löwefell zerknął przez ramię i dostrzegł dziewczynę, która szybkim krokiem zmierzała w ich stronę, a na tacy niosła tak charakterystyczne dla alhamry pękate, żłobione flaszki z lakowanym czerwono korkiem.

Dziewczyna postawiła przed nimi butelki i dwie wysokie kryształowe szklaneczki.

– Czy będę jeszcze w czymś przydatna? – zapytała, wpatrując się w Löwefella maślanym wzrokiem. – Może mogłabym przynieść dojrzały ser albo owoce?

– Wystarczy. Możesz odejść – nakazał Löwefell, a ona odpłynęła na środek sali z rozmarzonym uśmiechem.

– Przyniosła nam kryształowe szklanki – powiedział Mordimer z niedowierzaniem. – W tej spelunie, gdzie nawet metal jest poszczerbiony, a glina popękana… No, no…

Löwefell otworzył korek i pozwolił winu przez chwilę odetchnąć, po czym ostrożnie wlał je do szklanek. Trunek napełnił naczynia niczym płynne, błyszczące złoto. Madderdin wciągnął powietrze w nos.

– To nie oszustwo – powiedział z podziwem. – Najprawdziwsza stara alhamra.

– A więc jednak jesteś smakoszem – zauważył Löwefell.

– Może nie smakoszem i nie koneserem, lecz znam ten zapach. Choć warto dodać, że jedynie naprawdę rzadko stać mnie, żeby wrażeniami dla nosa podzielić się z językiem oraz z podniebieniem. – Madderdin przymknął oczy. – Ta misja zapowiada się naprawdę paskudnie, skoro częstujesz mnie tak dobrym winem…

– Może po prostu bardzo liczę na twój udział – odparł Löwefell. Uniósł szklankę. – Za co wypijemy?

– Za złoto i kobiety – poddał Mordimer. – Chociaż w zasadzie – dodał – kiedy jest złoto, to kobiety zjawiają się same, bez potrzeby szukania. Więc niech będzie: za samo złoto!

– Niech tak będzie – zgodził się Löwefell.

Zamoczył usta i przez chwilę delektował się winem. Chociaż nie odczuwał pożądania wykwintnych trunków ani wytrawnych delikatesów, jednak potrafił docenić wybitny smak. A ta alhamra naprawdę pachniała i smakowała znakomicie. Zarówno przy pierwszym dotknięciu trunku, jak i rozpływając się po podniebieniu, jak i już przepływając przez gardło. Pozostawiała w ustach aromat przydymionych jasnych czereśni skąpanych w zapachu białych kwiatów, przechodzący łagodnymi nutami w smak nasyconych słońcem poziomek.

Przez długą chwilę obaj milczeli.

– Czyż to nie zdumiewające, że są ludzie, którzy potrafią tak kształtować krzewy winorośli, a potem tak zmyślnie przyrządzać owoce tejże winorośli, by w efekcie uzyskać smak oraz aromat tak niezwykłej urody? – zapytał Löwefell.

– Czyż to nie zdumiewające, że są ludzie, którzy potrafią tak kształtować ludzkie dusze, by opróżnić je niczym beczki pełne zgnilizny i następnie napełnić likworem woniejącym piękniej niż rajskie ogrody? – odpowiedział pytaniem Madderdin z ironicznym uśmiechem.

Przez dziwną chwilę Löwefell miał wrażenie, jakby to bystre spojrzenie przeniknęło go na wylot i dostrzegło jego straszną perską przeszłość. Jakby zobaczyło też, że on sam, Arnold Löwefell, jest właśnie tą beczką, z której już usunięto cuchnący szlam grzechu. Oczywiście było to całkowicie niemożliwe. Madderdin nie dysponował zdolnościami pozwalającymi mu w świecie rzeczywistym przejrzeć Löwefella. Owszem, kiedyś w nie-świecie ujrzał inne oblicze swego towarzysza, ale tutaj widział go tak, jak Löwefell chciał, by go widziano.

– Jesteśmy inkwizytorami i tak budujemy oraz zmieniamy ludzi, żeby bardziej podobali się Bogu – rzekł Löwefell.

– Ostatnio budowałem głównie stosy – zauważył Mordimer.

– Żałujesz tego?

– Nie. Oczywiście, że nie żałuję. – Madderdin wzruszył ramionami. – Spaliłem wielu złych ludzi, więc jestem pewien, że podobało się to zarówno Bogu, jak i wszystkim dobrym ludziom. A zważywszy, jak widzowie gorąco klaskali w czasie egzekucji i jak radosne wznosili okrzyki, to sądzę, że świetnie rozumieli, iż tam, w płomieniach, wykuwają się właśnie Dobro oraz Prawo Boże.

Löwefell przez chwilę, krótką niczym mgnienie oka, pożałował, że będzie musiał zabrać tego człowieka na Ruś. Ale potem uczucie minęło, zwłaszcza że i tak ani decyzja, ani wybór nie należały do żadnego z nich.

– Jaka to wyprawa, Arnoldzie? – zagadnął Madderdin.

– Na początek do Lubeki, potem statkiem do Narwy.

– Do Narwy – powtórzył Mordimer powoli. – To oznacza cały Bałtyk do przeżeglowania. A cóż takiego będziemy robić w Narwie?

– Przesiądziemy się na konie – odparł Löwefell.

– Żeby dojechać dokąd?

– Do Holmgardu. Do Nowogrodu.

– No, no – pokręcił głową Mordimer. – Kiedyś słyszałem, że ruscy książęta nie przepadają za inkwizytorami. Ale być może czasy i sympatie dzisiaj się już zmieniły… Zmieniły się, Arnoldzie? – Przyglądał się uważnie Löwefellowi.

– Niestety nie – przyznał Löwefell. – Toteż w misji, w której weźmiemy udział, przedstawieni zostaniemy jako cesarscy wysłannicy. Którymi zresztą będziemy – dodał. – Posiadając wszelkie pisma oraz pełnomocnictwa od najjaśniejszego pana.

– Oryginalne – rzekł Mordimer.

– Innych nie miewamy – odparł Löwefell.

– Oczywiście. Czego będziemy szukać w Nowogrodzie?

– Gościńca do Peczory.

Mordimer spoglądał na niego przez chwilę nierozumiejącym spojrzeniem, potem tylko wzruszył ramionami.

– Tuś mnie przyłapał. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Peczora. Stolica księstwa i jednocześnie forteca strzegąca wrót prowadzących do Kamiennych Gór.

– Do Kamiennych Gór? Do Kamieni? – Madderdin pokręcił głową z niedowierzaniem. – Chodzi ci o te długie na tysiąc mil góry, które oddzielają Ruś od azjatyckich stepów i puszczy?

– Długie na prawie tysiąc pięćset mil, aby być dokładnym, lecz nas nie obchodzi ich długość, gdyż zamierzamy przejść na drugą ich stronę…

– Dokąd zmierzamy potem? Do Chin?

– Bogu dziękować nie – pokręcił głową Löwefell, który rzeczywiście był szczerze wdzięczny losowi, iż wampir nie zamieszkał w Chinach. – Nasz cel znajduje się niedaleko za Kamieniami. Mamy do niego dotrzeć, a potem wrócić.

– Czy w czasie tego docierania oraz później tego wracania trzeba będzie zabić wielu ludzi?

– A jeśli tak, czy przeszkadza ci to?

– Nieszczególnie. – Madderdin wzruszył ramionami. – A czy dowiem się, na kogo polujemy? Lub może zręczniej spytać: na co polujemy?

– Skąd pomysł, że jedziemy na polowanie?

Mordimer spojrzał mu prosto w oczy.

– Jeśli nie chciałbyś, żebym kogoś dla ciebie zabił, to po co byś do mnie przychodził?

Löwefell uniósł szklankę.

– Za dobrych ludzi, mistrzu Madderdin.

– I za ważne misje, mistrzu Löwefell – odpowiedział Mordimer, unosząc swoje naczynie.

Wypili i przez chwilę milczeli, gdyż trunek naprawdę był znakomity i dobrze było ten smak kontemplować chociaż przez chwilę w niespiesznej ciszy.

– Kiedy mam być gotowy? – spytał wreszcie Madderdin.

– A kiedy możesz być gotowy?

– Dzisiaj? – Mordimer wzruszył ramionami. – Albo nawet za godzinę?

– Nie pytasz, jaki będzie żołd?

Madderdin roześmiał się.

– Oferujesz mi daleką podróż, w czasie której, jak mniemam, będziesz płacić moje rachunki za jedzenie, picie, kwaterę oraz

odzienie. Zakładam, że dostanę od ciebie konia i broń. To i tak więcej, niż mógłbym się spodziewać od kogokolwiek tutaj. – Machnął ręką. – A ponieważ, jak sądzę, pełnisz ważną funkcję i otrzymałeś ważne zadanie od ważnych ludzi lub ważnych instytucji, to wierzę, że oprócz utrzymania znajdziesz również dla mnie kilka monet, żeby osłodzić mi rozstanie z naszym ukochanym Cesarstwem.

– Skoro tak, to jesteśmy umówieni – rzekł Löwefell.

Rozlał resztę trunku z pierwszej butelki.

– Drugą zabieram ze sobą, wypijemy ją już u mnie na kwaterze. Bądź jak najszybciej, zatrzymałem się w „Kotle Wiedźmy". – Löwefell zmarszczył brwi. – Swoją drogą, co za niecodzienna i dziwna nazwa…

– Trzydzieści lat temu w przybudówce obok tego zajazdu, który nazywał się jeszcze „U Teofila", miał swój kantor pewien aptekarz – wyjaśnił Mordimer z uśmiechem. – Aptekarza oskarżono o trucicielstwo, lecz sprytnie udało mu się przekonać śledczych, że za wyrabianie trucizn odpowiedzialna jest jego kochanka i pomocnica…

– A była?

– Jak się przypuszcza, on był głową, ona rękami – odparł Madderdin. – Tyle że on był człowiekiem pochodzącym stąd, z Hez-hezronu, i jego rodzinę znano od wielu pokoleń. Tymczasem ona była zaledwie przybłędą. Toteż ją ugotowano żywcem w oleju, a on dużo wcześniej dał drapaka z miasta. No i właściciel oberży na pamiątkę przemianował ją na „Kocioł Wiedźmy". Zarówno żeby przypomnieć, iż skazana kobieta warzyła trucizny, jak i żeby przypomnieć, gdzie i w jaki sposób skończyła życie…

– Cóż, dowcipnie – mruknął Löwefell. – A aptekarz? Znaleziono go?

– Po cóż by go miano szukać, skoro prawo się wykonało?

– No tak, po cóż… – ironicznie zgodził się Löwefell. – No dobrze,

w każdym razie czekam na ciebie.

– Aha, jeszcze jedno. – Madderdin przyglądał mu się ostentacyjnie uważnym wzrokiem. – Minęło kilka ładnych lat od naszego ostatniego spotkania, a ty się nic nie zmieniłeś, Arnoldzie. Zupełnie nic. Bardzo się cieszę, że widzę cię w aż tak dobrym zdrowiu.

– Ty też niewiele się zmieniłeś, Mordimerze – odparł Löwefell.

Mordimer Madderdin skinął głową.

– Taaak – odparł. – Całkiem niewiele…

Potem odwrócił się i odszedł, nie mówiąc już ani słowa więcej.

Zjawienie się w „Kotle Wiedźmy” zajęło Madderdinowi co prawda więcej niż godzinę, ale rzeczywiście nie więcej niż dwie i Löwefell był zadowolony z tego pośpiechu, gdyż oznaczał on również, że młody inkwizytor niczego w Hezie nie zostawia i rozstania z miastem naprawdę nie będzie żałował. Löwefell kazał, aby podano im obiad do pokoju.

– Czy jesteś dowódcą tej wyprawy? – zagadnął Mordimer.

– Nie, raczej nie – odparł Löwefell.

– Raczej? A więc nie wiesz, kto jest jej dowódcą?

– Ten, kto w danej chwili jest gotów wziąć odpowiedzialność i czuje się na siłach, by to uczynić.

– Ach tak. – Mordimer zamyślił się. – Interesujące rozwiązanie w czasie misji do obcych, wrogich krain. Odważne.

– Zazwyczaj zdaje egzamin, więc nie sądzę, by ktokolwiek chciał je zmieniać. To kwestia zaufania, mistrzu Madderdin.

– Nie słyszałem, by w Inkwizytorium sprzedawano lub kupowano coś za taką walutę, ale cieszę się, iż byłem w błędzie…

Löwefell podał mu szklankę napełnioną winem.

– Za naszą wyprawę, Mordimerze – powiedział.

Sam umoczył tylko usta, ale jego gość przechylił trunek i opróżnił szklankę w trzech długich łykach.

– Jak wielka to będzie wyprawa?

– Nas dwóch, dwoje innych wysłanników Officjum oraz zbrojna eskorta.

– Dwoje?

– Doświadczony inkwizytor oraz kobieta, którą znasz być może pod mianem Hildegardy Reizend.

Mordimer przymrużył oczy.

– Cenię moją głowę, lecz tym razem bez namysłu postawiłbym ją, iż wcześniej słyszałem to nazwisko.

– Autorka „Traktatu o anomaliach".

– Tak, pamiętam. – Madderdin potarł brodę knykciami. – Nie skłamię, że przypominam sobie każde słowo z jej dzieła, ale nie jest mi obcy ogólny zarys i pewne fragmenty. Owa Reizend to nie lada podróżniczka, co?

– Pełna zgoda. Nie znam nikogo, kto zwiedziłby większą połać świata. Wędrowała od Afryki po Indie, wszędzie zbierając informacje, goszczona przez plemiennych wodzów, książąt, magów i królów.

Mordimer pokręcił głową i Löwefellowi wydawało się, że na twarzy towarzysza dostrzega naprawdę szczery podziw. Jakby cynizm i ostrożność tym razem chociaż na moment ustąpiły miejsca szacunkowi.

– Nie dziwię się więc, że tym razem chciałaby zobaczyć i zbadać tak dziki i odległy kraj jak ten, który leży za Kamieniami – powiedział Madderdin. – Bo nie była tam nigdy, jak mniemam?

– Nie, nie była – pokręcił głową Löwefell. – Nikt z nas nie był na Rusi oprócz Barnaby Bibera, inkwizytora, o którym już ci wspomniałem. On zna dobrze język oraz obyczaje Rusinów, przynajmniej na tyle, na ile może je poznać obcy człowiek. Cywilizowany tak jak my.

– A ta Hildegarda musi być już stara, czyż nie? Czy stara kobieta wytrzyma trudy takiej dalekiej podróży?

Löwefell uśmiechnął się, gdyż w tym samym momencie, kiedy Mordimer zadawał pytanie, przed oczami stanęła mu smukła postać mauretańskiej księżniczki. I jej olśniewająco piękna, nieskazitelnie gładka twarz.

– Drogi Mordimerze, Hildegarda Reizend jest ostatnią osobą, po której spodziewałbym się słabości w podróży oraz narzekań na niewygody.

– Hm, a więc typ herod-baby? – spytał Madderdin. – No i bardzo dobrze – odpowiedział sam sobie. – W długą i niebezpieczną podróż nieporęcznie byłoby zabierać porcelanowe laleczki. Bo wszyscy wtedy poświęcają głównie uwagę temu, żeby coś im się przypadkiem złego nie przytrafiło i żeby się nie stłukły. A efektem takich starań może być to, iż coś złego przytrafia się wszystkim innym.

– Co racja, to racja – szczerze odparł Löwefell.

Bo przecież i on jak każdy rozsądny człowiek uważał, że łańcuch tyle jest wart, co jego najsłabsze ogniwo. Na domiar złego ludzie mieli często zwyczaj ratowania najsłabszych ogniw, co powodowało, że i te mocne stawały się wtedy podatne na uderzenia.

– W takim razie pozostaje nam tylko jedno, Arnoldzie. – Mordimer patrzył na niego z nieznacznym uśmiechem. – Pozostaje nam, że odkryjesz przede mną, po co zmierzamy aż za Kamienie i czego szukamy w tej piekielnej dziczy.

Löwefell oczywiście wiedział, że moment wyjaśnień nadejdzie. Nie zamierzał zresztą wiele ukrywać przed Mordimerem Madderdinem. Niepoinformowanie go o właściwym celu misji oraz o płynących zagrożeniach byłoby nierozsądne, a może nawet niebezpieczne. Im wcześniej się dowie, co go czeka, a raczej co ich wszystkich czeka za Kamieniami, tym lepiej.

– Słyszałem o twoich przygodach z pewnym arystokratą. Z człowiekiem, który kazał się nazywać baronem von

Haustofferem.

Madderdin milczał dłuższy czas, potem powoli skinął głową.

– Owszem, poznałem takiego człowieka – rzekł.

– Człowiek jest w tym wypadku nie do końca odpowiednim słowem, prawda?

– To prawda. Nie do końca. A może nawet nie od początku.

– Używamy słowa „wampir”…

Mordimer skrzywił się.

– Z braku lepszego pojęcia niech zostanie to, którego teraz użyłeś – odparł po chwili. – Zawsze uczono mnie, że wampirów nie ma, lecz jak widać, praktyka nie po raz pierwszy boleśnie i dramatycznie rozminęła się z teorią.

– Też nie przepadamy za słowem „wampir”, gdyż legendy i bajdy nadały mu inne znaczenie niż to, które znamy – zgodził się Löwefell.

– Znamy? – zapytał Madderdin. – Czyżbyś i ty miał do czynienia ze stworem podobnego rodzaju?

– Niestety nie – pokręcił głową Löwefell. – Jednak zapoznałem się z informacjami na ten temat. Hildegarda Reizend przez wiele lat postępowała tropem tych istot…

– Domyślam się, że ów trop prowadzi właśnie za Kamienie – westchnął Mordimer. – Wypada tylko żałować, że nie do jakiegoś przyjemniejszego miejsca…

– Zawsze mogło być gorzej – odparł Löwefell. – Wyobraź sobie choćby Islandię.

– Co jest za Kamieniami? Siedziba jednego wampira? Ich wioska? Kolonia? Wampirze królestwo?

– To najprawdopodobniej jedyny ocalały wampir na świecie – wyjaśnił Löwefell. – Jest, jak sądzimy, ochraniany i szanowany przez miejscowe plemiona.

– Bierzecie mnie ze sobą, gdyż wcześniej zabiłem wampira –

powiedział po chwili Madderdin i pokiwał głową ze zrozumieniem. – Ale powiem ci, Arnoldzie, że nie wiem, czy jest to doświadczenie, które w jakikolwiek sposób zaowocuje. Nie zrobiłem niczego szczególnego. – Wzruszył ramionami. – Sądzę, że miałem wiele szczęścia, a baron był osłabiony szaleństwem. Jego umysł nie był bowiem zwyczajnie zmącony – silnie zaakcentował ostatnie słowa. – Ten umysł był niczym gęste bagno pełne pękających purchli. Całkowicie zdegenerowany i wypaczony.

– Jesteśmy więc tym bardziej ciekawi, jak przedstawia się umysł istoty, którą pragniemy odwiedzić za Kamieniami.

– Chcecie go przesłuchać i zabić czy przesłuchać i porwać do Cesarstwa?

– Drugie rozwiązanie może być znacznie trudniejsze od pierwszego – odparł Löwefell.

– Nie mówiąc o tym, iż z własnego doświadczenia wiem, że już pierwsze rozwiązanie może być wystarczająco skomplikowane – zauważył Mordimer.

– Zdajemy sobie sprawę z możliwości owych komplikacji – przyznał poważnie Löwefell. – Wierz mi, Mordimerze, zrobimy wszystko, by nikt w czasie wyprawy nie zginął. Nikt z nas, rzecz jasna.

Madderdin skinął głową, dając znać, że przyjmuje do wiadomości to zapewnienie.

– Moim zdaniem problem tkwi jednak w tym, Arnoldzie, że dopiero kiedy staniemy twarzą w twarz z wampirem, zobaczymy, czy „wszystko” nie okaże się przypadkiem dużo za mało…

– To prawda – zgodził się Löwefell, który miał podobne przemyślenia. – Ale rozumiem, że podobna perspektywa wcale cię nie odstrasza?

Madderdin milczał przez dłuższą chwilę.

– Zastanawia mnie w tym wszystkim jeden problem. Czy mam w ogóle jakiś wybór, Arnoldzie? Czy przybyłeś do mnie

z propozycją, czy też z rozkazem zręcznie ozdobionym uprzejmymi oraz interesującymi słowami?

– A co byś wolał?

Mordimer się roześmiał.

– W dzisiejszych czasach uwierz, że wszystko mi jedno.

– W takim razie przybyłem z uprzejmą propozycją – odparł Löwefell.

– A ja w takim razie uprzejmie przyjmuję twoją uprzejmą propozycję.

Później oberżysta przyniósł im obiad, więc przestali rozmawiać na temat wyprawy na Ruś. Nie tylko dlatego, że zajęli się jedzeniem, ale i dlatego, że na razie i tak nie było już nic więcej do powiedzenia…

W Lubece wynajęto podmiejski pałacyk, w którym zamieszkali Nontle, Biber oraz oficerowie i żołnierze mający im towarzyszyć na Ruś. Löwefell i Madderdin dotarli na miejsce kilka dni później niż wszyscy. Kiedy przejeżdżali przez bramę, Mordimer rozejrzał się z ostentacyjnym zdumieniem i podziwem.

– Jak bardzo bym chciał, żeby żołd w Inkwizytorium wypłacany zwykłym funkcjonariuszom był przyznawany proporcjonalnie hojnie do wygody, jaką zapewnia się podróżującym inkwizytorom.

– Taaak. – Löwefell również się rozejrzał. – Trzeba przyznać, że uczestnicy naszej wyprawy nie męczyli się i nie cisnęli, czekając na nas…

Stajenni odebrali od nich konie, a Löwefell oraz Madderdin udali się do pałacu. I traf chciał (a może nie do końca traf, lecz po prostu ciekawość mauretańskiej księżniczki), że w westybulu natknęli się na Nontle.

– Arnoldzie, jak miło cię widzieć! – zakrzyknęła z rozpromienioną twarzą. Potem odwróciła wzrok na

Madderdina i omiotła go taksującym spojrzeniem, cały czas z uśmiechem. Ale tym razem ten uśmiech układał jej usta w wyraźny sygnał: „Ach, jakże jestem spragniona twoich pocałunków. Właśnie twoich”. – Hm, a więc to jest ten sławny Mordimer Madderdin, nieustraszony inkwizytor. Jakże chciałam cię poznać… – powiedziała, a Löwefell poczuł, że powietrze aż wibruje od stężenia magii w jej głosie.

– Nikt, kto zobaczy ciebie, pani, nie pomyśli o tym, że chciałby nie tylko mnie poznać, ale spędzić ze mną więcej czasu niż tylko tę jedną chwilę, by spytać mnie o twoje imię. Które chętnie bym mu podał, gdybym tylko sam je znał… – odparł zagadnięty inkwizytor.

Löwefell był zarówno zdziwiony (może lepiej nawet powiedzieć: zdumiony), jak i zadowolony z faktu, że na Mordimera nie działa Głos, którym z taką wprawą potrafiła się posługiwać Nontle. Oczywiście widać było, że podziałało na niego jej niezwykłe i olśniewające piękno, ale nie tkwiła w tym żadna cudowność ani magiczna niezwykłość, lecz zwyczajne i całkowicie naturalne oczarowanie młodego mężczyzny kobietą o urodzie tak oryginalnej i tak jednocześnie pociągającej. Löwefell wiedział, z czego wynikało to zadowolenie: czuł w stosunku do Mordimera coś na kształt odpowiedzialności lekarza, który sprowadził dziecko na świat i teraz przygląda mu się z zainteresowaniem. W końcu to jego wstawiennictwu Madderdin zawdzięczał edukację w Akademii Inkwizytorium. Późniejsza jego kariera była już oparta na innych podstawach niż tylko protekcja, niemniej pierwszy inkwizytorski krok postawił właśnie dzięki Löwefellowi. Löwefell miał również przekonanie, że dzięki Głosowi Nontle uczyniłaby sobie z tego młodego mężczyzny coś na kształt pieska pokojowego, a Löwefell po pierwsze nie chciał, żeby tak traktowano jednego z członków wyprawy, a po drugie uważał, że żaden inkwizytor nie zasługuje, by wykorzystywać go w podobny sposób, gdyż byłoby to ośmieszające dla samego powołania.

Nontle była najwyraźniej zdziwiona, kiedy zdała sobie sprawę, że na przybysza nie działa jej magiczny Głos, ale też, jak

wydawało się Löwefellowi, wcale nie stropiona tym faktem.

– To zaszczyt, Mordimerze, móc ci przedstawić Hildegardę Reizend, którą tak bardzo chciałeś spotkać – rzekł Löwefell.

Madderdin spojrzał szybko na Löwefella, zrozumiał, że ten wcale nie żartuje, po czym pokręcił głową.

– Muszę przyznać, pani, że podróże do dalekich krajów działają w takim razie niczym olimpijska ambrozja – powiedział.

– Nie lubię tego imienia. – Zbliżyła się do inkwizytorów.

Löwefell poczuł świeży zapach jej skóry spryskanej perfumami. Cóż to jest? – zastanowił się. Jakie wymieszano tu składniki? Werbenę, bazylię, piwonię i jaśmin z całą pewnością. Ale co jeszcze? Coś, co mi teraz umyka, ale nadaje nutę słodyczy ożywczej perfumie i przenosi ją do krainy Amora. Coś, co powoduje, że normalny mężczyzna powinien teraz zacząć myśleć tylko o tym, by nagie ciało tej kobiety wiło się pod nim na śnieżnobiałej pościeli w konwulsyjnym rytmie ekstatycznego uniesienia…

Ona jest naprawdę zdolna, pomyślał Löwefell z rozbawieniem. Ciekawe, ile zna możliwości mieszania zapachowych mikstur i na jakie sposoby potrafią one oddziaływać.

– Nie lubię tego imienia, bo nie jest moje – wyjaśniła, stając tuż przed Mordimerem. – Moje imię brzmi Nontle i prosiłabym, abyś tak właśnie się do mnie zwracał.

Teraz każdy słyszący te słowa mężczyzna powinien ogłupieć od myśli, że ściskając jej nagie ciało w twardych objęciach, szepce do jej ucha „Nontle, Nontle”. Ale na Mordimerze Madderdinie magia księżniczki nadal nie robiła większego wrażenia, niż wywarłaby je po prostu piękna kobieta.

– Cudowny zapach – rzekł. – Jeśli wolno mi zauważyć. A cóż znaczy słowo „Nontle”?

– Czy imię musi coś oznaczać? Czy nie lepiej, kiedy to ty sam nadasz mu znaczenie w swoim własnym sercu lub umyśle?

– Moje można przetłumaczyć jako „martwe morze” – rzekł

Mordimer. – A mówiąc precyzyjnie, „martwe morze” oznacza imię Mortimer, od którego pochodzi to, które ja noszę. – Obrócił kpiący wzrok na Löwefella. – Wszystko dzięki łaskawości Arnolda.

Nontle uśmiechnęła się tym razem uśmiechem wcale nie namiętnym czy uwodzicielskim, ale najzwyczajniej przyjacielskim i odsunęła się dwa kroki.

– Moje oznacza… – zawiesiła głos. – Tylko bardzo was proszę, abyście się nie śmiali – dodała żartobliwie. – „Matka wszystkiego, co piękne”.

Löwefell nie był przez chwilę pewien, czy Mauretanka z nich nie żartuje, ale nie, nie żartowała. Trzeba przyznać, że ktoś, kto ją tak nazwał, wykazał się ogromnymi zdolnościami przewidywania. A może otrzymała to imię już wtedy, kiedy jej uroda oraz zdolności jaśniały niczym południowe słońce nad Saharą?

– Moje zaś oznacza panującego orła – rzekł Löwefell. – Ale ku mojemu ubolewaniu nie potrafię latać. Choć ufam, że Bóg miał cel w tym, by nie obdarzyć mnie tak szczególną zdolnością.

– Zresztą nie jest to imię, z którym przyszedłeś na świat – zauważyła słodko Nontle.

– To jest imię, z którym przyszedłem na ten świat – odpowiedział Löwefell, mocno akcentując słowa „jest” i „ten”.

– No dobrze, dość o tym! – Mauretanka klasnęła głośno. – Odpocznijcie, przebierzcie się, idźcie do łaźni, a ja rozkażę przygotować na wasz przyjazd odpowiednie specjały, bo jak sądzę, w podróży nie mieliście okazji do folgowania zachciankom podniebienia.

– Pajdka suchego chleba i kubeczek wody wystarczą każdemu inkwizytorowi. Naszym pokarmem są gorąca modlitwa oraz umartwienie – rzekł Mordimer z niewzruszoną twarzą.

– Słusznie – odparła Nontle i mrugnęła. – Rozkażę więc kucharzom, by zastosowali się do twoich kulinarnych życzeń…

A sama chętnie mogę cię potem wybiczować, jeśli pomoże ci to w osiągnięciu zbawienia – dodała z kpiącym uśmiechem.

Potem służący odprowadzili Löwefella i Madderdina do przeznaczonych dla nich komnat. Zanim się rozstali, Mordimer spojrzał w stronę towarzysza.

– Nie jestem może bardzo doświadczony, ale nie jestem też kompletnym durniem. Mówię, na wypadek gdybyś tego jeszcze nie wiedział, Arnoldzie.

Löwefell uśmiechnął się szeroko i niemal miał ochotę poklepać kompana po ramieniu.

– Wiem i uwierz mi, że bardzo się z tego cieszę – odpowiedział.

– Magiczny głos tej kobiety na mnie nie działa, ale zdaję sobie sprawę z jego wielkiej mocy. – Madderdin zamyślił się. – Ona jest naprawdę potężna, Arnoldzie. Bardzo, bardzo potężna… A ten zapach. – Pokręcił głową. – Piorunująca mieszanka. Widziałem przepaść, ale marzyłem, żeby do niej skoczyć. I żądza skoku była tak silna, że zacierała widok otchłani. Ktoś, kto przepaści od początku nie widział… – wzruszył ramionami – byłby zgubiony.

– Nie miałem pojęcia, że Nontle podda cię podobnej próbie – szczerze przyznał Löwefell. – Chociaż zapewne powinienem był to przewidzieć.

– Co chciała osiągnąć takim postępowaniem?

Tak, to było ciekawe pytanie. Czy chodziło tylko o kaprys? Löwefell nie dałby za to złamanego grosza. Owszem, magiczny wpływ, jaki miała na mężczyzn, mógł być dla Nontle zabawny, ale na pewno chodziło o coś więcej. O co więc jeszcze? O podporządkowanie sobie nosiciela Szachor Sefer? O upokorzenie syna Katarzyny? O kontrolę nad kimś, kto kiedyś już mierzył się z wampirem?

– Jest trzpiotką – wzruszył ramionami Löwefell, gdyż nie zamierzał rozsnuwać przed Mordimerem swoich wizji i podejrzeń. – Jest kapryśna, zalotna i samolubna. Uważaj na nią.

Madderdin skinął głową.

– O tak. Z pewnością będę uważał – zgodził się. – Gdybym natknął się na nią w innych okolicznościach, kazałbym ją natychmiast aresztować i przesłuchać.

Löwefell uśmiechnął się, gdyż wyobraził sobie scenę aresztowania Nontle. Mauretanka na pewno świetnie by się bawiła, a Löwefell miałby tylko nadzieję, że inkwizytorzy nie staliby się w pewnym momencie za bardzo natarczywi, gdyż mogłoby się to dla nich źle skończyć.

Madderdin właściwie zrozumiał uśmiech Löwefella.

– Jest bardziej niebezpieczna, niż sądziłem na początku, prawda?

– Prawda – odparł Löwefell. – Więc powinniśmy się cieszyć, że ktoś taki towarzyszy nam do tak dzikiego kraju, czyż nie?

– Cóż, to już zależy.

– Zależy?

– Zależy od tego, czy to, co ona chce osiągnąć, będzie się pokrywać z tym, co ty chcesz osiągnąć. Jesteś pewien, że wasz cel za Kamieniami będzie identyczny?

– Przekonamy się.

– Ona nie jest czarownicą – rzekł Mordimer. – Nie ma w niej ani krztyny wiedźmiej magii. Kim jest w takim razie?

– Jest Hildegardą Reizend – odparł Löwefell. – Podróżniczką i badaczką, znawczynią nie tylko demonów oraz nadnaturalnych istot, ale również odległych krain i odległych cywilizacji. Czy to nie wystarczy?

– Mauretańska księżniczka obdarzona mocą i hołubiona przez Święte Officjum. No, no… Chciałbym się przyjrzeć tej kobiecie poprzez nie-świat.

Löwefell pokręcił głową.

– Odradzam ci podobne próby, Mordimerze – rzekł bardzo poważnym tonem. – Szczerze i zdecydowanie ci odradzam. I uwierz mi, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli usłuchasz.

Madderdin skrzywił usta.

– Czyli sprawa jest aż tak intrygująca – stwierdził. – No cóż, nie zamierzam lekceważyć twojej rady, zwłaszcza iż wyobrażam sobie, że jest ona nie tylko dana w dobrej wierze, ale i rozumna.

Löwefell wyczuł szczerość w jego głosie i był zadowolony. Przyjrzenie się księżniczce poprzez nie-świat mogłoby okazać się dla początkującego inkwizytora niebezpieczne. Chociaż może nie dostrzegłby niczego dziwnego ani niczego przerażającego? W końcu chyba nie wszyscy w Wewnętrznym Kręgu jesteśmy potworami, pomyślał Löwefell z goryczą.

Nowogród

Narwa była nie tylko bogatym cesarskim portem i wielkim magazynem towarów, ale została zamieniona w najeżoną działami fortecę, strzeżoną pilnie nie tylko od strony morza, lecz również od strony lądu. Bo przecież na Narwę ostrzyli sobie zęby wszyscy: Królestwo Polskie z wojowniczym królem Władysławem, moskiewskie carstwo z oszalałym i okrutnym carem Iwanem, Szwedowie, rządzeni przez opętanego przez demony (a przynajmniej tak o nim mówiono) króla Waldemara, i wreszcie Nowogród, należący do wielkiego księcia Włodzimierza. I chyba właśnie z tego powodu, że wszyscy Narwę chcieli mieć w swoim posiadaniu, to od wielu lat panowało pokojowe status quo. Bo wszyscy mający chrapkę na ten port woleli już, by pozostawał on w rękach cesarza, niż gdyby miał wpaść w ręce któregoś ze znienawidzonych konkurentów do władzy nad wschodnim Bałtykiem. Poza tym cesarski gubernator naprawdę zadbał o bezpieczeństwo Narwy, a na ufortyfikowanie portu, fortecy i miasta oraz utrzymywanie załogi w gotowości bojowej dostawał ogromne środki od Jego Cesarskiej Wysokości.

Niestety, członkowie ekspedycji nie mogli zwyczajnie przejechać przez Narwę, gdyż poprzedzała ich fama cesarskich wysłanników, więc oczywiście gubernator uznałby za niezwykły

despekt, gdyby nie zgodzili się wziąć udziału w wydanej przez niego uczcie. Biber, uważany za dowódcę misji, został uprzejmie, ale jednak zmuszony do zwiedzenia wraz z gubernatorem całości fortyfikacji i wysłuchania, co jest jeszcze potrzebne, by zapewnić miastu bezpieczeństwo, oraz jak dużo zaspokojenie tych potrzeb będzie kosztować. Musiał również przyrzec, że wszystko, co zostało powiedziane na murach Narwy, powtórzy co do słowa na cesarskim dworze.

– Wymęczył mnie ten von Hohendorff – poskarżył się potem Biber towarzyszom. – Ale powiem wam, że dawno nie widziałem fortecy w tak znakomitym stanie. I choć pewnie nie jestem znawcą, to wydaje mi się, że niejedna silnie i świetnie wyposażona armia połamałaby sobie zęby na Narwie.

– Forteca fortecą, jednak najważniejszy jest duch spajający wolę obrońców – zauważyła Nontle.

– Święta prawda. W tym wypadku, jak mniemam, ducha także by nie zabrakło – odparł Biber. – Jak również wielkich zapasów na wypadek oblężenia.

Narwę od Nowogrodu dzieliło tylko sto pięćdziesiąt mil, a trakt był uczęszczany, szeroki i wydawał się dobrze przygotowany. Oczywiście nie mógł równać się z najlepszymi cesarskimi gościńcami, ale Biber zapowiedział im to już na wstępie.

– Cieszcie się tym traktem, bo lepszego na Rusi nie zobaczycie. Im dalej będziemy wędrować na wschód, tym większe czekają nas niewygody. A jeśli w podróży złapią nas wielkie deszcze, to każda droga zamieni się w rzekę. A co do samych rzek – skrzywił usta – to na ogromnej większości z nich nie ma mostów, a tylko w niektórych miejscach pływają promy. Tak, tak, niełatwo podróżować po Rusi…

Nontle uśmiechnęła się nieznacznie, a Löwefell sądził, że w czasie swoich podróży po świecie nie takich katastrof była świadkiem i nie takie niewygody musiała pokonywać. Na razie kraj, przez który przejeżdżali, nie odbiegał szczególnie od

zasobniejszych części Cesarstwa. Miasteczka były zadbane, zwykle otoczone murami lub chociaż palisadami, a wsie sprawiały niebiedne wrażenie.

– Zachodnia część księstwa jest bogata. Zwłaszcza miasta i wsie, które leżą przy głównym trakcie do Narwy – wyjaśnił im Biber. – Ale im dalej na wschód… – Machnął tylko ręką. – Sami zobaczycie.

Na razie jednak mieli okazję zobaczyć Nowogród. Na początek jeszcze z oddali zauważyli majaczące na tle jasnego nieba wysokie i strzeliste wieżyce katedry, które przypominały ostrza włóczni wbijające się w chmury. Potem dostrzegli budowlę niższą, choć większą i masywniejszą. Był to ogromny zamek nowogrodzki, opierający się murami o widły dwóch rzek oraz o stawy i jeziora, między którymi szeroką kamienną groblą biegła jedyna droga prowadząca do tego serca Nowogrodu. Droga była szeroka, ale zatłoczona do granic możliwości, choć korzystający z niej ludzie zachowywali się nad podziw spokojnie. Löwefell zrozumiał dlaczego, kiedy zobaczył wisielców na postawionych na poboczu szubienicach. Tu nie było miejsca na awantury, zwady i swary, na bitki lub co gorsza, zabójstwa. Tędy maszerowali kupcy, tędy zmierzała książęca służba, tędy dowożono materiały, surowce i zapasy potrzebne dla zamku i ludzi w nim mieszkających, tędy wreszcie podróżowali książęcy goście.

O gościach z Cesarstwa z całą pewnością powiadomiono dwór Włodzimierza dużo, dużo wcześniej, bo już przed pierwszą, potężną kamienną bramą na powitanie wyszedł im książęcy przedstawiciel. Był to mężczyzna niezbyt wysoki, chudy i blady, odziany w jasny habit sięgający kostek. Na piersi kołysał mu się ogromny drewniany krzyż z ukrzyżowanym Jezusem, ale co dziwne, Jezus wisiał z twarzą zwróconą w stronę drewnianej podpory. Löwefell czytał o tym zwyczaju przedstawiania Chrystusa w księgach opisujących kulty i herezje spotykane na Rusi. Postać w taki właśnie sposób rozpięta na krzyżu oznaczała, iż Jezus, zanim dokonał swego błogosławionego Zstąpienia, z obrzydzeniem odwrócił się od ziemi pełnej grzechu i pychy,

gdyż wtedy właśnie przed oczami przesunęły mu się wszystkie zbrodnie ludzkości.

– Chwała Jezusowi, Zbawcy i Imperatorowi! – zawołał mnich tubalnym głosem, niepasującym do wątłej postury.

– Na wieki wieków amen – odpowiedział uroczyście Biber.

Mnich serdecznie potrząsnął dłońmi Bibera, Löwefella i Madderdina oraz uprzejmie skinął głową Nontle, a uwadze Löwefella nie umknęło, iż zawiesił na niej spojrzenie dłużej niż na którymkolwiek z mężczyzn. Z całą pewnością temu człowiekowi doniesiono, że w cesarskiej wyprawie bierze udział czarnoskóra kobieta niezwykłej piękności, ale jak widać, rzeczywistość przerosła oczekiwania i uroda mauretańskiej księżniczki okazała się jeszcze bardziej interesująca i niezwykła niż w raporcie szpiegów.

– Wielki książę jest zachwycony, że może gościć posłów cesarza – powiedział mnich płynną i nienaganną łaciną. – Musicie jednak wybaczyć, że zobaczycie go dopiero wieczorem, gdyż teraz bawi na polowaniu. A polowania nasz pan przedkłada nade wszystko i warto, abyście wiedzieli, że jest wybornym myśliwym.

– Jaka zwierzyna jest wielkiego księcia ulubioną? – zagadnął uprzejmie Biber.

– Niedźwiedzie, rzecz jasna – rozpromienił się mnich. – Bo jak już z kimś się mierzyć, to najlepiej z królem puszczy. Nasz książę potrafi samojeden, mając tylko oszczep w dłoni, zakłuć dorosłego i rozzłoszczonego niedźwiedzia…

– To wielka, wielka odwaga – zauważyła słodko Nontle, a mnich, słysząc ten głos, od razu odwrócił się w stronę księżniczki. – Mój ojciec polował z włócznią na lwy. Sama pamiętam, że widziałam jego walki, kiedy byłam dzieckiem.

– Ach, lwy – powiedział mnich z podziwem. – Dostaliśmy kiedyś lwa w darze od bizantyjskiego cesarza, ale zdechł nam ze starości. – Mnich westchnął. – A może i również z żalu, że jest sam jeden wśród całkiem obcych…

Zaprowadzono ich do kwater na zamku, a każda z nich składała się z trzech pokoi i do każdej przydzielono służących, mających oficjalnie zajmować się tylko i wyłącznie dbaniem o spełnianie życzeń cesarskich posłów. Z pewnością mieli zajmować się również szpiegowaniem i zdawaniem raportów i ta ich podwójna rola była oczywista dla każdego. Wojskowej eskorcie przydzielono noclegi w innej części zamku, a dowodzący oficer zameldował potem, że nie mają na co narzekać.

Książę Włodzimierz był wielki, brodaty, spocony i śmierdział na wiele metrów zgrzanymi końmi, psami i wiatrem. I krwią, którą miał obryzgany cały przód kubraka.

– Goście! – krzyknął tubalnym głosem. – No dobrze, zachodźcie! Aleksy mówił mi o was.

Aleksy był to ów dziwny mnich, który powitał ich w bramach pałacu i zaopiekował się nimi. Książę otworzył jednym pchnięciem potężne dwuskrzydłowe drzwi. Prowadziły do surowej kamiennej komnaty, pełnej mebli z ciężkiego drewna. Na dwóch ścianach wybudowano wysokie na kilka stóp i szerokie na stóp kilkanaście kominki. Płonęły na nich grube bierwiona. Włodzimierz zwalił się na fotel i wyciągnął buty przed ogień.

– Zgrzałem się i wymęczyłem, zmarzłem i zmokłem, i wściekłem – powiedział, odpinając pas z mieczem i rzucając go w kąt.

Sługa przyniósł mu szeroką misę i Löwefell sądził, że to do obmycia twarzy lub rąk, ale książę przechylił ją do ust i opróżnił za jednym zamachem, pijąc długo i ze smakiem.

– Wino mamy od was, z Cesarstwa – rzekł i odetchnął głęboko. – Bo u nas wciąż zima lub nieurodzaj. Winorośl zmarznie, zanim wzejdzie, a nawet jak nie zmarznie, to i tak nie wyda owoców. – Zapatrzył się na nich ponurym wzrokiem. – Taki to przeklęty kraj – dodał.

– Ale Nowogród pod światłymi rządami Waszej Wysokości opływa we wszelki dostatek – nadmienił Biber nad wyraz

ugrzecznionym tonem.

Wielki książę skinął poważnie głową.

– U nas, w Nowogrodzie, byle kupczyk śpi na sobolowych futrach takiej wartości, że każda z waszych szlachcianek oddałaby za nie cnotę, gdyby tylko tę cnotę ktoś zechciał wziąć. – Włodzimierz zarechotał. – Ale im dalej na wschód, tym biedniej – dodał już poważnie. – Lud dziki, okolica ponura, ludzie żyją nawet w dziurach wydrążonych w ziemi, a jak przyjdzie głód, a często przychodzi, to żrą choćby korę z drzew czy zupę z trawy… – Wyprostował się i popatrzył na swych gości. – Ale mój lud jest twardy niczym kula zmarzniętej gliny – rzekł. – Niewiele on potrzebuje do życia poza byle ochłapem, poza kęsem wyrwanym szczurom czy psom. Niewiele potrzebuje do życia, jeśli ma co wypić i z kim się sparzyć, choćby i na zgniłej słomie…

Wielki książę odsapnął, po czym kiwnął palcem, a sługa natychmiast napełnił mu winem puchar o dwóch uchach. Puchar był masywny i złotego koloru, a Löwefell był pewien, iż wykonano go z litego złota. Już wcześniej zauważył również na dłoniach księcia pierścienie z wielkimi rubinami, a brudny i schlapany krwią kubrak władcy spięty był broszą naszpikowaną rubinami i brylantami.

– I świadomości potrzebuje też mój lud. Jednej jedynej myśli podniebnej i wzniosłej… – Włodzimierz uśmiechnął się. – A wiecie no, jakaż to myśl?

Biber tylko rozłożył ręce z przepraszającym uśmiechem, lecz Löwefell był pewien, że jego towarzysz doskonale zna odpowiedź na tak postawione pytanie. Zresztą wielki książę chyba i tak nie zwrócił uwagi na ten gest.

– Mój lud potrzebuje myśli, że gdzieś tam daleko, w złotej stolicy, w złotym pałacu na złotym tronie siedzi książę w złotej koronie. – Włodzimierz zapatrzył się przed siebie, jakby i on chciał wzrokiem wyszukać owego księcia z opowieści. – Siedzi i duma, jak zrobić, jak uczynić, jak przeprowadzić, by ludowi jutro było lepiej, niż jest dzisiaj – kontynuował. – Ale nawet jak chciałby władca przygarnąć do serca swój lud, chciałby nieba mu

uchylić, to źli możni nie pozwalają. – Gniewnie potrząsnął głową. – Księcia do ludu nie chcą puścić, a i ludowi do księcia też drogę wciąż zagradzają. – Zacisnął dłoń w pięść i uniósł ją w powietrze. – Taka to swołocz i kanalie! – zakończył ze złością. Potem powiódł wzrokiem po gościach i uśmiechnął się szeroko. – Widzicie więc – powiedział już normalnym głosem – że ludowi mojemu tyle potrzeba, żeby z głodu nie zdychał i żeby miał pewność, iż książę w dalekiej stolicy wielce go miłuje. A że lud więcej nie potrzebuje, to i ja więcej mu nie daję, bo po co trwonić środki na próżno?

Kiedyś się ockną, pomyślał Löwefell. A kiedy zobaczą, ilu ich jest, i kiedy zrozumieją, że książę ani o nich nie dba, ani nikt mu o nich dbać nie przeszkadzał, to potoczą się po deskach szafotów koronowane głowy… Ale tutaj, w tym dzikim kraju, pewnie nieprędko to się wydarzy. Löwefell pamiętał z lat początków swojej służby dla Świętego Officjum bunt Hakenkreuza, wielkie i krwawe powstanie wiejskiej i miejskiej biedoty wspomaganej przez drobną szlachtę. Rzezie, tortury i gwałty. Zburzone zamki, ograbione dwory, spalone sady, zatrute studnie… Długo podnosiła się Lotaryngia po tej klęsce, po tej katastrofie, która przetoczyła się przez nią niczym personifikacja demonicznych plag, niczym ucieleśnienie przekleństw i klątw rzucanych przez słabych i biednych na silnych i bogatych. Radosna to rzecz dla niewolnika zyskać władzę znęcania się nad panem, który go gnębił. Ale jeszcze radośniejsza zyskać władzę dręczenia pana, który był dla niego dobry.

W czasie buntu Hakenkreuza męczeństwa i śmierci zaznali i dobrzy, i źli. I starzy, i młodzi. Rycerze i ich zbrojni pachołkowie, tak samo jak bezbronne kobiety i niemowlęta. Wszyscy ginęli w sposób czasem tak okrutny, że urągający jakiemukolwiek śladowi człowieczeństwa. Znęcano się nad nimi bez celu, bez chęci wydobycia zeznań czy ukarania za zbrodnie. Tylko za to, że mieli gładkie dłonie i ubierali się w jedwabie, a nie surowe płótno, tylko dlatego, że ich ojcami, dziadami i pradziadami byli szlachcice, a nawet jeśli nie byli, to wystarczyło tylko, że przecież mogli być.

– Zresztą na własne oczy zobaczycie mój kraj. – Włodzimierz

zapatrzył się w stronę okna.

I chociaż z tego akurat okna widać było tylko wysokie wieże kościoła i mury forteczne, to Löwefell był pewien, że wielki książę w wyobraźni widział bezkresne równiny swego księstwa. Pola i lasy ciągnące się setkami mil.

– Straszne zobaczycie rzeczy w drodze do Księstwa Peczorskiego, tego jestem pewien. Ale ufam, że wielkie rzeczy również zobaczycie. Że ujrzycie duszę mojego kraju, który od Bałtyku aż po Kamienie oddycha niczym wielkie, na pół uśpione zwierzę. – Wielki książę wstał z głuchym sapnięciem i zbliżył się w stronę Bibera. – Kiedyś to wielkie zwierzę – uniósł dłoń, tak ją układając, by przypominała rozwarty pysk bestii – zerwie się i zaciśnie szczęki! – Palce Włodzimierza zwarły się tuż przed twarzą inkwizytora. – A wtedy… – Westchnął i odsunął rękę. – Niewiele zostanie z całego świata poza strzępami mięsa i złomkami kości.

Włodzimierz podszedł do kominka, znowu usiadł w fotelu i wyciągnął dłonie w stronę ognia. Był tak blisko, że z jego wilgotnego kaftana uniosła się para. Löwefell poczuł jeszcze bardziej intensywny, spotęgowany smród ludzkiego i końskiego potu oraz krwi.

– Ale teraz my z cesarzem jesteśmy przyjaciele – powiedział wielki książę serdecznym tonem. – I daj Boże, niech ta przyjaźń przetrwa jak najdłużej. A jeśli nawet się skończy, to przecież dlatego, że Bóg tak chciał, i nie w ludzkiej mocy przeciwstawiać się boskim planom ani pasować się z boskimi wyrokami…

Westchnął bardzo głęboko i bardzo zamaszyście się przeżegnał, a potem przyłożył do ust knykcie własnej pięści i ucałował je. Löwefell wiedział, że to nieznany w Cesarstwie, a typowy dla Rusinów gest, którym przypominali, iż Jezus walczył z wrogami, i wyrażali swój podziw dla siły, z jaką się z nimi rozprawił.

W tejże chwili drzwi komnaty otworzyły się i do środka wtoczył się człowieczek w pstrokatym kubraku. Był mały, niski, kudłaty, miał nieforemną twarz i pokoślawione kończyny.

Dlatego właśnie Löwefell pomyślał: wtoczył się, a nie wszedł, gdyż ten karzeł zdawał się preferować własny rodzaj poruszania się, różny od ludzkiego, ale też niezupełnie zwierzęcy. Niby kolebał się na nogach, ale w tym kolebaniu podpierał się również rękami, a dwa razy naprawdę przetoczył się z boku na bok w tak zdumiewająco zręczny sposób, że zachował płynność ruchu i nie dotykał podłogi niczym oprócz stóp i dłoni. Inkwizytor pomyślał, że karzeł porusza się niczym zręczna małpa. Ale to, że był jak najbardziej człowiekiem, i to nie byle jakim człowiekiem, poczuł natychmiast. Gdyż natychmiast wyczuł bijącą z tej postaci moc magiczną. Inkwizytorium oczywiście wiedziało o obecności tego karła na dworze wielkiego księcia, zwłaszcza że służył on jeszcze ojcu Włodzimierza. Zwykli ludzie mieli go za błazna i pomyleńca, trzymanego na wielkoksiążęcym dworze dla zabawy, z litości i z przyzwyczajenia, lecz wywiad Inkwizytorium, a co za tym idzie również Löwefell i jego towarzysze doskonale wiedzieli, iż sprawa jest znacznie poważniejsza. Ów karzeł, który miał na imię Linas, pełnił rolę strażnika wielkiego księcia. Bezbłędnie rozpoznawał magiczne emanacje, umiałby znaleźć człowieka, który ośmieliłby się rzucać zaklęcia w pobliżu władcy, a nawet potrafił wyczuć obecność słabszych demonów. Gdyby go odpowiednio w młodości przeszkolono, mógłby zostać wybitnym inkwizytorem – łowcą demonów i czarownic. Teraz Linas był stary, zazwyczaj pijany lub otępiały od grzybów i ziół, a także znużony długim życiem. Nie zmieniało to jednak faktu, iż nadal był bardzo niebezpieczny. Oczywiście nie dla Löwefella i jego towarzyszy, gdyż ich poziom zamaskowania znajdował się poza zdolnością śledzenia i rozumienia przez ludzi takich jak Linas, co prawda zdolnych, lecz nieprzeszkolonych.

© Fabryka Słów

Błazen odtoczył się pod same nogi Löwefella i Bibera, potem obiegł ich wokół, śpiewając coś do siebie, pomrukując, pohukując i pogwizdując. Jego małpia, zdeformowana twarz zmieniała się przy tym, raz przybierając wyraz wesołości, raz wrogości, a czasami nawet jakby zacinała się w gniewie. Wreszcie Linas przerwał swój wyglądający na obłąkańczy taniec i wtoczył się pod kolana księcia, kryjąc się niczym pies za jego nogami. Löwefell widział tylko, jak karzeł łypie stamtąd oczami.

– Słyszeliście o moim błaźnie, co? – serdecznie zagadnął wielki książę i przyjacielsko trącił schowanego Linasa butem.

– Wiemy, że służył już na dworze ojca Waszej Wysokości – odparł Biber.

– Tak, tak, odkąd żyję, to go pamiętam. Nie wiem, czemu ojciec go trzymał, bo klnę się na drzazgi z Krzyża Pańskiego, że nigdy nie powiedział niczego zabawnego. A co to niby za błazen, który nikogo nie śmieszy?

Włodzimierz oczywiście kłamał. Od dziecka doskonale wiedział, jaką rolę pełni na dworze Linas. Jednak to, co mówił, miało swój sens. Teraz błazen miał rozpoznać, czy goście potrafią badać w nadnaturalny sposób prawdziwość wypowiadanych słów. Ale Löwefell oczywiście nie zamierzał niczego takiego uczynić. Obaj z Biberem byli niczym nieruchome ryby ukryte pod kamieniami w całkowicie mętnej wodzie. I dużo, dużo więcej trzeba by było niż nieudolne próby Linasa i jego księcia, by owe ryby zdecydowały się poruszyć płetwami.

– Nasz umiłowany cesarz rozkazał rozmnożyć swoją parkę karłów i szkolić ich dzieci w błazeńskim rzemiośle – odezwał się Löwefell. – Jeśli Wasza Wysokość wyrazi taką chęć, to będę zaszczycony, mogąc poinformować cesarza, że jeden z tych błazenków znalazłby przyjazną przystań na dworze Waszej Wielkoksiążęcej Mości.

Włodzimierz pokiwał głową.

– Czemu nie, czemu nie, karły są całkiem zabawne. Widziałem kiedyś u księcia Iwana z Moskwy takich kilku karłów, co mieli

własny malutki domek i własne w nim malutkie mebelki i tak się w nim przyjmowali i podejmowali całkiem jak szlachta. – Włodzimierz roześmiał się gromko. – A potem Iwan kazał im ten domek podpalić i wszyscy na naszych oczach spłonęli – dokończył już wielki książę bez uśmiechu.

Löwefell zauważył oczywiście, iż mówiąc o władcy Moskwy, Włodzimierz używał tytułu „książę", a nie „car". Carem Wszechrusi kazał się bowiem Iwan obwołać, ale żaden z pozostałych wielkich książąt nie uznał jego nowego, samozwańczego tytułu. Löwefell był pewien, iż z tego powodu na Rusi prędzej czy później wybuchną niepokoje.

– To marnotrawstwo – rzekł spokojnie Biber. – Dobrze wyszkolony karzeł jest przecież droższy niż najlepszy pies tropiący.

– Księcia Iwana stać nie tylko na to, by podpalać domki karłów, ale nawet by równać z ziemią własne wsie i miasta. Iwan jest obłąkanym okrutnikiem, lecz o tym wiecie równie dobrze jak ja, prawda?

– Dwór cesarza jest informowany o wydarzeniach z całego świata – rzekł ostrożnie i wymijająco Biber. – O jednych lepiej, o drugich gorzej.

– Iwan jest obłąkany – powtórzył Włodzimierz. – I jego syn też jest obłąkany. Mówią mi, że ten syn nigdy nie pokazuje się ludziom na oczy. Nigdy. Zawsze chodzi w czarnym płaszczu, czarnych rękawiczkach i czarnym kapturze na głowie. Nikt nie ma wstępu do jego komnat, nikt od lat nie słyszał jego głosu, nikt go nie widział nagiego… Wiedzieliście o tym?

– To głośna sprawa, więc wiem – powiedział Biber.

Löwefell, zgodnie z prawdą, również skinął głową. Dawniej nigdy nie interesowały go sprawy Rusi i tyle wiedział, że to dzika kraina, w której gnieździ się zarówno jawne, jak i skryte zło. Teraz jednak przy okazji przygotowań do wyprawy dowiedział się naprawdę dużo. W każdym razie więcej niż przez całe dotychczasowe życie.

– Mówią, że młody Iwan to nie żaden młody Iwan, tylko demon, który starego Iwana opętał. Któż może wiedzieć, jaka jest prawda, taka najprawdziwsza… – Zamyślony Włodzimierz spojrzał w płomienie. – Może kiedyś odwiedzimy Moskwę, by przekonać się na własne oczy…

Löwefell był pewien, że w tych słowach nie chodzi o odwiedziny jednego księcia u drugiego, lecz o wojnę. Na Rusi od dłuższego czasu było raczej spokojnie, a to znaczyło, że wiele konfliktów narosło i nabrzmiało, a wiele uraz osiągnęło szczytowy punkt. Prędzej czy później wystrzeli iskra i Ruś zapłonie niczym dobrze nasmołowana żagiew. A my, mam nadzieję, będziemy wtedy już daleko stąd, pomyślał Löwefell.

Karzeł nagle wytoczył się spod nóg wielkiego księcia, a z taką szybkością i impetem, że Löwefell szczerze się zdziwił. Oczywiście on sam nie zostałby zaskoczony, gdyby Linas chciał go zaatakować, jednak zwykły człowiek mógłby znaleźć się w nie lada opałach, gdyby stał się celem tej dziwnej, małpio zręcznej istoty. Błazen tymczasem zaczął obiegać ich dookoła, a inkwizytor niemal poczuł, jak myśli tego stwora próbują omotać jego własny umysł i wybadać, co w tym umyśle się kryje. To nie było wrogie, nieprzyjazne czy groźne. Karzeł, zapewne na polecenie wielkiego księcia, po prostu zdawał się szturchać ich jak patykiem i przyglądać, jak na owo szturchanie zareagują. I Löwefell zareagował tak, jak by to zrobił zwyczajny człowiek. Nijak. Poza lekkim niepokojem wywołanym niezwykłym zachowaniem karła. Ale zaledwie lekkim, gdyż przecież miał tu być dyplomatą, który z niejednego pieca chleb jadał i niejedno widział, więc trudno, by na widok kręcącego się w szaleństwie błazna piszczał niczym wrażliwa dama na widok szczura.

Wreszcie Linas zmęczył się, upadł na podłogę i poturlał się pod stół, nadając sobie wcześniej taki impet, jakby był pniem drzewa staczającym się ze wzgórza. Löwefellowi nie umknęło jednak, że już kiedy znikał pod tym stołem, karzeł mrugnął do wielkiego księcia. A jego twarz była wtedy przez moment zdumiewająco rozważna i poważna. Ciekawe, co to mrugnięcie oznacza, pomyślał Löwefell, który był pewien, że ma do czynienia z tajnym

znakiem. Czy Linas upewniał księcia, że wszystko jest w najlepszym porządku, czy wręcz przeciwnie, ostrzegał go, iż czegoś nie rozumie albo czegoś się obawia?

– Brewerie! – prychnął nieszczerze wielki książę i machnął ręką. Potem wyprostował się i przeciągnął. Popatrzył po gościach. – A ze mnie, widzicie, bardzo zły gospodarz, bo sam wino już wypiłem, a was nie poczęstowałem – rzekł, wzdychając. – Musicie mi wybaczyć, bo zawsze po polowaniu tracę trochę głowę. Odyńca dzisiaj ubiłem. – Uniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść. – Wielkiego odyńca. Sam, pieszo i włócznią, bo inaczej co to za przyjemność? – Podniósł się z fotela i przeszedł w stronę okna z półprzymkniętymi ciężkimi okiennicami. – Bo cóż to za uciecha zabijać, kiedy samemu jest się bezpiecznym? – zapytał i odwrócił się w stronę gości. – Oczywiście mówię o zwierzynie. Bo ludzi, może o tym wiecie, wcale nie zabijam. Słyszeliście, że nigdy nikogo nie zabiłem? Poza bitwą, rzecz oczywista. Nigdy. Ani w gniewie, ani w złości, ani w nienawiści… Nie jak ten szaleniec Iwan – niemal zawarczał. – On jest niczym wściekły wilk wśród owiec. Nie zabija, by coś na tym zyskać, ale dla samej radości zabijania.

Löwefell poznał z opowieści Bibera, w jaką mozaikę układają się sympatie i antypatie ruskich książąt, więc wiedział, że Włodzimierz z Nowogrodu należy do najbardziej zawziętych wrogów Iwana z Moskwy. Tylko po co on okazuje nam tę niechęć, zastanowił się Löwefell. Czy dlatego, że jest mu wszystko jedno i po prostu psioczy na moskiewskiego księcia zawsze i przy każdej okazji, czy też ma w tym ukryty zamysł? Lecz co nas tak naprawdę mogą obchodzić przyjaźnie i waśnie ruskich książąt? Cesarstwo jest daleko, a cesarza interesuje głównie, by futra docierały w odpowiednich ilościach i na czas. Do niczego innego Ruś nie jest mu potrzebna.

– Wino dla moich gości! – krzyknął Włodzimierz.

Zaraz jakieś postacie oderwały się spod ścian, zaraz otworzyły się przeciwległe drzwi i zaraz pędem wbiegło czterech służących. Dwóch niosło duże rzeźbione puchary, a dwóch pozostałych

trzymało długą i szeroką tacę, na której stało kilka butli wina.

– Co tam lubicie, to wybierajcie – zezwolił łaskawie wielki książę. – Ja powiem wam, że najwięcej cenię sobie miód, którego wy w ogóle nie znacie, więc nie będę was zmuszać do jego picia.

Löwefell kazał sobie nalać złotej alhamry, a Biber wybrał ciężką i gęstą małmazję, przelewającą się z butli do pucharu niczym aromatyczna lawa. W Nowogrodzie rzeczywiście pito przede wszystkim miód i piwo, gdyż wino sprowadzano z zagranicy, a przez to wiele kosztowało. Oczywiście wielkiego księcia było stać, by piwnice wypełnić najdroższymi trunkami znad Morza Śródziemnego, lecz zwykły kupiec czy szlachcic wolał tańszy i łatwiej dostępny miód. A chłopi i mieszczanie pili piwo. Zresztą raczej cienkie i raczej paskudne, bo ze sztuki warzenia piwa słynęło Cesarstwo, ba, nawet Polska, ale na pewno nie była to dziedzina dobrze poznana i z szacunkiem praktykowana na Rusi.

– Mieli mi nagonić niedźwiedzia, ale zranili go, głupcy, w tylną łapę. – Wielki książę zmarszczył brwi. – A nie będę jak jakiś ścierwojad dobijał rannego zwierza. Jak go wykurują, to się z nim spotkam. – Uśmiechnął się szeroko. – A wy, cesarscy, jakie polowania najbardziej lubicie, co?

I w tym momencie w głowie Löwefella rozbłysło wspomnienie, tak wyraźne i barwne, jakby było nie wspomnieniem, ale ruchomym obrazem rzuconym mu przed oczy. Oto zobaczył kawalkadę bogato odzianych zbrojnych, którzy cwałowali na rumakach przyodzianych w kapiące od złota czapraki i siodła zdobione szlachetnymi kamieniami. Wydawało mu się nawet, że strzemiona jednego z jeźdźców wykute są z litego złota. A przynajmniej były złotego koloru. Obok jeźdźców biegły nie psy, lecz smukłe, wysokie koty o nakrapianej płowej sierści. Nad wierzchołkami drzew świeciło mocne złote słońce… I zaraz potem obraz rozwiał się tak samo szybko, jak się pojawił.

– Nie jestem wprawnym myśliwym – przyznał Biber. – Niestety, służba cesarzowi zostawia niewiele czasu na rozrywki.

– No tak, właśnie cesarz – westchnął wielki książę. – Z uwagą

i radością przeczytałem list, który wasz pan napisał do mnie, i… – Włodzimierz uniósł palec. – Bardzo was polecał mojej opiece i mojej łaskawości. Ale widzicie no, wiele zmieniło się od czasów, kiedy wasz cesarz pisał do mnie, a ja pisałem do waszego cesarza.

Löwefell po tonie jego głosu wyczuł, że niestety, nie zmieniło się na dobre.

– Wschodnią dzielnicą księstwa zarządzał mój kuzyn, książę Dymitr. Dobrze żeśmy ze sobą żyli. – Włodzimierz ponownie usiadł na fotelu, zapatrzył się w ogień i westchnął. – Pomagaliśmy sobie i choć odległości wielkie, to nawet czasem spotkaliśmy się a to w Nowogrodzie, a to ja u niego byłem w Peczorze. A wiecie, jak to daleko stąd? Jak z Nowogrodu do serca waszego Cesarstwa! Takie są nasze przestrzenie. – Tym razem wielki książę obrócił wzrok w stronę okien, gdzie za szybami kłębiły się sine chmury o ołowianych brzuszyskach.

Milczeli przez chwilę. Wielki książę najwyraźniej nad czymś rozmyślał, a inkwizytorzy nie odzywali się, nie chcąc mu przeszkadzać.

– Trzy lata temu Dymitr się ożenił – odezwał się znowu Włodzimierz. – Ani ona była ładna, ani bogata, ani z dobrego rodu… – Splunął w ogień. – Nawet nie była młoda. – Splunął raz jeszcze. – Serce nie sługa, co?

Sięgnął po puchar i opróżnił go, rozlewając część napitku na kaftan. Löwefell zauważył, że spojrzenie władcy Nowogrodu coraz bardziej mętniało, czy to z nadmiaru trunku, czy ze zmęczenia długim polowaniem, które to zmęczenie teraz, w cieple i przy winie, narosło i się spotęgowało.

– Wiedźma przeklęta! – warknął wielki książę i odstawił z hukiem pusty puchar.

Löwefell zauważył, że Biber zmarszczył brwi, ale sam nie był pewien, czy Włodzimierz użył słowa „wiedźma” jedynie w potocznym znaczeniu, czy też miał jakieś podejrzenia dotyczące nadnaturalnych mocy nowej księżnej i podłego ich wykorzystywania.

– Nie mija właśnie miesiąc, jak dowiedziałem się, że czarownica zamknęła mi Dymitra w żelaznej klatce i zagłodziła na śmierć. Na peczorskiej bramie wisiał… W zamku, który sam kazał zbudować. – Wielki książę zgrzytnął zębami.

– I co Wasza Wysokość zamierza z tym uczynić, jeśli wolno wiedzieć? – zagadnął Biber.

Włodzimierz wzruszył potężnymi ramionami.

– A co ja mogę? Nic. Jej potrzebny Nowogród, a mnie potrzebne Księstwo Peczorskie. Na naszej walce tylko by skorzystali wrogowie. A ostrzą sobie zęby i na nią, i na mnie. Więc musimy jakoś ze sobą żyć. Co zrobić…

– Czy dla nas ta odmiana na peczorskim stolcu książęcym coś zmienia? – spytał ostrożnie Biber.

Włodzimierz spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

– Może zmienia, a może nie zmienia. Diabli ją wiedzą, parszywą wiedźmę. Dymitr był moim przyjacielem. Jego słowo było moim słowem, a moje słowo było jego słowem. Jakby mi obiecał, że was wspomoże, toby was wspomógł. Źle byście u niego nie mieli… – Wielki książę westchnął, a potem uderzył pięścią w rozwartą dłoń. – Myślicie, że nie chciałbym wziąć wojska i ruszyć na Peczorę? Babę bym uwięził w klatce jak ona mojego Dymitra albo kazałbym ją zamknąć w marynarskim burdelu, żeby ją na śmierć zachędożyli. – Uśmiechnął się z czymś na kształt złowrogiego, okrutnego rozmarzenia. Potem znowu westchnął. – Ale już dziad mój świętej pamięci mawiał i mojemu ojcu zawsze to przypominał: nie sercem czyń, nie przyrodzeniem czyń, lecz umysłem czyń.

– Wielki książę Oleg był niezwykle mądrym człowiekiem – rzekł Barnaba. – Czytałem o nim w „Kronice Wsiewołoda”.

Włodzimierz spojrzał na niego i zaśmiał się.

– Wsiewołod był naszym mnichem i myśmy mu szczodrze płacili, to i pisał historię tak, jak myśmy chcieli. Pewnie to i u was zwykła rzecz, że historyk temu jest życzliwy, kto życzliwy jest

jego sakiewce…

Barnaba skinął głową.

– Ale że dziad mój był wielkim człowiekiem, to też prawda. Może nie aż tak wielkim, jak opisano w „Kronice Wsiewołoda”, lecz naprawdę wystarczająco wielkim, by godnie przejść do historii i by następne pokolenia wspominały o nim z szacunkiem. Więc rozumiecie, że słucham jego nakazów, choć on sam dawno już nie żyje. I co? Nie ruszę z żołnierzami na Peczorę, bo to jak odległość stąd w sam środek Cesarstwa. Takie u nas przestrzenie. – Wielki książę nie zauważył nawet zapewne, że powtórzył tę samą sentencję, którą wypowiedział chwilę temu. Ale widać zmęczenie i skutki wypicia dużej ilości trunku brały górę. – A jakbym i doszedł szczęśliwie – ciągnął – kto mnie zapewni, że wojna potoczy się równie szczęśliwie? Wiedźma zamknie się w fortecach, przyjdzie zima i co mi z tego będzie za pożytek? Handel ustanie. Same straty. A tu, w Nowogrodzie, tylko wściekłe psy czyhają, żeby kiedy mnie nie będzie albo kiedy noga mi się powinie, rzucić się do gardeł wszystkim, co są ze mną związani.

Sięgnął po puchar napełniony przez sługę i znowu opróżnił go za jednym zamachem, chociaż trwało to nieco dłużej niż poprzednio.

– Dlatego lepiej żyć w pokoju, kiedy nie da się inaczej – stwierdził. – Zwłaszcza że i ona wojny wcale nie chce. Poselstwo do mnie przysłała, piękne dary przysłała, uniżony i rozumny list przysłała. Obiecała, że hołd złoży i że przed moim wielkoksiążęcym majestatem pokłony bić będzie. Zakładników też przysłała. – Wielki książę prychnął z rozdrażnieniem. – Wszystko zrobiła, co zrobić należało. Taka swołocz!

Przez dłuższą chwilę milczeli. Wielki książę znowu wpatrywał się ponurym wzrokiem w czerwono-pomarańczowe płomienie tańczące na belkach. Wreszcie przymknął oczy. Biber odczekał chwilę i uniósł się z krzesła…

– Nie śpię! – wykrzyknął wielki książę rozdrażnionym tonem i otworzył oczy. Zamrugał. – A tak, to wy – mruknął. – Uczta zaraz się zacznie – dodał spokojniej.

Löwefell sądził raczej, że zważywszy na stan Włodzimierza, zostaną odesłani do swoich komnat, ale jak widać, władca miał inne plany. No cóż, nie mieli innego wyboru, jak się do tych planów dostosować.

– Taaak, uczta… – przeciągnął wielki książę. – Wypijemy, ile zdołamy wypić, a potem wypijemy jeszcze więcej. – Uśmiechnął się szeroko. – Takie to u nas zwyczaje – dodał – że lud mój pije pełnym gardłem. Mówią wrogowie… – pochylił się w fotelu, opierając dłonie na udach – że lud na Rusi dlatego pije pełnym gardłem, bo nie może swobodnie oddychać pełną piersią. No ale za taką gadaninę to moskiewski Iwan każe języki ucinać. – Przejechał dłonią przy ustach. – Bo przecież powiedzcie sami: czy wolność należy się tym, którzy zaprzeczają, iż to właśnie władca jest najhojniejszym szafarzem wolności? – Zatopił spojrzenie w Biberze.

– Władca jest Bożym pomazańcem – odparł Biber poważnie. – I jako takiemu należna mu jest cześć oraz posłuszeństwo poddanych.

I w to lud ma wierzyć, pomyślał Löwefell, i tak właśnie jest dobrze. Zupełnie niepotrzebna, zbędna i szkodliwa byłaby dla niego prawda o tym, że są ludzie i instytucje, wobec których nawet cesarz staje z bezradną pokorą. Jeśli jest na tyle mądry, aby być pokornym. Jeśli nie jest, wtedy się go pokory uczy…

– My wszyscy książęta Rusi wywodzimy się z krwi Chrystusowej – rzekł dumnie Włodzimierz. – Ale o tym na pewno wiecie, że jeśli ktoś w chrześcijaństwie jest najgodniejszy, by panować nad ludem i Kościołem, to właśnie my. Czyż nie tak jest? – Znowu utkwił spojrzenie w Biberze.

Löwefell tę historię również znał z ksiąg. Wiedział, iż Rusini wierzą (lub niektórzy wcale pewnie nie wierzą, lecz wygodnie im udawać, że wierzą), iż Jezus Chrystus miał siedmioro dzieci z pewną kobietą z germańskiego plemienia Burgundów. Siódmy syn z tego związku, bohater o imieniu Gunderyk, powędrował wraz z najbardziej zaufanymi żołnierzami na wschód. Tam po wielu bojach, wielu heroicznych czynach i wielu dokonaniach

osiadł wreszcie na wschodnim wybrzeżu Bałtyku. A kiedy doczekał się siedmiu synów, to każdy z tych synów wyruszył na czele swojej własnej armii na południe i na wschód. I każdy z nich założył swoje własne księstwo. Księstwa te trwają do dzisiaj i do dzisiaj rządzone są przez wielkich książąt – jedynych ludzi na całym świecie, w których żyłach płynie krew Jezusa Chrystusa. Tak mówiła ruska legenda, która miała uzasadnić pretensje Rusi do władania chrześcijańskim światem i która w oczywisty sposób tłumaczyła, dlaczego władcy Rusi nijak nie mogą podlegać władzy rzymskiego papieża. Löwefell, czytając tę opowieść, zastanawiał się, czy została ona zmyślona od początku do końca, czy też jest w niej jakieś ziarno prawdy? Może władcy Rusi rzeczywiście wywodzili się z kasty germańskich najeźdźców, którzy następnie po upływie dziesięcioleci przyjęli język i obyczaje ludności, którą wcześniej podbili?

– Jako lojalny poddany cesarza oraz pokorny wierny sługa rzymskiego Kościoła ośmielę się nie odpowiedzieć na to pytanie – odparł Biber dokładnie tak, jak powinien odpowiedzieć cesarski wysłannik.

Włodzimierz zaśmiał się i pokiwał głową, najwyraźniej zupełnie nieurażony.

– Słusznie – rzekł. – Zły to poddany, który przypomina kurka na dachu i tam dziób kieruje, skąd wiatr zawieje. „Mowa wasza niech będzie: tak – tak, nie – nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” – dodał.

– Amen – rzekł uroczyście Biber.

Włodzimierz cofnął buty sprzed ognia i długą chwilę ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się nadpalonym podeszwom. Potem obrócił wzrok na gości.

– Wy jeszcze tu? – zapytał, ale nie z lekceważeniem lub irytacją, lecz jakby szczerze zdziwiony. – Ach, to wy, prawda. Cesarscy ludzie… – Potarł czoło wierzchem dłoni. – Co to ja chciałem z wami zrobić? – Zmrużył oczy.

– Za pozwoleniem Waszej Wielkoksiążęcej Mości,

rozmawialiśmy o Peczorze i księżnej, która objęła tam władzę – przypomniał grzecznie Biber.

– A tak, tak… Dam wam listy polecające do wiedźmy, ale czy one wam pomogą, czy zaszkodzą, to Bóg jeden wie. – Wielki książę podrapał się po skołtunionym zaroście. – Sądzę, że raczej pomogą, bo babsko będzie chciało mi się przypodobać, ale… – podrapał się po drugim policzku i sapnął – z drugiej strony może was osądzić i skazać pod zmyślonymi zarzutami, tylko by pokazać, iż to ona, nikt inny, jest w Peczorze i samorządna, i władna, i silna.

Biber skłonił się.

– Rozumiem i najpokorniej dziękuję Waszej Wysokości za pomoc i ostrzeżenie.

Wielki książę skinął głową.

– Nic do was nie mam. Cesarz krzywdy mi żadnej nigdy nie zrobił, czemu ja miałbym robić krzywdę ludziom cesarza? Dobrze nam się handluje z cesarskimi krajami. Nowogród bogaci się i rośnie w siłę. – Uśmiechnął się szeroko. – Więc niech tak właśnie zostanie tak długo, jak się tylko da, by zostało. Ale peczorska wiedźma za nic ma waszego cesarza. – Uśmiech zniknął z oblicza Włodzimierza i teraz jego twarz zacięła się gniewem. – Bo powiedzcie szczerze: co jej cesarz może uczynić? – Wzruszył ramionami. – Tyle co nic. – Pstryknął pogardliwie palcami.

– Obawiam się, że Wasza Wysokość ma rację – powiedział poważnie Biber. – Pozostaje nam tylko wierzyć z jednej strony w opiekę Chrystusa, a z drugiej strony w to, iż księżną zjednamy wizją cesarskiej przyjaźni.

– Taaa… Kto wie, kto wie… – Włodzimierz zmrużył oczy. – Obiecajcie, że przyślecie jej wykwalifikowanych cesarskich rzemieślników. – Uniósł palec wskazujący. – To może wiedźma się skusi na grzeczność i pomoc. Bo ci rzemieślnicy, co byli w Peczorze, sprowadzeni jeszcze przez Dymitra, to niepewni przyszłości i przestraszeni tumultem, w większości uciekli

z powrotem do mnie. – Zaśmiał się złośliwie.

– Najgoręcej dziękuję za radę, Wasza Wysokość, i nie omieszkam się do niej zastosować.

– Wiedźma chętnie zapłaci, bo za futra dostaje czyste złoto, więc na biedę nie narzeka. Tylko szkopuł w tym, że w tej dziczy nic wartościowego za złoto nie można kupić… – Wielki książę machnął pogardliwie ręką. – A jak coś można sprowadzić za wielkie sumy, to w Peczorze i tak albo umrze, albo zamarznie, albo zapleśnieje, albo zgnije, albo zardzewieje. Taki to tam kraj przeklęty. W lecie mokro, w zimie lodowato… Gdyby nie futra i handel z Jugrami – wzruszył ramionami – to nawet garści żołnierzy nie opłacałoby się trzymać na tym diabelnym pustkowiu.

Milczał dłuższą chwilę.

– No, idźcie już sobie – nakazał wreszcie zmęczonym głosem. – Uczta przed nami, trzeba się przygotować…

Wstali natychmiast i skłonili się wielkiemu księciu, dziękując mu za serdeczne przyjęcie i zapewniając o swojej wdzięczności, ale Włodzimierz ani już ich nie słuchał, ani nawet nie patrzył w ich stronę.

– Zastanawia mnie, czemu książę tak się obnosił przed nami z niechęcią do moskiewskiego władcy – powiedział Löwefell, kiedy znaleźli się sami i kiedy mógł być pewien czy prawie pewien, iż naprawdę są sami.

– Z całą pewnością mocno go nienawidzi – stwierdził Biber. – Oczywiście układają się, handlują, wymieniają poselstwa, ale najchętniej jeden drugiemu wbiłby nóż pod żebra albo podał zatrute wino. Zresztą – uśmiechnął się – nie raz próbowali.

– Więc sądzisz, że w tych jego wyklinaniach nie było ukrytego celu? Nie chciał nam niczego pokazać? Przekazać? Przecież cesarza nie obchodzi Ruś, czyż nie?

Biber cmyknął przez zęby.

– To nie do końca jest tak, jak sądzisz i mówisz, Arnoldzie. Cesarz ma ważniejsze problemy niż Ruś i my też mamy ważniejsze problemy niż Ruś. Ale to nie znaczy, że nie śledzimy uważnie, co się tu dzieje. Tylko nie do końca się zgadzamy, jak chcielibyśmy, żeby wyglądała Ruś w przyszłości…

– Inkwizytorium ma plany wobec Rusi?

– Inkwizytorium ma plany wobec całego świata – uśmiechnął się Biber. – Kto jak kto, ale ty powinieneś dobrze o tym wiedzieć, Arnoldzie.

– Nie łap mnie za słowa – odpowiedział uśmiechem Löwefell.

– Na początek chcielibyśmy mieć prawo do założenia naszych misji, naszych przedstawicielstw, prawo do prowadzenia badań – wyjaśnił już poważnie Biber. – Ruś to tereny zachwycające z punktu widzenia badacza heretyckich kultów, wynaturzonych obrządków i demonicznych knowań. – Twarz Bibera wręcz się rozpromieniła. – Chociaż oczywiście przerażające z punktu widzenia prawowiernego chrześcijanina… – dodał zaraz.

Löwefell rozumiał ten zapał, gdyż wiedział, że niszczenie jest zaledwie jednym z elementów działalności i powinności Inkwizytorium. Elementem zapewne najbardziej znanym zwykłym ludziom i szeregowym inkwizytorom. Ale doświadczeni i wtajemniczeni funkcjonariusze Świętego Officjum wiedzieli, że równie ważne jak niszczenie wroga jest jego badanie i kolekcjonowanie wiedzy o nim. Czasem po to, by dać świadectwo historii i pamięci, czasem po to, by poznać mocne i słabe strony przeciwnika, a czasem po to, by zastanowić się, jak jego osiągnięcia wykorzystać w interesie jedynej i prawdziwej wiary.

– Największym problemem jest ta ich kompletnie szalona teoria mówiąca, iż są potomkami Jezusa. – Biber pokręcił głową z niezadowoleniem. – Od wieków wmawiają to ludowi, od wieków każą ustawiać w kościołach posągi Gunderyka i jego siedmiu synów niemal na równi z Jezusem. – Machnął ręką. – A niektórzy z ich kapłanów mówią nawet, że Gunderyk jest ważniejszy, bo to on stworzył Ruś, a Chrystus nigdy nie przeszedł

nawet za Łabę.

– Spodziewam się, że Święte Officjum już coś wymyśli, żeby wilk był syty, a owca cała… – zauważył Löwefell.

– Też sądzę, że kiedyś w końcu skruszymy ten mur. Ale kiedy? Na jak długo? I co nam to da?

Löwefell pokiwał głową w zadumie.

– Kiedyś skruszymy wszystkie mury – powiedział z wiarą w głosie. – Kiedyś wszystkie nacje świata, żyjące od najwyższych gór po najmniejsze wysepki, będą kochać i czcić Jezusa.

– Tak będzie – zgodził się z nim z powagą Biber.

– A tych, których nie przekonamy, usuniemy na zawsze z powierzchni ziemi, tak aby ani oni, ani nawet pamięć o nich nie przetrwała wśród wiernego ludu – dodał Löwefell.

– Amen. – Biber złożył dłonie modlitewnym gestem. – I módlmy się, by stało się to jeszcze za naszego życia, żebyśmy na własne szczęśliwe oczy dojrzeli triumf Chrystusa.

Barnaba Biber był bardzo niezadowolony, gdy Nontle poinformowała go, iż oczywiście nie opuści uczty wydanej przez Włodzimierza na cześć gości.

– Byłoby to niezwykle niegrzeczne – powiedziała, szeroko otwierając oczy. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak łatwo jest urazić wielkiego księcia?

– To nagminna przywara władców – wzruszył ramionami Biber. – I jakoś sobie z nią radzimy. Powiedz sama, czy pospolita i prostacka ruska uczta to miejsce dla takiej kobiety jak ty?

– Bywałam na ucztach od Afryki po Tybet. Piłam sfermentowane końskie mleko, jadłam surowe owcze żołądki, żywe robaki i zgniłe jaja ze zgniłymi pisklętami w środku. Widziałam, jak w czasie uczt gotuje się ludzi w kotłach z olejem, i widziałam, jak setki panów i niewolników obojga płci pogrąża się na wiele godzin w ekstatycznej cielesnej rozkoszy, nie dbając

o płeć ani stopień pokrewieństwa. – Teatralnie zdumionym wzrokiem wpatrzyła się w Bibera. – Czy sądzisz więc, że człowieka takiego jak ja cokolwiek jest w stanie zdziwić na uczcie u prostego ruskiego księcia?

Biber po jej słowach wyglądał na mocno skonfundowanego.

– Wiem, że jesteś wędrowcem i badaczem – powiedział wreszcie. – Ale czy to miejsce dla kobiety tak pięknej i niezwykłej jak ty? Cóż uczynimy, jeśli pijany Włodzimierz zechce cię zniewolić? Będziemy mieli do wyboru albo jego gniew, albo twoją hańbę.

Nontle roześmiała się radośnie i szczerze.

– Barnabo, kiedy ty studiowałeś dzieła w klasztornych bibliotekach, ja zwiedziłam niemal cały świat. Przy okazji zwiedzania świata zwiedzałam również łożnice królów, książąt, magów, a także inkwizytorów. Moja krew jest gorąca jak Afryka, z której pochodzę. – Rozłożyła szeroko ramiona. – Kto ci powiedział, że nie chciałabym wziąć sobie na łańcuch tego ruskiego niedźwiedzia? – Przypatrywała mu się z rozbawieniem.

Löwefell również pomyślał, że Barnaba okazał się rozbrajająco naiwny w swym lęku o Nontle. Może pomimo wielkiego doświadczenia dał się na chwilę zwieść jej słodkiej, delikatnej twarzy i magicznie wykreowanej młodości? A może rzeczywiście zbyt wiele czasu poświęcał badaniom naukowym i zapomniał już, jak wielu ludzi, w tym również kobiet, nie ma najmniejszych zahamowań przed jakąkolwiek formą cielesnego obcowania?

– Co tylko sobie życzysz, księżniczko – powiedział szybko i zasłonił się dłońmi w żartobliwym geście. – Uznaj w takim razie, że w ogóle nic nie mówiłem.

Uczta trwała już ponad godzinę i wśród toastów, zawołań, gwaru rozmów i przekrzykiwania się biesiadników, wśród wybuchających i cichnących przyśpiewek nic nie zapowiadało, że może wydarzyć się coś nadzwyczajnego. Spodziewano się występów dwóch atletów, w tym przybyłego z Moskwy

czarnobrodego olbrzyma Fiodora Kułaka, i na to wydarzenie niecierpliwie czekali goście, a większość robiła już zakłady. Czasami, jak podsłuchał Löwefell, bardzo, ale to bardzo poważne zakłady. Wtem, nieoczekiwanie dla wszystkich, Włodzimierz wstał i w gniewie, który spadł na salę uczty niczym piorun na pole, chwycił srebrny puchar i z całej siły, z impetem wyrżnął nim w blat. Rozmowy i pokrzykiwania niemal natychmiast umilkły. Jakiś człowiek na drugim końcu stołu, odwrócony bokiem do szczytu tegoż stołu, nie zauważył, co się dzieje, i perorował coś zaciekle. Aż nagle, zdumiony ciszą, umilkł, rozejrzał się wokół i kiedy zobaczył wielkiego księcia stojącego z pogiętym pucharem w dłoni i z zaczerwienioną od opilstwa i gniewu twarzą, przygarbił się i skulił, udając, że wcale go nie ma i nigdy nie było.

– Jest między wami magik! – krzyknął Włodzimierz tubalnym głosem.

Między wami, zapytał w myślach Löwefell, czyli między kim? Między nami, jego gośćmi z cesarstwa, między przybyszami z Rusi czy między domownikami? O kim mówi wielki książę?

– Chcę, żebyś wstał, magiku, i wyznał, jak śmiałeś wkraść się na dwór wielkiego księcia Nowogrodu?!

Włodzimierz nie patrzył na nikogo, nie patrzył nawet w stronę jakiejś wybranej grupy gości, ale po prostu spoglądał przed siebie rozognionym, rozzłoszczonym wzrokiem, jakby oczekiwał, że wzywany i wyzywany przez niego magik wyłoni się z drgającego od blasku świec powietrza. I nagle kątem oka Löwefell dostrzegł, że siedzący trzy miejsca dalej Mordimer Madderdin wstaje.

– To ja, Wasza Wysokość, jestem magikiem, o którym raczyłeś wspomnieć – rzekł chłodnym głosem. – A raczej, gwoli ścisłości, jestem inkwizytorem. Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Do twoich usług, panie. – Pochylił głowę.

– Ha! – Wielki książę jednym gestem zmiótł puchar ze stołu, ale jego spojrzenie ze wściekłego zmieniło się na badawcze, co Löwefell odnotował z dużą ulgą. Zauważył też oczywiście, że

młody inkwizytor podał się za osobistego przedstawiciela biskupa Hez-hezronu, co nie było prawdą. Löwefell nie był zresztą pewien, czy podobna tytulatura robiła wrażenie na księciu Nowogrodu. W Cesarstwie robiła wrażenie, i to wielkie, natomiast tutaj – nie wiadomo. Oczywiście nigdy nikomu nie zaszkodziło, że wzięto go za kogoś ważniejszego, niż był w istocie, i najwyraźniej Mordimer wyszedł z takiego właśnie przekonania.

– Czy nie wiesz, inkwizytorze, że takim jak ty zabroniono raz na zawsze przekraczać granice Nowogrodu?! Czy mam zrobić z tobą to, co robi polski król z podobnymi do ciebie? Rzucić cię psom na pożarcie?

Król Władysław niczego takiego nigdy nie zrobił, nie robi i zapewne nigdy nie zrobi, pomyślał Löwefell, ale ciekawe, skąd się wzięła podobna bajęda? Inkwizytorów polski król nie lubił, to prawda, bo nie lubił, jak ktoś mu próbował przesłuchiwać, torturować i palić poddanych. Ale rzucać psom na pożarcie? Co to, to nie, Władysław był na podobne uczynki za bardzo cywilizowany…

– Wolałbym nie, Wasza Wysokość, jeśli pokornie mogę wyrazić swoje życzenie – odparł śmiało Madderdin. – A jeśli Wasza Wysokość zechce mnie wysłuchać, to chętnie opowiem, czym została spowodowana moja obecność we wspaniałym Nowogrodzie, i opowiem również, że wypełniam jedynie jasne rozkazy mojego cesarza.

– W Nowogrodzie nie cesarz rządzi, lecz wielki książę – rzekł Włodzimierz. – A wielkim księciem jestem ja, inkwizytorze, i to ja zadecyduję dzisiaj o twoim losie.

Wziął ze stołu kość obrośniętą mięsem i tłuszczem i rzucił w ciemny kąt, gdzie leżały psy. Z kąta rozległo się wściekłe warczenie, a zaraz potem ciszę panującą na sali przeszył trzask miażdżonego gnata. Wielki książę uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

– Mów – rozkazał.

– Jak Wasza Wysokość wie, zadaniem cesarskiej misji, której

mam zaszczyt być członkiem, jest przekroczenie Kamiennych Gór i podróż w głąb Jugry. To kraj, w którym pogańscy szamani, demony i umarli chodzą ścieżkami ludzi. To kraj, w którym śmierć może czyhać za każdym drzewem, w każdym strumieniu i na zboczu każdego wzgórza. Śmierć zadana ręką, przed którą nie obroni tych oto ludzi… – Mordimer powiódł szeroko dłonią, symbolicznie zagarniając owym gestem towarzyszy wyprawy – zbrojna straż ani siła oręża. Obronić ich może jedynie siła ducha oraz moc gorącej modlitwy. Ja jestem tym, który murem z własnej piersi obroni tego starca czy tę oto słabą kobietę – wskazał najpierw na Bibera, potem na Nontle – przed złem, które nie pochodzi z naszego świata… Wybacz mi, wielki książę – pochylił głowę – że nie wyznałem ci charakteru mojej misji, ale uważam się za człowieka zbyt małej wagi i rangi, by moja obecność mogła kłopotać najmożniejszych tego świata.

Włodzimierz wysłuchał spokojnie tych słów, potem skinął głową, zaśmiał się i usiadł.

– Bardzo roztropnie. Czy to nie wy, inkwizytorzy, twierdzicie, że świat najlepiej widzi ten człowiek, który sam skrywa się w cieniu?

– Tak jest, Wasza Wysokość. Tak właśnie uważają inkwizytorzy, nie licząc na zaszczyty oraz poklask, a pragnąc jedynie stanąć przed Sądem Pana, by móc powiedzieć: „W imię Chrystusa robiłem to, co robić należało”.

Wielki książę przyglądał się Mordimerowi przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Słusznie – rzekł wreszcie i odwrócił się do siedzącego obok niego mężczyzny, który wydawał się jego nieco młodszą kopią. – Jak, siostrzeńcze, uważasz? Słusznie prawi ten inkwizytor czy jednak rzucimy go psom na pożarcie? Co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Kazałbym go przesłuchać – odparł zagadnięty.

– Rozmowa to mądra rzecz – pokiwał głową Włodzimierz. – Zwłaszcza że w moich lochach nawet ptaki mogłyby zacząć

rechotać, a żaby ćwierkać.

– My mówimy, iż w lochach Inkwizytorium potrafimy wycisnąć nie tylko zeznania z ludzi, lecz nawet wodę z kamienia – rzekł Madderdin.

Włodzimierz klasnął.

– Śmiały ten wasz inkwizytor – zwrócił się do Bibera. – A ja lubię śmiałych ludzi. Choć granica pomiędzy chwalebną śmiałością a godną potępienia bezczelnością przebiega czasem niejasno i zygzakiem.

Löwefell wiedział, że wielki książę zastanawia się, co uczynić w zaistniałej sytuacji, by wyjść z niej nie tylko z twarzą, ale i zwycięsko.

– Miłościwy pan przewidział, że Wasza Wysokość przejrzy mnie i rozszyfruje – powiedział głośno Mordimer. – Rzekł mi, za waszym pozwoleniem i przeproszeniem, wielki książę, w taki sposób: „O Włodzimierzu mówią, że najadł się szpaków w dzieciństwie, toteż kiedy już odgadnie twoją rolę, daj mu ten oto pierścień na znak, że mówisz w moim imieniu, i pokornie poproś go o wybaczenie oraz by wyświadczył mi tę grzeczność i potraktował cię łaskawie”. – Madderdin wydobył z wewnętrznej kieszeni klejnot i położył go na rozwartej dłoni. Wyciągnął rękę w stronę Włodzimierza. – Czy mogę się zbliżyć, Wasza Wysokość?

Wielki książę był najwyraźniej zdumiony, ale już w żadnym razie nie rozzłoszczony ani zagniewany.

– Chodź do mnie, chodź – zezwolił.

Mordimer odsunął krzesło, okrążył stół (a wszyscy w ciszy śledzili jego kroki), zbliżył się do wielkiego księcia, stanął w pełnej szacunku odległości i znowu wysunął dłoń z klejnotem na jej środku. Włodzimierz wziął pierścień i dokładnie obejrzał go pod światło.

– Widywałem już podobne – rzekł z namysłem. – To cesarski sygnet, czyż nie? – Pokazał klejnot brodatemu starcowi siedzącemu obok niego. Löwefell wiedział, że to zaufany doradca

i kanclerz Rady Wielkoksiążęcej.

Mężczyzna przyjrzał się pierścieniowi równie uważnie co wielki książę.

– Cesarski sygnet – potwierdził.

– Jesteś bardzo młody, jak na inkwizytora i cesarskiego zaufanego – rzekł Włodzimierz, ale w jego głosie nie było podejrzliwości ani wrogości.

– Tym bardziej jestem wdzięczny, że miłościwy pan obdarował mnie zaufaniem – odparł gładko Mordimer.

– Skoro cesarz ci ufa, to i ja ci ufam – stwierdził uroczyście wielki książę i klasnął głośno. – Dajcie wina inkwizytorowi! – zawołał. – Najlepszego i w kwarcianym pucharze.

Löwefellowi kamień spadł z serca, bo zatarg o inkwizytora mógł skończyć się kiepsko dla całej misji. Jeśli człowiek, w którego umyśle zaklęto Szachor Sefer, zostałby więźniem nowogrodzkiego księcia, oznaczałoby to ogromne komplikacje i niosłoby również ze sobą wielkie ryzyko. Mogliby sprzeciwić się takiej decyzji jako przedstawiciele cesarza i położyć na szalę właśnie powagę cesarskiego majestatu, ale nie wiadomo, czy przyniosłoby to skutek, jeśli wielki książę naprawdę poczułby się urażony. I aż strach pomyśleć, co by się wydarzyło, gdyby wielki książę uparł się, by postawić na swoim. Swoją drogą, ciekawe, skąd inkwizytor ma cesarski sygnet, zadał sobie pytanie Löwefell, bo klejnot wygląda na oryginalny, a ja jakoś nie słyszałem, by na cesarskim dworze rozdawano osobiste pierścienie cesarza szeregowym inkwizytorom.

Mordimer przyjął puchar z winem, skłonił się przed księciem.

– Obowiązki poddanego każą mi pić wpierw zdrowie mojego cesarza, lecz obowiązki gościa na wielkoksiążęcym dworze każą pić zdrowie dostojnego gospodarza. Pozwól tedy, Wasza Wysokość, że wypiję za zdrowie i przyjaźń wielkiego księcia i cesarza, cesarza i wielkiego księcia…

Włodzimierz uśmiechnął się szeroko.

– Zezwalam – rzekł łaskawie.

Madderdin przechylił puchar do ust, odchylił głowę i nie oderwał naczynia, póki go nie opróżnił. Potem odetchnął, odwrócił puchar do góry dnem, by pokazać, że nie została w nim ani jedna kropla trunku.

– Pokornie dziękuję Waszej Wysokości – rzekł.

Książę skinął mu dłonią i odwrócił się już do któregoś z sąsiadów. Niektórzy z biesiadników przez chwilę jeszcze podążali wzrokiem za inkwizytorem (być może zastanawiali się, czy kwarta mocnego wina wypita duszkiem zmyli jego krok. Ale nie zmyliła), lecz potem zajęli się już swoimi sprawami. Löwefell wstał i podszedł do zbliżającego się do swojego miejsca Mordimera.

– Świetnie się spisałeś – pochwalił. – Pozwoliłeś, by wielki książę wyszedł nie tylko z twarzą, ale i usatysfakcjonowany.

– Teraz jestem niczym płonąca pochodnia dla wszystkich wrogów Świętego Officjum – rzekł Madderdin. – Dobrze, że wszystkich tak oślepi moje światło, iż nie dostrzegą dzięki niemu was.

Löwefell pokręcił głową.

– Jeżeli sądzisz, że wydał cię ktoś z nas, by odwrócić podejrzenia, to bardzo, ale to bardzo się mylisz – rzekł stanowczo. – Zapewniam cię, że tak nie jest. Przejrzał cię karzeł Włodzimierza. – Do tej pory mówił cicho, ale teraz obniżył głos jeszcze bardziej. – Jest szkolony w odkrywaniu wszelkich magicznych drgnień. Gdyby go uczono od dziecka w Akademii, mógłby zostać wybitnym inkwizytorem.

– Was nie przejrzał.

– Mordimerze, ty jesteś zaledwie na początku drogi, o której my zapomnieliśmy już, jak wyglądała – odpowiedział Löwefell łagodnie. – Potrafimy korzystać z dobrodziejstw maskarady.

Starał się, by ton jego głosu zabrzmiał naturalnie, nie mentorsko czy pogardliwie. Bo przecież to, co powiedział, było

najprawdziwszą prawdą i chciał, by ta prawda w sposób bardzo jasny, bo potwierdzony doświadczeniem z wielkoksiążęcego dworu, dotarła również do Madderdina. Młody inkwizytor po chwili skinął głową.

– Wiem – odparł wreszcie. – Przyznam jednak, że czuję się nieco dziwnie, będąc branym za jedynego inkwizytora w towarzystwie, i to za człowieka najmocniej uzdolnionego magicznie, podczas kiedy jest tak, jak mówisz: jestem zaledwie na początku drogi.

Löwefell uśmiechnął się nieznacznie.

– Gra pozorów – odparł i odszedł na swoje miejsce.

Kątem oka zauważył, że Mordimer, zajmując miejsce, wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Nontle, siedzącą nieco dalej od nich, bo bliżej księcia. Mauretanka uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej lekkim uniesieniem kącików ust. Löwefell już wcześniej domyślił się, skąd pochodził cesarski sygnet Madderdina, teraz był już tego pewien. Z jednej strony cieszyło go, iż księżniczka okazała się tak przewidująca, z drugiej strony zdziwiło i zaniepokoiło, że on sam, chociaż oczywiście brał pod uwagę podobny rozwój zdarzeń, to nie przedsięwziął tak skutecznych środków zaradczych jak Nontle. Swoją drogą, niezwykle zapobiegliwa była mauretańska księżniczka, która w swoim osobistym bagażu miała sygnet cesarza. To tylko dobrze o niej świadczyło. Cóż, w końcu jest Hildegardą Reizend, podróżniczką i badaczką, pomyślał Löwefell. Gdyby nie była przewidująca i zaradna, to już dawno temu byłaby martwa.

Oficer nazywał się Zygfryd i był grubasem o świńskich oczkach, przerzedzonych włosach i krostowatej twarzy. Na pierwszy rzut oka niewielu dałoby za niego choć grosza, a chyba nikt (oprócz prawdziwych znawców) nie pomyślałby, że to zaufany żołnierz wykorzystywany do specjalnych poruczeń. Był zdyscyplinowany, bezwzględny i potrafił również korzystać z rozumu, co w fachu żołnierskim było raczej wielką rzadkością.

– Mój człowiek zniknął – oznajmił bez ceregieli.

– Co to znaczy zniknął? – zapytał Biber.

– To znaczy, że wczoraj w nocy jeszcze był, a dzisiaj rano już go nie ma – odparł oficer dość opryskliwym tonem. – I nikt z jego towarzyszy nie jest w stanie sobie przypomnieć, kiedy widziano go ostatni raz. Prawdopodobnie chciał skorzystać z wychodka.

– Zabłądził i wpadł do fosy?

– Nie był idiotą.

– A był pijany?

– Nie pozwalam pić żołnierzom – rzekł zimno oficer. – A przynajmniej nie na obcym zamku pełnym pogan i heretyków.

Löwefell uśmiechnął się nieznacznie. Wiedział, że Zygfryd był nie tylko dobrym oficerem, ale również zapiekłym, prawowiernym chrześcijaninem, nieznoszącym jakiegokolwiek odstępstwa od nakazanej przez Kościół normy. Umiał czytać i Löwefell nieraz go widział, jak w wolnych chwilach studiował Pismo Święte.

– Zajmę się tym – rzekł Biber. – Dziękuję, że mi doniosłeś o sprawie.

Oficer sztywno kiwnął głową i wyniósł się z komnaty.

– Co oznacza to zniknięcie? – zapytał Löwefell, kiedy zostali sami.

– Włodzimierz kazał go porwać – westchnął Barnaba. – To smutne, ale nie zobaczymy już tego człowieka.

– On nic nie wie…

– Tak, nic nie wie. To prawda. I dlatego zamęczą go, żeby się przekonać, czy aby na pewno nic nie wie. – Biber wzruszył ramionami. – Potem podrzucą jego ciało przy jakimś zamtuzie lub oberży, poranią nożami, żeby można było pomyśleć, iż zginął w bójce ulicznej.

Löwefell domyślił się od razu, dlaczego nie uprzedzono

Zygfryda, że jego żołnierzom zagraża niebezpieczeństwo. Otóż Biber tak naprawdę chciał, by jednego z żołnierzy porwano i by okazało się, iż nic on nie wie. Gdyby eskortę ostrzeżono i kazano jej szczególnie się pilnować, to właśnie wywołałoby podejrzenia. A stało się tak, że żołnierz nawet na torturach mógł powiedzieć tylko, iż zabroniono im pić i opuszczać zamek, czyli przedsięwzięto zwyczajne środki bezpieczeństwa w obcym kraju, nie tyle nawet z niepokoju o samych żołnierzy, ale z obawy, by nie wywołali gdzieś burd z miejscowymi.

– Włodzimierz jest ostrożny – zauważył Löwefell.

– Gdyby nie był ostrożny, nie przetrwałby tyle lat na wielkoksiążęcym tronie – zgodził się Biber. – Ale jest również ciekawy. A życie jednego żołnierza oczywiście jest warte, by zaspokoić ciekawość władcy Nowogrodu.

– Sugerowałbym jednak, żebyś tym razem wydał Zygfrydowi rozkaz szczególnej ostrożności. Wolałbym, aby ciekawość Włodzimierza nie była zaspakajana kosztem życia naszych ludzi…

– To nie są nasi ludzie – wzruszył ramionami Biber i spojrzał na Löwefella z lekkim zdziwieniem. – To tylko najemnicy. Ale oczywiście w jednym masz słuszność: nie możemy pozwolić, by nam znikali jak woda na piasku – zgodził się. – Więc wydam odpowiednie dyspozycje.

– To prawda, że nie są inkwizytorami ani sługami klasztoru, lecz skoro znajdują się pod naszym dowództwem, to krzywda im uczyniona jest zniewagą dla nas – rzekł Löwefell. – Czyż nie tak należy rozumieć sprawy?

Biber westchnął.

– Nie życzysz sobie chyba, żebym wypytywał wielkiego księcia o los prostego żołnierza…

– Nie, oczywiście, że nie – pokręcił głową Löwefell. – Chcę natomiast, abyś wyraził zdecydowanie i jasno wyartykułowaną nadzieję, że do podobnej sytuacji nigdy już nie dojdzie. Nie chcę, by Włodzimierz poczuł, że może zabijać cesarskich ludzi, a my

jedyne, co robimy, to kładziemy uszy po sobie.

– Jak uważasz – odparł po chwili Barnaba. – To chyba nie zaszkodzi.

Kamienne Góry

Z każdą milą drogi prowadzącą na wschód od Nowogrodu i wiodącą coraz bliżej Kamiennych Gór kraj stawał się coraz dzikszy. Osady były skarlałe, chałupy mniejsze i biedne, ludzie zabiedzeni, gorzej ubrani i popatrujący na kawalkadę zbrojnych zarówno z trwogą, jak i z niedającą się ukryć nienawiścią. Na cesarskich gościńcach jeśli widziano podobny orszak, to często prowokował on a to żebraków, a to dzieci, a to karczmarzy zapraszających, by zatrzymać się u nich na posiłek. Krótko mówiąc, wielu liczyło, że obecność bogatych podróżnych okaże się dla nich opłacalna, ale też byli ich po prostu ciekawi. Tu, na Rusi, kawalkada cesarskich wysłanników i ich zbrojnej świty odprowadzana była tylko spojrzeniami pełnymi wrogości, rzucanymi spode łba i w całkowitym milczeniu.

– Dlaczego oni tak bardzo nienawidzą ludzi? – zmarszczył brwi Mordimer, kiedy już po raz kolejny przejechali opodal mieszkańców osady zachowujących się w tak nieprzyjazny sposób.

– Nienawidzą obcych, nienawidzą każdego, kto nie jest z ich okolicy, nienawidzą każdego, kto reprezentuje władzę książęcą – wyjaśnił Biber. – Jeśli przybysz jest silny i podróżuje w otoczeniu

zbrojnych, padną mu do stóp i będą się przed nim płaszczyć jak robaki. Jeśli będzie sam i słaby, zadźgają go, okradną do gołej skóry i pozbędą się trupa.

– Tak jakby w Cesarstwie nie zdarzały się podobne rzeczy… – wzruszył ramionami Löwefell, a Madderdin skinął głową na znak, że zgadza się z tymi słowami.

– Och, ludzie są niegodziwi i tu, i tam – zgodził się Biber. – Sęk w tym, że w Cesarstwie ludzie są różni, a tu, na Rusi, żyją niemal wyłącznie ludzie podli. Ale nie tylko ich można za to winić. Oni są bowiem niczym zagłodzone psy, które zawsze, od kiedy przejrzały tylko na oczy, były bite, głodzone i zastraszane. Taki pies ugryzie, nawet jeśli wyciągniesz do niego rękę ze smakołykiem lub jeśli chciałbyś go tylko pogłaskać czy opatrzyć mu rany.

Madderdin chciał coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie wyjechali zza zakrętu i inny obraz przykuł ich wzrok. Wszyscy w milczeniu przyglądali się szpalerowi szubienic, który wyłaniał się przed nimi po obu stronach drogi. Ciała były jeszcze świeże i można było poznać, iż skazańcy umarli najwyżej trzy dni wcześniej. Szczury czy psy nie mogły się dostać do wysoko powieszonych zwłok, ale żywiące się padliną ptaki wydziobały rany w twarzach tych martwych ludzi, większość pozbawiły oczu, skórę zamieniły w krwawe strzępy. Ptaki były już tak pewne siebie, tak bezczelne i tak odważne, że nawet obecność przejeżdżającej kawalkady nie przerwała im posiłku. Jeden z Rusinów krzyknął coś chrapliwym głosem, ale nawet wtedy żaden ze ścierwojadów nie poderwał się w powietrze. Tylko jedna z wron wyjęła dziób z oczodołu powieszonego człowieka i spojrzała na krzyczącego Rusina złym wzrokiem czarnych jak węgle źrenic. Löwefell zauważył, że ów Rusin szybko się przeżegnał, ucałował własną pięść i odwrócił głowę na bok. Löwefell dostrzegł również, że na szubienicach wisieli nie tylko ludzie obojga płci, ale również niedorostki, a nawet całkiem małe dzieci. Zmrużył oczy, kiedy zauważył nawet martwe niemowlę. Wtedy skierował pytający wzrok w stronę Bibera. Biber dojrzał jego spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Bunt przeciw księciu – wyjaśnił. – Tak sądzę, ale zaraz spytam.

Zagadnął jednego z ruskich szlachciców, a ten odpowiadał mu dość długo.

– Żadna tajemnica – rzekł Biber, zwracając się w stronę Löwefella. – Przeciw księciu spiskował pewien bojar, tak nazywają tutaj szlachtę…

Löwefell skinął głową, gdyż oczywiście dowiedział się tego z książek przeczytanych w klasztorze.

– …i ten bojar, kiedy odkryto już jego knowania, uciekł z Nowogrodu wraz ze swymi stronnikami i sługami. Nie wiadomo, czy chciał zmykać w stronę Kamieni, czy przejść za granicę moskiewską, ale w każdym razie zatrzymał się w niedalekiej wsi, spędził tam jeden dzień, wziął zapasy i ruszył w dalszą drogę.

– I to są mieszkańcy tej wsi – domyślił się Löwefell.

– Ano tak. Buntownikom pomagać nie wolno.

– Co niby mieli zrobić prości ludzie, kiedy zażądał od nich gościny bojar otoczony zbrojną strażą?

– Prędzej powinni zginąć, niż wspomóc książęcego wroga – stwierdził Biber. – Historia tej wsi będzie opowiadana długo i sięgnie daleko. Następnym razem ludzie z innej wsi będą woleli spalić cały dobytek i uciekną w lasy, aby tylko nie posądzono ich o sprzyjanie buntowi.

– Okrutne prawo – rzekł Löwefell i zastanowił się przez chwilę. – W Persji kary były podobne – dodał z wahaniem, gdyż przed oczami mignął mu obraz zrujnowanego, splądrowanego miasta. Poczuł gryzący dym dobywający się z płonących zgliszczy i ujrzał setki klęczących nagich ludzi, czekających, aż podejdą do nich oprawcy z mieczami w dłoniach.

Biber skinął głową.

– W Persji unicestwiano całe miasta za konszachty z wrogami szacha – rzekł, potwierdzając tym samym prawdziwość wizji

Löwefella.

Zostawili za sobą las wisielców. Löwefell nie liczył szubienic i trupów, ale ofiar musiała być co najmniej setka. Cóż, Włodzimierz mówił, że moskiewski Iwan nie żywi szacunku dla ludzkiego życia i zgodnie z przewidywaniami w Nowogrodzie nie było inaczej. Może tylko tutaj okrucieństwo nie wynikało ze ślepej, krwiożerczej pasji, lecz z wyrozumowanej konieczności wbicia do głów poddanych bezwarunkowego posłuszeństwa.

– W czasie buntu Hakenkreuza wybaczono tym rebeliantom, którzy przyłączyli się w ostatniej bitwie do cesarza. Na Rusi podobne wybaczenie nigdy nie byłoby ani możliwe, ani zrozumiałe – powiedział jeszcze Biber.

Löwefell obserwował bitwę pod Schengen, rzeczywiście ostatnią bitwę Hakenkreuza, i pamiętał doskonale, jak służąca buntownikom lekka jazda złożona ze szlacheckiej biedoty czy ze szlacheckich renegatów zmieniła w pewnej chwili front i uderzyła na plebejską hałastrę. Wszystkim tym szlachcicom nie tylko darowano potem życie, ale nawet ich nagrodzono. Może nie czyniono tego z rozgłosem i oficjalnie, lecz Löwefell wiedział, że ze skarbca cesarza wypłacono pokaźne sumy owym zdrajcom. I jednocześnie poradzono im, aby zabierali się jak najdalej od Lotaryngii.

Następnego dnia kolejna osobliwość, charakterystyczna tylko dla Rusi, przykuła wzrok oraz uwagę inkwizytorów.

– Czarne żyto – rzekł Biber, zataczając łuk dłonią. – Czytałem tylko o nim, widziałem kłosy, ale nigdy nie oglądałem tak wielkiego pola.

Löwefell spoglądał nie tylko zdziwiony, ale też w pewien sposób zafascynowany niezwykłym widokiem, jaki roztoczył się przed ich oczami. Czarne żyto ciągnęło się niczym nadzwyczajnie szeroka rzeka, której drugiego brzegu nie widać i której nurt niknie gdzieś daleko, daleko na horyzoncie. Rośliny falowały na wietrze, więc mogło się zdawać, że rzeczywiście nie jest to pole uprawne, lecz tocząca się niespiesznym nurtem woda o zdumiewającej i jednocześnie złowrogiej smolistoczarnej

barwie. Albo że jest to tak naprawdę gigantyczne, niepoliczalne stado wron, których pióra i skrzydła poruszają się muskane powiewami wiatru.

Löwefell czytał o czarnym życie i o tym, iż w niektórych częściach Rusi stanowi ono jedyne źródło pożywienia. Przy swoich wielu strasznych i śmiercionośnych wadach miało jedną niezwykłą cechę. Mogło wyrosnąć nawet na kompletnym ugorze i było niemal całkowicie odporne na zimno. Löwefell wiedział, iż dojrzałe, niezniszczone kłosy można było zbierać nawet znad śniegu albo kiedy źdźbła stały zanurzone w lodowatej wodzie. Jedynie silny grad, przewlekła susza czy ogień mogły zniszczyć tę dziwną, nadzwyczajnie odporną roślinę.

– Czarci wynalazek – prychnął Mordimer Madderdin i przeżegnał się.

Biber się roześmiał.

– Tego w dzisiejszych czasach uczą w Akademii Inkwizytorium? – spytał.

Uprawa czarnego żyta była zakazana na obszarze Cesarstwa, zresztą tak samo jak na terenie całego chrześcijańskiego świata. Owszem, Löwefell wiedział, że uprawiano je na północy Norwegii czy Szwecji, ale królowie obu tych państw mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż przejmować się tym, co robią ich poddani z regionów oddalonych zarówno od stolicy, jak i od cywilizowanego świata.

W Cesarstwie za uprawę czarnego żyta karano śmiercią, ale też nie było tam szczególnej potrzeby, by siać i zbierać tę roślinę, skoro klimat był zazwyczaj łagodny i umożliwiał uprawę najzwyklejszych zbóż, a nie takich, które są stygmatyzowane piętnem ciążącej na nich klątwy.

– Zakazujemy uprawy czarnego żyta, bo jego spożywanie może prowadzić do śmierci i szaleństwa – rzekł Biber. – A nie dlatego, że Szatan, zstępując na ziemię, nadepnął na jego nasiona bosą stopą – dodał z wyraźnym szyderstwem, cytując jakąś książkę.

– Nie wiemy, jak i dlaczego powstało czarne żyto – powiedział

Mordimer. – Zaręczysz, że nie jest wytworem czarnej magii? Że nie jest jedną z anomalii, które tak chętnie i z takim znawstwem opisuje Nontle? – Skierował wzrok w stronę mauretańskiej księżniczki, która jechała kilkanaście kroków od nich. Ona też przyglądała się uważnie falującej rzece czarnego żyta.

– Tego nikt nie zaręczy – wtrącił Löwefell. – Nie znamy genezy tej rośliny, ale wystarcza popatrzeć na to, co się dzieje z ludźmi po jej zjedzeniu, żebyśmy nie chcieli, aby uprawiano ją wśród dobrych chrześcijan.

– Dlaczego Rusini się jej nie boją? – spytał Madderdin.

– Boją się – wzruszył ramionami Biber. – Ale głód przezwycięża trwogę. Na północy, w Księstwie Peczorskim, to jest jedyna jadalna roślina, którą można bez trudu uprawiać i która daje duży plon. Pod Kamieniami żyje niewielu ludzi, a gdyby nie możliwość uprawy czarnego żyta, mieszkałoby ich jeszcze mniej.

– Uodpornili się na jego szkodliwe działanie?

Biber pokręcił głową.

– Co to, to nie. Nie wiem, czy podobna odporność jest w ogóle możliwa. Czarne żyto jest nieprzewidywalną rośliną. Jednego roku rodzi soczyste, słodkie ziarna w wielkich, nabrzmiałych kłosach, innego roku suche i gorzkie, choć nadal jadalne, jeszcze kiedy indziej nie rodzi nic poza pustym kłosem. A czasami – obrócił wzrok na Mordimera – i dlatego zakazano jego upraw w Cesarstwie, bo to „czasami” zdarzało się zbyt często, zjedzenie nasion czarnego żyta wywołuje piekielne wizje i obłęd charakteryzujący się tym, iż jego ofiara nabiera niezwykłej siły fizycznej, odporności na ból oraz przepełnia ją żądza zadawania cierpienia i śmierci innym żywym istotom.

– Jak Rusini sobie z tym radzą?

– Och, w najprostszy możliwy sposób – uśmiechnął się Biber. – Kiedy kłosy dojrzewają, wybierają spośród swoich człowieka, by ich popróbował. Jeżeli nie zachoruje, wiedzą, że będą bezpieczni, a ten wybraniec w nagrodę nie musi pracować przez resztę roku, gdyż uważają, że przyniósł wszystkim szczęście.

– A jeśli ten człowiek zachoruje?

– Wtedy palą uprawę do żywej ziemi, a wybrańca zabijają i tną na kawałeczki. Jego szczątki rozrzucają po całym polu i spryskują ziemię jego krwią. Wierzą, że ta ofiara przebłaga Czarnego Boga. Czasami też zabijają całą rodzinę takiego człowieka, no ale to już zależy od decyzji kapłanów… Raz jest tak, raz inaczej…

– Czarnego Boga?

– Bóg czarnego żyta – tym razem to Löwefell się wtrącił. – Wyobrażasz sobie, jak ważna jest dla Rusinów ta uprawa, skoro stworzyli w swoich wierzeniach boga zajmującego się tylko i wyłącznie czarnym żytem?

– Wierzą, że Czarny Bóg powstał z obciętego paznokcia dużego palca u stopy Jezusa Chrystusa. – Biber pokręcił głową z niesmakiem. – Parszywe zabobony. – Ogarnął wzrokiem falującą rzekę czarnego żyta. – Parszywa, przeklęta kraina i parszywi, przeklęci ludzie – dodał.

Löwefell pomyślał, że ta niechęć towarzyszącego mu inkwizytora idzie zbyt daleko. Przecież każdego można nawrócić na świętą wiarę Chrystusową, a ten, kto nawrócić się nie pozwoli, może dzięki swej ofierze i cierpieniu dać przykład innym, że nawrócić jednak się należało… Przecież nawet najpodlejsza padlina może stać się kompostem, na którym wzrośnie bujny i szczęsny plon Bożej chwały.

Komnata jarzyła się setkami migoczących świec. Świece tkwiły w ogromnych kandelabrach wiszących pod sufitami, świece płonęły w kilkunastoramiennych świecznikach stojących na podłodze i na stołach, wreszcie świece stały pod kryształowymi lustrami, tak ułożone, by ich światło odbijało się niczym rozjarzona płomienista droga. Migotliwy blask spotęgowany został przez to, że komnata aż kapała od złota. Meble i ściany obito złotą blachą, a podłoga, po której stąpali, została wykuta ze złotych płyt. Nawet wiszące na ścianach kobierce były szyte złotymi nićmi. Jednocześnie przy całym tym olśniewającym

i kosztującym krocie przepychu Löwefell dostrzegł, jak niechlujnie i nieporządnie wykonano wiele przedmiotów. Blachy przybito krzywo, pomiędzy kaflami pozostawiono szpary, w które wdarł się brud, kobierce były zatłuszczone, okopcone, a w niektórych miejscach nici sterczały w strzępach.

Księżna Ludmiła siedziała na samym końcu prostokątnego stołu przy wielkiej misce pełnej parującego jedzenia. Pomimo wszechobecnego zapachu świec Löwefell wyraźnie poczuł woń mięsnej polewki.

– Siadajcie, goście, siadajcie – zawołała Ludmiła śpiewną, całkiem przyjemnie brzmiącą dla ucha łaciną i machnęła zapraszająco ciężką od pierścieni dłonią.

Löwefell, zbliżając się do księżnej i siadając nieopodal, miał okazję z bliska przyjrzeć się tej kobiecie. Ludmiła była bardzo wysoka, miała podłużną twarz z dużym nosem i bystrymi oczami ukrytymi pod wypukłymi łukami brwiowymi. Brwi miałaby zapewne gęste, gdyby nie fakt, że wyskubano je w sznureczki, ale uczyniono to na tyle nieporządnie, iż widać było ich prawdziwy kształt. Księżna przypominała trochę chudego, nastroszonego ptaka, zwłaszcza że szare, gęste włosy miała upięte w dziwną misterną kitę przywodzącą na myśl ptasi czub. I palce, w których trzymała łyżkę, miała jak długie, węźlaste szpony. A łyżka była wyrzeźbiona z drewna, zauważył z rozbawieniem Löwefell. W komnacie kapiącej oraz błyszczącej od złota ten prosty, chłopski przedmiot sprawiał zaskakujące wrażenie.

– Pojecie coś? – zagadnęła księżna.

– W żadnym razie nie będziemy nadużywać gościny Waszej Książęcej Mości – zastrzegł szybko i stanowczo Biber.

– Chcecie mnie obrazić? – Ludmiła zmarszczyła brwi. Zastygła, wpatrując się w Barnabę złym wzrokiem.

– W żadnym razie – powtórzył Biber. – Jednak zajmowanie twego drogocennego czasu byłoby więcej niż nieuprzejme.

Księżna parsknęła i uderzyła płaską częścią łyżki w miskę. Jej polewka prysła na stół.

– Stać mnie zarówno na poświęcenie czasu, jak i na nakarmienie gości przybyłych z tak daleka – rzekła jeszcze bardziej nieprzyjemnym tonem.

– Skoro Wasza Książęca Mość nalega tak mocno, nie mogę dłużej się opierać. Jedynie z czystej grzeczności spróbujemy, co raczysz postawić na stół przed nami, wcale bowiem i zupełnie nie jesteśmy głodni – odparł inkwizytor.

Löwefell rozumiał, skąd to przekomarzanie i że dialog składający się z namów oraz odmów był częścią obyczaju, każącego tak właśnie zachowywać się zarówno gospodarzom, jak i gościom.

– No! – Księżna uderzyła tym razem łyżką w blat stołu, a potem zaklaskała głośno i krzyknęła coś w swojej mowie.

Löwefell już wcześniej widział dwóch ludzi ubranych w złotego koloru liberie, którzy zastygli pod ścianami po drugiej stronie komnaty. Ktoś mniej uważny mógłby nie dostrzec tych znieruchomiałych postaci, wydających się scalać w jedno ze złotym tłem i otoczonych migotliwym blaskiem setek świec. Ale Löwefell nie dożyłby zapewne tak szacownego wieku, gdyby nie zwracał uwagi na detale i na szczegóły. A zwłaszcza na mniej czy bardziej sekretną obecność nieznanych sobie ludzi. Tak czy inaczej, jeden ze służących oderwał się od ściany i ruszył biegiem w stronę drzwi położonych na przeciwległym końcu sali. Otworzył je i krzyknął coś głośno ostrym, rozkazującym tonem, a wtedy inni słudzy zaczęli wnosić tace zastawione jedzeniem oraz napojami.

Wielki książę Włodzimierz twierdził, że księżna Ludmiła byłaby wdzięczna, gdyby nakłonić do przyjazdu do jej księstwa biegłych rzemieślników w różnych dziedzinach. Kosztując potrawy, Löwefell przede wszystkim myślał, iż w Peczorze przydałby się kucharz. Na stole postawiono mnóstwo jedzenia, przede wszystkim różnego rodzaju dziczyzny, ale wszystkie te mięsa były łykowate, suche, niedoprawione, często źle upieczone, gdyż spalone po brzegach na powierzchni, a za to niemal surowe w środku. Löwefellowi było tak naprawdę wszystko jedno, co je,

aby tylko pokarm dodawał mu siły i pozwalał, by ciało i umysł funkcjonowały na odpowiednim poziomie, ale oczywiście potrafił właściwie ocenić smak potraw, a co za tym idzie kunszt kucharza. Tutaj nie tylko o żadnym kunszcie nie mogło być mowy, lecz był to wręcz jakiś kulinarny koszmar, zaprzeczenie wszystkiego, co wyobrażałby sobie człowiek słyszący o uczcie na książęcym dworze. Löwefellowi bardziej smakowało mięso przyrządzane na postojach przez jednego z cesarskich żołnierzy niż te potrawy z książęcego stołu. Tak to jest, pomyślał, iż wielkiemu talentowi niewiele potrzeba, by rozwinął skrzydła i olśnił wszystkich wokół, a kto jest talentu pozbawiony, ten nawet w sprzyjających okolicznościach zawstydzi i siebie, i otoczenie.

Löwefell wybrał suchą jak patyk nogę jakiegoś ptaka i ogryzał ją, popijając winem. Przynajmniej wino księżna miała dobre. Oczywiście stać ją było, by sprowadzać ile tylko zechciała trunków z cesarstwa, ale i tak z uwagi na odległość oraz niewygody podróży na pewno łatwiej mógł zaopatrzyć piwnicę nawet średnio majętny szlachcic w Koblencji, Krakowie czy choćby Nowogrodzie niż opływająca złotem księżna w Peczorze.

– Powiedzcie no, jak tam książę Włodzimierz? Bardzo mnie wyklina? – Ludmiła roześmiała się głośno, obnażając zęby aż po sine dziąsła, i klepnęła się dłońmi w uda.

– Jeśli Wasza Książęca Mość chce poznać moje osobiste zdanie – rzekł ostrożnie Biber – to wielki książę żałuje oczywiście utraty krewniaka i przyjaciela, jednak znakomicie rozumie, że pokój jest ważniejszy od osobistych uczuć.

Ludmiła klasnęła.

– Dobrze powiedziane! – zawołała. – A od pokoju jeszcze ważniejsze są zyski. Jeśli nie będzie pokoju, to i nie będzie handlu futrami. A jak nie będzie handlu futrami, to książę nie opłaci armii, żeby wojować z Moskwą i Szwedami. Nie opłaci szpiegów, których rozsyła po całym świecie. No i nie opłaci wierności swoich wasali. Jestem mu potrzebna jak powietrze. Jak futro w tajdze zimą. – Znowu się roześmiała.

– W Cesarstwie znamy dobrodziejstwa płynące z pokoju – stwierdził poważnie Biber. – Choć pamiętamy też czas okrutnych i niepotrzebnych wojen.

– Ano właśnie, też uważam, że wojny są całkiem zbędne – zgodziła się księżna. – I wiecie, cesarscy wysłannicy, coś wam powiem, a wy możecie to powtórzyć waszemu cesarzowi, jak będziecie chcieli. – Uniosła puchar. – Lecz wcześniej: zdrowie cesarza! – rzuciła.

Powstali i posłusznie spełnili toast. Ludmiła odetchnęła.

– Nie wiem, co wam książę Włodzimierz opowiadał, nie wiem, jak wyjaśniał, czemu kazałam powiesić jego kuzyna, ale ja wam powiem, jaki był prawdziwy powód. – Przypatrywała się Biberowi poważnym wzrokiem. – Otóż powodem były wojna i pokój. A ściślej mówiąc, moje pragnienie pokoju i jego pragnienie wojny.

Löwefell pomyślał, że to takie zwyczajne i częste: bronić pokoju tak usilnie, by zabić przeciwnika jeszcze przed tym, niż wywoła on wojnę.

– Za Kamieniami leży Jugra – powiedziała księżna. – A na Jugrze mieszkają Jugrowie. Wielu ich, dobrze znają teren, bo żyją i polują na nim od pokoleń. Dymitr sądził, że najlepszym sposobem na zyskanie ich posłuszeństwa będzie obrócenie ich w niewolników. – Wzruszyła ramionami. – Zamysł jak zamysł, ale zamysły mają to do siebie, że można je oceniać, dopiero kiedy się udadzą. A tenże zamysł nie udawał się Dymitrowi, a nawet można powiedzieć, że bardzo mu się nie udawał. Tak bardzo, iż kupcy i poszukiwacze, i żołnierze zaczęli sarkać, że tracą zyski, majątki i życie przez pomysły księcia. Potem do słowa „pomysły” dodawali również słowa „głupie” oraz „szalone”… – Ludmiła nabiła kawałek mięsa na nóż i przyjrzała mu się pod światło. Potem odłożyła kęs z powrotem na talerz. – Jugrowie polowali na naszych jak na dziką zwierzynę, a nasi polowali na Jugrów jak na dziką zwierzynę. Bardzo to szkodziło zyskom… Taaak. – Pokiwała głową. – Toteż pewnego dnia przyszli do mnie najznaczniejsi kupcy i powiedzieli, żebym ich, niebożątka, ratowała przed

utratą życia i majątku. Więc cóż było robić…

I tak właśnie świat się toczy, pomyślał Löwefell. Wokół zysku i pieniądza, i korzyści, i doczesnych przyjemności, które można sobie zapewnić, posiadając bogactwo. Ale czasami ta pogoń za zyskiem skutkuje nieoczekiwanymi konsekwencjami. Na przykład ludzie przestają się zabijać nawzajem, bo po prostu im się to nie opłaca…

– Tak więc książę Dymitr odszedł – kontynuowała Ludmiła. – A ja zawarłam korzystny pokój z wodzami Jugrów i wszyscy są zadowoleni. A chociaż haracz dla nich kosztuje mnie trochę złota, to zyski, jakie mam dzięki spokojnemu prowadzeniu handlu, znacznie ów haracz przewyższają. Książę Włodzimierz o wszystkim wie. – Skrzywiła usta. – I choć się nie przyzna, to rozumie, że oczywiście dla mnie lepiej, że Dymitr umarł, ale i dla całego Nowogrodu, i nawet dla samego Włodzimierza też lepiej, że Dymitr umarł…

Umilkła na chwilę.

– Tak to już jest… – westchnęła głucho – że niedobrze być człowiekiem, o którym wszyscy wokół sądzą, że lepiej, aby umarł…

– Amen – rzekł Löwefell.

– A i warto wam wiedzieć – księżna podniosła głowę – że nigdy mnie wielcy książęta nie wezmą za swoją, bo ja jestem tutejsza. – Rozłożyła ramiona. – Z tej ziemi i tych lasów, i tych bagien. Moi przodkowie nie przywędrowali z Gunderykiem i jego siedmioma synami. – Prychnęła pogardliwie, wyraźnie dając znać, co myśli o tej legendzie. – Ale żyli w moskiewskim księstwie, a potem przybyli tutaj, żeby szukać szczęścia i majątku w dziczy pod Kamiennymi Górami. I raz lepiej, raz gorzej, ale czasem znajdowali, co chcieli…

Löwefell wiedział, że choć upłynęło ponad tysiąc lat od czasów legendarnego panowania Gunderyka i jego synów, to mieszkańcy Rusi rzekomo wywodzący się od burgundzkiego księcia cały czas chcieli uważać się za lepszych od innych. Ale od niedawna coraz

częstsze stało się mówienie, tak jak Ludmiła, że jest się stąd, z tej ziemi, a Burgundowie byli tylko najeźdźcami. I Löwefell wyczytał też, że coraz silniejsza wśród tych, którzy uważają się za „prawdziwych Rusów", jest tęsknota, by wrócić do dawnych bogów. Do tych, którzy panowali nad niebem, słońcem i piorunami, do tych, którzy rządzili w lasach i na bagnach, do tych, którzy czasem ludziom pomagali, a czasem z ludźmi się wadzili, lecz żyli ich życiem i zarówno ich codziennym szczęściem, jak i codziennymi kłopotami. A czasami z co piękniejszymi kobietami mieli nawet synów, którzy stawali się potem wielkimi bohaterami. Takie to były tęsknoty wśród prostego ludu, a coraz częściej również wśród szlachty i Löwefell je rozumiał, gdyż wiedział, że Cesarstwo przeżywało podobne kłopoty. Czyż Decymus Kasjusz i jego towarzysze nie zostali wygnani z Rzymu i wysłani na samobójczą misję właśnie dlatego, że należeli do tych, którzy chcieli powrotu starego porządku, starych bogów, starych wierzeń, starych obyczajów i starych kapłanów? Skoro w samym sercu chrześcijaństwa Siedmiu Wspaniałych Rzymian mogło być wrogami Chrystusowej religii, to co tu mówić o odległej i odizolowanej Rusi! Zresztą jak Löwefell zdążył nie tylko przeczytać, ale i podczas podróży przekonać się na własne oczy, już teraz mieszkańcy Rusi coraz silniej łączyli pogańskie rytuały, obrządki i zabobony z chrześcijańską wiarą i chrześcijańskim ceremoniałem. To była prawdziwie groźna mieszanka, a Inkwizytorium zawsze wolało jawnych wrogów Chrystusa od takich, którzy niby czcili jego imię, lecz zupełnie nie zamierzali słuchać ani ojców Kościoła, ani Świętego Officjum i sprzeciwiali się, by wyrugować ze swej wiary heretycką zgniliznę.

– Książę Włodzimierz pisze, żebym dała wam pomoc, wolną drogę i przewodników, którzy poprowadzą was aż za Kamienie – odezwała się księżna. – Prosi też o negocjatorów, którzy pomogą wam dojść do porozumienia z Jugrami. Taaak… czemu nie… Mogę wam to wszystko dać. – Wzruszyła ramionami.

Ale… – pomyślał Löwefell.

– …ale – powiedziała zgodnie z jego przewidywaniami księżna

– dziwi mnie, czego ludzie cesarza szukają aż za Kamieniami.

– Mam listy od cesarza w tej sprawie – rzekł Biber. – Które, jak Wasza Wysokość się domyśla, skierowane zostały do księcia Dymitra, lecz wszystko najdokładniej tłumaczą każdemu, kto zechce je przeczytać.

Inkwizytor podał księżnej zapieczętowane i zalakowane dokumenty. Ludmiła obróciła je w palcach, lecz nie kwapiła się, by złamać cesarskie pieczęcie. Löwefellowi przyszło do głowy, że może po prostu nie potrafi czytać i chce to ukryć przed gośćmi, a pisma potem przeczyta jej zaufany sekretarz.

– Listy od cesarza dobra rzecz – stwierdziła. – Ale ty mi, pośle, wytłumacz tak prosto i jasno, jak jeden uczciwy człowiek może wytłumaczyć drugiemu uczciwemu człowiekowi: czego szukacie w Jugrze?

– Skarbów, Wasza Wysokość – odparł Biber z lekkim uśmiechem.

– Skarbów? – Księżna przymrużyła oczy.

Löwefell odłożył obgryzione udko na brzeg talerza, a księżna, mimo że pochylona w stronę Bibera, zauważyła to natychmiast. Gniewnym ruchem skinęła na służącego i zawarczała do niego wściekle. Pobladły sługa zaczął nakładać Löwefellowi z różnych półmisków, przy okazji mówiąc coś szybko i bez przerwy w sposób kompletnie oczywiście dla inkwizytora niezrozumiały.

– Mam francuskiego kucharza – pochwaliła się księżna – więc wszystko, co robi, to jak u największych panów w Cesarstwie. Smakuje wam, co?

Löwefell pomyślał, że dla świata byłoby lepiej, gdyby człowieka, którego Ludmiła nazywała kucharzem, nigdy więcej nie wpuszczono już do żadnej kuchni, lecz oczywiście pod żadnym pozorem nie wypowiedziałby tych słów na głos. Może nie ze względu na dobro samego kucharza, gdyż za tak nieudolne przygotowanie potraw kara po prostu mu się należała, ale przede wszystkim dlatego, że rozsierdziłby lub co gorsza, zawstydził władczynię Peczory. A powodzenie ich misji, nie ma co ukrywać,

było w dużej mierze zależne od jej dobrego humoru i tego, czy polubi cesarskich wysłanników.

– Doskonałe, Wasza Wysokość – pochwalił Biber z pełnymi ustami, czyli tak jak według ruskiego obyczaju wypadało chwalić potrawy.

– A po francusku jak gada – uśmiechnęła się księżna. – Nic człowiek nie wyrozumie z tej jego mowy i od razu widzi, że musi to być Francuz prawdziwy i rodowity, bo jak inaczej…

Löwefella zaciekawiło, czy człowiek na dworze księżnej pochodzi rzeczywiście z Francji. Kto wie, może jakieś wiatry losu naprawdę zagnały tutaj obywatela samego środka Cesarstwa. Ale jeśli chodzi o pracę w kuchni, to w Cesarstwie mógłby być co najwyżej pomocnikiem pomywacza, bo nikt przy zdrowych zmysłach, a przede wszystkim dysponujący zmysłem smaku nie dałby mu się nawet zbliżyć do żywności.

– Jedzcie, jedzcie – nakazała księżna. – A ty mów: jakich skarbów szukacie na Jugrze?

– Ksiąg i relikwii – odparł Biber. – Które, jak wierzymy, są przechowywane w grodzie zwanym Sugmut-basz.

– A skąd niby mogłyby się tam wziąć wasze księgi? – prychnęła zdumiona Ludmiła.

– To długa historia, Wasza Wysokość, i nie chciałbym nadużywać twojej…

– Nadużywaj, nadużywaj. – Księżna machnęła ręką. – Chętnie wysłucham takiej opowieści. I ciekawe, czy – spojrzała Biberowi prosto w oczy – zechcę w nią uwierzyć.

– Prawdę mówiąc, ja sam w nią nie wierzę – powiedział otwarcie Biber z taką szczerością w głosie, że Löwefell uwierzyłby mu bez zastrzeżeń, gdyby nie to, że szkolono go również w zdolności odróżniania kłamstwa od prawdy. – A raczej, żeby lepiej powiedzieć… – kontynuował – bardzo chciałbym wierzyć w prawdziwość tej historii, jednak rozsądek podpowiada mi, że wszelkie działania podejmujemy na próżno…

– No, no, zaciekawiłeś mnie. – Księżna rozparła się w fotelu. – Teraz tym bardziej musisz mi wszystko opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami.

– W Jerozolimie przechowywano relikwie Jezusa Chrystusa i Apostołów – zaczął Biber. – Między innymi miecz świętego Piotra, którym odciął on ucho słudze świątyni w dniu pojmania naszego Pana. Ale bardziej niż miecz interesuje nas księga należąca do jednego z wrogich Rzymowi stronnictw żydowskich. Ludzie ci nazywali siebie i nazywani byli przez innych zelotami, a pilnie zapisywali wydarzenia zarówno polityczne, jak i zwyczajne plotki… Byli jednymi z najlepiej poinformowanych ludzi w całej Palestynie. Wiedzieli, co się dzieje u faryzeuszy i saduceuszy, ale wiedzieli również, co dzieje się u Rzymian, na dworze prokuratora, w dowództwie legionów… To ogromna wiedza, Wasza Wysokość, o czasach poprzedzających Zstąpienie naszego Pana… Księga ta została w pierwszym wieku ukradziona i jak się potem dowiedzieliśmy, sprzedana Persom. Trafiła do pałacu jednego z perskich czarnoksiężników i we władaniu jego rodziny oraz stronników przetrwała kilkaset lat. Ale potem na Persję ruszyły plemiona stepowe. W czasie najazdów obrabowano wiele świątyń i pałaców, spalono zamki, rozbito perskie armie. Jednym z łupów najeźdźców padła owa księga, na której wartości poznał się znakomicie wyedukowany szaman barbarzyńców, zresztą Pers z pochodzenia. Tak owa księga trafiła na stepy, potem na skutek innych walk, rabunków i handlów ze stepów trafiła do puszczy. I tam znajduje się albo w świątyni w grodzie nazywanym Sugmut-basz, albo w fortecy pewnego człowieka znanego dobrze Jugrom, a również zapewne Waszej Wysokości, który to człowiek każe nazywać się Agu-Batar.

Księżna skinęła głową.

– Znam to imię. Mówią o nim i nasi kupcy, i Jugrowie. Podobno nikt go nigdy nie widział na własne oczy, znaczy jego twarzy, bo postać, rzecz jasna, widzieli… Kazał postawić wielką fortecę otoczoną murem i żyje w niej ze swoimi ludźmi, a nikomu obcemu tam nie wolno wejść. Jugrowie boją się go gorzej niż ognia…

Potem Ludmiła zapatrzyła się w Bibera ze zmarszczonymi brwiami.

– Chcecie iść z wyprawą za Kamienie dla jednej książki? – spytała wyraźnie nieprzyjaznym tonem.

Biber uśmiechnął się.

– Czasy naszego Pana opisane przez ludzi, którzy bynajmniej mu nie sprzyjali, byłyby interesujące dla naszego poznania historii. Dla zrozumienia, czym dla ludzi żyjących piętnaście wieków temu było najważniejsze wydarzenie, jakie kiedykolwiek spotkało świat… Chciałbym znaleźć tę księgę, nawet gdyby było w niej zaledwie, choć dla mnie lepsze będzie słowo „aż”, kronikarskie świadectwo.

– A więc jest w tej księdze coś więcej? – natychmiast spytała księżna.

Biber skinął głową.

– Wasza Wysokość słusznie się domyśliła. Wierzymy, że znajdują się w niej wskazówki prowadzące do sekretnych bibliotek żydowskich magów. I wierzymy również, że w tych bibliotekach odnajdziemy formuły, nad którymi owi magowie pracowali. Może magiczne, może alchemiczne. – Wzruszył ramionami. – Może cenne, a może bezwartościowe. Któż wie…

Księżna wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, potem też wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy twoja historia jest prawdziwa, jednak podejrzewam, iż może być prawdziwa, bo jest tak bardzo pozbawiona sensu… – Pokręciła głową.

– Wasza Wysokość nigdy nie słyszała, że nasz umiłowany cesarz przedkłada biblioteki nad kościoły, a dobrą lekturę nad modlitwę? – uśmiechnął się Biber. – Miłościwy pan uwielbia sekrety i tajemnice, a jeszcze bardziej od sekretów i tajemnic uwielbia ich rozwiązywanie.

Ludmiła prychnęła.

– Skoro wam płaci, możecie podążać za jego kaprysami…

– Ja bym podążał, nawet gdyby mi nie płacił – rzekł Biber z wielką szczerością w głosie. – Ale oczywiście nie każdy w Cesarstwie podziela pasję, jaką żywimy dla wiedzy zawartej w księgach.

– Inkwizytorzy lubią księgi – zauważyła Ludmiła. – Przynajmniej w wolnych chwilach pomiędzy paleniem wrogów waszej wiary – dodała.

– Och, Święte Officjum dysponuje fantastycznymi księgozbiorami! – rozmarzył się Biber. – Cesarskie ani papieskie nie mogą się z nimi równać. Waszej Wysokości mogę wyznać, że cesarz bardzo, ale to bardzo jest uradowany myślą, że inkwizytorzy przyjdą do niego pokornie prosić, by pozwolił im na odpis jerozolimskich ksiąg, albo chociaż na ich gruntowne zbadanie.

Ludmiła roześmiała się i Löwefell zrozumiał, że w tym właśnie momencie może nie tyle uwierzyła od początku do końca w historię opowiadaną przez Bibera, ale przynajmniej znalazła się tegoż uwierzenia całkiem blisko.

– No, jedzcie, jedzcie – nakazała łaskawym tonem, po czym znowu krzyknęła coś srogo i niecierpliwie w stronę służących.

I zaraz dwóch z nich podskoczyło, by napełniać misy, talerze i kielichy Bibera oraz Löwefella, a dwóch innych ku niezadowoleniu inkwizytorów (oczywiście nieokazywanemu) zaczęło wnosić półmiski z nowymi potrawami.

Posiłek u księżnej na szczęście zakończył się dość szybko, gdyż w pewnym momencie służący, wyraźnie przybyli z podróży, bo w zabłoconych strojach i butach, wpadli do sali i zaczęli meldować coś Ludmile głosami jednocześnie uniżonymi, ale również natarczywymi. Löwefell po wyrazie twarzy Bibera zrozumiał, że jego towarzysz nie bardzo jest w stanie pojąć, o czym ci ludzie mówią. Samemu Löwefellowi, który też już zdążył osłuchać się z ruskim językiem, również wydawało się, że to mowa, która brzmi nieco podobnie, ale różni się na tyle

znacznie, by ciężko było ją zrozumieć. Księżna wysłuchała przybyszów, jej twarz zaczerwieniła się, chyba z gniewu, potem Ludmiła wstała gwałtownie, zamiotła suknią podłogę, ledwie skinęła gościom dłonią i wyszła pospiesznym krokiem z sali. Na szczęście dla inkwizytorów w tym samym momencie ktokolwiek przestał się nimi interesować, służący po prostu odeszli od ich krzeseł i zniknęli za drzwiami, zostawiając ich samych przy stole pełnym półmisków, talerzy, mis, szklanek, pucharów i butelek.

– Bogu dziękować – rzekł z ulgą Biber, a Löwefell skinął głową na znak zgody.

Zaraz po wyjściu księżnej obaj opuścili komnatę i tak samo jak nikt nie zwracał uwagi na ich jadło oraz napoje, tak samo teraz nikt nie zwracał uwagi na to, gdzie idą i po co idą.

– Mam nadzieję, Arnoldzie, że jako doświadczony medyk masz w swoim bagażu likwor lub miksturę, która nam pomoże.

Löwefell uśmiechnął się. Oczywiście był odpowiednio przygotowany i w skrzyni z medykamentami, która na Rusi podróżowała na grzbiecie jucznego konia, przechowywał przeróżne specyfiki. Między innymi, spodziewając się, że woda i jedzenie na Rusi mogą powodować dolegliwości, a nawet choroby, zaopatrzył się w liczne lekarstwa kojące bóle żołądka.

– Będę szczęśliwy, mogąc się z tobą podzielić – odparł.

Potem, kiedy już siedzieli w komnacie Löwefella, zapytał towarzysza:

– Ile prawdy jest w historii, którą opowiedziałeś księżnej?

– Niemal wszystko – odparł Biber. – Zawsze uważam, że najlepiej trzymać się jak najbliżej prawdy, gdyż wtedy najłatwiej bezkarnie tumanić ludzi – zaśmiał się.

O tak, to z całą pewnością prawda i również tak właśnie sądzę, pomyślał Löwefell. Jeżeli mówi się zwykle prawdę lub prawie–prawdę lub niemalże–całkiem–prawdę, to trudniej pogubić się w gąszczu własnych zmyśleń.

– Odzyskaliśmy księgi zelotów – wyjaśnił już poważnie Biber. –

A ich historia była dokładnie taka, jak przedstawiłem księżnej, poza tym że wykupiliśmy je od Mongołów, a nigdy nie wpadły w ręce Jugrów.

– Kiedy to wszystko się działo?

– Och, z dwieście lat temu – zamyślił się Biber. – Dawno, dawno temu.

– I cóż było w tej księdze?

Tym razem Biber prychnął z rozdrażnieniem.

– Są napisane szyfrem, Arnoldzie. Mówię „są", gdyż to trzy księgi. Zapisano je jakimś diabelskim alfabetem, którego nikt nie jest w stanie zrozumieć. Są pełne symbolicznych rysunków, ale również odwołań do astrologii, mitologii, nawet do gemmologii, botaniki i zoologii. Najtęższe głowy biedziły się nad rozwikłaniem ich tajemnicy, ale nic to nie dało. – Barnaba rozłożył ręce. – Wydają się albo jakimś kosztownym i wielce pracochłonnym żartem, albo skomplikowanym systemem szyfrów, gdzie zarówno litery, symbole, jak i rysunki łączą się w przedziwny, niezrozumiały dla nas związek.

– Nigdy nie słyszałem o tych księgach.

– Po początkowej fascynacji zostawiono je w spokoju. Leżą w skarbcu w Amszilas i pokrywają się kurzem. Jeżeli będziesz chciał je obejrzeć, nie sądzę, by ktokolwiek czynił ci przeszkody. Jedno tylko muszę przyznać: diablo wciągają! – Biber uśmiechnął się z przekąsem.

– A więc ty też próbowałeś?

– A kto nie próbował! Było wielu takich, którym już się wydawało, że trzymają koniec niteczki i wystarczy tylko ją szarpnąć, by cały gigantyczny supeł zamienił się w prosty sznurek. Ale nic z tego…

– Czy Szachor Sefer została przygotowana na podobnej zasadzie?

Biber spoważniał.

– Nie upoważniono mnie, bym rozmawiał z tobą o Czarnej Księdze – rzekł. – Mogę tylko powiedzieć, że księgi zelotów wydają się przy niej zwykłym jarmarcznym figlem.

– Coś takiego! – Löwefella naprawdę zdziwiło to porównanie.

– Ano coś takiego… Ale bardzo cię proszę, Arnoldzie, nie rozmawiajmy więcej o Szachor Sefer.

– Oczywiście. Jak sobie życzysz.

Księżna wezwała wszystkich cesarskich wysłanników przed swoje oblicze następnego dnia, a żeby okazać im wyjątkową życzliwość i łaskę, zezwoliła, by uczestniczyli w porannej toalecie wtedy właśnie, kiedy służący układali jej włosy i ją ubierali.

– Czemu ogoliłaś głowę, moje dziecko? – zagadnęła Nontle, po czym kiwnęła na nią palcem. – Chodź no tu…

Mauretanka posłusznie się zbliżyła, a księżna przesunęła wnętrzem dłoni po jej krótko ostrzyżonych włosach.

– Jak to jest mieć czarną skórę? – zapytała, mrużąc oczy.

Nontle roześmiała się swobodnie.

– Na pewno inaczej, Wasza Wysokość, niż jak mieć białą skórę. Choćby z tego powodu, że jak ktoś ma białą skórę, to nikt nigdy go nie pyta, jak to jest mieć białą skórę.

Ludmiła po chwili zaśmiała się również. Przesunęła palce z głowy na kości policzkowe Nontle.

– Taka gładka skóra – westchnęła. – Ech, jak to dobrze być młodym i pięknym. Młoda kiedyś byłam, ale piękna nigdy…

Uniosła dłoń, widząc, że Biber chce się odezwać.

– Nie musisz protestować – powiedziała. – Chociaż widzę, że bardzo chcesz. – Uśmiechnęła się. – Ale ja tu, w Peczorze, też mam lustra i wiem, co pokazują, kiedy w nie spoglądam. No ale ty… – Przeniosła wzrok na Mauretankę. – Ty jesteś prawdziwie piękna, czarna dziewczyno. – Strzepnęła palcami, dając Nontle znak, że może odejść. – Sama wam wybiorę przewodników na

Kamienie, takich ludzi, co dobrze znają Jugrów i spowodują, żeby Jugrowie nie zechcieli skrócić was o głowy. Dobrych i zaufanych.

– Uprzejmie dziękujemy Waszej Wysokości.

– Kamienie są bezpieczne. – Ludmiła syknęła, bo służąca pociągnęła ją za włosy. – Zrób to jeszcze raz, a każę ci połamać palce – warknęła.

Potem chwilę siedziała w milczeniu, sztywna i jakby czekająca, czy ból znowu się pojawi.

– To dobre góry – odezwała się znowu. – Żyją z ludźmi od wieków w zgodzie i pokoju. Przez Kamienie prowadzą kupieckie szlaki, z Kamieni wydobywa się kruszce, w Kamieniach się poluje, z Kamieni wypływają nasze strumienie i rzeki. Pod Kamieniami sieje się czarne żyto, a ono tutaj zdaje się nawet mniej trujące niż w innych częściach Rusi. Taaak… – Zapatrzyła się w okno, z którego co prawda nie było widać gór, lecz jedynie wieżyczkę fortecznej strażnicy, ale Löwefell był pewien, iż władczyni Peczory przed oczami ma teraz właśnie górskie pasma, które oddzielały jej księstwo od niezmierzonych połaci Azji. – Nic złego wam się nie stanie w Kamieniach – dodała po chwili. – Chociaż uważać zawsze trzeba i po to dostaniecie przewodników.

Cóż, nie tylko po to, pomyślał Löwefell. Oczywiście, że przewodnicy mają nam pomóc, bo skoro Ludmiła nas już serdecznie ugościła, to nasza śmierć byłaby dla niej obrazą, ale przede wszystkim mają nas pilnować i śledzić. Zarówno z obawy, byśmy nie zrobili niczego, co mogłoby zaszkodzić księżnej, jak i z ciekawości, co zamierzamy uczynić w Jugrze.

– Uważać trzeba nie tylko na pogodę i żeby nie zbłądzić – dodała znaczącym tonem.

– Czy w Kamieniach i za Kamieniami trafiają się rozbójnicy? – zapytał Biber. – Ludzie nieuznający ani władzy ruskich książąt, ani władzy ugryjskich wodzów?

– Ano zdarzają się – odparła księżna. – Kamienie to wielkie góry. Może nie wysokie, ale długie do samego końca świata

i całkiem szerokie. Łatwo się w nich ukryć, łatwo tak poplątać ścieżki ucieczki, że żadna pogoń człowieka nie znajdzie. Ale macie zbyt wielu zbrojnych, żeby zbójnikom opłaciło się was napadać. A moi ludzie dobrze znają Kamienie i świetnie wiedzą, skąd wróg może nadejść i gdzie można spokojnie obozować. Z nimi będziecie bezpieczni, tylko ich słuchajcie…

– Wielka to rzecz być mądrym, jeszcze większa słuchać mądrzejszych od siebie – stwierdził Biber.

– O, to, to – zgodziła się księżna. – Nie ma takiego człowieka na szerokim świecie, co zjadł wszystkie rozumy i we wszystkim jest najlepszy. Ale ja nie o tym chciałam… – Zmrużyła oczy. – Zanim zapytałeś o rozbójników… – Popatrzyła na Bibera i pstryknęła palcami. – Co ja…? A tak, prawda! Już pamiętam…

Mimo iż Ludmiła twierdziła, że przypomniała sobie, o czym chciała powiedzieć, to długą, naprawdę długą chwilę milczała. Wreszcie się odezwała:

– Za Kamieniami dzieje się wiele dziwnych spraw. Nie na ludzki one są rozum i nie ma co zaprzątać sobie nimi głowy. Ale uważać trzeba…

– Będziemy chcieli jak najszybciej wrócić, Wasza Wysokość – zapewnił Biber. – A twoich przewodników będziemy pilnie słuchać, przestrzegać ich ostrzeżeń oraz zaleceń.

– To dobrze, to dobrze – pokiwała głową Ludmiła. – Jugra może być straszna, ale jest też piękna i bogata. Sami zobaczycie. W końcu ludzie w niej żyją, polują i zbijają wielkie majątki. Lepsza już Jugra niż nasze peczorskie trzęsawiska.

Löwefell zauważył, że jedna z dworek, która akurat stała, nie mając nic do roboty, słysząc te słowa, przeżegnała się gwałtownie i ucałowała własną pięść aż trzy razy. A więc ta dziewczyna nie dość, że rozumiała łacinę, to jeszcze najwyraźniej bardzo się czegoś bała. A raczej nie tyle czegoś, ile jej strach został przywołany przez słowo „trzęsawiska”.

– W Cesarstwie wiele czasu, sił i pieniędzy poświęcono, by osuszyć nasze bagniska – wtrącił Löwefell. – Ale też sporo jeszcze

zostało do zrobienia. Pewnie i wielu następnym pokoleniom wystarczy pracy.

Księżna machnęła ręką lekceważąco.

– Na wasze bagna to kiedy człowiek wejdzie, co najwyżej zginie lub zaginie. A na naszych bagnach czasami zaginie i on sam, i jego nieśmiertelna dusza – powiedziała, a Löwefell wyczuł w jej głosie wyraźną obawę. – A jeszcze niekiedy zdarza się, że człowiek niby wróci z bagien do swojej wioski, do osady, do lasu, do rodziny. Ale już jakiś inny, bo mówią, że dusza na mokradłach została i teraz po ludzkim świecie spaceruje już tylko pusta skorupa, pozbawiona i uczuć, i żądz, i świadomości grzechu, niepotrafiąca odróżnić dobra od zła…

Teraz dworka, ta sama, która przeżegnała się przy słowie „trzęsawiska”, aż się cofnęła o krok w stronę okna i pocałowała swoją pięść jeszcze szybciej i jeszcze bardziej zamaszyście niż przedtem. Miała pobladłą twarz.

Löwefell oczywiście nie raz słyszał podobne bajania dotyczące różnych miejsc na świecie. Czy była w nich odrobina, choćby okruch prawdy? Inkwizytorium zawsze nakazywało swym funkcjonariuszom: zanim zaczniecie myśleć w sposób magiczny, myślcie w sposób realistyczny. Zanim uznacie, że kogoś zabito za pomocą czarów, sprawdźcie lepiej, czy nie umarł z przyczyn naturalnych albo nie zamordowano go za pomocą pozostawiającej nikłe lub nawet żadne ślady trucizny. Zanim uznacie, że ktoś wzleciał do położonego nadzwyczaj wysoko okna, sprawdźcie, czy przypadkiem nie potrafił się zręcznie wspiąć po murze. I pamiętajcie, że wielu ludzi, którzy uprawiają czarną magię, uprawia ją jedynie we własnej imaginacji, bez żadnych rzeczywistych skutków. Tak właśnie, z ogromną rozwagą, podchodziło Święte Officjum do spraw związanych ze zjawiskami nadnaturalnymi. Dlatego Löwefell słuchał wynurzeń księżnej z ciekawością, lecz nie wyciągał pochopnych wniosków. Ruś była dzikim, na wpół pogańskim krajem, zamieszkanym przez ludzi nafaszerowanych przesądami i zabobonami bardziej niż gęś kaszą. Na wszystko, co tu opowiadano, należało spoglądać

z dystansem właściwym doświadczonym inkwizytorom.

– Wasze bagniska – parsknęła księżna z pogardą. – Bagniska, też mi coś… Raczej wasze bagienka. Może i ja nigdy nie byłam w Cesarstwie… – Zamyśliła się. – No ba, nawet w Nowogrodzie nigdy nie byłam, nigdy nie wyjechałam poza Peczorę, taki los. – Tym razem westchnęła. – Ale swoje wiem od naszych kupców i od waszych kupców, bo lubię słuchać, kiedy opowiadają o odległych krajach. I wiem, że wyście wszystko już ułożyli wedle własnego porządku. Drogi przez lasy i góry puścili, mosty na rzekach postawili, bagna osuszyli… A u nas ani dróg, ani mostów nie ma. A bagna… – zawiesiła głos, a jej twarz nagle zrobiła się ponura. – Wiesz ty, cesarski wysłanniku, że są u nas takie miejsca, gdzie nigdy stopa żadnego człowieka nie postała od samego początku świata? A kto chciał w te miejsca wejść lub przypadkiem się do nich zabłąkał, to nigdy już nie wracał?

– Wasza Książęca Mość włada wielkim krajem, więc łatwo uwierzę, że człowiekowi nietrudno się zabłąkać wśród lasów…

– Trzęsawiska – powiedziała księżna głucho, nie zwracając uwagi na słowa Löwefella – ciągną się dziesiątkami mil. Martwe, burobrązowe, przeżarte zgnilizną. Okryte całunem mgły, bulgoczące i smrodliwe. Zabójcze. – Ludmiła wzdrygnęła się. – A wiesz, wysłanniku, że są u nas tacy, co znają ścieżki wśród tych bagien? – Odwróciła się do inkwizytora i patrzyła na niego martwym wzrokiem. – A kiedy czasem tak się zdarza, że zwykły człowiek nie może znaleźć pomocy ani u Boga, ani u księcia, to wtedy idzie szukać ratunku na bagnach. Prosi tych, co znają ścieżki, by go poprowadzili gdzie trzeba. No i go prowadzą…

Zdumiony Löwefell zauważył, że dworka znająca łacinę bezgłośnie płacze. Stała ze skrzyżowanymi ramionami, a łzy leciały ciurkiem po jej twarzy.

– Dokąd?

– A bo to wiadomo dokąd? – wzruszyła ramionami księżna. – Niektórzy mówią, że gdzieś w samym środku bagien są wsie, a może i miasta, gdzie żyją tacy, co wcale nie wyglądają jak ludzie…

– Demony?

– Może i demony, a może po prostu inny rodzaj ludzi. – Ludmiła pokręciła głową. – Kto to wie, kto to będzie wiedział, kto się tego dowie? Nikt. Może to wszystko bajdy i kłamstwa? – Sięgnęła po kielich i upiła kilka łyków. Potem spojrzała na Löwefella trzeźwiejszym wzrokiem. – Kogo niby mam wysłać, żeby sprawdził? Żołnierze albo nie pójdą, a jeśli nawet pójdą, to opowiedzą byle co, żeby tylko wrócić i udać, że posłuchali rozkazu. Sama musiałabym iść. A po co mi to? Czy to książęca powinność, żeby po bagnach się włóczyć? Nie płacz, durna. – Ostatnie zdanie było, rzecz jasna, skierowane do znającej łacinę, a teraz przerażonej i szlochającej dworki. – Tak czy inaczej, bagna są niebezpieczne – kontynuowała Ludmiła. – Nawet jakby nie mieszkali na nich źli ludzie, a mieszkają, to wystarczy, iż dróg tam nie ma. A nawet jak są jakieś ścieżki czy ścieżynki, to tak porwane i splątane, że trudno się wyrozumieć. Nikt obcy bagien nie przejdzie, a wielkie będzie miał szczęście, jeśli wejdzie i da radę wrócić cało po swoich własnych śladach.

Löwefell przypomniał sobie, jak Biber jeszcze w klasztorze wspominał ze zgrozą o ruskich bagnach. I o tym, że coś lub ktoś może się tam czaić, może rosnąć tam jakieś zło. Wtedy Marius van Bohenwald wyśmiał te obawy. Ale czy były one w jakikolwiek sposób uzasadnione? Cóż, odległe, dzikie i niedostępne krainy zawsze budziły ciekawość i jednoczesne zaniepokojenie tym, co się w nich kryje. Co jest na bagnach, na szczytach gór, w środku puszczy, w głębokich jaskiniach? Zadawano sobie pytanie, czy mieszkają tam demony, a może czarownicy? A może zdziczali kultyści, oddający się najohydniejszym występnym obrządkom, w czasie których plugawią relikwie i wśród bluźnierstw praktykują świętokradcze rytuały? Taaak… Tak właśnie przypuszczali ludzie prości, a ich przypuszczenia i podejrzenia były tym silniejsze, im więcej wypili trunku i im pora była późniejsza. A tak naprawdę okazywało się, że w puszczach czy na bagnach rzeczywiście ukrywają się czasami zbiegowie, ale poza nimi głównie mieszkają tam smolarze, bartnicy, drwale czy myśliwi. Prawda, że często

zdziczali i jeszcze częściej niechętnie spoglądający na obcych, którzy zawieruszyli się na ich terenie. Ale jednak zwyczajni ludzie zaprzątnięci zwyczajnymi sprawami, a nie piekielne istoty lub ich wyznawcy, pochłonięci knuciem mistycznych spisków.

– Nie wierzysz, co? – Ludmiła spojrzała bystro, lecz z kpiącym uśmiechem na Löwefella. – Zresztą nieważne! Nikt z waszych nie uwierzy, póki sam się nie przekona. Tę ziemię trzeba czuć i trzeba ją znać, i trzeba ją widzieć. Wy nic nie widzicie.

– Ja wierzę w tajemnice – stwierdził poważnie Löwefell. – I w to, że świat skrywa przed nami więcej, niż nam do tej pory pokazał. Nie wiem, czy Wasza Książęca Mość słyszała o cesarskich wyprawach do Terra Occidentalis…

Ludmiła zmrużyła oczy.

– Ano mówili mi kupcy, że odkryliście nowy kraj, gdzieś za krańcem wielkiego oceanu. – Skinęła głową.

– Ten kraj jest ogromny – wyjaśniał dalej Löwefell. – Nie wiemy jeszcze nawet, jak bardzo ogromny, pokryty w dużej mierze puszczą tak gorącą i parną, że trudno w niej oddychać, a tak gęstą, że iść naprzód można jedynie wtedy, kiedy wycina się drogę przed sobą. A rośliny są tam tak silne i tak żywotne, że wyciętą drogę zarastają zaraz po tym, jak człowiek nią przejdzie. – Löwefell oczywiście wiedział, że podróżnicy jak zwykle przesadzają, ale rzeczywiście tak brzmiały ich wspomnienia z wypraw. – Co znajdziemy w sercu tej puszczy? Niektórzy w Cesarstwie zadają to pytanie z wielką ciekawością, lecz inni z wielką obawą…

– Dobrze, że się boją – stwierdziła Ludmiła. – Bo strach jest tym, co trzyma nas przy życiu. Strach jest niczym zbroja. Może brudna i śmierdząca, może wywołująca ludzki śmiech… Ale za to dobrze chroni przed głupią śmiercią.

To prawda, pomyślał Löwefell. Tylko szaleńcy nie znają strachu, natomiast powinnością rozsądnego człowieka jest chłodne wyważenie szans. Honor ma znaczenie tylko dla durniów, gdyż tak naprawdę liczy się jedynie skuteczność. I lepiej

być zwycięzcą, który wcześniej dziesięć razy się cofnął, niż bohaterem, który już w pierwszej bitwie padł przebity ostrzami, gdyż nie chciało mu się przeliczyć szans na powodzenie ataku. *Nec Hercules contra plures*, czyż nie?

– Moi ludzie poprowadzą was bezpiecznymi przełęczami. Najłatwiejszą drogą, jaką znają. – Księżna spojrzała uważnie na Bibera. – Co wcale nie oznacza: łatwą.

– Rozumiem, Wasza Wysokość.

– Macie ciepłe ubrania?

– Mamy wełniane płaszcze i futra.

– Bardzo dobrze. W nocy nawet na przełęczach może być dotkliwie zimno. Może spaść śnieg.

– Pochodzę z samego podnóża Alp, Wasza Książęca Mość – powiedział Biber. – Znam góry i wiem, jakie figle potrafi płatać w nich pogoda.

– Alpy… – zamyśliła się księżna. – Alpy są wysokie, prawda?

– Dwa razy wyższe niż Kamienie – odparł Biber. – Niektóre z gór są pokryte wiecznym lodem i wiecznym śniegiem. Oczywiście kto chce przejść Alpy, jeśli musi już to robić, to porusza się przełęczami.

Księżna pokiwała głową.

– Kamienie ciągną się daleko na północ – powiedziała. – Tak daleko, aż wrzynają się w morze skute wiecznym lodem. Tam są i wyższe szczyty, i też, jak mówisz, zawsze pokryte śniegiem, nawet w lecie. U góry nie ma nic. Żadnego życia, nawet drzew. – Wzruszyła ramionami. – Na dole jeszcze jakieś krzaki obrastają zbocza, a potem nawet i tego już nie ma. Tylko sam lód. Setki mil lodu…

– Martwa, pusta kraina – powiedział Biber.

– Martwa na pewno tak, ale czy pusta, to już różnie o tym mówią – odparła księżna.

Löwefell spojrzał na nią, a Ludmiła zobaczyła to i uśmiechnęła

się.

– Takie tam bajdy i bajędy – powiedziała z lekceważeniem. – Mówią, że kto zginie w Kamieniach, czy tutaj, czy na południu, ten budzi się na dalekiej północy jako martwa istota z kości i lodu. Setki ich i tysiące czekają na znak, na razie bezmyślne i nieruchome…

– Czyj znak? Jakie będą mieć zadanie?

Ludmiła parsknęła.

– To tylko gadanina. – Machnęła ręką. – Że martwi mogą wstać z grobu i dręczyć żywych, to każdy głupi wie. Ale niby w jaki sposób martwy miałby się przenieść sto czy tysiąc mil z południa i odnaleźć się na północy? No powiedzcie sami: niby jak mogłoby się to stać?

– Zawsze, Wasza Wysokość, zastanawia mnie ziarno prawdy, które tkwi u narodzin każdej baśni, bajki lub legendy – powiedział uprzejmie Biber.

Ludmiła skrzywiła usta.

– Na szczęście książęta mają ważniejsze rzeczy do roboty niż szukanie ziaren prawdy w stosie kłamstw i wymysłów. Jak wrócicie do mnie zza Kamieni, to mogę was wysłać na północ, żebyście sobie wszystko zobaczyli na własne oczy. Chcecie?

Biber skłonił się i rozłożył ręce.

– Pokornie dziękuję Waszej Książęcej Mości, ale niestety, muszę odmówić. Nasz cesarz na pewno nie pochwaliłby tego, iż nie wracamy tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Ja myślę. – Ludmiła roześmiała się. – Władcy są niecierpliwi, zwłaszcza jak czegoś bardzo, ale to bardzo sobie życzą. Wiem to po sobie…

Z Ludmiłą rozstali się więcej niż przyjaźnie, a Löwefell zastanawiał się, jakież są powody tej sympatii. Mogło tak być, że księżna oczekiwała pomocy w sprowadzeniu rzemieślników

z Cesarstwa, a mogło być zupełnie inaczej. Zresztą Löwefell, pomimo że znał świat od każdej złej strony, to nie wykluczał, iż może się również zdarzyć, że ludzie będą pomocni innym ludziom, nie oczekując w zamian jakichś nadzwyczajnych korzyści, a jedynie by sami siebie przekonali o tym, jacyż są zacni oraz uczciwi. W tym wypadku mogło być również tak…

Księżna dała im trzech przewodników, dwaj z nich byli Rusinami, mieli jasną skórę i jasne włosy, trzeci z całą pewnością był Jugrem, gdyż miał nie tylko długie czarne włosy zaplecione w warkocze, ale też przydymioną brązem skórę i skośne oczy, patrzące w taki sposób, że nigdy nie było wiadomo, co tak naprawdę myśli i czy mówi to samo, co myśli. Zresztą w przeciwieństwie do obu Rusinów prawie w ogóle się nie odzywał.

– Przez Kamienie przejdziemy w cztery dni, jeśli tylko pogoda się nie popsuje – obiecał jeden z Rusinów. – Zaprowadzimy was do miejsca, z którego widać fortecę, ale dalej już nie pójdziemy…

– Czemu? – spytał Biber.

– Bo Agu-Batar zabrania – wzruszył ramionami przewodnik. – A jak ktoś nie słucha zakazów, to kończy z głową nabitą na pikę.

– Przekonujący sygnał, iż nie szuka się towarzystwa gości – mruknął Löwefell.

– Nikt was nie będzie do niczego zmuszał – obiecał Biber. – A my pragniemy tylko rozmawiać z Agu-Batarem. Wystarczy, żebyście na nas czekali i przeprowadzili nas z powrotem do Peczory.

– Tak się stanie. – Rusin poważnie skinął głową. – Lecz jak na drugi dzień nie wrócicie, to będzie znaczyć, że nigdy już nie wrócicie. Więc wtedy pojedziemy donieść księżnej, że nie żyjecie.

– Zgoda – stwierdził Biber.

Droga przez wznoszące się łagodnie Kamienie nie była szczególnie uciążliwa, zwłaszcza że przewodnicy rzeczywiście wybrali łatwo dostępne przełęcze. Löwefell kilka razy zsiadał

z grzbietu konia, kiedy podejście stawało się bardziej strome, ale Nontle tylko wzruszała ramionami.

– Jestem lekka jak ziarnko piasku – mówiła. – Tak silny koń nawet nie poczuje, że mnie niesie.

A wierzchowce ofiarowane im przez Ludmiłę rzeczywiście były może niewysokie, lecz za to silne, o szerokich klatkach piersiowych i grubych niczym konary pęcinach. Na pewno nie posłużyłyby jeźdźcowi chcącemu szybko galopować po równinie, ale do uciążliwej wędrówki w górach wydawały się pasować idealnie.

Kiedy zostawili szerokie pasma Kamieni za plecami, Löwefell wyraźnie poczuł, że są stale obserwowani. Nie widział nikogo, kto by ich śledził, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że są pilnowani.

– To Jugrowie – wyjaśnił Biber. – Nie zaatakują nas, bo zostali powiadomieni, że idziemy od księżnej i nie mamy wobec nich złych zamiarów. Ale tutaj, w tym właśnie miejscu, musimy już zostawić eskortę.

– A Rusini?

– Oni pójdą z nami do samego końca. Jugrowie ich znają.

Löwefell pomyślał, że niezależnie od tego, czy jest się zwykłym kupcem, żołnierzem, czy inkwizytorem Wewnętrznego Kręgu, nikt nie ma ochoty na walkę w gęstym lesie z przeciwnikiem, którego po pierwsze nie widać, a po drugie który doskonale zna ten las od dzieciństwa. Dlatego też należało oczywiście zastosować się do życzenia jugryjskich wodzów i Zygfryd wraz ze swoimi podwładnymi rozbili obozowisko nad strumieniem u podnóża gór.

– Nie powinno wam nic grozić – rzekł Biber. – Ale uważajcie.

– Dobry żołnierz zawsze uważa – odparł sentencjonalnie oficer.

– Jeśli nie wrócimy za tydzień, macie sami wracać do Peczory – przykazał inkwizytor.

Zygfryd uśmiechnął się zimno.

– Jeśli nie wrócicie za tydzień, wtedy ja i moi ludzie pójdziemy po was…

Biber skinął tylko głową, nie dyskutując więcej na ten temat, a Löwefell pomyślał, że jeśli gdzieś tam, w puszczy, pod fortecą wampira zwanego Agu-batarem zginęliby inkwizytorzy Wewnętrznego Kręgu, to zwykli żołnierze mieliby nie większe szanse przeżycia niż kropla wody na rozpalonej patelni.

Dwa dni zajęła im podróż przez puszczę, w której przesiekach i ścieżkach przewodnicy również doskonale się orientowali. I wreszcie na trzeci dzień o poranku stanęli na skraju rozległej łąki. Naprzeciwko dostrzegli dwa małe jeziora przypominające kształtem psie głowy trzymające pomiędzy pyskami pionowo ustawiony patyk. Tym patykiem była szeroka na kilka kroków utwardzona grobla.

– Dalej nie pójdziemy – oznajmił twardo przewodnik. – Agu-batar pozwala podchodzić do grobli. Ale kto przekroczy groblę, ten ginie.

– Dobrze – odparł spokojnie Biber.

– Nie, niedobrze – powiedziała Nontle i poirytowana wzruszyła ramionami.

Löwefell poczuł tak silne wyładowanie mocy magicznej, że aż zakręciło mu się w głowie. Mauretanka w jednej chwili zdominowała umysł ruskiego przewodnika, a Löwefell zobaczył to wyraźnie po tym, jak źrenice tego człowieka się rozszerzyły, a twarz przybrała taki wyraz, jakby był bardzo zmęczony albo zasypiał. Mężczyzna nagle zaczął coś mówić w stronę swoich towarzyszy podniesionym tonem.

– Przekonuje ich, żeby jednak poszli – wyjaśnił Biber. – Mówi, że będą bezpieczni i dostaną potrójną wypłatę.

Twarz przewodnika nie sprawiała już wrażenia zmęczonej, wręcz przeciwnie, z całej jego postawy, jak i z tonu wypowiadanych słów biło zdecydowanie oraz energia.

– Wielki talent, czyż nie? – mruknął Biber, myśląc o Nontle.

A zaraz potem włączył się do dyskusji, popierając ruskiego przewodnika i potwierdzając obietnice wysokiej wypłaty. Löwefell zgadzał się, że próba skłonienia poddanych Ludmiły do dalszej podróży jest konieczna. Zawsze to lepiej, kiedy przeciwnik jest zmuszony do wyboru pomiędzy większą liczbą celów. Wzrasta bowiem szansa, iż nie trafi od razu w ciebie.

Forteca wampira była potężna. Kamienny zamek opasano grubym murem, u którego stóp dodatkowo wykopano szeroką fosę pełną mętnej, stalowosinej wody. Na blankach widniały zaostrzone brony, wychodzące cztery, pięć stóp poza linię. Zamek wyglądał, jakby przygotowano go do odparcia potężnego szturmu.

– Na miecz Pana – zawołał Biber z podziwem, ale i ze zdumieniem.

Most zwodzony do połowy był podniesiony, żelazna brama zamknięta, a kuta z grubych prętów krata opuszczona. Wszystko to wyglądało groźnie i imponująco poza jednym: na murach nie było żywego ducha.

– Ta forteca jest potężniejsza niż książęca siedziba w Peczorze – pokręcił głową Biber. – Jak na tym pustkowiu, jak w tej leśnej głuszy można było zbudować coś podobnego?

– Co teraz? – zapytał Madderdin. – Będziemy się wspinać czy wołać, żeby nam otworzono?

– Wyczuwasz go, księżniczko? – Biber zignorował pytanie młodego inkwizytora.

– Nie – odparła, a w jej głosie słychać było zdenerwowanie. – Nie czuję nic.

Löwefell również nie był w stanie dostrzec ani wyczuć żadnego, choćby najmniejszego śladu magii.

– Może dowiedział się o nas i uciekł, zostawiając wszystko? – zapytał niepewnie Biber.

– Tak – odparła nieco pewniejszym głosem Nontle. – Tak mogło się stać.

On nigdzie nie uciekł, pomyślał Löwefell, wpatrując się uważnie w puste blanki, on tam jest, sprytnie ukryty, i czeka na nas. Pragnie zobaczyć, co zrobimy, a potem spróbuje nas zabić albo uwięzić. Jestem tego pewien…

– Co o tym sądzisz, Arnoldzie? – zagadnął Biber. – Sądzisz, że mógł uciec?

– Być może – odparł Löwefell, nie spuszczając wzroku z murów.

– Tak czy inaczej, ciekaw jestem, jak pokonamy szeroką na piętnaście stóp fosę i wejdziemy na wysoki na dwadzieścia stóp mur – wtrącił Madderdin.

– Nie wejdę do tej wody – stwierdziła kategorycznie Nontle, przyglądając się martwej brei wypełniającej fosę.

Biber otrząsnął się i zdecydowanym głosem zakrzyknął coś po rusku do przewodników. Ci ruszyli w stronę lasu z wyraźną ochotą.

– Kazałem im ściąć drzewo, przerzucą je przez fosę i przejdziemy po pniu jak po kładce. W jukach mamy kilkadziesiąt stóp liny, więc bez trudu wespniemy się potem na mur. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się półgębkiem. – Byłoby dziwne, gdyby powstrzymał nas niebroniony zamek, prawda?

– Odejdźmy stąd, póki nie przygotują wszystkiego. – Nontle była wyraźnie niespokojna.

Löwefell zauważył również, że Madderdin coraz posępniejszym wzrokiem wpatrywał się w mury i baszty, tak jakby chciał zobaczyć coś lub kogoś, kto na nich być powinien, a kogo jednak nie było, czy też kogo nie dawało się zobaczyć.

– Tak, odejdźmy na skraj lasu – łatwo zgodził się Biber.

Löwefell cofnął się, nie odwracając twarzy od zamku, i bez zdziwienia zauważył, że tak samo postępują jego towarzysze. Szli

do tyłu, ostrożnie stawiając stopy i nie spuszczając wzroku z fortecy. Dobrze, że nasi przewodnicy tego nie widzą, pomyślał Löwefell, bo kto wie czy spłoszeni naszą ostrożnością, nie daliby dyla.

Zbliżyli się do Rusinów, którym humory zdecydowanie się poprawiły, kiedy znaleźli się w większej odległości od zamku. Ścinanie drzewa szło im całkiem sprawnie, lecz Löwefell wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, zanim oczyszczą pień z gałęzi i zanim z pomocą koni przeciągną go pod fosę i przerzucą nad wodą. Cóż, najwyższy czas na twój dar, Katrino, pomyślał. Zaczął recytować zaklęcie, wiedząc doskonale, że nie musi wypowiadać słów na głos, ale wystarczy, iż wyraźnie wypowiada je w głębi własnej głowy, dokładnie formułując każdą sylabę i każdą głoskę. Jednocześnie uważnie przyglądał się otoczeniu. Czy tak doświadczeni i biegli znawcy magii jak Nontle i Biber naprawdę nie dostrzegą, iż obok nich tkane jest potężne zaklęcie? Ale nie, zdawali się zupełnie nie zwracać na nic uwagi. Nontle uśmiechała się słodko do pracujących mężczyzn i zagadywała do nich coś, czego oczywiście kompletnie nie rozumieli, ale byli wniebowzięci samym faktem, że odzywa się do nich tak piękna kobieta. Biber natomiast uważnym wzrokiem wodził od lewego skrzydła murów aż po prawe i z powrotem. Jednak pomimo czujności wcale nie wyglądał na zaniepokojonego czy wytrąconego z równowagi. Jedynie Madderdin zdawał się czymś poruszony, lecz chyba sam nie wiedział, co na niego tak dziwnie działa. Löwefell zauważył tylko, że kilkakrotnie potrząsnął głową i przetarł oczy wierzchem dłoni. Sam Löwefell również odczuwał coś, co mógłby opisać jako kłopoty z widzeniem na odległość. Tak jakby co jakiś czas robiło mu się szaro przed oczami albo jakby dym czy mgła opadały na obraz, który oglądał. Trudno też mu było skoncentrować wzrok. To, co znajdowało się blisko, widział całkiem nieźle, ale im spoglądał dalej, tym widział gorzej. A kiedy patrzył w stronę zamku, to już wszystko zaczynało migotać i się rozmywać.

Wreszcie skończył tkać zaklęcie i wypowiedział w myślach ostatnią głoskę. A wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki całe otoczenie nabrało klarownej ostrości, takiej, jaką charakteryzuje się zazwyczaj świat widziany w przeczystym górskim powietrzu. Forteca wampira nie była teraz kamiennym zamkiem przypominającym budowle wznoszone przez cesarskich możnowładców i rycerzy. Nie okalał jej mur, ani tym bardziej nie opasała szeroka, pełna wody fosa. To była zaledwie solidna drewniana hala zbita z grubych bierwion i pokryta stromo opadającym dachem. Otoczono ją pochylonym ostrokołem niewiele wyższym niż rosły mężczyzna.

A więc, moja miła Katrino, tak wygląda twój dar, pomyślał z wdzięcznością. Rozejrzał się ostrożnie wokół siebie, szukając elementów, które zmieniły się podobnie jak forteca i jej otoczenie, jednak nie zauważył niczego takiego. Biber wyglądał jak Biber, Nontle jak Nontle, a Madderdin jak Madderdin. Löwefell, szczerze mówiąc, miał nadzieję, że dzięki zaklęciu dojrzy coś nowego w swoich towarzyszach. Któż wie co? Może interesujące byłoby, gdyby Mauretanka okazała się starą, wysuszoną wiedźmą, przygarbioną ku ziemi i okutaną w czarną szatę z kapturem? Ale nie, to dalej była ta sama Nontle, czarnoskóra, gładkolica i foremna jak obsydianowa figurynka. Może też Löwefell miał nadzieję, że inaczej zacznie widzieć syna Katarzyny i nosiciela Szachor Sefer? Ale w tym wypadku również okazało się, że Madderdin wygląda w jego oczach tak samo jak przed wypowiedzeniem formuły. Nic nie wskazywało na to, że w tym człowieku zaklęto za pomocą niepojętej magii księgę będącą dla wielu tak cennym obiektem pożądania. Löwefell miał właśnie nadzieję, że dzięki ujawniającemu prawdziwe oblicze rzeczy zaklęciu Katriny ujrzy Szachor Sefer, że Księga ukaże mu się może nie w całej swej okazałości, ale chociaż jako błysk, jako cień, jako strzępek… Że może ta właśnie wizja odblokuje jakąś zapadkę w umyśle Löwefella, pozwoli wspiąć się temu umysłowi na inny, wyższy poziom. Ale młody inkwizytor wyglądał po prostu jak zaniepokojony mężczyzna i jeśli nawet tkwił w nim zaklęty potężny magiczny artefakt (a przecież tkwił!), to zaklęcie Katriny w żaden sposób tego nie ujawniło.

I wtedy Löwefell dostrzegł Herenniusza Furiusa. Dostrzegł

właściciela fortecy i gospodarza tych ziem, kreaturę żyjącą od piętnastu wieków, istotę błogosławioną tym, iż mogła na własne oczy oglądać Zejście Jezusa Chrystusa, i jednocześnie potępioną tym, iż dotknęła ją straszliwa klątwa. Rzymianin był niewysoki, szczupły i blady. Całkowicie nagi, a Löwefell pomyślał, iż po prostu tej istocie nie robi żadnej różnicy, czy na zewnątrz jest upalnie, czy mroźno, powietrze drga od gorąca, czy też tnie skórę i płuca niczym lodowe ostrze. Wampir siedział na dachu i przyglądał się pracującym Rusinom. Monotonnym ruchem kiwał głową w lewo i prawo, w lewo i prawo. Löwefell naturalnym gestem odwrócił wzrok. Nie zamierzał ani unikać Herenniusza spojrzeniem, ani go obserwować. Wiedział, jak wiele zależy od tego, by wampir nie odgadł, że jego maskarada została odkryta i przejrzana. I że obróci się niedługo przeciwko niemu samemu.

© Fabryka Słów

Kiedy przewodnicy zaprzęgli konie, by pomogły im przeciągnąć długi pień, wtedy wampir wstał. Teraz w świetle popołudniowego słońca wydawał się większy. I biały na podobieństwo marmurowego posągu, który tak rażąco nie pasował do domostwa zbitego z ciężkich drewnianych bali. Herenniusz wykonał jeden oszczędny gest dłońmi i wtedy spod jego palców uniosły się trzy widmowe kształty. Pofrunęły jednak nie w stronę przewodników dźwigających pień, lecz w kierunku idącej obok Nontle, która zachęcała poddanych Ludmiły do wysiłku śmiechem i nawoływaniami. Mauretanka przystanęła na moment, jakby zaniepokojona czymś, czego nie mogła ani dojrzeć, ani tak naprawdę poczuć. Intuicyjny lęk kazał jej rozejrzeć się na boki, tak jakby wiedziała, że mierzy do niej niewidzialny łucznik, i koniecznie chciała zobaczyć jeśli nie samego strzelca, to chociaż nadlatującą strzałę.

Nie mogę jej pomóc, pomyślał z nagłym smutkiem Löwefell. Jeśli ją ostrzegę, odkryję się przed Herenniuszem, a to oznacza, że być może przegramy całą wojnę. Zaczął iść spiesznym krokiem w stronę fosy, której wcale przecież nie było, i muru, który wcale przecież nie istniał. Kątem oka zauważył, że wampir wychylił się gwałtownie w jego kierunku, ale potem, kiedy już uważnie przyjrzał się Löwefellowi, odwrócił wzrok i znów spoglądał w stronę Nontle. Księżniczka stała niczym skamieniała, wiedząc, że dzieje się coś złego, ale nie mogąc dostrzec sunących w jej stronę kształtów, wyglądających niczym strachy na wróble utkane z mgły zmieszanej z dymem. Było w tych widmowych stworach coś nie tylko złowrogiego, otaczała je aura jednocześnie grozy i zniechęcenia każącego tej grozie się poddać. Wszystkie trzy kształty sunęły tuż nad ziemią, ruchem spokojnym, monotonnym i jednostajnym, tak jakby absolutnie pewne, że stojąca naprzeciw nich czarnoskóra kobieta nie wymknie im się ani ich nie odepchnie. A ona rzeczywiście nie chciała czy nie była w stanie się poruszyć i jedyne, co mogła, to patrzeć w przestrzeń, dla niej pustą i pozbawioną życia, a tak naprawdę ukazującą mgliste stwory przesuwające się spokojnym, kołyszącym rytmem coraz bliżej i bliżej w jej stronę. I wtedy między wysłane przez

Herenniusza widma a Mauretankę skoczył Madderdin. Skoczył jak atakujący kot, a może lepiej: jak pies broniący swego pana i chcący zająć pozycję między nim a wrogiem. Otaczała go słaba modlitewna aura, znana każdemu inkwizytorowi, a służąca do ochrony przed niezbyt silnymi demonami. Löwefell zobaczył zdumienie (i chyba również coś na kształt zrozumienia) na twarzy Nontle, grymas bólu na obliczu Madderdina, ale sam nie przejmując się już żadnym z nich, pognał na wskroś przez fosę oraz przez kamienny mur. Zerknął jeszcze tylko szybko do tyłu na tyle, by zobaczyć, że Nontle zrozumiała, iż musi uderzyć zaklęciem, choćby nie widziała tego, w co zamierza trafić. I rzeczywiście, wymierzyła z taką mocą (zapewne wynikającą zarówno z przezorności, jak i strachu), że Löwefellowi aż zadzwoniło w uszach i zmylił krok. Nontle upadła nieprzytomna. Ale on zaraz potem pędził dalej. Wiedział, jak musi to wyglądać z zewnątrz. Oto na oczach swych towarzyszy zmienił się w jakąś nadnaturalnie cudowną istotę, umiejącą przebiegać po wodzie i przenikać przez mury. Tak naprawdę Löwefell biegł po trawie, a dopiero przed ostrokołem podskoczył, chwycił jego koniec palcami, wczepił się mocno, przerzucił nogi i przemieścił się na drugą stronę, unikając nie tylko zwichnięcia czy skręcenia kostki, ale nawet upadku. A mówiąc szczerze, nawet nie zwolnił. Teraz przydawał się trening, jaki przechodzili inkwizytorzy Wewnętrznego Kręgu, których zawsze upewniano, że oprócz mocy duchowej muszą mieć po swojej stronie siłę fizyczną oraz wielką zręczność, bo kto wie czy nie nadejdzie chwila, kiedy właśnie te cechy zadecydują o ich życiu. I dla Löwefella taka chwila właśnie nadeszła.

Kiedy przeskakiwał na drugą stronę, dostrzegł jeszcze jedno. Oto ziemia za otaczającym siedzibę Herenniusza częstokołem nabrzmiała, jakby wynosiły ją od spodu pęczniejące gazy, jakby coś, lub ktoś, próbowało się wydostać na wolność. I w jednej chwili Löwefell, obdarowany przecież mocą zaklęcia Katriny, dostrzegł, co usiłuje wygrzebać się nad powierzchnię. A były to zdeformowane ludzkie postacie, potężniejsze niż zwyczajni ludzie, wyższe, lecz z głowami pozbawionymi oczu i uszu,

i nosów, a mimo to – Löwefell doskonale zdawał sobie z tego sprawę! – świetnie widzące, świetnie słyszące i świetnie czujące każdy zapach. Löwefell nie mógł się cofnąć, by z nimi walczyć. Nie wiedział też, czy jego towarzysze ujrzą te wygrzebujące się spod ziemi stwory, nie wiedział, w jakiej postaci je zobaczą, i nie wiedział również, jakie zaklęcia bądź modlitwy będą pomocne w unicestwieniu potworów Herenniusza.

Wampir zniknął z dachu, Löwefell nie był pewien, jak to się stało, bo przecież nie mógł wszystkiego obserwować jednocześnie. Ale dojrzał, że w bocznej ścianie domostwa zostały otwarte drzwi. Więc wbiegł w nie po to tylko, by zobaczyć Furiusa, który stojąc na środku komnaty, wysłał przeciw niemu znowu te same czy podobne kształty, jakimi przed chwilą zaatakował Nontle. Tyle tylko, że te istoty ogromniały w zastraszającym tempie; zanim zbliżyły się do Löwefella, już pochłaniały niemal całą przestrzeń, sięgając od powały po podłogę i rozrastając się od ściany do ściany.

Z pewnością nie zobaczyłbym ich, póki by mnie nie pożarły, pomyślał Löwefell. Dostrzegam te kształty tylko dzięki Katrinie i jej zaklęciu. Ale kiedy już widział potwory Herenniusza, kiedy mógł je obserwować w każdym złowrogim detalu, to zatrzymanie ich nie było trudniejsze niż złapanie przelatującego trzmiela. Jednak Löwefell nie chciał wrogich kształtów zatrzymywać. Koncentrując myśli i wolę, odepchnął je z ogromną siłą wprost w atakującego. Liczył na to, że ogłuszy wampira, może obezwładni, może osłabi, może zdezorientuje, ale nie spodziewał się, iż wracające widma przeorają Rzymianina z tak niezwykłą siłą, że wpadną weń i znikną w nim, jakby były rozgrzaną sztabką żelaza wrzuconą do dzieży z masłem. Uderzenie było tak silne, jakby samo odepchnięcie przez Löwefella wielokrotnie spotęgowało niszczycielską moc mglistych istot. Furius rozwarł usta do krzyku, lecz nie zdołał wydać głosu. Kształty wżarły się w niego, przeniknęły przezeń i zaraz sczezły w otchłani, wcześniej rzucając go na ziemię, mnąc jak stary pergamin i wysysając z mocy. I wtedy też, przez chwilę jednocześnie krótką, jak i przeciągniętą w czasie, Löwefell zobaczył, co wydarzyło się

na Golgocie. Oczami Herenniusza Furiusa ujrzał Krzyż i rozpiętego na nim Jezusa Chrystusa. I zrozumiał również, co stało się później. A raczej przyjął to, co pojął sam Furius. Bo przecież Löwefell miał świadomość, że dostrzega świat nie takim, jakim on był naprawdę w tamtej chwili, lecz jak go widział i rozumiał ów rzymski szpieg. Tak czy inaczej, ów obraz, owa niewiarygodna wizja przeszłości, wstrząsnął nim do głębi. Nie tylko dzięki temu, że oto Löwefell zyskał okazję, jakiej nie miał nikt przed nim, by cofnąć się w czasie i zobaczyć Ukrzyżowanie oraz Zstąpienie Pana, by chłonąć wszystkimi zmysłami ten najświętszy i najbardziej znaczący moment w dziejach chrześcijańskiego świata. Już ta wizja byłaby wystarczająco niezwykła, porażająca ogromem przedstawianego wydarzenia, by oszołomić i olśnić Löwefella. Ale inkwizytor ujrzał coś jeszcze w owym dramatycznym obrazie przeszłości. Ujrzał coś, z czego w Inkwizytorium nie zdawano sobie do tej pory sprawy. Coś, co mogło wiele rzeczy skomplikować w niepokojącym stopniu…

Herenniusz leżał u stóp Löwefella, a z ust sączyła mu się zupełnie czarna krew. Czarna i śmierdząca niczym rozkładająca się padlina.

– Umieram – wyszeptał Furius, a krwawy bąbel urósł i rozprysnął się w jego ustach. – Wreszcie umieram – dodał ze zdumieniem, a jak wydawało się Löwefellowi, również bez szczególnego żalu.

Rzymianin obrócił wzrok na inkwizytora. Jego oczy nie były teraz krwawo czerwone i nie pałały morderczym ogniem. Ot, błyszczące spojrzenie chorego człowieka, targanego gorączką lub majakami.

– Czy umieram? – zapytał, jakby nie dowierzając własnym odczuciom.

– Umierasz – potwierdził Löwefell, który był przeświadczony o tym, iż jest świadkiem ostatnich chwil Furiusa. Czy to przeświadczenie wynikało z zaklęcia Katriny, czy ze zdolności samego Löwefella, to nie było istotne. – Za kilka minut nie będziesz już żył – dodał ze smutkiem.

Herenniusz milczał przez chwilę.

– Nie jesteś Aniołem, prawda? – zapytał niepewnie. – Nie, nie jesteś – odpowiedział sam sobie już pewnym głosem. – Jesteś Narsesem, perskim magiem… Poznaję cię…

– Kiedyś nim byłem – odparł spokojnie Löwefell, zastanawiając się jednak, skąd Rzymianinowi mogło przyjść do głowy, że ma do czynienia z Aniołem.

– Miałem jeszcze tyle zrobić – rzekł Herenniusz ze smutkiem i goryczą. – Zmarnowałem tak wiele czasu.

– Jak my wszyscy – zgodził się Löwefell. Wziął dłoń wampira, zimną niczym bryła lodu, między swoje ręce. – Opowiedz mi o wszystkim, póki mamy jeszcze chwilę. Dlaczego ukradłeś esencję Roksany? Do czego ci była potrzebna perska wiedźma?

Herenniusz wyciągnął dłoń z jego rąk.

– Parzysz mnie, Narsesie – rzekł bez gniewu, jedynie tonem wyjaśnienia. – Jesteś przy mnie niczym wybuch wulkanu przy lodowym gejzerze. – Przymknął oczy. – Chodziło mi o to, o co chodzi wam wszystkim. O Szachor Sefer.

– To wiemy. Ale dlaczego akurat Roksana?

– Roksana jest kluczem – wyjaśnił wampir słabym, zmęczonym głosem. – Roksana jest pierwszym kluczem do Tajemnicy.

– Roksana? – Löwefell naprawdę się zdziwił.

Oczywiście musiał brać pod uwagę, że Herenniusz się myli albo że najzwyczajniej w świecie kłamie, by nawet tuż przed śmiercią wskazać wrogom zły trop.

– Tak, Roksana – przytaknął Herenniusz.

– Nie ja? Nie Narses? – poprawił się zaraz Löwefell.

– Ona zaklęła Czarną Księgę w ciele i umyśle tego inkwizytora. – Wampir utkwił niespokojny wzrok w Löwefellu. – Czy on żyje? Nie zabiłem go?

– Widziałem, że oddycha, kiedy go zostawiłem, chociaż stracił

przytomność. Nie sądzę, żeby mu coś groziło.

Wampir odetchnął z ulgą.

– Nie chciałem uderzyć w niego – powiedział. – Po co osłaniał tę kobietę? – Spojrzenie Herenniusza nabrało twardości. – Jest zła, fałszywa i doprowadzi was prędzej czy później do zguby – ostrzegł. – Strzeżcie się jej. Bękart niepotrzebnie ją ratował, zupełnie niepotrzebnie…

– Herenniuszu, twoje podziemne stwory… Czym one są? Nie chcę, żeby wyrządziły komuś krzywdę…

Rzymianin skrzywił usta.

– Osłabły, kiedy uderzyłeś we mnie, więc jestem pewien, że twój towarzysz dał sobie z nimi świetnie radę.

Löwefell skinął głową. Musiał ufać słowom Furiusa i musiał ufać sile oraz zdolnościom Barnaby Bibera. Nie mógł sobie pozwolić na to, by teraz właśnie, w ostatnich chwilach istoty, która żyła półtora millenium, odejść i zajmować się innymi sprawami. Nawet gdyby te „inne sprawy” oznaczały życie i śmierć towarzyszy.

Herenniusz milczał długo, gdyż najwyraźniej brakowało mu już sił. Löwefell zauważył, że blada twarz i dłonie Furiusa zaczynały powoli ciemnieć, tak jakby ktoś przysypywał je ledwo widocznymi drobinkami pyłu.

– Zbliża się koniec. – Wampir również spoglądał na swoje ręce. – Ciekawe, jak tam jest, Narsesie? – Podniósł oczy w stronę sufitu.

– Sądzę, że nie w górę powinieneś spoglądać – odparł Löwefell.

Herenniusz zaśmiał się z trudem, ale bez przymusu.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej – powiedział. – Moglibyśmy wiele razem osiągnąć…

– Roksana – przypomniał Löwefell. – Opowiedz mi o Roksanie.

– Ona jest kluczem – powtórzył Herenniusz. – Jeżeli ktokolwiek rozplecie magię ognia i krwi, to tylko ta, która ją wcześniej zaplotła. Chyba że znajdziecie inny sposób, by odzyskać Księgę. –

Wyraźnie chciał wzruszyć ramionami, lecz nie miał już siły i tylko przez jego szarzejącą twarz przebiegł skurcz.

– Jaki sposób? Jaki jest inny sposób? Znasz go? – zapytał szybko inkwizytor.

Źrenice wampira stawały się coraz ciemniejsze i coraz większe. I chyba światło zaczęło mu sprawiać ból, gdyż przymknął powieki.

– To tylko podejrzenia – powiedział. – Tylko nadzieje. I jakże trudne zadanie…

– Co masz na myśli? – zapytał niecierpliwie Löwefell, który jako koszmar wyobraził sobie teraz, iż Furius może umrzeć na samym początku zdania ujawniającego wielką tajemnicę, genialne rozwiązanie zagadki…

– Kościany Galeon, Narsesie. – Kąciki ust wampira znowu drgnęły. – Ale to siła tak przemożna, że nie okiełznasz jej ani nie podporządkujesz sobie. Lecz gdyby tak się stało…

Löwefell przypomniał sobie rozmowę z Matyldą. Ona też opowiadała o niezwykłej potędze i magicznej mocy Kościanego Galeonu. Twierdziła, że ten przemierzający światy demoniczny twór jest pułapką dla wszelkich magicznych artefaktów i relikwii. Inkwizytor brał jej słowa nadzwyczaj poważnie, gdyż Matylda była osobą znającą wiele tajemnic Inkwizytorium, jak również tajemnic mistycznego świata. Ale nawet ona nie wiedziała, w jaki sposób można by zrealizować plan podporządkowania sobie sił sterujących Galeonem. Jeśli w ogóle takie siły istniały…

– A klucze? Co dalej z kluczami, o których mówiłeś? – zapytał, rozumiejąc, że dalsze wypytywanie o Galeon nie ma już sensu. – Jaka jest moja rola?

– Zrozumiałeś Szachor Sefer, Narsesie. Rozszyfrowałeś ją. Jesteś drugim kluczem, lecz całkowicie bezużytecznym bez pierwszego.

– Nic nie pamiętam. – Löwefell usłyszał gorycz we własnym głosie. – Nie pamiętam nie tylko, czy rozwikłałem tajemnicę, ale

nie pamiętam nawet tego, że próbowałem to uczynić.

– Pamięć kiedyś wróci – stwierdził wampir. – Uważaj tylko, żeby znowu ci jej nie zabrali… – W głosie Rzymianina inkwizytor raczej wyczuł, niż usłyszał coś na kształt rozbawienia.

– Wiesz, co zapisano w Szachor Sefer?

Herenniusz prychnął, a z ust pociekła mu krew tak gęsta, że przypominała śluz. I cuchnęła jeszcze mocniej niż na początku.

– Ja nie wiem – powiedział słabym głosem. – Poza tym, że da władzę każdemu, kto ją pojmie.

– Władzę nad czym?

Usta wampira drgnęły w nieznacznym uśmiechu.

– Nad wszystkim. Nad tym, co pod stopami i nad głową, nad tym, co z przodu, z tyłu i obok. Nad zupełnie wszystkim.

Löwefell westchnął i pokręcił głową.

– Herenniuszu, nie szukam kolejnych zagadek – rzekł. – Czy mógłbyś się wyrażać z nieco większą precyzją?

– Ja umieram, Narsesie – powiedział Furius nie tylko ze zdziwieniem, ale znowu również ze śladem rozbawienia. – Jakiej precyzji oczekujesz od żyjącego od piętnastu wieków i właśnie umierającego Rzymianina?

Jego twarz była już tak szara, jakby obsypano ją wystygłym popiołem z zagaszonego ogniska.

– Módl się za mnie, Arnoldzie Löwefell – zaszeptał. – Miałem być kimś innym, powinienem być kimś innym… – Löwefellowi wydawało się, że z ust Furiusa wydobyło się coś na kształt szlochu. – Gdyby stało się inaczej, niż się stało, to teraz kto wie, może ucztowałbym przy stole naszego Pana… Widziałeś, prawda? Widziałeś moimi oczami, prawda?

Pytał z tak wielką nadzieją i tak przejmującym smutkiem, że Löwefell tylko skinął mu głową w odpowiedzi. I tym razem to Herenniusz wyciągnął dłoń w stronę Löwefella i ścisnął z całej siły jego palce. Ale „z całej siły” przy tym, jak bardzo był teraz

osłabiony, oznaczało jedynie, że inkwizytor ledwo poczuł ten dotyk.

– Szukaj trzeciego klucza – przykazał jeszcze z wysiłkiem Herenniusz.

– Kto jest trzecim kluczem? – zapytał Löwefell natychmiast.

– Trzeci klucz znajdziesz w ręku Anioła – odparł Herenniusz, a zaraz potem jego ciało przeszedł dreszcz. – Zrób to, co trzeba, Arnoldzie Löwefell, zrób to, co trzeba… Ja… zawiodłem.

– Poczekaj… poczekaj… – Inkwizytor mocniej ścisnął dłoń wampira i poczuł, jak ta dłoń pod uściskiem jego palców zmienia się i odkształca, jak gdyby ulepiono ją z mięknącego na ciepłej blasze wosku.

Twarz Herenniusza stała się tak ciemna, jakby natarto ją węglowym miałem.

– Nie mogę już czekać, Arnoldzie – powiedział z wielkim smutkiem. – Tak bardzo żałuję… tak bardzo żałuję… wszystkiego…

A potem z jego oczu spłynęły gęste krwawe krople i w chwilę później Herenniusz Furius przestał żyć. Jego ciało zapadało się i deformowało, przelewało niczym gęsty, wrzący krochmal wymieszany z krwią, aż wreszcie twarz Rzymianina utraciła wszelkie ludzkie kształty i rysy, jego kończyny zlały się w jedno z tułowiem, głowa ściekła w stronę ramion, a kości, ścięgna i mięśnie rozpuściły się w tej brudnokrwawej magmie.

Löwefell podniósł się i spojrzał na maź, która połyskując ciemną czerwienią, rozlewała się po podłodze. Odór był tak porażający, że inkwizytor cofnął się kilka kroków w głąb komnaty. Oczywiście wiedział, że trzeba będzie dokładnie zbadać te ohydne szczątki, ale wolał, aby dokonało się to wtedy, kiedy wszyscy jego towarzysze będą obecni. Być może któreś z nich dostrzeże coś, czego nie dostrzegł on sam. Pod warunkiem, że cokolwiek w ogóle było do dostrzeżenia.

Nie usłyszał nawet kroków za plecami, ale doskonale

i bezbłędnie wyczuł, że ktoś się zbliża. Obrócił się z na nowo rozbudzoną czujnością i agresją…

– To tylko ja, to ja… – usłyszał słaby głos Nontle.

Mauretanka postąpiła kilka kroków, po czym wsparła się na jego ramieniu. Jej nozdrza drgnęły nerwowo, kiedy dobiegł ją odór bijący z resztek wampira. Wzdrygnęła się, ale nie cofnęła.

– To koniec – stwierdziła z rezygnacją w głosie.

– To raczej nowy początek – rzekł Löwefell, wskazując na drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. – Czujesz tę magię?

Skinęła głową.

– Oczywiście – odparła. – Ale bez względu na to żałuję, że nie udało się go ocalić. – Teraz dopiero cofnęła się o dwa kroki. – To ohydne, co z niego zostało – powiedziała z nieudawanym obrzydzeniem. – Zabierz esencję Roksany i chodźmy stąd…

Löwefell skinął głową.

– Natychmiast przekażę ją Barnabie – rzekł. – To on ma być odpowiedzialny za Roksanę. – Wzruszył ramionami. – Jeśli w ogóle jest w tej esencji zatopiona i ukryta jakakolwiek Roksana lub byt, który będziemy potrafili odzyskać i który kiedykolwiek nią się stanie.

Nontle milczała chwilę, lecz potem skinęła głową.

– Słusznie – rzekła. – A czy Furius coś powiedział?

Löwefell pokręcił głową.

– Nic ważnego dla nas – rzekł. – Choć zapewne rzeczy ważne dla niego. Powiedział, że miał jeszcze tak wiele do zrobienia i że żałuje tego, w jaki sposób żył, i że mógłby ucztować przy stole Pana, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Rozeźlona Nontle gniewnie prychnęła.

– Co za banialuki! – zawołała. – Tak może gadać jakiś żałosny umierający chłop, a nie wampir, który żył półtora millenium! – Löwefell zauważył, że zacisnęła dłonie w pięści. – Dlaczego mnie

tu nie było zamiast ciebie!

– Bo leżałaś nieprzytomna po jego uderzeniu? – spytał Löwefell, nie wysilając się nawet na ironię. – A pamiętaj, że zapewne leżałabyś całkowicie martwa, gdyby Madderdin nie osłonił cię własnym ciałem.

– Och, bądź pewien, że mu za to stosownie podziękuję – stwierdziła. – A teraz spieszę cię zawiadomić, że nasz dzielny inkwizytor już oprzytomniał i się podniósł. A więc żyje i chyba nawet nie został szczególnie uszkodzony…

– Chyba?

– To nie ja jestem medykiem, Arnoldzie – prychnęła z rozdrażnieniem. – To twoim obowiązkiem będzie zbadanie go i ewentualnie wyleczenie, jeśli się okaże, że odniósł obrażenia. I lepiej zbadaj go dobrze!

Löwefell uśmiechnął się tylko do własnych myśli, gdy uświadomił sobie, iż ktoś postronny słuchający ich rozmowy mógłby sądzić, że Mauretanka tym przykazaniem wyraża dbałość o los młodego inkwizytora, który uratował jej życie.

Biber rozebrał się do naga i nie zważając na lodowatą wodę, mył się w strumieniu. Zanurzony niemal po pas, pochylał się nad nurtem i dokładnie obmywał ciało z własnej krwi i z gęstego, ciemnego i śmierdzącego śluzu, jakim był pochlapany.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytał Löwefell.

Biber wyprostował się. Jak na człowieka o siwych włosach i zmęczonej, pobrużdżonej twarzy, miał zdumiewająco młode ciało. A może nie młode, lecz po prostu dobrze wytrenowane. Umięśnione i pozbawione zbędnego tłuszczu, teraz co prawda dodatkowo poznaczone skaleczeniami, poranione i posiniaczone.

– Och, nic, z czym nie dałbym sobie rady, ale dziękuję ci uprzejmie za propozycję. Szczerze mówiąc, sądziłem, że poniosłem nieco większe szkody. – Wykrzywił usta w zmęczonym uśmiechu.

– Idąc do ciebie, obejrzałem te… – Löwefell zawiesił na chwilę głos – istoty. Były martwe, zanim je pokonałeś, prawda?

Biber skinął głową.

– Były bardzo, bardzo potężne, Arnoldzie. Nie zapłonęły nawet w świętym ogniu…

– Umiesz używać świętego ognia? – zdziwił się Löwefell, a potem zdał sobie sprawę, że jego zdziwienie mogło zostać mylnie odczytane. – Wybacz – dodał.

Biber uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nie zawsze przedkładałem wieczory w klasztornej bibliotece nad światowe przygody. I ja byłem tu czy tam, kiedyś na tej czy innej wojnie…

Löwefell odpowiedział uśmiechem, wiedząc, że Biber tak oględnie o wojnach, w których brał udział, mówi nie tylko z przekory, ale przede wszystkim dlatego, iż najwyraźniej nie miał ochoty albo nie wolno mu było dzielić się wiedzą na ten temat.

– To zdumiewające – rzekł, mając już na myśli, iż potwory przywołane lub stworzone przez wampira nie zapłonęły w świętym ogniu.

– O tak. Zabiorę do klasztoru fragmenty tych kreatur do dalszego badania. Co zostało po Herenniuszu?

– Sam zobaczysz. Nazwij to śmierdzącą smołą, a nie pomylisz się zbyt wiele.

Biber skinął głową.

– Czy coś wyznał?

– Żal. – Löwefell powtórzył towarzyszowi z tej rozmowy to samo, co wcześniej powiedział Nontle.

– Esencja?

– Bałem się ją zostawić – odparł Löwefell. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął wysmukłą, opalizującą buteleczkę

długości palca wskazującego.

– Czułem, że masz ją ze sobą. – Biber zbliżył się, wyciągnął rękę i zamknął flaszeczkę w dłoni. – Mój Boże, ta moc… – Przymknął oczy.

– Czuję moc, ale nie czuję Roksany – przyznał Löwefell ze smutkiem.

– Dopiero w klasztorze będziemy w stanie ocenić, jak zręczny był Herenniusz – rzekł Biber. – Do tego czasu możemy się jedynie modlić i wierzyć, że półtora tysiąca lat nasyciło naszego niedawnego wroga nie tylko wielką mocą, ale również wielką mądrością. – Westchnął. – Przynajmniej w tym zakresie.

– A właśnie, skoro mowa o mocy: jak poradziłeś sobie z kreaturami odpornymi na święty ogień?

– Ich ciosy przedostawały się nawet przez świetliste pancerze. – Biber pokręcił głową. – To niepojęte, Arnoldzie. Najpotężniejsze demony mają z tym ogromny problem, a tutaj takie stwory z błota… – Wzruszył ramionami.

Tym razem Löwefell powstrzymał się już od wyrażenia zdziwienia, że Biber potrafi ochronić się świetlistym pancerzem. Skoro umiał stosować święty ogień, to nie było już w tym nic zdumiewającego.

– …znacznie osłabione – kontynuował Biber. – Ale jednak się przedostawały. Stąd te rany. – Dotknął jednego ze swych skaleczeń. – I nagle, zamiast rozbijać mój pancerz, to one po prostu rozbiły się o niego. – Uśmiechnął się. – Pozwolę sobie podejrzewać, iż stało się to w tym samym czasie, kiedy ty pokonałeś Furiusa.

Löwefell skinął głową.

A więc Herenniusz mówił prawdę, pomyślał. Podziemne potwory pozbawione jego wsparcia po prostu osłabły i Biber mógł je już bez trudu zlikwidować. Wychodzi na to, że wyprawa wszystko zawdzięcza mnie, dodał w myślach. A z kolei ja sam wszystko zawdzięczam Katrinie… Podsumowując: gdyby nie

Katrina, wszyscy leżelibyśmy martwi. A może znaleźlibyśmy się w niewoli wampira? A może zamieniłby nas w takie właśnie podziemne kreatury, mordujące na jego rozkaz i tym potężniejsze, iż stworzone z inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu?

– Czy te potwory mogły być kiedyś żywymi ludźmi? – spytał.

– Być może – skinął głową Biber. – Ale pozwól, że i ja zadam ci pytanie. – Obrócił na Löwefella uważne spojrzenie. – Jak to jest biec po wodzie i przenikać przez mury?

Löwefell zaśmiał się, bo przecież obaj doskonale wiedzieli, że mieli do czynienia z iluzją. Teraz, kiedy Herenniusz leżał już martwy (czy raczej leżały szczątki po Herenniuszu, nieprzypominające człowieka ani martwego, ani żywego), jego forteca wyglądała dla wszystkich tak, jak to wcześniej widział Löwefell: drewniana hala otoczona częstokołem. W istocie więc pytanie Bibera dotyczyło tego, w jaki sposób Löwefellowi udało się przeniknąć iluzję stworzoną przez Herenniusza Furiusa wtedy, kiedy ta iluzja istniała i wszystkim innym wydawała się tak bardzo realna.

– Od początku miałem kłopoty z poprawnym widzeniem – wyjaśnił. – Tak jakby mój umysł i wzrok nie chciały zaakceptować widoku owego dziwnego kamiennego zamku. A w momencie kiedy zobaczyłem widmowe cienie wypuszczone przez Furiusa, wtedy ujrzałem również, jak naprawdę wygląda jego forteca.

– Dlaczego? – zapytał Biber.

– Nie mam pojęcia, Barnabo – odparł Löwefell, starając się, by jego słowa zabrzmiały naturalnie i rozbrajająco szczerze. – Podejrzewam, że może nawet ty lepiej wiesz, w jaki sposób z Narsesa sklejono i stworzono Arnolda Löwefella i jakich zdolności mógł nabrać dzięki tym zabiegom. Ja wciąż odkrywam we mnie samym coś, co mnie zaskakuje… Dobrze, że dzisiaj zakończyło się to w taki sposób, który okazał się przydatny.

– O, na pewno – odparł Biber. – Podejrzewam, że gdyby nie twoja niezwykła zdolność, wszyscy byśmy już właśnie nie żyli. –

Zasępił się. – To byłaby niepowetowana strata dla Świętego Officjum: wampir na wolności, utracona esencja Roksany i śmierć trojga inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu. – Podniósł wzrok. – Wiele ci zawdzięczamy, Arnoldzie, naprawdę wiele…

Barnaba zmył z siebie ostatnie ślady po kreaturach Furiusa.

– Będę musiał cię potem prosić, żebyś mnie dokładnie zbadał, Arnoldzie – rzekł. – Nie chciałbym, aby się okazało, że w resztkach tych istot znajdowało się coś, co może mi zaszkodzić.

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno pozwól, że ci powiem. – Biber znowu spojrzał uważnie na Löwefella. – A zdobywam się wobec ciebie na szczerość, gdyż zasłużyłeś na nią tym, iż uratowałeś mi życie. Otóż rozważ, Arnoldzie, w głębi serca i umysłu pewien problem. Spróbuj znaleźć odpowiedź na pewne pytanie lub chociaż poczuj chęć zadania owego pytania. Chcesz wiedzieć, o jakież to pytanie chodzi?

Löwefell wiedział, jakie pytanie zada Biber, lecz mimo to skinął głową.

– Oczywiście – rzekł.

– Owo pytanie brzmi, czy ktoś w Inkwizytorium nie wiedział przypadkiem o niezwykłych zdolnościach tego wampira i nie wysłał nas na pewną śmierć. I jak bardzo ten ktoś będzie rozczarowany, zawiedziony i zły, kiedy wrócimy cało…

– Nie istnieją złe pytania, istnieją jedynie złe odpowiedzi – odparł Löwefell za pomocą sentencji.

– Otóż to – zgodził się z nim towarzysz.

Löwefell przysiadł na kamieniu nad brzegiem. Biber zatrzymał na nim wzrok.

– Jak mniemam, przyszedłeś nie tylko, żeby spytać, czy nie potrzebuję wsparcia medycznego, prawda? O co jeszcze chodzi, Arnoldzie?

– O ludzi księżnej – odparł Löwefell. – Wszyscy trzej ocaleli.

– Taaak, i wszystko widzieli, czego widzieć nie powinni, prawda?

Löwefell nie odpowiadał, gdyż pytanie było retoryczne.

– Cóż, Arnoldzie, chyba sam znasz właściwe rozwiązanie postawionej kwestii. – Biber wzruszył ramionami. – Chcesz ich sam zabić czy ja mam to zrobić?

– Nie zastanawia cię, czy nie ma boskiego planu w tym, iż uratowali się z takiej katastrofy? Choć moim zdaniem uratować się nie powinni…

Biber wyszedł na brzeg, nieprzejęty swoją nagością, i zaczął wycierać się ręcznikiem.

– Chcesz, żebyśmy im darowali życie? Po co? Mało mamy jeszcze kłopotów?

– Zastanawiam się tylko – niechętnie odpowiedział Löwefell, który sam nie był do końca pewien, dlaczego w tej w zasadzie błahej sprawie zadręcza Bibera, i to w dodatku dopiero co po bitwie. Bitwie, która przecież łatwo mogła skończyć się klęską inkwizytorów, a co za tym idzie klęską całej misji.

Biber owinął się ręcznikiem i usiadł obok Löwefella.

– Arnoldzie, wierzę w przeczucia i intuicję, gdyż z jednej strony wynikają one z naszego wielkiego doświadczenia, a z drugiej strony są, czy też mogą być znakiem od Boga. Ale nie zawsze intuicja się sprawdza – powiedział rzeczowym tonem. – Zabijemy ich szybko, księżnej powiemy, że zginęli w bitwie, a rodzinom, jeśli takie w ogóle mają, wypłacimy nawiązkę. – Wstał i zaczął zakładać ubranie, które wcześniej sobie przygotował. Świeże i czyste na miejsce tego, które podczas walki zamieniło się w okrwawione, zabrudzone i podarte łachmany. – Jeśli nie chcesz ich zabić, zrobię to sam albo poproszę naszą drogą księżniczkę. – Zamarł na chwilę z koszulą w dłoniach i spojrzał uważnie na Löwefella. – Lepiej bądź zadowolony, że Madderdin stracił przytomność na samym początku walki z wampirem.

– Jego przecież byśmy nie zabili – prychnął Löwefell.

– Rzecz jasna. Niemniej zapewne musielibyśmy oczyścić jego umysł, a to znaczy, że ty – wyciągnął palec – musiałbyś to uczynić.

Löwefell nie odezwał się, gdyż nie miał ochoty dyskutować o hipotetycznych wydarzeniach, do których na szczęście nie doszło. Jeśli Madderdin zobaczyłby zbyt wiele, to mogliby albo przejść nad tym do porządku dziennego i nakazać mu jedynie zachowanie tajemnicy, albo też, tak jak chciał Biber, spowodować u niego częściowy zanik pamięci. Ale to nie był ani łatwy, ani bezpieczny zabieg, chociaż teoretycznie możliwy do przeprowadzenia. Tyle że grzebanie w umyśle kogoś, kogo wcześniej poddano potężnej perskiej magii krwi i ognia, byłoby proszeniem się o potężne kłopoty. Löwefell wiedział, że proponowałby raczej zobowiązać młodego inkwizytora do milczenia. Oczywiście to, że Mordimer zobaczyłby Bibera stosującego zaklęcia, o jakich w Akademii Inkwizytorium nawet nie uczono, iż są możliwe, nie byłoby najszczęśliwsze, ale z drugiej strony nie niosłoby też szczególnie negatywnych konsekwencji. Ot, zwykły inkwizytor zajrzałby poza jedną z zasłon dzielących jego spokojny świat od świata prawdziwej mocy i prawdziwej walki. Zajrzałby za nią jedynie na chwilę, nie wiedząc nawet, że istnieją setki kolejnych zasłon, skrywających sekrety dużo większej wagi…

– Poradzę sobie ze wszystkim – rzekł Löwefell i odszedł.

Dwóch ocalałych przewodników księżnej zostało poważnie rannych i leżało we własnej krwi. Jeden był nieprzytomny, a drugi jęczał z bólu. Trzeci z nich okrył towarzyszy kocami i siedział przy nich, trzymając za rękę tego, który nie stracił przytomności. Löwefellowi zwłaszcza zrobiło się żal tego właśnie człowieka, gdyż ów mógł przecież uciekać, a zdecydował się zostać, by opiekować się towarzyszami. Był to przykład nadzwyczajnej i chwalebnej lojalności, za którą przyjdzie mu zapłacić najwyższą cenę. Kiedy Rusin zobaczył inkwizytora wracającego znad strumienia, na jego twarzy odmalował się strach. Ale złożył dłonie w błagalnym geście i zaczął mówić coś szybko po rusku, wskazując na swoich kolegów.

Löwefell, mimo że nie rozumiał języka, to oczywiście bez trudu pojął, iż zwiadowca prosi go o pomoc dla rannych towarzyszy.

Inkwizytor wypowiedział kilka zdań uspokajającym tonem i zbliżył się do leżących. Uśmiechnął się do Rusina, pokazując jednocześnie puste dłonie.

– Zrób to szybko i zabierajmy się z tego przeklętego miejsca – usłyszał za plecami donośny głos wracającego znad strumienia Bibera.

Peczora

W Peczorze księżna wiedziała już długo przed powrotem cesarskich wysłanników, że misja zakończyła się rzezią. Oczywiście nie donieśli jej o tym przewodnicy, gdyż wszyscy zginęli w czasie walki, ale księżna miała przecież swoich szpiegów również w Kamieniach i to oni szybko pognali z wiadomością, że cesarscy ludzie wracają ze stratami.

– Bardzo nam przykro, Wasza Wysokość, że twoi poddani, którzy nam towarzyszyli, ponieśli śmierć. Chętnie wypłacimy nawiązkę za ich utracone życie.

Ludmiła tylko machnęła ręką.

– Taka tu jest służba. Dzisiaj jesteś żywy, jutro martwy. Kto chce szukać majątku lub przygody za Kamieniami, musi wiedzieć, że to nie to samo, co przechadzać się główną ulicą Nowogrodu. Żadnego z nich nie zmuszano do służby, a każdy dostawał więcej niż hojny żołd. Widać Bóg tak chciał… – Wzniosła oczy do nieba. Potem przeszyła Bibera badawczym spojrzeniem. – Jugrowie mi już donieśli, że przeszliście przez ich ziemie, nie wzbudzając żadnych niepokojów, i nie będzie o was zwady między mną a ich wodzami. I to wasze szczęście. Bo gdybyście do takiej zwady doprowadzili, to nie puściłabym was z Peczory, póki

by mi cesarz nie zwrócił za wszystkie koszta, wszystkie straty i wszystkie trudy.

Löwefell zdał sobie sprawę, że Ludmiła mówiła całkowicie poważnie. Gdyby działanie cesarskiej misji skonfliktowało władczynię z Jugrami, mogłoby się to skończyć naprawdę źle. Najprawdopodobniej przynajmniej połowie wysłanników kazałaby zostać w Peczorze w charakterze zakładników. Oczywiście sprawa by się prędzej czy później wyjaśniła, a okup zapłaciłby wielki książę Włodzimierz, który następnie ściągnąłby należność od cesarza razem z procentem i jeszcze zapisał na swoim koncie dług wdzięczności, którego nie omieszkałby raczej szybciej niż później wyegzekwować. No ale wszystko to oznaczałoby przede wszystkim zmarnotrawienie czasu. Nie mówiąc już o tym, jak przykra byłaby kilkumiesięczna wegetacja w nudnej Peczorze, z której pewnie nie pozwalano by im wyściubić nawet nosa.

– Walczyliśmy tylko z ludźmi Agu-Batara i z nim samym, ani nie widzieliśmy Jugrów, ani nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy – rzekł Biber. – Przysięgam Waszej Wysokości, że nie wiem, czemu Agu-Batar nas zaatakował. Proponowaliśmy godziwy handel, nie chcieliśmy wojny… – Wzruszył ramionami i przybrał smutny wyraz twarzy. – Są tacy ludzie, z którymi nie da się żyć w pokoju.

– A czasami trafiają się tacy ludzie, którzy bardzo nie chcą sprzedać tego, co ktoś bardzo chce od nich kupić – zauważyła Ludmiła z wyraźnym szyderstwem w głosie.

– Niestety, nie doszło nawet do negocjacji – odparł ze smutkiem Biber, udając, że nie rozumie podejrzenia, czy może nawet oskarżenia w słowach księżnej. – Zaatakowano nas za samo to, iż ośmieliliśmy się wejść na teren, który Agu-Batar uważał za swój, zresztą z tego, co wiem, niezgodnie z wolą wodzów Jugrów…

Księżna milczała przez chwilę.

– Jugrowie się go bali, ale na pewno go nie kochali – stwierdziła wreszcie. – Raczej nie będą po nim płakać. A wy co? Macie to, po co przybyliście?

– Mamy, Wasza Wysokość – rzekł z dumą Biber. – Czy Wasza Wysokość zechce obejrzeć?

– Czy chcę obejrzeć księgę, po którą przejechaliście dwa tysiące mil i za którą zapłaciliście nie złotem, ale krwią? I to krwią moich poddanych – dodała z przekąsem. – Jak myślisz, cesarski wysłanniku? Chciałabym ją obejrzeć czy też machnę ręką i powiem: a cóż mnie to obchodzi?

Biber skłonił głowę.

– Upraszam o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale z własnego doświadczenia wiem, że niewielu ludzi podziela moją fascynację księgami, więc lękam się narzucać…

Ludmiła prychnęła.

– Księgi i tak pewnie nie zrozumiem, ale gdyby to był złoty pucharek albo kamienny posążek, to też chciałabym go obejrzeć. Bo coś, co kosztowało tyle ludzkiego wysiłku i tyle ludzkiej krwi, musi być interesujące…

Biber poprosił o pozwolenie opuszczenia komnaty i niezadługo wrócił z pakunkiem zawiniętym w skóry i obwiązanym sznurem. Położył paczkę na stole, ostrożnie rozplątał węzły, po czym jeszcze ostrożniej rozłożył skórę chroniącą samą księgę. Löwefell widział ten tom jeszcze w bibliotece klasztoru. Był to znakomity, opracowany przed kilkoma dziesięcioleciami astrologiczny zielnik autorstwa jednego z mnichów. Napisany rzeczywiście skomplikowanym szyfrem i bazujący na prawdziwie nieznośnej mieszaninie języków greckiego oraz hebrajskiego. Ta właśnie księga miała udawać rzekomą zdobycz cesarskiej misji i w tym celu została zabrana przez Bibera. Wyglądała imponująco w czerwono-złotej oprawie i z grubymi stronicami pełnymi wycyzelowanych kolorowych ilustracji. I wyglądała również bardzo tajemniczo, gdyż karty zapełniono znakami, z których większość nie przypominała liter alfabetu w żadnym znanym języku. Poza tym znajdowały się w niej wykresy oraz rysunki planet i odcinki pokazujące odległości pomiędzy nimi a Ziemią i Słońcem. Löwefell wiedział, że szyfr był trudny do złamania,

lecz mnich zostawił dokładny klucz – instrukcję wyjaśniającą, w jaki sposób poradzić sobie z odcyfrowaniem i zrozumieniem dzieła jego życia. Książka jako zielnik wydawała się Löwefellowi raczej interesująca i zabawna niż pożyteczna, ale jako mistyfikacja mogła teraz odegrać prawdziwie istotną rolę.

Löwefell wiedział, że na Rusi niektórzy możni nie potrafią nawet czytać i pisać, a Ludmiła przecież wychowywała się w Księstwie Peczorskim, a więc w największej dziczy, jaka wchodziła w skład i tak już dzikiej Rusi. Oczywiście musiała widywać książki w klasztornych bibliotekach (bo na Rusi również były klasztory), z całą pewnością miała własne woluminy, choćby Pismo Święte lub mistyczne księgi ruskich proroków. Ale na widok tomu wyjętego i otworzonego przez Bibera jej oczy się zaświeciły. A więc umie docenić piękno, pomyślał Löwefell, mimo życia w kraju, w którym królują prostacka szpetota i szpetne prostactwo.

– Jest piękna – powiedziała z nabożnym zachwytem. – Czy mogę jej dotknąć?

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł bardzo poważnym tonem Biber. – Ta księga mimo swoich lat jest bardzo solidna, była również chroniona i bezpiecznie przechowywana. Przy zachowaniu ostrożności można ją czytać i oglądać niemal tak bezpiecznie, jakby została wydrukowana teraz.

Ludmiła oderwała się na chwilę od stronic zielnika.

– Przywieźli mi z Nowogrodu kilka drukowanych ksiąg – powiedziała. – Ale moi mnisi mówią, że Pismo Święte wolno przepisywać tylko ręcznie, bo kiedy drukują je w tych diabelskich maszynach, to zatruwają każdą stronę i każde słowo. Tymczasem w Biblii przepisywanej ręcznie każde słowo jest niczym sztych zadany wprost w serce diabła.

Biber odchrząknął.

– Wyznam Waszej Wysokości, że niektórzy mnisi w Cesarstwie również mają zdumiewające teorie oraz pomysły. Ale ja sądzę, że w drukowaniu ksiąg nie ma nic złego. Jeżeli Wasza Wysokość

zechce, wydam polecenie, by do Peczory dostarczyć drukowane w cesarskiej drukarni księgi. Nie są oczywiście tak piękne jak te ręcznie przepisywane i ręcznie malowane, ale dzięki drukowi możemy mieć ich dużo i możemy mieć je szybko. Wytrawny cesarski kopista w ciągu całego życia mógł przepisać czterdzieści ksiąg. Dobra maszyna drukarska czterdzieści ksiąg przygotuje w kilkanaście dni.

Księżna pokiwała głową z podziwem, jednak potem jej twarz spochmurniała.

– Jeśli ksiąg będzie dużo i każdy będzie mógł je wydawać, i każdy też będzie mógł je czytać, to w jaki sposób zadbamy, żeby nie szerzyły trucizny wolnomyślicielstwa? Żeby nie nawoływały do buntu przeciw danej od Boga władzy?

No cóż, Ludmiła nie pierwsza i na pewno nie ostatnia zadaje sobie to pytanie, pomyślał Löwefell. Niektórzy sądzili, że prostemu ludowi na nic potrzebny jest dostęp do wiedzy. Po co rozbudzać w ludziach chęć zadawania pytań, chęć poznawania i badania świata? Kto nie zadaje żadnych pytań, ten nie pozna żadnych złych odpowiedzi, a zupełnie wystarczy, iż dobrych odpowiedzi, odpowiedzi jedynie słusznych udzielą ci, którzy rządzą prostym ludem. I lud ma bez wahania oraz bez szemrania wierzyć, a nie wątpić i zastanawiać się nad słusznością przedstawianych mu prawd oraz tez.

– Moim poddanym niepotrzebne są księgi – stwierdziła księżna stanowczo. – Jedyne księgi, jakie mają znać, to Pismo Święte oraz pisma naszych proroków. I zupełnie wystarczy, kiedy przeczytają im je kapłani, wybierając dla ich dobra te fragmenty, które przeczytać najlepiej, a nie takie, które mogłyby niepotrzebnie zaniepokoić proste umysły.

Nihil novi sub sole, pomyślał Löwefell. I Kościół, i władza świecka widziały w powszechnym dostępie do ksiąg zarówno zalety, jak i ogromne zagrożenia. Ale wiadomo było, że nic już nie powstrzyma rewolucji, zwłaszcza że nie wszyscy sądzili, iż jest ona warta zwalczania. Władcy nigdy, choćby nie wiem co robili, nie zatrzymają zwycięskiego pochodu wynalazku, który ludziom

wydał się pożyteczny lub zabawny.

– Księgi otwierają ludziom oczy – rzekł Biber.

– Koń, któremu zdjęto klapki, spłoszy się, a w tym popłochu pogna z wozem na manowce, zwali ludzi i poniszczy towary. – Ludmiła zmarszczyła brwi. – Niedobrze jest widzieć i wiedzieć zbyt wiele.

Löwefell pomyślał, że zazwyczaj podobnym torem biegną myśli inkwizytorów. Lud nie jest po to, by myśleć, lud jest po to, by pracować, modlić się i posłusznie wykonywać polecenia. A książki, niestety, bywały groźne, bo komuś, kto przeczytał jedną, drugą lub trzecią, wydawać by się mogło, że może nie tylko zadawać pytania, lecz również samodzielnie znajdować na nie odpowiedzi. Tymczasem odpowiedzi na każde pytanie już istniały, a ukazywała je święta wiara. A szukanie odpowiedzi poza wiarą było dla prostych ludzi niebezpieczne. I niebezpieczne dla ich rodzin, przyjaciół i znajomych, dla wszystkich, którzy chcieliby ich słuchać. Dlatego księżna Ludmiła miała rację, iż księgi mogą szerzyć zarazę złych myśli w takim stopniu, w jakim nikt nigdy nie potrafił tego uczynić w historii. Cóż, pomyślał Löwefell, jeśli nie można skutecznie walczyć, trzeba się jakoś dostosować. Nie będzie to łatwe. Oczywiście zdarzy się, że władcy czy urzędy za posiadanie ksiąg wcale nie magicznych, nie czarnoksięskich i nie heretyckich, ale zwyczajnie nieprawomyślnych lub szyderczych będą karać grzywnami, konfiskatami, może nawet śmiercią. Czy przyniesie to jakikolwiek skutek? Löwefell serdecznie w to wątpił, znając zarówno przekorę ludzkiej natury, jak i tak bliskie wielu ludziom dążenie do niezależności, nawet jeśli owa niezależność oznaczać miałaby wielkie kłopoty. Czyż na placach straceń, kiedy biczowano lub wieszano złodziei, ich towarzysze w tej samej chwili nie urzynali sakiewek obserwującym kaźń gapiom? Wielu ludzi sądzi, że nieszczęście nie spotka ich samych, a co najwyżej dotknie innych. Czasami takie myślenie popłaca, czasami nie. Inkwizytorzy byli jednymi z tych, którzy mieli sprawiać, by nie popłacało.

Löwefell nigdy nie był sybarytą lubującym się w dostatku i wygodzie. Nie pamiętał, czy w swoim poprzednim życiu luksus traktował jako konieczność, czy też był on jedynie środkiem do zjednania sprzymierzeńców i przerażenia lub zniechęcenia przeciwników, ale teraz, działając jako inkwizytor, mógł się kontentować naprawdę byle czym. Dlatego jakoś zniósł powrót do Peczory, który nie okazał się ani korzystny, ani przyjemny. W fortecy było bowiem jeszcze bardziej wilgotno niż przedtem. Wilgotne były dywany, kobierce i kilimy, wilgotne były materace, poduchy i kołdry. Nie zawracano sobie nawet głowy ich suszeniem, gdyż i tak nie minął dzień, a znowu stawały się mokre. Rusini traktowali to jako coś najzwyklejszego pod słońcem, lecz Löwefella zdumiewało, iż tak łatwo przyzwyczaili się do wszechpanującej wilgoci. Jedyne, co mógł, to przynajmniej dbać o własną odzież, suszyć ją przy ogniu płonącym w kominku.

– Powiedziałbym, że kiedyś od któregoś z tych palenisk zajmie się cały dwór i wszystko pójdzie z dymem – rzekł Biber, kiedy siedzieli razem przy ogniu i suszyli buty. – Ale teraz raczej sądzę, że z tych belek prędzej można by wycisnąć wodę, niż je zapalić. – Westchnął. – Ech, nasz przyjazny klasztor. Suchy, ciepły i wygodny. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Usłyszeli szczęk drzwi i obaj wstali, widząc wchodzącą do komnaty Mauretankę.

– Sypiałam w gorszych miejscach – powiedziała, gdyż najwyraźniej słyszała ich rozmowę – ale nie chciałabym żyć tutaj. Dla kobiety z pustyni, takiej jak ja, to obrzydliwe… – Podeszła do ognia i wyciągnęła dłonie w stronę płomieni.

Biber odprowadził ją wzrokiem, kiedy przechodziła przez pokój, i nie był to wzrok szczególnie przychylny. Nontle musiała poczuć to spojrzenie, gdyż odwróciła się i popatrzyła prosto w twarz starszego inkwizytora.

– Co znowu? – zapytała.

Barnaba wzruszył ramionami.

– Nic.

– Nasz drogi towarzysz miał kłopoty z zaśnięciem w nocy – wyjaśnił z uśmiechem Löwefell, którego cała sytuacja bynajmniej nie niepokoiła ani nie złościła, a co najwyżej bawiła. Zakładając, że w ogóle w stosunku do mnie można stosować pojęcie „bawiła”, pomyślał.

– Ach, byłam głośna – wzruszyła ramionami Mauretanka. – Zawsze jestem. – Machnęła ręką i uśmiechnęła się. – Trzeba było skorzystać z dobrodziejstw wiedzy mitologicznej i zatkać sobie uszy woskiem jak załoga Odyseusza – dodała złośliwie.

– Sądzę, że Barnaba jest raczej zgorszony czymś, co uważa za mezalians. Ty, Hildegarda Reizend, afrykańska księżniczka, członkini Wewnętrznego Kręgu… A on? Kompletnie nikt – wyjaśnił Löwefell, celowo nieco przesadzając.

Nontle roześmiała się.

– Nawet jeśli jest niktem, to to bardzo milutki i słodki nikt – powiedziała. – Dawno żaden nikt nie wprawił mnie w tak dobry humor. Poza tym widziałam od początku, jak na mnie patrzy, a był uprzejmy i nigdy się nie narzucał. Kobiety cenią delikatność. No, w każdym razie ja cenię delikatność. – Uniosła dumnie głowę. – A poza tym był bardzo dzielny, więc należała mu się nagroda. I żebyś nie był zdziwiony, Barnabo – spojrzała złośliwie na Bibera – przewiduję, że nie skończyłam mu jej jeszcze wypłacać, więc bądź przygotowany na następne niedogodności.

Biber wzruszył ramionami, lecz już się nie odezwał. Mauretanka usiadła wygodnie i wyciągnęła nogi w stronę ognia. Sięgnęła po kielich wina i umoczyła usta. Uśmiechała się do samej siebie i Löwefell zastanawiał się, czy na myśl o nocy z Madderdinem, czy na myśl, że wprawiła w zakłopotanie Bibera.

– Nie wątpię, że skorzystałaś z okazji do zabawy – odezwał się Löwefell. – Ale nie powiesz mi chyba, że nie zbadałaś magii ognia i krwi, prawda? Bo to było głównym celem owych rozkosznych nocnych igraszek, czyż nie?

– Jak miło mieć do czynienia z tak bystrym towarzyszem –

pochwaliła Nontle.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że w momentach szczególnej ekscytacji łatwiej niż zwykle jest przebadać i ocenić magiczną aurę otaczającą człowieka. Kiedy człowiek ten znajduje się w sytuacji zagrożenia życia, śmiertelnej walki lub nadzwyczajnego podniecenia wywołanego żądzą czy lękiem, wtedy mistrz biegły w sztuce magicznej może dokonać szczegółowej wiwisekcji jego aury.

– O, i co osiągnęłaś, jeśli wolno spytać? – zainteresował się Biber.

Nawet gdyby cokolwiek osiągnęła, nie sądzę, by nam o tym opowiedziała, pomyślał Löwefell. Jeśli zdałaby raport komukolwiek, to uczyniłaby to dopiero w klasztorze. Ale i tak sądzę, że wolałaby jeszcze co najmniej kilkakrotnie potwierdzić poczynione obserwacje.

– Gdybym nie wiedziała z innych źródeł, że ten człowiek został poddany wpływowi potężnej magii, nigdy bym tego nie odkryła w czasie miłosnych zapasów z nim. Nie wyczułam nawet śladu. – Uniosła znacząco palec. – Nawet śladu, powtarzam, czegokolwiek niepokojącego, dziwnego lub zaskakującego.

– O czym to świadczy? – spytał Biber.

– Świadczy to o tym, że Roksana przygotowała prawdziwie mistrzowskie, fantastycznie kunsztowne zaklęcie. – Nontle obróciła wzrok na Löwefella. – Znakomicie ją wyedukowałeś.

Löwefell nie podziękował jej, gdyż przecież to tylko Narses, a nie on, mógł być beneficjentem tych pełnych podziwu słów.

– Gdybym cokolwiek pamiętał z owej edukacji – mruknął.

– Pamięć wróci – stwierdziła Mauretanka.

I było to tym bardziej pocieszające, iż słowa te wypowiedziała z całkowitą, pewną siebie obojętnością, jako rzecz najnormalniejszą pod słońcem.

– Mam nadzieję – rzekł Löwefell.

Nontle zatrzymała na nim dłużej wzrok.

– Być może powinieneś raczej powiedzieć: obawiam się.

– Nie obawiam się prawdy – zaprotestował Löwefell.

– Ale kto wie czy nie przeceniasz jej znaczenia…

Biber zdecydowanym gestem uniósł dłoń.

– Dość na ten temat – rozkazał.

W Peczorze nastał dzień wielki i radosny. Znaczący. Bo oto wedle starodawnego zwyczaju dwa razy do roku sam władca przyjmował każdego poddanego, który zapragnął zwierzyć mu się z trosk, szukał sprawiedliwości, prosił o wyrok lub o pomoc. Na podworcu przed wejściem do hali kłębił się tłum poddanych, inni czekali już wewnątrz. Tego dnia każdy miał prawo zbliżyć się do księżnej i prosić o wstawiennictwo, o sprawiedliwość, o łaskę. Nie każdy je dostawał, ale każdy mógł dostać i ta właśnie nadzieja przygnała do Peczory ludzi z całego rozległego księstwa. Niektórzy z nich już kilka dni wcześniej obozowali za bramami fortecy, szykując się do dzisiejszego posłuchania u księżnej.

Nawet samo niebo zdawało się sprzyjać poddanym, gdyż po nocnym ulewnym deszczu, który zamienił podwórze w błotniste bajoro, nie zostało ani śladu. Słońce świeciło, jasne i mocne na bezchmurnym niebie, choć niestety, ciepło i parująca z ziemi wilgoć przyciągnęły hordy komarów. Ale ludzie w Księstwie Peczorskim byli do komarów przyzwyczajeni. Z komarami żyli przez wiosnę, lato i jesień, od kołyski aż po grób. Komary towarzyszyły im w lasach, na polach, na łąkach, na rzece i na bagnach, nieco mniej było ich tylko w samych Kamieniach, a zwłaszcza w wyższych partiach gór. Löwefell widział już wcześniej, że Rusini znoszą ukłucia komarów pokornie, wiedząc, że oganianie się i tak niewiele im pomoże, a jedynie spowoduje zmęczenie. Bronili się inaczej: zakładając ubrania, które ściśle zasłaniały ciało, smarując skórę maściami i wywarami, które miały odstraszać krwiopijców, a także okadzając się dymem. Tu z tego ostatniego sposobu skorzystać nie mogli, ale Löwefell

wiedział, że obozując poza domami, Rusini często wrzucali do ognia łajno lub mokre drewno, by dym z ogniska szedł gęsty oraz w dużych chmurach, co miało otępiać i odstraszać owady.

Inkwizytorów komary nie atakowały niemal wcale, gdyż przewidująca Nontle wyciągnęła ze swego bogato zaopatrzonego kufra słoik z jakąś maścią i kazała tym specyfikiem smarować wszystkie odsłonięte miejsca na skórze.

– Kiedy natrzecie się moim balsamem, to komary będą wokół was latać, lecz nie ukłują – wyjaśniła. – No ale przynajmniej czasami dajcie się jednak ukłuć – dodała. – A poza tym oganiajcie się i narzekajcie, że to straszne utrapienie.

Löwefell skinął tylko głową. To było oczywiste, że im mniej wywoływali sensacji, tym lepiej, a zdumiewająca odporność całej cesarskiej misji na plagę, przez którą przybyszom z innych stron zazwyczaj niemal odechciewało się żyć, byłaby rzeczywiście podejrzana.

Kiedy podnieść głowę, widać było nad czekającymi na posłuchanie poddanymi Ludmiły całe roje komarów, kłębiące się niczym szara chmura. Löwefell przyglądał się temu przez moment, a Madderdin po chwili powiódł spojrzeniem w ślad za nim.

– Przydałby się silny wiatr, prawda? To chyba jedyne lekarstwo oprócz mrozu…

Löwefell skinął głową, potem wzruszył ramionami.

– Z tego, co mówi Barnaba, zimą wielu będzie się modlić o odrobinę ciepła, choćby za to ciepło przyszło zapłacić cenę tysiąca ukłuć.

Szli przez chwilę w milczeniu, lecz nagle starszy inkwizytor zatrzymał się w miejscu. Madderdin przez chwilę nie zorientował się, że towarzysz nie kroczy już obok niego, ale zaraz zatrzymał się również i odwrócił w jego stronę.

– Stało się coś? – zapytał.

– Ten człowiek. W brunatnej kapocie i futrzanej czapie, nie

patrz w jego stronę, ma złe intencje i chowa broń pod ubraniem. Chodź, idziemy dalej.

Mordimer powiódł wzrokiem po ludziach stojących na podworcu, pozornie obojętnie, jakby po prostu omiatał spojrzeniem tłum, nie tyle by wychwycić w nim coś interesującego, co dlatego, że po prostu tłum ten znalazł się w zasięgu jego widzenia.

– Nic nie widzę – rzekł. – Skąd wiesz? Myślałem, że nie używasz mocy.

– Aby poznać, że ktoś szykuje zamach, nie potrzebuję magii – mruknął Löwefell.

– Jeśli to prawda – wykręcili, by ominąć zawijający się ogon kolejki – co zamierzasz uczynić? Ostrzec księżną? Zawiadomić jej oficerów?

– Ja? Ja nic nie zamierzam.

– Jak to? – zaniepokoił się Madderdin. – Przecież zamieszki po zabójstwie księżnej, a takie na pewno wybuchną, nie wyjdą nam na dobre. Poza tym ktoś może nam przeszkodzić w…

– Mordimerze, powinieneś uważnie słuchać, co się do ciebie mówi – przerwał mu stanowczo Löwefell. – Ja nic nie zrobię, natomiast wcale nie powiedziałem, że nic nie zostanie zrobione.

Madderdin milczał przez chwilę.

– Ponieważ o sprawie wiemy tylko my dwaj, chyba słusznie rozumuję, iż według ciebie to ja mam coś zrobić – powiedział wreszcie, a w jego głosie słychać było, najdelikatniej mówiąc, brak zachwytu dla owego pomysłu.

– Właśnie tak – zgodził się Löwefell. – Wejdziesz do komnaty, w której księżna wysłuchuje poddanych, i staniesz niedaleko jej krzesła. Kiedy zamachowiec wyciągnie broń, będziesz pierwszym, który go rozbroi.

– Wolałbym nie zostawać bohaterem – rzekł po chwili Mordimer. – Może jednak powiadomimy oficerów?

Z jednej strony młody inkwizytor miał oczywiście rację, nie chcąc osobiście angażować się w konflikt. W końcu funkcjonariuszy Świętego Officjum zawsze pouczano, że najwięcej widzi się, stojąc w cieniu i na uboczu. I najmniej jest się wtedy narażonym na ciosy. Ale tożsamość Mordimera została już ujawniona w Nowogrodzie, wszyscy wiedzieli, że jest inkwizytorem, więc fakt, że wykrył zamachowca, nikogo nie zdziwi. Na Rusi opowiadano różne bajdy o inkwizytorach, nie było ich co prawda zbyt wiele, za to nieczęsto miały coś wspólnego z prawdą. Ale ponieważ najbliższy oddział Inkwizytorium był setki mil od granic Rusi, jej mieszkańcy naprawdę nie musieli przejmować się tym, kim są i co robią inkwizytorzy. Z drugiej jednak strony Löwefell uznał, że ocalenie życia księżnej przez członka cesarskiej misji przyniesie dobry skutek. I choć wiedział, że poleganie na wdzięczności możnych jest ryzykownym zakładem, to jednak miał nadzieję, że władczyni będzie przychylniej usposobiona do człowieka ratującego jej życie.

– Uratowałeś już Nontle, czas więc, byś uratował Ludmiłę – powiedział lekkim tonem Löwefell. – Najwyraźniej kiedy dama jest w kłopocie, los chce, abyś właśnie ty poradził sobie z owym kłopotem.

Madderdin burknął tylko coś pod nosem, potem wzruszył ramionami. Był wyraźnie niezadowolony, lecz nie miał żadnego wyboru. Löwefell zadecydował, jak sytuacja ma się rozwinąć, i obaj dobrze wiedzieli, iż decyzja jest ostateczna.

– Chodźmy więc.

– Ja zostanę z tyłu – zdecydował Löwefell. – Nie ma najmniejszej konieczności, by łączono mnie w jakikolwiek sposób z wydarzeniem, które nastąpi.

– Jakżeby inaczej – odparł Mordimer z przekąsem.

Löwefell przeszedł koło czekających i stanął tuż za progiem komnaty, w której Ludmiła przyjmowała poddanych. Pomieszczenie było długie na jakieś pięćdziesiąt kroków, a ludzie stali w kolejce jeden za plecami drugiego. Zachowywali się dość

karnie i nawet cicho, bez awantur, przepychania się czy pokrzykiwań. Być może wpływał na to zachowanie sam majestat książęcej hali, być może obecność Ludmiły, a może srogi widok uzbrojonych wartowników stojących przy wejściu. Löwefell z niedowierzaniem jednak dostrzegł, że siedząca na wysokim fotelu księżna jest w zasadzie pozbawiona ochrony. Obok niej na krześle siedział tylko doradca, który był jednak stary, wyraźnie zmęczony i miał bielmo na oku. A poza tym jego rzeczą było podpowiadać księżnej w kwestiach prawa i obyczajów, a nie bronić jej przed zamachowcem. Jeden ze strażników stał u prawego boku księżnej, ale opierał się na stylisku siedmiostopowej glewii i nawet nie byłby w stanie szybko jej użyć. Jeśliby ją uniósł i dźgnął napastnika, to po pierwsze, stał za blisko, by zrobić mu rzeczywistą krzywdę, po drugie, zamachowiec zdążyłby już co najmniej dwa, trzy razy skłuć władczynię nożem albo sztyletem. Natomiast drugi strażnik zajął pozycję za plecami Ludmiły. Oczywiście dobrze, że chroniono plecy księżnej, tyle że akurat za tymi plecami nie było ani ludzi, ani nawet drzwi, którymi ktoś mógłby wtargnąć. A jeśli drugi strażnik chciałby bronić władczyni, którą ktoś napadł od przodu, równie dobrze mógłby zrobić krzywdę jej samej, nie zamachowcowi. Nie mówiąc już o tym, że nie zdążyłby uratować Ludmiły, zanim zbrodniarz zadałby przynajmniej jeden cios. Löwefell pomyślał, że na Rusi, gdzie przecież ciągle ktoś kogoś starał się zabić (a i sama Ludmiła doszła do władzy w wyniku zamachu), taka niefrasobliwość jest naprawdę zadziwiająca.

Mordimer zbliżył się swobodnym krokiem do podestu, na którym stały krzesła, a Löwefell zauważył z zadowoleniem, że zbliżał się z lewego boku, od strony doradcy, by nikogo nie zaniepokoić zbyt bliską obecnością. Ludmiła była na tyle uważna, że mimo iż słuchała jednego z żalących się poddanych, to zerknęła w kierunku inkwizytora. Ten skłonił się głęboko, przykładając prawą dłoń do serca. Doradca księżnej również obrzucił go przelotnym spojrzeniem, po czym oboje przestali zwracać na niego uwagę. Tak jak Löwefell sądził, uznali, iż cesarski wysłannik jest po prostu ciekaw ruskiego obyczaju.

A ponieważ dzień był wyjątkowy i zasady etykiety (zresztą na peczorskim dworze i tak bardzo swobodne) zostały rozluźnione, nikogo obecność Madderdina nie dziwiła. A inkwizytor zachowywał się tak, jak powinien zachowywać się człowiek zainteresowany nieznanym mu obyczajem. Przysłuchiwał się, przypatrywał ludziom, zagadnął dwa razy szeptem na ucho doradcę księżnej, który to doradca znał łacinę, ale po chwili zniecierpliwionym ruchem dłoni dał znać, że nie ma zamiaru rozmawiać z nagabującym go inkwizytorem.

Löwefell był oczywiście gotów do interwencji, gdyby coś zaczęło się układać nie po ich myśli, ale kiedy mężczyzna w burej kapocie stanął przed księżną, mógł już tylko obserwować, co zrobi jego młodszy towarzysz. Tymczasem poddany księżnej opowiadał coś bardzo szybkim i bardzo przyciszonym głosem, po czym sięgnął za pazuchę i w tym momencie Löwefell dostrzegł, jak Madderdin napina się niczym cięciwa łuku, gotowy do skoku. Ale mężczyzna wyjął tylko dokument poznaczony pieczęciami i wręczył go księżnej lewą ręką. I kiedy Ludmiła chciała sięgnąć po papier, mężczyzna chwycił ją za przegub i szarpnął z całej siły w swoją stronę, jednocześnie prawą dłonią wyciągając sztylet. Było to tak szybkie i niespodziewane, że Löwefell był pewien, iż nic już nie ocali peczorskiej księżnej, i w tym momencie przyszło mu na myśl, że popełnił błąd, że powinien sam zająć się ochroną Ludmiły, że sam powinien rozbroić napastnika lub, tak jak chciał Mordimer, po prostu powiadomić wcześniej straże. Zawiodłem, zdążył tylko pomyśleć, ale w chwili, kiedy wypowiadał w myśli te słowa, ujrzał, jak Madderdin wpada pomiędzy Ludmiłę a zamachowca i barkiem odtrąca księżną, pchając ją z powrotem do tyłu na fotel, jednocześnie całym ciężarem waląc się na mężczyznę w burej kapocie. I Löwefell więcej nie zobaczył już nic, gdyż czekający na posłuchanie tłum wpadł w panikę, a chroniący księżną żołnierze wreszcie ruszyli do przodu. Ludmiła zaczęła wrzeszczeć coś po rusku absolutnie wściekłym, chrapliwym głosem, a na jej twarzy wcale nie można było dostrzec strachu, tylko gniew. Madderdin przekręcił się na bok z zamachowcem w objęciach, dzięki czemu ostrze wartowniczej

gizarmy nie trafiło go w plecy, ale przebiło ramię skrytobójcy. Löwefell ominął rozbiegających się ludzi, dopadł żołnierza, który usiłował drugi raz dźgnąć leżących, gdyż najwyraźniej było mu całkowicie obojętne, czy celuje w zamachowca, czy w wybawcę księżnej. Zresztą najprawdopodobniej w ogóle nie wiedział, co się przed chwilą stało, i na wszelki wypadek postanowił zabić każdego, kto bierze udział w zajściu.

– Stać, stać! – zawołał Löwefell gromko. – Przestań! – ryknął w stronę drugiego ze strażników i wyciągając się jak struna, odtrącił drzewce glewii. Ostrze zgrzytnęło o kamienną podłogę tuż koło głowy młodego inkwizytora. Zaraz potem Madderdin porzucił swą ofiarę, przetoczył się na bok i zerwał na równe nogi. Był najwyraźniej wściekły, że sprawa skończyła się takim bałaganem i że o mało nie stracił życia w zamieszaniu, i to w dodatku z rąk ludzi, których władczynię właśnie ochronił.

Löwefell podskoczył w jego stronę, stając na wszelki wypadek pomiędzy nim a strażnikami, a Mordimer zdołał jeszcze tylko syknąć:

– A toś mnie urządził, Arnoldzie…

Löwefell musiał przyznać, że księżna dość szybko poradziła sobie z zamieszaniem, z pewnością przyczyniła się do tego pomoc żołnierzy przebywających do tej pory na fortecznym podwórku. Wbiegli i zaczęli stanowczo i brutalnie usuwać wszystkich, którzy jeszcze zostali w pomieszczeniu, wrzeszcząc na przybyłych i bezlitośnie tłukąc ich drzewcami włóczni. Ktoś upadł na podłogę i nie mógł się podnieść, ktoś odpełzał, modląc się i buchając krwią z otwartych ust, jakaś kobieta przeraźliwie zawodziła, wznosząc dłonie i twarz do sufitu, póki nie oberwała drewnianym końcem włóczni prosto w brzuch, a wtedy zamilkła, nadal z otwartymi ustami i z oczami wybałuszonymi z bólu i przerażenia.

Kiedy Ludmiła zobaczyła, że wszystko znalazło się pod kontrolą, wtedy gniewnym gestem wskazała doradcy leżącego nieprzytomnego zamachowca, potem skinęła władczo na inkwizytorów i nie oglądając się nawet, ruszyła w stronę bocznych drzwi.

Znaleźli się we trójkę w komnacie sąsiadującej z salą posłuchań, a wtedy Ludmiła obróciła pałający wzrok na Madderdina.

– Skąd wiedziałeś?! – warknęła.

Mordimer był ranny w dłoń, ale trzymał ją zaciśniętą w pięść i tylko krew skapywała mu spomiędzy palców na podłogę.

– Nie wiedziałem, Wasza Wysokość – wyjaśnił pokornym tonem. – Nie podobało mi się oblicze tego człowieka. Był inny niż wszyscy.

Ludmiła wpatrywała się w niego długo gniewnym, badawczym spojrzeniem, ale Madderdin nie cofnął wzroku.

– Przykro mi – rzekł wreszcie. – Ale nic więcej nie powiem Waszej Wysokości, bo nic więcej nie wiem. W przesławnej Akademii Inkwizytorium po prostu uczą nas, żeby zwracać uwagę na ludzi zachowujących się podejrzanie. Prowadzimy przesłuchania, więc musimy umieć odczytywać z twarzy oskarżonych winę lub niewinność. Przynajmniej z tych twarzy, z których można to odczytać…

Dobrze, pomyślał Löwefell, księżna powinna uwierzyć, skoro powołał się na edukację inkwizytorską. A inkwizytorzy na Rusi są zarówno znienawidzeni, jak i otoczeni legendą pełną niechętnego szacunku dla ich nadzwyczajnych zdolności.

Ludmiła skinęła po chwili głową, przyjmując wyjaśnienie do wiadomości. Löwefell nie był pewien, czy przyjęła je definitywnie, czy zaledwie tymczasowo. Podejrzewał, niestety, że raczej to drugie…

Podeszła do Madderdina i oparła mu rękę na ramieniu.

– Dobrze się spisałeś, inkwizytorze. Zapamiętam to. – Potem strzepnęła niecierpliwie dłonią. – Teraz odejdźcie… – rozkazała.

Biber uważnie wysłuchał opowieści Löwefella o tym, co zaszło w trakcie posłuchania u księżnej.

– Taka to już jest Ruś – powiedział potem. – Ciągle ktoś tu kogoś zabija albo przynajmniej próbuje zabić.

– Nie sądzisz więc, by ten zamach miał coś wspólnego z nami?

Biber potrząsnął głową.

– Nie mam żadnych przesłanek, żeby wysnuwać tego rodzaju podejrzenia – rzekł. – Ale oczywiście niczego nie wykluczam – dodał zaraz. – Chociaż uważam, że to bardzo mało prawdopodobne.

– Co z nim zrobią?

Biber pokręcił głową.

– Nie wiem. Na Rusi mają różne obyczaje w zależności od księcia i od księstwa. Może go zakopią żywcem, a może rzucą psom na pożarcie. Albo ugotują w smole. Jedno jest pewne. – Biber uniósł palec. – Na Rusi wierzą, że każdy, kto podniósł rękę na Bożego pomazańca, musi zostać ukarany wraz z całą rodziną. Gdyby ten człowiek miał brata, z którym rozdzielono go w dzieciństwie, to nic nie szkodzi: odnajdą tego brata i jego również stracą.

– Jak widać, nie wszyscy lękają się podobnej groźby – zauważył Löwefell.

– Mówią, że zamachowiec nie pochodził stąd – wtrącił Madderdin. – Zarówno oficerowie, jak i wołch księżnej będą starali się dowiedzieć, kim jest ten człowiek. Tak mi powiedziano.

– Powiedziano ci? No coś takiego – zdziwił się Biber. – Jak to się stało, że teraz na peczorskim dworze to ty jesteś informowany o zamierzeniach Ludmiły? – zapytał żartobliwie, ale widać było, że jest ciekaw odpowiedzi.

– Wyjawiono mi to zaraz przed tym, jak wydano mi polecenie, żebym uczestniczył w przesłuchaniu – wyjaśnił Mordimer.

Biber uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze – rzekł lekkim tonem. – Pokaż Rusinom, co potrafią inkwizytorzy.

Madderdin wyraźnie nie podzielał lekceważącego podejścia starszego towarzysza.

– Oczywiście nikt nie pomyślał nawet, żeby spytać, czy chcę uczestniczyć w podobnym spektaklu. Po prostu rozkazano, abym był gotów.

– Dziwiłbym się raczej, gdyby spytano – wzruszył ramionami Biber.

– Gdybyś uratował cesarza, dostałbyś nagrodę w złocie albo nadanie ziemskie. Ale że uratowałeś ruską księżną, to w nagrodę otrzymasz prawo torturowania zamachowca – powiedział równie lekkim tonem Löwefell.

Madderdin westchnął i machnął ręką.

– Widzę, że jesteście tym rozbawieni…

– Nie. Nie rozbawieni. Zadowoleni. To oznaka zaufania, Mordimerze. Oczywiście również egzamin, ale przede wszystkim oznaka zaufania.

– Spisz się dobrze i nie zabij tego człowieka, póki z niego wszystkiego nie wyciągniesz – przykazał Biber. – Aha, jeszcze jedno. Uśmiechnij się słodko do naszej pięknej księżniczki, a może dostaniesz od niej jakieś doskonałe mikstury pozwalające natychmiast ocucić nieprzytomnego człowieka lub zachować go długo w przytomności. Zrobisz dzięki temu dodatkowo dobre wrażenie.

– Nie omieszkam – odparł Madderdin.

Mordimera wezwano do księżnej niedługo po rozmowie z Löwefellem i Biberem, wrócił jednak szybko, nie było go przez najwyżej godzinę. Obaj inkwizytorzy czekali z ciekawością na jego powrót, umilając sobie czas winem.

– Nawet żadnych słodyczy nie znają w tym przeklętym kraju – westchnął Biber. – Poza miodem, który też strach tu jeść, bo nie wiadomo, z jakich kwiatów jest zbierany.

Löwefell potrafiłby rozpoznać miód zawierający truciznę, ale rzeczywiście słodyczy w Peczorze nie znano, czy może lepiej mówiąc, były zbyt trudne do przyrządzenia lub sprowadzenia, by je podawano. Rusini robili co prawda miodowe placki, ale gdzież ich smak miał się choćby do delikatnego, wyrafinowanego smaku i rozkosznego aromatu toruńskich pierników! A kandyzowane skórki pomarańczy? A cukrzone figi? A daktyle? A lukrowane płatki róży? A karmel? A kremy, marcepan i bezy? A migdały? O wszystkim tym podróżnik wędrujący przez Ruś mógł zapomnieć, a gdyby spytał jakiegokolwiek Rusina o taki specjał, to zapewne jedyną odpowiedzią, jakiej by się doczekał, byłyby wytrzeszczone oczy i otwarta ze zdumienia gęba. Löwefellowi było wszystko jedno, czym przegryza wino (zresztą czy pije wino, czy wodę, też mu było w zasadzie obojętne), ale Biberowi najwyraźniej brakowało odrobiny słodkości.

Jednak starszy inkwizytor nie zdążył podzielić się z Löwefellem dłuższymi żalami, gdyż drzwi szczęknęły i w progu pojawił się Madderdin.

– Szybko się uwinąłeś – zawołał Biber. – Ale po minie widzę, że nic złego się nie wydarzyło. Bo nie zabiłeś przesłuchiwanego, prawda?

Mordimer potrząsnął tylko głową.

– Siadaj więc, siadaj i opowiadaj – poprosił serdecznie Biber. – Napijesz się wina?

Młody inkwizytor nie zdążył nawet powiedzieć, że owszem, bardzo chętnie zwilży gardło, kiedy do komnaty drugimi drzwiami weszła Nontle. Uśmiechnęła się na widok Madderdina i pokiwała głową.

– Proszę, proszę, jakiż szybki powrót – powiedziała. – Z tarczą czy na tarczy?

– Ocenicie sami – odparł Madderdin.

Nontle pociągnęła nosem.

– U was tak nie śmierdzi – stwierdziła.

– Śmierdzi?

– Zbutwiałym drewnem – wyjaśniła. – Odsłoniłam kilimy na ścianach i wiecie, co odkryłam? To drewno butwieje. Mogłam wkręcić palec w belkę…

Biber uśmiechnął się.

– Takie są ruskie porządki, księżniczko. Tu niczego nie robi się solidnie i dokładnie. Może w Nowogrodzie czy w Moskwie, bo tam mają architektów i budowniczych sprowadzonych z Cesarstwa lub Palatynatu. Ale tutaj? W tej dziczy? Wznieśli całkiem przyjemną fortecę, jak zauważyliśmy i oceniliśmy, lecz nie zadbali o wysezonowanie, osuszenie i zabezpieczenie drewna użytego do budowy. W związku z tym wszystko to zacznie się im niedługo walić na głowy. A wtedy cóż – uśmiechnął się – zbudują nową twierdzę, popełniając najpewniej te same błędy.

Löwefell nalał wina zarówno Mordimerowi, jak i Nontle, która podziękowała mu tak ciepłym i tak uroczym uśmiechem, jakby właśnie wyświadczył jej niezwykłą przysługę, którą zapamięta na długo i za którą równie długo będzie wdzięczna. Löwefell pomyślał, że mauretańska księżniczka jest w pewnym sensie najgroźniejsza z nich wszystkich. Jej magia wynikała po prostu z samej natury i była niewykrywalna dla kapłanów, wołchów, wiedów, szamanów czy czarowników. Ta kobieta mogła okręcić sobie ludzi dookoła palca, zmusić ich, by tańczyli, jak im zagra, za pomocą samego uroku i uprzejmości, które połączone z jej niezwykłą urodą dawały prawdziwie piorunujący efekt. Oczywiście efekt, który nie działał na wszystkich. Ludmiła na przykład wyraźnie ją lubiła, ale raczej nie popełniłaby dla niej żadnego szaleństwa. Natomiast Löwefell był pewien, że wielu oficerów i żołnierzy księżnej poderżnęłoby sobie albo własnym towarzyszom gardła, gdyby tylko dowiedzieli się, że zyskają w ten sposób względy pięknej czarnoskórej kobiety. A jeśli Nontle zechciałaby użyć prawdziwej magii, jeśli spróbowałaby opętać ich Głosem, no cóż, wtedy mogłaby zapewne obalić Ludmiłę i zdobyć jej księstwo. Ale jej władza, jak Löwefell znał życie, upadłaby szybciej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Nie mówiąc

już o tym, że sama Nontle zanudziłby się w tej dziczy w ciągu miesiąca. Löwefell wiedział też, że dawno temu trafiali się członkowie Wewnętrznego Kręgu, którzy mylili posiadanie wielkiej mocy z używaniem wielkiej mocy. I używali jej nie do szerzenia wiary Chrystusowej i walki o dobro Sprawy, lecz w celu powiększania własnej władzy. Kończyło się to zawsze w jeden sposób: Inkwizytorium uznawało, że sprofanowali swój talent i splugawili swoje życie. Więc odbierano im najpierw jedno, a potem drugie.

– Zamieniamy się w słuch, Mordimerze – powiedziała Nontle słodkim tonem i równie słodko spojrzała na Madderdina.

Jego też nie potrafiła opętać, ale trzeba przyznać, że od czasu sztuczek, których użyła w Lubece, nie próbowała już niczego niestosownego. Po prostu była serdeczna. A teraz, kiedy uratował jej w Kamieniach życie, Löwefell zastanawiał się, czy czuła do młodego inkwizytora coś więcej. Wdzięczność? Chyba nie, pomyślał, istoty takie jak ona zapomniały dawno temu o uczuciach tak trywialnych jak wdzięczność. Madderdin po prostu był użyteczny. Jak drzewo, które zasłoniło człowieka, kiedy strzelano do niego z łuku, albo jak niespodziewany powiew wiatru, który zmylił lot strzały. Któż zachowuje w sercu wdzięczność dla drzewa czy wiatru? Jeżeli Madderdin liczył na szczególne profity w zamian za uratowanie życia księżniczce, to mógł się potężnie przeliczyć. Ale Löwefell miał nadzieję, że młody inkwizytor nie jest tak łatwowierny i naiwny…

Potem już uważnie słuchał składnego i obrazowego opowiadania Mordimera i przed jego oczami powoli zaczął się wyłaniać obraz interrogacji.

Madderdin stał po lewej stronie księżnej, a po jej prawej ręce stał kanclerz. W celi przygotowano krzesło, na którym Ludmiła usiadła z westchnieniem. Rozejrzała się po wnętrzu. Pod zwisającą z niskiego sufitu lampą o sześciu świecach stał stół z pokrwawionym blatem. Widać było wyryte w drewnie ślady jakby po pazurach dzikiego zwierzęcia, ale te znaki pozostawili torturowani dawniej skazańcy, którzy w wielkiej męce darli

paznokciami powierzchnię. Naprzeciwko stołu znajdowało się palenisko, a nad nim kociołek z gotującym się olejem oraz równo poukładane żelazne narzędzia, których końce dotykały płomieni. W sufit niedaleko świecznika wbito solidny hak, a na ścianie naprzeciwko kominka wisiały na gwoździach różnej wielkości pejcze, baty oraz korbacze. Od cieniutkich niczym brzozowa witka aż po grube, zasupłane, w których na skórzane sploty nanizano kawałki ostrego żelaza.

– Pomożesz nam, inkwizytorze – powiedziała księżna. – Wedle własnego rozeznania, uznania i zdolności. Najważniejsze… – uniosła palec wskazujący – żeby nam przesłuchiwany nie umarł. Rozumiesz?

– Oczywiście, Wasza Książęca Mość. Śmierć przesłuchiwanego jest w Inkwizytorium uważana za wielką niezręczność. I nie tylko z tego powodu, że od umarłego nie da się wydobyć zeznań.

– O, a z jakiegoż to jeszcze? – zainteresowała się.

– Uważamy, że każdy grzesznik ma prawo pojednać się z Bogiem oraz dokonać aktu skruchy – wyjaśnił Madderdin. – Pragniemy, by nawet ludzie, którzy czynili największe zło, umierali, kochając Boga, potępiając własne podłe życie oraz z całego serca miłując nas, inkwizytorów, którzy naprowadziliśmy ich na ścieżkę miłości oraz cnoty. Życzymy sobie, by skazaniec, odchodząc przed Sąd Boży, za najszczęśliwszy dzień życia uważał ten, w którym spotkał funkcjonariuszy Świętego Officjum.

Ludmiła przypatrywała mu się przez chwilę, jakby nie wiedząc, czy inkwizytor mówi poważnie. Potem pokręciła głową.

– No, no – mruknęła. – A pomyśleć, że to o mnie opowiadają, iż jestem okrutna.

Dalszą rozmowę przerwał im trzask otwieranych drzwi i do środka weszło dwóch strażników trzymających pod pachy wijącego się nagiego mężczyznę. Więzień wył i bełkotał, ale niezbyt nawet głośno, gdyż usta zapchano mu szmatami i przewiązano sznurem. Strażnicy zatrzymali się.

– Co Wasza Wysokość rozkaże? – zapytał jeden z nich.

Ludmiła odwróciła się w stronę Mordimera.

– Inkwizytorze?

– Na początek rozłożyłbym go na stole ze związanymi rękami i nogami. No i sądzę, że warto mu wyjąć knebel.

Księżna skrzywiła usta w nieznacznym uśmiechu, potem skinęła głową i wydała rozkazy strażnikom. Kiedy wszystko uczyniono tak, jak kazała, znów odwróciła się w stronę inkwizytora.

– Jak to wygląda u was? – spytała. – Sami torturujecie przesłuchiwanych czy robi to kat, a wy jedynie zadajecie pytania?

– To zależy, pani. Wolimy, by torturami zajmował się kat, lecz sami też zostaliśmy przeszkoleni, żeby wiedzieć, jak sprawić człowiekowi ból, nie zabijając go ani nie uszkadzając w poważny sposób ciała. Jeśli oczywiście ani zabić, ani uszkodzić go nie chcemy…

– Od jakich tortur zaczynacie?

– Zazwyczaj zaczynamy od pytań, pani. I od rozmowy z przesłuchiwanym, w trakcie której okazujemy mu współczucie oraz zrozumienie.

Ludmiła zmrużyła oczy.

– Chciałbyś mu współczuć i go zrozumieć? Człowieka, który omal nie zarżnął swego władcy?

– Jeśli jego umysł został splątany przez demony lub samego Szatana, to współczujemy mu, iż wpadł w szpony ciemności – wyjaśnił Madderdin. – Jeśli został przez kogoś namówiony lub przekupiony, to chcemy, by zrozumiał, że ten, który go sprowadził na złą drogę, nie jest jego przyjacielem. Przyjaciółmi jesteśmy my i właśnie w nas musi pokładać nadzieję.

– Na ocalenie życia?

– Nie, pani – odparł Mordimer. – O tym nie może być nawet

mowy. Mówimy o nadziei na spokojną śmierć, która przyjdzie po wyznaniu wszystkich grzechów.

Ludmiła milczała przez chwilę.

– Cóż, spróbuj… – Przywołała gestem jednego z dworzan. – Andrzej jest dobrze wyedukowanym młodzieńcem. Zna łacinę, więc będzie tłumaczył to, co powiesz temu tam… – Pokazała podbródkiem skazańca, którego właśnie przywiązywano do stołu.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – rzekł Mordimer.

Skinął głową jasnowłosemu młodemu człowiekowi, który teraz był blady i wyraźnie odwracał wzrok od stołu z przywiązanym do niego skazańcem. Sam podszedł do zamachowca, usiadł na krawędzi mebla. Najpierw rozluźnił sznur opasujący twarz więźnia, potem wyciągnął mu z ust knebel. Mężczyzna od razu zaczął coś bełkotać podniesionym, piskliwym głosem. Oczy miał wybałuszone i szalone, a czoło zroszone grubymi kroplami potu.

– Ciiicho, ciiicho – łagodnie nakazał Mordimer, a Andrzej nawet nie tłumaczył, gdyż sens tych słów i ton wypowiedzi były tak jednoznaczne, że nie było czego tłumaczyć.

Mężczyzna jednak nie słuchał napomnienia i wręcz podniósł jeszcze głos, krzycząc w tak dziwny sposób, że w jednym słowie potrafił z jazgotu przejść w chrapliwe rzężenie.

Inkwizytor, widząc, że łagodne napomnienia nie tyle nie skutkują, ile nie są nawet w stanie zwrócić uwagi więźnia, stuknął go kostkami dłoni w szyję krótkim, szybkim uderzeniem, które spowodowało, że rozciągnięty na stole tortur więzień stracił głos i oddech. Teraz tylko dusił się i charczał.

– Cios nie może być za mocny, żeby przesłuchiwanemu przypadkiem nie zmiażdżyć grdyki – wyjaśnił Mordimer, odwracając się w stronę księżnej. – Ale jednocześnie na tyle silny i celny, żeby pozbawić go na pewien czas zdolności mówienia. Poza tym, jak Wasza Wysokość zapewne zauważyła, ten człowiek obecnie dusi się… – Inkwizytor wskazał dłonią krztuszącego się więźnia, którego twarz przybrała sinofioletowy odcień. – Wydaje

mu się, że zaraz umrze – kontynuował. – Co jest oczywiście nieprawdą, gdyż jego zdolności oddychania niedługo powrócą…

– A jeśliby nie powróciły? – spytała księżna.

– To by oznaczało, że popełniłem niewybaczalny błąd – objaśnił chłodno Mordimer. – Jednak zapewniam Waszą Wysokość, iż do zabicia człowieka trzeba znacznie silniejszego uderzenia niż to, które zadałem. Za chwilę oddech wróci, lecz strach pozostanie… Chyba że mamy do czynienia z człowiekiem tak szalonym, że nie boi się niczego, lub z człowiekiem o umyśle zmąconym chorobą, trunkami bądź wywarami z ziół czy grzybów. – Inkwizytor rozłożył ręce. – Takich ludzi najtrudniej przesłuchiwać.

Po chwili, zgodnie z przewidywaniami inkwizytora, oddech więźnia zaczął się wyrównywać, twarz straciła intensywny kolor, a wybałuszone z przerażenia oczy wróciły do normy.

Mordimer ujął dłoń więźnia w swoją rękę.

– Jestem tu, żeby ci pomóc – powiedział łagodnie, a Andrzej natychmiast przetłumaczył jego słowa. – Jestem tu, żeby uratować cię przed bólem, który oni chcą ci zadać – ciągnął Mordimer i delikatnym gestem położył skazańcowi dłoń na policzku. – Póki jestem obok ciebie, nic złego ci się nie przydarzy…

– Interesujące… – mruknęła Ludmiła.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać – mówił dalej inkwizytor. – A kiedy już porozmawiamy, to dostaniesz dobrą kolację i dużo piwa. Co ty na to?

Więzień patrzył na niego przez chwilę, a potem rozchylił stłuczone usta w czymś, co miało być zapewne uśmiechem.

– Lubisz piwo? Każdy lubi, prawda? – Mordimer uśmiechnął się. – Jak masz na imię, przyjacielu?

– Mikołaj – wystękał przesłuchiwany.

– Mój brat miał na imię Mikołaj – ucieszył się Madderdin. – Mieszkał w kamiennym domu w samym środku miasta. Z żoną

i dziećmi. Ty nie mieszkasz w kamiennym domu, prawda, Mikołaju?

– Nieee, he, hee – pytanie najwyraźniej rozśmieszyło więźnia, oczywiście na tyle, na ile to było możliwe w jego sytuacji.

– Patrząc na ciebie, myślę, że pewnie mieszkasz gdzieś pod lasem, co?

– Pokażcie mi miejsce w Peczorze, które nie jest pod lasem – mruknęła rozbawiona księżna.

– W lesie – rzekł przesłuchiwany i nagle zadygotał. – Nie chcę do lasu! Nie posyłajcie mnie do lasu! Chcę tu zostać! Błagam, nie wyrzucajcie mnie do lasu! On tam jest! Ulitujcie się!

– On chce tu zostać – powiedziała Ludmiła. – No, no, czegoś takiego jeszcze nie słyszałam jak żyję.

Inkwizytor położył mężczyźnie dłoń na ustach.

– Żadnego lasu! – rzekł stanowczo. – Obiecuję ci, że nie zostaniesz wyrzucony do lasu. – Trzymał cały czas dłoń na ustach więźnia. – Zaraz stąd pójdziemy, ubierzesz się, usiądziemy przy kominku, zjemy kolację, napijemy się piwa. – Poklepał go w ramię. – Nawet nie będziesz musiał wychodzić na dwór, jeśli nie będziesz chciał.

Mężczyzna wyraźnie się uspokoił.

– On był zawsze w lesie – pożalił się. – I patrzył na mnie. – Przez jego ciało znowu przebiegły dreszcze…

– Kto taki?

– Wilk. Wielki wilk. – Mężczyzna zaczął płakać, a jego palce zacisnęły się tak mocno na dłoni inkwizytora, że aż zbielały.

Słowa: „Wilk. Wielki wilk” Andrzej przetłumaczył z wyraźnym wahaniem i aż obrócił się w stronę księżnej. Ludmiła pochyliła się w krześle, opierając dłonie na udach. Miała zasępioną twarz i zacięte usta.

– Musisz mi opowiedzieć o tym wielkim wilku, Mikołaju – rzekł łagodnie, lecz z naciskiem Madderdin. – Musisz mi opowiedzieć

o tym, co się działo, kiedy spotykałeś go w lesie…

– Nie, proszę, tylko nie o wilku… – Andrzej tłumaczył niewyraźne jęki więźnia.

– A powiedz mi, co zwykle robisz w lesie, Mikołaju? Polujesz?

– Poluję! – ożywił się nagle więzień. – I pułapki zakładam, jak nikt w okolicy!

– I na co zwykle polujesz? – dopytywał Mordimer z zaciekawieniem.

– A i na sobole, i na popielice, i na gronostaje – pochwalił się mężczyzna. – A ile ptaków potrafię ustrzelić! I łabędziego puchu uzbieram tyle, co nikt!

– Księżna potrzebuje dzielnych myśliwych – powiedział poważnym tonem Madderdin. – Przyjęłaby cię chętnie do kompanii, dałaby ci też dobrą kwaterę i jedzenia w bród, i dużo mocnego piwa…

Inkwizytor dostrzegł, że tłumaczący jego słowa dworzanin wyraźnie się zawahał i zerknął szybko w stronę siedzącej obok księżnej, ale zaraz gładko przemknął z tym zdaniem.

– …tylko musisz wcześniej opowiedzieć – kontynuował Mordimer – dlaczego i po co narobiłeś takiego bałaganu. Ludzi postraszyłeś, księżną zasmuciłeś. A jak księżna smutna – inkwizytor pochylił się nad przesłuchiwanym i nagle jego głos pochłodniał – to niedobrze. To bardzo niedobrze.

– Że niby co? – zaniepokoił się więzień i zamrugał gwałtownie.

– Dzisiaj był dzień, w którym księżna Ludmiła przyjmuje poddanych, próśb wysłuchuje i pomoc ofiarowuje, czy nie tak?

Zamachowiec przez chwilę nie mógł się najwyraźniej połapać, o co chodzi inkwizytorowi, widocznie w myślach cały czas był jeszcze przy tym, że to niedobrze, kiedy księżna jest smutna.

– No niby tak – odparł w końcu.

– No widzisz, a przez ciebie ludzie, którzy nawet i tydzień albo dłużej jechali do Peczory, żeby pokłonić się księżnej i prosić ją

o łaskę, zmarnowali cały ten czas. Dopiero na wiosnę będą mogli wrócić… Wiesz, jak cię strasznie wyklinają, Mikołaju? Mówią, że jak stąd wyjdziesz, to flaki ci wyprują i ze skóry obedrą… Tak, tak, pod fortecą oni wszyscy na ciebie czekają, strasznie zagniewani, że przez ciebie nie mogli się pokłonić księżnej…

Löwefell, słuchając tej relacji, uśmiechnął się do własnych myśli. To było dobrze powiedziane. Madderdin wbił właśnie więźniowi w głowę, że na pewno wyjdzie cało z niewoli.

– Ja nie chciałem… – zajęczał Mikołaj.

– Oczywiście, że nie chciałeś – zgodził się ciepłym tonem Mordimer. – Ale kto chciał?

– Że co?

– Kto chciał, żebyś przerwał księżnej posłuchanie? Kto chciał, żeby wszyscy ci biedni ludzie musieli uciekać?

Więzień zacisnął usta i zamknął oczy.

– Ejże, Mikołaju! – zawołał Mordimer. – Nie udawaj, że cię nie ma! Mów szybko, a zaraz każę cię rozwiązać i pójdziemy coś zjeść. I napijemy się piwa albo miodu, posiedzimy przy ogniu. No, Mikołaju, raz-dwa opowiesz wszystko i zobaczysz, jak ci ulży. A przecież zawsze lepiej jeść i pić, jak człowiek nie ma żadnych trosk na głowie. Co? Mam rację? Sam powiedz…

– I wtedy – rzekł Mordimer słuchającym go inkwizytorom – księżna powiedziała do swojego doradcy, ale na tyle głośno, że ja też usłyszałem: *On niczego jemu nie skażet*…

– On nic mu nie powie – przetłumaczył Biber.

– Ano właśnie – skinął głową Madderdin. – Niezbyt chyba już we mnie wierzyła, a ja bałem się, że przerwie mi i każe sprawy załatwić po swojemu.

– Co zresztą mogło zakończyć się całkiem pomyślnie – zauważył Biber. – Bo to, że Rusini są narodem prostym, wcale im nie przeszkadza w praktykowaniu od wieków całkiem skutecznej, choć z naszego punktu widzenia raczej prymitywnej sztuki tortur.

– Może sprawy rzeczywiście ułożyłyby się pomyślnie dla przesłuchania, jednak niepomyślnie dla opinii o metodach Świętego Officjum – powiedział Mordimer.

– O, to prawda. I na pewno w niewłaściwym świetle pokazałyby pewnego młodego, ambitnego inkwizytora – dodał z całkowitą powagą w głosie Biber.

– *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam* – odparł z równą powagą Madderdin.

– Co było dalej?

– Objaśniłem mu dokładnie działanie narzędzi – odpowiedział Mordimer. – Miałem nadzieję, że do ich użycia nie dojdzie i wszystkiego dowiem się w trakcie przyjacielskiej rozmowy, ale okazało się jednak, że obawa przed wspomnieniami była u tego człowieka zbyt duża i aby wspomnienia te wskrzesił, należało ową obawę przełamać strachem jeszcze większym. W końcu byłoby to niezwykłe, gdyby więzień w izbie tortur bał się kogoś bardziej niż inkwizytora decydującego nie tyle o jego życiu, lecz o intensywności cierpienia, z jakim z życiem tym będzie się żegnał.

– Czasem ludziom prostym i pozbawionym wyobraźni ciężko pojąć właściwą istotę naprawdę wielkiego bólu i rozumieją to, dopiero kiedy ów ból zostanie im zaprezentowany na ich własnym ciele – wtrącił Löwefell.

Mordimer skinął głową.

– Niestety, to prawda, że największa, demostenejska wręcz swada nie pomoże, kiedy ktoś po prostu nie rozumie, co do niego mówisz. Na szczęście okazało się, że ów Mikołaj jest nieco bystrzejszy niż nierozumne bydlę.

– I co ów bystry Mikołaj opowiedział?

– Wielki czarny wilk wzywał go do lasu i Mikołaj wtedy wstawał i szedł. „Wchodziłem w takie miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłem” – zacytował zeznania Madderdin. – „Swobodnie przemierzałem bagna, których wcale nie znałem,

i wracałem potem bezpiecznie do domu. Zawsze przewodziły mi białe światełka, unoszące się w powietrzu niczym iskry, i zawsze prowadziły mnie do wielkiego wilka…”

Biber pokiwał głową.

– Czy opowiadał coś o spółkowaniu?

Madderdin skrzywił się.

– Z wielkim czarnym wilkiem?

Biber spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

– Nie staraj się być zbyt dowcipny, inkwizytorze. Więc?

– Nie, nic nie mówił o spółkowaniu. Czemu pytasz?

– Cielesne obcowanie jest zwykle ważnym elementem wszelkiego rodzaju fantazji, a jeśli mowa o myśliwym spędzającym większość roku samotnie w lesie, to tym bardziej powinno ono się pojawić.

– Są ludzie niezainteresowani cielesnością w jej erotycznym rozumieniu – stwierdził Löwefell.

– Nieszczęśnicy – żartobliwie prychnęła Nontle i mrugnęła w jego stronę.

– Sądzisz, że to jedynie chora wyobraźnia prowadziła go do wielkiego wilka? Że jego przygody w lasach i na bagnach to majaczenia? – zapytał Madderdin, spoglądając na Bibera.

– Mam za mało przesłanek do sądzenia tego czy owego – odparł Biber. – Ale nie jest to wykluczone.

– Na Rusi ludzie jedzą i piją takie pokarmy i napitki, jakich w Cesarstwie nie przełknąłby nawet pies – rzekł Madderdin. – Warzą piwo, nie przejmując się, iż trafia do niego również wielka ilość jakiegoś zielska, jakichś trujących chwastów…

– Pytałeś go o grzyby? Zioła?

– Oni żrą wszystko. Jak świnie. – Mordimer pokręcił głową z obrzydzeniem. – Ale ten człowiek rzeczywiście radził sobie świetnie z polowaniem, więc nie sądzę, żeby był zmuszony do

gotowania chwastów czy kory z drzew.

– Miód? – zagadnął Biber.

– Tak, w miejscowych lasach mieszkają oczywiście bartnicy – odparł natychmiast Madderdin. – I pytałem go, czy jadł lub pił miód kupiony od nich.

Löwefell pomyślał z zadowoleniem, że młody inkwizytor zadawał takie właśnie pytania, jakie należało zadać. Zanim poszukasz przyczyn nadnaturalnych, wyeliminuj wszystkie przyczyny naturalne. Według tej zasady należało właśnie postępować.

– I co?

– Czasami wymieniał skórki czy mięso za miód, ale nie sądzę, by to miód stał się przyczyną jego majaczeń…

– A więc naprawdę odwiedzał wielkiego wilka mieszkającego w środka lasu? – zakpił Biber. – I cóż ten wilk kazał mu zrobić? Zabić księżną?

– Mówiąc najkrócej: właśnie tak – zgodził się Mordimer. – Oczywiście dodajcie do tego stosowną atmosferę. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Noc, pałające ślepia, przejmujący głos mówiący, że zadaniem jego, Mikołaja, jest uratowanie świętej wiary oraz całego świata.

Biber podrapał się po głowie.

– Taaak, a więc mamy wielkiego gadającego wilka, panującego nad lasem i rządzącego wszystkim, co w lesie mieszka… To się oczywiście zdarza i zdarzało niegdyś w naszych krajach, jeszcze za pogańskich czasów. Nazywano i nazywa się te demony leszymi lub borowymi…

– Nic takiego nie istnieje – rzekła stanowczo Nontle. – Badałam kilka takich spraw. Były to zawsze albo wymysły, albo mistyfikacja.

– Zgadzam się, że nie istnieją naprawdę – zgodził się z nią Biber. – Lecz istnieją w umysłach tych ludzi, wsparte głęboką, kultywowaną od pokoleń wiarą i obyczajami. Wiemy przecież, że

najtrudniej walczyć z czymś, czego tak naprawdę nie ma… – westchnął.

– Tu się zgodzę – skinęła głową Nontle. – I na dowód tego opowiem wam historię z mojego kraju. Otóż wiedzcie, że mój lud czci jako boga swojego władcę, a mojego ojca, ale modlą się również do Wielkiego Morskiego Węża.

– Słyszałem o tym – rzekł Biber.

– Demon? – spytał Löwefell. – Potwór?

– Legenda – wzruszyła ramionami Nontle. – Mój ojciec kazał wysyłać wyprawy i szukać tego Węża zarówno w rzekach, jak i w morzu. Lecz jego żołnierze i tropiciele nie znaleźli niczego poza ogromnymi krokodylami w rzekach i ogromnymi rekinami w morzu.

– Czy poddani twojego ojca przestali wtedy wierzyć w Wielkiego Węża?

– Oczywiście, że nie. – Nontle roześmiała się. – Zaczęli wierzyć, że schował się przed poszukiwaczami wysłanymi przez króla, by okazać mu w ten sposób niełaskę.

– Niedobrze – mruknął Löwefell.

– Zgadza się – skinęła głową księżniczka. – Powiem nawet, że bardzo niedobrze. Bo kilka tysięcy ludzi zginęło w zamieszkach i potem w czasie wojny domowej – dodała Nontle, a potem uśmiechnęła się nieznacznie. – I tak właśnie mój ojciec zrozumiał, że nie warto szukać Wielkiego Morskiego Węża, więc i szukać go przestał…

– Wracajmy, jeśli pozwolicie, z Afryki na Ruś – nakazał Biber, wyraźnie niezadowolony z tego przerywnika.

– Wracajmy. – Nontle wzruszyła ramionami. – Czym jest ów wilk twoim zdaniem?

– Pozwólcie tylko, że dodam – wtrącił Mordimer – iż reakcja księżnej oraz tłumacza na słowa o wielkim wilku była znacząca.

– W jakim sensie znacząca? – zmarszczył brwi Löwefell.

– Byli bardzo przejęci. Powiedziałbym nawet: zaniepokojeni.

– To, że Ludmiła miała szczęście zostać księżną, nie oznacza wcale, iż nie ma umysłu prostej, zabobonnej wieśniaczki – rzekł z lekceważeniem Biber. – Takie przypadki zdarzają się nawet w Cesarstwie i dotyczą świetnie wyedukowanych kobiet, a co dopiero mówić o tym końcu świata i o księżnej, która nigdy nie wyjechała poza peczorskie lasy!

– Tak czy inaczej, sądzę, że im mniej będziemy mieli wspólnego z tą sprawą, tym lepiej dla nas – podsumował Löwefell. – Aha, a jaki zapadł wyrok? – Spojrzał na Mordimera.

– Rozszarpanie przez psy – odparł Madderdin.

– No tak – wzruszył ramionami Biber. – W porównaniu z tym, jakie katusze dla rzekomych spiskowców wymyśla moskiewski Iwan, to można powiedzieć, że temu tutaj nawet się poszczęściło.

– Wszyscy macie być obecni w czasie egzekucji – dodał Madderdin. – Takie jest bardzo wyraźnie wyartykułowane życzenie księżnej.

– Ech – westchnął Biber. – Władcy zawsze są tacy sami, niezależnie od kraju, w którym rządzą… Zawsze chcą się czymś pochwalić przed poddanymi lub gośćmi. Jak nie pięknym pałacem czy pomnikiem, to chociaż piękną egzekucją…

Cesarskich przedstawicieli zaproszono na krużganek okalający dziedziniec, więc mieli doskonały widok z góry na całą scenę. Widzieli też niedaleko Ludmiłę, która siedziała na krześle z wysokim oparciem. Obserwowała wszystko z nieruchomą, pozbawioną wyrazu twarzą. Na razie zresztą nie było wiele do obserwowania, gdyż na podworcu kłębił się tłum ludzi, jego część odgrodzono, budując coś w rodzaju drewnianych zasieków (to za nimi rozegra się tragedia skazańca, pomyślał Löwefell), a w klatce po przeciwnej stronie zamknięto dwa psy. Obie bestie były wielkie, kudłate, najwyraźniej pobudzone i wściekłe oraz podekscytowane. Podekscytowane liczbą ludzi stojących wokół ich więzienia, ale też rozmowami, nawoływaniami i migotaniem

świateł pochodni. Löwefell zdawał sobie sprawę, jak irytujący dla wyczulonego powonienia tych zwierząt musi być tłum. Pot, odór mokrych zwierzęcych skór, smoła płonących pochodni, dym, teraz jeszcze krew, którą z wiadra chluśnięto na ziemię. Psy warczały i wściekle skamlały, rzucały się na pręty krat. Löwefell zauważył, że miały wielkie, bardzo białe i bardzo ostre zęby. Nie uważał się co prawda za znawcę, ale jednak wiele ras widział w życiu, a tej nie potrafił rozpoznać ani nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział podobne zwierzęta. Jeden z psów był czarno-biało-siwej barwy, futro drugiego było brązowe i ciemnozłote. Każdy ważył na pewno więcej niż cztery pudy i na pewno mniej niż pięć pudów i każdy, kiedy stanął na tylne łapy, sięgnąłby bez trudu do gardła dorosłemu człowiekowi. Jeden element ich wyglądu był prawdziwie zdumiewający. Oba wokół głowy i karku miały ogromne grzywy, tak gęste i rozłożyste, że zwierzęta przypominały małe, rozwścieczone lwy, a nie przedstawicieli psiego gatunku.

© Fabryka Słów

– Piękne, prawda? – zauważyła Nontle. Jej oczy błyszczały, kiedy przyglądała się rozjuszonym potworom.

– Nie widziałem nigdy niczego podobnego – odparł. – Czy to jakaś ruska rasa?

– Nie. – Pokręciła głową. – Widziałam takie psy w górach Afganistanu, pochodzą one jednak z Tybetu, krainy u podnóża Dachu Świata. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę to cudo na Rusi.

– Są niezwykłe – zgodził się Löwefell.

– W Tybecie wierzą, że te psy mają dwie pary oczu. Druga para służy im do obserwowania świata, kiedy wszyscy myślą, że spokojnie śpią. Dlatego hoduje się je do strzeżenia ludzi, domów i stad.

Rzeczywiście układ i kolor futra na głowach zwierząt sprawiały wrażenie, jakby oprócz normalnych oczu psy miały również drugą, większą parę.

– Może księżna odsprzedałaby albo ofiarowała parkę naszemu cesarzowi? Jak sądzisz?

Löwefell nie zdążył odpowiedzieć, gdyż na przeciwległym krańcu podwórza wszczął się ruch i zamieszanie. Tłum zaczął się rozstępować, ale też pokrzykiwać i tłoczyć się. Zaraz też zobaczyli, co było przyczyną owego tumultu. Oto na przedzie szli dwaj żołnierze, którzy drzewcami włóczni torowali sobie drogę wśród gawiedzi, a za nimi kroczył barczysty mężczyzna wlokący za sobą na łańcuchu nagiego, umazanego błotem człowieka.

– No i jest nasz zamachowiec – roześmiała się Nontle. – Nie wygląda teraz groźnie, prawda?

– On od początku nie wyglądał groźnie – mruknął Löwefell. – Nawet kiedy rzucał się na księżną, wyglądał bardziej rozpaczliwie niż groźnie.

– Czy chcesz coś przez to powiedzieć? – Na chwilę przeniosła wzrok ze skazańca na twarz Löwefella.

– Chcę przez to powiedzieć, że podobnie jak i ty wiem, co ten

człowiek zeznał na torturach… Ale teraz patrzmy, Ludmiła nie zaprosiła nas, żebyśmy lekceważyli widowisko, jakie kazała przygotować, prawda?

– Och, ja popatrzę z przyjemnością – klasnęła Nontle. – Kocham te futrzane pieski!

Tymczasem futrzane pieski, jak je nazywała mauretańska księżniczka, widząc zbliżającego się w ich stronę zakrwawionego człowieka, zaczęły jeszcze bardziej wariować.

– One wiedzą, co się zaraz stanie – rzekł Biber. – To na pewno nie jest ich pierwszy raz.

Środek podwórza ogrodzono zaporą z desek i pali, długą i szeroką może na dziesięć kroków, i tam właśnie wrzucono nieszczęsnego skazańca. Potem treser, mężczyzna, jak zauważył Löwefell, ubrany w zbroję z utwardzanej skóry, wysokie buty za kolana i nabijane metalowymi guzami karwasze, wypuścił psy z klatek, ale trzymał je na długich smyczach. Zwierzęta zresztą nie zwracały już uwagi ani na niego, ani na otaczających drewniany kojec ludzi. Ich pałające ślepia wbite były tylko w jęczącego i skulonego w błocie skazańca.

– Marne to będzie przedstawienie – stwierdził z naganą w głosie Biber. – Gdyby mu dali chociaż kij, żeby mógł się bronić…

Nontle spojrzała na niego nieprzychylnym wzrokiem.

– Przecież mógłby je wtedy zranić – powiedziała.

Opiekun psów uchylił wejście do zagrody i wpuścił do środka oba zwierzęta. Mikołaj, który przed momentem podniósł głowę, zobaczył zbliżające się bestie.

– Myślisz, że taki sposób egzekucji wystarczająco odstrasza? – zastanowiła się Nontle. – Przecież psy rozszarpią go szybko i nawet nie będzie długo cierpiał…

– A jak karano w królestwie twojego ojca tych, co ośmielili się podnieść rękę na władcę?

– Wrogów korony obtaczano w mokrej glinie i pieczono potem

na słońcu – objaśniła Nontle. – Albo rzucano krokodylom na pożarcie. Ale to drugie traktowano jako łaskę.

Löwefell słuchał ich rozmowy, a jednocześnie uważnie obserwował psy i skazańca. Bestie rozdzieliły się i jedna zbliżała się do więźnia z lewej strony, druga z prawej. Obie posuwały się po łuku, jak atakujące wilki. Skazaniec nagle odżył i najwyraźniej czy strach, czy desperacja pchnęły go do niespodziewanej aktywności. Jednym, nawet zręcznym susem wskoczył na ogrodzenie i już, już chciał je przeskoczyć, by znaleźć się chociaż na chwilę bezpiecznie w tłumie i przedłużyć w ten sposób życie o kilka chwil. Ale na nic mu się zdał ten wysiłek, gdyż czuwający strażnicy byli szybsi od niego. Jeden zahaczył go drzewcem włóczni w ramię, ale drugi trafił lepiej, bo prosto w usta. Skazaniec krzyknął i spadł z rozkrzyżowanymi ramionami. Wpadł plecami w błoto i wtedy oba psy skoczyły. Jeden chwycił go za lewą stopę, drugi za prawą dłoń.

– Jak dobrze są wyszkolone – powiedziała z zachwytem Nontle. – Patrz, nie rzucają się wcale do gardła.

Löwefell wiedział, że większość psów instynktownie atakuje w czasie walki najdelikatniejsze części ciała przeciwnika. Rzucają się do gardła lub próbują rozerwać brzuch swojej ofierze. Te najwyraźniej nauczono, że mają, przynajmniej na początku, tego nie robić. Mikołaj, któremu psie kły rozrywały dłoń i stopę, wrzeszczał piskliwie i rozpaczliwie, tak donośnie, że świetnie go słyszano na wszystkich krańcach podwórza, pomimo że widzowie głośno się śmiali, klaskali i okrzykami zachęcali bestie do większej zajadłości. Więźniowi udało się wyszarpać z psiego pyska nogę i wtedy przetoczył się w stronę drugiego zwierzęcia, rozrywającego jego rękę, i chwycił go wolną dłonią za futro kołnierza, tuż przy uchu. Ale wtedy drugi z psów, ten przed chwilą odepchnięty, rzucił się i wgryzł mu się w bok tuż nad biodrem.

– No to przedstawienie chyba nam się właśnie kończy – zauważyła Nontle z wyraźnym żalem.

Löwefell nie znajdował żadnej przyjemności czy podniecenia

w obserwowaniu kaźni jakiegokolwiek człowieka. Owszem, uważał podobne działania za praktyczne i konieczne z punktu widzenia skuteczności sprawowania władzy, rozumiał pobudki, jakie kierowały tymi, którzy wymyślali i stosowali podobne kary. Ale jego akceptacja nie oznaczała w żadnym razie fascynacji. Kiedy patrzył na rozpłomienione oczy Nontle, zastanawiał się, co kobieta taka jak ona, mądra i wykształcona, widzi w podobnej rozrywce, przeznaczonej przecież dla plebsu. A teraz Nontle była taka sama jak inni widzowie kaźni, ci podskakujący, wrzeszczący, zaciskający pięści i judzący psy. Ale owi ludzie należeli przecież do najprymitywniejszego motłochu, a ona była Hildegardą Reizend, badaczką i podróżniczką, członkinią Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium. Bestia mieszka w każdym z nas, pomyślał gorzko Löwefell, chociaż może nie w każdym, dodał również w myślach, gdyż nie czuję, by mieszkała we mnie. I nie mówię tego z poczuciem wyższości, gdyż wcale nie jestem pewien, czy pozbawiony tego właśnie niechlubnego atrybutu człowieczeństwa, mam się czuć wywyższony nad innych. Daję jedynie świadectwo obserwacji, o której sądzę, że jest jeśli nie całkowicie obiektywna, to chociaż nie nadmiernie skażona subiektywnym spojrzeniem. Czy kiedy Narses na ucztach kazał zabijać więźniów w wyrafinowany i okrutny sposób, czy kiedy kazał ich dręczyć na oczach zaproszonych gości, to robił to dla zaspokojenia własnej chorej żądzy? A może zaledwie z pragmatycznej potrzeby, by jawić się w oczach rywali, przeciwników i wrogów jako człowiek bezwzględny i niecofający się przed niczym? By tych rywali, przeciwników i wrogów omotać strachem, sparaliżować bojaźnią, niczym wąż dusiciel wpatrujący się w ofiarę i odbierający jej zdolność nie tylko do walki, ale nawet do ucieczki lub choćby myślenia o ucieczce? Nie pamiętam tego, pomyślał bezradnie Löwefell, po prostu nie pamiętam, czy zło, którym się otaczał, w którym się pławił i lubował Narses, wynikało z jego przeklętej natury, czy też było rezultatem zimnego i wyrachowanego postępowania obliczonego na utrzymanie władzy. I pytanie również brzmi: czy pobudki Narsesa mają jakiekolwiek znaczenie, czy też ważne są jedynie efekty jego działań…

Mikołaj z krzykiem bolesnym i rozpaczliwym, silniejszym niż jakikolwiek przedtem, puścił szyję pierwszego psa, wyrwał mu dłoń z paszczy i tym razem przekręcił się w stronę tego zwierzęcia, które wżarło mu się w żebra. Ale wtedy, wedle zresztą przewidywań wszystkich, którzy kaźń obserwowali i zachowali przy tym zdolność logicznego myślenia, pierwsza bestia zaatakowała kark skazańca. No i wtedy rzeczywiście nastąpił już koniec, przez chwilę słychać było nie wrzask, a jedynie zduszony charkot, potem strumień krwi bluznął z paszczy psa, tak jakby to on sam wyrzygiwał z wnętrzności posokę. Ale oczywiście on tylko rozrywał tętnice więźnia. Więźnia, który najpierw umilkł, a potem znieruchomiał. I już tylko obie potężne bestie, upojone walką, śmiercią i odorem krwi, podniecone okrzykami ludzi, szarpały, żarły i włóczyły po podworcu jego bezwładne ciało, które zakrwawione i oblepione błotem, zdawało się pozbawione ludzkich cech i przypominało zniszczonego straha na wróble.

– No i koniec – westchnęła z żalem Nontle. – Nawet nie bardzo próbował się bronić.

Löwefell pamiętał z kronik i pamiętników opisy rzymskich igrzysk i wiedział, że wysyłani przeciwko dzikim zwierzętom skazańcy potrafili czasami stawiać dość skuteczny opór. No ale ten człowiek był przerażony i osłabiony, nie miał najmniejszych szans w starciu z dwoma wielkimi, rozwścieczonymi psami szkolonymi do walki i zabijania. Zresztą cóż by mu dał opór poza jedynie przedłużeniem męki? Teraz przynajmniej wszystko skończyło się dość szybko i zamachowiec nie zdążył się nawet nacierpieć. Löwefell musiał przyznać, że ta śmierć pomimo dzikiej brutalności była przecież w efekcie dużo łagodniejsza od tego, co szykowali swoim wrogom europejscy, chrześcijańscy władcy.

Tymczasem Mauretanka zbiegła na podwórze po schodach krużganka.

– Nie! – ryknął opiekun psów tak potężnym głosem i tak rozkazującym tonem, że zatrzymałby chyba każdego, lecz na

pewno nie rozpromienioną Nontle.

Kobieta podbiegła do jednej z bestii, zanim treser zdążył szarpnąć łańcuch. Szepcąc coś do kudłatego ucha i mrucząc, uklękła i ujęła ogromny, zakrwawiony pysk w swoje szczupłe dłonie. Treser zaskowyczał ze zgrozy tak, że jego zawodzenie usłyszał pewnie każdy i z przodu, i z tyłu tłumu.

Ale brytan nie zamierzał zrobić Mauretance żadnej krzywdy, tylko wtulił się w nią i lizał po policzku i po szyi. Wyglądała zadziwiająco ta drobna, ciemnoskóra kobieta klęcząca przy złotorudej, schlapanej krwią bestii i czule ją obejmująca. Drugi pies, widząc, co się dzieje, zaczął żałośnie skamleć. Wreszcie Nontle oderwała się od złotorudego, podeszła do jego towarzysza i przez chwilę czochrała go po potężnym karku. Pies aż przymrużył oczy, a potem z ciężkim westchnieniem i równie ciężkim łomotem wywalił się na bok, pokazując Nontle zarośnięty zmierzwionym futrem brzuch. Treser zaczął się modlić, ale tym razem Löwefell był pewien, że nie ze strachu o czarnoskórą kobietę, ale z obawy przed nią. Potem zresztą, podobnie jak i wielu zgromadzonych, zaczął wykonywać gesty mające odczynić zły urok.

Löwefell zerknął na Ludmiłę i pomimo że ta zachowywała obojętne oblicze, inkwizytor był pewien, iż nie jest zadowolona. Księżna wstała i przechyliła się przez balustradę.

– Jesteś szamanką? – spytała lodowatym tonem. – Rzuciłaś czary na moje psy?

– Nie, pani – odparła wesoło Nontle. Wyprostowała się i spojrzała na Ludmiłę. – To dar od Boga, który posiadam od dzieciństwa. Każde zwierzę mnie lubi i nigdy żadne nie zamierzało mnie ukrzywdzić. Oczywiście opowiadam o zwierzętach myślących, a nie o komarach. Bo komary tną mnie tutaj jak diabli! Cała jestem w krostach!

Ludmiła przypatrywała jej się przez chwilę, potem zaśmiała się.

– Komary tną każdego. W tym równi jesteśmy my, książęta,

i najpodlejsi wieśniacy.

– Zaręczam też Waszej Wysokości, że pieski ani trochę nie złagodniały. Zagryzą i rozszarpią każdego, kto się do nich zbliży, albo każdego, kogo rozkażesz rozszarpać.

– Oprócz ciebie.

– Mnie nawet lew zostawił w spokoju.

– Lew? – Księżnej błysnęły oczy. – Widziałaś kiedyś lwa?

– Oczywiście, pani. W kraju, w którym się urodziłam, lwy chodzą stadami. Zwykle w takim stadzie jest jeden samiec oraz kilka samic z młodymi. Samice polują dla całego stada, a samiec, cóż… – Nontle roześmiała się. – On jest po prostu królem.

Księżna prychnęła.

– Samce – rzuciła to słowo takim tonem, jakby było obelżywe. – Samce, jak widać, zawsze są takie same, niezależnie od rasy! Ale chciałabym mieć własnego lwa.

– Nie wytrzymałby tu, Wasza Wysokość – wtrącił Biber. – I na pewno zdechłby w zimie. Może i lew jest królem zwierząt, lecz to taki król, który nie przetrzyma ani mrozów, ani śniegów.

Ludmiła pokiwała głową.

– Miałam niedźwiedzia, ale zdechł ze starości – powiedziała. – A szkoda, bo jednym machnięciem łapy potrafił urwać łeb skazańcowi.

– A to naprawdę szkoda – przyznał Biber.

Starzec musiał być kiedyś rosły i wysoki, lecz teraz wiek odbił się na jego posturze. Szedł zgarbiony, ciężko stawiając stopy i opierając się na kiju. Siwe, skudlone włosy opadały mu na twarz. Był odziany w habit ściśnięty w pasie sznurem, z szerokimi, długimi rękawami, kryjącymi dłonie. Na stopach miał sandały, z których sterczały wielkie, koślawe paluchy o czarnych paznokciach. Za starcem szła, a może lepiej powiedzieć: przesuwała się, wykonując dziwny taniec w rytm

tylko przez siebie słyszanej muzyki, młoda dziewczyna. Była jasnowłosa i piegowata. Miała długie i rozwichrzone włosy, i jak zauważył Löwefell, chyba bardzo, bardzo długo niemyte. Dziewczyna ubrana była w ciemną sukienkę sięgającą od szyi aż po bose, brudne stopy. Sunęła po podłodze lekko i z wdziękiem, a jej jasne, niebieskie oczy wodziły spojrzeniem po biesiadnikach, tak naprawdę chyba nikogo nie widząc, zajęte obserwowaniem swojego własnego świata, tak samo jak nogi tańczyły w rytm swojej własnej muzyki.

Kiedy ta dziwna para weszła do komnaty, wszyscy ucichli i znieruchomieli, nawet Ludmiła zastygła z wyciągniętą w stronę ust dłonią trzymającą udko kury.

– A więc tak wygląda wołch księżnej – mruknął Biber. – Aż dziwne, że nie pokazał nam się wcześniej.

Löwefell wiedział z lektur (jak również od samego Bibera), że wołchowie byli dziwnymi i złowrogimi kapłanami, łączącymi wypaczoną herezją wiarę Chrystusową z magią oraz pogańskimi kultami. Wierzyli w siły natury i uprawiali ten rodzaj czarnoksięstwa, za który w Cesarstwie natychmiast kazano by ich spalić. Potrafili szkodzić ludziom, ale też im pomagali, zwłaszcza kiedy zapewniono im strawę, ciepły kąt, młode kobiety i spokojne miejsce, gdzie mogli zarówno tkać zaklęcia, jak i przyrządzać maści, mikstury, wywary i eliksiry, z których preparacji słynęli na całą Ruś. Byli jasnowidzami, wróżbitami i magikami. Byli także, choć pewnie większość z nich nie znała nawet tego słowa, czymś w rodzaju alchemików. Parali się również, niektórzy zręczniej, inni całkowicie niezręcznie, najbardziej zwyrodniałymi formami nekromancji. Byli groźni niczym górskie strumienie, niczym burza na szczytach, niczym leśne trzęsawiska. Tym groźniejsi, że często całkowicie szaleni, otępiali od grzybów, wywarów i zaklęć, żyjący częściowo w świecie żywych ludzi, a częściowo w świecie własnych wizji lub imaginacji. Dla ruskich książąt bywali cennymi sojusznikami, lecz czasami bywało to niebezpieczne przymierze. Nie z uwagi na to, iż knuli spiski w celu odebrania książętom władzy (bo ta ich nieszczególnie interesowała), lecz dlatego, że po pierwsze, ciężko ich było pojąć,

a po drugie, w umyśle wołchów zacierały się granice nie tylko pomiędzy tym, co złe, a tym, co dobre, lecz również pomiędzy tym, co korzystne, a tym, co szkodliwe. Z punktu widzenia księcia i księstwa ta wada przynosiła czasem zabójcze skutki.

Wołch jednym niedbałym ruchem zgonił z ławy biesiadnika siedzącego nieopodal księżnej, a ten natychmiast ustąpił mu miejsca, uśmiechając się ze strachliwą przymilnością. Wołch jednak nie zwracał na niego uwagi większej niż na odepchniętą gałąź, która przestała zagradzać mu drogę. Tańcząca dziewczyna nie zatrzymała się jednak. Z szeroko rozwartymi szaleństwem oczami i uniesionymi ramionami sunęła wzdłuż ławy, a mijani przez nią goście księżnej kulili się w sobie, garbili i starali się udawać, że w ogóle ich nie ma. Dziewczyna jednak cały czas zdawała się tańczyć w swoim własnym świecie, w rytm swojej własnej muzyki, a kto wie, może nawet z niewidzialnymi tancerzami, których dostrzegały tylko jej oczy. I nagle stanęła jak wryta. Zatrzymała się i znieruchomiała, zupełnie jakby była żoną Lota albo którymś z niezręcznych śmiałków, którzy stanęli na drodze gorgony Meduzy. Ale jej wzrok, tym razem nadspodziewanie bystry i ożywiony, spoczął na Mordimerze Madderdinie. Potem uśmiechnęła się do inkwizytora uśmiechem wręcz niewinnie dziewczęcym i tak normalnym oraz zwyczajnym, że aż dziwnie i całkowicie nieprzystającym do jej poprzedniego zachowania. A jeszcze później zawinęła się niczym fryga i wirując już teraz w tańcu szybkim i przemyślanym, a nie tak jak przedtem wydającym się pochodzić z sennego koszmaru, nagle wylądowała inkwizytorowi wprost na kolanach, objęła go za szyję i zaczęła mówić do niego coś szybko po rusku. Löwefell nic oczywiście nie rozumiał z jej wywodów, ale po tonie głosu rozpoznał, że dziewczyna jest bardzo zaciekawiona i bardzo na coś nalega. A poza tym odzywała się z nadzwyczajną wręcz czułością i łagodnością i cały czas wodziła palcami po włosach i policzkach Madderdina, zupełnie jakby głaskała ulubionego psa, którego dawno nie widziała, bardzo lubiła i jednocześnie bardzo bała się spłoszyć.

Löwefell szybko oderwał wzrok od zdumionego towarzysza,

który siedział sztywno, z nieruchomą twarzą i zapewne modlił się, by ktoś wyzwolił go z tej dziwnej opresji, po czym przeniósł spojrzenie na wołcha księżnej. Kapłan najpierw wpatrywał się w swoją pomocnicę z rozwartymi ustami i wyrazem niezwykłego wręcz zdumienia na twarzy. Potem natomiast gwałtownie odwrócił się w stronę władczyni. Inkwizytor nie dostrzegł jednak w zachowaniu dziada żadnej agresji ani niezadowolenia. Wręcz przeciwnie, starzec mówił coś do księżnej bardzo szybko i z tak ogromnym podekscytowaniem, że ciągle pluł sobie na brodę i podołek. Co rusz też spoglądał na Madderdina, który starał się ciągle zachowywać obojętne oblicze, ale Löwefell widział bez trudu, że młody inkwizytor jest diablo niezadowolony ze wszystkiego, co się wokół niego wyprawia. No cóż, tak jak mówił: mądrzy inkwizytorzy woleli zwykle stać w cieniu. Ale dzięki tobie, Mordimerze, i temu, że stoisz w pełnym blasku, my możemy kryć się na uboczu jako ci całkiem nieważni i nieistotni, pomyślał Löwefell.

Zauważył, że Biber aż mruży oczy, starając się zrozumieć, co bełkocze starzec. Jak widać, jego znajomość ruskiego nie była aż tak dobra, by pojął ten szybki i niewyraźny słowotok. Chociaż po minie Bibera Löwefell poznawał, że Barnaba wydaje się zdziwiony. Wreszcie księżna podniosła dłoń rozkazującym gestem, a wołch umilkł tak błyskawicznie, jakby zatkano mu gębę kneblem, i tylko wybałuszył oczy na władczynię. Księżna skinęła na Bibera, by podszedł do niej, i ten posłusznie stanął obok jej krzesła. Powiedziała kilka słów ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami, ale kiedy Biber próbował coś odpowiedzieć, znowu uniosła władczo dłoń, najwyraźniej zupełnie nie skłonna, by prowadzić dyskusję. Tak więc Biber tylko pochylił głowę i odszedł. Ludmiła uśmiechnęła się szeroko i klasnęła głośno, patrząc w stronę minstrela. Ten natychmiast zaczął grać i śpiewać od tego miejsca, w którym mu przerwano.

– Co się dzieje? – zapytał Löwefell, kiedy Biber usiadł obok niego.

– Księżna życzy sobie, aby Mordimer wziął tę dziewczynę.

– Wziął? – nie zrozumiał Löwefell. – Dokąd wziął? Jako kogo wziął? Za niewolnicę? Za żonę? Do Cesarstwa?

– Wybacz brak precyzji – westchnął Biber. – Chodzi o „wzięcie” w sensie odbycia aktu fizycznego obcowania.

– Księżna chce, żeby Mordimer spędził noc z tą dziewczyną? – Löwefell zerknął w stronę jasnowłosej wariatki, która teraz siedziała w kącie razem z psami i śpiewała im coś po cichu, kołysząc w takt głową. Zwierzęta zdawały się jej słuchać i były tak zauroczone, że nawet przestały gryźć kości i nie reagowały na wołania biesiadników.

– Właśnie tak.

– Z jakiego powodu?

Biber nalał wina do kielichów, po czym nałożył sobie na talerz wielki kawał pasztetu z chrupiącą, ciemnobrązową skórką.

– Zgłodniałem od tego wszystkiego – mruknął. – Chodzi o to – ciągnął już dalej z pełnymi ustami – że dziewczyny takie jak ta, którą widzimy, potrafią nawiązywać kontakt z… – zawahał się – z możliwą przyszłością, ale też z przeszłością, a wydaje mi się, choć to już stawiam jednak zaledwie jako hipotezę, że również z teraźniejszością, której nie ma, lecz mogłaby być, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Löwefell skinął głową.

– No dobrze. Tak czy owak, kompletnie bezwartościowa, za to niepokojąca zdolność. Aż dziwne, że je tutaj hołubią, a nie palą.

– Zdolność nie jest bezwartościowa – nie zgodził się Biber. – Ponieważ opiekujący się dziewczyną szaman czy kapłan, czy jak oni go nazywają: wołch, umie właściwie odczytywać wizje, których ona doświadcza, i oceniać, co jest ważne, a co nieważne. Sama dziewczyna tego nie potrafi. Dla niej to tylko obrazy, najczęściej straszne i niezrozumiałe.

– W jaki sposób ten stary widzi to samo, co ogląda dziewczyna?

– Podczas długiego i intensywnego aktu cielesnego zbliżenia – wyjaśnił uśmiechnięty Biber.

Löwefell pokiwał głową. Słyszał już kiedyś o podobnych obrzędach, jednak miały one miejsce na Wschodzie, a uczestnicy misterium byli tak oszołomieni trunkami oraz wdychanymi ziołami, że trudno było powiedzieć, czy jest to rzeczywisty akt mistyczny, czy zaledwie jego imitacja.

– …a stary skarżył się księżnej, że ze względu na wiek i słabość już nie może podjąć tych obowiązków – kontynuował Biber. – I że żadne zioła ani maści mu nie pomagają. Więc przez tę niedyspozycję utracił jedną ze swoich mocy, czyli moc odczytywania wizji ukazywanych przez dziewczynę.

– Coś takiego…

– Teraz, kiedy jego pomocnicy tak spodobał się Mordimer, stary jest zachwycony tym, że ktoś może pomóc księżnej, bo twierdzi, że dziewczyna jest ostatnio bardziej niespokojna niż zwykle i że najwyraźniej wyczuwa, iż nadchodzi coś złego. A on sam nie potrafi pomóc.

Löwefell spojrzał w kąt, gdzie wariatka opierała się na jednym z psów jak na wielkiej futrzanej poduszce. Obróciła się w stronę kominka, podkasała suknię i rozłożyła nogi, grzejąc się w cieple. Zupełnie nie przejmowała się tym, że jest pod suknią naga. Löwefell zauważył, że ma ładnie wytoczone łydki i szczupłe uda.

– Przynajmniej jest młoda i chyba nawet ładna – powiedział. – Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby to była stara wiedźma obsypana wrzodami…

– Nie spodziewaliśmy się, że ktoś będzie chciał nam wykorzystać inkwizytora w taki właśnie sposób, prawda?

– Dobrze, że nie trzeba obcować ze starym dziadem, tylko z jego młodą i zgrabną pomocnicą. Poddaj ten argument Mordimerowi, kiedy będziesz go informował o dzisiejszych obowiązkach. – Löwefell nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Czyli zgadzamy się?

– A dlaczego mielibyśmy się nie zgadzać? – zdziwił się Löwefell. – Jeżeli ma to księżną usposobić do nas przychylnie, to

nie widzę żadnych problemów, by młody, jurny, jak mniemam, inkwizytor pofiglował z równie młodą dziewczyną, która cielesne obcowanie uważa za swój dar. – Wzruszył ramionami. – Niech się dobrze bawią…

– Mam nadzieję, że Madderdin wykaże się stosowną sprawnością i nie zawiedzie nadziei, które wszyscy w nim pokładamy – zauważył Biber.

– Słuszna uwaga. Na wszelki wypadek zapytamy Nontle, czy nie mogłaby nas wspomóc jednym z likworów, których wiezie tak dużo i które tak pieczołowicie chroni w zamkniętej skrzynce wypełnionej sianem.

– Sądzisz?

– Sądzę, że głównie ma tam mikstury, których ani ja, ani ty, ani ktokolwiek inny na pewno nie chciałby wypić. Lecz podejrzewam, że wśród nich może się znajdować zbawienny likwor pobudzający męskie siły w takim stopniu, by mężczyzna wielokrotnie w ciągu nocy mógł zaspokoić może nawet nie jedną, ale wiele dam.

– Więc zapytamy.

– A mnie bardzo interesuje, co zobaczy Mordimer i czy w ogóle cokolwiek zobaczy – powiedział poważnie Löwefell. – To zapowiada się naprawdę ciekawie, więc będzie musiał nam dokładnie opowiedzieć o wszystkim, czego doświadczy w kontaktach z tą dziewczyną.

Mordimer Madderdin wysłuchał Bibera z obojętnym wyrazem twarzy, po czym potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe – oznajmił zimnym głosem.

– Czemu? – zdziwił się Biber. – Dziewczyna jest młoda i zgrabna, więc jakoś wytrzymasz jej towarzystwo… – Wzruszył ramionami.

Mordimer tylko wydął usta z niezadowoleniem.

– Jest w tobie tyle zapału, że z powodzeniem go starczy i dla tej biednej dziewczyny – wtrąciła Nontle z ujmującym uśmiechem. – Bądź dla niej miły, a przyrzekam, że ja będę miła dla ciebie…

Młody inkwizytor spojrzał na nią.

– Doceniam tę hojną ofertę – odparł uprzejmie.

– Uważasz, że moje towarzystwo nie jest warte małego poświęcenia? – zapytała, pokazując palcami, jak małe jest to poświęcenie. Uśmiechała się przy tym słodko i kusząco.

– Mam spędzić noc z szaloną wiedźmą, która nawet nie wie, czym są balia lub łaźnia? – zapytał z goryczą Madderdin, a Löwefell zrozumiał, że młody inkwizytor już się poddał.

Zresztą zapewne od początku wiedział, że targi tak właśnie się skończą, a opór był z jego strony zaledwie grą, by poczuł się bardziej doceniony. I nie zmuszony, lecz kupiony dobrocią, życzliwością oraz rozsądkiem.

– Każemy ją dobrze umyć – obiecała wesoło Nontle. – Masz czułe powonienie i ja to doskonale rozumiem. Zapewne masz też wysokie wymagania co do kobiet. – Teatralnie dygnęła z wdziękiem. – I to rozumiem jeszcze lepiej. Więc tak wszystko zostanie przygotowane, żeby cię nie zawieść.

– Niewiarygodne. Po prostu zdumiewające, jak toczy się życie… – Madderdin potrząsnął głową.

– To samo powiedziałem Arnoldowi – ucieszył się Biber. – Że życie potrafi nas zaskoczyć.

– Nas – powtórzył Mordimer z przekąsem.

– Zarówno wstrzemięźliwość, jak i monogamia są wielce szkodliwe dla zdrowia – stwierdziła Nontle. – Więc cielesne obcowanie z nową dziewczyną wyjdzie ci na dobre. Możecie też wiedzieć, że pracowałam nad – Nontle uniosła znacząco palec – książką opisującą wpływ różnego rodzaju erotycznych czynności na kondycję umysłową oraz fizyczną człowieka.

– Nie do wiary – pokręcił głową Biber.

– Na przykład częste poddawanie się fellatio znacznie wspomaga bystrość rozumowania i pewność siebie mężczyzny. Z kolei cunnilingus czyni kobietę łagodniejszą i słodszą w obyciu, a także…

Biber chrząknął.

– Dobrze, dobrze, nie będę was już zanudzać. – Nontle machnęła ręką. – Chciałam wam tylko powiedzieć, że książki co prawda nie skończyłam, ale cały czas mam nadzieję, że może kiedyś znajdę jeszcze czas, by prowadzić intensywne badania i eksperymenty nad domeną łączącą działania Erosa z działaniami Asklepiosa.

Löwefell po raz kolejny przekonał się, że Nontle jest niezwykle myślącą osobą, nawet jak na zwyczaje Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, w którym w ogóle służyli ludzie wyjątkowi.

– Mordimerze drogi – Nontle obróciła wzrok na młodego inkwizytora – pomyśl, proszę, poza tym, jak niezwykłe będzie to doświadczenie. – Jej spojrzenie się rozogniło. – Zobaczysz wizje, które widzi ta dziewczyna. Na własne oczy i własnymi zmysłami poczujesz magię wołchów!

– A patrząc od strony praktycznej, to księżna nie wyobraża sobie nawet odmowy – powiedział Löwefell. – Sądzę, że potraktowałaby ją jak bezmyślną oraz niczym ważnym nieumotywowaną zniewagę. Narazilibyśmy się na jej wielki gniew.

– Na Rusi to bardzo nierozsądne mieć przeciw sobie ruskich książąt – zgodził się z nim Biber.

Mordimer tylko westchnął i machnął ręką.

– Mają ją dokładnie umyć – rzekł. – Jak się wymoczy w balii z gorącą wodą, umyje i uczesze włosy, to może okaże się nawet nie tak wstrętna jak na pierwszy rzut oka.

– Jestem pewna, że tak właśnie będzie. – Nontle poderwała się z miejsca szybko jak ptak i przysiadła na poręczy obok Mordimera. Objęła go ramionami za szyję. – Możesz spokojnie

wierzyć mojemu kobiecemu oku oraz doświadczeniu. Są kobiety takie, którym nic nie pomoże: ani mycie, ani zabiegi malowania twarzy i trefienie włosów. Czyż mało znałam podobnych maszkar, przypominających bardziej hipopotamy kolebiące się na krzywych, grubych nogach niż człowieka? Czyż mało widziałam kobiet o fałdach tłuszczu wylewających się na brzuch, tak jakby zakładały tam szczególnego rodzaju zbroję? Czyż mało widziałam kobiet o nalanych policzkach, świńskich podgardlach i małych oczkach zatopionych w tłuszczu, wyglądających całkiem niczym owcze bobki, które trafiły do beczki smalcu…

Mordimer skrzywił się.

– Co za wyobraźnia – mruknął.

– …o tak, moi drodzy, widywałam tego rodzaju kobiety – ciągnęła Mauretanka. – I niezależnie od tego, czy wychowały się w wiejskich chatach, czy w książęcych pałacach, to wiadomo było, iż nic i nikt tak naprawdę im nie pomoże, nie sprawi, że rozbudzą i rozpalą męskie zmysły… Pogrążone w zgorzkniałej samotności, mogły jedynie kupować sobie mężczyzn, jeśli było je na to stać, lub liczyć na ten ich rodzaj, dla którego najważniejsza będzie możliwość pospiesznego chędożenia, a nie walory wybranki.

– Tak, wielu jest takich mężczyzn – zgodził się Biber. – A jeśli zaćmić im umysł trunkiem, to zaczną nawet małpy ganiać po drzewach.

Nontle obróciła się w jego stronę.

– Jako kobieta wychowana w Afryce, zapewniam cię, że figura retoryczna, której użyłeś, nabiera w moim kraju, niestety, znaczenia bardzo dosłownego. Ale nieważne… – Machnęła ręką. – Ważne jest co innego, a mianowicie to, że owa dziewczyna szamana – Nontle uśmiechnęła się znacząco – na pewno nie należy do kategorii kobiet, których urodzie nic nie jest w stanie pomóc. Zobaczycie jeszcze, że zdziwicie się, gdy pokażą ją wykąpaną, wypachnioną i z ułożonymi włosami. A i nasz drogi towarzysz – obróciła spojrzenie na Mordimera – z całą pewnością się nie zawiedzie…

Madderdin zaklaskał lekko i teatralnie, jednak uśmiechnął się przy okazji.

– Widzę, że ty, pani, łatwo przekonałabyś nawet wielkiego grzesznika, żeby udał się na pouczającą wycieczkę do piekła. Więc tym bardziej ja czuję się przekonany.

Następnego dnia Löwefell i Biber zostali wezwani do księżnej, a po przestraszonej minie służącego poznali, że nie czeka ich nic dobrego. Albo Ludmiła była w podłym nastroju (a podły nastrój władców zbyt często decydował o zdrowiu i życiu poddanych, by owi poddani mieli go lekceważyć), albo wydarzyło się coś złego.

I kiedy weszli do komnaty Ludmiły, już po wyrazie twarzy władczyni Löwefell poznał, że na dworze zaszły zmiany. Zmiany na gorsze. Księżna nie poprosiła ich nawet, by usiedli, tylko obrzuciła ich niechętnym wzrokiem, potem zapatrzyła się w pochmurne niebo za oknem.

– Mój wołch umiera – rzekła wreszcie.

– Umiera? – powtórzył zaskoczony Biber.

– Umiera – kiwnęła głową księżna. – Życie wypluwa razem z czarną krwią.

– Wczoraj na uczcie wyglądał na całkiem zdrowego – zauważył Löwefell.

– Bo i był zdrowy – zgodziła się Ludmiła. – Na ile zdrowy może być tak stary człowiek.

– Czemu tak nagle zachorował? – zapytał Biber. – Otruto go? – dodał po chwili wahania.

Księżna milczała dłuższą chwilę.

– Utkali przeciw niemu mroczne zaklęcia – odparła wreszcie głosem bez wyrazu. – I trafili w niego, żeby mnie samą pozbawić obrony.

– Ale Wasza Wysokość ma jeszcze…

Ludmiła niecierpliwie machnęła ręką.

– Żaden z nich nie ma, nie miał i mieć nie będzie takiej mocy jak stary Jegor. Kiedy straciłam jego, to jakbym wszystko straciła. – Zagryzła usta – muszę posłać po innego wołcha, ale zanim przyjdzie zgoda od wielkiego księcia, wiele minie czasu. A ja już tego czasu nie mam… – Löwefell nie był pewien, czy Ludmiła ostatnie zdania wypowiada do nich, czy tak naprawdę jedynie do samej siebie.

– Wasza Wysokość, może to nie magia, lecz naturalna choroba – powiedział szybko Biber. – Mój towarzysz – wskazał na Löwefella – jest biegłym medykiem, chętnie pomożemy, jeśli pomoc…

– Na czarne zaklęcie żadnej pomocy nie ma – przerwała mu głuchym głosem księżna. – Kogo ono trafiło, to chociaż jeszcze żyje, to jakby już umarł. I może lepiej dla niego, jakby wcześniej umarł niż później – dodała jeszcze posępniej.

– Nie wiem, w czym możemy Waszej Książęcej…

– Dziewczyna, którą chciałam spleść z waszym inkwizytorem, martwa jest jak spalony ptak. – Obróciła na nich zły wzrok, chyba wcale nie słuchała tego, co powiedział wcześniej Biber. – A wiecie, dlaczego mówię: spalony?

Biber jedynie potrząsnął głową.

– Bo cała sczerniała. Skórę ma takiej barwy jak ta wasza kobieta, tyle że tak pomarszczoną, jakby ktoś ją zmiął w garści niczym starą szmatę.

– To naprawdę straszne – rzekł Löwefell, bo tak właśnie powinien zachować się cesarski wysłannik, człowiek światowy i kulturalny w zderzeniu z brutalną czarnoksięską zbrodnią.

– Tak, to rzeczywiście straszne – zgodziła się księżna.

Potem podeszła do okna i oparła się ciężko o drewniany parapet.

– Chmury zbierają się nade mną – rzekła. – Któż może wiedzieć kto i z jakiego powodu te chmury zagania nad Peczorę. – Obróciła

się w ich stronę. – Może to wasza wina, cesarscy posłowie? – Spoglądała na nich złym, zaciętym wzrokiem.

Nie wezwała nas bez powodu, pomyślał Löwefell, nie przywołała nas, by pastwić się nad nami i obarczać nas winą za śmierć swojego kapłana. Czegoś zaraz zażąda, tylko czego?

– Nie jesteśmy niczyimi wrogami – rzekł Biber spokojnym, ujmującym tonem. – Jesteśmy tylko cesarskimi wysłannikami i nikomu nie chcemy wadzić.

– Taaak. – Księżna wreszcie zwróciła na niego uwagę. – W to, że chcielibyście być jak najszybciej w domu, akurat chętnie uwierzę.

– Tam dobrze, gdzie ojczyzna – stwierdził Biber, parafrazując słowa Arystofanesa.

– Ja was nie zatrzymuję – powiedziała Ludmiła. – Możecie wracać i dobrze będzie dla was, jeśli szybko stąd wyjedziecie. Żeby moje sprawy i mojego księstwa was więcej nie kłopotały.

– Uprzejmie dziękuję Waszej Książęcej Mości – powiedział Biber.

To tylko wstęp, pomyślał znowu Löwefell, zaraz nam wyjawi, o co jej tak naprawdę chodzi. Dała nam nadzieję, roztoczyła wizję szybkiego powrotu do domu, abyśmy tym łatwiej zgodzili się na to, czego od nas pragnie. Liczy, że gnani ową nadzieją, jak najszybciej spełnimy jej żądanie. Tylko ciekawe, jakież to będzie żądanie…

– Wszyscy możecie już wyjechać… – rzekła.

Nie wszyscy, zrozumiał Löwefell. Ach, więc to tak…

– …z wyjątkiem jednego.

– Słucham? – zdumiał się Biber, a Löwefell nie był pewien, czy jest zdziwiony, czy tylko udaje zdziwienie. Chyba jednak udawał.

– Inkwizytor zostanie w Peczorze – powiedziała Ludmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Takie jest moje stanowcze i nieodwołalne życzenie.

– Aby zastąpić starego Jegora? Wasza Wysokość, z całym szacunkiem, ale to…

– Aby zastąpić starego Jegora – powtórzyła za nim Ludmiła, tyle że nie tonem pytania, ale stwierdzenia. – Taka właśnie jest moja wola.

– Wasza Wysokość sądzi, że inkwizytor w tym wypadku…

– Nikt nie chce umierać – przerwała księżna, patrząc mu prosto w twarz. – No chyba że już żyć nie chce, to wtedy może i pragnie umrzeć. Ale ja jeszcze bardzo chcę żyć. Mój czas nie nadszedł.

– Ależ Wasza Wysokość ma swoich… – Biber przez chwilę szukał słowa – wiedzących.

Löwefell o mało nie prychnął. Przecież mówiła mu już, że żaden nie ma odpowiedniej mocy, pomyślał. Barnaba niepotrzebnie powtarza ten już wcześniej rozbity argument.

– Żaden z nich nie potrafi tego, co wasz inkwizytor. Oni sami przyznali, że jego siła jest bardziej… – tym razem Ludmiła nie mogła znaleźć odpowiedniego określenia.

– Ukierunkowana, jak mniemam – domyślił się Biber. – Tak, to prawda – dodał. – Co nie oznacza jednak, że możemy go oddać, jakby był gończym psem czy sokołem. To inkwizytor. W Cesarstwie taki tytuł wiele znaczy.

– Ale w moim księstwie ma tylko takie znaczenie, jakie ja sama zechcę mu nadać – rzekła lodowatym tonem księżna.

– Pani, z całym szacunkiem, ale nie możemy oddać ci naszego towarzysza, który…

Ludmiła zdecydowanym gestem uniosła dłoń, każąc mu zamilknąć. I Biber umilkł.

– Powiem wam szczerze, czego chcę – rzekła. – Chcę mieć swojego psa. Swojego *canem ducissam*. – Uśmiechnęła się drapieżnie. – Który będzie wierny tylko mnie, bo będzie wiedział, że jedynie ja zagwarantuję mu bezpieczeństwo i jedynie ja zagwarantuję mu powrót do domu.

– My wiemy, czego Wasza Wysokość chce – odezwał się Löwefell. – Ale pytanie brzmi: dlaczego mamy ci to dać?

– Z wdzięczności, że byłam wam życzliwa? – poddała księżna bynajmniej nie zdziwiona tym, że odezwał się znacznie bardziej stanowczym tonem niż Biber. – I w nadziei, że będę wam życzliwa cały czas, kiedy będziecie przemierzać moje księstwo? Bo widzicie, do granic Nowogrodu daleka jeszcze droga… I może być niebezpieczna.

Nie musiała zmieniać tonu głosu, by zarówno Biber, jak i Löwefell zrozumieli, iż w tych słowach czai się groźba. Pytanie tylko, na ile księżna była zdeterminowana, by ową groźbę wprowadzić w życie.

– Poza tym proszę was, abyście pomyśleli o sprawie w taki sposób – zaczęła tym razem łagodnym tonem. – Oto jest inkwizytor, żołnierz Chrystusa, wyszkolony do odkrywania i niszczenia wiedźm, czarnoksiężników, demonów oraz przejawów czarnej magii. Czy dobrze mówię, tak właśnie określając inkwizytorskie powinności?

– Znakomicie i w samo sedno, pani.

– Gdzie więc będzie miał więcej sposobności do wykazania się niż w moim księstwie? – Ludmiła podparła się dłońmi na kolanach i nachyliła w ich stronę. – Wy nawet nie wiecie, co tu się dzieje – powiedziała zduszonym głosem, przez niemal zaciśnięte usta. – Wychowani w waszym leniwym, łagodnym Cesarstwie, nawet nie zdajecie sobie sprawy z ogromu zła, jakie zalewa ruskie ziemie.

– Jeden inkwizytor nie poradzi sobie z całym złem Rusi – zauważył Biber.

Księżna rozluźniła się, uśmiechnęła i rozparła na krześle.

– Toteż ja wcale nie chcę, żeby on sobie radził z całym złem Rusi. Niech mi pomoże poradzić sobie z tym, które otacza Peczorę i które celuje we mnie.

– Co Waszej Wysokości grozi? – zapytał ostrożnie Biber. –

Magia? Kolejny zamachowiec?

Ludmiła niespodziewanie roześmiała się i klepnęła w udo.

– Ruskim książętom zawsze coś grozi – powiedziała dziwnie wesołym tonem. – Jak nie inny książę, to szlachta lub kupcy. Jak nie szlachta i nie kupcy, to motłoch. Jak nie motłoch, to kapłani. Jak nie kapłani, to… – urwała i wzruszyła ramionami. – Wielu kryje się po lasach takich, którzy snują czarne zaklęcia… A nasze lasy są gęste i rozległe. Pełne mrocznych sekretów. – Zwróciła na nich uważne spojrzenie. – Kiedyś i wasza puszcza była taka. Może z tysiąc lat temu…

– Wasza Wysokość, rozumiem zamierzenia Waszej Wysokości, ale bądź pewna, że jeden inkwizytor niewiele ci pomoże! Daj nam zezwolenie, byśmy negocjowali w twoim imieniu, a przyślemy ci nawet dziesięciu inkwizytorów. Pozwól Świętemu Officjum, by założyło oficjalne przedstawicielstwo, a…

– Nie, nie, nie! – przerwała mu stanowczo księżna. – Mamy takie przysłowie, że lepszy wróbel w garści niż dudek na dachu.

Biber przyłożył dłoń do piersi.

– Pani, przysięgam na honor cesarskiego wysłannika, że spowoduję, by przysłano ci na pomoc inkwizytorów. Napisz tylko list, żebym mógł się oficjalnie powołać na twoją wolę.

Ludmiła milczała przez chwilę.

– Taaak, to by im się spodobało – odezwała się wreszcie i pokiwała głową. – Pierwszy wyłom na Rusi. Pierwsza szpara, przez którą weszłyby inkwizytorskie ostrza, inkwizytorskie krzyże i inkwizytorskie płomienie. – Ludmiła uśmiechnęła się nieprzyjemnie, jednak zaraz potem machnęła ręką. – A wiecie, że ja nawet bym ich wpuściła – oznajmiła beztroskim tonem. – Tylko powiedzcie mi, moi drodzy goście, jak tych dziesięciu inkwizytorów przejechałoby przez Nowogród? Wielki książę Włodzimierz prędzej kazałby ich posiekać na kawałki, niż przepuścił do mnie… A to on jest oficjalnie moim suwerenem i jego dobre prawo decydować o tym, komu obcemu wolno wjechać do Peczory…

To była, niestety, prawda i Löwefell nie wyobrażał sobie, w jaki sposób oddział inkwizytorów mógłby przemierzyć Nowogród za zgodą wielkiego księcia. A jeszcze trudniej było wyobrazić sobie, jak mógłby to uczynić bez jego zgody. Oczywiście oznaczało to wielką stratę, bo rzeczywiście pierwszy oddział Inkwizytorium na Rusi mógł zainicjować nową epokę w dziejach Świętego Officjum, a kto wie, być może nawet w dziejach całego chrześcijaństwa. Jak do tej pory ruscy książęta skutecznie bronili się przed jakimkolwiek wpływem rzymskiego Kościoła i jeśli w wielu rzeczach się spierali, to w tej kwestii byli akurat wyjątkowo zgodni. Czy Ludmiła naprawdę była gotowa, by stać się pierwszą, która uczyni wyłom w tej antychrześcijańskiej solidarności? Kto wie? Tak czy inaczej, Löwefell wiedział, że nie sprawdzą tego w praktyce. Pozostawienie Mordimera, samotnego inkwizytora, jako najemnika było czymś zupełnie innym niż utworzenie oficjalnego oddziału Świętego Officjum. Owszem, pewnie wielu poddanym Ludmiły nieszczególnie się taki gość spodoba, ale uznają to za kaprys księżnej. Będą pewni, że Ludmiła wykorzystuje inkwizytora do swoich celów, a nie odwrotnie. A taki obrót sprawy będą w stanie jakoś znieść. Zwłaszcza że służba nie potrwa przecież długo.

– Gdybym została wielką księżną… – powiedziała Ludmiła, prostując się – gdybym została wielką księżną Nowogrodu, to zapewniam was, że życzliwie zastanowiłabym się nad otworzeniem Nowogrodu dla inkwizytorów…

Czy to tylko bajeczka, by ciężar dyskusji przenieść na inny temat niż pozostanie Mordimera Madderdina w Peczorze, zapytał sam siebie Löwefell, czy też ambicje księżnej naprawdę sięgają aż tak daleko? Tak czy inaczej, Ludmiła nie miała żadnych szans na wielkoksiążęcy tron. Musiałby się zdarzyć wyjątkowy cud, by takie szanse się otworzyły. Była kobietą, niepołączoną więzami krwi z wielkoksiążęcymi rodami, a w dodatku miała na sumieniu życie księcia krwi i swojego męża. Nie posiadała ani licznego, bitnego wojska, ani wielu poddanych, ani dochodów, których nie można by jej było bez trudu pozbawić. Krótko mówiąc, nie dysponowała żadnymi atutami. Ale Löwefell wiedział też, że

w historii ludzkiej cywilizacji nie takie cuda się zdarzały. Gdyby pewnego dnia Włodzimierz umarł, a Ludmiła akurat zupełnie przypadkiem znalazła się ze swoimi zbrojnymi pod Nowogrodem, to kto wie co by się wydarzyło dalej?

– Byłoby to z wielkim pożytkiem dla całej Rusi – rzekł z namaszczeniem Biber.

– Tak czy inaczej, potrzebny mi wasz inkwizytor. – Księżna uderzyła pięścią w rozwartą dłoń. – I dacie mi go po dobrej woli, jeśli jesteście mądrymi ludźmi. A chyba jesteście, skoro cesarz powierzył wam tak ważną misję na samym końcu świata. Nie zawiedźcie go, sprawiając, że misja ta się nie powiedzie – dodała.

A potem skinęła im dłonią, dając znać, że posłuchanie zostało zakończone.

Löwefell i Biber wracali do swoich komnat w milczeniu, bo i na razie nie było o czym gadać. Obaj rozumieli, że jak najszybciej trzeba powiadomić o wszystkim zarówno Nontle, jak i samego najbardziej zainteresowanego. Z tym że obaj również wiedzieli, że ta pierwsza może mieć wiele do powiedzenia i decydowania, a ten drugi będzie mógł oczywiście się wypowiedzieć, natomiast jedyne, co mu pozostanie, to posłusznie wykonać wydane rozkazy.

Weszli do kwatery Mauretanki, a ona po ich strapionych minach poznała, że oto potwierdza się teza, iż jeśli ma się zdarzyć coś złego, to właśnie się zdarzy. Wysłuchała wszystkiego spokojnie.

– Spodziewałam się kłopotów – powiedziała.

– Ciekaw jestem, czego tak naprawdę chce Ludmiła. – Biber potarł knykciami zarost. – Do czego jest jej potrzebny inkwizytor? Naprawdę tylko do obrony przed zamachem, czy też sądzi, że wykorzysta go do zabijania przeciwników?

– Być może przedstawiono jej w niewłaściwym świetle, co potrafią szeregowi inkwizytorzy. Może spodziewa się zbyt wiele

po Madderdinie – odparła Nontle.

– Jej pobudki są całkowicie nieistotne – rzekł Löwefell. – Tak samo jak jej plany czy zamierzenia, a z całą pewnością ma takowe, wobec naszego inkwizytora. Istotne jest jedynie, że nie przepuści nas przez swoje księstwo, jeśli go nie zostawimy w jej służbie.

Biber skinął głową.

– Nie wątpię w to, Arnoldzie. Również mam pewność, że księżna jest zdeterminowana, a jej żądania są poważne. I jeśli ich nie spełnimy, to spotkamy się z konsekwencjami jej niezadowolenia lub kto wie, może nawet rzeczywistego gniewu. Problem tylko, że niedobrze by było, gdyby się okazało, że inkwizytorzy zostawiają swoich jako element handlu z władcami…

– Ależ my nie jesteśmy inkwizytorami! – zawołała Nontle. – Jesteśmy cesarskimi dyplomatami i badaczami. Inkwizytor nie jest naszym zmartwieniem. Miał nas pilnować i czuwać nad nami, lecz jego misja się skończyła, więc na życzenie i prośbę księżnej możemy go zostawić. I przecież zostawiamy go w charakterze doradcy, w najgorszym razie najemnika, a uchowaj Boże, nie więźnia, jeńca lub zakładnika. Tak to będzie wyglądać na Rusi. – Wzruszyła ramionami. – A Wewnętrzny Krąg z całą pewnością zgodzi się, że ważniejsze było powodzenie misji niż dwa czy trzy lata życia szeregowego inkwizytora.

– To nie jest szeregowy inkwizytor – stanowczo sprzeciwił się Löwefell, którego zdziwiła beztroska Nontle. – To syn Katarzyny i nosiciel Księgi. Powinien znajdować się pod obserwacją i kontrolą, a nie przebywać w odległości kilku tysięcy mil od cywilizowanego świata. A co będzie, jeśli tu zginie?

– Zginąć równie dobrze może w Cesarstwie – powiedziała Mauretanka. – Sam wiesz, że jest otaczany pewnego rodzaju opieką, ale z uwagi na naszych wrogów opieka ta nie może być ani ciągła, ani ostentacyjna, żeby nie powzięli podejrzeń na temat znaczenia Mordimera dla Inkwizytorium.

– Dla Inkwizytorium jak dla Inkwizytorium – mruknął Biber. – Kto wie czy nie lepiej powiedzieć: dla całego chrześcijańskiego świata i wszystkich ludzi.

– Kto wie… – skinęła głową księżniczka.

– Zgodzę się jednak z Arnoldem, że tu, na Rusi, zdecydowanie łatwiej jest zginąć niż u nas. – Biber potarł brodę. Był wyraźnie zakłopotany. – Poza tym w Cesarstwie zawsze możemy jakoś mu pomóc, gdyby działo się coś dramatycznie niebezpiecznego, natomiast tutaj znajdzie się zupełnie sam…

– To dobry inkwizytor – rzekła serdecznym tonem Nontle. – A poza tym to młody, dzielny człowiek, obdarzony silną wolą, mocnym charakterem i całkiem sporą wiedzą oraz trzeźwością myślenia. Poradzi sobie…

– Albo sobie nie poradzi – rzekł zatroskany Löwefell. – Ciekawe, co na taki handel powie Marius, kiedy wrócimy do domu bez Madderdina?

– Od kiedy przejmujesz się tym, co ma do powiedzenia van Bohenwald? – zadrwiła Nontle.

– A co powie Katarzyna? – zapytał Löwefell. – Czy obejdzie ją, że przehandlowaliśmy jej syna i Szachor Sefer w zamian za własny bezpieczny powrót z esencją Roksany?

Nontle tym razem się nie odezwała. Biber po chwili wzruszył ramionami.

– Diabli wiedzą tę Katarzynę – stwierdził wreszcie. – Z nią nigdy nie wiadomo, co uczyni… A już co myśli, to w ogóle… – Machnął ręką.

– A kogo obchodzi Katarzyna? – odezwała się Mauretanka nieprzyjemnym tonem. – Nie mam pojęcia, dlaczego koblencka wiedźma ani szczególnie stara, ani szczególnie doświadczona zajmuje tak ważną pozycję w Inkwizytorium.

– Jest bardzo zdolna – zauważył Biber.

– I to, że jest zdolna, tłumaczy, iż paraduje po klasztorze z osobistą ochroną w postaci Anioła? – prychnęła Nontle. –

I jeszcze z tym potworem na dokładkę – prychnęła raz jeszcze.

– Z potworem? – zainteresował się Löwefell.

– Przecież byłeś u niej. – Księżniczka odwróciła się w stronę inkwizytora. – Nawet ja słyszałam o tym, że rozmawiałeś z matką bękarta. Nie widziałeś wtedy potwora?

– Nie widziałem nikogo poza Aniołem – odparł szczerze Löwefell. – Jednak rzeczywiście czułem obecność jeszcze kogoś. Kogoś silnego.

– Dziwne, że go nie widziałeś. – Nontle pokręciła głową. – Ale to jest właśnie potwór. Krokodyl chodzący na dwóch łapach…

– Demon? – ostrożnie spytał Löwefell.

– Nie demon. Anomalia. Bardzo interesująca. Chętnie bym ją zbadała, ale oczywiście mi nie pozwolą.

– Badane przez ciebie anomalie miały zbyt często pecha stawać się niedługo po badaniu martwymi anomaliami – złośliwie zauważył Biber. – Pewnie dlatego nikt cię nie dopuści do jaszczura.

Nontle nie obruszyła się nawet.

– Zapewne tak właśnie będzie – zgodziła się tylko. – Wracajmy jednak do rzeczy. Nie interesuje mnie, jak naszą decyzję osądzi klasztorna wiedźma. Byłam przeciwna obecności tego inkwizytora, jeśli pamiętacie. Więc jeśli Katarzyna się pogniewa, że zostawiliśmy jej syna na Rusi, to niech Marius kłopocze się jej udobruchaniem.

– Oboje byliśmy przeciwni – stwierdził Biber i popatrzył ciężkim, znaczącym wzrokiem na Löwefella.

Inkwizytor wzruszył ramionami.

– Zachowałem wtedy neutralność i nie sądzę, żebym zbłądził.

– A teraz również zachowasz neutralność? – spytała złośliwie.

– Teraz uważam, że należy spełnić żądania księżnej – rzekł Löwefell. – Nie podoba mi się takie ustępstwo, ale perspektywa

wojowania z żołnierzami Ludmiły nie podoba mi się jeszcze bardziej.

Biber skinął głową.

– Mam, niestety, bardzo podobne odczucia, Arnoldzie. Oczywiście jako cesarscy dyplomaci zażądalibyśmy umów oraz gwarancji bezpieczeństwa dla naszego towarzysza.

– Tak właśnie zrobimy – zgodziła się Nontle. – Zresztą nie sądzę, by księżna chciała mu wyrządzić jakąkolwiek krzywdę.

– Problem w tym – rzekł zasępiony Biber – że jeżeli Mordimer okaże się użyteczny, to księżna nie będzie chciała go wypuścić. Z odległości tych trzech tysięcy mil może czniać na wszystkie umowy z cesarzem lub jego poselstwem.

– Wyciągniemy go – zapewnił Löwefell. – Może nie od razu, ale wyciągniemy. Teraz musimy tylko myśleć o bezpiecznym powrocie, a wszystkimi innymi sprawami zajmiemy się w Cesarstwie.

– Niech i tak będzie – skinął głową Barnaba.

– Ty, Arnoldzie, obwieścisz naszemu miłemu chłopcu wesołą nowinę? – Nontle mrugnęła w jego stronę.

Löwefell skinął głową.

– Oczywiście – rzekł. – Może to być dla niego niespodziewana czy przykra decyzja, lecz jest inkwizytorem i doskonale rozumie, że dobro Sprawy wymaga poświęcenia. Gdyby chodziło o mnie, nie wahałbym się nawet chwili.

Biber poważnie pokiwał głową.

– Madderdin jest funkcjonariuszem Świętego Officjum. Nie spodziewam się więc po nim niczego innego jak zachowania godnego posłusznego inkwizytora.

Kiedy Mordimer Madderdin wszedł do komnaty i zobaczył, że wszyscy troje jego towarzysze siedzą, czekając na niego, pokręcił tylko głową.

– Założę się o mój żołd, że nie usłyszę za chwilę niczego dobrego.

– Siadaj – nakazał Löwefell. – Nalej sobie wina i posłuchaj uważnie, bo sprawy przybrały taki obrót, jakiego żadne z nas na pewno sobie nie życzyło…

– No, no, brzmi to co najmniej tak, jakby cztery osoby na tonącym statku miały do dyspozycji tylko trzy miejsca na szalupie ratunkowej – powiedział Madderdin, nie korzystając z propozycji.

– Siadaj, Mordimerze – powtórzył Löwefell, tym razem stanowczo. – Gratuluję przenikliwości. Zawsze wiedziałem, że jest jej w tobie więcej, niż na to wyglądasz.

– Uprzejmie dziękuję. – Inkwizytor usiadł. – Księżna chce mnie uwięzić? Zabić? Nagle przestało jej się podobać, że należę do Świętego Officjum?

– Niestety, no a może raczej: na szczęście, jest wręcz przeciwnie. Twoja obecność w Peczorze podoba się księżnej aż za bardzo.

– Pragnie mnie poślubić? Zostanę księciem Peczory? – zmrużył oczy Madderdin.

Löwefell mimo woli się uśmiechnął. O tak, to byłoby niewątpliwie rozwiązanie niczym z romansu. Olśniona przybyszem z oświeconego Zachodu dzika księżna Wschodu wpada mu w ramiona, uznając w ten metaforyczny sposób wyższość cesarskiej cywilizacji. A jej małżeńskie oraz erotyczne oddanie zostaje słusznie odczytane i zrozumiane jako równie metaforyczne zawłaszczenie Wschodu przez Zachód. No cóż, ale to nie był romans, lecz walka o przetrwanie. A że ktoś musiał się poświęcić, by przetrwać mógł ktoś inny, to już były całkiem zwyczajne dzieje…

– Znakomicie – odparł Mordimer, kiedy dokładnie wyłuszczono mu, z jakich powodów musi stać się obiektem handlu pomiędzy cesarską delegacją a peczorską księżną. – Jestem zachwycony, że zapewne co najmniej dwa lata spędzę na

wygnaniu w tym dzikim kraju. – Usiadł i pokręcił głową. – Nie do wiary – powiedział.

– Nie do wiary, że cię sprzedaliśmy? – spytała Nontle.

– Nie. – Madderdin lekceważąco machnął ręką. – Na waszym miejscu zrobiłbym przecież to samo. Nie do wiary, że mając na podorędziu was, wybiera mnie. Nie wie, co traci… – Uśmiechnął się uśmiechem, który Löwefellowi wydał się nieco złośliwy.

– Tak jak ci mówiłem na uczcie u wielkiego księcia: dobrodziejstwa maskarady – stwierdził Löwefell.

– Księżna obiecała nam, że zadba o ciebie. Dostaniesz królewski żołd – wtrącił Biber.

Madderdin wzruszył ramionami.

– Wcale bym się nie martwił, gdybyście zostawili mnie na dworze jakiejś włoskiej czy hiszpańskiej księżnej. Ale tutaj przez dziewięć miesięcy w roku panuje chłód, a przez pozostałe trzy miesiące ludzi tną na śmierć komary poruszające się w rojach wielkości burzowych chmur…

– Pomyśl o tym od innej strony. – Nontle usiadła naprzeciwko Mordimera. – Spędzisz dwa lata w miejscu, gdzie nigdy nie prowadził badań żaden inkwizytor. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie okropności ujrzysz na własne oczy, z jakimi przerażającymi tworami demonicznej magii przyjdzie ci się tu zmierzyć, na jakich natkniesz się ludzi o wypaczonych herezją i zdegenerowanych umysłach… – Pokręciła głową, na jej twarzy odmalowało się rozmarzenie, a oczy rozbłysły. – Przysięgam, że zostałabym z tobą, gdybym mogła. – Przyłożyła dłoń do serca.

Löwefell sądził, że powiedziała to najzupełniej szczerze. Nontle naprawdę była typem wędrowca i badacza, rzeczywiście zachwycała ją myśl o tych, jak powiedziała, „okropnościach”, które można będzie ujrzeć i przestudiować na najodleglejszym krańcu Rusi.

– Bardzo cię proszę, prowadź notatki – poprosiła zdumiewająco pokornym tonem. – Będę ci niezmiernie

wdzięczna. Jeśli zechcesz, odkupię je od ciebie za każdą sumę, jaką wymienisz.

Oczywiście, pomyślał rozbawiony Löwefell, łatwo składać takie obietnice, kiedy można dowolnie i bez tłumaczenia się przed kimkolwiek korzystać z przepastnego skarbca Inkwizytorium. Ale prośba Nontle miała też drugie dno. Miała przekonać Mordimera nie tylko, że wróci do Cesarstwa, ale że ma do kogo i po co wracać. W ciężkich chwilach, jakie niewątpliwie czekały go na Rusi, przypomnienie tej rozmowy mogło być dla młodego inkwizytora prawdziwym darem i zastrzykiem siły. Löwefell był ciekaw, czy Madderdin zdaje sobie sprawę z tej niewinnej i korzystnej dla niego manipulacji. Ale chyba nie, chyba nie zdawał sobie sprawy…

– Zrobię, jak sobie życzysz – odparł.

Nontle ujęła jego dłoń.

– Czy chciałbyś spędzić ze mną tę ostatnią noc?

Löwefellowi wydawało się, że policzki inkwizytora lekko poczerwieniały. Chyba nie spodziewał się, że takie pytanie zostanie zadane nie na osobności, ale w przytomności innych towarzyszy.

– Tylko głupiec mógłby odmówić – odparł i uśmiechając się, oddał jej uścisk ręki.

– Zanim zajmiecie się własnymi sprawami – powiedział z przekąsem Biber – wiedz, Mordimerze, że skoro wołch księżnej właśnie umiera, to zapewne twoją pierwszą misją tutaj stanie się znalezienie jego mordercy.

– Znakomicie – powtórzył Madderdin i wzruszył ramionami. – Ale skoro księżna nie pozwoliła wam go zobaczyć, to skąd wiadomo, że zabito go za pomocą czarnej magii, a nie chociażby otruto? Słyszałem, że na Rusi to szczególnie ulubiony sposób pozbywania się niewygodnych ludzi.

– Sądzę, że księżna wie, co mówi, twierdząc, że zaatakowano go za pomocą czarnej magii. Ale oczywiście sam zbadasz jego

ciało, kiedy już umrze. Odróżnisz chyba skutki czarnoksięskiego uderzenia od trucizny, prawda?

– Ach, prawda. Jeszcze jedno – przypomniała sobie Nontle, zanim Mordimer zdążył odpowiedzieć. – Zabito również dziewczynę, z którą miałeś spędzić noc. – Roześmiała się. – Przynajmniej zabójca oszczędził ci poddania się próbie, na którą tak niechętnie spoglądałeś…

Madderdin pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

– To nawet logiczne i racjonalne – rzekł – że ktoś oślepia wszystkie oczy księżnej.

– Też tak sądzimy. I Ludmiła uważa podobnie – zgodził się Biber. – Ale na dziewczynę wcale nie przeprowadzono osobnego zamachu.

– Jak to?

– Tu, na Rusi, doświadczeni wołchowie mają pomocnicę lub nawet kilka pomocnic takich jak ta zabita dziewczyna, które nie tylko służą im do ukazywania mistycznych wizji, lecz tworzą żywą magiczną tarczę chroniącą przed uderzeniami czarnej magii.

– A więc są prywatnymi strażnikami, broniącymi kapłana własnym ciałem i życiem – powiedział Mordimer. – Czy one chociaż o tym wiedzą?

– W stanie umysłu, w jakim się znajdują, zwłaszcza po dłuższym czasie służby, nie sądzę, by sprawiało im to szczególną różnicę – odparł Biber.

– Myślę, że nie do końca mogą zdawać sobie sprawę, w którym uniwersum tak naprawdę żyją – wtrąciła Nontle. – Nie wiedzą, co jest mistyczną wizją, co wynaturzonym zwidem, a co najprawdziwszą rzeczywistością…

– Tak jakbyśmy my to wszystko wiedzieli – mruknął Löwefell i zauważył, że Biber obrzucił go wtedy uważnym spojrzeniem.

– Mordimerze – Nontle nachyliła się blisko do inkwizytora – Ruś może wydawać ci się dzika i prymitywna. Bo to święta

prawda, że jest dzika i prymitywna – stwierdziła z naciskiem. – Ale w jej niezmierzonych i niezbadanych puszczach kryją się stwory i istoty, jakich od dawien dawna nie ma już w Cesarstwie. Tu obdarci eremici żywiący się surowym mięsem i bełkoczący coś w mowie, której nikt nie potrafi zrozumieć, mogą jednocześnie uprawiać potężną magię, wypływającą nie z wyuczonej czy wyczytanej wiedzy, ale z dziwnej, instynktownej synchronizacji z siłami natury…

– Rozumiem. Mam uważać i nie osądzać po pozorach – rzekł Madderdin.

– Właśnie tak – zgodził się Biber. – I pamiętaj również, że częstą cechą wiedźm, czarowników czy wołchów jest tutaj obłąkanie. Ich umysły bywają całkowicie zdegenerowane, wypaczone, dotknięte i naznaczone stygmatem czystego chaosu.

– Coraz bardziej podoba mi się ten kraj – powiedział Mordimer. – Może po prostu zostanę tu na zawsze?

– Obyś nie powiedział w złą godzinę – odparła poważnie Nontle. – Bo cudzoziemcowi najłatwiej tutaj zostać, kiedy pochowają go pół metra pod kamieniami. Chociaż… – Wzruszyła ramionami. – Z wieloma ludźmi nawet nie sprawiają sobie tyle zachodu. Wrzucają zwłoki do bagna i tyle.

Jej słowa zabrzmiały dziwnie złowrogo. Löwefell wyraźnie widział, że Madderdin już zbierał się do gwałtownego responsu, ale w końcu najwyraźniej zrezygnował.

– Będę uważał – obiecał tylko.

Na twarzy Nontle nagle zagościł uśmiech i twarz ta niespodziewanie ze złowrogiej i ponurej zmieniła się w rozbawioną.

– Dobry z ciebie chłopiec – powiedziała.

Rozległo się pukanie do drzwi i Biber rozkazał, by wchodzić. Löwefell już wcześniej po krokach poznał, że korytarzem zbliża się dowódca straży Zygfryd, i rzeczywiście był to on.

– Dostojni panowie! – Skinął im głową. – Pozwolicie, że zajmę wam niedługą chwilę?

Biber bez słowa wskazał mu ręką krzesło.

Oficer usiadł i zapatrzył się w ścianę, a potem pokiwał głową, jakby do własnych myśli. Wreszcie obrócił wzrok na Barnabę.

– Powiedziano mi, że Mordimer Madderdin zostaje w Peczorze.

– To nie tajemnica – odparł Löwefell. – Tak brzmi prośba księżnej Ludmiły, do której to prośby zdecydowaliśmy się przychylić.

– O co tu chodzi? – spytał prosto z mostu Zygfryd. – Księżna chce go zabić?

– Zabić? – skrzywił się Biber. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tylko pytam.

– W tej sprawie nie ma żadnej intrygi – odezwał się Löwefell. – Żadnych sekretów i żadnego podwójnego dna. Księżna chce mieć inkwizytora, bo niestety, uznała, że jest w stanie z pożytkiem wykorzystać jego moc w różnych sprawach swojego księstwa. Nie jesteśmy tym zachwyceni, lecz nie mamy możliwości, by się sprzeciwiać więcej, niż się sprzeciwialiśmy.

– Madderdin ma zakontraktowany wysoki żołd i dostał gwarancje bezpieczeństwa – dodał Biber.

– Kiedy odjedziemy, to żadne umowy nie będą się już liczyć – zauważył Zygfryd.

– Ludmiła ma interes, żeby go strzyc, nie żeby go zarzynać – odparł Biber. – Dlatego nie spodziewam się, by groziło mu niebezpieczeństwo… – Zmrużył oczy. – A mogę zapytać, kapitanie, skąd płynie owo niezwykłe zainteresowanie naszym inkwizytorem? – dokończył ironicznym tonem.

– Widzicie, dostojni panowie, zastanawiam się, czy, za waszą zgodą oczywiście, nie byłoby dobrze, abym i ja został w Peczorze.

– Coś takiego! – Biber był wyraźnie zdumiony.

Löwefell nie okazał zdziwienia w tak widoczny sposób, lecz zamierzenia oficera również go zaskoczyły.

– Jakie powody skłaniają cię, by zadać podobne pytanie?

– Po pierwsze – Zygfryd wystawił kciuk – nie będę wam w niczym potrzebny, bo podróż powrotna zapowiada się bezpiecznie…

Z tym Löwefell nawet się zgadzał.

– Po drugie – oficer odchylił palec wskazujący – nie mam w Cesarstwie nikogo. Żadnej rodziny. Nikogo nie obchodzi, czy wrócę do Engelstadt, czy nie…

No cóż, jest to również jakiś powód, pomyślał Löwefell.

– Po trzecie – Zygfryd wysunął środkowy palec – widziałem, że ściany w komnatach księżnej obite są złotymi blachami, a sobolowe futra leżą w tak wielkich stosach, że ciężko by nawet na nie wleźć. Jeśli księżna hojnie mi zapłaci, nie będę musiał pracować do końca życia. W Cesarstwie nigdy tyle nie zarobię…

Löwefell i z teorii, i z praktyki wiedział, że jeżeli spokojne życie porównać do wozu zanurzonego po osie w błocie, to pragnienie zysku jest niczym para wołów roboczych, która potrafi wyciągnąć i wyszarpać ten wóz na bity trakt i rozpędzić do niezłej szybkości.

– Kupię dom, będę żył z wynajmu albo coś takiego… – wzruszył ramionami Zygfryd.

– Cóż. – Biber spojrzał na Löwefella. – Co sądzisz o tej propozycji, Arnoldzie?

– Przychylam się do prośby Zygfryda – powiedział zdecydowanie Löwefell. – Wręcz uważam, że to świetny pomysł, by zwiększyć szanse na przeżycie naszego towarzysza.

– A więc postanowione – rzekł Barnaba. – Oczywiście pod warunkiem, że księżna wyrazi zgodę. Ale niby dlaczego miałaby nie chcieć doświadczonego i wykwalifikowanego oficera. – Odwrócił się w stronę Zygfryda i popatrzył na niego uważnie. – Tylko mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż księżna będzie

chciała dużo dostać w zamian za swoje pieniądze? Peczora to nie spokojne Cesarstwo, gdzie można siedzieć na murze, pić wino i patrzeć na przechodzące dziewczęta. – Zamyślił się na chwilę. – Ta kobieta ma dzikość w sercu…

Zygfryd pokiwał ponuro głową.

– Tak i ja to widzę – zgodził się. – Ale taki już los najemnika, że ryzykuje życie za pieniądze. Wolę za duże pieniądze ryzykować życie tutaj, niż za niewielkie pieniądze nudzić się w Cesarstwie.

– Dobrze. A więc załatwione – zadecydował Biber.

Klasztor. Powrót

Wracali w uszczuplonej kompanii, ponieważ Mordimer i Zygfryd nie byli jedynymi, których zabrakło. Jeszcze w Narwie Nontle zdecydowała, iż musi załatwić pewne ważne sprawy związane z rządami nad tym ostatnim wschodnim bastionem Cesarstwa. Gubernator był zachwycony, iż piękna Mauretanka pozostanie przez pewien czas w jego gościnie, a Biber przyjął jej decyzję raczej obojętnie.

– Wszystkie gromy za pozostawienie Szachor Sefer na Rusi spadną na nas, a ona wróci sobie jakby nigdy nic, gdy burza już zelżeje – wyjaśnił Löwefellowi, kiedy zostali sami.

Löwefell skinął posłusznie głową, chociaż sądził raczej, że chęć niewpadnięcia w oko cyklonu jest zaledwie jednym z powodów, dla których Nontle opuszcza ich kompanię. Ale cóż, każdy z inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu miał duży zakres samodzielności i często podejmowali decyzje na własną odpowiedzialność. Teraz, w chwili kiedy właściwa misja zakończyła się sukcesem, nie było żadnych powodów, by Mauretanka miała towarzyszyć im do klasztoru, jeśli tylko uznała, że przeszkadzałoby to w realizacji jej innych planów.

– Ale zaręczam, że szybko mnie zobaczycie z powrotem –

śmiała się, odprowadzając ich do portu wraz z gubernatorską świtą.

W klasztorze oczywiście wiedziano na wiele dni wcześniej, że Löwefell i jego towarzysze wracają z Rusi. Członkowie Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium posługiwali się w korespondencji, kiedy było to konieczne, dość złożonym szyfrem, lecz w przypadku podróży na Ruś nie wysłano do klasztoru żadnych informacji poza zdawkowym zapewnieniem, iż misja zakończyła się powodzeniem.

Van Bohenwald sprawiał wrażenie jeszcze grubszego, niż Löwefell zapamiętał to sprzed kilku miesięcy, co mogło wydawać się w zasadzie niemożliwe, bo już wcześniej zdawał się zaprzeczać prawom natury, kiedy szedł, kolebiąc się niczym gigantyczna beczka wyładowana sadłem, do której przyczepiono kończyny i wielką okrągłą głowę. Marius wyglądał tak pociesznie i tak dziwacznie, że z całą pewnością nikt nie domyśliłby się, iż jest jednym z najniebezpieczniejszych ludzi w Cesarstwie. A zapewne nie tylko w Cesarstwie, lecz także daleko poza jego granicami. I nie tylko niebezpiecznym, lecz również bardzo wpływowym. I nie tylko niebezpiecznym i wpływowym, lecz także znakomicie wyedukowanym i dopuszczonym do największych sekretów Inkwizytorium. Löwefell wolał myśleć o ludziach w kategorii użyteczności dla Sprawy, a nie oceniać ich pod wpływem emocji oraz własnych odczuć, ale od samego początku nie lubił towarzystwa van Bohenwalda. Teraz, kiedy zobaczył go po tych kilku miesiącach spędzonych z dala od klasztoru, zdał sobie sprawę z tego faktu jeszcze wyraźniej niż kiedyś. Oczywiście wiedział, że Marius teatralnie odgrywa pewną rolę (z jakiego powodu owa rola była odgrywana, tego Löwefell już nie wiedział), że celowo zachowuje się prowokacyjnie, niegrzecznie lub arogancko, że świadomie wypowiada złośliwości, czasem bardziej zawoalowane, a czasem aż straszące prymitywną topornością.

– Mój drogi Arnoldzie – zawołał, rozpościerając ramiona już na

kilka kroków przed Löwefellem – jakże się cieszę, widząc cię nie tylko w zdrowiu, ale również w świetnej kondycji.

Wydawało się, że van Bohenwald już, już zagarnie Löwefella w ramiona i zmiażdży go w uścisku, ale nagle zatrzymał się dosłownie kilka cali od niego i poklepał go upierścienioną dłonią po policzku. Z poufałą i jednocześnie lekceważącą serdecznością, tak jakby spotkał po tygodniach rozstania ulubionego sługę lub ulubionego psa. Löwefell w żaden sposób nie zareagował na tę szyderczą poufałość, nie skrzywił również nawet nosa, kiedy owionął go smród przetrawionego piwa i czosnku, połączony z odorem spoconego ciała. Löwefell znał gorsze zapachy i chociaż ten, który obecnie czuł, nie podobał mu się, to nie widział powodu, by w jakikolwiek sposób dawać to po sobie poznać.

– Również się cieszę, że zastaję cię w dobrym zdrowiu – odparł uprzejmym tonem.

– Szkoda, że nie możemy powiedzieć tego samego o synu Katarzyny, prawda? – Van Bohenwald wbił przenikliwy wzrok w Löwefella. Przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, a potem pokręcił głową. – Jak mogliście uczynić coś takiego? – W jego głosie, o dziwo, zabrzmiała nie złośliwość, nie teatralny smutek, ale prawdziwy wyrzut.

Oczywiście najprawdopodobniej i to było zaledwie grą. Chociaż Löwefell sądził, że van Bohenwald mógł być naprawdę i szczerze niezadowolony, iż sprawy ułożyły się tak, jak się ułożyły.

– Narozrabialiście, Arnoldzie – stwierdził Marius i westchnął. – Tęgo narozrabialiście…

– Sądzę, że nasz raport wyjaśni wszystko w sposób najkompletniej wyczerpujący – odparł Löwefell.

– Najkompletniej wyczerpujący – powtórzył z ironią van Bohenwald. – Cóż za obrazowe słownictwo, mój perski przyjacielu. A nie sądzisz, że już to użyte przez ciebie sformułowanie skrywa fakt, iż czujesz, że sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny się potoczyć?

– Mariusie, oczywiście, że sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny – zgodził się z nim Löwefell bez wątpliwości i bez wahania. – Jednak bronić będę zdania, że potoczyć mogły się co prawda inaczej, ale owo „inaczej” oznaczałoby w rezultacie: gorzej.

Van Bohenwald odwrócił się, jak to on, zadziwiająco zręcznie i szybko, o co nikt by go nie podejrzewał przy tej niezgrabnej posturze, i skinął dłonią na Löwefella, by szedł za nim.

– Zapewne masz rację – zgodził się ku jednak pewnemu zaskoczeniu swego towarzysza, który spodziewał się, że van Bohenwald będzie nieco dłużej dręczył go wyrzutami. – Nie jestem durniem, Arnoldzie, i wiem, że nawet dwóm wybitnym inkwizytorom, członkom Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, nie przyszłoby łatwo poradzić sobie z gniewem ruskiej księżnej i kto wie, w złych okolicznościach może wszyscy skończylibyście utopieni na jakimś bagnisku…

– Dwóm – powtórzył Löwefell. – Dlaczego powiedziałeś „dwóm”, Mariusie? Dlaczego nie użyłeś słowa „trojgu”?

Van Bohenwald zatrzymał się tak raptownie, iż Löwefell w ostatniej chwili musiał postąpić krok na bok, by nie wpaść mu na plecy. Gruby inkwizytor odwrócił się w jego stronę.

– Bo Nontle was zdradziła, mój drogi towarzyszu – rzekł, przypatrując mu się ze złośliwą satysfakcją. – I zaraz sobie o tym wszystkim dokładnie porozmawiamy. Ja, ty oraz twój podobnie jak ty ogłupiony towarzysz wyprawy.

– Nontle nas zdradziła? – Löwefell rzadko nie wiedział, co powiedzieć, lecz tym razem był naprawdę zbity z tropu.

W myślach błyskawicznie przypominał sobie i analizował przeszłe zdarzenia, by wykryć, kiedy zdarzył się moment, w którym powinien był nabrać czujności, podejrzeń… Van Bohenwald znowu westchnął.

– Ona sama zapewne nie zgodziłaby się z podobnym oskarżeniem i podobnym postawieniem sprawy – stwierdził. – Niemniej podjęła samowolną decyzję. Uznała, że wolno jej iść

własną drogą, nie informując nikogo, jak ta droga wygląda i dokąd prowadzi. – Wyłupiaste oczy van Bohenwalda wpatrywały się w Löwefella w taki sposób, iż ten czuł, jakby ich spojrzenie przewiercało go na wylot. – Czyż nie brzmi to znajomo, Arnoldzie?

Löwefell postanowił zrozumieć te słowa jako nawiązanie do faktu, iż zataił przed Mariusem swoją wizję w Studni Dusz.

– Miałem powody, by nie ujawniać tego, co ujrzałem w Studni Dusz – rzekł. – Póki nie upewnię się o prawdziwości dostrzeżonego obrazu.

– Studnia Dusz? Ach tak, Studnia Dusz… – Marius prychnął i machnął ręką.

I znowu Löwefell nie wiedział, czy van Bohenwald naprawdę wie coś konkretnego o tajemnicach, których Löwefell nie ujawnia, czy jedynie strzela w ciemno, pamiętając, że takie sekrety, owszem, najpewniej istnieją, ale nie zdając sobie sprawy z ich treści oraz znaczenia.

Van Bohenwald obrzucił Löwefella krytycznym wzrokiem.

– Wybladłeś, wymizerniałeś, wychudłeś. Nie posłużyła ci Ruś, Arnoldzie. Jednak to nie to, co ciepła Persja, prawda?

– Turnie Elbursu są dużo wyższe niż alpejskie, a zbocza gór są pokryte śniegiem – powiedział Löwefell, a przed oczami znowu stanął mu masywny i majestatyczny szczyt Demawendu, w którego trzewiach demon Aži Dahaka został uwięziony przez walecznego Feriduna. – Gdy aniołowie obudzą Garszaspa, wtedy nastanie kres czasu – dodał nagle, zamyślony i może nie wbrew sobie, ale nie kontrolując przez moment wypowiadanych słów.

Van Bohenwald spojrzał na niego i skinął głową.

– Wielu ludzi nas całym świecie wierzy w ostatnią wojnę, po której dobro zatriumfuje raz na zawsze. Nie sądzę jednak, by rozwiązanie naszych kłopotów było tak trywialne, jak głoszą legendy – rzekł już bez złośliwości. – Chodź ze mną, Arnoldzie – dodał. – Prosto z podróży i bez odpoczynku trafisz na naradę, ale

jak się domyślasz, wasze postępowanie na Rusi nie zasługuje, by wam teraz folgować wygodami.

Dla Barnaby Bibera opowieść van Bohenwalda była dużo większą i dużo przykrzejszą niespodzianką niż dla Löwefella.

– Nie wierzę – powtórzył po raz drugi.

Zresztą nie dlatego, iż naprawdę nie uwierzył słowom Mariusa, lecz dlatego, że chciał w ten sposób dać świadectwo swojego rozczarowania i zdumienia. A może i świadectwo prawomyślności, przeszło przez myśl Löwefellowi, aby nikt nie pomyślał, że mógł spiskować razem z Nontle.

Marius popatrzył na niego z wyraźnym niesmakiem i wzruszył ramionami.

– To, że Nontle potrafi owinąć sobie wokół palca każdego mężczyznę, wiemy nie od dziś. Ale że ogłupiła i otumaniła was? Inkwizytorów? Niepojęte…

– Niepojęta jest jej zdrada, a nie nasze zaufanie – warknął wyraźnie rozdrażniony Biber.

Van Bohenwald prychnął tylko pogardliwie, nie siląc się nawet na skomentowanie jego słów.

– Skoro już wszystko wiesz lepiej od nas, Mariusie – odezwał się zgryźliwie Biber – to może wyjawisz nam, co zamierza uczynić Nontle. Wrócić do Peczory? Porwać Madderdina z rąk ruskiej księżnej?

– Porwać? – Marius strzepnął palcami, a na jego twarzy odmalowało się obrzydzenie wręcz takie, jakby słowo „porwać” śmierdziało niczym padlina. – Po cóż miałaby go porywać?

– Aby poddać go eksperymentom, tak jak mówiłeś? – Biber był coraz bardziej zły i nie starał się nawet tego ukryć.

Van Bohenwald utopił w nim ciężkie spojrzenie.

– Nontle jest sama. W obcym kraju. Nawet z jej siłą, umiejętnościami i przebiegłością nie uzna za stosowne

posługiwać się przemocą – wyjaśnił powoli i z politowaniem w głosie. – Zresztą powinieneś wiedzieć, że nasza księżniczka nie ma co prawda żadnych moralnych oporów przed zabijaniem czy to potworów, czy ludzi, ale uważa, przynajmniej w przypadku ludzi, iż lepiej, aby jej służyli, niż żeby leżeli u jej stóp martwi i w związku z tym kompletnie i definitywnie bezużyteczni…

– Czemu zresztą trudno nie przyznać słuszności – wtrącił Löwefell.

Marius obrócił tym razem spojrzenie w jego stronę.

– Bawi cię, Arnoldzie, że straciliście bękarta Katarzyny, a szalona wiedźma będzie na nim prowadzić badania?

– Nie, Mariusie, zupełnie mnie to nie bawi, natomiast podobnie jak Barnaba czekam, abyś nam łaskawie wyjaśnił, co owa szalona wiedźma, jak raczyłeś ją nazwać, a co zapewne by jej nie zachwyciło, gdyby słyszała twoje słowa, uczyni dalej.

– Pojawi się w Peczorze, oczywiście. – Marius rozłożył ręce gestem bezradności, jakby nie mógł pojąć, co robi w towarzystwie ludzi tak ograniczonych. – I przywiezie w darze coś, na czym zależy Ludmile i czym zaskarbi sobie jej wdzięczność. Co to może być? – zapytał już bardzo rzeczowym tonem.

– Uroda – odpowiedział natychmiast Löwefell i pokręcił głową. – Na miecz Pana, ona obieca księżnej piękną twarz…

Przypomniał sobie bardzo dokładnie i ze wszystkimi detalami scenę, w której Nontle stała pochylona przed Ludmiłą, a księżna z podziwem i zazdrością wodziła palcami po gładkiej skórze jej policzków.

– To takie banalne? – skrzywił się van Bohenwald. Potem wzruszył ramionami i spojrzał na Bibera. – A więc masz swoją odpowiedź, Barnabo. W ten sposób Nontle zyska przychylność księżnej. I władczyni zezwoli jej na pobyt w Peczorze. A Madderdin również będzie obecnością naszej księżniczki zachwycony. Uradowany, że ten piękny ptaszek znowu trzepoce w jego objęciach… Tymczasem Nontle cicho i spokojnie będzie go

badała, a kiedy uzna moment za odpowiedni, wtedy… – Zacisnął dłoń w pięść tak mocno i gwałtownie, aż chrupnęły mu kostki.

– Mordimer nie jest idiotą – zauważył Löwefell po chwili.

– Nie jest kompletnym idiotą, to prawda – zgodził się van Bohenwald. – Ale przy naszej księżniczce ma tyle samo szans, co pęto krwawej kiszki przy mnie i przy moim apetycie. – Uniósł tłusty palec. – Co mi właśnie przypomina, że jestem diablo głodny – dodał. – I zamiast marnować czas z wami, muszę coś przekąsić.

– Mariusie, jeszcze chwila, jeśli łaska – zawołał szybko Biber. – Czy Nontle, nie stosując magii, którą by przecież rozpoznano, a przez to samą Nontle zdemaskowano, będzie w stanie pomóc księżnej tak, jak księżna tego oczekuje?

Van Bohenwald po raz kolejny obrzucił Bibera lekceważącym spojrzeniem.

– Chyba widziałeś, jak wielki kufer Nontle wiozła na Ruś, prawda? I jak mniemam, korzystałeś z różnych pomocnych dekoktów przygotowanych przez waszą towarzyszkę?

Barnaba skinął głową z niezadowoloną miną.

– Hildegarda Reizend jest nie tylko badaczką i podróżniczką. Na nasze nieszczęście, jest również wytrawnym alchemikiem. Potrafi przyrządzać maści, mikstury, kremy i olejki o niezwykłych właściwościach. Bardziej niezwykłych, niż zaprezentowała to wam na Rusi, gdzie jej głównym dziełem było uwolnienie was od plagi komarów…

– Znaleźliby się tacy, którzy powstrzymania komarów nie zawahaliby się nazwać wielką magią – wtrącił Löwefell.

– W żartobliwym nastroju jesteś dzisiaj, Arnoldzie – odwrócił się do niego Marius. – A zupełnie niesłusznie…

– Nawet nie myślałem, by żartować.

Van Bohenwald przyglądał mu się przez chwilę z ostentacyjną podejrzliwością, wreszcie wzruszył ramionami.

– Niech i tak będzie – rzekł. – A wracając do sprawy, to

oczywiste, że bez użycia silnej magii, którą jak mniemam, byłby w stanie zastosować nasz perski przyjaciel, Ludmiła nie stanie się raz na zawsze piękna. Ale korzystanie z odpowiednich maści i kremów na pewno pomoże jej w czasowym stworzeniu ułudy urody. A jestem pewien, że to i tak spowoduje, iż będzie zachwycona.

Biber pokręcił głową z niezadowoleniem.

– I cóż mamy teraz zrobić? – zapytał.

Van Bohenwald zignorował jego pytanie.

– A jeśli rozmawiamy o pięknie, powiedz nam, Arnoldzie: jak się czuje twoja śliczna przyjaciółka Irmina? Ta, która każe teraz nazywać się Enyą i która była służącą matki Mordimera…

– Jest szkolona – odparł krótko Löwefell.

Tym razem Marius obrócił się do Bibera.

– Z brzydkiej i chorej dziewczyny stworzył zdrową i pewną siebie piękność. – Marius uniósł palec. – Taki to talent z naszego Arnolda. Ile czasu zajął ci ów magiczny zabieg? Godzinę?

– Irmina nie była brzydka – odparł Löwefell. – I ufam, że sam doskonale o tym wiesz. Była tylko i aż zmaltretowana inkwizytorskimi przesłuchaniami. Pomogłem jej odzyskać zdrowie i urodę, które miała już dawniej. To nie było nic szczególnie trudnego ani skomplikowanego.

– Wyobraź sobie, że nasz Arnold zacząłby pomagać w ten sposób damom, które zostały zmaltretowane nie przez inkwizytorów, lecz przez zwykły upływ czasu – van Bohenwald tonem towarzyskiej pogawędki zwrócił się do Bibera. – Czyż nie miałby za klientki królowych, księżnych i księżniczek? Czyż nie błagałyby go, żeby znalazł chwilę, aby im pomóc? Przywrócił młodość i urodę?

– Ludzie pragną żyć ułudami – zgodził się z nim Biber. – Szczególnie umysł kobiet jest do tego wręcz stworzony, a przez to tak bardzo podatny na wszelkie manipulacje, jakich pragnie się na nim dokonać.

Löwefell chciał coś dodać, lecz Biber podniósł dłoń na znak, że jeszcze nie skończył.

– Ale darujmy sobie, proszę, Mariusie, opowieści o urodzie oraz o sposobach jej zachowania. – Ton Bibera nawet nie był gniewny czy rozdrażniony, ale zmęczony. – Chciałbym wiedzieć, co powinniśmy uczynić w tej niefortunnej sytuacji, skoro już wyniknęła.

– Taaak, cóż uczynić powinniśmy… Zaraz się dowiecie… Oho, słyszę kroki.

I rzeczywiście, zaraz drzwi komnaty skrzypnęły, a w progu pojawiła się postać korpulentnego inkwizytora o pucułowatych policzkach. Inkwizytor miał krótkie włosy równiutko obcięte nad brwiami i czarny, przypominający sznureczek wąsik pod perkatym nosem. Wyglądał całkiem pociesznie, a Löwefell przypomniał sobie, iż nazywa się Dietrich Knabe. Lecz kto nie dał się zwieść pozorom poczciwego wyglądu, ten mógł wyraźnie poczuć groźną aurę, jaka otaczała przybysza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział uroczystym tonem Knabe i pochylił uprzejmie głowę. – Miło widzieć i wiedzieć, że wróciliście z tej dzikiej krainy nie dość, że w zdrowiu, to jeszcze z powodzeniem przeprowadzając tak skomplikowaną i tak cenną dla Inkwizytorium operację.

Löwefell nie wiedzieć czemu miał wrażenie, że Knabe zaraz wybuchnie śmiechem i poklepie się po udach, ukontentowany, jakiż to znakomity opowiedział dowcip. A przecież jego twarz była poważna, a w słowach nie słychać było nawet krzty lekceważenia, złośliwości czy fałszu. Zresztą misja, z którą ich posłano na Ruś, naprawdę zakończyła się powodzeniem. Wielkim, ogromnym, olśniewającym powodzeniem. Zlikwidowano wampira, odzyskano esencję Roksany i nie stracono przy tym żadnego inkwizytora. No tak, pomyślał z goryczą Löwefell, ten ostatni argument jest jednak dyskusyjny…

– A tak, miło, że przypomniałeś o tym. – Van Bohenwald skinął głową. – I tak dobrze, że nie oddaliście esencji Roksany w ręce Nontle. – Bo nie oddaliście, prawda? – Wbił zimne spojrzenie

w Bibera.

Siwy inkwizytor nachylił się w jego stronę, podparty na pięściach o blat stołu.

– Miałem ją cały czas przy sobie. Nie rozstawałem się z nią ani w dzień, ani w nocy. To było moje zadanie i nie powierzyłbym go nikomu innemu.

Van Bohenwald wzruszył ramionami.

– Przynajmniej tyle z ciebie było pożytku – powiedział.

Biber wstał. Miał zaciętą, gniewną twarz.

– Mariusie van Bohenwald, odbyłem piekielną podróż na Ruś i wspólnie z towarzyszami pokonałem diabli pomiot obdarowany przez demony nieśmiertelnością. Odzyskaliśmy skarb o nieoszacowanej wartości. Żądam w zamian chociaż odrobiny szacunku, jeśli nie uznania.

No proszę, a więc van Bohenwaldowi udało się wreszcie kogoś sprowokować. Ciekawe, czy jest zadowolony? Co chce osiągnąć w ten sposób? A Biber czuje się oczywiście winny. Jego reakcja wyraźnie to potwierdza. A przecież niesłusznie, gdyż mieliśmy całkowitą rację, pozostawiając Mordimera w Peczorze, i również całkowitą rację, nie podejrzewając Nontle, że nas oszukuje. Zresztą, tak jak mówił Marius, zdrada to co prawda pojemne pudełeczko, lecz nie jest pewne, czy wolno do niego włożyć postępowanie Mauretanki.

– Ordery są rozdawane tylko na dworze cesarskim – odparł szyderczo van Bohenwald. – My w Inkwizytorium ich nie dajemy. Ale gdybyśmy dawali, na pewno dostałbyś co najmniej jeden, bardzo błyszczący.

Löwefell uznał, że czas się wtrącić, by sprawy nie zaszły dalej, niż ktokolwiek sobie tego życzył.

– Wybaczcie, że spytam – odezwał się – ale widząc nową twarz w naszym gronie – tu spojrzał w stronę Knabego – gronie rozprawiającym o ruskich sprawach, chciałbym się dowiedzieć, jakim talentom zawdzięczamy obecność Dietricha i czego

możemy się spodziewać po jego pomocy…

Przez chwilę panowała cisza, a van Bohenwald i Biber mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Biber opadł na fotel i odwrócił głowę, a van Bohenwald skierował spojrzenie na Löwefella.

– Słuszne pytanie, Arnoldzie. – Energicznie machnął palcem w powietrzu. – Na które zaraz otrzymasz odpowiedź. Oto zaprosiłem naszego kolegę i towarzysza Dietricha Knabego, by łaskawie wysłuchał historii naszych kłopotów i by poznał sprawę tak dokładnie i tak dokumentnie, jak my sami ją znamy. A czemu? – Van Bohenwald uśmiechnął się szeroko. – Gdyż mistrz Knabe jest kimś, kogo jeszcze nigdy nie poznałeś, Arnoldzie, i zresztą lepiej, żebyś nigdy nie miał okazji poznać go od zawodowej strony. Dietrich bowiem jest łowcą inkwizytorów…

Knabe zaśmiał się bez przymusu.

– A mówiąc bez dramatyzowania, to spieszę wyjaśnić, że po prostu szukam zbłąkanych owieczek i zaganiam je z powrotem do obórki – powiedział lekkim, uprzejmym tonem. – Oczywiście, ponieważ takie misje zdarzają się, na szczęście i ku mojemu ukontentowaniu, nader rzadko, zajmuję się poza tym wieloma innymi sprawami.

– Czy to oznacza, że udasz się do Peczory? – odezwał się tym razem Biber.

– To oznacza, iż podobne rozwiązanie jest rozważane – odpowiedział van Bohenwald w zastępstwie Dietricha. – Chociaż z wielu powodów rozważane z dużą niechęcią.

– Zresztą co mógłby zrobić Dietrich na Rusi? – zapytał Biber. – Przecież nie porwie Nontle z powrotem do Cesarstwa. A na jej zlikwidowanie z całą stanowczością się nie zgadzam.

– O tym nawet mowy nie ma – parsknął Marius. – Nigdy nie odmówię Hildegardzie Reizend wielkich i cennych zasług dla Świętego Officjum. Niektórzy z was zasługi te znają, inni może wiedzą nie o wszystkich jej osiągnięciach i dokonaniach, ale zapewniam was, iż są one niepodważalne oraz ogromne…

Löwefell zauważył, że Biber tym razem pokiwał zgodnie głową.

– …nie śmiałbym twierdzić, że Nontle zdradziła naszą Sprawę świadomie, nigdy nie ośmieliłbym się podejrzewać, że przeszła na stronę wrogów…

Dietrich Knabe przyglądał się nieporuszony własnym dłoniom leżącym na blacie stołu i nic nie powiedział ani nie dał w żaden sposób znać po sobie, czy zgadza się z podobną tezą, czy też nie, chociaż szczerze mówiąc, Löwefell spodziewał się po nim jakiegoś sygnału.

– Jednak Hildegarda Reizend spędziła większą część życia poza klasztorem, a nawet poza Cesarstwem – mówił dalej van Bohenwald. – W stopniu nieporównywalnym do kogokolwiek z nas poznała obce krainy, a co za tym idzie obce idee, obcych ludzi i obce kulty…

– Kiedy spoglądamy w oczy potworów, musimy pamiętać, że oczy potworów spoglądają wtedy również na nas samych – oznajmił z namaszczeniem Barnaba Biber.

Van Bohenwald westchnął.

– Właśnie to oklepane powiedzenie, którego nie omieszkałeś z taką powagą zacytować, rzeczywiście znakomicie pasuje w zaistniałej sytuacji – zgodził się. – Zwłaszcza że nasza droga Nontle potwory również badała, i to najczęściej ze skutkiem dla owych potworów dość nieprzyjemnym i powiedziałbym… – zawiesił na chwilę głos – nieodwołalnym oraz ostatecznym.

– Czy to źle? – zmarszczył brwi Biber.

– Tak, to źle – odpowiedział van Bohenwald. – Ponieważ świadczy o pewnego rodzaju zapalczywości i zaciekłości w prowadzeniu eksperymentów, które to zapalczywość i zaciekłość prowadzą do sytuacji, kiedy nie ma już czego badać, gdyż obiekt badania rozpadł się, zniknął, sczezł czy jakiegokolwiek określenia zapragnęlibyście w tym wypadku użyć…

– Podejrzewasz, że nie zawaha się unicestwić Madderdina? –

Biber był wyraźnie zafrasowany.

– Podejrzewam, że ona sama jeszcze nie wie, co robić – odparł van Bohenwald. – I że zostawiła sobie wiele otwartych furtek na przyszłość. Problemem jest to, iż my część tych furtek wcześniej najzupełniej świadomie zamknęliśmy. Ona nie zawaha się tego zmienić bez pytania nas o zgodę, a nawet bez zawiadomienia. Jeśli tylko uzna takie postępowanie za właściwe.

– Nontle zawsze grzeszyła pychą – wtrącił zimnym tonem Knabe, a Löwefell uzmysłowił sobie, że łowca inkwizytorów z jakichś powodów jej nie lubi. Czy było to uczucie wynikające zaledwie z osobistej niechęci, czy może z podejrzenia, iż Mauretanka działa przeciwko Sprawie?

Van Bohenwald wzruszył ramionami.

– Między pewnością siebie a pychą jest granica, którą często dostrzegają za nas dopiero inni – rzekł. – Ja nazwałbym naszą księżniczkę osobą nadzwyczaj pewną siebie, ty jesteś już skłonny nazywać ją pyszną. Czy uważała się za lepszą od nas? – Potoczył wzrokiem po zgromadzonych inkwizytorach. – Oczywiście, że tak. I nie bez powodu, gdyż niewątpliwie była lepsza od nas w tej dziedzinie, którą się zajmowała. Ba, była najlepszą badaczką anomalii w historii Świętego Officjum. – Uśmiechnął się. – A ponieważ wszyscy ją zgodnie o tym zapewniali, to i my sami przyczyniliśmy się, iż była i jest tak bardzo pewna siebie oraz swoich racji.

– Nikt nie twierdzi, że Nontle nie jest niezwykła – zgodził się Knabe. – Problem w tym, iż niezwykle utalentowany malarz niekoniecznie musi być niezwykle utalentowanym architektem. A ona, jak sądzę, uwierzyła w to, że jej wyjątkowość, niezwykłość oraz talent mają charakter uniwersalny.

– Najważniejsze jednak pytanie brzmi: czy Nontle działa z miłości dla naszej Sprawy i z pragnienia, by chrześcijaństwo zatriumfowało w czasie ostatecznej wojny, czy też kierują nią inne pobudki? Na przykład jedynie chęć poszerzania własnej wiedzy, nawet kosztem interesów Świętego Officjum – odezwał się Biber.

– Hildegarda Reizend nie jest idiotką – rzekł Löwefell i zauważył, że van Bohenwald jest chyba zaskoczony tym, iż wtrącił się do dyskusji. – To umysł precyzyjny i chociaż niewątpliwie bezwzględny, to jednocześnie logiczny oraz praktyczny. Szachor Sefer jest ważna lub jest uważana za ważną, więc Nontle będzie się starała jej nie zniszczyć. Tego jestem pewien.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Jak sądzę, nasza księżniczka opowiadała wam o poszukiwaniach Wielkiego Morskiego Węża w jej kraju? – zapytał van Bohenwald, zdawałoby się, nie na temat.

– Owszem – odrzekł Biber.

– Ale nie zdradziła, iż owo przedsięwzięcie, którego efektem stał się bunt oraz wojna domowa, która omal nie obaliła władzy jej ojca, to był jej własny pomysł?

– O tym już nam nie powiedziała.

Marius uśmiechnął się złośliwie.

– Oczywiście, po cóż miałaby mówić? A ta historia bardzo dobrze pokazuje jej charakter. Rzecz jasna, Nontle była wtedy młoda i głupsza niż dzisiaj, jednak wielka ciekawość świata pozostała jej główną cechą. Kiedy nasza księżniczka widzi węzeł, to jej umysł natychmiast zaczyna szukać możliwości rozplątania splotów…

– Ale nie rozcinania, prawda? – wtrącił Biber. – Nontle zachowa ostrożność.

Löwefell usłyszał w tym ostatnim zdaniu zapewne coś więcej, niż Barnaba chciał przekazać. Brzmiała w nim bowiem nie aż pewność, lecz zaledwie nadzieja.

– Być może rzeczywiście zachowa ostrożność – odezwał się wreszcie Knabe z wahaniem w głosie. – Przynajmniej do pewnego czasu. Gdyż nieskuteczność podejmowanych rozważnych działań może ją zmusić, by podejmowała działania coraz bardziej ryzykowne. Wtedy kto wie czy przypadkiem lub

celowo nie zabije tego inkwizytora. Co oczywiście nie musi wcale wyjść nam na złe – zastrzegł od razu i spojrzał na Mariusa. – Bo i taka możliwość istnieje, prawda? Że to właśnie śmierć Mordimera Madderdina jest właściwym rozwiązaniem naszych problemów z Szachor Sefer.

– Owszem, istnieje podobna możliwość – przyznał niechętnie van Bohenwald. – Choć zawsze byłem zdecydowanie przeciwny podejmowaniu aż takiego ryzyka.

– Inkwizytorium jest wieczne. Może czekać – stwierdził Biber.

– Ale Inkwizytorium nie zostało umiejscowione w pustce – zaprotestował ostrym tonem van Bohenwald. – Wrogowie spiskują i knują intrygi, starając się niweczyć nasze działania. Jeśli nie będziemy odpowiadać szybko i zdecydowanie, to pewnego dnia poderżną nam gardła w naszych własnych łóżkach.

– Czy w jakikolwiek sposób dowiemy się, co dzieje się w Peczorze? Czy mamy lub będziemy tam mieć informatorów? – spytał Löwefell.

– To nie jest takie proste – odparł Knabe. – Owszem, znamy kupców donoszących cesarskim służbom, co się dzieje w Nowogrodzie, i uzyskamy ich raporty. Ale zawsze interesował nas sam Nowogród i jego książęta, a nie to dzikie pustkowie przed i za Kamiennymi Górami. W związku z tym nie spodziewałbym się, iż będziemy otrzymywać szybkie i dokładne relacje. Oczywiście postaram się to zmienić. – Wzruszył ramionami. – Ale wszystko wymaga czasu…

– Mordimer został zobowiązany do wysyłania raportów – wtrącił Biber.

– Może dojdą do nas, a może nie dojdą – odparł van Bohenwald. – Z całą pewnością kupcy, którym je powierzy, nie ośmielą się nie pokazać ich w kancelarii wielkiego księcia. A czy Włodzimierz przepuści te pisma do nas? I z jakim opóźnieniem to zrobi, jeśli w ogóle zrobi? – Wzruszył ramionami. – Poza tym listy Madderdina będzie widzieć tyle oczu, że cóż może nam w nich

przekazać, co by nas tak naprawdę interesowało?

– Czy będziemy starali się nakłonić Nontle do zmiany planów? – spytał znowu Löwefell.

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie ona dokładnie jest i jak ją zmusić do rozmowy, tobyśmy z nią rozmawiali – burknął van Bohenwald. – Ale Nontle oczywiście nie zamierza w żaden sposób ułatwiać nam kontaktu i bardzo wątpię, by się to w najbliższym czasie zmieniło.

– Zastanawia mnie jedno – zmarszczył brwi Biber. – Czemu Nontle pod tym lub innym pretekstem nie została w Peczorze razem z Madderdinem…

– Bobym jej na to nie pozwolił – odparł natychmiast i bez wahania Löwefell, który świetnie przecież pamiętał ostrzeżenia Katriny o tym, jaką pokusę dla wszystkich inkwizytorów stanowi Czarna Księga.

– Jak to nie pozwolił? – Biber był wyraźnie zdziwiony.

– Nikomu z was nie pozwoliłbym zostać sam na sam z inkwizytorem, w którego umyśle zaklęto Szachor Sefer – dodał Löwefell. – Zwłaszcza że to sam na sam miałoby potrwać długie miesiące…

Knabe uśmiechnął się szeroko i wyciągnął palec wskazujący.

– Znakomite podejście, Arnoldzie. Ośmielam się powiedzieć: jedynie słuszne i jedynie rozsądne podejście. Szkoda, że nie zachowaliście się podobnie, kiedy Nontle stwierdziła, że zostaje w Narwie. – Zmrużył oczy. – No właśnie: czemu jej na to pozwoliliście?

– Sam wiesz, że każdy z nas posiada wielką autonomię w podejmowaniu decyzji – odparł niechętnie Biber. – Zwłaszcza że właściwa misja została z powodzeniem zakończona. Mieliśmy ją związać?

– Dlatego właśnie, Mariusie, uważam, że brak jednoznacznego dowództwa prowadzi do takich nieszczęść jak to, które nas teraz spotkało. – Knabe odwrócił się do van Bohenwalda.

Löwefell, słysząc te słowa, mógł już być więc pewien, iż pomysł, by nie określać, kto dowodzi misją i kto ma bezwzględne prawo wydawania rozkazów wszystkim pozostałym jej członkom, musiał wyjść od Mariusa. Z jakich powodów tak właśnie się stało? Czy naprawdę istniejąca w tradycji Wewnętrznego Kręgu kolegialność przy podejmowaniu decyzji była w tym wypadku najważniejszym powodem? Czy też były jakieś inne przyczyny, że zarówno decyzyjności, jak i odpowiedzialności nie scedowano na jedną osobę?

– No dobrze. – Van Bohenwald z głośnym sapnięciem podniósł się z krzesła. – Dość już mówienia o tych smutnych sprawach, które wyniknęły, niestety, z waszej nieostrożności i niekompetencji. Musimy skupić się teraz na – wymierzył palec w Löwefella – twojej słodkiej Roksanie.

– Czy będę przy rozwiązywaniu tego problemu potrzebny Inkwizytorium?

– Do pewnego czasu nie, a od pewnego czasu tak – odparł niejasno Marius. – Na razie nie opuszczaj klasztoru, przynajmniej dopóki nie powiadomimy cię, że nie jesteś już potrzebny.

– Oczywiście.

Van Bohenwald, nie żegnając się z nikim, otworzył drzwi i przestąpił próg, a wtedy Löwefell ruszył w ślad za nim.

– Pozwól, że będę ci towarzyszył – powiedział.

Marius nie odwrócił się nawet w jego stronę.

– Skoro musisz – odparł jedynie.

Znaleźli się na korytarzu i kiedy przeszli kilka kroków, Löwefell rzekł:

– Doniesiono mi, że Matylda jest nieobecna. Kiedy wyjeżdżałem na Ruś, obawiała się, że ją zabijesz. Więc powiedz: czy zabiłeś ją, Mariusie?

Grubas zatrzymał się w miejscu, spojrzał na Löwefella z oburzeniem i prychnął.

– Skąd ten chory, szalony i niedorzeczny pomysł? – zapytał zniesmaczony. – Matylda jest naszym skarbem, a nikt nie wyrzuca ani nie niszczy skarbu. Oczywiście wiem o jej uprzedzeniach i podejrzeniach, lecz zapewniam cię, że są całkowicie błędne. Oparte na fałszywych przesłankach, które poprowadziły do równie fałszywych wniosków.

– Kiedy ją w takim razie zobaczę?

– Niebawem, jeśli zechcesz. – Van Bohenwald westchnął, a potem nieoczekiwanie położył Löwefellowi ciężką dłoń na ramieniu. – Posłuchaj, Arnoldzie, nie chcę, aby obawa o los tej dziewczyny popchnęła cię do nierozsądnych postępków – rzekł poważnie. – I dlatego pomimo iż nie powinienem tego robić, pozwolę ci za kilka tygodni na spotkanie z nią…

– Dlaczego dopiero za kilka tygodni? – przerwał mu zimnym tonem Löwefell.

– Matyldy po pierwsze naprawdę nie ma w klasztorze, a po drugie jest zajęta zadaniem, które zostało jej zlecone. Jeśli nie dowierzasz moim słowom, usłyszysz to samo od Katriny…

– Od Katriny – powtórzył Löwefell, przypominając sobie zresztą, że Matylda ostrzegała go przed Katriną. Ale cóż, Matylda ostrzegała go w zasadzie przed wszystkimi.

– Tak, od Katriny – skinął głową van Bohenwald.

– Dobrze – rzekł po ledwo zauważalnej chwili wahania Löwefell. – Przyjmuję twoją propozycję i będę czekał na wiadomość.

– Propozycja. – Marius wydął ironicznie usta. – A więc okazało się, że złożyłem ci jakąś propozycję. Niech i tak będzie…

Odwrócił się i odszedł, jak to zwykle on, kolebiącym się krokiem monstrualnie tłustej, okulawionej kaczki.

– Aha! – Odwrócił się na pięcie, znowu jak to on, szybko niczym zakręcony dziecięcy bączek. – Nie wierzysz chyba, że byłeś naprawdę w antycznej Germanii i spotkałeś Decymusa Kasjusza oraz Valerię Flavię i – rozłożył ręce – w ogóle wszystkich Siedmiu

Wspaniałych Rzymian… Prawda?

Löwefell zdawał sobie sprawę, że tajemnica jego rozmów z Matyldą prędzej czy później zostanie ujawniona. W taki lub inny sposób.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Podróże w głąb czasu są niemożliwe. Przeszłość przypomina liść jedzony przez ślimaka. Nie ma go już nigdzie poza brzuchem ślimaka i nigdy nie stanie się z powrotem liściem, lecz będzie zaledwie strawionymi resztkami. Kiedy go wyciągniemy, nie ujrzymy liścia, lecz właśnie te resztki.

– W tym średnio fortunnym porównaniu brzuch ślimaka rozumiesz jako naszą pamięć? – Van Bohenwald skinął głową. – No tak, przyznam, że można i w ten sposób patrzeć na owe sprawy. Co zrobiła w takim razie Matylda? – Przyjrzał mu się z zainteresowaniem. – Stworzyłeś na ten temat teorię?

– Ukazała mi obrazy pochodzące z przeszłości tak zręcznie i wyraziście, jakby były rzeczywistością. Znamy moc sugestii polegającą na tym, że silny umysł potrafi zapanować w takim stopniu nad umysłem słabym, że wmówi mu, iż jego ciało jest ogarnięte płomieniami. I choć żadnych płomieni nie będzie w innym znaczeniu niż wyimaginowane, to poparzenia okażą się jak najbardziej prawdziwe.

– A więc to ty byłeś słabym umysłem w owym porównaniu – pokiwał głową van Bohenwald. – Interesujące…

– Siła polega na uświadomieniu sobie własnych słabości, Mariusie – odparł Löwefell obojętnym tonem. – Oraz na umiejętności przyznania się do nich i chęci walki z nimi.

– A więc uznałeś, że Matylda wywołała wizje w twoim umyśle, czyż nie? Wizję podróży do antycznej Germanii, tak zgodną z zapiskami Decymusa Kasjusza, potem wizję pobrudzonych stóp, a następnie wizję dodatkowych stron w pamiętnikach Kasjusza… Tak właśnie pomyślałeś, prawda?

– Nigdy potem nie znalazłem książki, którą pokazywała mi Matylda – odparł nie wprost Löwefell. – Czyż nie dziwne, że nie

mogłem jeszcze raz skonfrontować obecnego tekstu pamiętników z tym, co zapamiętałem z poprzednich lektur?

– Więc udałeś się do biblioteki… – podpowiedział Marius.

– Więc udałem się do biblioteki – zgodził się Löwefell. – I oczywiście odnalazłem pamiętniki Kasjusza w takiej formie, w jakiej je zapamiętałem z dawnych lektur. I tym razem nie znalazłem żadnej wzmianki o dziwnym przybyszu, na którego trafiła rzymska wyprawa i którego włączono w jej poczet.

– Dlaczego Matylda uknuła tę intrygę przeciwko tobie? – zapytał van Bohenwald.

– To jest pytanie, na które zapewne znalazłbym odpowiedź, gdybyście nie wysłali mnie na Ruś. A czy była to intryga „przeciwko mnie", jak raczyłeś określić, tego również nie wiem…

– Hmmm, ciekawe. – Van Bohenwald skrzywił usta. – Sądzisz więc, że zapanowała nad twoim umysłem i wywołała w nim fałszywe wizje, kierując się sympatią do ciebie?

– Nie znam pobudek jej postępowania, więc nie zamierzam na samym wstępie określać ich jako wrogich – odparł spokojnie Löwefell.

– Dlaczego Matylda powiedziała, że twoim zadaniem jest zabicie Jezusa Chrystusa i uwolnienie w ten sposób nas wszystkich?

– Jak widzę, jesteś doskonale poinformowany o każdym szczególe – odparł Löwefell. – Przesłuchiwałeś ją?

Van Bohenwald potrząsnął głową z wyrazem rozbawienia na twarzy.

– Nie, Arnoldzie. Przesłuchiwałem ciebie. A raczej rozkazałem, by przed wyprawą na Ruś dokładnie cię przesłuchano.

Löwefell drgnął niemile zaskoczony.

– Katrina – rzekł w końcu.

– Oczywiście, że Katrina – uśmiechnął się szeroko van Bohenwald. – Pieczołowicie i precyzyjnie wypytała cię w czasie

waszej uroczej schadzki w ogrodzie, która nieoczekiwanie dla ciebie trwała tyle godzin. – Zmrużył oczy. – Zastanawiałeś się, cóż takiego się wtedy wydarzyło, prawda? Ale ufałeś Katrinie tak bardzo, iż nawet nie spytałeś, dlaczego pamiętasz zaledwie fragment z waszego długiego spotkania. – Pomachał w powietrzu grubym palcem. – Oj, Arnoldzie, twoja łatwowierność doprowadzi cię do rychłej zguby!

Löwefell uśmiechnął się bez przymusu.

– Nadal jej ufam – odparł.

– Bardzo pięknie, bardzo pięknie. – Marius pokręcił głową z udawanym podziwem. – Ale z tej mąki nie będzie chleba… Wiesz o tym, Arnoldzie, prawda?

– Ponieważ nie wiem, do czego ma się odnosić przysłowie, które zacytowałeś, to trudno mi odpowiedzieć na twoje pytanie.

– Taaak… – Van Bohenwald splótł palce obu dłoni i naciągnął je tak mocno i gwałtownie, że stawy strzeliły mu z głośnym trzaskiem. – Zastałem się tutaj na klasztornej służbie – powiedział. – Zastałem się i rozleniwiłem. Być może również powinienem ruszyć na tę czy inną wyprawę.

– Szczerze polecam podobną odmianę – odparł Löwefell. – Pozwala nowym wzrokiem spojrzeć na stare rzeczy i stare problemy.

– O, z całą pewnością! – uśmiechnął się van Bohenwald. – Dlaczego Matylda twierdziła, że należy zabić Jezusa? – wrócił do pytania.

– Czy nie lepiej by było, gdybyś sam ją zapytał? – poddał Löwefell. – Trudno mi odpowiadać na pytania o myśli Matyldy, zwłaszcza że jak się ze mną zgodziłeś, w naszych wzajemnych kontaktach to jej umysł, a nie mój, był tym dominującym.

Van Bohenwald skrzywił usta.

– Taaak, zapytam. Niewątpliwie. Jednak w tej chwili pytam o twoje przemyślenia, Arnoldzie. – Wyciągnął palec wskazujący i zatrzymał go tuż przed piersią Löwefella. – Twoje, nikogo

innego.

– Odebrałeś mi możliwość przyglądania się umysłowi Matyldy, a z całą pewnością po operacji, zaznaczę, że niezwykłej operacji przeprowadzonej na niezwykłym pacjencie, jej umysł wymagał takich badań.

– Czyli to zwichrowany umysł podsuwa Matyldzie wizje zamordowania Jezusa Chrystusa – powiedział van Bohenwald. – Ciekawe tylko, czy ten umysł był taki przed twoją interwencją, czy taki się stał dopiero w wyniku przeprowadzonego przez ciebie zabiegu?

– Uważam to pytanie za niezwykle interesujące – odparł Löwefell uprzejmym tonem. – I kiedy tylko Matylda wróci już do klasztoru, będziemy mogli wspólnie się zastanowić nad udzieleniem na nie odpowiedzi.

Marius przyglądał mu się przez chwilę z nieruchomą twarzą i zimnym wzrokiem, jakby Löwefell był przedstawicielem nieznanego gatunku istot, trochę ciekawych, trochę odrażających, a na pewno takich, z którymi nie bardzo wiadomo, co należy w danej chwili uczynić. Wreszcie odezwał się:

– Jeżeli w miejscu, w którym żyje nasz Bóg, w miejscu, które Jezus Chrystus wybrał sobie na dom, jeżeli w takim właśnie niezwykłym i w całym świecie jedynym w swojej wyjątkowości miejscu ktoś, zaznaczę, ktoś dysponujący wielką i nie do końca rozpoznaną mocą, opowiada o tym, że Jezusa należy zabić, to ja czułbym się zaniepokojony. – Marius miał tym razem spojrzenie gniewne. – Ty nie poczułeś się zaniepokojony, Arnoldzie?

– Zaciekawiony – odparł Löwefell.

– Interesująca reakcja – stwierdził van Bohenwald. – Bardzo żałuję również, że swoim zaciekawieniem nie uznałeś za stosowne podzielić się ze Świętym Officjum i wszelkie informacje trzeba było z ciebie dopiero wydusić, jakby to były flaki z wnętrza rozkrawanej ryby.

– Nie porównywano mnie jeszcze do patroszonej ryby – zauważył znów uprzejmie Löwefell. – To bardzo intrygujące

i może nawet dające do myślenia porównanie.

Tym razem van Bohenwald uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać na temat Matyldy, prawda? – w zasadzie nie zapytał, ale stwierdził.

– Moje osobiste pragnienia nie mają nic do rzeczy – odparł Löwefell. – Jeżeli tego chcesz, mogę przeprowadzić z tobą spekulacje na temat zachowania Matyldy, jej zamierzeń, pobudek i możliwych planów, ale uważam, że owe spekulacje będą dotknięte brakiem wystarczającej liczby dowodów…

Van Bohenwald podrapał się po nosie.

– Cóż, niech będzie, jak sobie życzysz – powiedział lekceważąco. – Chociaż nie poprawiasz w taki sposób swojej pozycji w Inkwizytorium.

– Będę musiał z tym żyć – odparł spokojnie Löwefell. – W każdym razie dziękuję, że zechciałeś mi poświęcić czas, Mariusie, i mam nadzieję, że niedługo będę mógł porozmawiać z Matyldą o twoich wątpliwościach i przekonać ją, by je rozwiała.

– Na pewno – skinął głową van Bohenwald, a potem już bez zbędnych słów odwrócił się i odszedł.

Klasztorne ogrody były pielęgnowane z wielkim kunsztem i wielką dbałością, ale nawet największy talent ogrodników nie mógł spowodować, by zostały w nich złamane lub choćby naruszone odwieczne prawa natury mówiące, że im bliżej do jesieni, tym bliżej do schyłku, do obumierania lub szykowania się do zimowego odpoczynku. W ogrodzie przekwitły już nie tylko róże, z których wielu zachwycających odmian słynęło Amszilas, ale sposobiły się do snu również astry i kanny, których kwiaty jeszcze miesiąc wcześniej przypominały wielokolorowe dywany, ciągnące się od jaskrawej żółci aż po przydymiony fiolet. Teraz przetrwały jedynie begonie, gdzie wśród nakrapianych i prążkowanych liści wielobarwne kwiaty trwały niczym motyle, niechcące jeszcze żegnać lata. Zachwycały jeszcze też, rzecz

jasna, wrzosy, zajmujące jedną z części klasztornego ogrodu, tutaj, w Amszilas, były one wysokie, rozłożyste i obsypane drobnymi kwiatami od cytrynowej żółci aż po fiolet tak ciemny, że niemal wpadający w czerń. Löwefell stał i przyglądał się tej wrzosowej mozaice, obrastającej niewielkie wzgórze podchodzące pod same mury i ubarwiającej skalne złomy, wygładzone i wypolerowane przez deszcz, wiatr i upływające wieki – kamienie, które stały w Amszilas chyba od początku czasu.

– Cieszę się, że żyjesz, Arnoldzie – usłyszał za sobą ciepły głos Katriny.

Odwrócił się z uśmiechem, wcale nie zdziwiony ani nie przejęty faktem, iż ani nie wyczuł wcześniej jej obecności, ani nie usłyszał jej kroków.

– Kiedy widzę ciebie, wiem, że znalazłem się w domu – odparł.

Zbliżyła się i zarzuciła mu ręce na szyję. Przytuliła się do niego i pocałowała w policzek. Löwefell już po raz kolejny złapał się na myśli, iż Katrina jest jedyną osobą, której dotyk budzi w nim ciepłe emocje. Niewiele zostało we mnie z człowieka, pomyślał, ale przynajmniej tyle jeszcze jestem w stanie poczuć. Oddał jej uścisk. Odsunęła się o krok, ale przyglądała mu się z uśmiechem na ustach, cały czas z dłońmi opartymi na jego ramionach. Wydawała się tak krucha i tak delikatna. Niemal przezroczysta w promieniach jesiennego słońca.

– Ocalałem dzięki tobie – powiedział, nie tyle nawet obniżając głos do szeptu, ile poruszając samymi ustami.

– Domyślałam się – odparła – że sprawy mogą zajść w taką stronę. – Wzięła go za rękę. – Chodźmy na spacer – zaproponowała. – Miałabym ochotę usiąść na tej samej ławce, na której się żegnaliśmy. Co ty na to?

– Czy znowu usiądziemy w południe, a wstaniemy o zachodzie słońca? – spytał.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zdradziłam cię?

Löwefell potrząsnął głową.

– Zrobiłaś to, co sądziłaś, że należało zrobić – odparł.

– A czy tak właśnie należało zrobić?

Inkwizytor wiedział, że podobnie sformułowane pytanie może paść, i sam je sobie zresztą wcześniej zadawał.

– Tak, należało – odparł pewnym głosem. – Poza tym skoro takie było polecenie, to jaki miałaś wybór…

Katrina się roześmiała.

– Polecenie? Właśnie tego dowiedziałeś się od Mariusa? Że to on kazał mi cię przebadać i dowiedzieć się, co tak naprawdę łączy cię z Matyldą?

– A to nieprawda?

– Marius nie może mi niczego nakazywać ani zakazywać – powiedziała, ciągle z uśmiechem na twarzy, który teraz był po prostu życzliwy. – Pomysł, żeby cię poddać badaniu, był moim własnym pomysłem, a z Mariusem podzieliłam się dopiero efektem.

– Ach tak.

– Czy to coś zmienia?

– Nie – odparł. – Sądzę, że tak jest nawet lepiej. Tym bardziej utwierdza mnie w myśli, że twoje działanie było słuszne.

– Bo naprawdę było słuszne – powiedziała poważnie. – Matylda bardzo nas interesuje i zamierzamy odkrywać jej zdolności. Być może, a nawet na pewno również takie, z których ona sama nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

Löwefell skinął głową. O tak, to był niewątpliwie temat godzien zainteresowania…

– Czy jej brak zaufania w stosunku do Inkwizytorium nadal się utrzymuje?

Katrina westchnęła.

– Obawiam się, że w tym elemencie zawiedliśmy. Jest na nas wściekła, również dlatego, że nie może, przynajmniej na razie, być już z tobą. No i w związku z tym nie ufa nam jeszcze bardziej, niż nam nie ufała. Cóż… – Katrina wzruszyła ramionami. – Jakoś wszyscy będziemy musieli z tym żyć w nadziei, że prędzej czy później sprawy się odmienią.

– Marius pytał mnie o słowa Matyldy. O zdanie, które wypowiedziała na temat swojej chęci zabicia Jezusa. Nie mogłem mu nic powiedzieć ponad to, co sam od niej usłyszałem. Nie wiem… – rozłożył ręce – co miała na myśli. Czy była to metafora? Prowokacja? Błądzenie chorego umysłu? Życzenie? A jeśli życzenie, to czym spowodowane? Jakie pobudki, zamiary i nadzieje stały lub mogły stać za tak sformułowanym życzeniem?

– Wszyscy się nad tym zastanawiamy.

– Rozumiem więc, że nie wybadaliście jej tak jak mnie? Marius był łaskaw porównać mnie do wypatroszonej ryby, ale jak sądzę, podobny proces patroszenia nie miał miejsca w przypadku Matyldy.

Katrina parsknęła rozbawiona i w tym niespodziewanym, szczerym radosnym nastroju znowu wyglądała przez chwilę jak zwykła niewinna dziewczyna, a nie jak jeden z potężnych filarów Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium. Kto by pomyślał, rzekł do siebie Löwefell, którego nieustannie zaskakiwała naturalna prostota Katriny. Jeśli było to udawane czy inscenizowane, to naprawdę należało pochwalić jej kunszt.

– Patroszona ryba – powtórzyła. – Marius jak zwykle jest uroczy, prawda? Ale odpowiadając na twoje pytanie: nie, Matylda nie była inwigilowana.

– Czemu, jeśli wolno spytać?

– Z powodów czysto praktycznych – odparła Katrina. – Nikt nie byłby w stanie tego uczynić w sposób, który by nas zadowolił.

– To znaczy?

– To znaczy, że umysł zwykłego człowieka przypomina

tetragon. – Katrina uczyniła dłońmi gest i nagle spomiędzy jej palców uformował się kwadrat wirujący tak, jakby jeden z jego wierzchołków nadziano na obracający się patyk. – Umysł niezwykłych ludzi jest zbliżony do heksaedru – mówiła dalej i nagle płaski kształt ukazywany przez nią zamienił się w kręcącą się bryłę. Jakby była idealnie oszlifowanym, lśniącym kryształem o sześciu przezroczystych ścianach i krawędziach z lśniącego metalu. – Tak zbudowane umysły łatwo jest badać – tłumaczyła.

– To niezwykłe – rzekł Löwefell, myśląc nie tyle o porównaniach dokonywanych przez Katrinę, co o kształtach, których obraz potrafiła tak zgrabnie wyczarować spod palców.

– Uważaj, będzie jeszcze piękniej. – Uśmiechnęła się. – Na przykład twój umysł, Arnoldzie, jest co najmniej tesseraktem.

Sześcian kształtowany palcami Katriny zaczął się przepoczwarzać i przekształcać w bryłę, co do której nie było już pewności, co jest jej ścianą, co wierzchołkiem, a co krawędzią i w jakich miejscach są one położone oraz jak połączone jedne z drugimi.

– Do takiego umysłu nie jest trudno się dostać, ale dużo trudniej zrozumieć zasady jego konstrukcji oraz co tak naprawdę skrywa się wewnątrz niego – ciągnęła Katrina.

– Rozumiem, że umysł Matyldy jest jeszcze bardziej skomplikowany.

Dłonie i palce Katriny poruszyły się gwałtownie, a wtedy wirująca pięciowymiarowa bryła zapadła się w przestrzeni, a następnie eksplodowała w niej, ogarniając ich oboje czymś na kształt pędzącego poprzez wymiary szaleństwa linii, kątów, ścian i wierzchołków, a oni byli zarówno w środku nich, jak i na zewnątrz, jak i w środku samego środka, i jednocześnie całkowicie na zewnątrz zewnętrznych płaszczyzn, zapadających się jednocześnie do jądra i pędzących, by stworzyć nowe przestrzenie w kolejnej zewnętrzności.

Löwefell cofnął się o krok i zamknął oczy, bo nie mógł już znieść tego wręcz bolesnego dla zmysłów wynaturzenia. Kiedy po

chwili otworzył powieki, przed nim stała już tylko Katrina i miała dłonie splecione na podołku. Löwefellowi koła nosa przeleciała pszczoła i ten znajomy, swojski i całkowicie naturalny obraz przywrócił go na dobre do rzeczywistości.

– Tak to w przybliżeniu wygląda, Arnoldzie – westchnęła Katrina. – To, co widziałeś, nazywamy dekeraktem i do niego mogłabym porównać umysł Matyldy. Nie potrafię przebić się na tyle głęboko, by uzyskać sensowne odpowiedzi. – Skrzywiła usta. – A wierz mi, że bardzo bym sobie tego życzyła.

– Domyślam się – mruknął Löwefell.

– Poznanie Matyldy pozwoliłoby mi jej pomóc – powiedziała Katrina. – Poprowadzić ją tam, gdzie sama nie dojdzie, nauczyć ją patrzeć w taką stronę, w którą nie umie jeszcze odwrócić głowy.

– Tylko że Matylda nie bardzo ma na to ochotę, prawda?

– Ano nie – westchnęła smutno Katrina. Potem podniosła wzrok na Löwefella, już spokojny i ufny. – Ale poczekamy – obiecała. – Święte Officjum ma czas i jest wieczne. Szlifowanie diamentów wymaga precyzji, delikatności i cierpliwości. A my jesteśmy bardzo cierpliwi, Arnoldzie.

– Oby stało się tak, jak mówisz – rzekł szczerze Löwefell, który przeniknięcia do umysłu Matyldy życzył sobie nie tylko ze względu na samą Matyldę, ale również i przede wszystkim ze względu na dobro Inkwizytorium.

Ujęła go znowu za rękę.

– Chodźmy – powiedziała. – Wiem już wiele o waszej podróży i jej efektach, ale chciałabym usłyszeć od ciebie, jakie zrobił na tobie wrażenie Herenniusz Furius.

Löwefell skinął tylko głową. W milczeniu przeszli na tę samą ławkę, na której siedzieli przed opuszczeniem klasztoru. Tym razem zwieszały się nad nią soczyście jeszcze zielone pędy róż, ale zamiast kwiatów ozdabiały je duże, ciemnoczerwone owoce. Usiedli, a Löwefell instynktownie oczekiwał, że znowu zamknie się nad nimi i przed nimi zielona klatka, ale nic takiego się nie

stało. Tym razem pędy i liście drgały jedynie od podmuchu wiatru, a nie od magii Katriny.

– Zarówno cieszy mnie, jak i martwi, że był ostatnim ze swojego gatunku – rzekł Löwefell, odpowiadając na zadane wcześniej pytanie. Część tego zdania była prawdziwa, część nie, a Löwefell nie był pewien, czy Katrina wie, co na razie przed nią ukrył. Na razie, gdyż jeśli miał się z kimś podzielić tajemnicą, to na pewno z Katriną. Ale na pewno nie tutaj, gdzie z całą pewnością widziano ich i słyszano.

– Być może ostatnim – odparła zamyślona.

– Żałuję, że nie udało nam się pochwycić go żywcem i przewieźć do klasztoru – odparł, nie komentując jej słów, bo sam przecież pamiętał, iż w czasie narady przed wyprawą jedynie zakładano, że Herenniusz Furius może być ostatnim z wampirów. Löwefell wiedział, że sprawy od tego czasu się zmieniły. I na razie tylko on poznał tę nową prawdę.

– Tego wszyscy żałujemy. Opowiesz mi dokładnie, co się wydarzyło?

– Oczywiście.

Opowiedział jej wszystko, co zapamiętał z wielkiej walki z Herenniuszem Furiusem, wszystko w każdym detalu oraz w każdym szczególe, nie ujawniając jedynie, iż skorzystał z jej niezwykłego zaklęcia, i nie opowiadając o wizji, jaką przeżył, widząc świat przeszłości oczami przeklętego Rzymianina. Był więcej niż pewien, że są oczy, które ich śledzą, i są uszy, które ich słuchają, a Katrina i tak rozumiała, że prawdziwe widzenie tego, co się działo, zawdzięczał nie własnej cesze, nie jakiejś unikatowej zdolności, jak chciał, aby wierzono w klasztorze, lecz sile zaklęcia ofiarowanego przez Katrinę w dniu wyjazdu i użytego tuż przed fortecą Herenniusza.

– Szkoda – powiedziała, kiedy Löwefell umilkł. – Naprawdę szkoda, że nie możemy go zbadać.

– Najbardziej niepocieszona była Nontle – rzekł inkwizytor.

– O, niewątpliwie – uśmiechnęła się Katrina.

– Czy Madderdinowi coś zagraża z jej strony?

– Im dłużej będzie na Rusi, tym zagrożenie stanie się większe – odparła. – Kto wie czy Nontle go nie zabije, jeśli nie wyciągniecie go naprawdę szybko. Nie z powodu chęci zaszkodzenia komukolwiek, lecz z pośpiechu i niecierpliwości. Z poczucia zawodu, że wszelkie usiłowania nie zdają się na nic. I patrząc z tej właśnie strony, trzeba też wziąć pod uwagę, że jeśli zmusicie Nontle do pośpiechu, jeśli dowie się, że do Peczory wyruszyli inkwizytorzy, by zabrać stamtąd Madderdina, to wtedy może stać się jeszcze mniej ostrożna i jeszcze mniej cierpliwa.

– Jesteś bardzo zdecydowana w swoim osądzie. – Löwefell był zdziwiony i nie ukrywał tego. – Bardziej nawet niż Marius.

– Może trochę lepiej znam Nontle – odparła. – Sądzę, że Marius nie do końca chce wierzyć w to, jak bardzo nasza księżniczka jest jednocześnie pewna siebie, kapryśna i żądna odkrywania wszelkich tajemnic, zagadek i sekretów, jakie życie postawiło na jej drodze. Przyzwyczajono ją, że dzięki swej nadzwyczajnej urodzie oraz rzeczywiście wyjątkowym zdolnościom dostaje wszystko, czego sobie zażyczy. Od ludzi, od świata, od Inkwizytorium. Rozczarowanie rodzi frustrację, Arnoldzie…

Nie u wszystkich, pomyślał Löwefell. Dla większości z nas trudności są tylko kolejnymi stopniami prowadzącymi do zwycięstwa. Ale to prawda, że zdarzają się tacy, którzy zaczynają biec zbyt szybko i spadają wtedy w przepaść.

– Byłoby bardzo niedobrze, gdyby coś złego stało się temu inkwizytorowi, ale byłoby również bardzo niedobrze, gdyby coś złego przytrafiło się Nontle – dodała Katrina poważnie.

– Czy Katarzyna już wie, co się stało?

– Byłoby dziwne, gdyby nie wiedziała.

– Czy będzie chciała coś uczynić z tym, że porzuciliśmy jej syna? – spytał ostrożnie.

– Poza głośnym demonstrowaniem gniewu oraz

niezadowolenia? Raczej nie…

– Marius zastanawia się, czy nie wysłać na Ruś inkwizytora o nazwisku Knabe – dodał Löwefell.

Subtelna twarz Katriny znieruchomiała w grymasie obrzydzenia.

– Knabe – powtórzyła głucho. – Dietrich Knabe… – Potem pokręciła głową. – Sprawy zaszły więc dalej niż daleko, skoro woła się na pomoc Knabego.

– Cóż, na razie była to zaledwie rozmowa…

– Tak czy inaczej, jest to ciekawe i znaczące – stwierdziła Katrina.

– Gdyż?

– Gdyż oznacza, że Nontle potężnie kogoś rozgniewała swoim samowolnym postępowaniem.

– Albo ktoś chce zamanifestować, że go potężnie rozgniewała, pomimo że wcale nie jest zagniewany, a być może nawet sprawy toczą się zgodnie z wolą tego kogoś – dorzucił Löwefell.

Katrina rozłożyła ręce.

– Tak to już u nas jest, prawda? – spytała lekkim tonem. – Wszystko się może zdarzyć…

– A pułapka tkwi w pułapce pośrodku pułapki…

– Żeby to było takie proste! – zaśmiała się Katrina i wstała. – Mam ochotę odetchnąć rzeką. Zechcesz mi towarzyszyć?

– Z radością – odparł Löwefell i powtórzył w myślach: „odetchnąć rzeką”. Spodobało mu się to sformułowanie. Bezpretensjonalne, swobodne i naturalne jak i sama Katrina. A przynajmniej wrażenie, jakie robiła, lub rola, którą grała…

Katrina poprowadziła go do jednej z małych furt w murze, okrytej i zasłoniętej przed światem gęstymi splotami winorośli. Wyjście było zamknięte zaledwie na skobel, nie na kłódkę lub zamek.

– Żyjemy w spokojnych czasach – powiedział Löwefell.

Katrina uśmiechnęła się.

– A któż odważyłby się wedrzeć do klasztoru wbrew woli jego mieszkańców? Poza tym niewiele by z tego kogoś zostało, gdyby zorientowano się, że nie jest zaproszonym gościem.

Inkwizytor pomyślał, że w Persji podobna niefrasobliwość czy lekkomyślność byłaby niemożliwa i niedopuszczalna. W pałacu Narsesa pilnie chronione było każde przejście, każda furtka, każda brama. Straże były obecne niemal wszędzie, dobrze wyszkolone, uważne i gorliwe. No ale Persja nie była ani spokojna, ani bezpieczna, a życie perskich magów było zawsze zagrożone przez spiski oraz intrygi knute nie tylko przez innych magów, ale również na arystokratycznych dworach i przede wszystkim w pałacu samego szacha.

Zaczęli schodzić ścieżką wśród krzewów, tak wąską, że Löwefell musiał postępować za Katriną, gdyż nie zmieściliby się jedno obok drugiego.

– Wierzyliśmy w was i w powodzenie waszej misji tak bardzo, że kiedy was nie było, wybraliśmy ciało dla Roksany – powiedziała Katrina. – Musieliśmy znaleźć taką skrzyneczkę, żeby idealnie pasowała do duszy, którą w niej zamkniemy. I znaleźliśmy. Z kilku możliwości wybraliśmy, jak ufam, najlepszą…

Löwefell mógł sobie tylko wyobrażać skomplikowanie podobnej procedury. I ciekaw był, na ile da się poprawić błąd, jeżeli błąd zostałby popełniony.

– To jest jak wlewanie płynnej lawy do dzbanuszka – mówiła dalej Katrina. – Nie dość, że nie może przepalić czy stopić ścianek, to jeszcze musi zamienić się w likwor o wybornym aromacie.

– Brzmi ciekawie – zauważył Löwefell równie żartobliwym tonem. – A jak długo szukaliście ciała dla mnie? – dodał już poważnie.

Katrina tylko się zaśmiała.

– Zdziwiłbyś się – odparła.

– Kim był człowiek, którego umysł wypaliliście, żeby zrobić w jego ciele miejsce dla mojego umysłu?

– Był nikim ważnym. Był tylko zwykłą wodą, ale za to wlaną do idealnego dzbana. A ten dzban pasował doskonale do tak wrzącej lawy jak ty. Lawy, która zamieniła się w wykwintne wino. – Odwróciła się i mrugnęła do niego. – Więc wodę wylaliśmy bez żalu.

Löwefell nie uważał, by skrupuły moralne mogły rozstrzygać o podejmowaniu takich lub innych istotnych decyzji. Ludzi na świecie było wielu i codziennie tysiące z nich umierało z powodu starości, chorób, egzekucji, wojen, morderstw… Jeżeli któryś ginął, by przysłużyć się ważnej sprawie, to tym lepiej, iż jego życie nie zostało zmarnowane.

– Jak znaleźliście ciało dla Roksany?

– To pozostawiliśmy w gestii Matyldy – odparła Katrina.

Löwefell się zdziwił. Nie sądził, że jego podopieczna była odpowiedzialna za to chyba skomplikowane, a na pewno poważne zadanie.

– W jaki sposób Matylda zajęła się tym problemem?

– Och, szczegóły praktyczne na pewno by cię nie zainteresowały – odparła Katrina lekkim tonem. – Ale bez wątpienia właśnie ty będziesz musiał zmierzyć się z reakcją Roksany na zmartwychwstanie.

Löwefella nie zaskoczyła ta propozycja, czy lepiej powiedzieć: informacja, bo przecież nikt nie dawał mu żadnego wyboru. Oczywiście był zadowolony, iż będzie uczestniczyć w powstaniu Roksany, gdyż miał nadzieję, że przywrócona do życia perska wiedźma pomoże mu wskrzesić własną pamięć.

– Chętnie zmierzę się z każdym problemem, którego rozwiązanie może przynieść pożytek Inkwizytorium – odparł, a potem zawahał się przez chwilę. – Jakie to ciało? – zadał pytanie.

– A co chciałbyś wiedzieć? Czy jest piękna? Przecież nie powiedziałam ci nawet, czy jest kobietą…

Löwefell uśmiechnął się, ale jednak z przymusem, gdyż wyobraził sobie reakcję Roksany, gdyby się dowiedziała, iż wskrzeszono ją w męskim ciele. Najdelikatniej mówiąc, nie byłaby zachwycona. A może nie mam racji, przeszło mu nagle przez myśl, może nie byłoby to dla niej wcale istotne? Może pragnienie gromadzenia wiedzy i zyskiwania władzy przezwyciężyłoby opory estetyczne? Bo czy mnie samemu sprawiłoby różnicę, gdybym znajdował się w ciele kobiety? Być może byłoby to dziwne i niepokojące, być może wadziłoby mi na początku, ale chyba nie przejąłbym się tym faktem aż tak bardzo, by zmienił on moje nastawienie do świata i inaczej ukierunkował moje dążenia.

– Jedna z zasad pomyślnego przeniesienia esencji do nowej powłoki mówi, że nie powinniśmy dokonywać zbyt radykalnych zmian – wyjaśniła Katrina. – Dlatego uspokoję cię, że wybraliśmy młodą, zdrową kobietę. Cóż, na pewno nie jest ona tak piękna jak twoja Roksana, ale jakoś się przyzwyczai do nowego wyglądu.

Katrina musiała chyba wyczuć zaniepokojenie Löwefella, gdyż pokręciła głową.

– Nie, nie, zapewniam cię, że nie jest też szpetna. Jest po prostu zwyczajna. Młoda, krzepka wiejska dziewucha…

– Roksana będzie zachwycona – stwierdził z przekąsem.

– To już twoja sprawa, Arnoldzie, by ją przekonać, że lepsze jest życie w wybranej przez nas formie niż brak tego życia. A poza tym… – Katrina urwała na chwilę i zręcznie przeskoczyła przez kamień blokujący im drogę. – Zważywszy na to, jak wyglądała przed samą śmiercią, to chyba nie powinna narzekać, prawda?

Löwefell przypomniał sobie wyniszczoną magią ognia i krwi staruchę, którą spotkał w Koblencji. Jej pomarszczoną skórę, kaprawe oczy, owrzodzone ciało i siwe kołtuny sterczące z wyłysiałej i pokrytej liszajami głowy. Przypomniał sobie, jak

bardzo śmierdziała.

– Prawda – przyznał.

Zeszli na brzeg rzeki, szeroki i pokryty żwirem oraz drobnymi kamykami. Dzisiaj woda była spokojna, leniwa, koloru ołowiu przetykanego stalą. Na samym brzegu leżało kilka białych jak alabaster głazów i Katrina przysiadła na jednym z nich.

– Rozmawiałeś z Herenniuszem, prawda?

– Cóż, trudno to nazwać rozmową – odparł Löwefell żartobliwym tonem. – Prędzej raczej wymianą okrzyków oraz inwektyw, jakimi darzy się dwóch ludzi splątanych w gwałtownej walce na śmierć i życie.

Katrina uśmiechnęła się lekko.

– Możesz mówić spokojnie – powiedziała. – Jesteśmy tu bezpieczni przed oczami, które chciałyby nas podejrzeć, i uszami, które chciałyby nas podsłuchać. Wiem, że dzięki mojemu zaklęciu widziałeś więcej niż inni, można powiedzieć, widziałeś inny świat niż ktokolwiek stojący obok…

Löwefell skinął głową. Wiedział doskonale, że tak jak powiedział wcześniej Katrinie, tylko wizji ofiarowanej przez niezwykłą moc zaklęcia zawdzięcza życie. Pomyśleć, iż Herenniusz Furius był tak potężny, że gdyby nie czar Katriny, to zniszczyłby trzech inkwizytorów Wewnętrznego Kręgu, nosiciela Szachor Sefer oraz zwiadowców księżnej. Ale owo zaklęcie pozwoliło Löwefellowi również ujrzeć niezwykłą przedśmiertną wizję Furiusa.

– …ale jestem pewna, że wydarzyło się również coś więcej – ciągnęła Katrina. – Prawda?

– Herenniusz opowiedział mi swoją historię, czy może lepiej ująć to tak, że przed samą śmiercią wyraził swój gniew, żal oraz gorycz, iż sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny się potoczyć.

– A jak sprawy powinny się potoczyć?

– Furius był potworem i wiedział o tym. Był przeklęty. Obdarzony wielkimi mocami, ale jednocześnie wypaczony

i zdegenerowany, targany dzikimi instynktami, czasem nieumiejący panować nad własnymi popędami. On doskonale wiedział, że to jest przekleństwo… Długowieczność czy wręcz nieśmiertelność nie mogła mu wystarczyć. Cały czas tkwiła w nim świadomość tego, że miał być kimś więcej, że miał być kimś wyjątkowym w jak najbardziej szlachetnym sensie tego słowa…

Katrina poważnie skinęła głową.

– Czyż wielu spośród ludzi nie ma podobnej świadomości? Świadomości, że mieli być kimś większym i lepszym? Czyż zwłaszcza nie przychodzi im to na myśl wtedy, kiedy chcą wytłumaczyć przed światem krzywdy oraz niegodziwości, które wyrządzili, lub co najmniej głupotę, którą się cechowali?

– Też tak sądziłem. Że to urojenia potężnego umysłu, który wykorzystał tę potęgę w niegodziwym celu, ale wie, iż mogła mu służyć ku wielkiemu pożytkowi, i poniewczasie żałuje swej głupoty i słabości charakteru.

Katrina rozłożyła ręce.

– Usłyszałaś pierwszą i dłuższą część mojej opowieści – kontynuował Löwefell. – Ale kto wie czy to, co usłyszysz teraz, nie będzie niemiłym zaskoczeniem…

– Było ich więcej niż pięcioro, prawda? – zapytała natychmiast.

– Niestety – odparł Löwefell, nie zdziwiony bynajmniej jej domyślnością.

– Ilu więc? Pięciuset? – zadrwiła.

– Dziękujmy Bogu, że nie – odpowiedział poważnie. – Herenniusz ukazał mi wizję z siedmioma ludźmi. Zostali jeszcze kobieta i mężczyzna, o których nie wie Inkwizytorium.

– Kim byli? Wtedy w Palestynie?

– Nie wiem.

– Gdzie są teraz?

– Tego nie wiedział również Herenniusz.

– Skąd więc wiedział, że w ogóle żyją?

– Czuł, że żyją, i ja przez chwilę dzieliłem z nim to uczucie. Wydawało mi się prawdziwe.

– Znał ich?

– Nie. Nigdy ich nie widział poza tą straszną chwilą, którą wszyscy przeżyli na Golgocie, kiedy krzyżowano Chrystusa.

Katrina spojrzała w dół rzeki i pokręciła głową.

– Siedem – powtórzyła z niedowierzaniem w głosie. – Siedem. – Potem parsknęła. – Siedem wspaniałych wampirów, co?

Löwefell odpowiedział jej zgaszonym uśmiechem. Siedmiu Wspaniałych Rzymian było legendą, historią i opowieścią znaną na cały świat. Od wiejskich chat aż po królewski dwór. Oczywiście w dziesiątkach wersji niewiele było prawdy (nawet gdyby ją całą wyzbierać z każdej wersji), lecz tę heroiczną i dramatyczną opowieść znał każdy w Cesarstwie lub przynajmniej każdy o niej słyszał, każdemu ją opowiadano, kiedy był dzieckiem, albo słuchał jej wyśpiewywanej przez minstrela. Opowieści o siedmiu wampirach nie miał poznać nikt poza członkami Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium.

– Mogą być w Chinach, mogą być w Afryce… – powiedział Löwefell. – Trzymają się zapewne jak najdalej od nas, od cywilizacji, od zagrożenia.

– Być może – odparła Katrina. Potem odwróciła spojrzenie na swego towarzysza. – Któż wie jakimi mocami zostali obdarowani ci, których nie znaleźliśmy, o których istnieniu nawet nie wiedzieliśmy. A co, jeśli jest to moc maskarady, Arnoldzie? – Jej oczy błyszczały gniewem. – A co, jeśli jedno z nich lub oboje są wśród nas, tutaj, w klasztorze Amszilas, śledząc nasze zamierzenia, ruchy… Wtedy bym zrozumiała… – urwała nagle.

– Herenniusz Furius nie mógł się ukryć, Katrino. Dla każdego inkwizytora Wewnętrznego Kręgu błyszczałby z oddali niczym książę demonów… Równie dobrze mógłby chodzić z latarnią z Faros pod pachą…

Twarz Katriny złagodniała.

– Musimy zakładać każdą ewentualność, prawda?

– Oczywiście, również taką, że jeśli te dwie istoty nie są wymysłem chorego i zdegenerowanego umysłu Herenniusza, to mogą teraz błąkać się na drugim końcu świata. W jakiejś puszczy. Przecież aby znaleźć lasy, w których nie postała ludzka stopa, nie trzeba podróżować do Kamieni. Mało to borów gęstych i niezbadanych ciągnie się choćby we wschodniej Polsce? Te istoty są w stanie przeżyć wszędzie… – Pokręcił głową. – Kiedy Furius umierał, czułem się przez chwilę tak, jakbym był nim. Wiedziałem, że nic nie może mnie zabić. Ani brak pokarmu, ani brak napojów, ani wielki gorąc, ani wielkie zimno. Wiedziałem, że na lodowych pustkowiach mógłbym żyć równie dobrze, co na pustynnym końcu świata. Abym miał czym oddychać i abym od czasu do czasu mógł zabić żywą istotę, żeby czerpać z niej moc…

– Niebezpiecznie skuteczna zdolność przetrwania.

– Jest jeszcze gorzej – rzekł Löwefell. – I to może być dobrym wytłumaczeniem przyczyny, dla której Inkwizytorium nigdy nie natknęło się na ślady tych dwojga. Otóż wampiry potrafią poddać się hibernacji. I to nie tak jak niedźwiedzie czy jeże zasnąć tylko na czas zimy, ale umieją popaść w długoletni letarg przypominający do złudzenia śmierć. Tyle że oni się z niego budzą. Sam Herenniusz uważał, że kiedyś zapadł w sen, który trwał ponad dwadzieścia lat, a wyczytałem również w jego umyśle, że uważał, iż bez trudu mógłby przetrwać w tym stanie kilka razy dłużej.

– Przydatne – stwierdziła Katrina. Potem podniosła się z kamienia. – Arnoldzie, spowoduję, że oddadzą ci jak najszybciej Matyldę – oznajmiła. – Razem z nią i pod moją opieką rozpoczniesz poszukiwania tych dwóch naszych ukrytych wrogów.

– Jak sobie życzysz.

– Jeśli chcesz, możesz powtórzyć naszą rozmowę Mariusowi. Decyzję o tym, co uczynić, zostawiam w twoich rękach.

– Czy powinienem mu o tym powiedzieć?

Rozłożyła ręce.

– Sam musisz sobie udzielić odpowiedzi na to pytanie. – Potem uśmiechnęła się znowu. – I tak jak wszystko w klasztorze, będzie ona zapewne brzmiała w tej samej chwili zarówno „tak”, jak i „nie”…

– Do tego już zdążyłem się przyzwyczaić – odparł.

Löwefell zobaczył Mariusa, kiedy ten przechadzał się żwirowaną alejką wiodącą wokół zachodniego skrzydła klasztoru. Van Bohenwald szedł wolno, czy raczej sunął, kolebiąc się na boki, a lewą dłonią wymachiwał w powietrzu, zupełnie jakby dyrygował jakimś niewidocznym hufcem muzykantów. Löwefell chciał skręcić, żeby się nie spotkali, ale kiedy już się obracał, usłyszał tubalny głos Mariusa.

– Jak dobrze cię widzieć, Persie! – zakrzyknął van Bohenwald. – Chodź no do mnie, mój drogi chłopcze. Mamy do pogadania.

Löwefell zastanawiał się, jak Marius zareagowałby, gdyby po prostu zlekceważyć jego wołanie. Ale uznał, że po pierwsze, byłby to zbyt ostentacyjny gest, a po drugie, naprawdę chciał się dowiedzieć, czego van Bohenwald sobie życzy. No a po trzecie, Löwefellowi było wszystko jedno, w jakiej formie zwraca się do niego ten człowiek. Nie widział powodu, by odgrywać jakąś teatralną rolę urazy, obrazy czy poczucia krzywdy, skoro nic takiego nie odczuwał. Jedyne, co czuł, to ciekawość każącą pytać, dlaczego Marius w ogóle tak się zachowuje, i ciekawość każącą się zastanawiać, czy, kiedy i z jakich powodów przestanie.

– Mój kochany Arnoldzie – powiedział van Bohenwald tak ciepłym tonem, że gdyby ktoś go nie znał, mógłby uwierzyć w szczerość manifestowanych uczuć – zjawiłeś się w samą porę, dokładnie o czasie i w wymarzonej chwili, by mi towarzyszyć.

– Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność – odparł Löwefell. – Czy wybieramy się w długą podróż?

– Och, krótszą niż na Ruś – machnął ręką van Bohenwald. – Zaledwie do wschodniego skrzydła.

– Cóż tam znajdziemy lub z kim się spotkamy, jeśli wolno spytać?

– Z twoją ukochaną uczennicą Roksaną – rzekł Marius, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, które bardziej niż kiedykolwiek przypominały teraz obrane ze skorupek i zsiniałe ze starości jaja na twardo.

– Wspaniale – odparł spokojnie Löwefell. – Choć kiedy usłyszał słowa Mariusa, poczuł ukłucie pod sercem. Czy był to niepokój, czy była to nadzieja? Jeśli niepokój, to przed czym, a jeśli nadzieja, to na co?

– Ja myślę, że wspaniale – stwierdził van Bohenwald z dumą. – Manipulacja esencją życia, ten niezwykły zabieg, którego sam zostałeś przedmiotem. Niezbyt może udanym przedmiotem i na dodatek w czasie zabiegu, o którym nie można stwierdzić, że przebiegł zgodnie z naszymi oczekiwaniami. A więc ta właśnie manipulacja jest jedną z największych cudowności, jakich możemy doświadczać jako inkwizytorzy.

Pomijając zwyczajowe złośliwości w stosunku do Löwefella, Bohenwald miał oczywiście rację. Przeniesienie esencji człowieka (i to nawet martwego!), a więc jego jestestwa, jego duszy (chociaż niestety, tylko częściowo jego pamięci), do innego ciała było zabiegiem oszałamiającym niezwykłością. Dawało nadzieję na coś w rodzaju nieśmiertelności. Na razie może w pewien sposób ułomnej, ale jednak nieśmiertelności. Oczywiście pod warunkiem, że esencja życia została odzyskana lub zabrana o czasie. W innym wypadku bezpowrotnie znikała lub przenosiła się w miejsce, gdzie z całą pewnością nie mogła jej dosięgnąć żadna ludzka ręka.

– Czy Inkwizytorium często stosuje tę metodę? – zapytał Löwefell.

– Och, Inkwizytorium stosuje tę metodę tak często, jak to tylko konieczne – odparł z entuzjazmem van Bohenwald. – I tak często,

jak tylko pozwalają na to ograniczenia i przeszkody zwyczajne przy na tyle skomplikowanym procesie.

Odpowiedź nie była tak naprawdę odpowiedzią, ale Löwefell nie zamierzał naciskać. Nic by to nie dało, co najwyżej pobudziłoby van Bohenwalda do kolejnych żartów.

– Czy kiedykolwiek udało się zakończyć eksperyment sukcesem, czy też zawsze efekty są niezgodne z oczekiwaniami i wymagają, aby sam pacjent musiał naprawiać błędy swoich lekarzy? – zapytał. I choć pytanie można było odebrać jako złośliwe, bo w istocie takie przecież było, to Löwefell, patrząc na własny przykład, miał wszelkie podstawy, by w podobny sposób je sformułować.

Marius zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy towarzysza, a jego opuchnięta twarz nabrała odpychającego wyrazu.

– W czasie prób i zabiegów związanych z przywróceniem cię do życia omal nie zginęli dwaj dobrzy inkwizytorzy. – Potem wzruszył ramionami, a jego spojrzenie złagodniało. – To nie zabawa, Arnoldzie. To nie twoje asklepiosowe „czary-mary i już jesteś zdrowy", lecz magia, której mocy nawet nie pojmujesz i pewnie długo nie pojmiesz, jeśli w ogóle kiedykolwiek…

– Wybacz, ale pytałem tylko, czy kiedykolwiek osiągnięto idealny efekt w wyniku podobnego eksperymentu. Nie chciałem nikogo urazić.

Van Bohenwald wzruszył ramionami.

– Powiem ci coś, Arnoldzie, coś bardzo, bardzo ważnego… – Zbliżył się o dwa kroki i stał teraz tak blisko Löwefella, że zapewne mógłby polizać go w nos, gdyby wyciągnął język. – Od kilkunastu lat Inkwizytorium nieprzerwanie pracuje nad takim ukształtowaniem i przygotowaniem pewnego naczynia, by idealnie pasowała do niego wlewana esencja. Od kilkunastu lat, Arnoldzie! I ciągle nie mamy ani odwagi, ani pewności…

Löwefell zrozumiał, że albo usłyszał coś bardzo ważnego, co najzupełniej celowo i świadomie przekazał mu van Bohenwald, albo jest to kolejny mylny trop, jakaś z pozoru interesująca

ścieżka, mająca jednak wyprowadzić go na manowce. Ale jeśli była to prawda, jeśli Inkwizytorium tak pilnie i z takim wysiłkiem szukało cielesnej powłoki dla czyjejś duchowej esencji, to kim był ten ktoś? Kim był człowiek tak ważny, że nie ośmielano się go wskrzesić, by poprzez przedwczesny zabieg nie popełnić niewybaczalnego i nienaprawialnego błędu?

– Zapamiętaj moje słowa, Arnoldzie – przykazał poważnie van Bohenwald. – Gdyż może za czas jakiś, dłuższy lub krótszy, staniesz się świadkiem niezwykłej, niezrównanej i niebywałej, a przy tym fascynującej erupcji magii. – Wpatrywał się w Löwefella szeroko otwartymi oczami. – Która oby się zakończyła szczęśliwie. – Westchnął nagle. – Chociaż sama możliwość nieszczęścia zarówno powstrzymuje nas przed pochopnością uczynków, jak i paraliżuje strachem.

Marius co prawda nie wyglądał na kogoś, kto mógłby kiedykolwiek zostać sparaliżowany strachem, ale Löwefellowi wydawało się, że w tym zalewie ozdobników usłyszał istotną informację.

– Rozumiem z twoich słów, że pierwsza nieudana próba niweczy całą operację – powiedział. – Czy esencja znika, degeneruje się?

– Chodźmy, chodźmy. – Marius przyspieszył kroku tak gwałtownie, jakby startował do wyścigu biegaczy. – Nie mam czasu na pogaduszki z tobą, a i ty zaraz będziesz miał ręce pełne roboty, i to, jak mniemam, przez wiele, wiele najbliższych dni.

– Bynajmniej mnie to nie przeraża – odparł Löwefell.

Van Bohenwald tym razem zatrzymał się tak gwałtownie, że Löwefell musiał uskoczyć w bok, by nie wpaść na jego plecy. Był już przyzwyczajony do tych dziwnych zachowań Mariusa, czy to wynikających z temperamentu, czy też z upodobania do przyjmowania teatralnych i wystudiowanych póz, więc i tym razem to go nie zdziwiło. A jak zwykle okazał się na tyle zwinny, spostrzegawczy i na tyle szybko reagował, by uniknąć zderzenia z grubym inkwizytorem.

– A co cię przeraża, Arnoldzie? – spytał Marius bardzo poważnie i ze skupioną twarzą.

– Bezproduktywność oraz bezużyteczność – odparł Löwefell natychmiast i z pełną szczerością, na którą zdecydował się całkowicie świadomie.

Van Bohenwald stał przez chwilę w milczeniu, potem westchnął tylko i już spokojnie się odwrócił oraz równie spokojnym krokiem pomaszerował alejką.

– Nas wszystkich to przeraża, Arnoldzie – rzekł ze smutkiem. – Potężnie przeraża nas myśl, iż w swym zadufaniu i zuchwalstwie możemy nie poznać, kiedy nadeszła chwila, po minięciu której staliśmy się nieużyteczni, a może nawet szkodliwi. – Znowu się zatrzymał i znowu odwrócił w stronę Löwefella. Tym razem jednak uczynił to powoli i tym razem miał zmęczoną twarz oraz prawdziwie ponure oczy. – A najbardziej przeraża nas myśl, że wbrew swoim zamierzeniom i swojej woli staliśmy się wrogami Boga, chociaż przecież tak bardzo Go kochamy…

Młoda kobieta leżała na wznak w białej pościeli, z zamkniętymi oczyma i nieruchomą twarzą. Prześcieradło miała podciągnięte pod samą brodę, a na głowie czepek ukrywający bandaże. Spod okrycia widać było szerokie parciane pasy, gdyż dziewczynie unieruchomiono dłonie i stopy. Löwefell z ciekawością spojrzał na jej bladą twarz, ale ani teraz, ani wcześniej, kiedy wchodził do tego pokoju, nie poczuł żadnego drgnienia serca czy umysłu, które mogłyby świadczyć o tym, że odczuwa więź z nieprzytomną osobą leżącą w łóżku.

Kobieta miała płaską, jasną twarz, zdecydowanie za duży nos i kwadratowy podbródek. Wyglądała pospolicie. Nie była na pewno brzydka czy odstręczająca, ale po prostu zwyczajna, bezbarwna oraz pozbawiona wdzięku. Oczywiście pełnej oceny będzie można dokonać, kiedy otworzy oczy, uśmiechnie się i wypowie pierwsze słowa. Bo przecież nawet w przypadku ludzi wyglądających ordynarnie czy pospolicie ładny uśmiech, zniewalający głos lub rozumne spojrzenie potrafiły dodać uroku

i spowodować, że złe lub obojętne wrażenie wywołane pierwszym kontaktem mijało jak ręką odjął.

– Jak ci się podoba nasza Roksanka? – zapytał van Bohenwald z wyraźnie wyczuwalną ironią w głosie.

– W ogóle mi się nie podoba – odparł szczerze Löwefell. – Ale najbardziej nie podoba mi się to, iż nie czuję z nią żadnego związku.

– A sądzisz, że powinieneś?

– Tak, powinienem – stwierdził Löwefell zdecydowanie. – Chociaż tam, za Kamieniami, kiedy zdobyliśmy esencję ze ścierwa wiedźmy, także nie czułem, żeby gdzieś w środku istniała moja Roksana. Również ta dziewczyna – Löwefell podbródkiem wskazał leżącą na łóżku – wydaje mi się pusta jak gniazdo os w zimie…

– Niedobrze – mruknął Marius i Löwefellowi wydało się, że jest naprawdę zmartwiony tym, co usłyszał.

Milczeli chwilę.

– Cóż, później zastanowimy się nad tym problemem – zdecydował wreszcie van Bohenwald. – Na razie doprowadź ją do takiego stanu, żeby mogła oddychać, jeść, pić i z nami rozmawiać. I żeby nie umarła z wrażenia, kiedy dowie się, kim jest, w czyich przebywa rękach i jak teraz wygląda – dodał ze złośliwym rozbawieniem.

– Ja mam ją doprowadzić do takiego stanu? – zdziwił się Löwefell. – Czy przypadkiem nie było to waszym zadaniem? Nie znam się na takim sposobie klejenia ludzi, tak jak wy to czynicie, i nikt zresztą nigdy nie proponował mi edukacji w tym zakresie.

Van Bohenwald wzruszył potężnymi ramionami.

– Myśmy już swoje zrobili – powiedział. – I moim zdaniem powinna się ocknąć. Ale nie ma w niej – pstryknął palcami – tej pierwszej iskry, która poleci na hubę i próchno, by za chwilę zająć wszystko ogniem.

– W moim przypadku poszło sprawniej?

Marius spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– W twoim przypadku wszystko szło najgorzej, jak tylko mogło – wyjaśnił opryskliwie. – A teraz, z łaski swojej, weź się do roboty. Bo nie chciałbym, aby po tym, jak ponieśliśmy tyle wysiłków i kosztów, jedynym efektem naszej pracy stał się trup wieśniaczki.

– Domyślam się – mruknął Löwefell i podszedł do łóżka.

Przyglądał się nieruchomej twarzy przez kilka chwil, po czym przysunął sobie krzesło, usiadł obok łóżka i ujął dłoń dziewczyny. Skóra była chłodna, lecz nie zimna, a puls słaby, lecz wyczuwalny. Löwefell zsunął prześcieradło. Kobieta była ubrana w długą płócienną koszulę, sięgającą od szyi aż po kostki, ale inkwizytorowi to nie przeszkadzało. Mógł badać ludzi zarówno ubranych, jak i rozebranych, gdyż i tak myślą sięgał do ich wnętrza, a powłoka była sprawą drugorzędną. Kiedyś wolał czuć pod palcami nagą skórę, by lepiej się skoncentrować, teraz jednak było mu wszystko jedno.

Po wnikliwym badaniu na pewno mógł stwierdzić, że kobieta była perfekcyjnie zdrowa. Silna jak koń, można by powiedzieć. Aż dziwne w przypadku prostej dziewczyny z ludu, ale miała nie tylko świetnie uformowane narządy wewnętrzne, lecz również znakomicie wytrenowane mięśnie i, ku zdziwieniu oraz zadowoleniu Löwefella, gęste włosy i idealnie zdrowe zęby. W dodatku: wszystkie zęby, co wśród plebsu naprawdę zdarzało się niezbyt często, czy może lepiej nawet powiedzieć: niezmiernie rzadko.

– No i jak znajdujesz naszą dziewczynkę? – zagadnął van Bohenwald.

– Jest idealna – odparł szczerze Löwefell. – Jest wręcz stworzona do pracy i do rodzenia dzieci. Ale czy jest też stworzona do odkrywania tajników magii, tego ci teraz nie powiem, chociaż w tej profesji zdrowie i siła fizyczna również bardzo się przydają.

– To już będzie twoje zmartwienie, by dokończyć kształtowanie

Roksany.

Löwefell pomyślał, że jeśli sprawy mają się potoczyć tak jak w jego przypadku, to owo kształtowanie może nie tylko potrwać całe lata, ale również nie przynieść żadnych naprawdę znaczących efektów. Na razie siedział i po prostu trzymał kobietę za rękę, starając się, aby ich ciała zaczęły działać wspólnym rytmem. Miał nadzieję, że jeśli ona jest kołem młyńskim, to on stanie się rwącym potokiem, który ruszy i porwie owo koło do działania. Ale aby tak się stało, musiało minąć trochę czasu. I musiało zostać podjętych więcej niż trochę starań.

Dla Löwefella sytuacja z pogrążoną w letargu, ale jednocześnie idealnie zdrową fizycznie Roksaną była wyjątkowa. On sam, siedząc przy kobiecie i starając się dotrzeć do jej zamkniętego, niemego umysłu, również uczył się nowych rzeczy i stawał przed całkowicie nowymi wyzwaniami, innymi niż te, z którymi borykał się do tej pory. Organizm Roksany działał perfekcyjnie. Poza jednym, najważniejszym elementem. Jej mózg najwyraźniej nie życzył sobie powrotu do świadomego istnienia. Löwefell był wdzięczny losowi (czy może raczej umiejętnościom tych, którzy przywrócili Roksanę do życia), iż dziewczyna przynajmniej miała odruch przełykania. Dzięki temu można ją było karmić i poić, bo cóż byłoby smutniejszego niż to, gdyby po tylu magicznych zabiegach o nieprawdopodobnym stopniu komplikacji pacjentka umarła z głodu lub odwodnienia.

Inkwizytor starał się sięgnąć do umysłu Roksany, pobudzić go, ożywić, rozpalić w nim tę pierwszą iskierkę, na którą potem będzie można czule i ostrożnie chuchać oraz dmuchać. Ale wszystko na próżno. Nie pomagała ani magia, ani zwykła rozmowa, czy raczej lepiej powiedzieć: monolog Löwefella, który sądził, iż może jego słowa naruszą ten mur obojętności, jaki wybudował umysł Roksany, by chronić swą właścicielkę przed światem. Löwefell czytał nawet kobiecie poezje, książki filozoficzne i magiczne traktaty w perskim języku, licząc na to, że może brzmienie tej mowy, może słowa, z którymi się

wychowywała, rosła i dojrzewała, poruszą jakąś martwą strunę jej duszy. Ale jednak nie poruszyły.

Po kilku dniach Löwefell spotkał Mariusa i spodziewał się zwyczajowych wyrzutów, przytyków oraz złośliwości, ale tym razem van Bohenwald sprawiał wrażenie jedynie przygnębionego.

– Musimy uzbroić się w cierpliwość – rzekł, kiedy już wysłuchał raportu Löwefella.

– Mam wrażenie, że nawet jeden odprysk muru nie odpadł pomimo ciągłego bicia weń młotem – odparł inkwizytor. – Może nie jestem właściwą osobą, aby prowadzić ten zabieg…

– Może jesteś właściwą osobą, ale niewłaściwie postępujesz – powiedział van Bohenwald wyjątkowo bez niechęci czy szyderstwa, lecz jedynie tonem przypuszczenia.

– Może być i tak – zgodził się Löwefell.

– Jak długo to może jeszcze trwać?

– Jeśli będziemy ją karmić, poić, masować i dbać o inne jej wygody? Wtedy może żyć długimi latami, znajdując się przez cały czas w całkiem niezłej kondycji fizycznej i jednocześnie będąc równie bezużyteczną jak kłoda drewna.

– Czy istnieje jakiś pomysł, nawet szalony pomysł, który przyszedł ci do głowy, a którego realizacja wydaje ci się zupełnie niemożliwa i dlatego zarzuciłeś nawet myślenie o nim? – spytał van Bohenwald.

– Owszem – odparł Löwefell.

– Podzielisz się nim ze mną?

– Pomyślałem, że może w pałacu Narsesa, może widząc prawdziwą postać swego pana i mentora, może wtedy by się obudziła…

Van Bohenwald spojrzał na niego uważnie.

– Mogłoby tak być – rzekł. – Ale oczywiście jest to całkowicie niemożliwe nawet przy mocach, jakimi dysponujemy.

– Pytałeś o rzeczy niemożliwe…

– Próbowałeś dotrzeć do niej przez nie-świat, prawda?

Van Bohenwald zadał pytanie, na które, rzecz jasna, znał odpowiedź. W klasztorze nie dałoby się przenieść do nie-świata bez zwrócenia na siebie uwagi innych inkwizytorów. Zwłaszcza tych z nich, którzy zostali przygotowani do tego, by czuwać nad bezpieczeństwem klasztoru i jego mieszkańców.

– Oczywiście – odparł Löwefell. – W nie-świecie jest tak samo martwa jak tutaj. I tak samo jak tutaj nie działają na nią żadne bodźce pochodzące z zewnątrz.

– A więc zamknęła się w naprawdę solidnej skorupce ta nasza mała ostryga – skonstatował Marius.

– Zamknęła – zgodził się Löwefell.

– W jakiej postaci ujrzałeś ją w nie-świecie?

– Jest martwa. Biała niczym lód ze szczytów Demawendu. Leży w kamiennej, otwartej trumnie, ubrana w czerwoną suknię.

Löwefell przymknął powieki. Pamiętał tę suknię ze swoich wizji ukazujących pałac Narsesa. Roksana tańczyła w niej wśród płomieni.

– Czy jest piękna?

– O, tak – odparł Löwefell z przekonaniem. – Jest piękna. Ma rozpuszczone włosy, które okalają jej głowę niczym czarna aureola utkana z gęstego dymu. A czy mogę zapytać, Mariusie, dlaczego sam nie raczysz spojrzeć na nią poprzez nie-świat? Być może dostrzegłbyś coś, czego ja nie dostrzegam…

Van Bohenwald zwrócił wzrok na towarzysza.

– Nie domyślasz się, Arnoldzie?

– Byłeś, widziałeś ją i próbujesz porównać obraz, jaki ja widzę, z obrazem, jaki ty widzisz… – próbował zgadnąć Löwefell.

– Gdyby to było takie proste – szczerze westchnął Marius.

– Wybacz, ale nie pojmuję, co masz na myśli…

– Ba, nie dziwię się, gdyż ja sam również nie pojmowałem tego, co mi się przytrafiło. – Van Bohenwald odszedł kilka kroków i opadł na fotel z głośnym sapnięciem pełnym ulgi. – Ech, stare nogi, stare nogi, nie chcą już bezboleśnie trzymać ciężkiego kałduna…

Löwefell być może mógłby wziąć te żale za dobrą monetę, gdyby nie fakt, że nie raz i nie dwa widział, z jak błyskawiczną szybkością potrafi poruszać się Marius, kiedy tylko ma takie życzenie lub taką potrzebę.

– Cóż takiego ci się przytrafiło, jeśli mogę wiedzieć?

– Ja jej nie widzę, Arnoldzie – odparł van Bohenwald poważnym i smutnym tonem. – Widzę wszystko wokół, ale jej nie. Dla mnie po prostu jej nie ma. Ani martwej, ani żywej, ani pogrążonej w letargu. Ani w sukni, ani bez sukni. Natknąłem się na pustkę. Nie dostrzegam nawet śladu jakiegokolwiek istnienia.

Czy Marius próbuje mnie zwieść? – przemknęło przez myśl Löwefellowi. Ale dlaczego miałby to robić? Czemu miałoby to służyć?

– A Katrina? Może ona…

Van Bohenwald uniósł dłoń.

– Wiem, drogi Arnoldzie, że Katrina wydaje ci się panaceum na każde schorzenie, jakie dolega Świętemu Officjum, i szczerze ufasz, że jest ona władna rozwiązać każdy nasz problem. Zapewniam cię jednak po pierwsze, że się mylisz, a po drugie, niestety, spieszę cię poinformować, że Katrina również nie dostrzega Roksany.

– A więc próbowała?

– Oczywiście, że próbowała – prychnął Marius. – Zrobiła to natychmiast, kiedy tylko dowiedziała się, że ja sam nie dostrzegam Roksany. Nic nie powstrzymałoby Katriny przed natychmiastowym skonfrontowaniem własnych sił z tym problemem. I przed udowodnieniem, jak bardzo bieglejsza jest ode mnie – dodał.

Nie sądzę, aby Katrinę interesowała rywalizacja z tobą, pomyślał od razu Löwefell.

– Czy Katrina ujrzała tę pustkę uformowaną w ten sam sposób, co widziane przez ciebie nic? – spytał na głos.

– Bystre pytanie, Arnoldzie – pochwalił van Bohenwald. – Niestety, widziane przez nią nic jest dokładnie tym samym nic, które i ja obserwowałem.

– Ja ją widzę bardzo wyraźnie w każdym detalu – stwierdził Löwefell.

– Dlatego też uważamy, że wybranie właśnie ciebie do uleczenia Roksany było w każdym calu właściwym posunięciem. Masz klucz do tych drzwiczek, Arnoldzie. – Van Bohenwald wycelował palec prosto w pierś towarzysza. – Tylko na razie nie wiesz, w której kieszeni go schowałeś.

W tej prawdziwie zdumiewającej sytuacji, jaka miała miejsce, Löwefellowi nie było trudno zgodzić się z podobnym twierdzeniem. Opinia Mariusa o bezwarunkowej, ufnej, pełnej zachwytu wierze Löwefella w zdolności Katriny była może złośliwie przesadzona, niemniej Löwefell zastanawiał się, jak to w ogóle możliwe, że Katrina, umiejąca bez trudu podporządkowywać sobie nie-świat, tym razem stanęła przed tajemnicą, której nie potrafiła przejrzeć.

– Jeśli tylko przyjdzie ci coś do głowy… – rzekł van Bohenwald. – Jeśli tylko jakiekolwiek nieśmiałe przypuszczenie czy szalona hipoteza zaświta w twoim umyśle, nie wahaj się podzielić tym ze mną. Zrobimy wszystko, aby zrealizować nawet najbardziej obłąkany plan, jeśli tylko zobaczymy w nim szansę na przywrócenie Roksany.

– Ona jest ubrana w swoją wspaniałą perską suknię – rzekł Löwefell. – Pamiętam, jak w niej tańczyła. Pamiętam, jak kroczyła odziana w nią, dumna niczym królowa… Była tak niezwykle piękna. A jednocześnie złowroga i budząca podziw oraz pożądanie…

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że życie się w niej jeszcze tli, skoro daje mi się postrzegać pod taką postacią – odparł Löwefell.

– Co mamy zrobić? Zabierzesz jej suknię, a ona tak się o to pogniewa, że aż obudzi się z letargu?

Löwefell skrzywił usta.

– Chcielibyśmy, aby to było takie proste, prawda?

– Ba – odparł szczerze Marius.

– Pozwolisz, że o coś cię zapytam? – odezwał się Löwefell.

– Mów.

– Czy w klasztorze mamy ifryta?

Van Bohenwald przez chwilę przyglądał się towarzyszowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem prychnął.

– Chcesz wiedzieć, czy w najświętszym miejscu chrześcijaństwa więzimy przedstawiciela najbardziej plugawego, nędznego i obrzydliwego gatunku demonów? – spytał. – Demonów, które są wrogami nie tylko naszej świętej wiary, ale i całej ludzkości razem, jak i każdego człowieka oddzielnie? – Wzruszył ramionami. – Oczywiście, że mamy ifryta – stwierdził już bez teatralnego zadęcia. – Nawet niejednego.

– Tak sądziłem. – Löwefell poważnie skinął głową. – Czy jest ktoś, kto potrafi uwięzić ifryta w kryształowej kuli, tak jak czynił to Narses?

Marius milczał dłuższą chwilę.

– Narses był kompletnie szalony – rzekł wreszcie. – Mądry, biegły w sztuce, pozbawiony skrupułów i przy tym absolutnie obłąkany. Zaklęcie dziesiątek czy nawet setek ifrytów w kryształowych kulach, by używać ich jako lampionów. – Marius pokręcił głową. – Nie odważyłby się na to nikt inny na świecie i nikt inny by tego nie dokonał…

– Nie potrzebujemy dziesiątek ani setek, lecz zaledwie jednego. Jednego ifryta i jednego lampionu.

– Myślisz, że to pomoże? – Van Bohenwald spoglądał poważnym wzrokiem i pytał równie poważnym tonem.

– Mam cały czas ten obraz przed oczami – odparł Löwefell. – Widzę Roksanę, tak piękną i wyniosłą, emanującą żarem urody, młodości i władzy. Kroczyła w swej połyskliwej sukni przez komnatę, a na powierzchni luster i marmurów lśniły, migotały i błyszczały dziesiątki płomieni ifrytów. Ifrytów zamkniętych w kryształowych pułapkach. Jeżeli Roksana cokolwiek pamięta, to właśnie tę scenę.

– Miała wtedy władzę, miała wtedy urodę – pokiwał głową Marius. – Zgodzę się, że do tych czasów na pewno chciałaby wrócić.

– Stąpała po brzytwie – uśmiechnął się Löwefell i sam wiedział, że ten uśmiech jest, o dziwo, pełen nostalgicznego rozmarzenia. – A raczej nie tyle stąpała, co tańczyła na jej ostrzu z niezwykłą gracją oraz z niewypowiedzianym wdziękiem.

– Gdyby ifryty się uwolniły – van Bohenwald skrzywił usta – niewiele zostałoby nie tylko z Narsesa i jego poddanych, ale z całego pałacu. Musiała o tym wiedzieć, musiała to wszystko czuć… Tę nienawiść, to pragnienie wyrwania się na wolność. – Marius skinął głową. – Kto wie, może przypomnienie tych niezwykłych emocji, jakie nią wtedy targały, spowoduje, że teraz się obudzi. Jeśli w ogóle zobaczy i poczuje, że cokolwiek robimy. – Westchnął i wydawało się, że jest to westchnięcie wynikające z naprawdę szczerego zatroskania i zaniepokojenia.

Löwefell skinął głową.

– Pamiętam, że Narses czasem myślał, jak by to było rzucić ją na pożarcie ifrytom – powiedział. – Musiała zdawać sobie z tego sprawę. Że igra nie tylko z ogniem demonów, ale również z ogniem maga, który wcale nie jest lepszy od tych demonów. – Wzruszył ramionami. – A może i gorszy – dodał.

– Och, nie oceniaj siebie aż tak surowo – powiedział van Bohenwald już swoim zwykłym, złośliwym tonem. – Byłeś, jaki byłeś. Ale… – Uniósł palec wskazujący. – Pomysł

z przyprowadzeniem do Roksany ifryta uważam za interesujący. Nie będziemy mieli też kłopotu z zamknięciem go w kryształowym lampionie. Chociaż jeśli ta próba się nie uda i jeśli zażądasz więcej lampionów oraz więcej ifrytów, to ostrzegam cię, że w tym zakresie nasze możliwości są poważnie ograniczone… – dodał lekko.

Löwefell skinął głową.

– Domyślam się – rzekł. – Powiedz mi, na kiedy będziecie mogli przygotować ten… – przez chwilę szukał słowa – spektakl.

Marius wzruszył ramionami.

– Niemal natychmiast – odparł. – Dzisiaj po komplecie czekaj na wiadomość ode mnie. Przyślę kogoś po ciebie, więc bądź gotów…

– Zgoda.

Löwefell był szczerze zadowolony, że jego zamysł uda się przeprowadzić tak szybko. Wolał nie wmawiać sobie, że liczy na znakomity efekt czy że ma wielkie nadzieje, iż wszystko skończy się pomyślnie. Ale właśnie takie próby, nieoczywiste, niezwyczajne i wymykające się rutynie, należało w tym wypadku podejmować. Kto wie, może ta wreszcie przyniesie efekt, skoro zawiodły wszystkie inne sposoby, jakie kazało Löwefellowi stosować jego doświadczenie, zarówno medyczne, jak i magiczne.

Wysłany przez Mariusa mnich przybył, zgodnie z obietnicą, zaraz po komplecie.

– Mistrz van Bohenwald zaprasza – powiedział. – Wszystko zostało przygotowane.

Löwefell dłuższą chwilę przypatrywał się mnichowi. Ten, spłoszony czy skonfundowany, opuścił w pewnym momencie wzrok.

– Nieprawdopodobne – mruknął Löwefell do siebie samego.

Ujął głowę mnicha w dłonie, pozbawił go przytomności

słowem mocy, po czym ostrożnie ułożył ciało mężczyzny na podłodze. Odchylił powieki leżącego i dostrzegł pełzające pod źrenicami płomyczki. Skupił się na nich, ściągnął je pomiędzy własne palce i wtedy przyjrzał się krwisto-złotym błyskom, które migotały na skórze jego dłoni.

– Nieprawdopodobne – powtórzył raz jeszcze, mając na myśli, że uwięziony i zamknięty zaklęciami ifryt miał jeszcze na tyle dużo mocy, by zaatakować mnicha swą ognistą magią. Nie zrobiłby mu zapewne szczególnej krzywdy, gdyż płomień był zbyt słaby. Na pewno za słaby, by przejąć kontrolę nad umysłem i zachowaniem tego człowieka. Ale może wypaliłby mu oczy? Może doprowadziłby go do obłędu?

Inkwizytor ujął mnicha pod pachy, przeciągnął na łóżko i ułożył na kapie. Wiedział, że mężczyzna powinien ocknąć się za godzinę lub dwie, w zależności od tego, jak silny ma organizm. Ale nie będzie pamiętał nic poza tym, że rozmawiał z Löwefellem. No, może będą go przez kilka godzin piec oczy, tak jak gdyby sypnięto mu w twarz piaskiem, którego nie udało się do końca wypłukać spod powiek.

Löwefell skierował się do kwatery zajmowanej przez Roksanę, czy też raczej zajmowanej przez ciało wieśniaczki, która kiedyś może ocknie się jako Roksana lub daleki cień Roksany. W pierwszym pokoju czekał już van Bohenwald. Siedział w fotelu. Z głową położoną na oparciu, z rozłożonymi szeroko nogami. Odemknął powieki, kiedy tylko usłyszał otwierane drzwi.

– Zobaczyłeś to, prawda? – ucieszył się, ujrzawszy wchodzącego Löwefella.

– Jeśli mówisz o tym biednym mnichu, to tak, oczywiście zobaczyłem ogień w jego oczach… – odparł Löwefell.

Potem otworzył dłoń, a płomienie otoczyły jego palce tak gwałtownie, jakby te palce były nie ciałem, lecz nasmołowanymi draskami.

– Piękny ogień, nieprawdaż? – Van Bohenwald przyglądał się

przez chwilę migoczącym płomieniom. – Usunąłeś wszystkie?

Löwefell skinął głową.

– Magiczny – odparł. – Zarówno w przenośnym, jak i dosłownym znaczeniu. Czy mogę zapytać, w jaki sposób ifryt zaatakował tego mnicha?

– Nie powinien go zaatakować, prawda?

– Nie, jeśli byłby dobrze zamknięty. – Spojrzał na van Bohenwalda uważnie. – Ale ty go źle zamknąłeś, czyż nie?

Uśmiechnięty Marius skinął głową.

– Cieszę się, że natychmiast dostrzegłeś płomienie, i cieszę się również, że pozbyłeś się ich z taką łatwością. A co do twojego pytania, to tak: zostawiłem malutką szparkę. Przejście nie większe niż rysa, którą powoduje ziarenko piasku upadające na łebek od szpilki…

– Sprytny ifryt.

– Sprytny – zgodził się Marius. – Jest bardzo mocny i bardzo zły. Kazałem go torturować od samego rana, aby wprowadzić go w jeszcze gorszy nastrój.

– Znakomicie.

– Mogę prosić? – Van Bohenwald wyciągnął dłoń.

– Oczywiście.

Löwefell oddał mu płomienie, a one momentalnie zniknęły w ręce van Bohenwalda tak, jakby zostały wciągnięte pod skórę.

– Gdzież jest nasz ifryt?

– Ach, ten mały rozrabiaka – uśmiechnął się van Bohenwald, cały czas przyglądając się własnej dłoni. – Kazałem go wnieść do Roksany. Nie martw się, nie martw – rzucił szybko, spodziewając się, że Löwefell może coś powiedzieć. – Został dobrze okryty i przecież nie zostawiłem go samego z naszą księżniczką.

– Chodźmy więc.

– Ano chodźmy.

Van Bohenwald zerwał się z fotela tak szybko i tak zręcznie, jakby ważył nie przynajmniej dziesięć pudów, ale dwa razy mniej. Kiedy weszli do sypialni, Löwefell omiótł wnętrze szybkim spojrzeniem. Roksana, czy raczej wieśniaczka będąca nosicielką jej esencji życia, leżała nadal nieruchoma i z zamkniętymi oczami. Ale pod ścianą naprzeciwko siedział siwy, szczupły mnich, a obok niego na stole stało coś, co zostało nakryte czarną płachtą. Zarówno płachta, jak i sam mnich emanowali tak silną magią, że Löwefell ledwo, ledwo wyczuwał ifryta. Rzeczywiście trzeba przyznać, że demona zabezpieczono tym razem znakomicie. Löwefell miał tylko nadzieję, że van Bohenwald nie przygotował znowu kolejnej niebezpiecznej niespodzianki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Witajcie, mistrzu Löwefell – rzekł mnich, wstając z krzesła. – Jestem ojciec Eulampiusz, bo jak mniemam, nie mieliśmy jeszcze okazji się spotkać…

Löwefell rzeczywiście nigdy nie widział tego mężczyzny, ale otaczająca go aura, naprawdę bardzo silna aura mocy była mu znajoma. Prawdopodobnie Eulampiusz był jednym z tych potężnych mnichów, którzy czuwali nad bezpieczeństwem klasztoru.

– Na wieki wieków amen – odparł Löwefell.

– Co chcecie, abyśmy uczynili, mistrzu Arnoldzie? – spytał Eulampiusz.

– Sądzę, że powinniśmy zamknąć okiennice – rzekł Löwefell. – I wtedy dopiero, w całkowitej ciemności, zdjąć zasłonę z ifryta.

– Słusznie – zgodził się van Bohenwald. – Poszturchałeś go jeszcze trochę? – zwrócił się do mnicha.

– Został przygotowany tak, jak powinien zostać przygotowany – enigmatycznie odparł Eulampiusz.

Van Bohenwald i Löwefell zamknęli dokładnie okiennice i zgasili lampę oraz świecznik. W pokoju zapanowała niemal całkowita ciemność. Widać było zaledwie niewielkie pasemko światła sączące się przez drewnianą szparę. Ale pasemko to było

niemal niewidoczne, a z całą pewnością nie pomagało w ujrzeniu czegokolwiek w komnacie. Löwefell nie dostrzegał nawet własnych dłoni.

– Czy mogę zdjąć zasłonę? – spytał Eulampiusz.

– Zdejmuj – rozkazał van Bohenwald.

– Mistrzu Arnoldzie, chcę was ostrzec, że zjawisko, które zaraz zobaczycie, może być zaskakująco nieprzyjemne i może również mieć, kto wie, nawet gwałtowny przebieg…

– Ojczulku, mówisz do człowieka, który budował sobie z ifrytów lampiony w sali balowej – zaśmiał się van Bohenwald.

– Zwracam się do mistrza Arnolda Löwefella, a nie do perskiego maga – odparł zimnym tonem mnich. – Co robił i co potrafił Narses, wiem tak samo dobrze jak ty, Mariusie.

– Zdejmuj już to, zdejmuj – parsknął van Bohenwald.

Błysk był porażający. Gdyby słońce spadło na ziemię wprost w oczy Löwefella, wrażenie mogłoby być podobne. Wściekły ifryt, którego magia rosła do tej pory za zasłoną, teraz eksplodował niczym wybuchająca gwiazda. Löwefell nie spodziewałby się aż takiej siły, gdyby nie słowa Eulampiusza, ale i tak moc uderzenia go zaskoczyła. Ciekawe, dlaczegoż to van Bohenwald nie ostrzegł mnie, że doświadczenie może być aż tak niebezpieczne, pomyślał. Czyżby chciał, abym zobaczył, jak wiele dzieli mnie od Narsesa, który ifryty tresował niczym pieski pokojowe?

Wybuchy w kryształowym lampionie trwały przez jakiś czas, a pokój w ich rytm rozświetlał się krwistą czerwienią i płynnym złotem. Löwefell nie przyglądał się szalejącemu ifrytowi, lecz uważnie wpatrywał się w leżącą na łóżku kobietę. Niestety, nic nie wskazywało na to, że feeria błysków oraz erupcja magicznej mocy robią na niej jakiekolwiek wrażenie. Jej twarz zamieniała się raz w złotą, raz w szkarłatną maskę, a czasami na króciutki moment ginęła w ciemności, ale zawsze pozostawała tak samo nieruchoma. Jak martwa. I może naprawdę była martwa. Gdyby Löwefell nie widział Roksany w nie-świecie, gdyby nie ujrzał tam prawdziwej pięknej perskiej księżniczki ubranej w jej ulubioną

suknię, zapewne doszedłby do wniosku, iż nic nie jest w stanie wyrwać Roksany z letargu. Oczywiście próbowałby, ale bardziej z obowiązku niż z wiary i nadziei. Teraz jednak wierzył i miał nadzieję, pomimo że efekty były tak bardzo niezadowalające.

– Nic – rzekł głucho van Bohenwald.

Eulampiusz nie patrzył ani w ich stronę, ani w stronę Roksany. Cały czas uważnie obserwował ifryta, który miotał się w kryształowej pułapce z coraz mniejszą werwą. I nie świecił już tak oślepiającym światłem. Löwefell zbliżył się do stołu. Pochylił się i niemal przyłożył twarz do kryształowej powierzchni. Ifryt nagle, a stało się to w mgnieniu oka, znieruchomiał. Teraz dopiero widać było dokładnie jego poskręcane, płomieniste ciało i nieludzką twarz zastygłą w grymasie nienawiści i odrazy.

– Narssses – wysyczał ifryt. – Narssses…

Inkwizytor czuł gniew i nienawiść demona tak, jakby to były fale upiornego gorąca bijące z pieca hutniczego. Potrafił się przed tym obronić, ale był zdziwiony, że demon pomimo zamknięcia w magicznej pułapce nadal potrafi tak silnie oddziaływać na otoczenie. A tym razem Marius nie zostawił przecież żadnej szczeliny. Akurat to Löwefell zbadał natychmiast i dokładnie.

– Nie tylko ja tu jestem – rzekł. – Czy widzisz, kto leży na łóżku?

Ciało ifryta nawet nie drgnęło, ale głowa odwróciła się do tyłu tak płynnym ruchem, jak gdyby była przelewającą się wulkaniczną lawą.

– Roksssana – powiedział ifryt po długiej chwili. – Jakżeż ona jest paskudna w tym pięknym dniu. – Ślepia ifryta znów wpatrzyły się w Löwefella.

– Marzyliście o niej, prawda? Twoi bracia zamknięci w lampionach w moim pałacu, torturowani i poniżani… Służący jako oświetlenie, żeby Roksana mogła zgrabnie tańczyć, żeby wszyscy widzieli jej klejnoty, jej suknię, jej urodę, jej pantofelki… – Löwefell się roześmiał. – Marzyliście, żeby ją zniszczyć, splugawić, dręczyć, czyż nie? Żeby rozorać ją swoimi ognistymi członkami…

– Rokssaana! – Tym razem w syku demona rozbrzmiewała zarówno nienawiść, jak również nienasycone, drapieżne pożądanie.

– Oddam ci ją – stwierdził Löwefell. – Dostaniesz ją i zrobisz z nią, co zechcesz.

Kątem oka zauważył, że ojciec Eulampiusz drgnął, słysząc te słowa. Van Bohenwald był bardziej opanowany. Tylko się uśmiechał.

– Czego chcesz w zamian? – warknął ifryt i się rozjarzył.

Löwefell widział, że stara się tłumić gniew (demonom zawsze przychodziło to z ogromnym trudem) i że najwyraźniej uznał, iż pogawędka z inkwizytorem jest lepsza niż powrót za magiczną zasłonę i ewentualnie kolejne tortury. A poza tym kierunek, w którym toczyła się rozmowa, musiał go naprawdę zaintrygować. Löwefell pamiętał doskonale ze swoich wizji perskiej przeszłości, o czym marzyły ifryty. Jak bardzo pragnęły pognębić tych, którzy gnębili je same. Jak bardzo pragnęły odpłacić pięknym za nadobne, tylko w stukrotnym spotęgowaniu tej odpłaty.

– Chcę, abyś mi służył – rzekł Löwefell. – I abyś robił to nie ze strachu przed torturami, nie zmuszony magicznymi batami i zamknięty w magicznych klatkach. Chcę, abyś mi służył dlatego, że będę cię sowicie nagradzał za posłuszeństwo. Ale za nieposłuszeństwo ukarzę cię tak, aby opowieści o surowości tej kary były całymi latami powtarzane wśród demonów… – Uśmiechnął się. – Daruję ci Roksanę jako symbol naszej przyszłej przyjaźni. Będziesz mógł ją zabrać i dręczyć tak długo, jak tylko będziesz chciał. Ale nie zabij jej zbyt szybko…

Ifryt rozjarzył się błyskami przebiegającymi od ciemnego złota aż po karminową czerwień.

– O, potrafię utrzymywać ludzi przy życiu całymi latami – wysyczał złowrogo. – A kiedy ich umysł jest już pogrążony w odmętach szaleństwa, to ciało cały czas odczuwa jeszcze porażający ból…

– Znakomicie – stwierdził Löwefell.

– Dlaczego pragniesz ofiarować mi swoją uczennicę? – spytał nagle ifryt.

– Zdradziła mnie, kiedy byłem Narsesem, a teraz nie chce mi służyć, kiedy jestem Arnoldem Löwefellem – odparł inkwizytor obojętnym tonem. – Im bardziej bolesną znajdziesz dla niej karę, tym większą zyskasz moją przychylność.

Demon milczał dłuższą chwilę. Jego ciało żarzyło się teraz spokojnym, ciepłym blaskiem, jak kłoda przygasającego drewna ułożona w kominku.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Masz moje słowo, że będę ci służył, spełniał twoje żądania, życzenia i rozkazy, póki będę mógł dręczyć Roksanę…

– Jeśli ona umrze, będzie to tylko wina twojej pochopności, w związku z czym twoja służba zostanie przedłużona o dziesięć lat od chwili jej śmierci – zastrzegł Löwefell.

– Dwa – rzekł szybko demon.

– Siedem – odparł Löwefell.

– Pięć albo nic – warknął ifryt.

– A więc niech zostanie pięć – zgodził się inkwizytor.

Kiedy demon złożył już uroczystą przysięgę, Löwefell odwrócił się do mnicha.

– Otwórz kulę, ojcze Eulampiuszu. Niech ifryt dostanie swoją nagrodę.

Mnich zerknął na van Bohenwalda, a ten skinął głową.

– To sprawa naszego perskiego przyjaciela – powiedział. – Skoro uważa, że tak właśnie należy uczynić, to tak właśnie czyńmy…

Mnich rozpoczął modlitewną inkantację, a Löwefell z każdym słowem niemal fizycznie czuł, jak magiczne bariery ograniczające demona ustępują. I wreszcie ifryt był wolny, a kula

hamująca jego magię i jego ruchy zamieniła się w otwarty na górze kielich. Demon wyprysnął z szybkością, przy której skaczący gepard wydawałby się istotą zatopioną i zastygłą w bursztynowej żywicy. Jego płomienie na chwilę krótką niczym mgnienie oka otuliły Roksanę, która w tym samym momencie poderwała się z przeraźliwym krzykiem, pełnym trwogi, bólu i rozpaczy. Ale Marius van Bohenwald był niemal tak samo szybki jak ifryt. Jego dłonie splotły niewidzialną smycz i niewidzialny kaganiec, po czym odciągnęły ifryta z kobiety. Potem van Bohenwald zastygł na moment w zmaganiu z pałającym ogniem demonem, który próbował go wchłonąć i pożreć. A jeszcze potem, i stało się to zdumiewająco szybko, ifryt stracił blask, ściemniał, sczerniał, pokrył się bruzdami niczym błoto wypalone w pustynnym słońcu, aż wreszcie rozsypał się w popiół.

– Jesteś zbyt powolny, Arnoldzie – stwierdził van Bohenwald z naganą w głosie. Grubas nawet nie był zdyszany. – Jesteś zbyt ospały i zbyt ślamazarny. – Wyciągnął dłonie nad kryształową konchę i otrząsnął z nich popiół do jej środka. – Jeśli byłbyś tak łaskaw zamknąć tego figlarza z powrotem – zwrócił się do mnicha. – Przeczuwam, że powrót do poprzedniej formy nie zajmie mu dłużej niż godzinę.

Löwefell nie słuchał jednak ani przytyków van Bohenwalda, ani nie patrzył na to, co dzieje się z ifrytem. Siedział na łóżku obok Roksany, trzymał ją w objęciach i uspokajał modlitewnymi zaklęciami. Potem wyciągnął płomienie z jej oczu, serca i mózgu i oddał je van Bohenwaldowi, a w tym samym momencie kobieta opadła z powrotem na łóżko. Ale tym razem nie leżała sztywna niczym kłoda, nieruchoma jak trup w przygotowanym do zamknięcia grobowcu. Tym razem skuliła się w kłębek, podłożyła sobie dłoń pod policzek i zasnęła, równo oddychając. Tylko raz po jej twarzy przebiegł grymas, a pierś drgnęła od szlochu. Löwefell odwrócił od niej wzrok i spojrzał na swoich towarzyszy.

– Zwyciężyliśmy – stwierdził.

– Próbowałeś założyć zbyt duże buty, mój perski przyjacielu –

skwitował szyderczo Marius i wzruszył ramionami. – Ale pomysł, przyznam, miałeś całkiem interesujący…

– Cóż mogło nam grozić, kiedy ty czuwałeś obok? – spytał niewinnym tonem Löwefell.

Van Bohenwald przeciągnął się i spojrzał na resztki ifryta, które powoli z popiołu zamieniały się w okruchy żaru. Płomyczki coraz śmielej pełzały pomiędzy nimi.

– Zgoda – rzekł. – Byliście bezpieczni jak dziecko przy matczynym cycu. No dobrze. – Splótł palce i chrupnął kostkami, aż dźwięk rozległ się w całym pokoju. – Miła to była odmiana po wielotygodniowej gnuśności. Choć krótka – dodał, wzdychając z żalem. – Ale chodźmy już, ojcze – zwrócił się do Eulampiusza. – Schowamy te iskierki w bezpiecznym miejscu, a sami co? Może opróżnimy jakąś butelczynę? – Uśmiechnął się szeroko. – Tymczasem nasz drogi Arnold niech pilnie zajmuje się swoją ukochaną uczennicą. Powodzenia, mistrzu Löwefell! – zawołał na koniec tak głośno, jakby stali nie w niedużej komnacie, ale przynajmniej na dwóch krańcach wielkiej sali.

W tydzień po ocknięciu się nieprzytomnej kobiety ona i Löwefell byli pośrodku jednej z niekończących się, nic nieprzynoszących i męczących oboje dyskusji.

– W czym możesz mi pomóc, skoro jesteś równie upośledzona jak ja? – zapytał, nie starając się być uprzejmym. – A nie masz nawet części tej mocy, którą ja dysponuję.

Roksana rozpłakała się. Po prostu w jednej chwili ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Jej szerokie ramiona trzęsły się od tego łkania.

– Przestań – burknął Löwefell. – Nie sądzisz chyba, że twój płacz cokolwiek zmieni.

– Jestem nieszczęśliwa! – wrzasnęła, odrywając dłonie od twarzy. Miała czerwone i mokre od łez policzki. – Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego przywróciłeś mnie do życia? Byłam martwa,

rozumiesz? Martwa! Nie było nic wokół mnie. Nawet nie było pustki…

– Nie byłaś tak naprawdę martwa – powiedział, mimo że Roksana doskonale przecież o tym wiedziała, gdyż tłumaczono to jej wiele razy. – Twoja esencja życia nadal istniała. Gdybyśmy ci nie pomogli, zostałabyś przywrócona przez naszych wrogów. I zaręczam, że nie zajmowaliby się tobą tak uprzejmie, jak robimy to my w klasztorze.

Prychnęła jedynie.

– Kiedy umierałaś, prosiłaś, bym wyrwał cię z piekła, bym wyciągnął cię z otchłani cierpienia… – dodał.

Tym razem uderzyła pięściami w poręcze fotela.

– Tak, prosiłam! To prawda! I na domiar złego jest to jedna z niewielu rzeczy, jakie pamiętam. Prosiłam tak beznadziejnie i tak żałośnie, bo umierałam i byłam starą, ogłupioną wiedźmą. Ubzdurało mi się, że po śmierci diabli mogą porwać mnie do piekła, i sądziłam, że zamęczą mnie za wszystkie zbrodnie, jakie popełniłam w całym doczesnym życiu. – Wstała z fotela i wyprostowała się dumnie. – A tymczasem nie spotkała mnie żadna kara! Bo piekła nie ma, Arnoldzie. Nie ma żadnego sądu dusz i żadnych wyroków. Nie ma cierpienia, potępienia ani zbawienia. Tylko nicość. Tylko coś, o czym nie możesz nawet powiedzieć, że istnieje, gdyż to coś samo w sobie jest zaprzeczeniem jakiegokolwiek istnienia.

Löwefell machnął ręką z lekceważeniem.

– To, że osioł nie widzi woźnicy, nie oznacza, że ciągnięty wóz jest pusty – powiedział.

– I jeszcze to ciało! – Z wściekłością uderzyła się w twarz obiema dłońmi naraz. – To parszywe, ohydne ciało! Czy ta dziewka o bezrozumnym wyrazie pyska, z nogami jak słoń i barami niczym atleta ma być Roksaną? Przyjrzyj się tej białej skórze pełnej porów i wyprysków, spójrz na te nieforemne, szerokie stopy, zobacz te dłonie o krótkich, grubych palcach! To mam być ja?! To mam być ja?! – Ostatnie pytanie wywrzeszczała

już niemal ogłuszająco.

– Dodaj jeszcze głos skrzekliwy niczym u zarzynanej świni – dodał bezlitośnie Löwefell.

Zaczerpnęła tchu, by coś odpowiedzieć, ale inkwizytor uniósł dłoń, tym gestem nakazując jej zamilknąć.

– Kiedy ostatni raz cię widziałem, miałaś jakieś sto lat i wyglądałaś oraz cuchnęłaś niczym trup wyjęty po tygodniu z ziemi – rzekł. – Uważam więc, że chociaż zmiana nie jest idealna, to na pewno wyszła ci na dobre. Masz silne, młode i zdrowe ciało. I to jest najważniejsze, zarówno dla nas, jak i dla ciebie. A kwestie estetyczne? – Löwefell wzruszył ramionami. – One zależą jedynie od mody lub umowy.

Roksana zsunęła się z krzesła i opadła na posadzkę. Skuliła się i wcisnęła ramiona pomiędzy kolana.

– Łatwo ci mówić – powiedziała już spokojniejszym tonem. – W Persji wyglądałeś niczym spróchniały pień i śmierdziałeś jak rozgnieciony owoc durianu. A teraz? – Spojrzała na niego taksującym, lecz całkiem przychylnym wzrokiem. – Nie odmówiłabym ci, gdybyś chciał mnie odwiedzić w łożu.

– Narsesowi też byś nie odmówiła.

– Nie śmiałabym nawet pomyśleć o odmowie! – Usłyszał w jej głosie strach. – Byłam jego własnością. Ulubioną zabawką. Mógł zrobić ze mną wszystko, co chciał, a ja byłam szczerze wdzięczna, że pozwala mi czasem ogrzewać nocami swoje ciało. Nie rozumiesz tego? – Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Löwefell widział to szerokie, pospolite oblicze wielkonosej wieśniaczki i za nic w świecie nie mógł sobie wyobrazić twarzy pięknej Roksany. A przecież ciało było jedynie opakowaniem na osobę. Z tym że niestety, z samej osoby również nie zostało zbyt wiele.

– Niewiele pamiętam z czasu spędzanego z tobą w łożnicy – powiedział. – Zresztą mówiłem ci już, że moja pamięć jest

książką, która na wielu kartach dopiero wymaga zapisania. Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż sądzisz, księżniczko. – Uśmiechnął się życzliwie.

W żaden sposób nie dała poznać, iż spodobało jej się słowo „księżniczka". A przecież nią była. Prawdziwą perską księżniczką z rodu, którego korzenie sięgały samego serca imperium. Skinęła tylko głową.

– Zastanawiam się, na ile jesteśmy nimi, tymi ludźmi z Persji, a na ile jesteśmy zaledwie pustą kartą, którą dopiero zapiszemy, jak to powiedziałeś? Którą zapiszemy naszymi uczynkami dokonanymi teraz i tutaj lub w przyszłości nas czekającej?

Szybko doszła, by zadać odpowiednie pytanie, pomyślał Löwefell trochę z zadowoleniem, a trochę ze smutkiem, bo przecież od samego początku dręczył go ten sam problem.

– Nie wiem – odpowiedział. – I nie wiem również, na ile zmieni nas przyszłość, a na ile zmienią nas obrazy powracającej przeszłości.

– Czy ona gdzieś jest? – Złożyła ramiona na piersiach i wpatrzyła się w niego wzrokiem pełnym smutku, ale też oczekiwania. – Powiedz mi, panie mój, Narsesie, czy jest w nas przeszłość? Czy ona istnieje niczym galeria obrazów w zamkniętej komnacie, do której jednak możemy kiedyś znaleźć klucz? Czy może nasza przeszłość jest niczym pałac, który do szczętu spłonął i z którego popiołów nie da się nic odbudować?

Gdybym tylko znał odpowiedź, pomyślał z goryczą Löwefell. I gdybym mógł jeszcze wiedzieć, czy ten powrót wspomnień okaże się przekleństwem, czy dobrodziejstwem. Nieważne, czy będzie przekleństwem lub dobrodziejstwem dla mnie samego, ale czy okaże się korzystny dla naszej Sprawy?

– Kiedyś się tego dowiemy – odparł pewnym głosem, lecz Roksana, słysząc te słowa, tylko machnęła pogardliwie ręką, po czym skuliła się i ukryła twarz w dłoniach.

Stali na szczycie muru, tuż przy łuczniczych blankach, oczywiście zarówno zbytecznych, jak i nigdy nieużywanych, bo w całym chrześcijaństwie nie było takiej siły, która odważyłaby się zaatakować klasztor Amszilas. Zresztą w wypadku takiej niewyobrażalnej napaści klasztor i tak miałby skuteczniejsze metody obrony niż te, które zapewnić mogli żołnierze.

Poranek był chłodny i mglisty, z murów nie było nawet widać zakola rzeki łamiącej się wśród wzgórz, a tylko jasnoszarą zawiesinę, znad której wyrastały korony drzew. Było cicho i pusto, lecz Löwefell wiedział, że ta pustka i cisza mogą być złudne. W Amszilas nigdy nie było wiadomo, czy nie obserwują cię oczy i nie słuchają cię uszy, których ty ani nie widzisz, ani nie słyszysz. Löwefell mógł podejrzewać, że są chwile, zapewne nawet całkiem długie, kiedy pozostaje nieobserwowany, ale akurat teraz, kiedy przebywał z kimś, w kogo przelano esencję życia Roksany, najprawdopodobniej nieustannie śledzono ich oboje. I nie tylko dlatego, by ich podejrzewano o cokolwiek złego (choć rzecz jasna, w klasztorze nigdy nie odrzucano żadnej możliwości), lecz by zapewnić im bezpieczeństwo.

– Jak tu jest ponuro, pusto i zimno – powiedziała Roksana z obrzydzeniem i otuliła się szczelniej szalem. – W naszych górach, nawet kiedy leżały śniegi, to powietrze było przejrzyste niczym kryształ i świeże jak oddech wiatru wiejącego znad lodowców…

© Fabryka Słów

– Nie przyzwyczaiłaś się jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– Niewiele pamiętam z czasów Koblencji, mówiłam to już wiele razy…

– Kazano mi rozmawiać z tobą i pytać cię – odparł Löwefell. – Liczą na to, że któreś z pytań wreszcie otworzy drzwiczki w twojej pamięci.

– A twoje drzwiczki? Czy twoje drzwiczki się otwierają? – zapytała szyderczo.

– Czasami – odparł spokojnie. – Jedne szerzej, inne nie tak znowu szeroko. Ale będę czekać.

– Chciałabym wrócić do Persji – powiedziała, spoglądając w mgłę z takim smutkiem na twarzy, że Löwefell aż odczuł jej ból.

– Nigdy tam nie wrócisz – rzekł obojętnym tonem. – Zresztą teraz, z tym, jak wyglądasz i kim jesteś, twój los byłby dużo gorszy niż tutaj.

Po chwili skinęła głową.

– To prawda – odparła. – Mojego ciała już nie ma i nigdy do mnie nie wróci. A umysł – wzruszyła ramionami – on też został wypalony.

– اما هنوز هم فارسی صحبت می کنی[1] – powiedział z lekkim uśmiechem.

– و من صدای من ناخوشایند را می شنوم[2] – odparła ponuro i zacisnęła wargi.

Rzeczywiście, Löwefell już wcześniej wyraźnie słyszał, że jej perski stracił melodyjność i prawidłowy akcent. Niewprawne usta i język wieśniaczki nie potrafiły sobie poradzić z komplikacją mowy, w której nigdy ich nie ćwiczono.

– Dlaczego wybrałaś bękarta Katarzyny, by zakląć w nim Szachor Sefer? – zapytał.

Myślał, że będzie rozdrażniona, bo przecież wiele razy zadawano jej to pytanie. Ale sprawiała wrażenie tylko zrezygnowanej i osowiałej.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem. Nie pamiętam ani jego, ani Katarzyny.

– Zaklęłaś Czarną Księgę zaklęciami ognia i krwi, a wiedząc, że inkwizytorzy są na twoim tropie, przeniosłaś ją w ciało i umysł tego chłopca. Dlaczego?

– Nie wiem.

– Jest już dorosłym człowiekiem – stwierdził Löwefell. – Nazywa się Mordimer Madderdin i został inkwizytorem…

– On żyje? – zdumiała się. – Wie, czym jest?

Löwefell uświadomił sobie, że rzeczywiście do tej pory nikt nie powiedział Roksanie, że ten, którego poznała jako chłopca, żyje. Zresztą nie interesowała się tym. Czy nie miała teraz pojęcia, jak ważna była Księga, czy tylko chciała sprawiać wrażenie, iż takiego pojęcia nie ma?

– Inkwizytorium chroni go, na ile to możliwe bez zwracania uwagi wszystkich wokół. A czy wie, kim jest? Nie, nie ma pojęcia, co mu zrobiłaś…

– Ja też nie mam pojęcia, co mu zrobiłam – odpowiedziała ironicznie. – Chociaż naprawdę bardzo bym chciała sobie przypomnieć.

Milczeli dłuższą chwilę, wpatrzeni w mgłę, która wolno, lecz nieubłaganie wędrowała w górę i teraz pozostawiła na widoku już tylko czubki najwyższych drzew.

– Czy wiesz, czym jest ta księga, na której wszystkim tak bardzo zależy? – zapytała Roksana.

– Wiem, że z jakiegoś powodu Szachor Sefer jest bardzo ważna. Dla Świętego Officjum, dla Persów, a więc i dla całego świata. Narses znał ten powód. Prawdopodobnie ty też go znałaś…

– Czy oni wiedzą? – Wykonała ruch głową w stronę głównego

budynku klasztoru.

– Może wiedzą, może wydaje im się, że wiedzą, może zwodzą mnie, sugerując, że wiedzą, albo zwodzą mnie, sugerując, że nie są pewni istoty tej wiedzy – odparł zgodnie z tym, co naprawdę sądził.

– Pamiętam, że w Persji żyliśmy zawsze w strachu – powiedziała zamyślona. – W strachu, który był tak ważną i niezbywalną częścią naszego życia, że w zasadzie przestał być odczuwalny. Tak jak nie czujemy powietrza, którym oddychamy, póki nie zastanowimy się i nie skupimy nad własnym oddechem…

Löwefell pomyślał, że słowa Roksany idealnie oddają to, co działo się w Persji. Być może aż tak silnie strachu nie odczuwał Narses, który był władcą, magiem i panem życia i śmierci tysięcy ludzi, lecz na pewno obawę, o której mówiła Roksana, musiał czuć każdy z jego poddanych.

– Wiedziałam, że czasem myślisz, żeby rzucić mnie do zabawy ifrytom. Że byłoby uciesznie słyszeć, jak krzyczę i płaczę, kiedy będą mnie rozdzierać swymi ognistymi członkami…

Löwefell drgnął, bo przecież i on, przypominając sobie perskie czasy, miał podobne wspomnienie.

– Ale wiedziałam, że tego nie zrobisz – kontynuowała Roksana. – Tak jak ja nie zabiłabym ciebie, nawet gdybym mogła to bezkarnie uczynić.

– Dlaczego?

– Mogłam się jeszcze tyle nauczyć. – Przymknęła oczy. – Pamiętam to uczucie. Pożądanie. Ciekawość. Radosne oczekiwanie na to, co przyniesie kolejny dzień. Narsesa to bawiło, ale… – urwała na chwilę. – Wiedział, że jeśli mnie zabije, to długo nie znajdzie już nikogo, kto tak dokładnie i dogłębnie pojmie jego nauki. Zostałby sam…

Jej pospolita buzia stała się niemal ładna, kiedy wypowiadała te słowa, i przez ułamek chwili Löwefell miał wrażenie, jakby

pojawiła się przed nim piękna, zamyślona twarz perskiej księżniczki. Ale to uczucie natychmiast minęło, zostawiając po sobie niechciany i nieoczekiwany smutek.

– I nie pamiętasz z tych nauk nic… – podsumował Löwefell.

Obróciła w jego stronę twarz ściągniętą gniewem.

– Oboje nie pamiętamy! Nie pamiętamy, a nawet nie pojmujemy naszej magii. Naszej wielkiej, wspaniałej magii. – Zacisnęła ręce na kamiennej balustradzie, tak że kostki jej dłoni zbielały. – Jesteśmy kalekimi tworami inkwizytorskich czarów. Bezwartościowymi lalkami w ręku Officjum.

– Gdybyśmy naprawdę byli bezwartościowi, dawno by nas usunięto – zauważył Löwefell.

– Jesteśmy bezwartościowi w porównaniu z tym, kim byliśmy niegdyś – odparła natychmiast. – Byliśmy tytanami, których głowy wyrastały znad chmur, a teraz pełzamy w błocie niczym glisty. – Potem obróciła się gwałtownie w stronę inkwizytora. – Wiesz, jak się czuję? Czuję się jak kura dziobiąca w piasku, zajęta poszukiwaniem robaków. Ta kura pamięta, że niegdyś była orłem, że latała pod chmurami. – Roksana wyciągnęła ramiona w mgliste, szare niebo. – Że patrzyła z wysokości chmur na wszystkie te nędzne, pełzające naziemne istoty, pamięta, że pogardzała takimi kreaturami, do jakich sama teraz należy… – Opuściła ręce, a jej uniesienie minęło. – Tak właśnie się czuję – dokończyła z gniewem, który jednak zaraz zdominowała rozpacz.

– Czy ja jestem kurą? – zapytał Löwefell pobłażliwie. – Potrafię korzystać z mocy, której Narses nigdy nie posiadał. Mam wiedzę, o jakiej nawet nie marzył. To prawda, że chcę poznać jego dawne sekrety, ale nie znaczy to, że teraz stoję niżej niż on. Ja po prostu stoję gdzie indziej…

Wzruszyła ramionami.

– Może ty już się przyzwyczaiłeś do roli marionetki inkwizytorów. Ale ja nie przyzwyczaję się do tego nigdy. Może nie pamiętam zbyt dobrze mojej Persji, ale wiem, że świat, w którym teraz utkwiłam, nie jest mój. Nigdy nie był i nigdy nie

będzie.

– Po co więc pojawiłaś się w Cesarstwie?

– Nie pamiętam.

– Jak opuściłaś Persję? Czy uciekłaś? Czy wysłano cię z misją?

– Nie wiem.

– Skąd miałaś Czarną Księgę? W jaki sposób ją zdobyłaś?

– Nie wiem.

– A czemu Narses opuścił Persję? Czemu pojawił się w Bizancjum?

– Nie mam pojęcia!

– Dlaczego nie zabrał ze sobą Roksany? Czemu zostałaś w Persji, kiedy on wyruszył?

– Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem!

– Bo to właśnie ty wydałaś go inkwizytorom – oświadczył lodowatym tonem Löwefell. – Wiedziałaś o jego misji i doniosłaś o niej wrogom Persji.

– Nieprawda! – wrzasnęła, obracając w jego stronę twarz zmienioną wściekłością, zaczerwienioną od gniewu.

– Skąd wiesz, że nieprawda?

Odetchnęła głęboko, potem przymknęła oczy.

– Bo to nielogiczne – odparła trzeźwym głosem. – Utrata władzy przez Narsesa spowodowałaby potężne zamieszanie w całej Persji. Jego wrogowie mogliby mnie zabić, zniewolić, upokorzyć. Nie byłam tak silna, żeby się samej obronić. Jeszcze nie…

– Może dogadałaś się z wrogami Narsesa?

– Bałabym się. – Potrząsnęła głową. – Gdyby Narses dowiedział się o mojej zdradzie, nic nie uratowałoby mnie przed naprawdę długim umieraniem w niewyobrażalnych cierpieniach. Poza tym mówiłam ci już, że nie mogło mnie spotkać nic lepszego niż bycie

pierwszą i najważniejszą uczennicą najpotężniejszego maga Persji…

Tak, to, niestety, brzmiało całkiem logicznie. I oczywiście nadal nic nie wyjaśniało.

– Czy odwiedzasz Persję w snach? – spytał.

– Prawie nie sypiam – poskarżyła się. – Całymi nocami leżę i patrzę w sufit. Czasami czytam te głupie chrześcijańskie księgi, żeby jakoś zabić czas…

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – żachnął się Löwefell. – Pomogę ci, sprawię, że sen wróci.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno.

– Rozkażę również, by dawano ci do czytania księgi, które bardziej cię zaciekawią – obiecał.

To ją na moment ożywiło.

– Magia? Będziesz mnie uczył magii? Tak jak kiedyś?

– Nie – odparł i ta odmowa natychmiast zgasiła jej uśmiech i ożywienie. – Ale magia, którą znamy w Świętym Officjum, jest inna niż magia Persów. Co wcale nie znaczy, że jest mniej potężna. Warto, żebyś poczytała o niej i ją zrozumiała.

– Skoro tak mówisz… – Nie usłyszał w jej głosie zaciekawienia, a jedynie posłuszną rezygnację.

Löwefell widział doskonale tego mężczyznę, gdyż stał on samotnie na dziedzińcu klasztoru, oświetlony blaskiem słońca. Był wysoki, barczysty i jasnowłosy, z charakterystycznie odstającymi uszami i szramą w kształcie sierpa, która biegła od kącika lewego oka aż pod lewy kącik wargi. Löwefell poznał go natychmiast. A raczej nie poznał, gdyż jako inkwizytor Löwefell nie spotkał go nigdy, mógłby to przysiąc. Nigdy! On go sobie przypomniał z zakamarków niepamięci. Przypomniał sobie, że spoglądał kiedyś na tego mężczyznę stojącego na marmurowej

podłodze i oświetlonego tak jak teraz promieniami słońca. Tyle że we wspomnieniu Löwefella wpadały one poprzez wykute w ścianie ogromne półkoliste okna. Za tymi oknami widać było strzeliste wieże katedry pod wezwaniem Marka Kwintyliusza, górujące nad cieśniną Hellespontu. Löwefell zrozumiał, że obraz przeszłości pochodzi z Bizancjum. Zrozumiał to i zdumiał się, gdyż nie umiał sobie wytłumaczyć, w jaki sposób Narses, perski mag i wróg chrześcijaństwa, mógł trafić do Bizancjum nie w przebraniu i również nie w charakterze więźnia. We wspomnieniu bowiem Narses siedział na zdobnym wysokim krześle przypominającym tron i spoglądał na wysokiego, jasnowłosego inkwizytora, który stał kilkanaście kroków przed nim. Za plecami tegoż inkwizytora stało sześciu jego towarzyszy. Wszyscy w czarnych płaszczach z wyhaftowanymi srebrnymi, połamanymi krzyżami. Ale żaden z nich ani nie sprawiał wrażenia wrogo nastawionego, ani nawet zaniepokojonego.

Löwefell zamrugał i cofnął się dwa kroki, tak by człowiek stojący na dziedzińcu nie mógł go zobaczyć, nawet gdyby podniósł głowę i spojrzał w jego stronę. Zresztą na zdrowy rozum było to niepotrzebne zabezpieczenie, gdyż Löwefell w niczym nie przypominał fizycznie Narsesa. Miał inną twarz, inną posturę, inaczej mówił i inaczej chodził. Z dawnego perskiego maga pozostały jedynie strzępy wspomnień.

Katarzyna mówiła, że Löwefell stoczył śmiertelną walkę z inkwizytorami, w której to walce został ciężko ranny, a jego umysł uległ nieodwracalnym uszkodzeniom. Przywołując z pamięci obraz spokojnie stojących funkcjonariuszy Świętego Officjum, trudno było w to uwierzyć i tym bardziej prawdopodobne wydawały się słowa Matyldy. Ta scena sprawiała wrażenie raczej audiencji, której Narses im udzielał… Perski mag? W Bizancjum? Oczywiście, że bizantyjskich cesarzy zawsze oskarżano o zbyt zażyłe konszachty z Persami, i dlatego Löwefell nie zdziwiłby się, gdyby obraz z przeszłości ukazywał Narsesa przebywającego na dworze cesarza, otoczonego bizantyjskimi arystokratami. Ale Narses w towarzystwie inkwizytorów? Czy byli zdrajcami? Ale czyż zdrajcy jawnie

zakładaliby czarne płaszcze ze srebrnymi krzyżami?

Löwefell naprawdę nie wiedział, co sądzić o tej wizji, i zdawał sobie sprawę, iż wyjaśnienie może przynieść tylko upływ czasu i kolejne powracające wspomnienie. Albo… rozmowa. Tylko z kim? Z jasnowłosym inkwizytorem? Ten nie zdradziłby się żadnym słowem, nawet jeśli wiedział, że Löwefell jest nowym wcieleniem Narsesa. Nie powiedziałby nic ani w przypadku, jeśli w Bizancjum działał za wiedzą Świętego Officjum, ani tym bardziej jeśli przebywał tam wbrew woli Świętego Officjum. Marius? Taaak. Marius mógł wiedzieć wszystko, ale zasadnicze pytanie brzmiało, jakim fragmentem tej wiedzy zechciałby się podzielić i czy byłby to fragment prawdziwy, czy też sfałszowany. Pozostawała oczywiście Katrina, kobieta, do której Löwefell czuł sympatię, ale co do której był też przekonany, że w najoczywistszy sposób jej zadaniem było stać się osobą tą sympatią obdarzoną. Czyż nie liczono, że w chwili kryzysu lub słabości inkwizytor skieruje swe kroki właśnie do niej? Tak czy inaczej, nie miał wielkiego wyboru. Mógł zapukać do apartamentów Katriny, mógł również zapytać służących, gdzie ona teraz przebywa, ale ponieważ lubił ćwiczyć umysł, pogrążył się w medytacji. Przywołał przed zamknięte powieki obraz klasztoru, a raczej tej jego części, którą poznał i zwiedził, a potem skoncentrował myśli na Katrinie. Na jej twarzy i oczach, na jej włosach i ramionach, na tym, jak stawiała stopy, jak uśmiechała się i jak mówiła. W pewnym momencie wizja była już tak silna, że kobieta przed jego oczami wydawała się nie obrazem, ale płynnie poruszającą się figurą, do złudzenia przypominającą człowieka ulepionego z ciała, krwi i kości. I w pewnym momencie Löwefell nagle wiedział, a może raczej nie tyle wiedział, ile doznał nagłego intuicyjnego przeświadczenia, że Katrina przebywa w dolnej kaplicy. W tym niewielkim kamiennym pomieszczeniu, zdominowanym przez potężny Krzyż Nieskończoności, w którym w wielki krzyż wtapiały się krzyże coraz mniejsze i mniejsze, aż do takich, których nie można już było dostrzec, ale których istnienie wyczuwane było myślą, nie spojrzeniem.

Zgodnie więc z wizją Löwefell powędrował do kaplicy i również zgodnie z ową wizją zastał w niej Katrinę. Stała dwa kroki od Krzyża Nieskończoności, ale kiedy tylko inkwizytor przekroczył próg, obróciła się w jego stronę i uśmiechnęła.

– Miło mi, że szukałeś mnie tak pilnie, Arnoldzie – powiedziała ciepłym głosem. – Chociaż zapewne wystarczyło zapytać służących.

No tak, pomyślał inkwizytor, trudno przypuszczać, aby Katrina ze zdolnościami, którymi dysponowała, dużo przewyższającymi moje własne, nie zorientowała się, iż usiłuję zbadać, gdzie przebywa.

– Nie od razu to potrafiłem – wyjaśnił Löwefell. – I lubię ćwiczyć tę zdolność, jeśli ci to nie przeszkadza…

– Och, oczywiście, że nie. Czym mogę ci służyć?

– Dziękuję, że pytasz, bo rzeczywiście przychodzę z prośbą o pomoc. Otóż widziałem dzisiaj na dziedzińcu pewnego inkwizytora, którego twarz wydała mi się znajoma – zaczął obojętnym tonem. – Ale nie mogę sobie przypomnieć, w jakiej sprawie razem uczestniczyliśmy, czy też dokąd zawiał nas ten sam wiatr. – Skrzywił usta w grymasie.

– Ty czegoś nie pamiętasz, Arnoldzie? – odpowiedziała mu uśmiechem. – Jak wyglądał?

– Jasne, długie włosy, potężnie zbudowany. Na policzku paskudna blizna w kształcie sierpa…

– Oczywiście! – Klasnęła. – Ale nie możesz go, niestety, znać. To Magnus Thorwaldson. Dawno, bardzo dawno nie gościliśmy go już w Amszilas. W ogóle nie mieszkał w Cesarstwie. Dlatego cieszymy się, że wrócił.

– Magnus Thorwaldson – pokręcił głową rozczarowany Löwefell. – Nic mi nie mówi to nazwisko, a wygląd jednak znajomy… Ta blizna… – Inkwizytor dotknął własnego policzka. – Tak charakterystyczna.

– Czemu go sam nie spytasz? – Wzruszyła ramionami.

– Tak, tak właśnie zrobię, bo nie da mi to spokoju – zgodził się Löwefell.

– Kiedy Magnus był bardzo młody, brał udział w wyprawie na Islandię – powiedziała Katrina. – Zdaje się, że to tam dorobił się tej paskudnej blizny, którą, mam wrażenie, całkiem lubi, skoro nie zrobił nic, by ją usunąć.

– Na Islandię? Nie wiedziałem, że inkwizytorzy żeglowali tak daleko na północ. Przynajmniej ostatnio…

– No cóż, to nie do końca była misja Świętego Officjum. – Znowu się uśmiechnęła. – Powiedzmy, że była to raczej wyprawa mająca zaspokoić ciekawość norweskiego króla.

– Czego on tam się spodziewał oprócz buzujących wulkanów, zastygłej lawy i zatrutych jezior?

– A któż z nas umie podążyć za myślami władców? – spytała sentencjonalnie.

Tak, oczywiście, pomyślał Löwefell, i nie wiedząc, po co płyną Norwegowie, Inkwizytorium pozwoliło wziąć udział w wyprawie jednemu ze swoich. Zresztą na pewno nie jednemu. Święte Officjum nie wysłałoby na Islandię samotnego, młodego inkwizytora. Musiał z nim płynąć ktoś jeszcze. Ktoś starszy i ważniejszy.

– Znaleźli coś?

– Drogi Arnoldzie, skoro jesteś tak ciekawy tej podróży, to przeczytaj w naszej bibliotece raport z wyprawy. Ale uprzedzam: nie jest ani długi, ani ciekawy…

Jeżeli było w nim coś naprawdę zajmującego lub groźnego, to i tak owa informacja została ukryta, pomyślał Löwefell, ale rzeczywiście przeczytam ów raport, choćby z ciekawości. Czemu Islandią zainteresował się norweski król? Oczywiście nominalnie należała do niego, lecz trudno było się spodziewać, by z tej spustoszonej, bezludnej krainy wyciągnął coś innego niż popiół lub lód. A z jaką misją popłynęli inkwizytorzy? Owszem, bajano, że na wyspie na północy nazywanej Ultima Thule znajdują się

wrota do Piekła, ale były to zaledwie strachy, którymi gawędziarze bawili lud. Tak naprawdę na Islandii mogły mieszkać demony. Z dala od inkwizytorów oraz od ludzi. Lecz tak jak to pierwsze na pewno bardzo by im się podobało, tak to drugie czyniło mieszkanie na Islandii całkowicie nieinteresującym. Bo demony pasożytowały na ludziach. Grały nimi jak figurami i pionkami na szachownicy. Żerowały na ich emocjach, sterowały ich postępowaniem, wpływały na ich uczynki, knuły intrygi oraz przedsiębrały plany. Czasem były to intrygi proste niczym konopny powróz, czasem splątane i skomplikowane niczym mozaika pajęczych sieci w opuszczonej piwnicy. Tak czy inaczej, miejsce pozbawione ludzi i oddalone o tysiąc mil od najbliższych siedzib człowieka na pewno nie było wymarzonym domem dla demonów. A może z czasów, kiedy w Mrocznych Wiekach te istoty walczyły tam z ludźmi, w dawnych osadach i zamkach zostało coś cennego? Jakaś relikwia? Magiczny artefakt? Demoniczne narzędzie? Może legendą o tym czymś, o tym mitycznym artefakcie zainteresowało się zarówno Święte Officjum, jak i norweski król?

– Dziękuję, Katrino, chętnie skorzystam z tej wiedzy.

– Myśleli, żeby popłynąć nawet na Grenlandię – dodała jeszcze. – Ale zrezygnowali z tego zamiaru.

A więc Magnus Thorwaldson był obieżyświatem. Podróżował na Islandię, dorobił się tam blizny i już jako dojrzały mężczyzna spotkał się z Narsesem w Bizancjum. W dodatku Löwefell widział przecież dobrze tę scenę zastygłą w jego pamięci: jasnowłosy mężczyzna stał jako pierwszy, a pozostali inkwizytorzy stali za nim. Czyż nie było to miejsce dla dowodzącego poselstwem? Poselstwem? Bo jak nazwać to inaczej? Tak, to chyba było poselstwo…

– Zamyśliłeś się, Arnoldzie.

– Tyle jest miejsc na ziemi, których jeszcze nie odkryliśmy – powiedział i westchnął. – Cóż tu szukać po nie-świecie czy innych światach, kiedy na naszym własnym globie nie znamy ani oceanów, ani oceanicznych głębin, ani lądów położonych hen za

oceanami.

– Ba, nie znamy nawet głębin własnego umysłu i własnej pamięci… Prawda, Arnoldzie?

– Prawda – odparł, będąc teraz już pewnym, że Katrina wie, iż wspomnienie o Magnusie Thorwaldsonie pochodziło nie z tego, ale z poprzedniego życia. Nie z pamięci Löwefella, lecz z pamięci Narsesa.

Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie, skinęła mu głową i odeszła przejściem wzdłuż kamiennych ław. Löwefell natomiast skierował się w stronę bocznego skrzydła klasztoru, tam gdzie najpierw szerokie, a potem spiralne i wąskie schody wiodły do jednej z wież. Inkwizytor lubił stawać na jej wąskim szczycie, w tej otwartej na oścież klatce zdolnej pomieścić może najwyżej pięciu ludzi. Ze szczytu owej wieży rozciągał się oszałamiający widok na porośnięte lasem wzgórza oraz na wijącą się rzekę, która przełomami wbijała się pomiędzy owe wzgórza. Klasztor Amszilas górował nad okolicą, niektórzy mówili, że przy dobrej pogodzie i klarownym powietrzu da się zobaczyć gołym okiem Lacus Brigantinus, ale Löwefellowi nigdy się to nie udało.

Gdybym jednak spotkał się z tym mężczyzną, pomyślał, wpatrując się w dal, może w moim umyśle znowu poruszy się jakaś zapadka. Może widok jego twarzy z bliska, dźwięk jego głosu, słowa, które wypowie… Może właśnie któraś z tych rzeczy otworzy korytarz prowadzący do kolejnego sekretu? Bo teraz Löwefell, choć nie wiem jak by się wytężał, choć próbował wrócić wspomnieniem do owej bizantyjskiej pałacowej sali, by wskrzesić kolejne detale, to nie, nie udawało mu się to. Ostatnim obrazem, jaki widział, był właśnie stojący na marmurowej posadzce rosły mężczyzna w czarnym płaszczu. Nie sprawiał wrażenia ani zagniewanego, ani rozzłoszczonego. Raczej ostrożnego. Löwefell głęboko odetchnął krystalicznym powietrzem niosącym ze sobą zapach rzeki i lasów. W jakim celu siedmiu inkwizytorów spotkało się z Narsesem? I kto ich wysłał? Jak zakończyła się ta przedziwna misja? Czy Narses zdradził Persów, czy wręcz przeciwnie, był ich przedstawicielem? Czy przybył, żeby

spiskować, czy żeby oficjalnie negocjować w jakiejś sprawie? Ale jaka to była sprawa, skoro potężny i możny mag ognia zgodził się opuścić swoje bezpieczne zamki, by wyjechać do wrogiego Bizancjum? No i dlaczego Narses skończył w Amszilas, pozbawiony pamięci i niemal zatłuczony na śmierć, by wreszcie zostać przemienionym w inkwizytora Arnolda Löwefella? I chociaż każda odpowiedź wyłaniająca się ze wspomnień powodowała pojawienie się kolejnych i kolejnych pytań, to Löwefell był szczerze zadowolony, iż owa stłuczona mozaika zdawała się powoli układać. Szkiełko do szkiełka, z ogromnymi dziurami i z nieogarnioną wręcz jeszcze przestrzenią do zapełnienia, ale jednak… Bo chyba najgorsze, co sobie mógł wyobrazić, to że zostanie pozbawiony jakichkolwiek szans na wskrzeszenie pamięci. A tak ciągle mógł mieć nadzieję…

Kto stał za plecami jasnowłosego inkwizytora? Jakich to sześciu ludzi towarzyszyło mu w tej tajemniczej misji? Tego Löwefell nie dostrzegał. Przypominał sobie tylko, że ustawili się w dwóch rzędach. Trzech w pierwszym i dwa kroki dalej kolejnych trzech w drugim. Widział jedynie czarne płaszcze wysrebrzone znakiem połamanego krzyża, a zamiast twarzy rozmazane kształty, jakby były to śniegowe figury rozpływające się w lipcowej spiekocie. Albo woskowe laleczki trzymane nad płomieniem.

Magnusa Thorwaldsona zobaczył już następnego dnia, kiedy spacerował aleją wzdłuż rozłożystych orzechowców rosnących na tyłach zachodniego skrzydła klasztoru. Norweg rozprawiał z kimś, kto wychylał się do niego z okna na pierwszym piętrze, a kiedy zakończyli rozmowę, to Magnus Thorwaldson ruszył alejką dokładnie w stronę, z której nadchodził Löwefell. Ten poczekał, aż Thorwaldson się zbliży.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jestem Arnold Löwefell, do twoich usług – rzekł.

Na twarzy rosłego inkwizytora nie odbiło się żadne uczucie, na chwilę zagościł na niej jedynie krótki uśmiech zdawkowej grzeczności.

– Na wieki wieków, Arnoldzie – odparł. – Jestem Magnus Thorwaldson.

– Tak, wiem – skinął głową Löwefell. – Opowiedziano mi, że przybyłeś do Amszilas po długiej nieobecności.

Teraz obaj stali pośrodku alejki, zwróceni ku sobie. Löwefell był już przedtem pewien, iż tego właśnie inkwizytora widział w Bizancjum, teraz za ową pewność mógłby położyć głowę.

– Wyjątkowo długiej – sprostował Magnus. – Nie było mnie tu wiele lat. Ale prawie nic się nie zmieniło. Nawet rośliny w ogrodzie – wskazał podbródkiem – rosną te same, jak je zapamiętałem. Tylko niektóre są większe.

– Twoja twarz sprawia na mnie wrażenie znajomej – rzekł na pozór obojętnie Löwefell. – Czy to możliwe, że kiedyś się spotkaliśmy?

Thorwaldson objął swego rozmówcę bacznym spojrzeniem. Potrząsnął głową.

– Wybacz, ale nie sądzę.

– Może to się zdarzyło w… Bizancjum…

Jasnowłosy inkwizytor nawet nie drgnął, co Löwefell uznał za godne podziwu, choć spodziewane opanowanie.

– Bizancjum? Nigdy nie byłem tak daleko na południu. – Thorwaldson wzruszył ramionami. – Moje wędrówki prowadziły na północ. Jak chcesz, opowiem ci kiedyś o podróży do Islandii. A teraz, jeśli wybaczysz…

– Czytałem twoje zapiski – przerwał mu Löwefell.

– O, no widzisz! To już wszystko o mnie wiesz! – uśmiechnął się Magnus, lecz jego oczy pozostały nieruchome i zimne.

Musisz popracować nad spojrzeniem, przyjacielu, pomyślał Löwefell, bo zdradza, że najchętniej wbiłbyś mi nóż pod żebra.

– Wybacz, musiałem w Bizancjum spotkać kogoś niezwykle podobnego do ciebie. Masz może brata bliźniaka?

– Nie, Arnoldzie, nie mam brata bliźniaka i nie mam również…

– Z okien było widać katedrę Marka Kwintyliusza – przerwał mu ostrym tonem Löwefell. – A Narses siedział na krześle ustawionym na podwyższeniu tuż przed inkwizytorami. Było ich tam siedmiu. Twój sobowtór i sześciu jego towarzyszy… Jesteś pewien, że to był tylko sobowtór?

Thorwaldson obrócił się w stronę Löwefella i postąpił krok naprzód, tak że ten poczuł zapach jego włosów i skóry.

– Nie wiem, kim jesteś, inkwizytorze Löwefell, i nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale jednego jestem pewien. Że zamelduję o twojej zdumiewającej opowieści, chociaż szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, do czego ona prowadzi.

– Prowadzi do prostych pytań – wyjaśnił twardo Löwefell. – A brzmią one tak: dlaczego spotkaliście się z Narsesem i co z nim potem uczyniliście?

– Powtórzę raz jeszcze: nie mam pojęcia, o czym ani o kim mówisz. I radzę, abyś po dobroci ustąpił mi z drogi…

Zaczekał moment, po czym wyciągnął silne ramię, by przesunąć Löwefella, lecz w tej samej chwili inkwizytor szarpnął go za rękaw, unieruchomił mu przegub i wyszeptał kilka słów mocy. Wola Thorwaldsona załamała się pod ich wpływem niczym trzcinowa chata pchnięta podmuchem huraganu. A pod samym Magnusem załamały się nogi i ten potężny mężczyzna po prostu klapnął pośladkami na ziemię niczym rzucona szmaciana laleczka. Na jego twarzy zagościł wyraz nieopisanego wręcz zdumienia. Zresztą, szczerze mówiąc, Löwefell sam się zdziwił, że jego proste zaklęcie podziałało w tak piorunujący sposób. Czyżbym mimowolnie użył więcej mocy, niż zamierzałem? – zapytał sam siebie. I wcale nie był zadowolony, gdyż doskonale wiedział, że brak pełnej kontroli nad własnymi możliwościami może się skończyć opłakanie dla wszystkich. Również dla osoby z tych możliwości korzystającej.

– Wybacz mi, proszę – powiedział z prawdziwą skruchą i wyciągnął rękę w stronę siedzącego inkwizytora. – To była

niedopuszczalna niegrzeczność z mojej strony. Jestem gotów ponieść wszelkie jej konsekwencje, jeśli tego zażądasz.

Magnus nie skorzystał z pomocy, lecz wstał sam, przyglądając się Löwefellowi bez gniewu czy złości, ale z ciekawością.

– W ramach satysfakcji zażądam, żebyś opowiedział mi, jak udało ci się pokonać mnie jednym słowem i w czym tkwi twoja siła – rzekł. – Chcę się tego nauczyć – dodał twardo.

Löwefellowi spodobały się te słowa, świadczące zarówno o opanowaniu, jak i o świadomości własnych słabych punktów i szczerej chęci ich zlikwidowania.

– Z przyjemnością podzielę się z tobą tym, co sam potrafię – rzekł. – Bo czyż…

– …wszyscy nie jesteśmy jak palce jednej pięści? – dokończył za niego Thorwaldson z lekką kpiną w głosie.

– Tak właśnie jest – rzekł uroczyście Löwefell, postanawiając wziąć jego słowa za dobrą monetę.

A potem odwrócił się na pięcie, by zobaczyć zbliżającego się do nich Mariusa van Bohenwalda, stojącego teraz dziesięć, może dwanaście kroków dalej.

– Jak miło, że wy dwaj się poznaliście! – zakrzyknął grubas, przywołując na szeroką twarz równie szeroki uśmiech. – Magnusie, Arnoldzie, jakaż to niespodzianka widzieć was razem, pogrążonych w braterskiej rozmowie!

– Na wieki wieków, Mariusie – rzekł z przekąsem Löwefell.

Gruby inkwizytor zbliżył się do nich i poklepał po ramieniu najpierw Thorwaldsona, potem Löwefella takim gestem, jakby nagradzał pieszczotą ulubione psy.

– Przypomnieliście sobie, gdzie się poznaliście, co? Hmm? – Van Bohenwald niby zwracał się do obu inkwizytorów, ale tak naprawdę patrzył tylko na Löwefella.

– Przypomniałem sobie wieże katedry Świętego Marka Kwintyliusza widoczne za oknami. I przypomniałem sobie salę

w bizantyjskim pałacu. I przypomniałem sobie siedmiu inkwizytorów stojących na marmurowej podłodze, odzianych w czarne płaszcze ze srebrnymi, połamanymi krzyżami – rzekł Löwefell.

– Pamięć! – Marius wzniósł wysoko tłusty palec. – Oto tajemnica, sekret i zagadka naszego umysłu. Ale największa zagadka pojawia się wtedy, kiedy pamiętamy coś, czego nikt poza nami na świecie nie pamięta. Czyż jesteśmy szaleni, zadajemy sobie wtedy pytanie. A może po prostu jako jedyni zachowaliśmy w głowie wydarzenie, które innym ludziom wymazano z umysłów, a więc co za tym idzie nie tylko nie jesteśmy przeklęci szaleństwem, lecz wręcz błogosławieni odpornością na manipulacje? Jak uważasz, Arnoldzie?

– Sądzisz, że odpowiem na pytanie o rzeczywistość przedstawianego świata? – wzruszył ramionami Löwefell. – Nie, nie odpowiem, gdyż prawidłowa odpowiedź nie istnieje.

– Słusznie – ciężko westchnął Marius. – Chciałbyś jednak zapewne wiedzieć, czy twoja pamięć wydarzenia, które zaszło w Bizancjum, pokrywa się z pamięcią osoby, która jak uważasz, w owym wydarzeniu uczestniczyła. – Tym razem obrócił się w stronę Magnusa. – Pokrywa się, mistrzu Thorwaldson?

– Tak – odparł po chwili Magnus. – Byłem tam i stałem przed Narsesem. Byłem tam razem z moimi sześcioma towarzyszami, a za oknami pałacu widzieliśmy wieże katedry. Podłogi pałacu wykuto z marmuru. Więc tak: to wszystko prawda.

– A więc odkryłeś znowu kawałeczek prawdy, Arnoldzie. – Gruby inkwizytor ponownie spojrzał na Löwefella. – Zbierasz te kawałeczki pieczołowicie i cierpliwie. Jak dziewczynka, która stłukła porcelanową figurkę tańczącej pasterki. Myślisz, że kiedy skleisz wszystkie kawałeczki, to tancerka zatańczy w rytm melodii?

– Nie interesują mnie twoje opowieści o porcelanowych tancerkach – rzekł ostro Löwefell. – Interesuje mnie, dlaczego Narses spotkał się z inkwizytorami. Jak opuścił Persję? – Wzruszył ramionami. – W jaki sposób otoczony wrogami

i szpiegami potężny mag ognia zdołał przekroczyć granice wrogiego mocarstwa? Czy uczynił to za wiedzą szacha i cesarza? Czy był częścią oficjalnego poselstwa? Jeśli tak, to w jakiej sprawie przysłanego?

Marius położył ciężką dłoń na ramieniu Thorwaldsona.

– Chodźmy, drogi Magnusie. Jestem głodny jak ślimak na kapuście. Zostawmy naszego przyjaciela wraz z jego wszystkimi gniewnymi pytaniami. – Spojrzał zaskakująco ponurym wzrokiem na Löwefella. – Bo to właśnie ty, nikt inny, masz na nie wszystkie odpowiedzieć, Arnoldzie.

Nieoczekiwanie szybkim gestem, gestem, którego Löwefell, nawet gdyby chciał, nie potrafiłby uniknąć, Marius stuknął go palcem wskazującym w czoło. Nie było to bolesne, lecz upokarzające.

– Myśl – rzekł twardo van Bohenwald. – Przypominaj sobie. Od jutra będziesz spędzał czas z Magnusem, oczywiście nie zaniedbując przy tym naszej kochanej nowo narodzonej Roksany. Nauczysz go tego i owego, ale nie wolno wam rozmawiać o wspólnej przeszłości. – Tym razem przenikliwy wzrok Mariusa przeszył jasnowłosego inkwizytora. – Możesz mu opowiedzieć o podróży na Islandię, możesz mu opowiedzieć o norweskich dziewczynach czy norweskich chłopakach, czy kogo tam lubisz potarmosić, ale nie wolno ci opowiadać ani o sprawach Bizancjum, ani o tym, co nastąpiło po nich. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparł obojętnym tonem Thorwaldson.

Löwefell był jednak pewien, że przemowa Mariusa nie przypadła Norwegowi do gustu. Bynajmniej nie z uwagi na zakaz mówienia o przeszłości, ale z uwagi na lekceważący, szyderczy, pogardliwy ton głosu i wydźwięk słów. No cóż, Marius nie był specjalistą w zyskiwaniu przyjaciół. I Löwefell był również pewien, że wcale a wcale mu na tym nie zależało.

– No to chodź. – Zagarnął Magnusa ramieniem i odeszli, zostawiając Löwefella samego w ogrodzie.

Löwefell siedział na łóżku w swojej celi z zamkniętymi oczami. Ale im bardziej starał się przypomnieć sobie cokolwiek poza wykładaną marmurem salą pałacową, wieżami katedry oraz poselstwem odwiedzającym Narsesa, tym bardziej widział jedynie właśnie te elementy. Jakie wypowiadali słowa? Kiedy inkwizytor z blizną na policzku wystąpił krok naprzód przed swych towarzyszy, co wtedy mówił? Czy o coś prosił? Czy czegoś żądał? Nic. Pustka. Wywołany obraz nie tylko się urywał, ale był pozbawiony wspomnienia o dźwięku. Czy wiał wiatr? Czy do komnaty wpadał szum morza? Czy czuć było bryzę wiejącą znad Bosforu? I nagle, kiedy Löwefell starał się przywołać pamięć o zapachu wiatru i wody, nagle nowe wyobrażenie wdarło się niczym kotłująca fala wprost do jego mózgu! Tyle tylko, że to wspomnienie nie dotyczyło wcale Bizancjum, nie mówiło ani o Bosforze, ani o Dardanelach. Löwefell zobaczył znajome wybrzeże Morza Azarskiego i siebie samego stojącego na pokładzie statku. To była jednomasztowa, szeroka, bogato zdobiona koga. Narses siedział na fotelu ustawionym na samym szczycie rufowego kasztelu. Obok niego stali uzbrojeni żołnierze i… mój Boże, to była Roksana! Piękna magini teraz już nie była odziana w balową, krwistoczerwoną suknię, ale w zwykły płaszcz narzucony na ramiona. Jej gęste, błyszczące i kruczoczarne włosy, które w pałacu, w świetle gorejących ifrytów falowały niczym czarne płomienie, tutaj, na pokładzie statku, były upięte na czubku głowy. Roksana miała ściągniętą twarz i uważnie wpatrywała się w brzeg, który wolno sunąca koga pozostawiała za sobą. Löwefell wręcz czuł zapach wody i wiatru, tak jakby ta woń wpadała teraz przez otwarte okna jego celi w klasztorze Amszilas. Dokąd płynąłem? – zadał sobie pytanie. I natychmiast zrozumiał, jaka jest prawidłowa odpowiedź. A więc w taki sposób opuściłem Persję, pomyślał. Nie lądową granicą, gdyż byłoby to zbyt niebezpieczne i podejrzane, ale poprzez Morze Azarskie. Co zrobiłem później? Musiałem mieć zaufanych ludzi, którzy czekali na mnie na północnym lub na zachodnim wybrzeżu, gdzieś na północnych rubieżach Kaukazu. I potem przebyłem drogę do Bizancjum. Ponad tysiąc mil lądem! Przez naprawdę niebezpieczny rejon świata, gdzie ciągle trwały walki pomiędzy

zamieszkującymi te tereny plemionami. Löwefell aż potrząsnął głową ze zdumieniem. Jakiejż to wagi musiała być sprawa, że stary perski mag, przyzwyczajony do wygód i luksusu, zdecydował się opuścić swoje włości? Zdecydował się tak naprawdę na wygnanie. Bo jeżeli nie przekroczył oficjalnie granicy z Bizancjum, tylko żeglował Morzem Azarskim, to oznaczało to jedno: jego działania nie były uzgodnione z dworem szacha. Były podjętą samowolnie próbą. Próbą… Tylko próbą uczynienia czego, na Boga!? Kto jeszcze wiedział o zadziwiającej misji Narsesa? Kogo mógł wtajemniczyć ten okrutny i przebiegły mag, który nigdy w całym swoim życiu nie ufał niczemu i nikomu oprócz samego siebie? Czy Roksana towarzyszyła mu, wiedząc, jaki jest cel wyprawy, czy też była jedynie posłusznym żołnierzem i wykonawcą rozkazów?

Löwefell zjadł śniadanie w towarzystwie Roksany, czy raczej w milczącej obecności tej kobiety, która była lub miała być wcieleniem perskiej księżniczki, a na razie zdawała się jedynie jakimś jej dalekim i wynaturzonym, groteskowym cieniem. Zdawał sobie sprawę, że nie może okazać uczucia rozczarowania, wiedział również, że owo rozczarowanie jest świadectwem pochopności. Że jest słabością wynikającą tak naprawdę z egoistycznej żądzy wskrzeszenia pamięci. Oczywiście ów egoizm miał służyć wspólnej i wielkiej Sprawie, ale jednak był egoizmem…

– Poznałem wczoraj pewnego inkwizytora – rzekł, patrząc, jak jego towarzyszka dziobie widelcem w talerzu, przyglądając się jedzeniu wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Nazywa się Magnus Thorwaldson. Ma jasne włosy i bliznę w kształcie sierpa na policzku…

– Fascynujące – mruknęła.

– Nie przypominasz go sobie? – zapytał, ignorując jej złośliwość.

– Dlaczego miałabym go sobie przypominać?

– Chciałabyś go poznać?

– Oczywiście, że nie. – Wzruszyła ramionami. – Najchętniej nigdy nie poznałabym żadnego inkwizytora.

– Co zamierzasz robić, jeśli wolno wiedzieć?

– Nic – odparła i podniosła wzrok na Löwefella, po czym znów wzruszyła ramionami. – Najbardziej żałuję tego, iż wiem, że nie pozwolicie mi umrzeć.

– Masz całe życie przed sobą – rzekł Löwefell ostrym tonem. – Nie życzę sobie słuchać opowieści o umieraniu.

– Nie interesuje mnie, czego sobie życzysz – odparła wrogo.

– Możesz osiągnąć tak wiele – powiedział z naciskiem. – Znalazłaś się w prawdziwym sercu świata, możesz zdobyć wiedzę i umiejętności, które…

– Nie chcę! – przerwała mu. – Nie rozumiesz, że po prostu nie chcę tego wszystkiego?

Wstała od stołu, ale nie gwałtownie czy z gniewem, lecz niczym ciężko chory człowiek. Odeszła, powłócząc nogami, do swojej sypialni, nie zamykając nawet za sobą drzwi, lecz zostawiając je szeroko otwarte. Löwefell wstał jeszcze, by zajrzeć do niej i spytać się, czy nie będzie czegoś potrzebowała, ale ona leżała odwrócona twarzą do poduszki. Kiedy nie odpowiedziała na żadne z jego pytań, wtedy opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. Pomyślał, jak interesującą towarzyszką wspólnego życia była Matylda i jak bardzo porównanie wypada na niekorzyść Roksany. No ale cóż, to były dopiero początki. A może nawet lepiej powiedzieć: początki początków.

Postanowił zostawić ją samą i poszedł na spacer po klasztornym murze obronnym, trasą, którą tak lubił, zapewne z uwagi na olśniewające widoki. Nie zdziwił się szczególnie, kiedy w jednej z baszt zobaczył Magnusa Thorwaldsona. Czy Norweg dowiedział się, dokąd kieruje się Löwefell, czy samemu Löwefellowi intuicja podpowiedziała, gdzie jest Magnus, czy też ich spotkanie było dziełem przypadku – to wszystko nie było

istotne.

– Góra z górą – zawołał wesoło Magnus.

– Na wieki wieków – odparł Löwefell.

Tym razem Thorwaldson się roześmiał.

– Nie byłeś nigdy w Norwegii, prawda?

Löwefell potrząsnął głową.

– Żałuj. Piękny kraj. Niektórzy mówią, iż wygląda tak, jak musiał wyglądać świat zaraz po stworzeniu go przez naszego Pana. Oczywiście jest tak oszałamiająco piękny tylko w tych miejscach, gdzie akurat nie ma Norwegów. – Mrugnął porozumiewawczo do Löwefella.

– No cóż, nigdzie na świecie nie uszlachetniamy naszą obecnością dzieła Boskiego – odparł Löwefell z rzeczywistym smutkiem.

Thorwaldson podrapał się po brodzie.

– Jesteśmy odporni niczym porosty, Arnoldzie. Zostajemy na zawsze w miejscu, do którego się przyczepimy, a przyczepić potrafimy się niemal wszędzie. Sądzę, że świat, jeśli jeszcze nie przyzwyczaił się do naszej obecności, to koniecznie musi się do niej przyzwyczaić.

– Na Islandii jakoś się nie przyczepiliśmy – wtrącił Löwefell.

– Ha, Islandia! – zakrzyknął Thorwaldson. – Prawda, Marius zgodził się, abym opowiedział ci o mojej podróży. Ale jeśli chodzi o zamieszkanie na Islandii, to powiem ci tak: wyspa jest teraz w takim stanie, że można by było tego spróbować. Trzeba tylko zadać sobie pytanie: po co próbować?

– Prędzej czy później ktoś chętny się znajdzie – rzekł Löwefell. – Jacyś uciekinierzy spod władzy króla, może skazańcy, może rozbitkowie…

– Pewnie i tak. Mówiłem przecież – uniósł palec wskazujący – porosty.

– A kto podjął tę zadziwiającą decyzję, by dotrzeć na Islandię? I z jakich powodów ją podjęto? – zapytał Löwefell.

Thorwaldson usiadł na murze i wskazał Löwefellowi, by ten też usiadł.

– Król Haakon Spytterhull, znasz go?

Löwefell potrząsnął głową.

– Wiesz, co oznacza przydomek „Spytterhull”?

Löwefell znowu zaprzeczył.

– Plujący przez dziury w zębach – wyjaśnił z uśmiechem Norweg. – Niewielu ludzi na świecie pragnęłoby przejść do historii pod podobnym mianem.

– To prawda – zgodził się Löwefell.

– Dlatego nasz król postanowił wypowiedzieć wojnę Szwedom i jeszcze przed jej rozpoczęciem kazał nazywać się Svenskmorder. Haakon Svenskmorder to już brzmiało całkiem nieźle.

– Zabójca Szwedów – odgadnął Löwefell.

– Ano właśnie tak. Norwegowie zatopili szwedzką flotę pod Skagen, przepłynęli Kattegat i chcieli za jednym zamachem zdobyć Helsingor i Helsingborg. Zamknęliby wtedy Szwedów na Bałtyku. Cała Skania byłaby nasza i cały Halland. A to dopiero, znając Haakona, na początek.

– Ale coś się stało – domyślił się Löwefell.

Magnus skinął głową.

– Szwedom na pomoc płynęła flota z Gotlandii i kilka cesarskich okrętów, lecz zanim przypłynęła, nie było już z kim walczyć, bo trzydniowy sztorm zatopił niemal wszystkie nasze statki. A kogo nie zatopił, tego rozpędził i porozbijał na wybrzeżach. Haakon wrócił do stolicy, bo co miał niby zrobić, skoro z całej floty został mu okręt flagowy?

– Bóg nie był łaskaw – skwitował Löwefell.

– Ano Bóg nie był łaskaw – uśmiechnął się krzywo Magnus. – Ze Szwedami jakoś zawarliśmy pokój, nie tracąc zbyt wiele, ale Norwegowie przezwali Haakona Brodremorder, czyli Morderca Braci, by zapamiętać, że doprowadził wojsko do zagłady.

– Z deszczu pod rynnę – mruknął Löwefell.

Nie mógł nie zauważyć, że Magnus, opowiadając o wojnie, raz mówił o Norwegach po prostu „Norwegowie", ale czasami używał słów „my" lub „nasi".

– Brałeś udział w tej wojnie?

Thorwaldson uśmiechnął się szeroko.

– Przecież wiesz, że inkwizytorom nie wolno angażować się w konflikty toczone między prawowiernymi chrześcijanami. Ale płynąłem na okręcie Haakona jako, można to nazwać – wzruszył ramionami – obserwator. Zresztą na okręcie szwedzkiego króla też był jeden z naszych…

Cóż, słuszna taktyka. Obserwować, trzymać rękę na pulsie, lecz nie angażować się po żadnej ze stron, by nie narazić się przypadkiem na upokorzenie, pomyślał Löwefell.

– Rozumiem, że Haakon postanowił więc znaleźć sławę i nowy przydomek na drodze nieco mniej groźnej i skomplikowanej niż wojna z sąsiadami – powiedział.

– Ting możnych skutecznie wybił mu z głowy rojenia o następnej wojnie – potwierdził Magnus. – Ale pomysł wyprawy na Islandię nawet się wielu Norwegom spodobał. Nie byliśmy tam od dawna. – Zmrużył oczy. – Od czasów wyprawy mojego stryjeczno-wujecznego prapradziada Haralda Gustavsona, dwieście pięćdziesiąt lat temu.

– Czytałem jego pamiętniki – rzekł Löwefell.

– A kto nie czytał? Martwa, skuta lodem wyspa z plującymi lawą wulkanami, pogrążona w mroku pyłów buzujących pod samo niebo. Groźna i pełna demonów.

Tak, tak właśnie opisywał Islandię Gustavson i nikomu nie przyszło do głowy, by kwestionować jego słowa. Wszystko, co

mówił on i jego załoga, zgadzało się z przypuszczeniami zarówno inkwizytorów, jak i żeglarzy. Nikomu nie chciało się narażać majątku i życia, aby badać kawałek zabójczej skały, spowitej dymami i buchającej lawą. Czy na Islandii mieszkały demony, to była już zupełnie inna sprawa (Löwefell nie sądził, by w opowieściach o nich było coś więcej niż zmyślenie), ale co niby można było z niej pozyskać wartościowego?

– Co twój król chciał znaleźć?

Thorwaldson się roześmiał.

– Nie chciał tam niczego znaleźć, Arnoldzie. Po prostu pragnął oficjalnie przywrócić Islandię królestwu Norwegii, objąć tę wyspę we władanie. Chciał, żeby jego generał odczytał na brzegu uroczysty manifest i wbił w skały sztandar ze szkarłatnym królewskim orłem i złotym królewskim krzyżem. To wszystko.

– I zmienić przydomek – dodał Löwefell.

– Oczywiście – zaśmiał się Magnus. – To zapewne było największe marzenie Haakona. Wreszcie zyskać szacunek Norwegów i przejść do historii pod mianem, które nie byłoby ani szydercze, ani obelżywe.

Löwefell pomyślał z pełną satysfakcji ulgą, jak to dobrze, że on sam całkowicie i kompletnie wyzbył się nie tylko marzeń, ale nawet myśli o własnym powodzeniu czy własnym znaczeniu. Nie interesowało go również, co mówią i myślą o nim inni ludzie, chyba że miałoby to skutkować powodzeniem dla planów służących sprawie zwycięstwa Jezusa.

– Przygotowano na tę wyprawę dwa dobre okręty – kontynuował Thorwaldson. – Nazywały się Jesusverd i Helligkors. Dwie trzymasztowe karaki, każda z czterdziestoma żeglarzami na pokładzie i z podobną liczebnie załogą wojskową.

– Prawie dwustu ludzi, żeby wbić sztandar na bezludnej wyspie? – zdziwił się Löwefell.

– Król wolał dmuchać na zimne – wzruszył ramionami Norweg. – Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby w połowie drogi

okręty zostały zaatakowane przez piratów? I gdyby ci piraci przejęli je i potem zażądali okupu za załogę? – Wybuchnął szczerym śmiechem. – Nie wiem, jak po czymś takim przezwano by Haakona, ale jestem pewien, że podobałoby mu się to jeszcze mniej niż Spytterhull czy Brodremorder…

– A więc popłynęliście na tę daleką wyprawę. Ty i… – Löwefell zawiesił głos. – Kto jeszcze?

– A musiał być ktoś jeszcze? – skrzywił usta Thorwaldson.

– Nie wysłano by cię samego – odparł Löwefell. – Chociaż w swoich zapiskach nie uznałeś za stosowne wspomnieć o towarzyszu. Co samo w sobie jest całkiem interesujące.

– Wiesz, jak nazywamy Islandię?

Löwefell potrząsnął głową.

– Mówimy: Oya Isogbrann, Wyspa Lodu i Ognia. Albo Oya Demoner, Oya Devler, Dodsoya…

Löwefell uniósł brew i spojrzał pytająco w stronę Thorwaldsona, bo nie zrozumiał ostatniej nazwy.

– Wyspa Śmierci – wyjaśnił Norweg. – Znałem też takich, zwłaszcza wśród uczonych w piśmie, którzy nazywali ją Sisteporten, Ostatnia Brama.

– Ultima Thule – skinął głową Löwefell.

– Więc właśnie w drodze do tego przeklętego miejsca ostatni spoczynek znalazł mój towarzysz – wyjaśnił Magnus poważnym i uroczystym tonem. – I dlatego nie przeczytasz o tym w ogólnie dostępnym raporcie.

– Przykro mi – odparł Löwefell.

– Cóż, każdy z nas, wstępując w szeregi Inkwizytorium, godzi się z podobną możliwością. Jestem pewien, że Styrbjorn weseli się dziś przy Tronie Pańskim, bo dobry był z niego człowiek i prawy inkwizytor.

– Cóż takiego się wydarzyło, że pociągnęło za sobą śmierć doświadczonego inkwizytora?

Magnus skrzywił usta.

– Chciałbyś zapewne usłyszeć o walce z demonami, o zaklęciach i o krzyżu, który palił atakujące nas plugawe stwory żywym ogniem, póki nie złamał się w osłabłych dłoniach mego towarzysza. A on sam wyzionął ducha w szponach diabłów, do końca wznosząc myśli i modły ku Panu…

– Chciałbym usłyszeć prawdę – sprostował spokojnie Löwefell.

– Prawda jest taka, że przeżarł się wielorybiego mięsa, dostał choroby morskiej i rzygając, poślizgnął się na mokrym pokładzie, po czym wypadł za burtę – wyjaśnił opryskliwym tonem Magnus.

– Żartujesz – powiedział po chwili Löwefell, choć był pewien, że Norweg wcale nie żartuje.

– Chciałbym – wzruszył ramionami Thorwaldson. – Wiedz, że to był doświadczony inkwizytor, zaufany, silny. – Pokręcił głową. – I zginął z powodu takiego głupstwa.

– Chwała miesza się z upadkiem, a komedia z dramatem – rzekł Löwefell.

– A żebyś wiedział – przyznał mu rację Magnus. – Możesz się też domyślić, że podobny wypadek nie przyniósł powagi Świętemu Officjum. Mnie samego znano już i ze szwedzkiej wojny, i z wcześniejszych uczynków, więc nie drwiono ze mnie w sposób, w który drwić można by było, ale… – Sapnął. Potem wzruszył ramionami i przywołał na twarz uśmiech. – Ale jednak niemal co dzień pytano, jak mi smakuje wielorybie mięso, ostrzegano, bym zbyt tłusto i obficie nie jadał, a także przestrzegano, bym nie ślizgał się po pokładzie. – Prychnął. – Żeglarze to zawzięty ludek. No, niemniej w końcu dali mi spokój, widząc, że znoszę wszystko w pozbawionej gniewu pokorze.

Löwefell pomyślał, że w takiej sytuacji był to najlepszy sposób. Bo gniew, a nie daj Boże przemoc mogłyby tylko spowodować, że któregoś dnia Magnus spotkałby się w odmętach oceanu ze swym przyjacielem Styrbjornem. A tak znudzili się i dali mu spokój.

– Poza tym nic już ciekawego nie spotkało nas w podróży. Kilka

razy widzieliśmy wieloryby, dwa razy piratów, a raz syreny wygrzewające się na skałach. Ale co do tego ostatniego, to nie dałbym głowy, czy widowisko nie było jedynie efektem załamujących się promieni słońca, mgły oraz mocnego piwa. – Uśmiechnął się.

– Mewy – zawołał nagle Löwefell. – Widziałem mewy! – dodał z mocą.

Magnus przyglądał mu się uważnie, kiedy Löwefell zobaczył wyłaniający się z zamkniętych do tej pory archiwów pamięci ostry i wyraźny obraz błękitnego, spokojnego morza. Nad powierzchnią wody unosiły się krzyczące ptaki, pikujące w polowaniu na ryby i krążące, by je wyśledzić.

– Mewy też były – zgodził się Magnus.

Löwefell przypomniał sobie promienie słońca. Było bardzo jasne, południowe, a on miał je za lewym ramieniem. Na twarz kilka razy padły mu krople ciepłej słonej wody. Nie zwracał na to uwagi.

– Płynęliśmy ciepłym morzem w kierunku północnego zachodu – rzekł. – Wiem, że Narses był na Morzu Azarskim – dodał. – Co jest logiczne, zważywszy, iż na południowym wybrzeżu Morza Azarskiego miał pałac oraz włości.

© Fabryka Słów

Thorwaldson uśmiechnął się i skinął głową.

– Skoro doszedłeś już tak daleko we wskrzeszaniu własnej pamięci, wyjaśnię ci, Arnoldzie, co stało się później…

Löwefell poczuł, że serce zabiło mu mocniej i szybciej. Chociaż przecież po Magnusie mógł się spodziewać niekoniecznie prawdy. Norweg mógł mu jej wyjawić zaledwie część lub też całkowicie go okłamać w sobie tylko wiadomym celu. A może bez szczególnego celu, lecz dla prowadzenia samej gry w fałsze i pozory? Czy takie polecenie wydał mu van Bohenwald? No cóż, gwoli ścisłości, Marius powiedział, że Thorwaldson ma w ogóle nie przypominać Löwefellowi, co się wydarzyło, ale albo dyspozycje się zmieniły, albo Norweg zdecydował, że nie będzie się trzymał ich zbyt ściśle.

– Zamieniam się w słuch – odparł Löwefell na pozór spokojnie, lecz doskonale wiedział, że człowiek odpowiednio wyszkolony wyczuje jego nadzieję i zaniepokojenie.

– Tak jak doskonale sobie przypomniałeś, Narses wyruszył w podróż Morzem Azarskim. A czy pamiętasz, co stało się potem?

Im bardziej Löwefell próbował wedrzeć się myślą w głąb wspomnień, tym większy wyczuwał opór. Tak jakby przeszłość była jeziorem pełnym żelatyny, w którym nie tylko nie można zanurkować, przez którego toń nie można spojrzeć, ale trudno nawet przesuwać się do przodu. Z tych męczarni wyłaniały się zamglone, migotliwe, zamazane i przydymione obrazy.

– Skrzynia! – krzyknął nagle Löwefell.

W umyśle inkwizytora pojawiła się wizja drewnianego pudła inkrustowanego złotem i pokrytego magicznymi znakami, mistycznymi pieczęciami oraz zaklętymi runami. Ta skrzynia emanowała mocą i była otoczona czarnoksięską aurą nie tylko z uwagi na nią samą, ale na to, co zamknięto w jej środku.

– Szachor Sefer – powiedział głucho Löwefell. – Narses miał ze sobą Szachor Sefer. Jakimiż silnymi skuto ją zaklęciami – dodał z podziwem.

Myślał oczywiście nie o samej księdze, lecz o skrzyni, która była nie tylko przemyślnym i kunsztownie przygotowanym schowkiem na skarb, lecz jednocześnie wyrafinowaną pułapką czyhającą na każdego, kto chciałby ów skarb naruszyć.

– Dobrze sobie to przypomniałeś – pochwalił Magnus. – Narses miał ze sobą Szachor Sefer, zamkniętą w pudle…

– Drewnianym, masywnym pudle z twardego jak kamień hebanu – dopowiedział cicho Löwefell.

– Tak jest. Do dziś mamy to pudło w klasztorze, będziesz mógł je obejrzeć, jeśli tylko zechcesz, choć zostało pozbawione magicznej mocy.

– Ach tak – rzekł Löwefell z żalem.

Z żalem, gdyż pamiętał przecież, jak pieczołowicie otoczona silnymi zaklęciami strażniczymi była ta skrzynka. Szkoda, że owa magia zniknęła bez śladu.

– Kiedy wysiedliście na brzegu, kontynuowaliście waszą podróż, pamiętasz?

– Pamiętam szczyty Kaukazu. – Löwefell przymknął oczy. – Wznosiły się pod niebo niczym przysypane śniegiem kości dawno umarłych olbrzymów. Widzieliśmy je na zachodzie, ale płynęliśmy dalej na północ.

– Tak było – skinął głową Magnus. – Wylądowaliście na zachodnim brzegu… Tam się spotkaliśmy, Arnoldzie… Tam czekali na ciebie Bizantyjczycy i tam byliśmy też my, inkwizytorzy…

Löwefell milczał przez chwilę.

– Tego nie pamiętam. – Pokręcił głową z żalem. – Ale znam na tyle mapy, by wiedzieć, że musieliśmy wędrować w stronę Morza Czarnego. Do którego z portów? Do Phanagorii? Do Chersonesosu?

– Do obu – odparł Thorwaldson.

– A potem już było Bizancjum – rzekł Löwefell.

– A potem już było Bizancjum – zgodził się z nim Thorwaldson. – Nic ci się w nim nie podobało, wiesz? Obserwowałeś ulice, budowle i ludzi z obojętną, zimną pogardą.

– Narses obserwował – poprawił go Löwefell.

– Tak, oczywiście, Narses… – zgodził się Norweg.

Löwefell milczał dłuższą chwilę.

– Jak sądzę, to wtedy spotkaliśmy się w marmurowej komnacie.

Magnus skinął głową.

– Przedstawiłem ci… przedstawiłem Narsesowi – poprawił się zaraz – trzech nowych inkwizytorów, którzy mieli nam towarzyszyć w podróży do klasztoru Amszilas.

– I wyruszyliśmy.

– Tak.

Wzrok Löwefella zatrzymał się na widocznej z murów małej kamiennej fontannie stojącej w klasztornym ogrodzie. Z pyska gargulca o rozwiniętych skrzydłach skapywała woda.

– Pamiętam cię – odezwał się nagle, olśniony kolejnym wspomnieniem. – Stałeś na pokładzie… Na galerii, na dziobie…

Magnus Thorwaldson przyglądał mu się z uśmiechem.

– Całkiem możliwe – powiedział tylko. Potem przeniósł wzrok na fontannę i gargulca. – Ciekawe, który z elementów tej fontanny wywołał u ciebie to skojarzenie – powiedział żartobliwie. Ale pomimo lekkiego tonu przyglądał się Löwefellowi uważnie i badawczo.

– Płynęliśmy pod prąd rzeki. Szerokiej rzeki o powolnym nurcie – mówił dalej Löwefell z przymkniętymi oczami. – Stałeś i wpatrywałeś się w zachodzące słońce. – Przerwał na chwilę i zastanowił się. – Skoro płynęliśmy na zachód i naprzeciw nurtowi, a rzeka była wielka, to może to oznaczać jedno: to był Dunaj.

Norweg skinął głową.

– To był Dunaj – zgodził się.

– Skoro pamiętam, że płynęliśmy wspólnie – odezwał się Löwefell po chwili – to oczywiście nie mogłem walczyć w Bizancjum z inkwizytorami ani nie mogłem tam walczyć z nikim innym. Nie mogłem zostać poraniony oraz niemal zabity, po czym uwięziony…

– Chyba nie mogłeś – zgodził się Thorwaldson pogodnym tonem.

– A to oznacza, że Katarzyna mnie okłamała – podsumował Löwefell i nie był wcale zdziwiony.

Nie był zdziwiony samym faktem, iż został oszukany przez matkę bękarta, ale zastanawiał się, jaki miała cel w omamieniu go kłamliwą wizją przeszłości. A może nie miała żadnego celu? Może to był tylko kaprys?

– Katarzyna? – zapytał Magnus, po czym skinął głową. – Ach, wspominano mi o tej czarownicy na służbie Officjum. Sam jej co prawda nigdy nie widziałem, ale… – Wzruszył ramionami. – To dziwna sprawa, czyż nie?

Löwefell był ciekaw, ile Norweg wiedział tak naprawdę, a na ile udawał niezorientowanego. Ale Löwefell mógł też sobie łatwo wyobrazić, że sprawy, które dotyczyły jego samego, nie zajmowały pozostałych członków Wewnętrznego Kręgu, oddelegowanych do całkowicie odmiennych zadań w innych częściach świata.

– Służba dla Świętego Officjum nauczyła mnie, że nic nie jest dziwne – odparł.

Thorwaldson zaśmiał się.

– Prawda? Czyż czarownica w klasztorze Amszilas jest zdarzeniem bardziej niezwykłym niż inkwizytorzy eskortujący perskiego maga z Bizancjum do Cesarstwa?

– Nie, nie jest – przyznał Löwefell. – A to drugie wydarzenie wydaje mi się jeszcze bardziej niezwykłe, gdyż dotyczy kogoś,

kim niegdyś byłem.

– Czy poza zachodem słońca i mną stojącym na dziobie statku wróciły inne wspomnienia? – spytał Magnus.

Löwefell milczał dłuższy czas.

– Byłem spokojny – rzekł wreszcie. – Pamiętam to. Słyszałem plusk fal uderzających o burty i czułem łagodne kołysanie statku. Żagle łopotały na wietrze. – Nagle uśmiechnął się. – Spaliliście obiad…

Magnus przez chwilę sprawiał wrażenie zdumionego, lecz wreszcie się roześmiał.

– To prawda!

Löwefell pamiętał, że Narses ani nie był tym poirytowany, ani nie był z tego powodu niezadowolony. A przecież w Persji z całą pewnością kazałby przykładnie i okrutnie ukarać kucharzy za takie niedopatrzenie. Tymczasem wtedy, w czasie podróży po Dunaju, tkwił pogrążony w myślach i znieruchomiały, obojętny na wszelkie niewygody, obojętny na zachowanie innych ludzi.

– To wszystko – westchnął Löwefell, czując, że na razie poza tym wspomnieniem jest tylko pustka. – Na razie to wszystko…

– Nie spieszmy się – rzekł Magnus. – A ja, zgodnie z przykazaniem Mariusa, milczę jak grób. – Położył palec wskazujący na ustach. – Masz ochotę na konną przejażdżkę? – zapytał zaraz potem.

Inkwizytor zdał sobie sprawę z faktu, że już od dawna nie opuszczał klasztoru. Nie przeszkadzało mu to, ale może rzeczywiście warto by rozruszać kości? Nie nazwałby tego co prawda „ochotą na przejażdżkę”, ale myśl o konnym spacerze nie budziła w nim wcale niechęci.

– Czemu nie? – odpowiedział pytaniem.

Zeszli z murów i skierowali się w stronę stajni. Löwefell wybrał spokojnego srokacza o mądrych oczach, a Thorwaldson wskazał na rosłego karego perszerona.

– Dobry bojowy koń – powiedział z uznaniem i poklepał zwierzę po szyi.

Zaśmiał się, kiedy ogier próbował go ugryźć w dłoń, ale zdołał cofnąć palce tak szybko, że zęby zwierzęcia tylko kłapnęły w powietrzu.

– Bestia – mruknął.

– Uważajcie na niego, mistrzu Thorwaldson – rzekł z wyraźną obawą stajenny. – I pamiętajcie, że dostajecie go tylko na własne, wyraźnie wyrażone żądanie. Zaświadczycie, mistrzu Arnoldzie, że wcale nie chciałem dać tego konia?

Magnus westchnął.

– Zaświadczy, zaświadczy – mruknął.

– Pamiętam podobne konie z buntu Hakenkreuza – rzekł Löwefell. – Niderlandzkie perszerony, na których szarżowali cesarscy arkebuzerzy.

Przypomniał sobie, jak niewielki oddział konnych arkebuzerów zmusił do odwrotu ogromną gromadę zbuntowanego chłopstwa. Przypomniał sobie huk muszkietów, spokojny głos komenderującego oficera i gryzący, gęsty dym, który spowił całą okolicę po oddanej salwie. Kiedy ciemnoszare kłęby się rozwiały, fala buntowników rozwiała się również…

– Walczyłeś pod Schengen? – zainteresował się Magnus.

– Obserwowałem – wyjaśnił Löwefell.

Przypomniał sobie młodzieńca, któremu uratował życie i który potem jemu uratował życie. Mordimer Madderdin, bękart Katarzyny. Przeklęty człowiek, w którym za pomocą magii krwi i ognia zaklęto Szachor Sefer. Löwefell wiedział, że odczuwa wobec chłopaka coś na kształt sympatii, może takiej, z jaką twórca patrzy na swoje dzieło, choć oczywiście to uczucie nie przesłaniało mu trzeźwości myślenia. A trzeźwy umysł podpowiadał, iż jest bardzo prawdopodobne, że tego inkwizytora trzeba będzie poświęcić na ołtarzu Sprawy. Cóż, zresztą już w jakiś sposób poniósł ofiarę, kiedy zostawiono go na Rusi.

Chociaż akurat w tym wypadku wszyscy lub niemal wszyscy mieli nadzieję, że to poświęcenie nie będzie miało nieodwołalnych konsekwencji.

Wyprowadzili konie przez jedną z bocznych furt, postanawiając wsiąść na ich grzbiety dopiero za murami. Magnusa cały czas niezmiernie bawiło, że jego rumak próbował mu dokuczać i a to ugryźć go w twarz, a to niebezpiecznie wierzgnąć. Za to srokacz Löwefella sprawował się jak dobrze wyszkolony pies na spacerze. Szedł równym krokiem i nawet o długość łba nie starał się wyprzedzić prowadzącego go inkwizytora. Potem, kiedy Löwefell już wskoczył na siodło, również zachowywał się idealnie, mądrze reagując na każdy ruch wodzy i każde dotknięcie pięty.

– Czy Narses jeździł konno? – spytał Löwefell. – Czy wtedy, będąc z tobą, jeździł konno? – poprawił się.

Thorwaldson spojrzał na niego.

– A jak ty sądzisz, Arnoldzie?

Löwefell wzruszył ramionami. Jakoś nie był w stanie wyobrazić sobie tego zasuszonego starca cwałującego na rumaku. Prawdopodobnie kiedy zeszli z dunajskiego statku, gdzieś w którymś z rzecznych portów czekał na nich wóz, którym dojechali do Amszilas. A może wcale tak nie było? A może nie dojechali do klasztoru? A może po drodze zostali napadnięci i pokonani? Nie, raczej nie. Aby na terenie Bizancjum lub Cesarstwa zwyciężyć żołnierską eskortę, do której włączono siedmiu doświadczonych inkwizytorów, trzeba by mieć armię ludzi. No i jeszcze Narses… Przecież perski mag nie patrzyłby bezczynnie, kiedy napastnicy masakrowaliby jego eskortę i kiedy byłoby wiadomo, że zaraz zabiorą się do niego samego oraz do jego skarbu.

Jechali spokojnie, stępa brzegiem rzeki i nawet perszeron Magnusa przestał płatać figle, jakby uspokojony monotonią marszu i jednostajnym szumem wody.

– Czy Roksana była cały czas z Narsesem? – spytał Löwefell.

– Czy Roksana była cały czas z Narsesem? – odpowiedział pytaniem Thorwaldson.

Löwefell zastanawiał się przez chwilę.

– Pamiętam ją, kiedy stała na pokładzie statku – odrzekł. – Ale to było na Morzu Azarskim, więc nie wiem, czy później towarzyszyła Narsesowi.

– Do samego końca – odparł Magnus.

– Poznałeś ją więc. – Löwefell spojrzał na niego uważnie. – Jaka była?

Thorwaldson skrzywił usta.

– Ujmijmy to tak, Arnoldzie: Narses traktował nas jak powietrze, jak przedmioty. Bez pogardy, bo to nie była pogarda… – Magnus zmrużył oczy. – On po prostu zachowywał się, jakbyśmy on i my żyli w innych światach.

– A Roksana?

– Roksana traktowała nas jak łajno. Z ostentacyjną, wystudiowaną, złośliwą pogardą.

Löwefell myślał chwilę.

– Musiała bardzo się bać – rzekł wreszcie ze smutkiem.

– Mistrzu Löwefell – rzekł mnich – raczcie wybaczyć, że przerywam wam lekturę, ale czekają na was.

Inkwizytor zamknął i odłożył książkę na blat stołu. Czytał późnorzymski traktat o magii brytońskich druidów i zastanawiał się, co w nim jest prawdą, a co wymysłem autora lub emanacją jego obaw. Lub propagandą mającą na celu zmobilizować władze Rzymu do ekspedycji ostatecznie rozwiązującej problem tych okrutnych, przebiegłych i wpływowych czarowników, mających tak mocną pozycję na Wyspach, a przynajmniej tej ich części, która nie znajdowała się pod rzymskim wpływem.

– Oczywiście – rzekł. – Dziękuję. Kto na mnie czeka, jeśli wolno wiedzieć?

– Mistrz van Bohenwald kazał mi przekazać wiadomość. Kto poza nim weźmie udział w naradzie, tego wybaczcie mi, ale nie wiem… Mam na was zaczekać i zaprowadzić was.

Löwefell wstał z krzesła.

– W takim razie nie marnujmy czasu. Jestem gotów.

– Pozwólcie, że pójdę przodem – powiedział mnich.

Löwefell znał znakomicie pewne części klasztoru, w innych kilkakrotnie bywał, czy też kiedyś je odwiedził, ale inne z kolei pozostawały dla niego terra incognita. Wiedział, że istnieją, widział budynki od zewnątrz, ale nigdy nie poznał ich od środka. Nie dlatego, iż ktokolwiek broniłby mu dostępu lub zabraniał, ale po prostu nie miał żadnego powodu, by się tam znaleźć. W klasztorze istniała tylko jedna część znajdująca się pod ścisłą kontrolą, do której nie wolno było zbliżyć się nikomu nieposiadającemu pozwolenia. Były to oczywiście podziemia. I to nie tylko komnata, w której Jezus Chrystus wegetował w trwającym wieki letargu, balansujący na pograniczu życia i śmierci i utrzymywany w tym stanie dzięki krwi Aniołów. W podziemiach, rozległych jak sam klasztor Amszilas, znajdowały się również sale przesłuchań, skarbce, laboratoria alchemiczne i czarnoksięskie, magicznie zabezpieczone komnaty służące do kontaktów z potężnymi demonami, kontaktów, które często, choć nie zawsze, polegały na bezlitośnie prowadzonych badaniach. Tam Löwefella nikt nie zapraszał, a on sam nie miał najmniejszego zamiaru interesować się sprawami, które do niego nie należały. Zwłaszcza że o owo zainteresowanie nikt go nie prosił. Ale mnich nie prowadził go do podziemi, lecz dość skomplikowaną drogą, wiodącą co prawda głównie korytarzami, lecz częściowo również dziedzińcem, a nawet krużgankami. Zawiódł go w końcu do czegoś, co Löwefell nazywał zachodnim skrzydłem środkowej części wschodniego skrzydła i która to żartobliwa nazwa doskonale oddawała położenie owego fragmentu budynku na planie całego klasztoru. Tutaj Löwefell nigdy nie był i zdziwiło go, że kiedy weszli do tej części budowli, to można się było w niej poczuć jak w królewskim pałacu.

Wszystko wręcz kapało od marmurów, złota i kryształów, na ścianach wisiały obrazy mistrzów, a sufity pokryte były w zależności od pomieszczenia bądź freskami, bądź kasetonami przedstawiającymi głowy wyrzeźbione w drewnie. Kiedy Löwefell przyjrzał się uważniej, spostrzegł, że nie były to tylko ludzkie twarze.

– Nie byliście tu nigdy, prawda? – zagadnął mnich.

– Nie zdarzyło się – odparł Löwefell.

– Nic tu nie ma ciekawego. – Mnich niedbale machnął ręką, tym lekceważącym gestem kwitując cały rozpasany przepych, jaki ich otaczał. – Ten budynek powstał, by przyjmować i olśnić najznaczniejszych gości, ale w tej chwili stoi prawie zawsze pusty. Tylko kurzu jest tu mnóstwo do wycierania.

Löwefell uśmiechnął się. Sądząc po wysokości sklepień oraz wielkości komnat, sprzątanie rzeczywiście nie było tutaj pracą łatwą, szybką i przyjemną.

– A kogóż dzisiaj przyjmujemy? – spytał.

– No właśnie z tego, co wiem, to nikogo, ale mistrz van Bohenwald zarządził, że spotkanie ma się odbyć w bursztynowej komnacie.

– Bursztynowa komnata, słyszałem o niej – ożywił się Löwefell, który rzeczywiście słyszał w przeszłości same zachwyty nad tym arcydziełem sztuki jubilerskiej, snycerskiej i rzeźbiarskiej.

Wreszcie stanęli przed dwuskrzydłowymi, zamkniętymi drzwiami. Mnich zerknął z uśmiechem na Löwefella.

– Przygotujcie się na to, co zobaczycie – powiedział i mrugnął.

Kiedy otworzył drzwi, ze środka spłynął na nich złoty blask. Tak jakby otworzono skarbiec, w którym ukryto słońce, ale nie to palące i spopielające, ale to, które ogrzewa złotym blaskiem i koi duszę oraz napełnia ciało i ducha energią.

– Wchodźcie. – Mnich wykonał zapraszający gest ręką.

Potem, kiedy Löwefell wszedł już do środka, zamknął za

inkwizytorem oba skrzydła drzwi.

– Pamiętam – powiedział z mocą Löwefell, rozglądając się urzeczony nie tyle wyglądem komnaty, ile wyłonieniem się jej obrazu z przeszłości. – Tak, pamiętam! – dodał z jeszcze większym zapałem. – Siedziałem tutaj. – Wskazał fotel u szczytu stołu. – Narses tutaj siedział – poprawił się.

– To prawda – rzekł van Bohenwald, podchodząc w jego stronę.

Jakże prostacko wygląda ta karykaturalna, odziana byle jak figura w komnacie będącej arcydziełem sztuki, pomyślał Löwefell złośliwie i zgryźliwie.

– Bardzo nieuprzejme z jego strony – mówił dalej van Bohenwald – że będąc w gościnie wśród co najmniej równych sobie, domagał się najważniejszego miejsca… Ale ustąpiliśmy mu przez wzgląd na dobro sprawy oraz oczywiście przez wzgląd na zawsze, niezmiennie i nieodmiennie cechujące nas skromność oraz pokorę.

– Pamiętam również Roksanę. Siedziała po mojej prawej ręce. – Löwefell nagle uśmiechnął się do własnych wspomnień. – Pamiętam, co powiedziała do Narsesa.

– A co powiedziała do Narsesa? – zainteresował się van Bohenwald.

– Powiedziała: „bursztyn”, nasycając to słowo odpowiednią dawką pogardy. „Ty, mój panie, kazałbyś wykuć taką komnatę z rubinów”.

Marius zarechotał.

– O tak, a w kandelabrach zamiast świec płonęłyby ifryty. – Uniósł palec. – Uważam, że mogłoby to wyglądać całkiem interesująco.

– Przypominasz sobie i mnie? – zagadnął Thorwaldson.

Löwefell potrząsnął przecząco głową. Usiadł tak jak wtedy u samego szczytu stołu, nie przejmując się tym, że to miejsce mógłby chcieć zajmować ktoś inny. Przymknął oczy.

– Tu był Anioł – powiedział po chwili wahania. – Potężny Anioł – dodał już z pewnością w głosie i otworzył oczy. – To dziwne – niemal szepnął do siebie.

– Co jest dziwne, Arnoldzie? – usłyszał głos Katriny.

– Ten Anioł był… – zawahał się – inny, wyjątkowy. Czuję, jakbym go znał, jakby coś, jakby skądś… – Löwefell nie mógł znaleźć właściwego słowa i bezradnie umilkł.

– Tak, to prawda, że był tutaj Anioł – zgodził się van Bohenwald. – Anioł, który miał jedno jedyne zadanie, a zadaniem tym było pilnowanie cię. Jeszcze dzisiaj dowiesz się, w jakim stopniu mu się to udało…

– Koniec tajemnic, Arnoldzie – powiedziała uroczystym tonem Katrina. – Tu, w tej bursztynowej komnacie, dowiesz się wszystkiego, czym możemy się z tobą podzielić. Uznaliśmy, że nadszedł już czas…

Löwefell poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Czyż nie czekał całe swoje nowe życie na ten moment? Ale nie był na tyle mało uważny, by właściwie nie zrozumieć słów wypowiedzianych przez Katrinę. „Dowiesz się wszystkiego, czym możemy się z tobą podzielić”. A więc nie: wszystkiego, lecz zaledwie: wszystkiego, co możemy powiedzieć. Tak czy inaczej, oznaczało to na pewno: więcej niż do tej pory.

– Zamieniam się w słuch – rzekł i położył dłonie na bursztynowym blacie. Dostrzegł, że między jego palcem środkowym a wskazującym, gdzieś w jasnomiodowym paśmie bursztynu został zatopiony maleńki owad o rozpostartych skrzydłach. Jakbym widział siebie, pomyślał, a może nie siebie, lecz po prostu nas wszystkich?

– Narses rozszyfrował Szachor Sefer, Arnoldzie – oznajmiła Katrina z niezwykłą powagą w głosie.

– Rozszyfrowałem Szachor Sefer! Narses rozszyfrował Szachor Sefer… – powtórzył Löwefell w zadziwieniu. – Nie pamiętam tego – dodał potem ze smutkiem. – Nie pamiętam niczego z tej księgi z wyjątkiem jej okładki. Jej zapachu… Uczucia, jakie we mnie

budziła… – Pokręcił głową i opuścił czoło. – Tak bardzo chciałbym sobie przypomnieć. Teraz, po tym, co mi powiedziałaś, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

– Powiadomiłeś nas o tym…

Löwefell uniósł głowę i spojrzał na Katrinę.

– A w jakimż to celu?

– Chciałeś uratować ludzkość, Narsesie – zaśmiał się van Bohenwald i poklepał go po ramieniu. – Bardzo zacnie z twojej strony.

Inkwizytor zwrócił głowę do Katriny.

– Co on wygaduje?! – zapytał tonem, który chyba miał być gniewny, ale tak naprawdę był pełen zdumienia.

– To prawda, Arnoldzie – przytaknęła. – Wiem, iż brzmi to niezwykle, a może wręcz nieprawdopodobnie, ba, całkowicie nieprawdopodobnie, zważywszy na to, co wiemy o Narsesie… Ale tak, Narses szukał naszej pomocy, by uratować ludzkość przed zagładą…

– Bo tę zagładę wyczytał w Szachor Sefer – dodał Marius. – I był pewien, iż jest ona blisko.

Löwefell nie wiedział, co powiedzieć. Te informacje były, jak mówiła Katrina: całkowicie nieprawdopodobne. Czy go zwodzili? Ale po co mieliby to robić? Czy Narses zwiódł ich? Ale w jakim celu zadałby sobie tyle trudu, naraził się na tyle niewygód i niebezpieczeństw, a wreszcie oddał w ręce śmiertelnych wrogów? Przecież mimo całej swojej mocy w klasztorze Amszilas byłby tak samo słaby jak mucha uwięziona w pajęczynie. Jeśli naprawdę wyczytał coś niepokojącego w Czarnej Księdze, to dlaczego szukał pomocy inkwizytorów? Dlaczego nie próbował poradzić sobie sam lub wykorzystując oddanych sobie magów? Co takiego wyczytał w Księdze, iż uznał, że tylko pomoc inkwizytorów może zapobiec katastrofie?

– Narses wydaje mi się ostatnią osobą, którą obchodziłby los świata – powiedział tylko Löwefell, zbyt przytłoczony nawałą

myśli, by wszystkie je w tym momencie wyartykułować.

Van Bohenwald uniósł palec.

– I tu się naprawdę głęboko mylisz – stwierdził stanowczo. – Narses był uzależniony od świata i od życia. Od władzy, od przyjemności uzyskiwanych dzięki majątkowi i tejże właśnie władzy…

– Z tym zgodzę się bez trudu – odparł Löwefell.

– Sam więc widzisz, że Narses nie pragnął i nie mógł pragnąć zagłady, gdyż ta dotknęłaby również jego. Dla Narsesa świat był jak wielka szachownica, a ludzie niczym pionki na tej szachownicy. Dla niego również świat był pełen sekretów, które zamierzał odkrywać i zgłębiać, pełen istot, które chciał pognębić lub podporządkować. Dlaczego więc miałby pragnąć, aby to wszystko zniknęło? Aby szachownica się rozpadła, a pionki zostały zdruzgotane? Wtedy nie pozostałoby nic…

Löwefell skinął głową.

– Z takim postawieniem sprawy nie zamierzam się kłócić – rzekł. – To oczywiste, że bogacza nie interesuje opustoszały, martwy świat, lecz świat, w którym może wydawać swoje bogactwa i chełpić się nimi przed innymi ludźmi. Ale – uniósł dłoń, by powstrzymać van Bohenwalda, który chciał coś wtrącić – twierdzisz w takim razie, że Narses przewidywał nie katastrofę o ograniczonej skali, tylko całkowitą i kompletną zagładę ludzkości? Czyż tak?

– Właśnie tak – zgodził się Marius. – Przecież w innym wypadku próbowałby wyciągnąć zyski dla siebie z kłopotów świata, w tym jednak wypadku domniemywał, że żadnych zysków nie będzie, bo i świata już nie będzie…

Löwefell pokręcił głową.

– Coś takiego – rzekł i potem milczał dłuższą chwilę. – Jednak ośmielę się zauważyć – odezwał się znowu, tym razem zgryźliwym tonem – że umysłowa stabilność perskich magów pozostawiała zazwyczaj bardzo wiele do życzenia, więc dziwi

mnie siła wiary, jaką daliście jego słowom. Chyba że… – zawiesił uważny wzrok na Mariusie – w jakiś sposób swoje tezy uwiarygodnił lub udowodnił.

– Sama jego chęć oddania się w nasze ręce była dla nas pośrednim dowodem – rzekł van Bohenwald. – Bo przyznasz przecież, iż to co najmniej niezwykła propozycja?

– Słowo „niezwykła” nie oddaje do końca tego, co o niej sądzę – zgodził się Löwefell. – Jednak czegoś musiał w zamian żądać, prawda? Przecież świat, wprawdzie ocalony, ale taki, w którym straciłby władzę i wolność, równie dobrze mógłby dla niego nie istnieć…

Van Bohenwald parsknął.

– Rzecz prosta, że nie obyło się bez negocjacji! – stwierdził. – Narses zażądał własnego udzielnego księstwa w granicach Cesarstwa oraz gwarancji wysokich dochodów. W zamian nie tylko przyrzekł podzielić się z nami wiedzą o nadchodzącej zagładzie, nie tylko obiecał przekazać nam Szachor Sefer i objaśnić jej znaczenie, lecz również zobowiązał się, że zdradzi nam najpilniej strzeżone sekrety perskiej magii i ujawni tajemnice oraz intrygi dworu szacha.

Löwefell pokręcił głową.

– Narses nie wyjawiłby wam tajników magii ognia. Nie ma mowy. Nigdy.

Van Bohenwald machnął ręką.

– Oczywiście zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, że będzie nam dawkował wiedzę. Zamierzaliśmy jednak pozyskać go jako szczerego stronnika. Udowodnić mu, że służąc Świętemu Officjum, zyska, a nie straci.

Löwefell pomyślał, iż naprawdę było to zachowanie typowe dla Inkwizytorium. Wewnętrzny Krąg zawsze uważał, że wrogów należy tępić z pełną bezwzględnością oraz okrutnie i przykładnie karać, ale jeśli się da, to przeciągać ich na swoją stronę. I wtedy hojną nagrodą oraz lojalnością pokazywać innym potencjalnym

zdrajcom, że zdrada na rzecz Officjum jest opłacalna. Podobnie sformułowana polityka przynosiła sukcesy przez całe wieki, ale akurat jeśli chodzi o Persów, to nie działała.

– Nie raz i nie dwa Inkwizytorium stosowało podobną metodę, by zjednać sobie wielkich, choć wrogich nam magów oraz uczonych – wyjaśniła Katrina. – Ten proces sięga samego początku dziejów. Na naszą stronę przechodzili brytońscy druidzi, słowiańscy żercy, afrykańscy szamani, normańscy kapłani. Kiedyś czcili leśne demony i święte drzewa, Welesa i Światowida, Asów i Wanów, a potem wszyscy prędzej czy później odnajdowali w swoich sercach miłość do Chrystusa i chęć szerzenia Jego wiary.

Van Bohenwald kiwał głową z poważnym wyrazem twarzy i widać było, że zgadza się z Katriną co do każdego słowa.

– A wracając do sprawy Narsesa, to powiem ci też, Arnoldzie, że niektórym ludziom gdzieś z tyłu głowy zaświtała nieśmiała myśl, że z pomocą takiego znawcy Persów oraz ich magii jak Narses będzie można poprowadzić kampanię, by chociaż odzyskać Ziemię Świętą… – Marius zawiesił głos. – A kto wie, może nawet pójść dalej…

Löwefell zastanawiał się chwilę nad tymi słowami. Czy świat chrześcijański mógłby ruszyć na wygraną wojnę, dysponując tak znaczącą figurą jak Narses? Czy ten as wyjęty z perskiej talii i przełożony do kart chrześcijan rzeczywiście zaważyłby na losach kampanii? Było to całkiem prawdopodobne. Przecież Narses był nie tylko czarownikiem, znawcą tajemnej wiedzy i twórcą magii. On również znakomicie orientował się w intrygach knutych na dworze szacha, doskonale znał wszystkich arystokratów, magów i generałów, a co za tym idzie mógłby pomóc w ich przekonywaniu, przekupywaniu lub szantażowaniu. Narses rozumiał siły i słabości zarówno całego perskiego imperium, jak i najważniejszych figur rządzących tym imperium. W Persji był otoczony złowrogą legendą, ale Persowie zawsze bardziej cenili siłę i bezwzględność niż zasady moralne, więc ta złowroga legenda tylko przydałaby mu mocy. Löwefell

doskonale wiedział, że w Persji w niewielkim stopniu istnieje coś, co w Cesarstwie nazywano wiernością Koronie. W imperium szacha zbyt wiele było narodów oraz wyznań. I zbyt wiele potężnych rodzin arystokratycznych, których członkowie mieli chrapkę na tron albo przynajmniej o tym tronie marzyli. Tak jak cesarz chrześcijan był dziedzicznym pomazańcem Bożym, tak korona szachów przechodziła zbyt często na dalszą rodzinę albo możnych, albo generałów, by myśl o obaleniu panującego budziła w kimkolwiek poczucie, iż byłby to zamach świętokradczy. Cesarstwo zbudowano na poparciu dla monarchów, którzy mieli być silni dzięki mocy swego stanowiska. Persję zbudowano na poparciu dla władców, których stanowisko było silne dzięki osobistej sile ich samych i ich zwolenników. Löwefell uważał, że świadczy to o przewadze chrześcijan i o tym, iż w końcu to właśnie oni zatriumfują. Zastanawiał się tylko, co sądził o tym Narses. Czy też uważał, że słabość Persów wynika z lichości fundamentów, na których opiera się całe państwo? A może zbytnio był pochłonięty intrygami i walką, by zwrócić uwagę na problemy imperium?

– Myśl rzeczywiście śmiała, ale muszę przyznać, że niepozbawiona rzeczowych podstaw – odparł. – A przynajmniej niebędąca kompletną mrzonką i fantazją.

– Sam więc widzisz, że sprawa była więcej niż ciekawa i Inkwizytorium zaangażowało wiele sił oraz środków, by doprowadzić wszystko do szczęśliwego finału.

– A jednak coś się nie udało – powiedział Löwefell, zastanawiając się, czy za chwilę będzie bliżej wyjaśnienia tajemnicy swojego życia, czy też drzwi zatrzasną mu się przed nosem. – Coś potoczyło się nie tak, jak trzeba, skoro rozmawiasz teraz z inkwizytorem Arnoldem Löwefellem, a nie magiem Narsesem.

– Wynajęliśmy bizantyjskich i chazarskich najemników oraz wysłaliśmy naszych inkwizytorów – van Bohenwald teatralnym gestem wskazał Thorwaldsona – żeby czekali na statek Narsesa i przeprowadzili go bezpiecznie do Bizancjum. Do Bizancjum

wysłaliśmy kolejnych inkwizytorów z oddziałem wojska, żeby bez przeszkód przeprowadzili Narsesa na teren Cesarstwa. Przebyliśmy trzy tysiące mil, Arnoldzie! – Van Bohenwald wystawił w powietrze rozczapierzoną dłoń z wysuniętymi trzema palcami. – Trzy tysiące mil, z czego ponad połowę na wrogim terenie, w otoczeniu ludzi, których nie do końca byliśmy pewni. A jednak ta niezwykła wyprawa się powiodła. Zakończyła się szczęśliwie tu, w Amszilas. Doprowadziliśmy Narsesa całego i zdrowego, i nawet zadowolonego, oczywiście na ile zadowolony może być człowiek, który zrezygnował z pałacowych wygód i kilka miesięcy spędził na statkach oraz na wozach, nie będąc pewnym, co przyniesie kolejny dzień.

Marius z westchnieniem opuścił rękę. Milczeli przez chwilę.

– Czy Narses zdradził? Nie dotrzymał umowy? – spytał ostrożnie Löwefell.

– Narses przybył do nas z niezbitymi dowodami, że ludzi czeka zagłada – rzekł van Bohenwald podniesionym, niemal opryskliwym tonem. – A przynajmniej z czymś, co uważał za niezbite dowody na tę tezę. Przybył do nas również z przemyślanym planem, co należy uczynić, by ten nasz świat uratować. I czy wiesz, Arnoldzie, jak odwdzięczyliśmy się mu za wysiłek?

– Zapewne mi powiesz – rzekł cicho Löwefell.

– Zapewne ci powiem – powtórzył ironicznie Marius. – Otóż w podzięce za wszystkie trudy i za gotowość sojuszu ze Świętym Officjum my w klasztorze Amszilas ugotowaliśmy mu mózg.

Löwefell się nie odezwał.

– Ach tak… – rzekł dopiero po dłuższej chwili.

– Oczywiście nie my to zrobiliśmy – wtrąciła łagodnie Katrina. – Marius zapewne tak powiedział, by spotęgować dramatyzm tego wydarzenia. Dramatyzm i tak wystarczająco duży, jak dla mnie, bez dodatkowych upiększeń… – westchnęła.

– My byliśmy za to odpowiedzialni – rzekł gniewnie van

Bohenwald. – Narses znajdował się pod naszą opieką i pod naszą strażą. Znajdował się na terenie najbezpieczniejszego, wydawałoby się, miejsca na całej ziemi. A jednak ktoś go dopadł. Pod naszym nosem. Na naszych oczach. Upokorzono nas. Straszliwie nas upokorzono.

Löwefell z niechęcią pomyślał, że akurat ambicjonalnym aspektem sprawy Marius powinien się najmniej przejmować. To nie było warte uwagi Inkwizytorium.

– Co się wydarzyło?

– Narsesa zniszczono – objaśniła Katrina. – To, czego się dowiedziałeś o ogromnych obrażeniach, jakie poniósł, jest szczerą prawdą. Tyle że nie wydarzyło się to w czasie zasadzki w Bizancjum, ale w czasie gościny w Amszilas. Taka różnica…

– Nikt nie poczuł tak silnej erupcji magii? – zapytał Löwefell. – Przecież podobna walka musiała być niczym trzęsienie ziemi…

– Nie było żadnej walki – burknął van Bohenwald. – Musieli go zaskoczyć lub wcześniej obezwładnić.

– Najpotężniejszemu perskiemu magowi ugotowano mózg, a on się nawet nie zorientował, że zbliża się coś złego, i nie podjął próby obrony? – zapytał Löwefell, uważając, że w samej treści tego pytania jest zawarte tyle ironii, iż nie musi jej dodatkowo podkreślać tonem.

– Zapewniam cię, że to prawda, Arnoldzie – odezwała się Katrina, uprzedzając Mariusa. – Nie znaleźliśmy żadnych śladów magii Narsesa. Żadnej próby obrony. Ktoś go dopadł…

– Jak sowa mysz! – warknął van Bohenwald i stuknął palcami prawej dłoni w rozłożoną lewą dłoń.

– Perskiego maga? Przyzwyczajonego dzień i noc do czuwania nad własnym bezpieczeństwem? Perskiego maga, który od czasów młodości otoczony był wrogami i fałszywymi przyjaciółmi, który żył pośród intryg oraz wielopoziomowych sekretów? Uważacie, że takiego człowieka zniszczono i pokonano bez trudu i bez konieczności przełamywania oporu?

Katrina i Marius wymienili się spojrzeniami. Potem Marius wzruszył ramionami.

– Możesz wątpić w prawdopodobieństwo i logikę tych wydarzeń, ale zapewniam cię, że tak właśnie się stało.

Löwefell skinął głową.

– Dobrze. Przyjmuję twoje wyjaśnienia, bo rozumiem, że nie zaniedbano niczego, by wybadać ewentualne pozostawione ślady…

Katrina uśmiechnęła się smutno.

– Tego akurat możesz być pewien – stwierdziła.

– A więc wniosek jest jeden – ciągnął Löwefell. – Przeciwnik był nie tylko silny, lecz również sprytny i wielce wprawiony w sztuce magicznej. Kim w takim razie był ów przeciwnik?

Marius wycelował palec wprost w pierś Löwefella.

– I to jest znakomite pytanie! – zawołał.

– To jest pytanie, na które do tej pory szukamy odpowiedzi – dodała Katrina. – I liczymy, że wskrzeszając pamięć Narsesa, której większe lub mniejsze strzępy cały czas odnajdujemy w tobie, trafimy na rozwiązanie zagadki.

– Ach tak. Sądzicie, że przypomnę sobie, kto usmażył Narsesowi mózg. – Löwefell wzruszył ramionami. – Z przyjemnością wam pomogę. Chociaż patrząc z drugiej strony, dzięki temu komuś jestem tym, kim jestem dzisiaj, i służę Chrystusowi.

Marius potrząsnął głową.

– To zły tok myślenia, Arnoldzie – rzekł poważnie. – Ten, kto zniszczył Narsesa, nie miał zamiaru wskrzeszać go w tej czy innej formie, lecz chciał wymazać jego ślad z powierzchni ziemi. Ten ktoś to nieprzyjaciel chrześcijan i chrześcijaństwa. To zaciekły wróg Inkwizytorium.

Löwefell zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami. Wcale nie był tak bardzo pewien konkluzji przedstawionej przez

Mariusa, aczkolwiek rzeczywiście sądził, że była ona najbardziej prawdopodobna.

– Rozumiem, że przeprowadzono wnikliwe śledztwo. Czy jego przebieg oraz wyniki utrwalono w formie pisemnej?

– Rzecz jasna – rzekł van Bohenwald.

– Czy będę mógł zapoznać się z tymi raportami?

– Nie – odparł krótko Marius.

– Arnoldzie, nie chcemy, by cokolwiek zaburzyło twój proces wskrzeszania pamięci – powiedziała Katrina. – Przeczytanie tak dokładnego raportu mogłoby zbudować w twoim umyśle fałszywe wyobrażenie przeszłości zamiast jej prawdziwego obrazu. Nie chcemy w żaden sposób cię ukierunkowywać. Chodzi nam o wspomnienia Narsesa, a nie o to, żebyś zajmował się prowadzeniem śledztwa i szukaniem winnych. Samo to, że z tobą dzisiaj rozmawiamy, nie wszystkim się podoba i nie wszyscy zostali przekonani co do słuszności tego pomysłu. Jednak wraz z Mariusem doszliśmy do wniosku, że już czas, by postąpić ten jeden krok dalej.

– A winnych masz zobaczyć – wtrącił Marius – tak jak widziałeś ich tamtej nocy.

– Jeśli w ogóle ich widziałem. – Löwefell pokręcił głową. – Skąd pewność, że Narses zobaczył piorun, który go trafił i poraził?

– Tego dowiemy się właśnie od ciebie – wyjaśniła Katrina. – Tego chcemy się dowiedzieć od ciebie.

Löwefell skinął głową. Zgadzał się z takim postawieniem sprawy i w zasadzie chyba sam podjąłby identyczną decyzję. Zrozumiałe, że nie chcieli, by pusta karta, jaką była część umysłu Löwefella, została zapisana fałszywymi wspomnieniami. To jedynie utrudniłoby proces dochodzenia do prawdy. A kto zniszczył perskiego maga? Kto w samym sercu chrześcijaństwa zdobył się na przeprowadzenie zbrodniczego zamiaru i w dodatku dokonał go sprawnie oraz bezkarnie? Frakcja w łonie Wewnętrznego Kręgu? A może Aniołowie? Jaki był cel

owego zamachu? Nie dopuścić do ujawnienia tajników perskiej magii czy nie pozwolić na wojnę z Persją? Ukryć prawdziwe znaczenie Szachor Sefer, czy może ukarać Narsesa? Może zniszczenie perskiego maga nie miało żadnych powodów poza tym, iż ktoś uznał, że przymierze z nim jest amoralne? Tak, Löwefell znał inkwizytorów, którzy mieli bardzo zasadnicze podejście choćby do konszachtów z demonami i uważali takowe co najmniej za błąd. Ale znał również takich, którzy sądzili, że w korzystaniu z mocy wroga nie ma nic złego. To tylko jak zebranie strzał wystrzelonych przez łuczników wroga i wysłanie salwy przeciw nim samym.

– Co stało się z Roksaną? – zapytał. – W jaki sposób perska wiedźma nagle znalazła się w Koblencji?

Marius i Katrina znowu wymienili spojrzenia, a w końcu Marius wzruszył ramionami.

– To chyba może wiedzieć – powiedział.

– Roksana uciekła – wyjaśniła Katrina. – Zabrała Szachor Sefer i zniknęła.

Zdumiony Löwefell roześmiał się, pokręcił głową i milczał chwilę.

– Pozwólcie, że podsumuję, co usłyszałem – rzekł wreszcie. – Do klasztoru Amszilas przybywa dwóch potężnych perskich magów. Jeden z nich dysponuje gigantyczną wiedzą i posiada pożądany oraz poszukiwany na całym świecie artefakt o wielkiej mocy. Pierwszego maga ktoś niszczy niemal na waszych oczach, a drugi mag zabiera ów artefakt i ucieka. A wy tracicie ślad i po magu, i po artefakcie… Sprostujcie mnie, proszę, jeśli powtórzyłem coś niezgodnie z prawdą…

– Nie ma potrzeby być tak zgryźliwym. – Van Bohenwald prychnął z irytacją. – Doskonale wiemy, jak sprawa wygląda z zewnątrz i jak można ją oceniać. I zaręczam ci, Arnoldzie, że wściekłość walczyła u nas o lepsze ze zdumieniem.

– A bez ozdobników retorycznych?

– Uwierz mi, że zrobiliśmy wszystko, co tylko w naszej mocy – odparła Katrina. – Zbadaliśmy każdy magiczny i materialny ślad, wysłaliśmy dziesiątki szpiegów, zamęczyliśmy niemal na śmierć kilka potężnych demonów, żeby wydobyć od nich zeznania, przeszukaliśmy nie-świat… – Rozłożyła bezradnie ręce. – I nic. Żadnych efektów.

Löwefell wyobrażał sobie, jaka atmosfera musiała panować wtedy w klasztorze Amszilas. Zapewne podobna jak w kopniętym gnieździe pełnym rozwścieczonych szerszeni.

– Ty byłeś odpowiedzialny, Mariusie, za bezpieczeństwo Narsesa? – Löwefell odwrócił się w stronę grubego inkwizytora, nie mogąc powstrzymać się od złośliwości. – Aż dziwne, że nie postanowiono zrzucić głowy z twoich ramion, uznając ją za średnio użyteczny dla nich balast – dodał.

Ku zdziwieniu Löwefella van Bohenwald tylko zarechotał, po czym poklepał go po ramieniu gestem, który można by nawet uznać za przyjazny.

– Nie, akurat nie ja odpowiadałem za bezpieczeństwo Narsesa w klasztorze, jeśli chcesz wiedzieć – rzekł.

– To byłam ja – wyjaśniła cicho Katrina.

– Och, wybacz – rzekł Löwefell, prawdziwie skruszony i prawdziwie zasmucony. – Jest mi naprawdę przykro.

– Było, minęło – odparła Katrina bez uśmiechu. Jej głos, wbrew lekceważącym słowom, był przepełniony goryczą.

– Może powiesz naszemu przyjacielowi, w jaki sposób zostałaś ukarana – zaproponował Marius z krzywym uśmiechem.

– Nie musi nic mówić, jeśli nie chce! – warknął rozeźlony Löwefell.

– Jakież to rycerskie! – zawołał z udanym podziwem Marius. – Ale zupełnie niepotrzebne, nasz drogi perski przyjacielu. Katrina na pewno chętnie ci powie, co jej zrobiono, kiedy zawiodła zaufanie Wewnętrznego Kręgu, kiedy pozwoliła, by naszego przyszłego sprzymierzeńca, maga sławnego z siły, wiedzy oraz

politycznych wpływów, zmieniono w bezwartościową wydmuszkę…

Katrina nagle wydała się Löwefellowi bardziej krucha i bezbronna niż kiedykolwiek. Podeszła o dwa kroki, tak że stanęli twarzą w twarz, położyła mu dłonie na ramionach i spojrzała prosto w oczy. Jej źrenice były wypełnione smutkiem i tęsknotą.

– Obcięli mi skrzydła, Arnoldzie – wyznała z rozpaczą. – A potem kazali zostać jedną z was.

© Fabryka Słów

Koniec tomu trzeciego

1 Ale nadal mówisz po persku.

2 I słyszę swoją nieprzyjemną wymowę.

Przypisy

Tom trzeci „Płomienia i krzyża” wymaga jednej generalnej uwagi dotyczącej powiązania wydarzeń z tej powieści z wydarzeniami opisanymi w opowiadaniach „Wąż i gołębica” oraz „Wąż i gołębica. Powrót”. Otóż czytelnicy muszą sobie wyobrazić, że konflikt Mordimera Madderdina z baronem Haustofferem oraz spotkanie zdziczałej wampirzycy nastąpiły chronologicznie nie tak, jak zostało to opisane, ale PRZED przygodami zawartymi w tomie „Kościany Galeon”. Z punktu widzenia treści historii nie ma to szczególnego znaczenia, natomiast uważny czytelnik mógłby się zorientować, że chronologia i związek przyczynowo-skutkowy zostałyby zaburzone, gdyby nie to wytłumaczenie.

Piszę o tym, abyście nie sądzili, że nie zauważyłem konfliktu, jaki powstał. Niestety, nie byłem w stanie rozwiązać go w inny sposób. Zbadanie tajemnicy otaczającej tak zwane wampiry musi się odbyć jeszcze przed wielkim wydarzeniem, jakim jest przyzwanie Kościanego Galeonu. Cóż, taka to cecha plastycznego i ciągle ewoluującego świata, iż trzeba w nim wprowadzać zmiany dotyczące pewnych wydarzeń z przeszłości. Niekiedy da się to przeprowadzić w sposób czysto literacki i poprzez zastosowanie pisarskich sztuczek, ale niekiedy zostaje nam, niestety, tylko ingerencja polegająca na przeredagowaniu czy zmianie kolejności tekstów, które powstały w przeszłości.

Ponieważ na 13 tomów cyklu inkwizytorskiego taki konflikt zdarzył się po raz pierwszy, i tak uważam, że proporcje wypadają całkiem nieźle.

No a teraz już, jak zwykle w serii „Płomień i krzyż”, czas na przypisy historyczne. Pisząc moje książki, sam uczę się czasami różnych interesujących rzeczy, więc zapraszam Was na małe przyjęcie. Zamiast herbatki będą serwowane ciekawostki.

Herenniusz Furius był jednocześnie cesarskim szpiegiem, informatorem Sanhedrynu i utrzymywał tajne kontakty z zelotami – antyczna Palestyna stanowiła zatruty i wrzący tygiel nie tylko narodowościowy, ale również poglądowo-ideowy, w tym religijny. Rzymianie musieli niezwykle uważać, by nie sprowokować zamieszek i buntów wśród fanatycznie religijnej ludności żydowskiej (a i tak nie zawsze się to udawało, co prowokowało krwawe i wyniszczające konflikty, do tej pory zresztą przechowywane w narodowej i religijnej świadomości żydowskiej). Warto podkreślić, że społeczność żydowska była wewnętrznie śmiertelnie skłócona. W czasie buntu podczas panowania cesarza Trajana mówiono nawet, że Rzymianie nie powinni nic robić, tylko spokojnie czekać, aż Żydzi sami wymordują się między sobą. Jednym z żydowskich ugrupowań polityczno-religijnych było stronnictwo zelotów. Do tej pory słowo „zelota” jest synonimem zagorzałego fanatyka, kogoś bezgranicznie oddanego wyznawanym ideom. I tacy właśnie byli zeloci Izraela. Byli oni najbardziej nieprzejednanymi buntownikami, śmiertelnymi wrogami nie tylko rzymskiej władzy, ale również każdego, kto z nią kolaborował. Zeloci tworzyli ściśle zakonspirowane organizacje posługujące się metodami terrorystycznymi. Terror ten polegał na przykład na likwidowaniu Żydów, którzy współpracowali z rzymskimi okupantami. Aby wrażenie było większe, zamachów tych dokonywano często publicznie i w efektowny sposób, po czym zabójca znikał bez śladu, jakby rozwiewał się w powietrzu. Istnieją hipotezy mówiące o tym, iż Barabasz, ów złoczyńca uwolniony przez lud Jerozolimy zamiast Jezusa Chrystusa, nie był tak naprawdę żadnym kryminalistą, tylko zelotą. I uwolniono go

dzięki po pierwsze sympatii, jaką cieszyło się to ugrupowanie wśród ludności, a po drugie dzięki wpływom samej organizacji, która za pomocą podstawionych ludzi nakłoniła tłum, by domagał się właśnie uwolnienia Barabasza. Poznałem również teorię, którą już oczywiście można zaliczyć do zaledwie prawdopodobnych hipotez, iż stronnictwo zelotów było bardzo rozczarowane postawą Jezusa, gdyż ten nie dopuszczał myśli o stanięciu na czele zbrojnej konfrontacji z Rzymem (czy choćby przyłączeniu się do niej). A przecież kwestia zelotów nie wyczerpuje spraw konfliktu wewnątrz społeczności żydowskiej. Istniał tam bardzo poważny spór pomiędzy stronnictwami polityczno-religijnymi saduceuszy i faryzeuszy, a do tego dochodziła jeszcze kwestia lokalnych możnowładców, którzy z nadania Rzymu starali się pełnić władzę administracyjną i lawirować pomiędzy zobowiązaniami wobec cesarza a wobec własnych rodaków. Dodatkowo ziemie antycznej Palestyny zamieszkiwała silna i skrajnie Żydom wroga społeczność grecka, były również ludy pochodzenia arabskiego czy pozostałości narodów, które zamieszkiwały te tereny przed przybyciem Żydów. Nie należy również zapominać o wpływie agentury imperium perskiego, które to imperium z radością widziało wszelkie kłopoty Rzymu. Krótko mówiąc: Palestyna i Izrael były nierozplątywalnym węzłem gordyjskim, w dodatku wciąż plastycznie się formującym i ciągle komplikującym. Część władców Rzymu, dobrze o tym wiedząc, starała się utrzymywać jakiś rodzaj chwiejnego konsensu pomiędzy grupami etnicznymi, politycznymi i religijnymi. Inni znowu decydowali się na konflikt, sądząc, że rozcięcie mieczem owego węzła jest najlepszym lekarstwem. Oczywiście Rzym takie wojny wygrywał, a Żydom przynosiły one cierpienia i klęski pamiętane do tej pory, mimo upływu dwóch tysięcy lat. Zrozumiałe, że w tak złożonej rzeczywistości społecznej i politycznej Rzym musiał dysponować na terenie Palestyny siecią wykwalifikowanych i zaufanych szpiegów, takich jak opisywany tutaj Herenniusz Furius. W powieści „Rzeźnik z Nazaretu” poznacie blisko i dokładnie jednego z tych szpiegów, zresztą często wspominanego przeze mnie w innych książkach – Marka Kwintyliusza, zaufanego

agenta cesarskiego, który po Zstąpieniu przeszedł na stronę Armii Jezusa i został potem założycielem Świętego Officjum oraz żywą legendą dla wszystkich inkwizytorów.

Ruś, Rosja – w świecie rzeczywistym ziemie ruskie zostały zjednoczone pod berłem moskiewskiego księcia, który przybrał tytuł cara. Ale przez wiele wieków były to ziemie rozbite na dzielnice, a książęta czasami ze sobą walczyli, a czasami współpracowali. Niezwykłym tworem na skalę wręcz światową była Republika Nowogrodu, średniowieczne państwo ruskie istniejące w latach 1136–1478, powstałe na skutek usamodzielnienia się w czasie rozbicia dzielnicowego Rusi. Było to potężne i bogate państwo kupieckie, które w naszym świecie również sięgało swoimi wpływami od Bałtyku aż do granic Uralu, a wyprawy wysyłane z Nowogrodu badały również tereny poza tym pasmem górskim. Nowogród padł ofiarą silnych na ziemiach ruskich tendencji zarówno zjednoczeniowych, jak i autokratycznych. Utracił suwerenność, a nawet autonomię, duża część najbardziej znaczących obywateli miasta została wymordowana, a resztę sterroryzowano. Miłośnicy historii alternatywnej zastanawiali się, co by było, gdyby Republika oparła się atakowi carskiej Rusi, i co by było, gdyby zawiązała sojusz z Rzeczpospolitą Obojga Narodów, która była w stanie oferować jej ogromny zakres wolności. Nowogród i Rzeczpospolita były zresztą wcześniej połączone przyjaznymi kontaktami, ale co oczywiste, urwały się one wraz z utratą suwerenności przez to państwo kupieckie. Brak istnienia jakiejkolwiek formy demokracji na ziemiach ruskich na pewno zaważył na przyszłości całego państwa i narodu i odbił się na mentalności dzisiejszych Rosjan, na ich bałwochwalczym stosunku do władzy i „zamiłowaniu do knuta". Kto wie jak potoczyłyby się rosyjskie losy, gdyby przez wieki istniała silna, demokratyczna i bogata Republika Nowogrodu, realizująca politykę polegającą, mówiąc w uproszczeniu, na silnym zaznaczeniu roli burżuazji i promieniująca swym wpływem na inne ziemie ruskie.

Syberyjskie skóry i futra – historia podboju Syberii to historia

walki o skóry i futra. Wyprawom ciągnącym z carskiej Rosji nie było z terenów położonych za Uralem potrzebne nic poza tymi towarami. Oczywiście prowadzono badania geograficzne, zakładano forty i osady, ale wszystko to działo się jedynie na marginesie gigantycznego przemysłu, jakim było zdobywanie skór i futer. Aby wyobrazić sobie skalę owego przedsięwzięcia, warto powiedzieć, że budżet państwa rosyjskiego był od XVI wieku w zasadzie całkowicie uzależniony od eksportu futer. To za zyski z tego handlu utrzymywano administrację, armię i podejmowano wyzwania przybliżające Rosję do państw zachodniej Europy. Trzeba też zaznaczyć, że władze rosyjskie od samego początku z ogromną powagą przystąpiły do układania gospodarczo-finansowej syberyjskiej układanki. W tym zakresie nic nie działo się spontanicznie. Wyprawy na Syberię wymagały pozwoleń carskich, a cały handel futrami był ściśle kontrolowany i obłożony różnego rodzaju podatkami. Daniny te zapewniały, jak już wspominałem, nieprawdopodobny wręcz zastrzyk finansowy dla całego państwa, ale nie przeszkodziły również w budowaniu gigantycznych prywatnych fortun. Wtedy powstały rody kupieckie trzęsące całą Syberią, zdolne do wysyłania wielkich zbrojnych wypraw daleko, daleko za Ural. Wtedy również nasiliła się rosyjska kolonizacja, powstawały osady, miasta i fortece, a ludność miejscowa była wypychana coraz dalej na wschód. Trwający w sumie kilkanaście dziesięcioleci podbój Syberii jest wydarzeniem niemal nieznanym w Polsce, a szkoda, bo jest to epoka niezwykle interesująca, zwłaszcza kiedy zaczniemy dokonywać porównań z podbojem Ameryki Północnej czy potem Dzikiego Zachodu. Zresztą, jak się okazuje, różnic jest równie dużo jak podobieństw, a co ciekawe, bilans postępowania etyczno-moralnego wobec ludności tubylczej wypada zdecydowanie na korzyść Rosjan na Syberii, a nie zachodnich kolonistów w Ameryce.

Lacus Brigantinus – tak w czasach antycznych nazywano Jezioro Bodeńskie, gigantyczny akwen słodkowodny między południowymi Niemcami a Szwajcarią. Zmieściłaby się w nim cała dzisiejsza Warszawa.

Ultima Thule – już antyczni Grecy zdawali sobie sprawę z istnienia Islandii i tak nazwał ją w IV wieku przed naszą erą grecki żeglarz Pyteasz. Nazwa ta oznacza „ostatni świat" i w kulturze antycznej oznaczała w przenośni koniec znanego ludziom świata. Za Ultima Thule znajdować się miał już jedynie bezkresny ocean.

Wyprawa na Islandię – karaka to najbardziej rozpowszechniony w XV wieku rodzaj statku, w zasadzie pierwszy przeznaczony do dalekich (w tym oceanicznych) podróży. Trójmasztową karaką był flagowy statek Krzysztofa Kolumba Santa Maria, którym odkrywca dopłynął do Ameryki (dwa pozostałe jego statki były zdecydowanie mniejszymi karawelami). Również karaką była Victoria Ferdinanda Magellana, pierwszy statek, który opłynął świat dookoła. Oprócz karak handlowych czy należących do odkrywców stocznie budowały karaki wojenne. I to były już potężne okręty o długości przekraczającej 50 metrów i załodze liczącej w sumie (biorąc pod uwagę zarówno żeglarzy, jak i żołnierzy) kilkaset osób. Najsłynniejszymi karakami naszego świata były Peter von Danzig oraz czteromasztowa wojenna angielska Mary Rose. Karaki czasami nazywano holkami lub hulkami, chociaż nie zawsze te nazwy można stosować zamiennie. Karaki ewoluowały następnie, zmieniając się w galeony, które były już niczym innym jak gigantycznymi pływającymi zamkami.

Widziałam pole bitwy nad Hydaspesem, gdzie przed wiekami Aleksander walczył z maharadżą Porusem – Aleksander Macedoński w swym niezwykłym marszu na koniec znanego świata stoczył bitwę nad rzeką Hydaspes (dzisiaj to miejsce znajduje się w Pakistanie, blisko granicy z Indiami). Jak w wypadku wielu starć w czasie wojen toczonych przez Aleksandra, bitwa była majstersztykiem taktycznym. Śmiały plan Macedończyków i znakomite współdziałanie piechoty oraz kawalerii zaskoczyły wojska indyjskie. Zostały one całkowicie zniszczone, a Porus schwytany w czasie ucieczki. Co ciekawe i charakterystyczne dla wizji świata wyznawanej przez króla Macedonii, Aleksander nie tylko uwolnił Porusa, ale

zaproponował mu sojusz oraz pozostanie u władzy w zamian za uznanie macedońskiej zwierzchności.

Obok jeźdźców biegły nie psy, lecz smukłe, wysokie koty o nakrapianej płowej sierści – gepardy kojarzą nam się oczywiście z Afryką, ale kiedyś występowały masowo również w Persji, a nawet w Indiach. Persowie oswajali i tresowali gepardy, a perska arystokracja używała ich do pościgu za zwierzyną na polowaniach.

Löwefell rozumiał, skąd to przekomarzanie i że dialog składający się z namów oraz odmów był częścią obyczaju, każącego tak właśnie zachowywać się zarówno gospodarzom, jak i gościom – odmowa była cechą charakterystyczną grzecznego gościa. To on miał się wzbraniać, odmawiać, zapewniać, że nie chce mu się ani jeść, ani pić, a gospodarz powinien z kolei nakłaniać go, namawiać, a wręcz zmuszać do skorzystania z gościny. W polskim piśmiennictwie zachowało się sporo świadectw tego obyczaju, który do Polski przybył z Rusi i który nazywano między innymi „prynuką". Jeden z pamiętnikarzy opisywał zwierzenia gościa, który żalił się na nieudaną ucztę. Pytano go: „A co, nie było jedzenia i picia?". A on odpowiadał: „Wszystkiego było w bród, ale prynuki nie było". Takie to właśnie świadectwo obyczajowości, w której gość musiał być zapewniany o tym, iż jest przez gospodarza pożądany, gdyż inaczej mógł się czuć rozżalony. W I Rzeczpospolitej owo namawianie gości do spożywania jadła i raczenia się trunkami przybierało czasem zdumiewający kształt. Zdarzało się, że gospodarze grozili gościom bronią, zdarzali się również tacy, którzy porywali podróżnych z gościńca, zmuszając ich, by ucztowali w ich towarzystwie. No cóż, na taki „terroryzm" chyba zgodzilibyśmy się i dzisiaj…

Trzy tajemnicze księgi zelotów – kiedy pisałem o tych księgach i utyskiwaniach Barnaby Bibera, że nikt nie jest w stanie rozszyfrować ich kart, miałem w głowie obraz i historię zdumiewającego Manuskryptu Voynicha, który od kilku wieków zatruwa życie wielu badaczom i doprowadza ich do wynikającej z bezradności prawdziwej furii. Ta zapisana nieznanym językiem i nieznanym alfabetem księga jest pełna dziwacznych rysunków:

zarówno wizerunków humanoidalnych istot, jak i symboli astrologicznych, kosmogonicznych schematów i przede wszystkim dokładnych szkiców roślin (co dodatkowo zabawne: roślin w większości nieistniejących). Manuskrypt został przebadany przez najwybitniejszych kryptologów i językoznawców oraz poddany specjalistycznym testom i badaniom komputerowym, analizującym między innymi składnię, częstotliwość występowania określonych znaków itp. Pomimo wielu lat pracy tysięcy ludzi, zarówno wybitnych profesjonalistów, jak i amatorów z całego świata, nigdy nie udało się odcyfrować ani jednego słowa. Sprawa wydawała się z punktu widzenia naukowego tak beznadziejna, iż zaczęto przypuszczać, że owa księga jest wymyślnym, skomplikowanym żartem, mistyfikacją, a 240 pieczołowicie zapisanych stron nie przekazuje nie tylko znaczącej treści, ale po prostu żadnej treści.

…w Biblii przepisywanej ręcznie każde słowo jest niczym sztych zadany wprost w serce diabła – tak w naszym świecie uważał Kasjodor, założyciel klasztoru Benedyktynów (ten właśnie zakon słynął na cały świat z przepisywania ksiąg) w Vivarium.

Druk – wiele osób mylnie sądzi, że drukarnia zaraz po jej wynalezieniu w Europie zrewolucjonizowała proces publikacji książek i że wychodziły one z niej z taką szybkością, jakby schodziły z fabrycznej taśmy. Niestety, nie było to takie proste. Przede wszystkim drukarnia była nieprawdopodobnie kosztowną inwestycją. Cena zakupu wszystkich urządzeń potrzebnych do jej prowadzenia sięgała w czasach Gutenberga równowartości 100 kilogramów srebra! No i jeszcze jedna sprawa. Zgodnie z typowym dla zachodniego świata zwyczajem europocentryzmu, wydaje nam się, że to Niemiec Gutenberg był wynalazcą druku. Nic bardziej mylnego. Pierwsza drukowana książka powstała w IX wieku w Chinach. Natomiast już w 1041 roku również w Chinach stworzono pierwsze ruchome czcionki (do tej pory całą stronę rzeźbiono na drewnianej płycie i odbijano). Prymitywne techniki druku były stosowane również przed Gutenbergiem w niektórych chrześcijańskich klasztorach oraz w państwach arabskich. A teraz pozwólcie, że przytoczę fragment

pracy Anny Rybotyckiej, która to badaczka znakomicie i szczegółowo opisuje technikę druku w czasach Gutenberga: „Gutenberg musiał opracować coś, co pozwalało precyzyjnie ułożyć czcionki tak, by powstawały identyczne wydruki. Zaczął od wycięcia w metalowej sztabce lub kostce pojedynczej litery. Była ona wycinana głęboko i miała być lustrzanym odbiciem tego, co ma znaleźć się na wydruku. Następnie taką sztabkę z literą wbijał za pomocą młotka w miękką miedź. W efekcie w miedzi powstawała czcionka, którą należało precyzyjnie dopasować do urządzenia drukującego. Miedź była następnie wypełniana roztopionym metalem. W ten sposób otrzymywano wytrzymałe, metalowe lustrzane odbicie czcionki. Gotowe czcionki chowano w specjalnych pojemnikach, gdzie były łatwo dostępne dla drukarza. Ten układał je w odpowiednich listewkach, które zapewniały, że wydruk będzie równy. Kilka ułożonych linii umieszczano następnie w bardziej stabilnej odbitce szczotkowej, która pozwalała na tworzenie całych kolumn i stron. Na niej dokonywano ostatecznego wyrównywania tekstu. Gotowe strony zamykano w ramach, a te przymocowywano do prasy drukarskiej. Ułożone czcionki smarowano tuszem (w czasach Gutenberga wykonywano go z sadzy z lamp, werniksu i białka z jajek). Papier, który miał być zadrukowany, najpierw nawilżano i mocowano do prasy umieszczając na licznych szpilkach znajdujących się na bębnie. Nad nim wisiała rama, która zabezpieczała marginesy karty przed zabrudzeniem. Ramę opuszczano na bęben z papierem. Całość zamykano i opuszczano na platformę. Gdy papier znajdował się już na platformie, przykładano doń płytę dociskową, co powodowało powstanie wydruku. Początkowo drukowano jednocześnie jedną stronę. Później, wraz z rozwojem techniki, drukowano jednocześnie nawet osiem stron. Później, gdy tusz wysechł, można było zadrukować drugą stronę tej samej karty. Każde 16 kart było zszywanych razem i z wielu takich zszywek tworzono książkę. Początkowo druk był jedynie czarny. Wszelkie kolorowe wstawki i rysunki były dodawane ręcznie. Dlatego też wiele pierwszych wydruków można na pierwszy rzut oka pomylić z manuskryptami. Gdy już rozpoczęto drukowanie

ilustracji, był to proces dwuetapowy. Osobno drukowano tekst, a osobno wycinane w drewnie ilustracje”.

…mój lud czci jako boga swojego władcę, a mojego ojca, ale modlą się również do Wielkiego Morskiego Węża – tak Nontle opowiada o swoim kraju. Co to za kraj? Zakładam, że Nontle należy do potężnego ludu Soninke, żyjącego na terenie subsaharyjskiej Afryki Zachodniej. Soninke byli w naszym świecie twórcami wielkiego Imperium Ghany (nazwa jest myląca, gdyż zajmowało ono głównie tereny Mauretanii oraz Mali), które upadło pod naporem muzułmańskich Arabów, którzy poprowadzili przeciw niemu dżihad. Skoro w świecie moich powieści nie istnieje islam, więc nie było ekspansji zjednoczonych Arabów, a to oznacza, że jest szansa, iż Imperium Ghany przetrwało… Arabscy i chrześcijańscy kronikarze wspominają, że było to królestwo bogate i silne. W czasach wczesnego średniowiecza stolica państwa liczyła 30 tysięcy mieszkańców i była ogrodzona kamiennym murem, a władca mógł wystawić armię liczącą 200 tysięcy wojowników (szczerze mówiąc, tutaj bardziej bym wierzył nie w podawaną liczbę, lecz w wielkie zdolności do przesady średniowiecznych badaczy oraz kronikarzy).

Warzą piwo, nie przejmując się, iż trafia do niego również wielka ilość jakiegoś zielska, jakichś trujących chwastów… – to opisywana przez pamiętnikarzy cecha piwa produkowanego w krajach normańskich. Niektórzy wręcz twierdzą, że to ten rodzaj zatrutego piwa pozwalał wojownikom na wpadanie w tak zwany berserkerski szał, w którym wydawali się odporni na ból oraz niczego się nie bali. Ale produkcja zanieczyszczonego piwa to oczywiście cecha nie tylko wikingów. W każdej kulturze, która nie miała ustalonych reguł, tradycji czy wiedzy o wytwarzaniu żywności (albo po prostu chęci na przestrzeganie tych reguł), zdarzały się podobne wypadki. Prowadziły one nie tylko do chorób, ale często również do śmierci.

Miód szaleńców – pierwszą wzmiankę o „miodzie szaleńców” podaje nam Ksenofont z Aten, waleczny żołnierz (dowódca tylnej straży słynnego marszu dziesięciu tysięcy!), ateński, perski i spartański najemnik, ale poza tym uczeń Sokratesa, wybitny

pisarz, historyk i kronikarz, autor siedmiotomowej „Historii greckiej” (opisuje w niej przełom V i IV wieku przed naszą erą). Ksenofont opisał dziwne zachowanie żołnierzy greckich nad Morzem Czarnym po zjedzeniu miodu. Dzisiaj wiemy, że był to „miód obłędu”, czyli miód wytworzony przez pszczoły, które zbierały nektar z kwiatów różanecznika (inaczej nazywany jest rododendronem, w ciepłym klimacie przybiera postać sporego drzewa), i zawierający grajanotoksynę. Co ciekawe, miód ten do dzisiaj można kupić, gdyż niektórzy wierzą, że działa zdrowotnie, a nawet pobudza popęd seksualny. Tak naprawdę jego spożycie może zakończyć się bradykardią, hipotensją i w efekcie śmiercią.

Zanim poszukasz przyczyn nadnaturalnych, wyeliminuj wszystkie przyczyny naturalne – ta myśl w tej czy innej formie często pojawia się w książkach z cyklu inkwizytorskiego. Wbrew temu, co przywykliśmy sądzić, w naszym realnym świecie nie wszyscy inkwizytorzy byli fanatycznymi głupcami wierzącymi w czary, demony, sabaty czy stosowanie czarnej magii. Otóż na przełomie wieku XVI i XVII ogromną rolę w Hiszpanii odgrywał inkwizytor Alonso de Salazar y Frías, który przeprowadził prawdziwie nowoczesne dochodzenia dotyczące możliwości uprawiania czarów, wzywania demonów, organizacji sabatów czy używania magicznych maści. Salazar wysyłał śledczych do badania gór, na których miały się odbywać rzekome sabaty (i donosili oni, że nie ma na nich śladu ludzkiej bytności), kazał analizować skład czarodziejskich maści (i odkrywano, że nie mają one żadnych nadzwyczajnych właściwości), poza tym porównywał setki zeznań rzekomych czarownic, odkrywając ogromną liczbę nielogiczności i niekonsekwencji. Salazar po przeprowadzeniu dogłębnych śledztw, w czasie których przesłuchano tysiące (sic!) świadków, pisał tak: „Nie znalazłem ani jednego dowodu, nawet najmniejszego wskazania, z którego mógłbym wywnioskować, że naprawdę miał miejsce chociaż jeden akt stosowania czarów. Świadectwo samych oskarżonych, bez udokumentowania faktami, jest niewystarczające, aby uzasadniać choćby jedno aresztowanie”. Salazar został przez historyków nazwany „adwokatem wiedźm” z uwagi na niezwykłą rolę, jaką odegrał

w zaprzestaniu ścigania czarownic przez hiszpańską inkwizycję. A warto zaznaczyć, że w tym samym czasie w Niemczech, Niderlandach, Francji, czy nawet Anglii i Ameryce procesy przeciw czarownicom trwały w najlepsze, organizowane zarówno przez katolików, jak i przez protestantów. Salazar w uznaniu wielkich zasług został za zgodą króla oraz inkwizytora generalnego członkiem hiszpańskiej Supremy, czyli najwyższego sądu Inkwizycji.

Dziki lud Rusi – Maciej z Miechowa w swym wydanym w 1517 roku dziele „Tractatus de duabus Sarmatiis Asiana et Europiana et de contentis in eis" pisał tak o obszarach podległych Rusi i znajdujących się po obu stronach Uralu: „w tych krainach nie orzą, nie sieją, nie mają chleba, nie używają pieniędzy. Żywią się mięsem zwierząt leśnych. Mieszkają w gęstych lasach w szałasach z gałęzi. A ponieważ te krainy są pokryte całe lasami, więc ludzie też są leśni i dzicy. Są jak bezrozumne zwierzęta, nie mają ubrań z wełny. Okrywają się prymitywnie skórami, zszywając razem skóry z wilka, jelenia, niedźwiedzia, gronostaja, kuny jak popadnie".

Mam francuskiego kucharza – pochwaliła się księżna – więc wszystko, co robi, to jak u największych panów w Cesarstwie. Smakuje wam, co? – zamiłowanie do zagranicznych fachowców i przeświadczenie, że wszystko, co pochodzi z Zachodu, jest lepsze, elegantsze i bardziej wykwintne, to nie tylko cecha Rusi i ludzi żyjących w dawnych wiekach. I dzisiaj wielu takich nowobogackich snobów, bezkrytycznie zafascynowanych wszystkim, co pochodzi z zagranicy, widzimy na własne oczy, najczęściej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. W Polsce szlacheckiej kronikarze i pamiętnikarze często wyśmiewali fakt, że uznanie dla fachowości zagranicznych specjalistów zmieniało się w bezkrytyczne i bałwochwalcze oddanie dla każdego, kto się podawał za takowego specjalistę (udając na przykład francuskiego kucharza). Stąd potem pojawiały się nawet na stołach bogaczy potrawy źle przyrządzone, źle przyprawione lub przypalone czy niedopieczone. No ale co się dziwić, skoro rzekomy paryski mistrz sztuki kulinarnej okazywał się mieć

przeszłość byle kuchcika czy zwykłego pomywacza, a jedyny talent, jakim dysponował, to dobre „gadane”.

Löwefell musiał przyznać, że ta śmierć pomimo dzikiej brutalności była przecież w efekcie dużo łagodniejsza od tego, co szykowali swoim wrogom europejscy, chrześcijańscy władcy – w naszej, rzeczywistej Europie zbrodnia królobójstwa czy też usiłowania królobójstwa była karana z niezwykłym okrucieństwem. Wynikało to z faktu, że zamach na władcę był sprzeciwieniem się zarówno prawom ludzkim, jak i prawom boskim, gdyż król czy książę byli uważani za „pomazańców Bożych”. Co zrozumiałe z punktu widzenia trwałości władzy, kara taka miała nie tylko być formą odpłaty za popełnioną zbrodnię, lecz również dzięki swemu okrucieństwu i publicznemu jej wykonaniu miała stanowić zapadający w pamięć, odstraszający przykład dla innych potencjalnych buntowników. Przytoczę czytelnikom zapisany w Wikipedii fragment dotyczący kaźni zabójcy francuskiego króla Henryka III: „27 maja 1610 roku rozpoczęła się publiczna egzekucja Ravaillaca. Miała być ona wykonana poprzez rozerwanie końmi, poprzedzono ją jednak cierpieniami skazańca na oczach zgromadzonego ludu. Wpierw prawą rękę zamachowca, w której dzierżył sztylet umoczony w królewskiej krwi, spalono aż do jej zwęglenia. Następnie ciało szarpano rozpalonymi szczypcami. Zdarto wreszcie z jego ramion, nóg i klatki piersiowej skórę, zalewając rany wrzącym olejem, żywicą i siarką. Pępek zalano roztopionym ołowiem. Prawdopodobnie przynajmniej przez większość tego czasu Ravaillac pozostawał przytomny, krzycząc i modląc się. Męki te były prawdopodobnie także ostatnią próbą wyduszenia ze skazańca jakichś nazwisk – bezskutecznie. Po tym wszystkim rozerwano jego ciało końmi. Męczarnie królobójcy trwały około 30 minut. Według relacji Jakuba Sobieskiego, obecnego w Paryżu podczas egzekucji Ravaillaca, wielu widzów zbierało fragmenty ciała torturowanego zamachowca w celu konsumpcji. Makabryczną potrawą próbowano również poczęstować polskiego magnata”. I czyż egzekucja przeprowadzona na dworze księżnej Ludmiły nie wygląda po zapoznaniu się z tym opisem wręcz jako

świadectwo łaskawości?

…musieliśmy wędrować w stronę Morza Czarnego. Do którego z portów? Do Phanagorii? Do Chersonesosu? – wybrzeża Morza Czarnego (przede wszystkim okolice Krymu) były w czasach starożytnych miejscem intensywnej kolonizacji greckiej. Do tej pory można tam znaleźć liczne zabytki architektury greckiej, a Chersonesos znajduje się w granicach dzisiejszego Sewastopola. Łatwo stamtąd dopłynąć do Bizancjum (czyli dzisiejszego Stambułu).

Gdy aniołowie obudzą Garszaspa, wtedy nastanie kres czasu – według mitów perskich demon Aži Dahaka, pokonany i uwięziony przez bohatera Feriduna, zostanie ostatecznie zabity przez bohatera Garszaspa. Teraz Garszasp śpi przysypany śniegiem w skalnej szczelinie, ale powstanie, by wziąć udział w ostatecznej i ostatniej wojnie. Obudzić go mają aniołowie.

Copyright © by Jacek Piekara
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-395-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski, Robert Łakuta

Projekt okładki
„Grafficon" Konrad Kućmiński

Ilustracja na okładce
Sergei Shikin

Ilustracje
Leszek Woźniak

Redakcja
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

Korekta
Magdalena Byrska

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Sprzedaż internetowa

Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/

PIEKARA
JACEK
Świat inkwizytorów
Płomień i krzyż
TOM I
PIEKARA
JACEK
Świat inkwizytorów
Płomień i krzyż
TOM II
PIEKARA
JACEK
Świat inkwizytorów
Płomień i krzyż
TOM III

JACEK
PIEKARA

Arnold Löwefell i Mordimer Madderdin wspólnie ruszają do walki!

Dwaj szczególni inkwizytorzy znowu się spotykają. Tym razem – by wspólnie wypełnić zadanie w przeklętej krainie zamieszkanej przez dziki lud, który wiarę w Chrystusa połączył z pogańskimi obrządkami. Tysiące mil od granic Cesarstwa inkwizytorzy będą musieli spełnić misję kluczową dla całego chrześcijaństwa.

W całej intrydze wielką rolę odegrają także mało znani, lecz potężni funkcjonariusze Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium: Hildegarda Reizend – podróżniczka, która przewędrowała świat od Afryki po Himalaje, oraz biegły w sztuce magicznej Barnaba Biber. Wszyscy będą musieli stawić czoła Herenniuszowi Furiusowi – Rzymianinowi, który na własne oczy widział Ukrzyżowanie i Zstąpienie Jezusa Chrystusa.

Węzły intryg zaciskają się na szyjach wszystkich bohaterów. Kto będzie musiał umrzeć dla dobra chrześcijaństwa, a kto przeżyje, by dalej służyć Sprawie?

Świat inkwizytorów
Płomień i krzyż

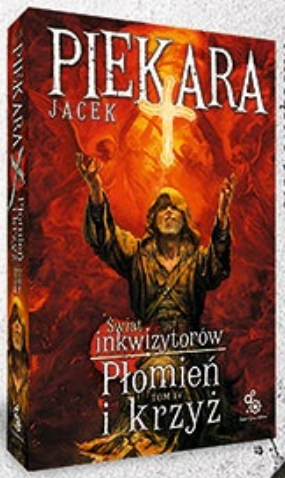

NASTĘPNY TOM

fabryka słów
WYDAWNICTWO

/fabryka /fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl